

— EWA EWART POLECA —
fascynująca opowieść, pełna zaskakujących zwrotów akcji



SPRAWA ANDRZEJ JEZNACH DIABŁA

Prószyński i S-ka

ANDRZEJ JEZNACH

SPRAWA DIABŁA

Prószyński i S-ka

Copyright © Andrzej Jeznach, 2023

Projekt okładki
Paweł Panczakiewicz

Ilustracje na okładce
© Abigail Miles/Arcangel.com
© Collaboration JS/Arcangel.com
© Jasło Ruiny Banku Polskiego przy ul. Kościuszki,
1945 r./Muzeum Regionalne w Jaśle

Redaktor inicjujący
Anna Derengowska

Redaktor prowadzący
Michał Nalewski

Redakcja
Małgorzata Grudnik-Zwolińska

Korekta
Katarzyna Kusojć
Małgorzata Denys

ISBN 978-83-8352-582-2

Warszawa 2023

Wydawca
Prószyński Media Sp. z o.o.
02-697 Warszawa, ul. Rzymowskiego 28
www.proszynski.pl

*Historia zaokrąгла szkielety do zera.
Tysiąc i jeden to wciąż jeszcze tysiąc.
Ten jeden, jakby go wcale nie było...*

*Obóz głodowy pod Jasłem
Wisława Szymborska*

ROZDZIAŁ 1

**Pociąg EuroCity, EC 197
relacji Zurych–Monachium
wrzesień 2010 r.**

Pociąg z Zurychu ruszył powoli ze stacji granicznej w Lindau. Był wieczór i pełniący służbę dwaj celnicy, zmęczeni po długim dniu pracy, byli już myślami w domu. Pociąg jechał do Monachium, ale dla nich końcową stacją była już ta następna, Kempten. Bez pośpiechu wykonywali swoją rutynową robotę. Przesunęli się powoli w kierunku tylnej części wagonu drugiej klasy, zadając podróżnym standardowe pytania: czy ktoś ma coś do zgłoszenia, oclenia i tak dalej.

Starszy z nich, Johann Laubitz, szczupły blondyn, dobrze już po czterdziestce, omiótł wzrokiem pasażerów. Nikt i nic nie rzuciło mu się w oczy. Dzień jak co dzień. Każdy przecież wiedział, że nie tylko zabronione, ale też kosztowne, bo obłożone karą, jest przewożenie gotówki większej niż dziesięć tysięcy euro. Ale zawsze ktoś taki się znajdzie, a jego zadaniem było znalezienie tych zbyt pewnych siebie, cwaniaków albo też po prostu nieświadomych czy naiwnych. Zainteresowanie Laubitza wzbudzały zwykle podróżni w wieku czterdzięci–sześćdziesiąt lat. Na ogół byli to ludzie zadbani, z zaczynającą się lub zaawansowaną siwizną, dobrze ubrani, niekoniecznie w garniturach, ale zwykle wyglądający na lepiej sytuowanych. Oni właśnie, jeśli posiadali konta bankowe w Szwajcarii, czasem potrzebowali zasilić stamtąd swój domowy budżet zastrzykiem gotówki. A jeśli nie chcieli zwrócić uwagi niemieckiego urzędu skarbowego przelewami ze szwajcarskiego konta, zwykle decydowali się na podróż pociągiem. Przekraczając granicę wypasionym mercedesem czy inną droższą marką, jaką zwykli jeździć, wzbudzali często zainteresowanie służby celnej. Jadąc tańszym autem, z wypożyczalni, też łatwo wpaść, bo te wprawdzie od dawna nie nosiły już naklejek wypożyczalni, ale nietrudno było je rozpoznać po numerach rejestracyjnych. Zwykle rozpoczynały się od skrótu nazwy miasta lub okręgu, później dwie litery, a następnie czterocyfrowy blok. Taka tablica mogła być dla celnika sygnałem, aby szybko sprawdzić te blachy.

W pociągu czuli się anonimowi i bezpieczni. Tak im się przynajmniej wydawało! Ale Johann Laubitz był celnikiem od ponad dziesięciu lat i potrafił wyłuskać w tłumie podejrzanego. Gdy przyjaciele prywatnie go pytali, jak to robi, nie umiał wyjaśnić. Sam nie wiedział, co sprawiało, że czuł, że ta właśnie osoba budzi jego czujność. Instynkt

myśliwego wyczuwającego na odległość strach swojej ofiary? Pewnie istniało i coś takiego. W jego przypadku to raczej lata doświadczenia.

Zbliżyli się do końca wagonu, gdy Laubitz zwrócił uwagę na starszego siwego pana z płaszczem narzuconym na plecy, siedzącego przy oknie. Pochylony do przodu, jakby nieobecny, zapatrzony był w szybko mijający, ledwie już widoczny krajobraz za oknem. Drobną, krucha posturą. Musiał mieć około osiemdziesiątki, jego włosy nie były siwe, były śnieżnobiałe. Na półce, nad jego głową, leżała aktówka, niewielka, czarna. Johann miał wrażenie, że już go kiedyś widział, ale nie był pewien.

– Dobry wieczór, federalna służba celna, czy ma pan coś do oclenia lub zameldowania?

Lekko unosząc głowę, nie patrząc na urzędnika, starszy człowiek odpowiedział spokojnym cichym głosem, że nie, nie ma nic do zgłoszenia. Celnik poprosił o dokumenty oraz bilet kolejowy. Według podanego mu austriackiego dowodu osobistego pasażer nazywał się Rolf Nikolaus Cornelius Gurlitt. Urodzony dwudziestego ósmego grudnia tysiąc dziewięćset trzydziestego drugiego roku w Hamburgu. Mieszkał w Salzburgu, w Austrii. Zgodnie z biletem kolejowym Cornelius Gurlitt wracał z Zurychu, dokąd pojechał z Monachium dzisiaj rano. Teraz celnik już wiedział, skąd go zna. Widział go już dzisiaj. Służbowym, ale przyjaznym głosem zapytał, czy Herr Gurlitt ma przy sobie gotówkę, której posiadanie chciałby zgłosić. Odpowiedź była znowu negatywna. Laubitz dostrzegł, że pasażer wyraźnie unika kontaktu wzrokowego. Na prośbę o pokazanie zawartości aktówki Gurlitt bez zwłoki ją otworzył. Była pusta, z wyjątkiem jakiegoś czasopisma i dwóch pustych kopert. Ale teraz, właściwie bez powodu, siedemdziesięcioośmioletni pasażer zrobił się niespokojny. Cicho, ale wyraźnie spięty, zaczął opowiadać, że załatwiał tylko osobiste sprawy, że chodzi o sztukę, że odwiedził galerię Kornfelda w Bernie. Na koniec gwałtownym gestem sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął grubą kopertę.

Celnik obserwował go. Wziął powoli wręczoną mu kopertę i do niej zajrzał. Następnie, bez pośpiechu, zaczął liczyć zawartość: plik nowiuteńkich pięćsetek. Razem osiemnaście sztuk, czyli dziewięć tysięcy euro. Takiej sumy pasażer faktycznie nie musiał zgłaszać. Ale Johann Laubitz doświadczył właśnie tego dobrze znanego sobie uczucia, że jest na dobrym tropie, że należy pogłębić wywiad, że coś tu nie gra. Urzędnicy celni wiedzą przecież, że oszuści podatkowi często przewożą pieniądze na raty, w mniejszych ilościach. Czy należy obserwować tego podróżnego w przyszłości? Ale jaka byłaby podstawa do podejrzeń? Przecież nie chodziło nawet o niemieckiego podatnika. Zadał więc następne pytania: Skąd pochodzi ta suma? Czy posiada pan adres w Niemczech? Wyraźnie już zdenerwowany i niepewny siebie, starszy pan odpowiedział, że owszem, ma także mieszkanie w Monachium, a dziewięć tysięcy pochodzi ze sprzedaży obrazu w galerii Eberharda W. Kornfelda.

– Zajmuje się pan handlem sztuką? – zapytał celnik.

– Nie, to jednorazowa sprzedaż, obraz należał do mnie. Pochodzi ze zbiorów mojego ojca, Hildebranda Gurlitta. Mój ojciec handlował sztuką. Podczas wojny był marszandem – odpowiedział pasażer.

Laubitz sporządził krótką notatkę, spisał dane podróznego i właściwie na tym sprawa była zakończona; pasażer złożył dobrowolnie spójne, jasne i przekonujące wyjaśnienia. Więcej nie można było od niego wymagać. Przynajmniej na tym etapie.

Ale ten doświadczony, może nieco nadgorliwy celnik wiedział, on to czuł, że ten Bogu ducha winny bezradny staruszek coś ukrywa. Do myślenia dała mu zwłaszcza informacja na temat handlu sztuką podczas wojny. Już następnej niedzieli, po obiedzie, gdy żona z córką wyszły na spacer, otworzył butelkę piwa i z ciekawości wrzucił nazwisko Gurlitta do Google: Hildebrand Gurlitt, handlarz sztuki, marszand, historyk, doktor. Znalazł też innego Gurlitta, pewnie krewnego, też związanego ze sztuką. Tacy to prawdziwą pracą nigdy się nie parali. Na froncie na pewno nigdy nie byli, ale na tej przeklętej wojnie zarobili pewnie fortunę – pomyślał.

Dla jego rodziny wojna była koszmarem. Stracili nie tylko troje krewnych, ale podczas walk o Berlin także cały skromny dorobek życia. Dziadek nie wrócił z wojny, babcia wychowywała troje dzieci sama. Jego matka też nie miała łatwo.

– A ten tu pewnie sprzedaje do dzisiaj w Szwajcarii obrazy zrabowane kiedyś jakimś Żydom – mruknął pod nosem.

Nie żeby mu było tak żal tych Żydów, on po prostu nie znosił niesprawiedliwości. Bo czy to sprawiedliwe, żeby jedni za ojczyznę oddawali życie, a inni robili w tym czasie interesy? W jego rodzinie wierzono, że Hitler da wszystkim równe szanse. Dziadek już na początku lat trzydziestych był członkiem NSDAP. Uważał, że Żydzi to pasożyty, które wyrządzają szkody niemieckiemu społeczeństwu. Wcześniej w domu często się o tym mówiło, ale po wojnie ojciec już bardzo rzadko to powtarzał. Dziadek z dumą nosił partyjny mundur, później także mundur Wehrmachtu. Niestety, znaczna część pamiątek po nim zaginęła.

Jak większość urzędników także i Laubitz nie lubił przynosić pracy do domu. Tym bardziej nie znosił pisać raportów. Jednak gdy dowiedział się, że Hildebrand Gurlitt należał do wybranej garstki kupców, uprawnionych do zakupu dzieł sztuki dla muzeum Hitlera w Linzu, napisał protokół jeszcze tej niedzieli. Niepojęte! Z informacji, które znalazł, wynikało, że ten Hildebrand Gurlitt nie był nawet czysty rasowo!

I dopiero teraz, gdy szczegółowo i rzeczowo opisał w raporcie zdarzenie, sprawa ta została porządnie zakończona. No i co z tego, że nie przekroczył dopuszczalnej sumy, od której należy zgłaszać przewożoną gotówkę. Ten człowiek zachowywał się wyjątkowo podejrzanie, więc ktoś powinien się temu przypadkowi dokładniej przyjrzeć – rozważał, kończąc raport.

W urzędzie celnym w Lindau am Bodensee raport Laubitza wylądował na stole naczelnika. Ten, pomimo notatki o „podejrzenie skrytym zachowaniu pasażera”, nie bardzo wiedział, co z tym zrobić, więc przekazał go szczebel wyżej, do Augsburga. Dwa tygodnie później raport Johanna Laubitza trafił na odpowiednie biurko w Urzędzie Celnym landu Bawaria. Tam jakiś wyjątkowo odpowiedzialny urzędnik doszukał się w nim przesłanek dających prawo do uzasadnionego podejrzenia popełnienia przestępstwa podatkowego, czym umotywowował później konieczność przeszukania mieszkania podejrzanego.

Najpierw jednak zarządzono obserwację Corneliusa Gurlitta. Agenci urzędu skarbowego mieli do rozwiązania nie lada łamigłówkę: zgodnie z danymi z monachijskiego urzędu skarbowego Cornelius Gurlitt właściwie w Niemczech nie istniał. Mieszkanie, w którym mieszkał, należało wciąż do jego matki, która nie żyła już od czterdziestu pięciu lat. Sam Gurlitt nigdy nie składał zeznania podatkowego, nie pracował, nie pobierał renty ani ubezpieczenia zdrowotnego, nie posiadał też niemieckiego konta bankowego. Wszelkie opłaty, także za światło i gaz, uiszczal gotówką lub przekazem pocztowym.

Celnicy podejrzewali go o nielegalny handel sztuką, zatajanie dochodów i unikanie płacenia podatków. Przy jego domu zainstalowano kamery, federalni agenci celni obserwowali jego mieszkanie na piątym piętrze w domu przy Artur-Kutscher-Platz. Śledzono i jego, gdy wychodził z domu, pochylony, o lasce, ciągnąc za sobą wózek na zakupy.

Gurlitt ich nawet nie zauważył. Ale chyba nie dlatego, że agenci byli szczególnie sprawni i ostrożni. Ich uwadze umknęło bowiem, że prawie równo rok po kontroli w pociągu – aby uniknąć kolejnej podróży do Szwajcarii – Gurlitt nawiązał kontakt ze znanym domem akcyjnym Lempertz w Monachium. Zaproponował im wystawienie na aukcji obrazu Beckmanna *Der Löwenbändiger (Poskramiacz lwów)*, który odziedziczył po matce. Rzecznik galerii wycenił płótno u niego w mieszkaniu. Oszacowany na około trzysta tysięcy euro obraz, przy cenie wywoławczej dwieście osiemdziesiąt tysięcy, został sprzedany na aukcji w styczniu dwa tysiące jedenastego za osiemset sześćdziesiąt cztery tysiące euro.

Zgodnie z konwencją waszyngtońską z roku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego muzea i galerie mają obowiązek sprawdzania proveniencji swoich kolekcji. Aby uniknąć kłopotów – dzieła mogłyby być zrabowane prawowitym właścicielom podczas wojny – galeria Lempertz także zamieściła w sieci pełną informację o wystawionym do sprzedaży obrazie. Etykieta znanej galerii Alfreda Flechtheima w Düsseldorfie, zamieszczona na rewersie ramy, szybko wzbudziła uwagę spadkobierców byłego właściciela. Flechtheim został zmuszony przez nazistów do zamknięcia działalności na początku lat trzydziestych zeszłego wieku, a w rezultacie przymuszony do wyprzedaży

zbiorów. Obraz *Der Löwenbändiger* kupił od niego wówczas Hildebrand Gurlitt, ojciec Corneliusa.

Aby nie doszło do skandalu, dom aukcyjny i Gurlitt zawarli ugodę ze spadkobiercami. Ci ostatni także woleli uniknąć drogiej i żmudnej drogi sądowej, więc zgodzili się na podział dochodu z aukcji: sześćdziesiąt do czterdziestu na korzyść obecnego właściciela.

Tymczasem w mieszkaniu Corneliusa Gurlitta faktycznie nie działo się nic godnego uwagi. Tak jak zresztą przez kilka ostatnich dziesięcioleci.

ROZDZIAŁ 2

Monachium–Schwabing
mieszkanie Corneliusa Gurlitta
Artur-Kutscher-Platz 1
28 lutego 2012 r.

Siedmiopiętrowy budynek mieszkalny na Artur-Kutscher-Platz jeden, kiedyś bardzo nowoczesny, modernistyczny, stracił już na swej architektonicznej atrakcyjności lat sześćdziesiątych dwudziestego wieku. Zachował jednak wciąż zalety swojego położenia w dzielnicy Schwabing, na północy Monachium. Niegdyś dzielnica artystów i bohemy jest obecnie jednym z najbardziej atrakcyjnych kwartałów mieszkaniowych miasta. Znana stała się dzięki artystom i pisarzom przełomu dziewiętnastego i dwudziestego wieku. W jej knajpach i kawiarniach bywali znani malarze, choćby członkowie grupy Blauer Reiter skupionej wokół Wassily'ego Kandinsky'ego, Franz Marc i Paula Klee. Odwiedzali je także znani pisarze, jak Thomas Mann czy Frank Wedekind. To nie tylko dzielnica, to także styl życia: popołudnia w kawiarniach, spacerzy na Leopoldstraße, wieczory w Ogrodzie Angielskim.

Matka Corneliusa bardzo to ceniła. Także sąsiedztwo ludzi żyjących dostatnio, mało zainteresowanych tym, co posiadają i co robią ich sąsiedzi. Ale Cornelius Gurlitt mieszkał tam już od prawie pięćdziesięciu lat sam, odizolowany od świata. To mieszkanie to całe jego życie. Ścisłej rzecz biorąc, jego światem były obrazy, które w nim chronił. Całe swoje dorosłe życie poświęcił trosce o zbiory ojca, swego osobistego bohatera.

Cornelius kochał ojca. Ale przede wszystkim szanował i podziwiał. Cały świat go przecież szanował. Doktor Hildebrandt Gurlitt był nie tylko genialnym znawcą sztuki nowoczesnej, ale także wielkim i odważnym człowiekiem. Mimo niewyobrażalnych trudności zawsze trzymał się zasad prawa i przyzwoitości; kochał sztukę, dbał o rodzinę, uratował życie wielu ludzi zasłużonych dla sztuki. W tych jakże strasznych i trudnych czasach, będąc prześladowanym jako żydowski mieszaniec ćwierćkrwi drugiego stopnia, dbał o artystów, zapewniał im możliwości tworzenia, a przez to utrzymywania się, a często nawet przeżycia. Dla Corneliusa jeszcze ważniejsze było to, że jego ojciec ocalił niezliczone dzieła sztuki przed ich przeznaczeniem, czyli zapomnieniem, zgniciem w magazynach lub zniszczeniem w ogniu. Ojciec kochał sztukę modernistyczną, nazywaną

wtedy pogardliwie *entartete Kunst*, sztuką zdegenerowaną. Znienawidzoną przez Hitlera, w rezultacie odrzucaną ze wstrętem przez masę.

Cornelius siedział w salonie swojego dziewięćdziesięciometrowego mieszkania, zapadnięty głęboko w jasnobezowym fotelu, który towarzyszył mu tu od pół wieku. Jak co dzień słuchał muzyki. Obok niego, na komodzie, wysłużony sprzęt do odtwarzania: magnetofon Revox A77, półprofesjonalne urządzenie z wielkimi szpulami na taśmy magnetyczne. Jego duma, nabytek z lat siedemdziesiątych, ale dla fanów i dzisiaj wielka gratka, a właściwie przedmiot kultu. Obok leżała Biblia, wypełniona zapiskami na małych żółtych karteczkach. Trochę dalej maszyna do pisania oraz płyty CD. Wszystko jego ulubieni klasycy. Najbardziej jednak kochał Mozarta i Wagnera.

Jego wzrok skierowany był na przeciwległą ścianę, na obraz, którego najmniejszy szczegół znał na pamięć. *Zwei Reiter am Strand (Dwaj jeźdźcy na plaży)* pędzla Maxa Liebermanna. Dobrze pamiętał, jak pod koniec wojny, gdy zaczynały się bombardowania Drezna, gdzie wtedy mieszkali, pomagał ojcu go ratować. Troskliwie zdjęli dzieło ze ściany w salonie ich domu, zbudowanego jeszcze przez dziadka, także Corneliusa. To był wspaniały dom. Z widokiem na Łabę. Zewnętrzne ściany wykończone były ozdobnym kamieniem, a obszerny, zawsze zadbane, prywatny park otaczał niewysoki mur z piaskowca. Przechodnie często zatrzymywali się i podziwiali ten dom, biorąc go za muzeum. Także z powodu znakomitego położenia, niedaleko dworca głównego oraz barokowego parku Grosser Garten. Cornelius miał wówczas dwanaście lat. A w tym roku skończy osiemdziesiąt.

Jego pokój nie przypominał ani trochę salonu z Drezna. Mieszkanie było zastawione konserwami, puszkami, słoikami, pudełkami z makaronem i kartonami z sokiem. Jeśli przyjrzeć się dokładniej, to na niektórych opakowaniach można było przeczytać, że okres ważności skończył się już w zeszłym stuleciu. Były ich tu setki, stały w uporządkowanych rzędach, jeden na drugim. Trudno się było tu poruszać. Zastawiona została nie tylko podłoga, także zawieszona na ścianach regały. Okna i drzwi na taras były zaryglowane, zasłonięte i też zastawione. Światło i świeże powietrze dochodziły tylko przez okno w salonie. Trudno powiedzieć, czy Cornelius ze względu na wiek nie dawał już sobie rady z utrzymaniem porządku, czy to jego styl życia: zbieractwo, posiadanie rzeczy w dużych ilościach.

Błogie skupienie na muzyce przerwał dzwonek do drzwi. Dawno nikt nie używał tego dzwonek. Po kilku chwilach dzwonek zastąpiło głośne dudnienie w drzwi oraz wołania: „Panie Gurlitt, proszę otworzyć, policja”. Cornelius, ubrany tylko w piżamę, zamarł pośrodku pokoju. Nie zareagował na ostrzeżenie, że jeśli nie otworzy, posłużą się siłą. Otworzył dopiero wtedy, gdy usłyszał hałas wiertarki i drżenie drzwi we framudze. Dotarło do niego, że chcą rozwiercić zamek. Do mieszkania weszła grupa ludzi. Prawie dwadzieścia osób. Prokurator z Augsburga przedstawił mu nakaz przeszukania mieszkania. Podstawa prawna: podejrzenie o unikanie płacenia podatków od zysku z handlu sztuką.

Rozejrzeli się po salonie i ostrożnie, aby niczego nie przewrócić, rozeszli po całym mieszkaniu.

Oszołomiony nieoczekiwanym przebiegiem wydarzeń, starszy pan ciężko usiadł w fotelu. Rozejrzał się bezradnie wokół siebie, aby w końcu znowu zawiesić wzrok na obrazie wiszącym na przeciwległej ścianie. W trudnych chwilach obraz ten zawsze pozwalał mu odpłynąć do starego dobrego świata. Przywoływał lata młodości, spokój, poczucie stabilności i bezpieczeństwa.

Sympatycznie wyglądająca niewysoka blondynka ostrożnie zdjęła stos gazet z krzesła stojącego nieopodal jego fotela. Podniosła leżący obok szlafrok, uśmiechnęła się i podała go siedzącemu w fotelu gospodarzowi domu. Ubrana była w dżinsowe spodnie i gruby sweter bordowego koloru. Przesunęła krzesło w kierunku fotela i siadła.

– Pozwoli pan, że się przedstawię: nazywam się Ingrid Landgrube, pracuję w prokuraturze – powiedziała miłym głosem.

Gurlitt milczał. Nie odwrócił nawet głowy w jej stronę.

– Już od kilku miesięcy zajmuję się pańską sprawą. Wydaje mi się, że wiele już wiemy, ale bardzo chciałabym z panem o tym porozmawiać – dodała.

Gurlitt odburknął:

– Co to za „moja sprawa”?

– Nie chciałam pana urazić, ale prokuratur powierzył mi sprawdzenie okoliczności związanych z pańskimi wyjazdami do Szwajcarii i sprzedażą tam obrazów – odpowiedziała.

– Szanowna pani, już mnie o to pytano i powiedziałem, że nie chodzi o żaden handel. – Wciąż nie patrzył na rozmówczynię.

– Możliwe, ale z akt wynika coś innego i dlatego właśnie zależy mi na tym, aby z panem porozmawiać, wyjaśnić...

Nagle w salonie pojawił się młody śledczy i przerwał ich rozmowę:

– Ingrid, musisz to zobaczyć!

Ingrid Landgrube uśmiechnęła się z zakłopotaniem, wstała i poszła za kolegą do ostatniego pokoju. Był niewielki, około dwunastu metrów kwadratowych. Stało tam jakieś łóżko, ale głównie regały, stelaże, szuflady i skrzynie. Regały pełne płócien naciągniętych na ramy, wiele było oprawionych, szuflady wypełnione nieoprawionymi akwarelami, grafikami i szkicami. Jak się miało okazać po policzeniu, razem tysiąc dwieście osiemdziesiąt dzieł. Większość z nich to prace wielkich niemieckich modernistów: Liebermanna, Marca i Beckmanna. Obok nich obrazy Picassa, Matisse’a i Chagalla, także impresjoniści, jak Degas i Corot. Znalaziono też szkice średniowiecznego mistrza Dürera.

Zwykle elokwentna i rozmowna Ingrid Landgrube stała przez dłuższą chwilę w bezruchu, nie wiedząc, co powiedzieć. Czegoś takiego jeszcze nie widziała. Nie była znawczynią sztuki, ale zważywszy na to, co zobaczyła i zdążyła usłyszeć od kolegów, czuła, że chodzi o coś naprawdę wielkiego. To przecież dziesiątki milionów euro! –

pomyślała. Skromnie szacowała, bo według niektórych późniejszych szacunków, szczególnie gazet brukowych, wartość nagromadzonych zbiorów miała przekroczyć miliard euro! Ekipa była przygotowana na zabezpieczenie kolekcji, ale nie spodziewali się aż takich ilości. Zaczęli natychmiast pakować je w kartony.

Cornelius Gurlitt siedział wciąż w kącie pokoju bez ruchu. Bez słowa obserwował, co się wokół niego dzieje. Poruszył się tylko wtedy, gdy urzędnicy zaczęli zdejmować ze ściany obraz *Dwaj jeźdźcy na plaży*.

– On wisi tu prawie pół wieku! Czy nie mogliście poczekać jeszcze kilka lat, zanim umrę? – pani Landgrube usłyszała jego słaby głos.

Ingrid wróciła właśnie do salonu. Widziała łzy w jego oczach, nie chciała go już męczyć pytaniami.

– Panie Gurlitt, przykro mi bardzo, ale do zakończenia dochodzenia musimy zabezpieczyć pańskie obrazy. Zanim je zabierzemy, przedstawimy panu kompletną listę. Jeśli okaże się, że wszystko jest w porządku, odzyska je pan oczywiście z powrotem.

Ale on już jej nie słuchał. Miał dość. Z rozmów prowadzonych przez tych obcych ludzi zrozumiał, że obrazy te wcale do niego nie należą, że jest to *Raubkunst* (sztuka zrabowana), że jego ojciec zawłaszczył, a właściwie zrabował je podczas wojny niewinnym ludziom i że on także poważnie złamał prawo.

Ingrid starała się odczytać wyraz jego twarzy; był to gniew połączony z nienawiścią, ale jednocześnie widziała bezsilność i strach. Chyba go rozumiała. Nie chodziło mu o utratę skarbu. On patrzył na pakowane na jego oczach obrazy tak, jakby żegnał się ze swoimi najlepszymi i jedynymi przyjaciółmi. Z kim będzie teraz rozmawiał? Dla kogo i po co będzie teraz żył?

– Panie Gurlitt, nie uda nam się zabrać dzisiaj wszystkiego. Będziemy musieli przyjechać tu jutro, co najmniej jeszcze raz. Czy będę mogła spokojnie porozmawiać z panem, gdy to wszystko uporządkujemy?

Spojrzał na nią smutnym wzrokiem i zdecydowanie przecząco potrząsnął głową.

Następnego dnia „gości” było jeszcze więcej. Oprócz policjantów i agentów służby celnej pojawiło się też dwoje rzeczoznawców. Potrzebowali kilku dni, by opróżnić mieszkanie ze zmagazynowanych tam obrazów. Najęto firmę wyspecjalizowaną w przewozie cennych dzieł sztuki: samochód klimatyzowany, wyposażony w specjalne miękkie resory oraz zabezpieczenia przed rabunkiem. Cenny transport wylądował w magazynie celnym w Garching, niedaleko Monachium.

ROZDZIAŁ 3

Monachium–Schwabing
Artur-Kutscher-Platz 1
listopad 2013 r.

Informacja o nalocie na mieszkanie Gurlitta i sensacyjnym odkryciu przeciekła do mediów z dużym opóźnieniem. Magazyn „Focus” upublicznił ją pierwszy, półtora roku po fakcie, na początku listopada dwa tysiące trzynastego. Prokuratura, celnicy i urząd skarbowy długo trzymali to znalezisko w tajemnicy. Urzędnicy chcieli się zorientować, z czym mają do czynienia i co z tym zrobić. Zatrudniono rzeczoznawców, ale było ich za mało, więc prace posuwały się wolno i niesystematycznie. Brakowało punktu zaczepienia, realnego dowodu na przestępstwo popełnione przez Gurlitta. Władze powinny przedstawić mu jasne i sprecyzowane zarzuty albo nieuchronnie oddać mu wszystkie obrazy z powrotem. Śledztwo wszczęto przecież, reagując na raport celnika, w którym Cornelius wzbudził podejrzenia co do legalności pieniędzy, jakie przewoził przez granicę. Na tej podstawie przeprowadzono w końcu przeszukanie domu. Podejrzewano Gurlitta o nielegalny handel i przestępstwa podatkowe, a znaleziono prywatną kolekcję. To, że był synem człowieka, który na wielką skalę handlował sztuką, nie było wystarczającym powodem do skonfiskowania całej kolekcji. Możliwe, że jego ojciec kupił jakiś obraz, który został nielegalnie zawłaszczony, ale na to nie mieli żadnych dowodów! Przestępstwo należało udowodnić, same podejrzenia nie wystarczą. A poza tym według obowiązującego prawa byłyby to czyny, które już w roku tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym uległy przedawnieniu. Tak stanowi prawo.

Urzędnicy obawiali się też, że sytuacja wymknie im się spod kontroli, a drobna sprawa Gurlitta zatoczy kręgi i dotrze aż na same szczyty władzy. I gdy bomba wybuchła, dokładnie tak się stało. O życiu pustelnika Gurlitta i „ukrywanym przez niego skarbie nazistów” „wartym miliardy” mówiło się zarówno w Niemczech, w Polsce, jak i Japonii, Izraelu i USA. Dzienniki na całym świecie prześcigały się w domysłach dotyczących pochodzenia odnalezionych obrazów, ich wartości, ale i osobistej winy „strażnika skarbów nazistów”.

Spokojny świat Corneliusa Gurlitta zachwiał się już dawno, ale teraz runął z hukiem. Najpierw obcy ludzie, którzy na jego oczach przez kilka dni pakowali w kartony i wywieźli wszystko, co stanowiło sens jego życia. Później długie miesiące, podczas

których był zupełnie sam. I nagle ukazało się wydanie magazynu „Focus” z podobizną Hitlera, opartego o oprawiony w złote ramy jeden z jego obrazów. Skarb nazistów! Gdy przy próbie wyjścia na zakupy powitał go błysk fleszy i głośne przekrzykiwania się dziennikarzy, stał się więźniem w swym mieszkaniu. Nie potrafił zrozumieć, dlaczego to się dzieje. Przecież nikogo nie skrzywdził. Miał szczęście, że od lat nie oglądał telewizji – odłączył ją już w kwietniu sześćdziesiątego trzeciego roku – bo oszczędziło mu to teraz naprawdę dużo nerwów.

Ale dzisiaj musiał pojechać do swojego lekarza. To daleka podróż, kilkaset kilometrów, termin umówił dawno, jakieś dwa miesiące temu. Na czwartek, jednak wyjeżdżał już dzisiaj, dwa dni wcześniej. Hotel również zamówił i od razu poprosił o przysłanie taksówki, która odbierze go z dworca. Zamówił, jak zawsze, listem napisanym na maszynie i podpisanym wiecznym piórem. Nie lubił niespodzianek. Cieszył się na spotkanie z człowiekiem, któremu ufał, który od lat dbał o jego zdrowie i samopoczucie. Zresztą taka podróż to jakby urlop. Naprawdę nie pamiętał, kiedy był na urlopie.

Zamknął drzwi mieszkania i zjechał windą na dół. Gdy otworzył drzwi budynku, błysnęło kilka fleszy, podniosła się wrzawa. Znał to już. Tego dnia i tak reporterów było mniej niż przed tygodniem. Przygarbiony, ubrany w czarny płaszcz staruszek, ciągnąc za sobą szarą walizkę na kółkach, przeszedł spokojnie przez rozczarowany tłum. Jakby ich nie zauważył. Drobnymi krokami pewnie zmierzał w kierunku przejścia przez jezdnię. Dziennikarze byli rozczarowani i po kilku krokach dali za wygraną.

Od grupy odłączyła się ciemnowłosa dziewczyna i poszła za Corneliusem Gurlittem. Özlem Gezer, dziennikarka z magazynu „Der Spiegel”, była tu dzisiaj pierwszy raz. Szukała materiału na dobry reportaż, a taki nie raz już wyszedł spod jej pióra. Gurlitt ostrożnie zszedł z chodnika, kierował się na pobliski postój taksówek. Zrozumiała. Teraz albo nigdy!

– Dzień dobry, panie Gurlitt. Czy mogę prosić pana o kilka minut rozmowy? – zapytała.

Cornelius rzadko rozmawiał z ludźmi. Unikał tego, nie lubił, nie chciał, aby ktokolwiek nim się interesował. Ale ten głos wydał mu się sympatyczny. Nawet znajomy. Kątem oka spojrzął na nią. Nie znał tej kobiety, jednak jej głos... tak, przypominał mu barwę głosu jego ukochanej, w zeszłym roku zmarłej na raka trzy lata młodszej siostry Benity. To była jedyna osoba na świecie, z którą potrafił rozmawiać o wszystkim. Nawet o sobie.

– O czym chce pani rozmawiać? Zbyt mało jeszcze o mnie mówią? – zapytał, nie zwracając się ku niej twarzą.

Otrzymała od losu, od Gurlitta, swoją jedyną szansę. Zrównała z nim krok. Szła blisko, nie wkraczając w niewidoczną, każdemu znaną i odczuwalną strefę osobistego komfortu, intymności.

– Chciałabym wysłuchać pańskiej prawdziwej wersji wydarzeń i przedstawić pana takim, jakim pan jest naprawdę. Reprezentuję magazyn „Der Spiegel”, jest czytany na całym świecie – dodała, nie będąc pewna jego reakcji.

Gurlitt nie zwolnił kroku, szedł dalej w kierunku postoju taksówek. Widać było, że się zastanawia.

– Wyjeżdżam, mam wizytę u lekarza. Nie będzie mnie cztery dni. Może pani jechać ze mną, to porozmawiamy – odpowiedział.

– Oczywiście! – zgodziła się entuzjastycznie.

Bez namysłu wsiadła razem z nim na tylne siedzenie taksówki. Taksówkarz schował walizkę Gurlitta do bagażnika i samochód ruszył w kierunku dworca głównego.

W drodze nie rozmawiali. Özlem siedziała jak na szpilkach. Wiedziała, że Gurlitt może swoją decyzję – jak na niego nie tylko spontaniczną, ale wręcz szaloną – w każdej chwili odwołać. Postanowiła tylko słuchać. Starszy pan poinformował ją, dokąd jada. Miała wystarczająco dużo czasu, by kupić bilet. Poprosiła o miejsce niedaleko niego, w przedziale drugiej klasy. Pociąg nie był przepełniony, nikt nie zwracał na nich uwagi. Gdy usiedli, Cornelius Gurlitt otworzył gazetę, którą kupił w kiosku na peronie. Przerzucił kilka stron i zauważył zdjęcia swoich obrazów. Zaczął mówić. Nie zwracał się do niej, rzadko też na nią patrzył, właściwie mówił do siebie.

– Co to za kraj! Dlaczego oni mają prawo publicznie pokazywać moją prywatną własność? Muszą mi je zwrócić! – zaczął cicho.

W jego oczach widać było łzy. Teraz odwrócił się do niej.

– Już jako dziecko miałem wokół siebie obrazy Liebermanna, Beckmanna i Chagalla. Często się przeprowadzaliśmy – praca ojca tego wymagała – ale obrazy zawsze były razem z nami. Wisiały w salonie, w przedpokoju, we wszystkich pokojach. Wszystkie mają na sobie ślady rąk mojego ojca: często je przenosił, sortował. Kochał je. Nad moim łóżkiem w sypialni powiesił zieloną twarz Kirchnera. Na początku trochę jej się bałem, ale gdy ojciec, śmiejąc się, opowiadał, że Hitler nie lubi zielonych twarzy, polubiłem ją. Nie lubiłem Hitlera. W domu nie mówiono o nim dobrze. Mój ojciec go zwalczał! Ale skrycie, tak że nikt o tym nie wiedział. Inaczej byłoby to niebezpieczne. – Uśmiechnął się. Przypominał teraz przebiegłego dzieciaka, który zrobił komuś psikusa.

– Panie Gurlitt, czy mogłabym nagrywać telefonem naszą rozmowę? Czy mogłabym też robić nagrania wideo, aby niczego nie zapomnieć? To takie interesujące! – zapytała.

Po krótkim namyśle zgodził się. Chwilami i tak zapominał o jej obecności i mówił do siebie, czasem znowu odwracał się i świadomie mówił prosto do kamery. Ona kręciła film, robiła zdjęcia, czasem kładła telefon na stoliku. Był to film o człowieku, którego czas stanął w miejscu. Przez te cztery dni dużo opowiadał, ale głównie o starych czasach, najchętniej o swoim ojcu, człowieku, który całe swoje życie poświęcił sztuce. Tak, ojciec pracował dla nazistów, tak, sprzedawał za granicę obrazy, ale te, których nikt nie chciał mieć w Niemczech.

– Nazywano to sztuką zdegenerowaną! Wszystkie obrazy, rysunki i w ogóle dzieła sztuki, które, jak mówili, „zniekształcały” postacie ludzkie czy zwierzęce, lub dzieła przez autora „niedokończone”. Po prostu usuwano je z niemieckich muzeów. Ot tak, bez

podstawy, bez nakazu, bez pokwitowania! Nikt nie bawił się w ich księgowanie i rejestrowanie. Akt zmiany właściciela? Pochodzenie? Proweniencja? Kogo to obchodziło? Nikt ich przecież nie chciał mieć! Równie dobrze mogły wylądować na śmietniku. A w roku trzydziestym siódmym zorganizowali Wystawę Sztuki Zdegenerowanej, zatwierdził to sam Hitler. Niektóre obrazy nosiły karteczki z napisami, na przykład: „Bezczelne kpiny z Boga”, lub były opatrzone ceną, za jaką zakupiło je muzeum, z dopiskiem: „zapłacono z kieszeni podatników niemieckiego ludu pracującego”.

Dziennikarka milczała i słuchała. Była zaskoczona rosnącą w nim siłą, jego zaangażowaniem w obronę honoru i zasług ojca. To, że jego ojciec współpracował z systemem, tłumaczył tylko jednym – aby ratować sztukę przed ogniem i zniszczeniem.

– Ojciec należał do grupy czterech marszandów uprawnionych do zakupu tej sztuki. Nigdy nie kupował nic z rąk prywatnych. Tylko od muzeów, urzędów lub galerii handlujących sztuką – podkreślił. – Tak, kupował też czasem jakieś obrazy dla siebie. Zawsze czynił to legalnie i za wszystkie uczciwie płacił. Płacił ceny rynkowe, to znaczy tyle, ile za dany obraz wymagano. Lub inaczej — tyle, ile obraz był wówczas wart na rynku... Miał płacić więcej? Czy pani w takiej chwili by zapłaciła więcej? Komu? Do kasy faszystowskiego państwa? – myślał głośno.

Nie czekał na jej odpowiedź.

– Mój ojciec nigdy nikomu nie odebrał niczego siłą, nie wykorzystywał swej pozycji. Zarabiał na finansowanie wojny przez Hitlera? Raczej go sabotował, bo płacił tylko wartość netto, zachowując wysoką prowizję. W rezultacie szkodził faszystom i Hitlerowi – dodał dumnie.

Po tym niezwykłym dla niego wybuchu energii Gurlitt poczuł zmęczenie. Po kilku minutach zadyszka ustąpiła. Özlem bacznie go obserwowała. Jego spokojna teraz twarz wyrażała satysfakcję. Dziennikarka zrozumiała swoją rolę. On chciał się wreszcie wygadać. Wyrzucić z siebie wszystko to, czego inni nie chcieli słuchać. Ona otrzyma swój wywiad, ale pewnie duża część z tego, co jej tak szczerze opowiedział, nie zostanie autoryzowana do publikacji. Pozostanie tylko między nimi. Czy to jest deal, który mogła zaakceptować?

Spotykali się wtedy, kiedy on czuł się na siłach. Rozmowa kończyła się, gdy poczuł się znudzony. Męczył się szybko, na spacerze po kilkudziesięciu krokach potrzebował pięciu minut odpoczynku. Dla niego czas stanął w miejscu dawno temu. Özlem towarzyszyła mu w tym jego świecie, gdzie czas przesuwał się wolniej, gdzie rządziły inne reguły, dawny język i maniery. Nawet jeśli spotykali się kilka razy dziennie, za każdym razem witał i żegnał ją ukłonem i uściskiem ręki.

Chętnie chciałaby dowiedzieć się więcej, niekiedy zaprzeczyć, ale nie ryzykowała. Zasady były jasne; ona była tu dla niego, nie odwrotnie!

– Ojciec nie miał łatwo w życiu. Za antyfaszystowskie przekonania kilka razy stracił pracę. Był dyrektorem muzeum w Zwickau, a później w Hamburgu. Pierwszego maja trzydziestego trzeciego roku, aby na jego muzeum nie mogli powiesić flagi ze swastyką, własnoręcznie odpiłował maszt. Doniesiono na niego. To, a do tego jego żydowskie pochodzenie (babka była Żydówką, choć przeszła na ewangelizm) i fascynacja ekspresjonizmem sprawiły, że został zwolniony z wilczym biletem. Nie miał już szans na pracę w instytucjach państwowych. Tylko dlatego został marszandem, handlarzem sztuki! Szybko się wybił. Miał kontakty i był najlepszy. Göring twierdził, że to on decyduje, kto jest Żydem, a kto nie. Także o tym, co kto osiągnie. Ale mój ojciec zapewnił sobie pozycję sam, dzięki swoim umiejętnościom zawodowym.

Po wojnie alianci miesiącami go przesłuchiwali. Trzy lata trzymali ojca w areszcie domowym. Przedstawił czternastu wiarygodnych świadków, wszyscy wydali o nim pozytywne opinie. Była sekretarka, Maya Gothelf, półkrwi Żydówka, potwierdziła jego życzliwy stosunek do Żydów. Prześladowany znany malarz Max Beckmann, członek grupy Berliner Secession, zeznał, że w trudnych czasach, gdy zabroniono mu malować, Gurlitt pomógł mu sprzedać kilka obrazów. Gdy ojciec został oczyszczony z zarzutów, w czerwcu czterdziestego ósmego roku, szybko znalazł odpowiednie do jego kwalifikacji stanowisko – dyrektora Kunstverein w Düsseldorfie.

Özlem porównywała to, co teraz słyszała, z tym, czego dowiedziała się, przygotowując do wywiadu. Ogólnie ujmując, była to prawda. Z wyjątkiem licznych nadinterpretacji i przemilczeń.

Można by sądzić, że ojciec Gurlitta był po prostu historykiem sztuki, wrogiem nazistowskiego reżimu, osobą wykorzystaną. Gdyby nie został marszandem, nie uniknąłby pracy przymusowej w przemyśle wojennym. Amerykańscy urzędnicy podzielali zdanie prokuratora McKaya, że w zeznaniach Gurlitta było dużo luk i nieścisłości. Kłamał, twierdząc, że nie utrzymywał kontaktów z wysokimi urzędnikami NSDAP. Udowodnienie tego było jednak trudnym zadaniem. Nie udało im się także dowiedzieć, gdzie ukrył pieniądze, a co ważniejsze, nie domyślali się nawet, że ukrył znacznie więcej obrazów niż te, które zatrzymano.

Dzisiaj wracali do Monachium. Lekarz stwierdził jedynie, że serce Gurlitta jest słabe i powinien się oszczędzać. Dni minęły szybko, a pełna życia i południowego wigoru dziennikarka wciąż czuła niedosyt. W pociągu do Monachium starszy pan milczał. Tematy najwyraźniej się wyczerpały.

Özlem nie dawała jednak za wygraną i spytała:

– Czy za granicą ojciec pracował wyłącznie we Francji i Holandii?

– Zdaje się, że bywał w Belgii, ale nie jestem pewien. No tak, często też jeździł do Szwajcarii, gdzie banki robiły doskonałe interesy na handlu sztuką. Ich sprytny system „tajemnicy bankowej”, rzekomo wprowadzonej, aby chronić majątek prześladowanych podczas wojny, to absolutna bzdura. Wie pani, że tę bajkę wymyślono dopiero w latach siedemdziesiątych? Po wojnie? A cały świat ją kupił! Ode mnie wymagają udowodnienia pochodzenia każdego najmniejszego rysunku, a ich sejfy pełne są prawdziwych skarbów. Nie tylko pieniądze i złota, lecz także dzieł sztuki. Szlachetni Szwajcarzy! Nie brudzili sobie rąk, ale na pewno nie są one czyste.

– A z Europą Wschodnią?

– Tam nie było nic dla niego. Szczególnie jeśli chodzi o sztukę nowoczesną. To były biedne kraje. Oczywiście bywały wyjątki – dodał.

– Pytam, bo czytałam, że zupełnie niedawno wycofano z aukcji w Buxtehude pod Hamburgiem obraz polskiego malarza Gierymskiego *Żydówka z pomarańczami*. Okazało się, że został zrabowany z Muzeum Narodowego w Warszawie. Zwrócono go właścicielom — powiedziała.

– Szczерze powiedziawszy, mało mnie interesuje, co się dzieje na rynku, ale o tym obrazie słyszałem. Gdy sam niedawno sprzedawałem przez dom akcyjny obraz Beckmanna *Der Löwenbändiger*, spotkałem się z podobnym problemem. Także zgłosili się wcześniejsi właściciele. Ale wie pani, jaką cenę wywoławczą miał ten obraz z Polski? Cztery tysiące czterysta euro! Ta sztuka mało interesuje kolekcjonerów na zachodzie czy w USA – odpowiedział.

– A słyszał pan zapewne o *Damie z łasiczką* Leonarda da Vinci, którą gubernator Frank wywiózł z Polski, z Krakowa. Amerykanie znaleźli ją w jego domku myśliwskim w Bawarii i stąd wróciła w czterdziestym szóstym roku do Warszawy. Całkiem niedawno obraz ten poleciał do madryckiego Prado, a następnie Berlina i Londynu. Ubezpieczono go na trzysta milionów euro! – Czekala na jego reakcję.

– Tego nie wiedziałem – to zabrzmiało, jakby nie interesowało go zupełnie nic, co dzieje się na zewnątrz jego świata.

Znowu zapadła cisza. Ale za chwilę Gurlitt zmarszczył brwi. Wydawał się nad czymś intensywnie myśleć.

– Coś się panu przypomniało? — zapytała.

– Tak, stara historia, która ma coś wspólnego z Polską. Jedno z moich ostatnich wspomnień o ojcu. Krótko przed śmiercią zaczął wprowadzać mnie w świat biznesu, tajniki handlu sztuką. Pamiętam do dzisiaj, jak mi powiedział, abym nigdy – niezależnie, jak kusząca byłaby to gratka – nie kupował niczego z nieznanymi, niepewnymi źródłami. Wspomniała pani Kraków i chyba o to miasto chodziło. Ktoś zaproponował mi obraz naprawdę wielkiego mistrza – nie mówił, o kogo chodziło – za wyjątkowo niską cenę. Proweniencja obrazu nie była jasna, więc ojciec odrzucił ofertę. Potem jednak obiecał

sprzedającemu, że pomoże mu jako pośrednik. Bez wynagrodzenia. Nie wiem, dlaczego się na to zgodził, bo uczynił to niechętnie.

– I? – zapytała zaciekawiona Özlem.

– Wiem tylko tyle, że później ojciec tego bardzo żałował. Znał wszystkich znaczących kolekcjonerów. Także tych, którzy dysponowali wielkimi pieniędzmi, a byli zainteresowani takimi właśnie okazjami. Poleciał obraz klientowi ze Szwajcarii i, jeśli dobrze pamiętam, transakcja doszła do skutku, choć ojciec nie brał w niej udziału. Mówiłem, ci Szwajcarzy mają na koniec zawsze czyste ręce. Problem miał za to mój ojciec, bo za jakiś czas zgłosił się do niego człowiek, który twierdził, że chodzi o *Raubkunst*, dzieło zrabowane podczas wojny. Właśnie w Krakowie czy gdzieś tam w okolicy. Pamiętam, że ojciec dziwnie się tego dnia zachowywał. Już nie dowiemy się, o co chodziło, bo kilka dni później ojciec zmarł w wyniku wypadku samochodowego.

– Tak słyszałam, zawiodły hamulce. Czy myśli pan, że miało to związek z tym tajemniczym człowiekiem? – dopytywała.

– Ojciec nic więcej nie mówił. Policja się tym zajęła, przesłuchali ludzi z otoczenia, nawet znaleźli jakieś ślady w garażu. Ale w końcu sprawę umorzono. Nieszczęśliwy wypadek – odpowiedział.

– Ojciec był jeszcze w sile wieku. Czy dał panu jako spadkobiercy jakieś wskazówki, czy instrukcje, co ma pan zrobić z kolekcją po jego śmierci? Co sprzedać, co zachować? – zapytała ostrożnie.

– A skądże! Ojciec kochał sztukę. Handlował obrazami, ale to, co kupił dla siebie, chciał zachować. Na zawsze. Nie wyobrażam sobie mojego mieszkania bez obrazu Liebermanna *Dwaj jeźdźcy na plaży*. Nigdy nie wpadłbym na pomysł, by go sprzedać. Ponad pół wieku miałem go przed oczyma, codziennie.

Cornelius Gurlitt zmarł szóstego maja dwa tysiące czternastego roku. W testamencie, spisany dziewiątego stycznia dwa tysiące czternastego roku, jako jedyny spadkobierca jego kolekcji została wskazana fundacja Kunstmuseum Bern w Szwajcarii.

W połowie maja dwa tysiące piętnastego roku obraz Maxa Liebermanna *Dwaj jeźdźcy na plaży* został zwrócony Davidowi Torenowi, stryjecznemu wnukowi pierwotnego właściciela, Davida Friedmanna z Wrocławia. Także kilka innych dzieł, których pochodzenie zostało udowodnione, wróciło do spadkobierców prawowitych właścicieli, wśród nich obraz *Siedząca kobieta* Henriego Matisse'a.

ROZDZIAŁ 4

Londyn

dom aukcyjny Sotheby's

34–35 New Bond Street

24 czerwca 2015 r.

Hanna i Norbert zajęli miejsca na sali jako jedni z pierwszych. Do Londynu przylecieli już około południa, więc mieli mnóstwo czasu. Późny obiad zjedli w świetnej restauracji niedaleko ich hotelu. Aukcja miała się zacząć o osiemnastej trzydzieści, ale przyszli nieco wcześniej, by mieć czas się rozejrzeć. Na ten wieczór nie mieli innych planów. Wśród gości nie rzucali się w oczy; elegancka, dostojnie wyglądająca para, oboje lekko po sześćdziesiątce. Hannie zwykle dawano dziesięć lat mniej, niż miała zapisane w metryce; jej figura niewiele się zmieniła od czasu, gdy Norbert ją poznał. A było to już prawie czterdzieści lat temu. Krótco ostrzyżone ciemne włosy, ładna twarz o klasycznych rysach, z pełnymi ustami. Ale i on nieźle się trzymał. Wyprostowana sylwetka świadczyła, że wciąż uprawia sport. Był dobrze zbudowanym, przystojnym mężczyzną nieco więcej niż średniego wzrostu. Miał zadbaną twarz, a silnie zarysowany nos dodawał mu charakteru. Siwe, kiedyś blond, krótko przystrzyżone włosy, z widocznymi zakolami, specjalnie go nie postarzały. Tak przynajmniej sam uważał.

Zasadniczo w aukcjach Sotheby's może uczestniczyć szersza publiczność, ale dotyczy to tylko licytacji w ciągu dnia. Udział w okazjonalnie przeprowadzanych *evening sales* mogą brać jedynie posiadacze biletów wstępu.

– Podziękowałeś już Irwinowi, że postarał się dla nas o wejściówki na dzisiejszy wieczór? – zapytała Hanna, obracając lekko głowę w stronę Norberta.

– Oczywiście, kochanie. Ale dla niego to żaden problem. Zresztą poprosiłem go o to już dwa tygodnie temu, kiedy dowiedziałem się, że obraz będzie tu dzisiaj licytowany. A wiesz, że on nie takie rzeczy potrafi załatwić. – Uśmiechnął się do niej.

W branży, w której pracował Norbert, i na jego stanowisku wszyscy mieli szerokie znajomości, i to w bardzo różnych sferach. Jego londyński kolega zadzwonił kiedyś do niego, do Düsseldorfu, i poprosił o załatwienie biletów w Doniecku, na Ukrainie, podczas Euro 2012. Chodziło o mecz Anglia–Francja. Norbert wtedy też tylko raz krótko porozmawiał przez telefon z Warszawą.

Dzisiejsza Impressionist & Modern Art Evening Sale liczyła się na całym świecie; dla najwyższej klasy profesjonalistów i kolekcjonerów sztuki nowoczesnej to ważne wydarzenie. Większość z nich musiała zadowolić się jednak uczestnictwem on-line. Sotheby's, uznawane za lidera w kategorii „Sztuka Współczesna”, organizowało w Londynie tylko dwie główne sprzedaże w roku: w lutym i właśnie w czerwcu. Na dzisiejszej aukcji pod młotek (co za określenie, pomyślał Norbert) szły płótna Picassa, Moneta, Gauguina, Chagalla, Kandinsky'ego, Matisse'a, Degasa i wielu innych. Razem czterdzieści dziewięć pozycji. Już same nazwiska twórców powodowały, że oboje odczuwali dreszczyk emocji, uczestnicząc na żywo w takim wydarzeniu. A do tego specjaliści oceniali, że ogólny dochód ze sprzedaży wyniesie dzisiaj nie mniej niż dwieście milionów euro!

Aby możliwie najlepiej widzieć wystawiane eksponaty, zajęli miejsca z przodu, w czwartym rzędzie, zaraz obok głównego przejścia. Oboje mieli dobry widok zarówno na pulpit aukcjonera, jak i na umiejscowioną na lewo od niego, za jego plecami, ściankę, na której wisiał już pierwszy obraz. Obok białego podium z napisem *Sotheby's Est.1744* stał pomocnik prowadzącego licytację, przyglądając się z uwagą płótnu, które tam przed chwilą umieścił.

Podczas gdy Hanna przeglądała katalog aukcji, Norbert rozglądał się po sali, obserwując zbierających się gości. Po lewej i prawej stronie sali, mieszczącej według jego oceny około dwustu osób, znajdowały się niewysokie, piętrowe podesty, jakby trybuny. Tam zajęli już miejsca pracownicy obsługujący zdalnie, przez telefon, uczestników aukcji. Ich zadaniem było w imieniu klientów i na ich rachunek składać oferty, podnosząc tak zwany lizak, czyli tabliczkę z numerem rejestracyjnym klienta.

– Zobacz, kochanie – Hanna wskazała na obraz zawieszony przed nimi – to pierwsza pozycja licytacji. Lyonel Feininger. Amerykanin, urodzony w Nowym Jorku pod koniec dziewiętnastego wieku. Studiował i żył w Niemczech i Stanach Zjednoczonych. Należy do najbardziej cenionych artystów klasycznego modernizmu.

– Przyznaję, że nigdy o nim nie słyszałem – odpowiedział Norbert, nadal przyglądając się temu, co dzieje się w pierwszych rzędach sali.

Po przeciwnej stronie widowni zauważył prowadzonego pod rękę, prawdopodobnie przez syna, starszego człowieka z białą laską. Tak, to musiał być David Toren. Rozpoznał go już wcześniej, gdy ten udzielał w holu wejściowym wywiadu dziennikarce CNN. To prawowity dzisiaj współwłaściciel obrazu *Dwaj jeźdźcy na plaży*, który sprowadził tutaj dziś Norberta i Hannę. Ukrywany od czasów wojny przed światem w niepozornym mieszkaniu w Monachium, zobaczył ponownie światło dzienne dopiero w dwa tysiące dwunastym roku. Zanim niemieccy urzędnicy, wspomagający się międzynarodową grupą najbardziej cenionych (prawdopodobnie też i ceniących się, najdroższych) na świecie specjalistów, zdecydowali się oficjalnie uznać go za zrabowany w czasach narodowego socjalizmu, minęły znowu lata. Ale wreszcie obraz został zwrócony spadkobiercom.

Norbert – w odróżnieniu od Davida Torena – nie sądził, by była to celowa zwłoka; sprawa stała się niezwykle głośna, więc urzędnicy i powołana do tego grupa fachowców, Task Force, nie chcieli popełnić żadnego błędu. Cały świat patrzył im na ręce! Natomiast David Toren pokazał światu, co znaczy działać sprawnie, szybko i zdecydowanie. Minął zaledwie miesiąc od chwili, gdy oddano mu jego ukochany obraz, a on natychmiast dał go na licytację. Widać, że nie potrzebował dużo czasu, aby nacieszyć się dziełem, o tęsknocie do którego opowiadał wyciskające łzy historie z dzieciństwa i o które tak zaciekle walczył. Dzisiaj właśnie zostanie sprzedane.

Nagle myśli Norberta zakłócił ktoś, kto zasłonił mu widok. Obok Hanny, siedzącej na skraju ich rzędu krzeseł, stanął mężczyzna. Około sześćdziesiątki, średniego wzrostu, z lekką nadwagą, ale nie gruby. Wypielęgowany, ubrany w elegancki szary garnitur. Gdyby nie to, że jesteśmy w domu aukcyjnym, powiedziałbym, że to bankier – pomyślał Norbert.

– Przepraszam, czy miejsce obok państwa jest wolne? – zagadnął przybysz. Mówił płynnym angielskim, ale Norbert słyszał wyraźny obcy akcent, jakby niemiecki. Nie był to klasyczny niemiecki, bo ten potrafił rozpoznać.

– Tak, bardzo proszę – odpowiedział Norbert, wstając. Mężczyzna bez trudu przecisnął się obok siedzącej Hanny i zajął wolne miejsce za Norbertem.

– Pozwoli pan, że się przedstawię. W końcu jesteśmy sąsiadami – zaśmiał się nowy sąsiad – nazywam się Peter Bäuerle.

– Bardzo mi miło, Norbert Matula – odparł już po niemiecku Norbert, zadowolony, że dobrze typował.

– O, miło usłyszeć tu w Londynie język ojczysty – odpowiedział ewidentnie rozluźniony pan Bäuerle. – Słyszę, że nie pochodzi pan z południa Niemiec? – zagadywał dalej.

– Ma pan rację, jesteśmy z Düsseldorfu – odpowiedział lekko zniecierpliwiony Norbert. Nie chciał spędzić na gadaniu całej aukcji. – O, chyba się zaraz zaczyna – zwrócił się do żony, także po niemiecku.

Pomału wszystkie wolne miejsca się zapełniły. Pojawił się też *auctioneer*, prowadzący dzisiejszą aukcję. Elegancki, przystojny, około pięćdziesiątki, uśmiechnięty. Ubrany był w dobrze skrojony ciemnoniebieski garnitur, jasną, ale nie białą koszulę, krawat z nieokreślonym wzorem. Po standardowym, na szczęście niezbyt długim, powitaniu aukcja się zaczęła. Jako pierwszy przedstawiono obraz Feiningera *Horn Player in The Village*. Oceniony w katalogu na trzysta dwadzieścia tysięcy funtów, po niezbyt długiej i sprawnie przeprowadzonej licytacji sprzedany został za sześćset sześćdziesiąt pięć tysięcy funtów. Nieźle się zaczęło!

Norbert śledził z uwagą także wystawiane po nim dzieła wielkich mistrzów, zwykle z pierwszej połowy dwudziestego wieku, choć czekał tylko na pozycję katalogową z numerem dwadzieścia siedem. Kątem oka zauważył, że jego sąsiad położył sobie na

kolanach „lizaka”, co znaczyło, że zechce wziąć udział w licytacji. Na razie tylko się przyglądał, czyli aukcja nie dotarła jeszcze do pozycji, która go interesowała.

Gdy wniesiono obraz Gustava Klimta, wysokie, wąskie płótno przedstawiające młodą Gertrudę Loew w białych szatach, przez salę przeszedł szmer. Ten obraz numer dwadzieścia sześć według katalogu mógł być wart nawet osiemnaście milionów funtów. Został sprzedany za prawie dwadzieścia pięć milionów! Jak się okazało, był to absolutny rekord tego wieczoru.

Przyszła wreszcie kolej na pozycję dwadzieścia siedem. *Zwei Reiter am Strand (Dwaj jeźdźcy na plaży)*. Autor: Max Liebermann. Olej na płótnie. Szacowana wartość to pięćset pięćdziesiąt tysięcy funtów. Obraz o rozmiarach siedemdziesiąt jeden na dziewięćdziesiąt jeden centymetrów, namalowany w roku tysiąc dziewięćsetnym, majstersztyk niemieckiego impresjonizmu. Przypominał styl francuskich impresjonistów, Édouarda Maneta czy Edgara Degasa. W złotej ramie prezentował się na ścianie niezwykle dostojnie.

Prowadzący rozpoczął od sumy czterystu tysięcy funtów. Dwie, trzy oferty i cena podeszła do siedmiuset tysięcy. Niespodziewanie dla Norberta tabliczkę podniósł też jego sąsiad, Szwajcar. Peter Bäuerle zgłosił kwotę ośmiuset tysięcy funtów. Teraz aukcja nabrała tempa. Uczestniczyło w niej przynajmniej sześć osób. Aukcjoner zachęcał do udziału, profesjonalnie z uśmiechem panował nad przebiegiem akcji. Najbardziej aktywne stały się teraz dwie osoby biorące udział przez telefon. Gdy padła propozycja miliona dwustu tysięcy funtów, Peter Bäuerle sapnął głośno i odłożył tabliczkę na kolana. Najwyraźniej była to granica, którą sobie wcześniej ustawił. Dalsza licytacja przebiegała między dwoma anonimowymi zainteresowanymi podającymi swoje oferty telefonicznie. Ostateczna cena to milion osiemset sześćdziesiąt pięć tysięcy funtów, czyli prawie dwa miliony sześćset tysięcy euro.

Sąsiad Norberta wyraźnie stracił zainteresowanie tym, co dzieje się na podium. Szczerze powiedziawszy, Norbert także.

– Przykro mi – powiedział, podając Szwajcarowi rękę – ale dzielnie się pan zmagasz. – Uśmiechnął się.

Państwo Matulowie grzecznościowo odczekali do końca aukcji. Zanim odebrali wierzchnie okrycia, pojawił się także ich nowy znajomy, który oddał już swoją tabliczkę.

– Tak się cieszę, że państwa poznałem. Przyjechałem tu na dwa dni i prawdę mówiąc, nie bardzo wiem, co ze sobą zrobić. Szczególnie dzisiaj, po tej strasznej klapie. Nie spodziewałem się takiej ceny. Szaleństwo. Bez wieczornego drinka na pewno nie zasnę. Czy mogę państwa zaprosić? Może zjemy coś razem? Mieszkam całkiem niedaleko, w Marriotcie. Piękny czerwcowy wieczór, możemy się nawet przejść. – Podekscytowany jeszcze aukcją Bäuerle mówił jak nakręcony.

– O, to mieszkamy w tym samym hotelu – ucieszył się Norbert. Ten nowy znajomy, który był gotów wydać prawie milion euro za „jego” obraz, zaintrygował go. Dlaczego by

z nim nie porozmawiać?

– Mieszkacie państwo również w Marriott Hotel Park Lane? – rozpromienił się Peter Bäuerle

– Niestety nie – zaprzeczyła Hanna, która bez słów zrozumiała zamiary męża. – Zatrzymaliśmy się w Marriott Grosvenor House. Także przy Park Lane, ale około czterystu metrów na południe. Późno już, kochanie.

– Ach, wcale jeszcze nie tak późno. Wie pan co? – Norbert zwrócił się do nowego znajomego. – Jeśli poda mi pan swój numer pokoju, to może się dzisiaj jeszcze spotkamy. Zadzwoń, jeśli żona mi pozwoli. – Uśmiechnął się do niego porozumiewawczo. – To rzadka okazja poznać prawdziwego konesera sztuki. Pewnie mogę się od pana wiele nauczyć, a również zamierzam zainwestować w sztukę.

Peter Bäuerle podał swój numer pokoju, ale na szczęście nie zauważył zdziwionej miny Hanny, z jaką spojrzała na męża. Potem się pożegnali.

Norbert Matula naprawdę nie bardzo wiedział, czego oczekuje od tej aukcji. Przylecieli z żoną do Londynu w środę i mieli zostać do niedzieli. Głównym celem jego pobytu w Londynie było sympozjum, na które zaprosili go koledzy z Interpolu. Przy okazji mieli krótki urlop i mieli zamiar zrobić zakupy, ale Norbert koniecznie chciał też zobaczyć aukcję u Sotheby's. Hanna zdawała sobie sprawę, że sympozjum było tylko pretekstem. Bardziej zależało mu, aby wziąć udział w aukcji. Nie jako kolekcjoner czy miłośnik sztuki. Norberta interesowała właściwie tylko historia wcześniejszego właściciela tego obrazu, Hildebranda Gurlitta. Dotyczyła bowiem sprawy nierozwiązanej od prawie sześćdziesięciu lat, której akta zostały zamknięte kilka lat po tym, kiedy on, Norbert, się urodził. Zajmował się nią jego ojciec, Jan Matula.

Ojciec nigdy nie zaakceptował oficjalnego orzeczenia, że Hildebrand Gurlitt zmarł jako ofiara zwykłego wypadku samochodowego, jednak nie dostał szansy na wyjaśnienie wątpliwości. Dochodzenie dawno zamknięto, jednak Norbert miał przeczucie, że może odkryć prawdę. Nie wiedział jak, ale na tym polegała przecież intuicja. Pewnie to, że kolekcja Corneliusa Gurlitta, a także jego historia pojawiły się w mediach tak niespodziewanie i spektakularnie, dodatkowo go zachęciło. Historia z przeszłości i kwestia honoru jego ojca powróciły z pełną mocą. Może z wiekiem takie właśnie rzeczy stają się znowu ważne? Na wszelki wypadek zapowiedział żonie, aby się nie dziwiła, jeśli rozpocznie śledztwo, a jeśli tak się stanie, to będzie musiał prowadzić je prywatnie, incognito.

ROZDZIAŁ 5

Düsseldorf

Prezydium Policji

Landeskriminalpolizeiamt

Jürgensplatz 5–7

1956 r.

Jan Matula należał do pionierów Urzędu Kryminalnego Landu Nadrenia Północna-Westfalia, LKA. Pracował w „firmie” w Düsseldorfie przy Jürgensplatz od samych jej początków, od roku tysiąc dziewięćset czterdziestego szóstego, gdy było ich tu tylko około trzydzieścioro. W październiku minie dziesięć lat, jak tu się zjawił. Był na dobrej drodze do zrobienia kariery. Zaangażowany, miał dobre wyniki, więc go doceniali. Był lubiany przez kolegów.

Wysoki szczupły blondyn, trzydziestosześcioletek, pełen energii, może przez to właśnie zwykle z rozwidzoną jasną czupryną. Potrafił zjednywać sobie ludzi. Często już od pierwszego wejrzenia, szerokim uśmiechem i rzucającą się w oczy szparą między górnymi siekaczami, która nadawała mu sympatyczny chłopięcy wygląd. Kto poznał go bliżej, szanował go bardziej za charakter, dotrzymywanie słowa i chęć niesienia pomocy. Oddany służbie, ceniony przez przełożonych za odwagę w działaniu, znany też z tego, że w sprawach osobistych nie pozwalał sobie w kaszę dmuchać. Był i czuł się Niemcem, urodził się i wychował tutaj, ale przez nazwisko, łatwe w wymowie, a jednak nietypowe, bywał pytany, skąd pochodzi. Nie wstydził się przyznać, że ojciec przed laty imigrował tu z Polski, jak setki tysięcy innych. Koledzy dali już mu spokój, bo wiedzieli, że na głupawe żarty na temat pochodzenia reagował zawsze z uśmiechem, ciętą odzywką i lekkim sierpowym w zębra. Ten sierpowy to nie żart.

Był lubiany, bo zawsze reagował na niesprawiedliwość i często wstawiał się za kolegami. Zaczęło się od tego, że on i oni mieli dość ganiaania złodziei i innych przestępców na rowerze. Nieraz potrzebował więcej niż godziny, aby dotrzeć na miejsce zbrodni. Były wprawdzie samochody w komisariacie, ale większość policjantów, on także, nie miała prawa jazdy. W imieniu wszystkich zaapelował na zebraniu, żeby koszty szkolenia na prawo jazdy opłacała policja. Nikt nie będzie przecież używać tych samochodów do celów prywatnych.

Jego pierwszy szef, dyrektor Urzędu Kryminalnego całego landu, Friedrich Karst, został w czterdziestym ósmym roku zdjęty ze stanowiska szefa LKA w Düsseldorfie. Za powód podano niewystarczające kwalifikacje, choć karierę w policji kryminalnej rozpoczął już w dwudziestym szóstym roku. Współpracownicy wiedzieli, że prokurator wszczął dochodzenie, bo wypłynęły jego stare grzechy. Nie było tajemnicą, że od dawna należał do NSDAP, a obecnie wyszły na jaw dowody na jego udział w zbrodni z ostatnich tygodni wojny: zabójstwie siedemdziesięciu jeden osób, w tym co najmniej czterech przymusowych robotników. Rozstrzelano ich za miastem. Karst przyznał się, że brał udział jedynie w zakopywaniu dołu, bo gdyby tego nie zrobił, jego także by rozstrzelano. Podczas procesu denazyfikacyjnego, prowadzonego przez wojsko brytyjskie, świadków nie było, więc uzyskał notę „nieobciążony”, jednak musiał ustąpić miejsca Friedrichowi D’heilowi. Nie zwolniono go, przesunięto jedynie o stopień niżej. Brakowało kadr zarządzających, został zastępcą szefa.

Przeznaczony do papierkowej roboty, Karst stał się jeszcze bardziej złośliwy, niż był wcześniej. Wydawało się, że tylko szukał okazji, by się do czegoś przyczepić, a na Matulę miał oko od dawna. Któregoś dnia po zebraniu wezwał go do swojego gabinetu.

– Siadajcie, Matula – powiedział, nie siląc się nawet na uprzejmość.

– Tak, słucham. – Jan posłusznie zajął wskazane mu miejsce.

– Znamy się kupę lat. Wspierałem was, bo wydawało mi się, że macie potencjał na dobrego śledczego. Tymczasem okazuje się, że bardziej interesują was burdy, walki o prawa pracy czy inne tam... awantury. Drugi raz ostrzegam nie będę: jeśli coś takiego jeszcze raz się powtórzy, zakończę waszą karierę tutaj.

Jan zrozumiał, że to nie przelewki, więc gdy we wrześniu pięćdziesiątego roku w Düsseldorfie założono Związek Zawodowy Policji, z poparciem koleżanek i kolegów zaczął tam działać. Nie był przez to bardziej lubiany przez Karsta, ale uzyskał pewność, że nic mu za to nie grozi.

Niestety o szybkim awansie mógł tylko pomarzyć. Gdy pod koniec pięćdziesiątego pierwszego roku urodził mu się syn Norbert, musiał naprawdę się starać, by wykarmić rodzinę. Zawód policjanta był słabo opłacany. Sierżant policji na przykład, zależnie od stażu pracy, zarabiał w pięćdziesiątym drugim roku od dwustu dziesięciu do dwustu osiemdziesięciu marek niemieckich. Pół kilo kawy kosztowało szesnaście marek, masło trzy pięćdziesiąt, a chleb markę i dziewięćdziesiąt pięć fenigów. Wynagrodzenia policjantów pozostawały zawsze w tyle za pensjami w innych zawodach. Jak on i jemu podobni mieli wyżywić rodziny? Gdy tylko było to możliwe, także jego żona musiała wrócić do pracy.

Pod koniec pięćdziesiątego czwartego roku Karst odszedł na emeryturę, ale niczego to nie zmieniło, bo jego następca też nie doceniał związkowej aktywności Matuli. Dlatego Jan zdecydował się wrócić do aktywnej pracy śledczej.

Na początku listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku wysłano go do zbadania wypadku, który zdarzył się na autostradzie pod Oberhausen. Ofiara pochodziła z Düsseldorfu, chodziło o niejakiego Hildebranda Gurlitta, urodzonego w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym piątym roku w Dreźnie. Z olbrzymim impetem wjechał on autem marki DKW w hamującą przed nim ciężarówkę. Zmarł dziewiątego listopada w szpitalu. Matuli powiedziano, że brak było śladów hamowania i że z samochodu niewiele pozostało. Doktor Hildebrand Gurlitt był osobą niezwykle szanowaną nie tylko w Düsseldorfie; był też cenionym historykiem sztuki i dyrektorem Stowarzyszenia Sztuki.

Już następnego dnia Matula odwiedził jego żonę Helene w domu przy Rotterdamer StraÙe trzydzieści pięć. Piękne miejsce, otoczone zielenią, w bezpośredniej bliskości Renu. Choć pani domu musiała być po sześćdziesiątce, Matuli rzuciła się w oczy jej dostojna postawa i doskonała figura. Rozpoznał ją na stojących na kominku starych zdjęciach – była kiedyś tancerką w balecie. Zachowywała się dystyngowanie, ale z należyтым szacunkiem dla gościa, przedstawiciela władzy.

– Nazywam się Jan Matula, jestem z policji kryminalnej – przedstawił się, pokazując dokument, na który ledwie spojrzała. – Jest mi niezmiernie przykro, szanowna pani, że w czasie żałoby muszę zakłócić pani spokój.

– Oczywiście, rozumiem. W czym mogę pomóc? – spytała cicho.

– Sprawa wydaje się jasna. Słyszałem, że zmarły miał problemy ze wzrokiem, więc przyczyną była prawdopodobnie spóźniona reakcja i stąd zbyt późne hamowanie. Dla pewności powinienem zapytać jeszcze panią o zdanie – wyjaśniał sytuację oraz swoje obowiązki.

– Trudno mi to sobie wyobrazić. Mąż był wyspany, wypoczęty. – Jej głos brzmiał teraz bardzo pewnie.

– Rozumiem. Wezmę to pod uwagę. Czy może mi pani pokazać garaż, gdzie mąż zwykle zostawiał samochód?

Pani Gurlitt odwróciła się i poprowadziła gościa w kierunku wolno stojącego budynku usytuowanego obok domu mieszkalnego. Przednia brama była zamknięta, boczne drzwi także.

– Wszystko w porządku, drzwi zamknięte, okno też. Działania z zewnątrz, manipulację przy samochodzie przez osoby trzecie możemy więc wykluczyć – powiedział Matula.

– Szczerze powiedziawszy, mąż ich często nie zamykał. Także i tylne okno, skąd widać las, często bywa uchylone. Mówi... mówił, że przeszkadza mu zapach benzyny. Następnego dnia, zaraz po wyjeździe męża, to ja kazałam je zamknąć. Nigdy nie wiadomo – powiedziała pani Gurlitt, a z jej słów wynikało, że nie pierwszy raz upominała o to męża.

Gdy weszli do środka, Jan przekonał się, że tylne okno, niewidoczne od strony domu, było zamknięte. Z wyjątkiem kilku półek na jednej z bocznych ścian, na których stały jakieś pojemniki i kartony, garaż był zupełnie pusty. Także podłoga wyglądała, jakby była regularnie zamiatana i myta.

– O, to pewnie należało do pani męża – powiedział Matula, wskazując na leżący na posadzce garażu medalik. Cienki sznurek wykonany z plecionego jedwabiu wyglądał, jakby został przecięty.

– Co to? Nie, mąż nie nosił tego typu ozdób czy talizmanów. Pierwszy raz widzę – zdziwiła się pani Gurlitt. Spojrzała i więcej się tym nie interesowała.

– Zabiorę to więc ze sobą. Może posłuży jako dowód. Muszę też wziąć próbkę z tej plamy na podłodze. – Jan Matula wyjął z kieszeni składany nóż i ostrożnie zeszkrobał odrobinę z powierzchni wyraźnie przebarwionej posadzki. Uzyskany w ten sposób zabrudzony pył ostrożnie wsypał do koperty, którą wyjął z teczki, a kopertę zakleił i dwukrotnie złożył. Wcześniej to samo zrobił z medalikiem. Wyszli, zostawiając drzwi garażu otwarte.

Z kuchni wyszedł młody człowiek, ukłonił się komisarzowi, a pani domu przedstawiła go jako swego syna, Corneliusa Gurlitta. Kiedy policjant zapytał go, czy może przypomina sobie coś, co byłoby istotne dla sprawy, zdecydowanie zaprzeczył głową. Robił wrażenie osoby wyjątkowo nieśmiałej.

Jan Matula zadał pani Gurlitt jeszcze kilka standardowych pytań: jak minął ostatni dzień przed wypadkiem, czy w okolicy kręcił się może ktoś, kto by wydał jej się podejrzany, oraz czy mąż zachowywał się ostatnio inaczej niż zwykle. Pytania kierował do obojga obecnych, ale młody człowiek nie reagował, patrzył na matkę, jakby czekając na jej przyzwolenie. Pani Gurlitt była cały czas bardzo przygnębiona, wydawała się nieobecna. Po ostatnim pytaniu otrząsnęła się jednak.

– Wie pan, że zupełnie o tym zapomniałam? Chyba ponad miesiąc temu pojawił się u męża, w biurze, jakiś człowiek z Hanoweru, jeśli dobrze pamiętam. Niezapowiedziany, ale mąż go przyjął. Z opisu męża zrozumiałam, że był to mężczyzna zamożny i bardzo pewny siebie. Chciał od męża kupić jakiś nadzwyczaj cenny obraz.

– Czy wydarzyło się coś podczas tego spotkania? – zapytał Matula.

– Wtedy chyba nie, ale mąż wspomniął mi o nim dosłownie w piątek, podczas kolacji przed wyjazdem. Bo ten człowiek wrócił, to znaczy zadzwonił. Był bardzo nieprzyjemny, odgrażał się. Bo mąż sprzedał czy pomógł sprzedać ten właśnie obraz innemu klientowi, jakiemuś bankierowi. Mąż niechętnie rozmawiał ze mną o sprawach zawodowych. Proszę porozmawiać z sekretarką męża, panną Helene Mertens. Bardzo rezolutna osoba. – Mówiła to w zamyśleniu, jakby z trudem odtwarzając tamte zdarzenia z pamięci.

– Faktycznie ciekawe – zgodził się Matula. – Nie będę dłużej przeszkadzać. Proszę, moja wizytówka z numerem telefonu, na wypadek gdyby się coś pani przypomniało. Bardzo dziękuję, ogromnie mi państwo pomogli.

Aby nie zapomnieć, komisarz zapisał w notatniku, że musi jeszcze odwiedzić sekretarkę dyrektora Gurlitta.

Wracał na komendę jak na skrzydłach. „Był nieprzyjemny, odgrażał się”. To może znaczyć, że wcale nie był to wypadek. Czuł, że jest na tropie! Uzyskaną próbkę pyłu z garażu oddał do analizy, a medalik do sprawdzenia na odciski palców. Teraz mógł spokojnie czekać.

Po kilku dniach przyszły wyniki. Nie przyniosły żadnych rewelacji, żadnych notowanych odcisków palców. Rezultat analizy próbki z podłogi był ciekawszy. Wykryto płyn hamulcowy, i to stosunkowo świeżo rozlany. Matula miał więc wystarczający motyw, dowody, a nawet podejrzanego. Według niego to nie wypadek, lecz bardzo wyraźne podejrzenie o popełnienie zbrodni. Musiał postarać się o sporządzenie pamięciowego portretu podejrzanego. Miał nadzieję, że sekretarka pana Gurlitta, Helene Mertens, opisze go wystarczająco dokładnie. Ale najpierw sporządził raport z oględzin garażu i rozmowy z żoną oraz synem zmarłego i przekazał go swojemu bezpośredniemu przełożonemu. Od końca lat czterdziestych, kiedy rozpoczął tu pracę, wiele się zmieniło; urząd rozrósł się i od dawna już obowiązywały jasne zasady raportowania.

Minęły dwa dni i nic się nie działo. Wcale to go nie dziwiło, bo wszyscy w firmie mieli aż nazbyt dużo pracy. Zaskoczył go telefon, który zadzwonił trzeciego dnia przed południem. Odezwała się sekretarka szefa. Tak, sam dyrektor LKA Friedrich D’heil prosił, aby Matula u niego się stawił.

On do szefa? To nie zdarzało się ostatnio często, więc udał się tam natychmiast.

– Dziękuję, że pan przyszedł – odpowiedział sztywno na jego pozdrowienie dyrektor D’heil. Zawsze budził respekt wśród pracowników. Był wysoki, kościsty, o pociągłej twarzy. Rzadkie włosy zaczesywał do tyłu, z wyraźnym przedziałkiem po prawej stronie.

– Oczywiście – odpowiedział Jan Matula.

Zauważył na stole sporządzony przed trzema dniami raport oraz medalik z garażu. Na wszelki wypadek Matula wziął ze sobą notatkę służbową z rozmowy z kolegami, którzy dokonywali oględzin wraku samochodu Gurlitta. Nawet z tego, co pozostało z auta, można było stwierdzić, że przewody hamulcowe, które podczas wypadku zostały uszkodzone mechanicznie, wcześniej musiały zostać poluzowane.

– Co może pan mi na temat tego wypadku powiedzieć? – zapytał dyrektor.

– Uważam, że mamy do czynienia z oczywistymi znamionami przestępstwa. Sprawca, który wcześniej groził denatowi, mógł wkraść się do garażu, poluzować przewody hamulcowe samochodu i wtedy, leżąc pod samochodem, zaczepił o coś i zerwał albo przeciął swój sznurek medalika. Mam też notatkę z rozmowy z technikami, którzy potwierdzają, że przewody hamulcowe były poluzowane. Muszę jeszcze porozmawiać z sekretarką denata. Podobno osobiście rozmawiała z człowiekiem, który mu groził. – Ostatnie zdania powiedział Matula prawie że jednym tchem, widząc niechętnie spojrzenie dyrektora.

– Matula. Doceniam pańskie zaangażowanie i siłę wyobraźni, która powinna cechować policjanta kryminalnego. Ja tego tak nie widzę. Ta sekretarka sama tu zadzwoniła. Rozmawiałem z nią osobiście. Zapomnijcie o niej, opowiada bzdury. Według mnie to zwykły wypadek samochodowy. Mam nieco więcej doświadczenia. Zgadza się? Mamy zresztą bardziej pilne i ważne sprawy.

– *Jawohl, Herr Kriminalrat.* – Matula patrzył ze zdziwieniem na szefa. Nie rozumiał go. Przecież ta sprawa nie ma żadnego związku z polityką, jak gwałt popełniony przez brytyjskich żołnierzy, kiedy także przerwano dochodzenie. Dzisiaj był to już wolny kraj.

– Dobrze, że się rozumiemy, Matula. Ten wisiołek może wziąć pan sobie na pamiątkę. Śledztwo jest zamknięte, więc jako dowód w sprawie nie będzie już potrzebny. Proszę dać mi także tę waszą notatkę z dzisiejszej rozmowy z technikami. Sam wyrzucę ją do kosza. – Powiedziawszy to, podał mu, w kopercie, sznurek z medalikiem. Matula bez słowa, zrezygnowany, schował kopertę do wewnętrznej kieszeni marynarki. A jednak nie powstrzymał się, by jeszcze spróbować.

– *Herr Kriminalrat,* rozumiem, że istnieją jakieś wyższe przyczyny, których ja nie znam. Dlaczego nie będziemy kontynuować dochodzenia? Czy mogę je usłyszeć? Oczywiście poufnie – dodał.

– Oj, Matula – zniecierpliwiony dyrektor przeszedł na protekcyjny styl – słyszałem od mojego poprzednika, że z pana zdolny policjant, ale bardzo uparty. To dobrze. Jednak nie zawsze. Więc, ale tylko między nami – dyrektor D’heil poprawił się w fotelu – wie pan przecież, kim był ten Gurlitt. Nie chodzi o to, że był historykiem i marszandem sztuki. Był Żydem. Parszywym Żydem, który okradał innych Żydów, którym mniej się w życiu poszczęściło. Został zrehabilitowany, ale nie dlatego, że był czysty. Miał znajomości. W najwyższych kręgach partii. Najwyższych! A inni, prawdziwi Niemcy, jak na przykład ja? Niewinny, a musiałem znosić upokarzające przesłuchania. Szkoda na niego naszego czasu, więc lepiej tę sprawę jak najszybciej zamknąć. Nigdy nie wiadomo, czego się dokopujemy, gdy zaczniemy grzebać w tym żydowskim bagnie – powiedział D’heil i pożegnał podwładnego.

Matula zrozumiał, że Friedrich D’heil nie tylko nie lubił Żydów, ale nawet ich nienawidził. Uważał też, że w gruncie rzeczy to oni byli winni całej tej cholernej wojnie, a już na pewno związanym z nią jego powojennym cierpieniom. Matula zawsze czuł odrazę do faszystowskich zbirów, którzy po wojnie zaczęli udawać demokratów. Po to właśnie wstąpił do policji kryminalnej, bo ona nie powinna mieć nic wspólnego z polityką, gdy chodzi o dochodzenie prawdy, sprawiedliwości i karanie winnych. Ale jeśli ten system tak nie działa, to on nie widzi sensu angażowania się w jakiegokolwiek śledztwa.

O tym, jak wielu byłych nazistów piastowało odpowiedzialne stanowiska w życiu publicznym Niemiec, dowiedział się dopiero po latach, na emeryturze, od swojego syna Norberta. Wtedy przestało już być tajemnicą, że Urząd Kryminalny landu, w którym żyło i pracowało osiemnaście milionów ludzi, LKA w Düsseldorfie, nie miał szczęścia do

kierownictwa. Od końca wojny aż do roku sześćdziesiątego dziewiątego przeszłość wszystkich czterech następujących po sobie dyrektorów była poważnie skażona narodowym socjalizmem: Friedrich Karst, Friedrich D'heil, Oskar Wenzky i Günter Grasner. Według obecnie obowiązujących niemieckich standardów żaden z nich nie miałby prawa do zajmowania tego stanowiska. Ale to dotyczyło także BKA (Bundeskriminalamt, czyli Federalny Urząd Śledczy). Można powiedzieć, że od momentu powstania, przez następnych dwadzieścia lat, organ ten, podobnie jak sądownictwo, Urząd Ochrony Konstytucji i służba informacyjna BND, miał na szczeblu kierowniczym prawie wyłącznie byłych członków NSDAP i SS.

Friedrich D'heil podczas wojny był w Łodzi kierownikiem komisariatu kryminalnego. Polscy intelektualiści byli aresztowani przez policję, a prawie dwa tysiące osób zostało internowanych. Około pięciuset z nich zostało zamordowanych w okolicznych lasach. Czy to przypadek, że podczas działalności D'heila trzy główne łódzkie synagogi zostały wysadzone w powietrze i spalone? Winnych nie znaleziono.

Tak zakończyła się kariera Jana Matuli, ojca Norberta. Później pracował już tylko jako związkowiec. W tej pracy widział jeszcze jakiś sens, mógł coś zdziałać.

Bardzo rzadko, kiedy nachodziła go wyjątkowa chandra, wyjmował z biurka kopertę z medalikiem i długo mu się przyglądał. Jasne było, że należał do katolika, bo na przedniej stronie widniała postać Świętego Antoniego z Padwy. Na rewersie widoczny był jakiś herb, który nic mu nie mówił. Korona, a pod nią stylizowane, w gotyckiej formie, splecione razem trzy litery: JAR. Wyglądało to jak herb jakiegoś niemieckiego miasta. Szukał nawet w kilku dostępnych mu encyklopediach, ale nic takiego nie znalazł.

Właśnie w takiej chwili, zatopionego w myślach, zastał go kiedyś syn. Jan był dumny z niego, kiedy Norbert był jeszcze dzieckiem, teraz robił w policji prawdziwą karierę. Jan zawsze mówił, że jego syn zostanie kiedyś dyrektorem tego wielkiego urzędu, w którym on przepracował całe swoje życie.

Wtedy pierwszy raz ojciec z synem rozmawiali jak dwaj policjanci. Jan opowiedział mu tę historię jak koledze, ze wszystkimi detalami. Wyznał mu też, że od tej właśnie sprawy stracił zaufanie do działania policji i całego systemu sprawiedliwości. Według Norberta ojciec był zawsze przykładem uczciwego, praworządnego policjanta. Gdy ojciec poprosił go, by spróbował rozwiązać tę zagadkę, przyrzekł mu, że gdy tylko okoliczności pozwolą, zajmie się tą sprawą od nowa. Jan uwierzył mu, bo wiedział, że upór Norbert odziedziczył po nim.

ROZDZIAŁ 6

Londyn

Hotel Marriott

Park Lane

środa, 24 czerwca 2015 r.

Kiedy znaleźli się w pokoju hotelowym, Norbert nie musiał długo wyjaśniać Hannie, dlaczego tak zależy mu na spotkaniu z poznanym Szwajcarem. Czuł, że jest na dobrym tropie, a ona dobrze wiedziała, co to oznacza, gdy Norbert mówi, że złapał ślad: nie odpuści, będzie ją tak długo urabiał, aż się zgodzi. To jasne, że nie planował inwestowania w sztukę tego kalibru. Jako zastępca dyrektora LKA (Krajowa Policja Kryminalna) zarabiał bardzo dobrze, ale nie na tyle, by móc kupować płótna warte miliony.

– Kochanie, takiej szansy drugi raz od losu nie otrzymam. Facet pragnie przed kimś się wyzalić, wygadać. To nie może być przypadek. Człowiek zainteresowany nabyciem obrazu z kolekcji Gurlitta siada na aukcji obok mnie, a później zaprasza na drinka. Do tego to chyba bankier. Jakby mnie tknęło, gdy go zobaczyłem. Pamiętasz, co mówił ojciec? Gurlittowi podobno przed śmiercią grożono, bo sprzedał obraz jakiemuś bankierowi. Co prawda to Szwajcar... Ale kto wie. Jestem przekonany, że na pewno dowiem się czegoś ciekawego. A jeśli nie, to obiecuję, dam ci słowo, że zamknę tę sprawę raz na zawsze, zapomnę o niej. Proszę... – powiedział po polsku, patrząc na nią tak błagalnie, że nie mogła odmówić.

Omawiając kwestie prywatne, często przechodzili na język polski. Dla nich obojga był to język ojczysty, choć zwykle rozmawiali ze sobą po niemiecku. Norbert znał polski od matki, bo z ojcem rozmawiał zawsze po niemiecku. Hanna urodziła się w Polsce.

– No dobrze już, dzwoń. Nie jestem głodna, więc poczytam coś i pójdę spać. Ale nie wracaj zbyt późno. Obiecałeś, że pójdziesz ze mną jutro na zakupy. – Pocałowała go i poszła do łazienki.

Śmiała się często z jego polskiego uporu. Ale to dzięki niemu został mianowany na stanowisko zastępcy dyrektora Urzędu Kryminalnego najludniejszego landu w Niemczech: Nadrenii Północnej-Westfalii, którą zamieszkuje prawie osiemnaście milionów ludzi. Porównywalne z połową Polski. A zaczynał przecież jak jego ojciec, jako prosty policjant.

Aby przejść do drugiego hotelu, potrzebował tylko kilku minut, zadzwonił więc i za niecałe pół godziny od ich rozstania ukłonił się od drzwi panu Bäuerlemu w hotelowym barze. Obok baru stał młody uśmiechnięty kelner z kunsztowną, wzmocnioną żelem fryzurą. Pomieszczenie było eleganckie, o nowoczesnym wystroju. Na ciemnych ścianach wisiały współczesne obrazy o wyrazistych barwach. Peter Bäuerle był już bez krawata, podobnie zresztą jak Norbert. Siedział nad kieliszkiem koniaku, przy stoliku obok kominka. Podniósł się, gdy tylko zobaczył Norberta.

– Bardzo dziękuję, że znalazł pan czas. Przy całym szacunku dla tego miasta przyznaję, że niezbyt chętnie tu bywam. Brakuje tu ludzi pozbawionych tej młodzieńczej bufonady, z którymi można rozmawiać profesjonalnie. Fakt, zwykle mam do czynienia z ludźmi z mojej branży, to znaczy bankowcami. Nie mylić z bankierami. – Zaśmiał się. – Zwykle to młodzież z City; czyli pracownicy banków, którzy mają na temat swojej pozycji i wiedzy nadzwyczaj dobre zdanie. Ha, ha! Nie, nie są źli w tym, co robią, ale ewidentnie brakuje im doświadczenia. Szacunku dla klienta, wyczucia, no i tradycji naszego fachu. A to jest w naszym zawodzie równie ważne jak sama wiedza. Przepraszam za tę zawodową wycieczkę. – Bäuerle wylewnie przywitał się z gościem, jeszcze raz podając mu rękę i klepiąc go po niej.

Norbert odniósł wrażenie, że koniak, który właśnie dopijał Bäuerle, nie był tego wieczoru jego pierwszym. Dotrzymywał najwyraźniej swojego przyrzeczenia, że utopi w kieliszku swój smutek z powodu przegranej licytacji. Zarazem potwierdził też intuicyjne przypuszczenie Norberta, że jest bankowcem.

– To ja dziękuję za zaproszenie. Nie dam zmarnować sobie takiej okazji. Jutro czeka mnie ciężki dzień, muszę towarzyszyć żonie podczas zakupów. Chętnie odpocznę w pańskim towarzystwie, zanim się zmęczone – powiedział i roześmiał się głośno.

Norbert poprosił o szklaneczkę swojej ulubionej marki Single Malt, bez lodu. Gdy otrzymał whisky i kelner oddalił się, Bäuerle zaproponował, aby przeszli na ty:

– Jesteśmy chyba w podobnym wieku, no i mamy podobne zainteresowania. A tak przecież łatwiej się rozmawia. – Uniósł kieliszek.

– Chętnie. Jestem Norbert. – Matula lekko stuknął w kieliszek Petera Bäuerlego. Szkło zadźwięczało.

– Mów mi Peter! Powiedz, Norbercie, co cię sprowadziło na tę aukcję? Widziałem, że nie brałeś udziału w licytacji.

Norbert zaczął rysować przed Peterem obraz postaci, w którą wcielił się na potrzebę chwili. Historyjkę, którą ułożył sobie w drodze do hotelu.

– Jestem przedsiębiorcą, mam firmę informatyczną, piszemy programy, software, działamy globalnie, z dużym sukcesem. Tak naprawdę to chcę pomалу nieco zwolnić tempo, chcę korzystać z tego, co zarobiłem. Poświęciłem firmie ponad trzydzieści lat życia. Teraz, kiedy wszystko już kręci się prawie że samo, chcę dać szansę młodszym kolegom. Szukam więc dla siebie hobby. Mówią, że warto zająć się tym kilka lat

wcześniej, zanim opuści się na dobre fotel szefa. Powiedzmy, że zaoszczędziłem wystarczająco, aby zainwestować w cenioną sztukę. Chciałem się tu rozejrzeć, jak wygląda ten jej wielki świat. Interesują mnie impresjoniści. Chyba tu dobrze trafiłem, jak myślisz? – Znowu zaśmiał się głośno, dopasowując się do stylu Petera.

– Trudno o lepsze miejsce niż dzisiejsza aukcja. Trochę późno zaczynasz, ale jeśli masz środki, nic nie stoi na przeszkodzie. Widziałeś sam, co się dzieje na rynku. To przerażające. I to właśnie ten obraz, który miałem na oku, musiał przekroczyć i tak już bardzo śmiałe wyceny ekspertów. Ponadtrzykrotnie! A oni przecież już uwzględnili ten cały cyrk, który wokół swojego obrazu urządził ten cholerny Żyd. – Peter zorientował się, że mówi o ton za głośno, na szczęście w pobliżu nikogo nie było, no i rozmawiali w obcym języku. – Przepraszam za bezpośredniość, mam nadzieję, że cię nie uraziłem? – ściszone głosem zapytał Bäuerle.

– Ależ skąd, znam przecież ich upór w sprawie odzyskiwania skarbów, które zwykle należały do ich dalekich krewnych. Śledziłem trochę przypadek Marii Altmann. Tej się udało: wyciągnęła z wiedeńskiego muzeum w pałacu Belvedere pięć bezcennych obrazów Klimta. Zabrała nam z Europy słynną „złotą Adelę”, portret Adele Bloch-Bauer. Toren zastosował dokładnie ten sam trik: oskarżenie złożone w sądzie w Waszyngtonie, a później wielki szum medialny. – Norbert nigdy nie był antysemitą, ale musiał grać według zasad Petera, jeśli chciał go sobie pozyskać, otworzyć go.

– Masz rację, szczególnie irytująca jest ta ich gra na uczuciach. Nikt nie mówi, że nie ucierpieli. Każdy wie, że to, co wtedy działo się w Niemczech czy Austrii, to była jedna wielka *Schweinerei*¹. Ale otrzymali przecież odpowiednio wysokie odszkodowania. A te ich bajki o ukochanej nad życie ciotce czy wspomnienia z domu dalekiego dziadka – to już nawet nie lekka przesada. Że kochają te obrazy, to nawet wierzę, szczególnie gdy poznali ich cenę. No powiedz sam, jak dobrze znałeś brata twojego dziadka? A pamiętasz, co wisiało u niego na ścianie? Bzdura! Ja też mam takich dalekich kuzynów, których widziałem może raz, na ich chrzcie. Nie widziałem ich od dziecka i szczerze powiedziawszy, nie chciałbym, aby oni cokolwiek po mnie odziedziczyli. – Peter był wyraźnie rozgoryczony. Podniósł pusty kieliszek, by pokazać go kelnerowi.

Norbert znał tę historię, wiedział, do czego pije Peter. Cała rodzina przedwojennego właściciela obrazu Davida Friedmanna z Breslau zginęła w obozach. Teraz obraz przekazano wnukowi jego szwagierki, Davidowi Torenowi. Chociaż chodziło o zbiory prywatne Gurlitta, Toren poszedł na całego i oskarżył rząd federalny Niemiec, ale też land Bawarii, przed sądem w Waszyngtonie. Kiedy zainteresowały się nim media z całego świata, stał się, nie tylko w USA, gwiazdą telewizyjną. Chętnie opowiadał wyciskającą łzy z oczu historię ze starego Wrocławia, sprzed prawie osiemdziesięciu lat. Wtedy to jako dziecko zapamiętał ten obraz wiszący na ścianie w domu naprawdę dalekich krewnych – męża siostry jego babci.

– Tak, najlepsze było, gdy opowiadał, jak kochał ten obraz. Jak sam mówił, „na sztuce się nie znam, ale zawsze kochałem konie”. Przede wszystkim to kochał wieszać psy na niemieckiej biurokracji i jej opieszałości. Odrzucał wszelkie propozycje rządu co do zapłaty odszkodowania, który robił wszystko, by tylko zatrzymać obraz w muzeum, by był dostępny dla szerokich mas. Doskonale pamiętam jedno z jego wystąpień: „Od tych ludzi nie chcę żadnych pieniędzy. Chcę odzyskać obraz, bo do mnie należy. Nie chcę, by ktokolwiek inny go posiadał” – powiedział Norbert z udawanym przejęciem.

– A teraz, miesiąc później, zaraz po tym, jak otrzymał obraz, ten, który tak kochał, ten sukinsyn sprzedał go natychmiast komuś, kogo w ogóle nie znał. Anonimowy kupiec musiał tylko dobrze zapłacić, a wtedy już mógł okazać się nawet wnukiem Hitlera! – Bäuerle nie ukrywał wściekłości.

Norbert pokiwał ze zrozumieniem głową.

– Przez wywiady w CNN, a zresztą on znalazł się chyba we wszystkich dziennikach tego świata, ten drań zrobił temu obrazowi reklamę, jakby to była druga *Mona Lisa*. Wiedział, co robi, gdy nie zgodził się na odszkodowania od landu Bawarii. Wiedział, że na wolnym rynku uzyska więcej niż podwójną cenę. Ten obraz nie jest wart więcej niż milion euro! No i po co mu te pieniądze? Jest już ślepy jak kret, nigdy nie zobaczy tego obrazu. A teraz ten anonimowy nabywca zamknie go na zawsze w prywatnym lub bankowym skarbcu i w ogóle nikt go już nie zobaczy. Ale jemu jest to obojętne! Tylko o pieniądze chodzi, nie o jakieś tam zadośćuczynienie dla zmarłych. – Gorycz wylewała się strumieniem z Petera.

– Tak, restytucja nie oznacza przecież *de facto* zwrotu dóbr. To przywrócenie czegoś do dawnego stanu. To znaczy, że znowu jest tak, jak było pierwotnie. Czy stary Friedmann, właściciel obrazu, życzyłby sobie, by jego obrazy przejął wnuk siostry jego żony? To niby rodzina, ale na pewno nie najbliższa, naprawdę kochająca – dodał Norbert, by dolać oliwy do ognia.

– Ten Toren ma pieniądze, więc stać go na najlepszych adwokatów. Wiesz, na kim zarobił tyle pieniędzy? Na niemieckich klientach! Jako adwokat patentowy. Po wojnie prawie pięćdziesiąt lat pracował głównie z niemieckimi klientami. Ich pieniędzy się nie brzydził, ba, znalazł nawet sposób, jak uczynić z tego cnotę, pomstę za cierpienia swoich przodków. Niemieckim klientom wystawiał rachunki o dwadzieścia–dwadzieścia pięć procent wyższe niż innym. Sam nazywał to z dumą *nazi premium*. To nie żart. Wyobraź sobie, że pozwał nawet dziewięćdziesięcioletniego Żyda z Izraela, który kupił przez galerię obraz należący do tego Friedmanna, jego dalekiego dziadka. Tamten stary człowiek, który stracił rodzinę w Auschwitz, kupił obraz legalnie i nie miał pojęcia, że chodzi o zrabowaną sztukę. Ale i tak musiał wydać go temu „naszemu łowcy skarbów”.

– Nie do wiary, że mu się to tak łatwo udaje. – Norbert kręcił głową.

– Ciągnie do sądu każdego, kogo tylko się da. Na szczęście nie wszyscy się dają. Wychował się w Breslau, czyli dzisiejszym Wrocławiu. Tam też szukał śladów „swojej” kolekcji. Najął adwokatów i ci znaleźli, że jeden z obrazów z kolekcji Friedmanna wisi

w muzeum w Bydgoszczy. Ale na swoje zapytanie dostał tylko lakoniczną odpowiedź, że obraz pochodzi z „godnego zaufania źródła”. I to wszystko. Koniec. Polacy nie mieli nawet zamiaru się przed nim tłumaczyć. Oni nie mają kompleksu winy, jak Niemcy. Z tego, co dowiedział się Toren, obraz ten jakiś czas po wojnie wisiał w Mannheimer Kunsthalle. Jeśli tak, to Polacy faktycznie powinni go zwrócić. Ale niech lepiej zostanie w Bydgoszczy, tam, gdzie ludzie chcą go oglądać. Stamtąd właśnie pochodził przecież ten niemiecki impresjonista. Inaczej ten Żyd znowu sprzeda go byle komu i obraz wyląduje pod kluczem w banku – gorączkował się Peter.

– Tak, Polacy to twardy naród. Podczas wojny nie poddawali się Niemcom, to teraz nie ustąpią też i Żydom. Nieważne, czy chodzi o restytucję sztuki, czy nieruchomości. Niemcy chyba już nigdy nie wyjdą z kompleksu winy za swoich dziadków opętanych przez Hitlera. No tak, Polacy nie noszą tego ciężaru. Ale powiedz, Peter, mówiłeś o bankowych sejfach jako miejscu przechowywania obrazów. Ludzie faktycznie trzymają obrazy zamknięte w banku? Przecież to sztuka. Nie trzeba się nią cieszyć, oglądać, pokazywać, rozmawiać o niej? – zapytał, tym razem szczerze zdziwiony, Norbert.

– Oj, Norbert, ty rzeczywiście mało jeszcze wiesz o inwestowaniu w sztukę. Miejsce rzeczy naprawdę cennych jest właśnie tam. W sejfie. To wielkie pieniądze, więc po co ryzykować? W domu możesz powiesić sobie dobrą reprodukcję za kilka tysięcy franków. Prowadzę od lat rodzinny prywatny bank w Zurychu. Nie masz pojęcia... Psst, to byłaby już zdrada tajemnicy bankowej. – Znaczącym gestem Peter położył palec na ustach. Działanie alkoholu było już wyraźnie widoczne.

Obaj panowie zaczęli się śmiać, bardzo głośno. Dalsza rozmowa przybrała już luźny charakter, rozmawiali ogólnie o sztuce. Nikomu nie przeszkadzali, bo oddalone o dwa stoliki towarzystwo też było głośne. Chyba Rosjanie. Tylko barman obserwował ich z daleka. Jedynie po to, aby na skinienie zareagować i zjawić się z następną szklanką whisky czy kieliszkiem koniaku.

Norbert rozumiał, że Bäuerle jest wściekły, że sprzed nosa uciekła mu okazja, i teraz szuka winnego. Niczym nowym nie było dla niego, że Szwajcarzy, szczególnie bankierzy, nie darzą Żydów sympatią. Szczególnie amerykańskich Żydów, którzy rozpętali im w ostatnich latach prawdziwe piekło; w dwa tysiące trzynastym roku szwajcarskie banki zakończyły spłatę odszkodowań ofiarom Holokaustu, które straciły swoje fortuny ulokowane w Szwajcarii. Wypłacili im miliard dwieście pięćdziesiąt milionów dolarów, co dla wielkich banków nie było przecież aż tak wielką sumą.

Kątem oka spojrzął na zegarek. Już po jedenastej. Jeszcze trochę i facet się upije, a on znowu straci wieczór, który mógłby spędzić z Hanną. Musi zmienić temat; albo Bäuerle mu opowie coś przydatnego, albo będzie mógł się wreszcie pożegnać i przestać męczyć z tym mało ciekawym człowiekiem.

– Peter, widzę, że mamy podobne zapatrywania na świat. Podobasz mi się, jesteś człowiekiem światowym, otwartym. Dlatego chcę ci zadać prywatne pytanie. Obracasz się

zawodowo wśród ludzi, którzy posiadają naprawdę duże pieniądze, a także ciekawe zbiory. Przyznam się, że zarobiłem całkiem sporo. Naprawdę sporo. Kierunek, styl malarstwa, mniej mnie interesuje. Chciałbym posiadać coś z wielkim nazwiskiem, no wiesz, Picasso, Rubens, van Gogh. Myślę, że oni nigdy nie tracą na wartości. – Norbert podniósł wzrok i pod pozorem ciekawości laika uważnie studiował twarz Petera. Ten najpierw tylko słuchał, z rezerwą, by w końcu uśmiechnąć się znacząco.

– No zobacz, jak to z przypadkowego spotkania może rozwinąć się ciekawy temat. A może nawet dobry interes? Dla nas obu. – Peter stuknął kieliszkiem w szklanę Norberta. Obaj wypili po łyku.

Norbert kontynuował:

– Już wiesz, że nie jestem ekspertem w tym temacie. Ale wiem, że ludzie, jak ten David Toren, którzy jeszcze, choćby przez mgłę, pamiętają tamte czasy, są wciąż postrachem kolekcjonerów. Problem ten niedługo sam się rozwiąże na drodze, że tak powiem, biologicznej; za dobrych dziesięć lat nie będzie na świecie takich ludzi jak on. Skończy się era zaciętych maniaków, dla których przeszukiwanie świata w pogoni za zbiorami swoich dziadów jest życiowym, choć ostatnim już zadaniem. Dla ich dzieci i wnuków zostanie tylko wspomnieniem, ciekawostką, bez dowodów posiadania. Dlatego myślałem nad tym, czy proveniencja obrazu jest dla mnie aż tak ważna. Mam czas, obraz może parę lat poleżeć sobie w sejfie. – Norbert dalej brnął w swoją opowieść.

Teraz Peter Bäuerle słuchał Norberta zupełnie inaczej, uważnie. Jednocześnie starał się myśleć logicznie i trzeźwo. Był świadom, że za dużo wypił.

Ale to przecież nie może być zasadzka. Spotkałem to małżeństwo przypadkowo – myślał intensywnie. – To ja się do nich przysiadłem, nie odwrotnie. Ja też zaprosiłem go na drinka. Ten gość nie może mieć złych zamiarów. To okazja, na którą tak długo czekałem. Wreszcie mogę pozbyć się obrazu, z którym już mój teść, którego nazwisko nosi mój bank, niezbyt dobrze się czuł. Wtedy do zakupu przekonała go wyłącznie dobra cena. Spróbuję. Zobaczmy, jak się to dalej potoczy – pomyślał i powiedział:

– Oczywiście, najlepiej, jeśli kupisz coś na aukcji. Sprawa jest czysta i pewna. Ale sam widzisz, co tam dzieje się z cenami. Spuchły do niewyobrażalnych rozmiarów. Na świecie pojawiło się zbyt dużo tak zwanego nowego pieniądza, *new money*. Cholerni nowobogacy, czy to z Rosji, Ukrainy, czy z Chin. Ci prostacy, wandalcy, bez pojęcia o sztuce, kupują, nie patrząc na ceny. Znudziła się połączoną porcelaną Versace i swoimi jachtami. Marzy im się wejście w kręgi elity, arystokratycznej czy kupieckiej. Wieki, a przynajmniej pokolenia miną, zanim prawdziwe elity ich zaakceptują. Ale oni już zepsuli cały rynek! Jeśli chcesz kupować za te ceny, polecam aukcje. Natomiast sięgnięcie do zamkniętych zbiorów, bezpośrednio kupno od kolekcjonerów ma finansowo dużo większy sens. Szkoda, że nie ma już wśród nas starego Gurlitta. Mówię starego, by nie mylić z Cornelusem, który nie dorastał mu do pięt. Hildebranda Gurlitta poznałem osobiście, robił interesy z naszym bankiem. Mój teść, u niego uczyłem się fachu, znał go bardzo

dobrze. Opowiadał mi o tamtych złotych dla interesów czasach. – Bäuerle, pewnie pod wpływem alkoholu, odpłynął we wspomnienia.

– Gurlitt współpracował z waszym bankiem? – zapytał Norbert, starając się nie ujawnić zalewających go emocji.

– Oczywiście. A jak myślisz, dlaczego jestem dzisiaj w Londynie? Dla niego właśnie. Doktor Hildebrand Gurlitt był tytanem, skarbnicą wiedzy o modernizmie i impresjonizmie. Tylko dlatego jako Żyd – no, tylko drugiego stopnia – utrzymał się na rynku i zezwolono mu pracować dla najlepszych. Jeśli on coś kupił czy polecił, nie można było wątpić w autentyczność obrazu ani na nim stracić. Dlatego ojciec, przywykłem tak nazywać teścia, tak chętnie z nim pracował. Ten człowiek nie tylko o sztuce wiedział wszystko. On też znał wszystkich; miał niesamowite kontakty i potrafił załatwić wszystko.

– Szkoda, bo to już stare czasy – udając obojętność, rzucił Norbert, jakby kończył rozmowę.

– Ale... wiesz co? Jeśli naprawdę chcesz i jeśli cię oczywiście na to stać, może uda mi się znaleźć coś, co cię zainteresuje. Niech policzę... tak, prawie dokładnie sześćdziesiąt lat temu ojciec kupił pewien obraz, właśnie dzięki pośrednictwu Gurlitta. Ja osobiście nie mam do niego sentymentu. Jeśli myślisz o tym poważnie, dam ci naprawdę dobrą cenę. Obraz leży w banku. Wystarczy tylko przepisać skrytkę na ciebie. – Peter znowu zaśmiał się z własnego dowcipu.

– Rozumiem, że nie ma to nic wspólnego ze zbiorami syna znalezionymi w Monachium – upewniał się Norbert.

– Skąd! zaproponował mu go pewien prawnik, szanowana osoba, właśnie z Düsseldorfu, skąd i ty pochodzisz. Porządna rodzina, ojciec był przed wojną fabrykantem, a on sam, doktor prawa, pracował w ministerstwie. Nazwiska nie pamiętam. – Bäuerle dobrze pamiętał to nazwisko, ale nie chciał go wspominać. Jeśli ten naiwny nowobogacki zapłaci, to może mu powie i przekona, aby nie wyciągał obrazu ze skarbca wcześniej jak za dekadę.

– Słuchaj, ale o jaki obraz właściwie chodzi? To znaczy kto jest autorem? – zapytał Norbert, okazując lekkie zniecierpliwienie.

– Rembrandt van Rijn – bez emocji powiedział Peter, patrząc w oczy swojego rozmówcy. Chciał widzieć jego reakcję.

Zapadła cisza. Przez długą chwilę obaj panowie patrzyli na siebie bez mrugnięcia okiem. Norbert był pod wrażeniem nazwiska. Tego się nie spodziewał. Oczekiwał jakiegoś wielkiego twórcy, ale raczej współczesnego, jak Klimt czy Schiele. Peter Bäuerle napawał się efektem, jaki wywołało nazwisko, które wymienił.

Norbert przerwał milczenie, wychylił szklanekę do dna i pomachał kelnerowi.

– Mmm, to jest nazwisko. Robi wrażenie. Szkoda, że nie mogę go zobaczyć. A autentyczność? Sygnatura i co tam jeszcze jest do tego potrzebne? – Dalej trzymał się roli, choć był naprawdę zaskoczony.

– Sam Gurlitt potwierdził, konsultował się też z kolegą, historykiem sztuki specjalizującym się w sztuce holenderskiego złotego wieku. Nie ma wątpliwości! – stwierdził pewny siebie Peter Bäuerle.

– A skąd pochodzi ten obraz?

– Mówiłeś, że to nie jest dla ciebie istotne. – Bäuerle się zaśmiał. – Bez obaw, jeszcze sprzed wojny.

– Od tego jegomościa z Düsseldorfu? – dopytywał się Norbert.

– Pomątku, na wszystko przyjdzie czas. Dużo ważniejsze jest to, czy posiadasz odpowiednią sumę. On nie będzie tańszy niż ten dzisiaj sprzedany obraz Maxa Liebermanna. – Teraz Bäuerle wydawał się już myśleć całkiem trzeźwo.

Na chwilę zamilkli, pozwalając kelnerowi wymienić kieliszki.

– Peter, o pieniądze się nie martw. Szkoda, że nie mogę go zobaczyć. Tylko po to mam lecieć do Zurychu? Nie możesz przesłać mi zdjęcia, może być mailem? – zaproponował Norbert.

Bäuerle zrobił się ostrożniejszy. Wiedział, że nie może wyjawiać obcemu zbyt wiele. Najpierw musi go sprawdzić. A już na pewno nie wyśle mu dowodu posiadania w postaci maila. Ale coś pokazać mu może. Nawet powinien. Nie ma sensu odstraszać klienta, jeśli jest zainteresowany. Jeśli požądanie nie zagnieździ mu się wystarczająco głęboko w głowie dzisiaj, to jutro, pojutrze może o wszystkim zapomnieć. Nie darmo mówią, że jeden obraz czy zdjęcie mówi więcej niż tysiąc słów. A co dopiero taki obraz!

Bäuerle był prawdziwym szwajcarskim bankierem. Człowiekiem interesu. Francuski filozof Voltaire ponad dwa wieki wcześniej miał już na ten temat żartobliwe powiedzonko: „Jeśli zobaczysz szwajcarskiego bankiera wyskakującego przez okno, skacz za nim! Z pewnością zobaczył tam coś, na czym można zarobić”. Już wtedy Szwajcaria była uważana za kraj banków. A dobry bankier, szczególnie szwajcarski, nie przepuści okazji.

– Maili nie chciałbym wysyłać, ale mam, zdaje mi się, zdjęcie w telefonie. To nie ta jakość, ale mogę ci je chyba pokazać. – Peter wyjął telefon i powoli zaczął przeglądać zdjęcia. Nie miał ich zbyt dużo, nie był fanem fotografowania w życiu prywatnym. – O, oto on.

Położył telefon na stole i odwrócił go w kierunku Norberta. Niestety, zbyt dużo nie można było na małym ekranie zobaczyć. Matula zauważył tylko, że chodzi o portret mężczyzny. Niewątpliwie holenderski styl, ciemna tonacja, gra światła i cieni. Obraz był bez zewnętrznej ozdobnej ramy. Samo płótno, naciągnięte na ramę.

– Czy mogę wziąć do ręki? Powiększyć? – zapytał Szwajcara.

Gdy ten się zgodził, Norbert bez pośpiechu podniósł aparat na wysokość oczu. Oparł wygodnie ręce na łokciach, aby lepiej widzieć. Teraz Bäuerle nie widział już ekranu, ale to mu specjalnie nie przeszkadzało. Chciał, aby Norbert dobrze się przyjrzał. Ten trzymał telefon ostrożnie lewą dłonią, a prawą, dwoma palcami, chciał przybliżyć obraz. Coś poszło nie tak, chyba pociągnął tylko jednym palcem, bo zamiast powiększyć, przesunął

klatkę. Pojawiło się inne zdjęcie. Sądząc z tła, był to ten sam obraz, ale ujęty od tyłu. Zamiast wizerunku mężczyzny widoczna była surowa drewniana rama z naciągniętym na nią płótnem. Na dolnej listwie ramy Norbert zauważył coś, co wzbudziło jego uwagę, bo wydało mu się znajome. Powiększył ten wycinek. Poczul, jak serce zaczęło mu bić szybciej. Patrzył na naklejkę z napisem „Wystawa – Jasło 1937. Ekspонат nr 17”. Potrafił przeczytać i zrozumieć napis, ale to nie było to, co tak go poruszyło. To była duża, czerwona, odcisnięta obok napisu pieczęć, najwyraźniej z herbem miasta. A on ten herb znał doskonale. Szczególnie trzy stylizowane gotyckie litery: JAR. Często wystukiwał je na klawiaturze, szukając ich znaczenia w internecie. Bez skutku. Ale dotychczas ani Norbert, ani jego ojciec nawet nie pomyśleli, że znak ten może mieć coś wspólnego z Polską. Gurlitt przecież nie bywał w Polsce, nie robił tam interesów!

Szybko przesunął obraz na poprzednią klatkę. Położył telefon na stole i odwrócił ekran w kierunku Petera.

– Robi wrażenie, muszę przyznać. – Uśmiechnął się.

Obaj panowie dobrze już czuli działanie alkoholu w głowach. Norbert podziękował za zaproszenie i umówili się, że zdzwonią się następnego dnia, gdy uwolnią się od swoich obowiązków.

Drogę do swojego hotelu Norbert celowo przedłużył, zrobił dodatkową rundę, aby otrzeźwieć. Nie tylko od alkoholu, ale też by poukładać sobie w głowie to, co właśnie usłyszał. Cicho otworzył drzwi do ich suity, szykował się do wejścia na palcach, ale Hanna jeszcze nie spała.

Słuchając męża, Hanna już po pierwszych dwóch, trzech zdaniach przestała zauważać lekki bełkot płaczącego się języka, zaczęła koncentrować się na nieoczekiwanych faktach. Pamiętała przecież, jak teść, Jan Matula, opowiadał im o bardzo cennym obrazie sprzedanym jakiemuś bankierowi. Tak powiedziała mu żona zmarłego, pani Gurlitt. To musi być ten obraz! A Norbert był absolutnie pewien, że pieczęć na rewersie jest identyczna z herbem z medalika znalezionej w garażu! Intuicja znowu Norberta nie zawiodła. Trudno o bardziej konkretny trop. Ale Rembrandt na wystawie w Jaśle? Nie znała tego miasta, wiedziała, gdzie leży i że nie jest wielkie. Trudno jej było uwierzyć, że tam organizowano wystawy takich mistrzów.

¹ Świństwo.

ROZDZIAŁ 7

Londyn

Fontanna The Joy of Life

Hyde Park

25 czerwca 2015 r.

Podczas śniadania Norbert stwierdził, że mimo bólu głowy na pewno nie był to wieczór stracony. Miał doskonały nastrój. Ten anonimowy mały medalik, który od lat leżał w górnej lewej szufladzie jego biurka, nagle ożył. Wreszcie ujawnił mu swoje pochodzenie, konkretne miejsce na ziemi, o którym mu pewnie jeszcze dużo opowie. Cała ta historia nabrała sensu, choć nie zawsze zgadzał się z ojcem, szczególnie od czasu, gdy ten stracił humor i pozytywne spojrzenie na świat. Ale nie wiedzieć czemu przejął po nim tę *idée fixe*, że ta zagadka jest do rozwiązania. Hannę to czasem denerwowało, minęło prawie sześćdziesiąt lat, a oni nadal tkwili w martwym punkcie. Do wczoraj!

Była zaskoczona, że Norbert ochoczo zgodził się jej dzisiaj towarzyszyć na zakupach. Dopiero krótko przed południem wspomniał mimochodem, że po południu, pewnie po drugiej, będzie potrzebował około godziny na ostatnie spotkanie z Peterem Bäuerlem. Przypomniał delikatnie, że ona będzie miała jeszcze cały piątek dla siebie, który on spędzi na sympozjum. Hanna tylko westchnęła.

Po południu Peter Bäuerle też był wolny, po lunchu ze swoimi londyńskimi kolegami. Siedział przy kawie i starał się przypomnieć sobie nazwisko Norberta, którego nie zapisał. Chciał sprawdzić, co Google wie na jego temat, bo o jego kondycji finansowej dowie się łatwo ze źródeł bankowych. Niestety to nazwisko było jakieś nietypowo niemieckie, trudne do zapamiętania. No cóż, zrobi to później. Dzisiaj wylatuje do Zurychu wieczornym lotem, więc jest sens się spotkać, by ustalić działanie.

– Hallo, Norbert, mówi Peter Bäuerle – powiedział, gdy ten odebrał telefon. – Dzwonię, jak się umawialiśmy. Co sądzisz o krótkim spotkaniu? Mam jeszcze czas, dopiero około piątej muszę wyjechać na lotnisko.

– Dziękuję za telefon, Peter. Wygląda na to, że mamy szczęście, bo popołudnie będzie jeszcze ciepłe i słoneczne. Co ty na to, byśmy spotkali się w Hyde Parku? Mieszkamy przecież niedaleko. Prawie naprzeciwko stoi tam fontanna o pięknej nazwie The Joy of Life, radość życia. Są też ławki, a zresztą chętnie się przejdę. Nie wiem, jak ty, ale wciąż jeszcze czuję alkohol we krwi. – Zaśmiał się do słuchawki.

– Dobry pomysł. Pasuje ci wpół do trzeciej? Świetnie. Jestem już spakowany, zamówię tylko taksówkę. Do zobaczenia.

Norbert był na miejscu przed czasem. Chciał w spokoju zastanowić się, jak poprowadzić tę rozmowę. Z daleka już zauważył Petera zbliżającego się od strony Marble Arch. Gdy podszedł, Norbert wstał i z uśmiechem uściśnął mu dłoń. Peter poufałym gestem poklepał go po ramieniu. Usiedli. Pogoda była piękna, nie tylko jak na Londyn. Powietrze było ciepłe, a otaczające ich wysokie drzewa chroniły od palącego słońca.

Przez chwilę milczeli, podziwiając fontannę i okolicę. Nazwa wybrana dla tego miejsca była niezwykle trafna. Odlana z brązu zakochana para, tańcząca pośród bawiącej się wokół niej czwórki dzieci. W strumieniach tryskającej od dołu wody powstawała iluzja, jakby ta gromadka tańczyła na falach. Nie można było nie zauważyć ich radości życia.

– No, miałeś trochę czasu, aby pomyśleć o tym, o czym rozmawialiśmy wczoraj? – przerwał ich zadumę Peter.

– Tak. Dużo myślałem, bo to trudna sprawa. Myślałem też o tym, jak mam ci to wyjaśnić. Widzisz, przyszedłem na tę aukcję bez konkretnego celu. Właściwie myślałem, że zamknę tu raz na zawsze pewną ważną dla mnie historię rodzinną. Mój ojciec zajmował się dawno temu sprawą Gurlitta. A ja obiecałem mu przejąć ją, dokończyć, jeśli nadarzy się ku temu okazja. Wydaje się, że to jest ten właśnie moment. – Mówiąc to, Norbert patrzył wprost przed siebie, w unoszące się i łagodnie opadające strumienie wody.

Peter Bäuerle słuchał, patrząc na niego szeroko otwartymi oczyma. Nic nie rozumiał. Jaka sprawa Gurlitta? O czym on mówi?

– Widzisz, mój ojciec nie zrobił kariery jako śledczy, może dlatego tak zafiksował się na tej nierozwiązanej sprawie z pięćdziesiątego szóstego roku. Tak, był policjantem. Ale w spokoju wysłuchaj tej historii do końca... jeśli nie, zakończymy ją na komisariacie w Zurychu – dokończył zdanie, widząc, że Bäuerle nerwowo poderwał się, jakby chciał sobie pójść.

– Pozwól, że wyjaśnię ci sytuację. Jestem zastępcą dyrektora LKA, policji kryminalnej landu Nadrenia Północna-Westfalia. Mamy doskonałe znajomości w Interpolu. Mam też wielu dobrych kolegów, nawet przyjaciół, w policji w Szwajcarii, nie ma więc sensu, abys teraz panikował. – Mówiąc to, podał mu swoją wizytówkę.

Bäuerle ostrożnie wziął ją do ręki. Nie miał wątpliwości co do jej autentyczności. Poznał nazwisko, które usłyszał wczorajszego wieczora. Ale nie na wiele mu się to teraz zda. Ten człowiek na pewno nie będzie jego klientem.

– Peter, mówię szczerze, nie chcę robić ci problemów. Na razie proszę cię tylko o pomoc i współdziałanie. Potrzebuję więcej danych na temat tego obrazu oraz co miał z tym

wspólnego Gurlitt. Chcę też konkretnych danych dotyczących prawnika, od którego twój teść kupił obraz Rembrandta.

– Przecież wszyscy ci ludzie dawno już nie żyją – z przerażeniem w oczach wysapał Bäuerle.

– Tak, mój ojciec też już dawno nie żyje. Zmarł przekonany, że zawiódł. Czuł, że za śmiercią Hildebranda Gurlitta skrywa się dużo większa tragedia. Niestety nic w tej sprawie nie mógł zrobić. Odziedziczyłem po nim nie tylko tę sprawę, ale też jego upór i intuicję, które rzadko mnie zawodzą. Dokładnie tak też było wczoraj, kiedy przyjąłem twoje zaproszenie na drinka. Peter, proszę, prześlij mi natychmiast na moją komórkę zdjęcie tego obrazu. Przednią i tylną jego stronę. – Widząc, że Szwajcar się wyraźnie waha, dodał: – Nie zmuszaj mnie do sięgania po mocniejsze argumenty. Koledzy w Zurychu mogą poprosić cię o to na komisariacie, a następnie z nakazem przeszukania zjawić się w twoim banku. Chciałbyś czytać o sobie i twoim banku we wszystkich gazetach? Stałbyś się sławny, ale myślę, że twój teść, a pewnie i żona nie przebaczyliby ci, że ich bank został zamieszany w sprawę *Raubkunst*, sztuki zrabowanej przez nazistów.

Bäuerle bez słowa wyjął telefon i drżącymi rękoma przeszukał zdjęcia. Po chwili telefon Norberta wydał dźwięk informujący o nowym MMS-ie. Otworzył, aby sprawdzić. Miał już oba zdjęcia, które wczoraj widział tylko przez moment. Podziękował Peterowi skinieniem głowy.

– Dziękuję. A teraz opowiedz mi, proszę, od kogo twój teść kupił ten obraz. Nie ma sensu kręcić, takich rzeczy nie kupuje się przecież anonimowo – powiedział sucho.

– No dobrze. Właścicielem obrazu był niejaki doktor Walter Gentz. Zmarł w roku sześćdziesiątym siódmym. Wiem, że ma dzieci, jedno nawet jest artystą, ale oni nic nie wiedzieli o tym obrazie – wyjaśnił Bäuerle.

– Czekaj, czekaj! Walter Gentz z Düsseldorfu. Coś mi to mówi. Czy to nie ten gość, który popełnił samobójstwo, zanim zdążyli osądzić go za zbrodnie wojenne popełnione w Polsce? Słyszałem o tym chyba od ojca – powiedział znów podekscytowany Norbert.

– Tak. To długa historia. Ale wiem tylko tyle, co opowiadał mi teść. On też dowiedział się o tym dopiero wtedy, gdy usłyszał o jego śmierci. Okazało się, że Gentz był aktywnym członkiem NSDAP już od trzydziestego drugiego roku. Podczas wojny pełnił funkcję starosty w Galicji, w mieście Jasło. Podobno miał wiele na sumieniu. – Bäuerle zrozumiał, że najlepszą obroną będzie teraz szczerłość i współdziałanie. – Mój teść o tym nic nie wiedział. A później już nie mógł zwrócić obrazu. Wiem, że rozmawiał telefonicznie z jego synem, ale ten też o niczym nie wiedział – dodał.

– Jasło. Ta właśnie nazwa miasta znajduje się na obrazie. Rozumiem, że to miejsce, w którym obraz był oficjalnie wystawiany. Wiesz coś o tym? – zapytał.

– Też odczytaliśmy napis. Niestety, ten ślad prowadzi donikąd. To nie Kraków czy Lwów. To niewielkie miasto. Tam nigdy, także i przed wojną, nie organizowano wystaw na takim poziomie, aby mogło pojawić się dzieło pokroju Rembrandta – stwierdził Szwajcar.

– Peter, cieszę się, że rozumiesz powagę sytuacji. Dziękuję. Opowiedz, proszę, o wszystkim, co wiesz. Jak obraz ten znalazł się w posiadaniu twojej rodziny. Co pamiętasz? O czym ci opowiedział teść? – zapytał Norbert bez nacisku, prawie przyjaźnie.

Norbert naprawdę się ucieszył, że bojaźliwy Bäuerle okazał dobrą wolę. Nie był bowiem pewny, jak szybko i czy w ogóle udałoby mu się uzyskać zgodę i środki na powrót do tej starej sprawy. Na razie tylko jego intuicja i medalik, który nawet nie został oficjalnie zarejestrowany w aktach jako dowód w sprawie wypadku Gurlitta, stanowiły przesłankę do powrotu do tej historii. Medalik ojciec zachował, bo pani Gurlitt była pewna, że nie należał do jej męża.

Peter Bäuerle opowiedział wszystko, co sobie przypomniał z opowieści teścia. Sam był wówczas praktykantem w banku. Wiedział, że Gurlitt zadzwonił kiedyś do jego przyszłego teścia. Powiedział, że słyszał o pojawieniu się na rynku niezwyklej gratki, obrazu Rembrandta. Podkreślił, że nie zna pochodzenia obrazu, więc nie chce się angażować w transakcję, ale może podać namiary na sprzedawcę.

– Jak zrozumiałem, powiedział też, że jest także jakiś inny zainteresowany kupnem. Teść się zdecydował. Spotkanie z doktorem Gentzem odbyło się w Düsseldorfie. Jeśli dobrze pamiętam, był to raczej mało sympatyczny, arogancki człowiek. Zależało mu na szybkiej transakcji, najwyraźniej potrzebował pieniędzy, więc szybko dogadali się co do ceny. Obraz przyjechał do Szwajcarii pocztą dyplomatyczną. Teść miał kontakty. Naprawdę nic więcej o tym nie wiem. A gdy dowiedziałem się, kim był ten Gentz...

– ...rozumiem, że przeszła ci wtedy miłość do wielkiego mistrza z Rijn – przerwał mu niezbyt grzecznie Norbert. – Umówmy się tak, zgłoszę się jeszcze do ciebie. Na razie pójdę dalej polskim tropem, by dowiedzieć się czegoś więcej o tej historii. Ale nie próbuj sprzedać tego obrazu – powiedział, wyciągając rękę na pożegnanie. Peter Bäuerle potrząsnął nią, lecz z dużo mniejszym entuzjazmem niż przy powitaniu niecałą godzinę wcześniej.

ROZDZIAŁ 8

Londyn

Hotel Marriott

26 czerwca 2015 r.

Symposium zorganizowane przez londyński Scotland Yard zakończyło się około drugiej po południu, tak że mieli już czas tylko dla siebie. Norbert zawsze chętnie radził się Hanny w wielu swoich problemach, często też i sprawach służbowych. Jeśli szukał rady, nie ukrywał nawet, że chce pogadać. Była psycholożką, jej analitycznego sposobu myślenia pozazdrościłby niejeden specjalista od logiki. Jeszcze wczoraj zdał jej relację z obu spotkań z Peterem Bäuerlem, dzieląc się swoimi wnioskami i przemyśleniami. Siedzieli w restauracji, byli już po kolacji, po kawie, ale nie mieli zamiaru wracać do pokoju. Teraz to prywatne śledztwo wciągnęło ich oboje.

– Szósty zmysł znowu cię nie zawiodł, ale gdy powiedziałaś, że zamierzasz inwestować w wielką sztukę, nie domyśliłam się, o co chodzi. Naprawdę mnie wystraszyłeś – powiedziała ze śmiechem.

– Wyszło spontanicznie. Ale sama intuicja nie pomogła, mieliśmy po prostu dużo szczęścia. Gdyby ten gaduła nie usiadł obok mnie, nasz przyjazd byłby jedynie wypadem na zakupy, miłym weekendem w Londynie. Dziękuję ci za wyrozumiałość! – odparł, wznosząc kieliszek z ich ulubionym pomarańczowym likierem Cointreau.

– Powiedz, jak czułeś się w roli zblazowanego milionera, który nie wie, co robić z pieniędzmi? – Stuknęła się z nim kieliszkiem.

– Wiesz, że nie miałbym najmniejszej szansy oficjalnie go przesłuchać. A za rok stracę nawet moją wizytówkę, która nie tylko otwiera drzwi, ale też i usta. Udało się! Dzięki jego gadulstwu wreszcie posunąłem się do przodu. Teraz wiemy nie tylko, czego szukamy, ale też i gdzie rozpocząć poszukiwania. Czasu mamy niewiele – realnie ocenił sytuację i lekko sposepniał.

– Mam jakieś dziwne przeczucie, że niedługo wybierzemy się na przedłużony weekend do Polski. – Hanna uśmiechnęła się do niego.

– Tak, już cieszę się na wyjazd do Krakowa, ale myślę, że Jasło jest też godne uwagi. Jeśli urządzano tam wystawy z takimi dziełami, to musi być to zapewne piękne miasto. Nie miałem jeszcze czasu cokolwiek się na jego temat dowiedzieć – powiedział.

– No to za Kraków i Jasło! – Pomysł wyjazdu i jej się spodobał. Mówili znowu po polsku, jak zawsze, kiedy rozmawiali o sprawach prywatnych, szczególnie o Polsce.

Spojrzał na nią z czułością. Minęło już tyle lat, a wciąż ją tak samo kochał. Hanna była o rok od niego starsza, nie mieli dzieci, oboje oddali się pracy, a uczuciami obdarzyli siebie nawzajem. Dobrze pamiętał, jak ją poznał w siedemdziesiątym siódmym roku. Jako młody policjant był służbowo w Kolonii i wykorzystał tę podróż, by pójść do biblioteki uniwersyteckiej, dysponującej znacznie bogatszymi zbiorami niż biblioteka Wyższej Szkoły Administracji Publicznej w Gelsenkirchen, gdzie studiował zaocznie. Był tu pierwszy raz i nie bardzo wiedział, jak znaleźć pozycję, której potrzebował. Wtedy zobaczył Hannę po raz pierwszy. Do dzisiaj pamięta, jak wyglądała; miała na sobie dzinsy, które podkreślały jej figurę, i jakąś czerwoną bluzkę. Ale najlepiej pamiętał jej twarz. Delikatną, piękną, a jednocześnie mądrą, pełną inteligencji. Jej subtelne rysy kontrastowały z krótko obciętymi ciemnymi włosami. Od momentu, kiedy na jego nieśmiałą prośbę bez wahania mu pomogła, interesował się już tylko tym, aby nie stracić jej z oczu, nie książką, której potrzebował do jakiegoś ważnego zaliczenia. Obawiał się, że jeśli ona wyjdzie przed nim, nigdy jej już nie zobaczy. Pamięta, że nie przyszło mu wtedy do głowy nic bardziej oryginalnego, jak tylko: „Przepraszam, czy miałabyś ochotę pójść ze mną na kawę?”.

„Dobry pomysł, nie mam na dzisiaj żadnych planów – zgodziła się z uśmiechem. – Nazywam się Hanna Sowińska”.

Mówiła bardzo dobrze po niemiecku i dopiero gdy wymówiła swoje nazwisko, zrozumiał, co w jej wymowie wydało mu się znajome. Mówiła podobnie jak jego matka, z polskim akcentem.

Od tego dnia zostali parą już na zawsze. Ona przygotowywała się do doktoratu, a on kończył szkołę, by awansować w policyjnej hierarchii. Ślub wzięli trzy lata później. Norbert pełnił różne funkcje w policji kryminalnej, w różnych miastach. Gdy został szefem departamentu Policji Kryminalnej w Düsseldorfie, postanowił pozostać już tutaj na zawsze. Potem awansował na stanowisko zastępcy dyrektora Krajowego Biura Kryminalnego Nadrenii Północnej-Westfalii.

Hanna była z nim przez wszystkie te lata. Pracowała na Uniwersytecie w Kolonii, na wydziale psychologii. Wybrała ten kierunek studiów, aby zrozumieć świat, w którym żyje, zrozumieć, gdzie jest w nim jej miejsce. Czy jest gorsza od innych? Z czasem udało jej się zapomnieć, kim kazano jej być, jakie miejsce wybrali dla niej inni. Uwierzyła w siebie, stała się osobą świadomą swego miejsca w świecie. Wtedy przestała traktować studia jako pomoc w autoterapii i oddała się nauce, która może pomóc innym.

Uniwersytet w Kolonii wybrała przypadkowo, ale gdy poznała jego historię, poczuła z nim więź emocjonalną i dlatego nie chciała go opuszczać. Jego losy przypominały jej historię Polski. Już w średniowieczu Albert Wielki, Albertus Magnus, zajmował się w Kolonii problematyką psychologiczną, ale to było jeszcze na „starym uniwersytecie”,

jednym z najstarszych w Europie. Od roku tysiąc siedemset dziewięćdziesiątego ósmego uniwersytet był zamknięty. Wcześniej zajęły go francuskie wojska na kwatery i pomieszczenia szpitalne. Później przyszedł rozkaz z Paryża, by przewieźć do Luwru zbiory biblioteki uniwersyteckiej oraz znajdujące się w budynkach dzieła sztuki, w tym też dumę Kolonii, monumentalny obraz Rubensa *Ukrzyżowanie Świętego Piotra*. Francuski system nauczania po rewolucji nie przewidywał utrzymywania uniwersytetów. Wszyscy profesorowie i doktorzy, z rektorem włącznie, zostali zwolnieni. Dopiero w roku tysiąc dziewięćset dziewiętnastym powstał „nowy uniwersytet” w Kolonii.

Hanna słyszała oczywiście o wiecu na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego w obronie usuniętych ze studiów Adama Michnika i Henryka Szlajfera. Była za młoda, aby w nim uczestniczyć, ale wiedziała o brutalnej akcji milicji i bojówek tak zwanego aktywu robotniczego. To było ósmego marca tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego ósmego roku, ale antyżydowska nagonka rozpoczęła się rok wcześniej, po wygranej przez Izrael tak zwanej wojny sześciodniowej. Blok sowiecki popierał państwa arabskie, a wielu uczestników studenckich protestów miało żydowskie pochodzenie – wystarczający pretekst do oskarżania ich o tak zwany syjonizm. Atakowano jednak też tych, którzy jedynie solidaryzowali się z żydowskimi przyjaciółmi czy kolegami. Wtedy to, bez zbędnego owijania w bawełnę, przywódcy rządu i partii zaproponowali „zdrajcom” wyjazd za granicę, do Izraela.

Niezdecydowanych przekonała fala represji: zwolnienia z pracy, relegowanie ze studiów, a nawet aresztowania. Oskarżano ich o syjonizm, rewizjonizm, brak lojalności wobec socjalistycznej ojczyzny. Dotyczyło to nawet Polaków, którzy nie byli Żydami, bo nadaktywni oficerowie SB poszukiwali też „ukrytych syjonistów”. Na przykład tych, którzy mieli rodzinę w Izraelu. Czasem wystarczył listowny kontakt z przyjaciółmi stamtąd. A dowodu na swoją „niewinność” musieli dostarczyć sami oskarżeni.

W wyniku tej kampanii Polskę opuściło około trzynastu tysięcy Żydów. Hanna wyjechała latem sześćdziesiątego dziewiątego. Przekonało ją spotkanie oko w oko z obrzydliwą gębą antysemityzmu. Gęba ta należała do ich sąsiada, pana Stanisława Solińskiego. Mieszkał na tym samym piętrze, tuż obok. Znała go od dzieciństwa. Był początek maja, pierwsza ciepła niedziela. Spacerowała sama po parku w Łazienkach. Niedaleko Pałacu na Wodzie rozsiadła się na trawie grupka młodzieży. Poznała trzech swoich kolegów z klasy maturalnej. Podeszła, przywitali się, dwóch z nich serdecznie objęła.

– Patrz, taka ładna dziewczyna, a zadaje się z parchami. Pewnie też Żydówka – głośno powiedział przechodzący obok nich dryblas do swojego kolegi. Zaśmiali się i zatrzymali. Jakby czekali na ich reakcję.

Jej koledzy tylko niepewnie patrzyli po sobie. Nie wiedzieli, co robić. Ona rozejrzała się wokół, szukając wsparcia. Wtedy usłyszała za sobą głos, który wydał jej się znajomy:

– Szkoda, że Hitlera już nie ma, powinien był dokończyć swojego dzieła. – Odwróciła się. Przed sobą, w odległości dwóch metrów, zobaczyła pełną pogardy i drwiny twarz swojego sąsiada. Pan Stanisław też ją rozpoznał. Zmieszał się, opuścił głowę i poszedł dalej.

Wokół słychać było głośny chichot dziewczyn i niechętne pomruki mężczyzn. Widziała w nich więcej niż tylko niechęć. Od tego czasu już zawsze tak właśnie wyobrażała sobie nienawiść, kiedy czytała o losie Żydów w czasie wojny. Rodzice z nią o tym nie rozmawiali. Była zbyt mała, kiedy odeszli. Tego dnia w Łazienkach pierwszy raz w życiu było jej naprawdę wstyd za swój naród, za Polskę. Nigdy inaczej nie myślała o Polsce i Polakach jak o swoim kraju i narodzie. Oczywiście, że słyszała dużo wcześniej o prześladowaniach, ale jeszcze nigdy nie odczuła tego tak osobiście. Za przyczyną ludzi, których znała od dziecka. W takim kraju nie chciała dłużej żyć. Nic jej zresztą tu nie trzymało. Wychowywała ją babcia, bo jej rodzice zginęli w wypadku. Autobus uderzył w drzewo, a oboje siedzieli na samym przodzie, z prawej strony. Zdecydowała się wyjechać razem z koleżanką, która zdradziła jej w tajemnicy, że już latem wyjeżdża do Wiednia. Wtedy i Hanna złożyła wniosek o paszport.

Jak wiele innych, i jej rodzina niedługo po wojnie odeszła od żydowskiej wiary. Zapytana o to w biurze paszportowym nawet nie wspomniała, że posiada świadectwo chrztu. Niektórzy robili to w skrajnej rozpaczy, by zostać zaakceptowanym i udowodnić pochodzenie „wolne od syjonizmu”. Teraz nie było to już ważne. Podjęła decyzję.

Ostatnie tygodnie czuła się w Polsce obco wśród swoich. Ale wiedziała, że tam, dokąd się wybiera, będzie naprawdę zupełnie obca. Nieżydowscy rówieśnicy nie potrafili zrozumieć jej dylematu; niejeden marzył o tym, żeby się wyrwać do Szwecji, Danii czy Niemiec – byle na Zachód.

Jak wielu emigrantów z tamtego okresu opuściła Polskę pociągiem do Wiednia. I dopiero tam zdecydowała, co dalej. Gdy o tym opowiadała, zawsze przypominał jej się stary gorzki żart z tamtych lat: przed Żydem postawiono globus i poproszono, by wskazał miejsce, gdzie chce teraz żyć. Długo się zastanawiał, aż w końcu powiedział: „Poproszę o inny globus”. Cały świat stał przed nią otworem, ona najchętniej wybrałaby znowu Polskę. Nie myślała nigdy o tym, by pojechać do Izraela. Nie miała z tym krajem ani w ogóle z tym tak zwanym klasycznym żydowskim światem nic wspólnego. Znała go tylko z filmów. Zresztą większa część ówczesnych emigrantów nie wybrała Izraela.

Drugie upokorzenie, które dotknęło ją bardzo osobiście, odczuła, gdy pierwszy raz wzięła do ręki swój dokument podróży. On nie mówił, kim ona jest. Stwierdzał jedynie, kim nie jest: „posiadacz niniejszego dokumentu podróży nie jest obywatelem polskim”. Z własnego wyboru stała się bezpaństwowcem. Kim więc była? Wielu jej podobnych, którym odebrano polski paszport, nie chciało później już nigdy mieć do czynienia z Polską.

Ona nigdy nie zapomniała o swoich polskich korzeniach. Wspomnień i uczuć nie pozbyła się wraz z utratą obywatelstwa. Tego nikt nie mógł jej odebrać.

Ale dokąd mogła pojechać? Od babci wiedziała, że mają jakąś dalszą rodzinę w Niemczech, w Düsseldorfie. Ciotka tam została wywieziona na roboty podczas wojny i tam została. Nie była Żydówką. Na wszelki wypadek Hanna wzięła więc ze sobą jej telefon i adres. Okazało się, że ciotka była już wdową i ucieszyła się, że będzie wreszcie miała w domu kogoś bliskiego. Podstawy niemieckiego Hanna знаła ze szkoły, więc szybko opanowała język na tyle, że mogła wznowić studia. Wybrała psychologię. Chciała zrozumieć, dlaczego ludzie są tacy, jacy są. Jednak do dzisiaj nie jest pewna, czy to rozumiała.

ROZDZIAŁ 9

Londyn

Hotel Marriott

piątek, 27 czerwca 2015 r.

Hanna od kilku miesięcy była już na emeryturze, więc chętnie towarzyszyła Norbertowi w jego wyjazdach służbowych. Oczywiście, Londyn bardzo jej się podobał, ale pomysł podróży do Polski ucieszył ją dużo bardziej. Zbyt rzadko tam bywała. Od śmierci babci nie miała już w kraju żadnych krewnych, nawet bliższych znajomych. Internet pojawił się zbyt późno, by mogła utrzymać żywy kontakt z przyjaciółmi z czasów młodości. Zresztą w tamtych czasach kontakt z zagranicą, szczególnie z ludźmi takimi jak ona, delikatnie mówiąc, nie był dobrze widziany przez służby. Po co przysparzać komuś kłopotów? Ona sama też potrzebowała czasu. Nawet nie była pewna, czy otrzyma wizę, a nie chciała przeżyć jeszcze raz tego strasznego uczucia, kiedy ojczyzna powie, że jest niemile widziana. Dlatego pierwszy raz odwiedziła Polskę dopiero w latach dziewięćdziesiątych, gdy zniesiono obowiązek wizowy. Ciekawe, że pierwszy raz łzy wzruszenia pojawiły jej się w oczach, gdy po tylu latach zobaczyła znowu Pałac Kultury. Niedawno słyszała, że ktoś zamierza go zburzyć. Warszawa bez Pałacu Kultury?

Nowa pasja Norberta zaskoczyła ją. Owszem, pamiętała, że gdy teść jeszcze żył, rozmawiał z nimi o tej starej sprawie, ale po jego śmierci nigdy w domu nie było już mowy o medaliku. Pewnie mąż znalazł go w biurku i zrodził mu się w głowie pomysł na nowy osobisty projekt. Nie byłoby to pierwszy raz.

Pamiętała, gdy kiedyś, przed ślubem, rozpoczęła rozmowę o swoich korzeniach i zapytała go o jego nazwisko. Wiedział tylko, że jego matka była Polką, ale rodzina ojca? Było wiadomo, że jego przodkowie byli imigrantami ze Wschodu, ale tak naprawdę niewiele go to obchodziło. A może i nie chciał tego wiedzieć? Chyba tak lepiej mu się żyło. On był stąd, *ein Junge aus dem Pott*, chłopak z Zagłębia Ruhry. Dotychczas mu to wystarczało. Zapytany, dopiero wtedy się tym zainteresował i rozpoczął poszukiwania.

Zaczął od wydruku z *Familienbuch*, w którym urząd stanu cywilnego prowadzi historię całej rodziny; wszystkie dane systematycznie składane były w jednym miejscu: daty urodzin, chrztu, zawartych związków małżeńskich i zgonów. Odwiedził też parafię w Bochum, gdzie przejrzał księgi kościelne, i nie miał już wątpliwości, że jego korzenie tkwią w Polsce. Gdy poczytał więcej, dowiedział się, że pod koniec dziewiętnastego

wieku, do wybuchu pierwszej wojny światowej, „za chlebem” przybyło na te tereny z Polski ponad pół miliona osób, głównie z Poznania i Śląska. Później, podczas drugiej wojny światowej, tylko do Zagłębia Ruhry przywieziono na roboty ponad sto tysięcy osób. Tak znalazła się tu jego matka Katarzyna. Jego ojca, który tu się urodził, poznała po wojnie i dla niego chyba zdecydowała się tu zostać.

Rodzina ojca mieszkała całkiem niedaleko, w Bochum, ale rzadko się z nimi kontaktowali. Dziadek Norberta, Karl, urodził się gdzieś pod Poznaniem. W niemieckich księgach kościelnych figurował jeszcze jako Karol Matula. Przyjechał do Bochum w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym ósmym roku z rodzicami jako młody chłopak. Jak opowiedział mu ojciec, Karol szybko ustatkował się i za zgodą rodziców ożenił ze starszą od siebie Niemką. Od początku pracował w kopalni Hannover, wówczas już przejętą przez Alfreda Kruppa. Karol, Karl, jak się później zwał, był podobno osobą wyjątkowo upartą, może przez to też nieprzeciętnie ambitną i pracowitą. W kopalni zauważono i doceniono jego starania i już w tysiąc dziewięćset trzynastym roku przyznano mu mieszkanie. Był to wzorcowy, na ówczesne czasy wyjątkowo piękny projekt, zielone miasto ogród (*Gartenstadt*), osiedle robotnicze Dahlhauser Heide. Mieli tam połowę „bliźniaka” z przybudówką, gdzie trzymali kury i króliki, a za domem jeszcze kawałek działki, gdzie uprawiali ziemniaki i warzywa. Karol wcześniej owdowiał i został z dwójką dzieci.

W tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim roku przyszedł na świat Jan, ojciec Norberta, dziecko z drugiego małżeństwa Karola. Matka Jana też pochodziła z imigranckiej polskiej rodziny. Znała polski i rozmawiała z Janem po polsku. Karl to tolerował, choć niezbyt mu się podobało pielęgnowanie polskich tradycji w jego niemieckim już domu. Większym jego problemem było to, że Jan w ogóle nie wykazywał zainteresowania pracą górnika. Pewnie dlatego nie rozumieli się z ojcem. W każdym razie zanim się jeszcze skończyła wojna, Jan opuścił Bochum i wyjechał do Duisburga, gdzie zaciągnął się do policji. Czuł się tam dobrze. Ze względu na napływ imigracji w końcu zeszłego wieku nikogo tutaj, w Zagłębiu Ruhry, nie dziwiły takie obco brzmiące nazwiska. A jego imię Jan, wcześniej bardziej popularne w Holandii, stało się w latach dwudziestych i tu na tyle częste, że należało teraz do pięćdziesiątki najpopularniejszych imion chłopięcych w całych Niemczech.

Nie chciał być stójkowym czy dzielnicowym, marzył o pracy policjanta śledczego. Kiedy w październiku czterdziestego szóstego roku, po połączeniu północnej Nadrenii i Westfalii w jeden kraj związkowy, w Düsseldorfie utworzony został centralny Landeskriminalamt (Krajowy Urząd Kryminalny), Jan wiedział, że to jest miejsce, którego szukał. Zgłosił się i otrzymał pracę jako pomocnik śledczego w centralnym urzędzie.

Razem było ich na początku trzydzieści cztery osoby, które rozdzielono na pięć komisariatów. Jan Matula przydzielony został do centrali, prezydium przy Jürgensplatz. Szybko przekonał się o minusach pracy w bezpośredniej bliskości głównego szefa. Był zawsze pod ręką i na oku. Chronicznie brakowało ludzi, więc dyrektor często jego wykorzystywał. Zbyt często, bo podczas gdy inni koledzy, którzy prowadzili już własne śledztwa, byli w terenie, w biurze zostawali tylko on i sekretarka szefa. W ten sposób przypadały mu w udziale mniej ważne, ale zwykle najbardziej pilne zadania, które należało wykonać natychmiast.

Właściwie trudno mu było nawet wytłumaczyć dlaczego, ale nie czuli do siebie sympatii. Szef nie traktował go poważnie, pewnie ze względu na jego brak doświadczenia, a może nawet polskie korzenie. A Jan Matula w roli chłopca na posyłki czuł się niedoceniony. Wiedział, że musi przetrwać ten pierwszy rok czy nawet dwa, a później już będzie lepiej.

– Gdzie jest Matula? – Było jeszcze wcześniej rano, kiedy w biurze, gdzie oprócz niego siedziało jeszcze pięć osób, rozległ się głośny zachrypnięty głos szefa Friedricha Karsta. – Do mnie!

Karst razem ze swoją sekretarką zajmowali mniejszy pokój, obok. Jan przeszedł krótki korytarz, zapukał i nie czekając na zaproszenie, wszedł. Helene Meier siedziała tuż przy drzwiach. Zauważył, że niepewnie się do niego uśmiechnęła, a lekkim wzruszeniem ramion dała do zrozumienia, że nie wie, o co chodzi. Ta sympatyczna drobna blondyna zawsze wyglądała, jakby pilnie potrzebowała urlopu. Miejsce przy oknie zajmował Friedrich Karst, dyrektor urzędu.

– Jestem, *Herr Kriminaloberkommissar!* – zameldował się Jan, sztywno wyprostowany.

– Matula, czy ci, do cholery, rozum odjęło? – rozpoczął Karst jakby tytułem wprowadzenia. – Miałem telefon od prezydenta policji, doktora Middelhaufego. Skarga wyszła od brytyjskich władz, trafiła do samego ministra!

Oprócz gniewu w głosie szefa Jan słyszał nerwowość, jakby źle skrywaną panikę. Karst nie miał doświadczenia, by zajmować tak wysokie stanowisko. Nowa funkcja przerastała go, bo musiał raportować do samego prezydenta policji. Nigdy nie miał do czynienia z „wielką polityką”, a teraz dostał burę z polecenia samego ministra.

Odpowiednio wyszkolone kadry, a właściwie ich brak, były wówczas problemem znanym we wszystkich urzędach. Ze względu na nazistowską przeszłość dużej części wysokich urzędników wiele urzędów, choć niechętnie, musiało się od nich odciąć i stąd wynikały chroniczne niedobory kadrowe. Brali więc tych, którzy byli do dyspozycji. Tak znalazł się tu Friedrich Karst, zresztą też i Jan Matula. Jak się później okazało, przeszłość tego pierwszego także nie była kryształowo czysta.

– Kto pozwolił ci zajmować się sprawą *Fräulein Schifter?* – wrzasnął Karst.

Marynarka wisiała na poręczy krzesła i Jan widział, że koszula szefa była przesiąknięta potem nie tylko pod pachami. W takim stanie zdenerwowania rzadko go widział.

– Ach, to ta historia? Dziewczyna była tu ponad tydzień temu. Co miałem zrobić? Przyszła tu ze swoją matką, nie było w biurze nikogo. Pana także. Obie płakały. Musiałem ich wysłuchać. Czy nie? – usprawiedliwił się Jan.

– Tak, wysłuchać i sporządzić notatkę służbową. Ale w żadnym wypadku nie podejmować jakichkolwiek działań na własną rękę – sapał Karst. – Opowiadaj!

– Dziewczyna poszła wieczorem z koleżanką do jednej z knajpek nad Renem. Nie pamiętam nazwy, gdzieś zapisałem. Chciały się pobawić, potańczyć. Przysiedli się do nich dwaj brytyjscy żołnierze. To był miły wieczór, tańczyli, dużo się śmiali. Pod koniec żołnierze mieli już dobrze w czubie, uparli się, by odprowadzić je do domu. Skończyło się tym, że ta druga, mając dość ich naprzykrzania się, jakoś się ulotniła. A Fräulein Schifter została w parku przez tych dwóch sukinsynów zgwałcona. Pod koniec rzucili jej pod nogi paczkę nylonowych pończoch. „Masz, dziwko, w ramach podziękowania”. Tyle z tego zapamiętała. Gdy pytałem, czy może ich opisać, nie potrafiła; byli w mundurach, na rangach się nie zna. Wszyscy są podobnie ostrzyżeni. Pamiętała jeszcze, że jeden nazywał się Charles, a drugi Thomas.

– Rozpoznałyby ich? – zapytał Kast.

– Twierdzi, że tak. Ale najbardziej awanturowała się jej matka, głośna i nieprzyjemna osoba. Bardzo religijna, katoliczka. Ją mniej interesował gwałt i upokorzenie córki niż to, że pewnie zajdzie w ciążę, że zostanie sama i co ludzie powiedzą! No i kto będzie córce płacić alimenty! Krzyczała, że zaskarży brytyjski rząd. No i takie tam – relacjonował Matula.

– Rozumiem. Ale kto ci pozwolił prowadzić śledztwo na własną rękę? Podobno włączyłeś się dwa wieczory z rzędu po knajpach i pytałeś o tych tam, Charlesa i Thomasa. Na szczęście nie znasz angielskiego, abyś zdołał więcej narozrabiać. Ale i to wystarczyło. Brytyjska policja wojskowa poinformowała o twoim śledztwie, drogą służbową, samego prezydenta policji. Powiedział, że gwałty zdarzają się wyłącznie w sowieckiej strefie, a nie w brytyjskiej. Tak czy inaczej, musimy jak najszybciej ukreślić temu łeb. Inaczej źle to się dla ciebie skończy. I dla mnie – dodał.

– Ale to prawda, wierzę tej dziewczynie. Po co my tu jesteśmy? – Teraz Jan wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczyma.

– Na pewno nie po to, aby zadzierać z władzami okupacyjnymi. Człowieku, szukasz kłopotów? Słuchaj uważnie, jeśli tego jeszcze nie wiesz. Jeszcze podczas trwania konferencji w Poczdamie został ustanowiony Kontrollrat der Alliierten². To najwyższa władza na zachód od Odry i Nysy. Oni decydują o wszystkim! Tylko Rada wydaje teraz ustawy i dyrektywy, obowiązujące we wszystkich strefach. Już w październiku czterdziestego piątego roku wyszła ustawa, że żaden żołnierz sojuszu alianckiego nie może być zaskarżony o płatności alimentacyjne ani też o uznanie ojcostwa. No i nie istnieje żaden niemiecki urząd, który byłby odpowiedzialny za bękarty spłodzone tu przez wroga. Więc to nie nasz problem! Dziewczyny mają siedzieć w domu, a nie szlajać się

z żołnierzami okupanta. – Po wygłoszeniu tej tyrady Karst patrzył na niego już dużo spokojniej. Być może przysłała mu do głowy jakaś wymówka, którą uraczy prezydenta.

– Rozumiem – odparł cicho Jan, jednak po chwili zdobył się na odwagę: – Ale przecież to przestępstwo. Gwałt. Czy młode kobiety nie mają prawa korzystać z życia, zabawy, radości? Miliony Niemek straciły mężów albo mają w domu wraki: depresyjnych mężczyzn, którzy wrócili z wojny. Pokonani, czują się nieudacznikami. Także w łóżku. To nie są prawdziwi mężczyźni! Angielscy czy amerykańscy żołnierze są inni: radośni i atrakcyjni. A dziewczyny wcale nie prowokują żołnierzy! Chcą się tylko bawić. Bywają przecież udane związki. – Jan podjął próbę przekonania szefa.

Wiele widział, jeszcze więcej słyszał o tym, jak traktowano tu podczas wojny obcych, na przykład przymusowe robotnice. Okazuje się, że po wojnie zasady się nie zmieniły, wciąż są ci, którzy stoją ponad prawem. Tyle że tym razem Niemcy są na pozycji przegranej. Jego zdaniem to, co robią tu alianci, nie jest wcale aktem zemsty, jak próbują to niektórzy wyjaśnić. Robią tu teraz, co chcą, tylko z jednego powodu: bo mogą. Nowi nadludzie? Czy poziom moralności zależy zawsze i wszędzie od tego, ile ma się władzy? On, prosty policjant, musi stać przed obywatelami i udawać, że broni ich praw.

– Matula, nie filozofujcie. Ten temat jest już zamknięty. Przekażę kierownictwu, że to wasza pomyłka, że jesteście tu nowi. Cieszcie się, że nie będzie kary. A jeśli jesteście tacy ambitni i chcecie odpowiedzialnego zadania, to zajmijcie się problemem naprawdę poważnym. W ostatnim czasie zanotowano nasilające się kradzieże złomu. Kradną wszystko, co się da. Na skupie płacą za kilogram miedzi czy brązu markę dwadzieścia, markę czterdzieści. A uczciwi ludzie zarabiają niewiele ponad sto marek na miesiąc. To wszystko! – Karst odwrócił głowę, wycierając sobie kark chusteczką.

– *Jawohl, Herr Kriminaloberkommissar!* – Jan był zawiedziony tym, co usłyszał, ale przynajmniej przydzielono mu własne zadanie, jasne i konkretne.

Wreszcie może samodzielnie planować swój dzień pracy, no i wykazać się. Już za kilka miesięcy przedstawił szefowi wyniki. Zorganizowali dużą obławę na terenie całego landu. Podczas wspólnej akcji mundurowych i policji kryminalnej pod sąd postawiono kilkadziesiąt osób, w tym ponad dziesięciu handlarzy drutem i złodem. Od ponad roku skupowali oni materiał, który okazał się własnością niemieckiej poczty.

To był jego pierwszy prawdziwy sukces. Później przyszły następne. Dostał awans, otrzymał też wyższe uposażenie. Zaczął myśleć o założeniu rodziny.

Na jednej z majowych potańcówek w parku miejskim poznał dziewczynę, którą się zainteresował. Był tam z kolegą, chcieli wypić kilka piw, pogadać, przyjrzeć się nowym dziewczynom. Nie myślał nawet o tańcu, bo nie umiał tańczyć.

Wypatrzył ją w grupie dziewcząt stojących nieopodal. Nie miał doświadczenia w podrywaniu, więc tylko jej się przyglądał. Starał się robić to dyskretnie, jednak to zauważyła. Nie dała po sobie nic poznać, ale gdy grający mieli krótką przerwę, powiedziała coś do swojej przyjaciółki, po polsku. On nie tylko to usłyszał, ale też zrozumiał. Chyba pierwszy raz w życiu był wdzięczny matce za to, że uczyła go polskiego. Wiele słów zapomniał, ale to, co pamiętał, wystarczyło, aby zrozumieć, o czym mówiły. Podszedł bliżej, zebrał się na odwagę i zapytał, po niemiecku, czy może ją poprosić do tańca.

Wziął ją pod ramię i powoli szli w kierunku zbudowanego na polanie podestu z desek. Wtedy powiedział po polsku:

– Jeśli ty przyznałaś się, że ci się podobam, to ja przyznam się, że nie umiem tańczyć. – Mówił powoli, z akcentem, ale zrozumiale.

Krystyna w przerażeniu przyłożyła dłoń do ust. W końcu oboje roześmiali się na głos. Nie mieli ochoty na tańce. Byli sobą zaciekawieni, chcieli się poznać. Cały wieczór spędzili na rozmowie, zapomnieli o innych.

Od roku Krystyna i jej matka mieszkały niedaleko stąd, w niewielkim mieszkanku w Düsseldorfie. Pomocy udzieliła im rodzina jej zmarłego tu ojca. Na roboty zostali wywiezieni w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku, z okolic Lwowa. Po zakończeniu wojny matka, już samotna, nie chciała wracać do Polski. „Tam teraz Ruskie, komunistyczna okupacja”, mówiła. I tak stali się dipisami³: wysiedleńcami, ludźmi bez ojczyzny, którzy znaleźli się nie z własnej woli na obcej ziemi. Najpierw wylądowali w dużym obozie w Solingen. Mieszkali w paskudnych warunkach; po dwie, trzy rodziny w jednym pokoju, odgradzali się kocami. Toalety były tylko na zewnątrz. Codziennie dochodziło do awantur, kradzieży, a nawet gwałtów na kobietach.

Teraz jest dużo lepiej, opowiadała Krystyna. Znalazła też pracę. Słabo płatną, ale zarabiała na siebie i uczyła się języka. Jest dużo lepiej niż w osiedlach budowanych dla dipisów, mówiła. W takiej „małej Polsce” tworzą się getta, tyle że zamykane są od wewnątrz. Ludzie izolują się od Niemców. Słyszała o takim osiedlu w Dortmundzie, gdzie wszyscy Polacy znali się jeszcze z obozów. Kiedyś przyjaciółka jej się skarżyła, że dzieciom w szkole nauczyciele zabraniają mówić po polsku, a w domu dostawały lanie, jeśli mówiły po niemiecku.

Pod koniec zabawy odprowadził ją do domu i nigdy jej nie opuścił. Jej matka go zaakceptowała, choć taki trochę dziwny był z niego Polak. Ale za to miał pewną pracę. *Beamter*, urzędnik państwowy, to zawsze pewny kawałek chleba. Pobrali się w następnym roku, a pod koniec pięćdziesiątego pierwszego urodził się ich syn, Norbert Matula.

² Aliancka Rada Kontroli.

³ Od ang. *displaced persons*, *DPs*.

ROZDZIAŁ 10

Kraków

Rynek Główny

wrzesień 2016 r.

Nie udało im się pojechać do Polski w zaplanowanym początkowo terminie. Najpierw na przeszkodzie stanął ważny projekt realizowany w pracy Norberta, a zaraz potem jego krótki pobyt w szpitalu z powodu ataku wyrostka. Ale wreszcie znaleźli się już w Krakowie.

Zgodnie z rekomendacją kolegi Norberta, warszawiaka Stasia Kowala, który zawodowo i prywatnie często bywał w Krakowie, zatrzymali się w eleganckim hotelu przy ulicy Kanoniczej. Ścisłe centrum Starego Miasta, stylowa, brukowana ulica. Rzekomo najstarsza uliczka średniowiecznego Krakowa, u stóp zamku królewskiego. W rzędzie kolorowych renesansowych kamienic ich hotel wyróżniał się ceglastą gotycką fasadą. Jak dowiedzieli się w recepcji, to zamawiająca hotel osoba zadbała, aby otrzymali jeden z najbardziej atrakcyjnych apartamentów. Faktycznie robi wrażenie – siedząc wygodnie w fotelu, patrzy się na strop datowany na rok tysiąc trzysta siedemdziesiąty.

Budząc się następnego ranka, odczuli, że poprzedni dzień był jednak męczący. Najpierw podróż z Warszawy, a później długi wieczór, który skończył się dobrze po północy. Dlatego wstali późno, ledwie zdążyli na śniadanie. Później, już bez pośpiechu, załatwili kilka telefonicznych rozmów i teraz już ponad godzinę siedzieli przy krakowskim Ryнку Głównym. Pogoda była piękna, więc wybrali stolik na zewnątrz. Nie rozmawiali, ale nie nudzili się nawet przez chwilę. Rozglądali się, czasem Hanna coś Norbertowi wyjaśniała. On był w Krakowie pierwszy raz i od pierwszej chwili był tym miastem oczarowany.

Przyjechali wczoraj, późnym popołudniem. Rozpakowali się i mieli jeszcze dużo czasu, by rozejrzeć się po najbliższej okolicy. Doszli do rynku, gdzie zjedli lekką kolację, a później Hanna zaproponowała, aby weszli do jednej z piwnic jazzowych. Pamiętała nawet niektóre nazwy jeszcze z lat sześćdziesiątych. Spędzili tam ponad dwie godziny i oboje byli zauroczeni muzyką i atmosferą tego miejsca.

Ale tym, co zrobiło na Norbercie największe wrażenie, co sprawiło, że wiedział, że wróci tu jeszcze nie raz, była chwila, kiedy wyszli z piwnicy na rynek. Była prawie pierwsza w nocy, a miasto kipiało życiem. Czuło się atmosferę studenckiego miasta. Niby nic dziwnego, studiowało tu nieomal dwieście tysięcy studentów, to znaczy trzykrotnie więcej

niż w Düsseldorfie. Ale nie o liczby mu chodziło, lecz o klimat tego miejsca. Jako oficer kryminalny miał okazję poznać wiele miejsc nocnej rozrywki, poczynając od *der längsten Theke der Welt* („najdłuższego bufetu świata”), dzielniczy z niezliczonymi knajpami i barami w centrum Düsseldorfu, po hamburskie St. Pauli czy londyńskie Soho. Te klimaty były nieporównywalne; tutaj czuł aurę prawdziwie radosnego festynu. Mniej mu się spodobało, gdy uświadomił sobie, że byli najstarszymi uczestnikami tej zabawy.

Za dnia na rynku także wiele się działo. Jego uwagę przyciągały dorożki, które zgodnie z galicyjską tradycją tutaj nadal nazywały się, podobnie jak w Wiedniu, fiakrami. Przypominały dostojne karety ślubne. Powozy były białe, a piękne zadbane konie dobrane w pary według maści. Zwykle białe, nakrapiane w ciemne cętki taranty lub łaciate srokacze. Łby miały przystrojone czerwono-białymi pióropuszcami, uprząż z czerwonymi pomponami. Norbert kochał stary piękny Wiedeń, ale w porównaniu z Krakowem wiedeńskie fiakry wypadały po prostu skromnie.

Zaciekawione spojrzenia, jakimi ukradkiem od wczoraj obrzucała go Hanna, nie uszły jego uwadze. Tak, bardzo mu się tu podobało. Sam zauważył, że od czasu, gdy zajął się tą starą sprawą, która wydawała się mieć korzenie w Polsce, kraj ten coraz bardziej go fascynował. Czy to sympatia podświadomie przejęta od rodziców? W domu rodzinnym właściwie nie mówiło się o kraju przodków. Jedynym wyjaśnieniem było więc to, że Kraków to faktycznie wspaniałe miasto i każdy może stracić dla niego serce.

Na drugą byli umówieni tu na spotkanie z podkomisarzem Bartoszem Jankowskim z Zespołu Obsługi Informacyjnej Wydziału Wywiadu Kryminalnego Komendy Wojewódzkiej w Krakowie. Osobiście polecił im go Stanisław Kowal, kolega Norberta z Komendy Głównej w Warszawie. Zarekomendował go nie tylko dlatego, że to bystry młody człowiek i mówił po niemiecku. Jankowski urodził się i wychował w Jaśle, więc powinien być doskonałym przewodnikiem po tym mieście.

O umówionej porze do ich stolika podszedł uśmiechnięty od ucha do ucha wysoki, około trzydziestoletni mężczyzna. Ubrany był w dżinsy, szarą bluzę z kapturem i brązową kurtkę. Przyjemnym w brzmieniu niskim głosem powiedział:

– *Einen wunderschönen guten Tag, die Herrschaften! Mein Name ist Bartek, Bartek Jankowski*⁴. – Ukłonił się Hannie, uniósł lekko podaną mu rękę i pochylił się nad nią. Następnie przywitał się z Norbertem, który wstał, by uścisnąć mu dłoń, odwzajemniając się również uśmiechem. Norbert zauważył, że młody człowiek jest od niego przynajmniej piętnaście centymetrów wyższy, choć na nogach miał zwykłe sportowe buty. Zastanawiał się, czy ta różnica wzrostu nie bierze się z jego fryzury. W czasach młodości Norbert wiele by dał za takie włosy. Fryzura Bartka, naturalne afro, łudząco przypominała głowę dawnego idola młodzieży Jimiego Hendrixa. Tyle że Bartek był naturalnym ciemnym blondynem.

– Bardzo nam miło, panie Bartku. Gratuluję. Doskonale mówi pan po niemiecku! – szczerze pochwaliła go Hanna, już po polsku. Młody człowiek spodobał jej się.

Przypominał jej trochę młodego Norberta, a jego słownictwo świadczyło, że język niemiecki zna nie tylko z podręcznika.

– Nic dziwnego, wczoraj ćwiczyłem pół nocy przed lustrem. Nie każdego dnia przyjmuję tak ważne delegacje. – Bartosz zaśmiał się. Jego otwartość, szczególnie naturalny uśmiech, rozluźniła atmosferę. Całkiem znaczna różnica wieku między nimi nie tworzyła żadnej bariery. Oboje zawtórowali mu śmiechem.

– To pani mnie zaskoczyła. Powiedziano mi, że przyjadą jacyś ważni Niemcy o polskich korzeniach, więc spodziewałem się jakichś sztywniaków i „dzeń dobrzy”, a tu proszę. Pani mówi perfektnie po polsku – dodał z uśmiechem.

– Dziękuję, dajemy sobie jakoś radę. Mój mąż jeszcze nad tym pracuje. Jak sam mówi, jest jak dobrze ułożony piesek: wszystko rozumie, tylko powiedzieć nie może. Prawda, kochanie? – Wszyscy znowu się zaśmiali.

– Mam propozycję. Może byśmy przeszli na ty? My tylko wyglądamy nieco starzej niż pan, panie Bartku, ale czujemy się – jeśli akurat nic nas nie strzyka – młodziej od pana – wtrącił z uśmiechem Norbert i pierwszy podał Bartkowi ponownie rękę.

– No to super! Tym bardziej jest okazja, by wypić razem kieliszek wina. Zapraszam na obiad, zamówiłem już stolik. Idziemy? – powiedział Bartek i odsunął krzesło, by wstać.

– To my ciebie zapraszamy – zaprotestował Norbert.

– Spoko, nie ma się o co spierać, Norbert. Przyjdzie i na ciebie pora! Ale jeśli komendant przydzielił mi oficjalnie służbową kasę na tę okazję, to grzechem byłoby, aby się zmarnowała. Idziemy. – Bartek wstał, a oni za nim.

Norbert podszedł jeszcze do kelnerki, zapłacił za czekoladę, którą wypili, czekając, i w dobrym nastroju ruszyli we wskazanym przez Bartka kierunku, na przeciwległą stronę rynku. Restauracja, którą wybrał, spodobała im się bardzo. Bartek opowiedział o jej wielowiekowej tradycji i faktycznie, obsługa i jedzenie były doskonałe.

Gdy skończyli zupę, powoli przeszli do sedna, przyczyny ich przyjazdu do Polski. Norbert, po niemiecku, bo tak było mu łatwiej, opowiedział krótko historię sprawy prowadzonej przed sześćdziesięciu laty przez jego ojca. Wyjaśnił, skąd wynikało jego zainteresowanie zbiorami Corneliusa Gurlitta i udziałem w aukcji u Sotheby's w Londynie. Także o tym, jak poznali tam Petera Bäuerlego, szwajcarskiego bankiera, który posiada dzieło Rembrandta, i dlaczego to musi mieć związek z Jasłem. Bartosz słuchał zafascynowany. Jeśli czegoś nie rozumiał, spoglądał na Hannę, która tłumaczyła mu nieznanne słowo czy zwrot. To dopiero byłaby sensacja: właściciel czy właścicielka obrazu Rembrandta spoczywającego od dekad w szwajcarskim skarbcu może pochodzić z jego rodzinnego miasta!

– O, proszę, a oto *corpus delicti*, medalik, o którym mówiłem. Mój ojciec znalazł go w Düsseldorfie, na podłodze w garażu Hildebranda Gurlitta, grubo ponad pół wieku temu. – Norbert wytrząsnął z plastikowego woreczka na swoją dłoń, a następnie rozłożył na białym obrusie, niepozorny srebrny medalik z jedwabną plecioną nicią.

Bartek podniósł go ostrożnie, jakby bał się, że rozsypie się w proch w jego dłoniach. Obejrzał go z obu stron i równie ostrożnie odłożył na miejsce.

– Jasne, moim zdaniem medalik pochodzi z Jasła. Jasielski herb miasta, a po drugiej stronie podobizna Świętego Antoniego. Po spaleniu miasta w czterdziestym czwartym roku w zgłiszczach kościoła Ojców Franciszkanów jego figura zachowała się bez uszkodzeń, co mieszkańcy do dzisiaj uznają za cud. W roku dziewięćdziesiątym siódmym Święty Antoni został oficjalnie ogłoszony przez Kościół patronem Jasła – potwierdził zamyślony Bartek.

– Z tego wynikałoby więc, że wasz podejrzany, ewentualny sprawca śmierci Gurlitta, pochodzi z Jasła – dodał.

– Lub po prostu miał z tym miastem coś wspólnego. Może tylko był tu kiedyś. To może być też ktoś zupełnie obcy, kto kupił na jakimś odpuscie taki medalik – podsunęła Hanna, widząc, że młody oficer sposepniał, jakby rozważał, że być może będzie musiał wskazać swojego krajana jako sprawcę morderstwa dokonanego w Niemczech.

– Nie sądzę, by takie medaliki, szczególnie w tamtych czasach, sprzedawano na odpustach. Po pierwsze, wówczas Święty Antoni nie był jeszcze w Jasle tak ważną postacią, jaką jest dzisiaj. Poza tym dewocjonia niekoniecznie łączy się ze świeckimi wizerunkami jak tutaj, z herbem miasta. No cóż, takie jest w Interpolu nasze zadanie; przestępca jest przestępcą i musimy go schwytać niezależnie od tego, skąd pochodzi i gdzie się ukrył – odpowiedział Bartek. Odchrząknął i znowu się uśmiechnął.

– A teraz gwóźdź programu. Deser. Można mi nie dawać zupy, ale bez deseru nie odejdę od stołu. Proponuję tort bezowy. Za granicą nazywają go tortem Pavlova, na cześć rosyjskiej baleriny. Annę Pavlovą rzekomo uraczono nim w Australii, Nowej Zelandii albo w Wiedniu: zależy, kto tę historię opowiada. Ale ona powinna była przyjechać do Krakowa, zobaczyłaby, jak on tu smakuje! – Gdy goście przytaknęli, Bartosz zamówił trzy porcje. Każda o innym smaku.

Nie przesadził ani trochę. Tort był wyśmienity. Jak dobrzy znajomi, próbowali na przemian z różnych talerzyków różne smaki.

Norbert znowu złapał się na myśli, że tak smacznego deseru jak ten nigdy jeszcze nie jadł. Często próbował wyroby z masy Baiser, z ubitego białka z cukrem. Zawsze były słodkie, ale zwykle konsystencją przypominały kruchy styropian. Ta beza była doskonała: sztywna, krucha skorupka, a wewnątrz słodka delikatna, wilgotna pianka! Marzenie.

Przy kawie wrócili do tematu ich spotkania. Chcieli lepiej poznać Bartka, więc poprosili, aby opowiedział im coś o sobie. To, że pracuje w wydziale policji kryminalnej, już wiedzieli. Skończył prawo, myśli o napisaniu doktoratu. Dlaczego wybrał akurat ten zawód?

Bartek opowiedział im historię swojej rodziny z Jasła. Podczas wojny dziadek działał w partyzantce. Gdy to się wydało, jego rodzina była prześladowana, wielokrotnie przesłuchiwana przez Gestapo. No i przyszedł rok czterdziesty czwarty, wygnanie i utrata całego majątku. Dom, w którym mieszkali, został spalony, a potem wysadzony

w powietrze. Taki los spotkał całe miasto! Opowiadał to dlatego, że gdy wybierał zawód, kierował się też historią rodziny i swojego miasta. Szukał wyjaśnień, sprawiedliwości. Wojska niemieckie zniszczyły to miasto doszczętnie. Nie był to wynik działań wojennych, które miałyby jakikolwiek sens, choćby z militarne punktu widzenia. Zachowane niemieckie dokumenty poświadczają, że akcja zniszczenia była kierowana przez starostę Gentza, ale nie można było na niego, jako fanatyka czy szaleńca, zrzucić całej winy. Były to bowiem działania zaplanowane, zorganizowane, dokumentowane i raportowane do Berlina, władz państwowych III Rzeszy.

– Wybaczcie moje silne zaangażowanie. Chcieliście się o mnie czegoś dowiedzieć, więc jestem szczery. To nie jest zwykły lokalny patriotyzm. Żadne inne miasto w Polsce nie zostało przez Niemców tak zniszczone jak Jasło. Miasto zniknęło praktycznie z powierzchni ziemi! Według oficjalnych danych zostało zniszczone w dziewięćdziesięciu siedmiu procentach. Aby to sobie wyobrazić, najlepiej przywołać w pamięci najbardziej dramatyczne fotografie leżącej w gruzach powojennej Warszawy. Ale Warszawa, lewobrzeżna jej część, była zniszczona „tylko” w osiemdziesięciu pięciu procentach! Tutaj najpierw domy podpalono, a później minowano i wysadzono je w powietrze. Przedtem wszystko, co wartościowe, z zakładów pracy, ale też domów prywatnych, zostało zdemontowane, zrabowane i wywiezione z Jasła. – Widać było, że młody oficer głęboko to przeżywał.

– O Boże, nic o tym nie wiedziałem! Spodziewałem się zobaczyć piękne stare miasto, w którym pocujemy jeszcze ducha lat przedwojennych. Rozumiem, że miasto to zostało zbudowane od nowa? – powiedział poruszony Norbert.

– Udało się odbudować i zachować naprawdę niewiele obiektów świadczących o pięknie i znaczeniu tego miasta w tamtych latach – potwierdził Bartek.

Później, z pamięci, Bartosz wymienił szczegóły danych oficjalnego raportu Wehrmachtu, „Lagebericht” numer dwadzieścia, z siódmego grudnia czterdziestego czwartego roku, gdzie sucho stwierdzono: „od początku akcji ewakuacji do końca listopada wysłano z Jasła 667 wagonów z różnymi maszynami i urządzeniami, materiałami, 186 wagonów z różnym mieniem gospodarczym, 149 wagonów z innymi dobrami i koksem. Czyli łącznie 1002 (jeden tysiąc dwa) wagony”.

– Policzone, że taki pociąg miałby długość ponad dziesięciu kilometrów! Wiem, co się stało, to się nie odstanie! Ale jako policjant chciałbym odnaleźć, a jeśli się uda, także odzyskać mienie zrabowane obywatelom mojego miasta. Norbert, czy możesz mi w tym pomóc? – W głosie Bartka słychać było silne emocje.

– Oczywiście, możesz na mnie liczyć! Zaczniemy od akt z archiwum federalnego, Bundesarchiv, chętnie ci w tym pomogę – zaofiarował się bez wahania.

Polubił tego młodego otwartego człowieka, a poza tym niedługo jako emeryt będzie miał dużo wolnego czasu, więc chętnie wykorzysta go z pożytkiem.

– Super, bardzo się cieszę! Najpierw jednak zajmiemy się waszą sprawą: na jutro zaplanowałem wyjazd do Jasła. Aby nie marnować czasu, proponuję, że odbiorę was z hotelu zaraz po śniadaniu. Na przykład o wpół do dziewiątej. Zgoda? – Gdy oboje kiwnęli głowami, Bartek kontynuował: – Pewnie przyjechaliście tu jakimś wypasionym mercem, którego będę bał się dotknąć, by go nie podrapać. – Puścił oko i zaśmiał się. – Nie jestem jeszcze pewny, ale możliwe, że będziemy musieli pojeździć nawet po lesie. Chcę pokazać wam wszystko, co interesujące. Wezmę więc naszą terenówkę, bo nią na pewno wjedziemy wszędzie.

Podziękowali mu za wyśmienity obiad i pożegnali się jak dobrzy znajomi. Hanna objęła Bartka i dała mu na do widzenia trzy buziaki w oba policzki. Później musiała wyjaśnić Norbertowi, że to nie przejaw szczególnej sympatii, tylko stary polski obyczaj.

⁴ Życzę państwu wspaniałego dnia. Nazywam się Bartek, Bartek Jankowski.

ROZDZIAŁ 11

Jasło

wrzesień 2016 r.

Gdy wyszli z hotelu, duża, szara terenowa toyota czekała przed głównym wyjściem. Na samochodzie widoczne były pojedyncze krople wody. W nocy nie padało, więc samochód pewnie dopiero co wyjechał z myjni. Drzwi pasażerów były otwarte, zapraszały do zajęcia miejsc. Bartek z radosną miną i rozpostartymi w powitaniu ramionami stał obok. Wyglądał podobnie jak wczoraj, tyle że bujne loki spiął dzisiaj gumką w kucyk. Podjechał pod sam hotel, ale już od godziny dziewiątej trzydzieści położona w centrum Starego Miasta ulica Kanonicza stawała się strefą ruchu pieszych. Szybko przywitani się i samochód ruszył.

W drodze zastanawiali się, od czego zacząć poszukiwania. Mieli do rozwiązania dwa zadania: odnalezienie właściciela lub właścicielki medalika z herbem miasta i Świętym Antonim, a drugie – ustalenie pochodzenia obrazu Rembrandta. Co ten ostatni mógł mieć wspólnego z Jasłem, Bartek nie potrafił zgadnąć. Wątpliwe, by tu mieszkał właściciel takiego dzieła, jednak płótno było gdzieś tu właśnie wystawiane publicznie. Ale gdzie? Nigdy nie słyszał o galerii czy innym miejscu godnym takiej ekspozycji. Propozycja Bartka odwiedzenia Muzeum Regionalnego w Jasle wydała się wszystkim najbardziej słuszna. Okazało się, że już się do tego przygotował i wczoraj rozmawiał z dyrektorem tej placówki, który przeprosił, że musiał pilnie jechać do Krakowa. Zapewnił jednak, że pani Czesława Majewska, jego współpracownica, godnie go zastąpi. Zastanawiali się, co mogą tam znaleźć. Ale czasem wystarczy nawet jedno zdjęcie, list, dokument. Nigdy nie wiadomo. Specjaliści od kryminalistyki wiedzą, że od czegoś trzeba zacząć. Szczególnie gdy zaczyna się od zera, jak oni.

Hanna poprosiła Bartka, by opowiedział im o starym Jasle. I znów młody człowiek okazał się prawdziwą kopalnią wiedzy. Opowiadał o starych tradycjach, kulturze, wiedział, ilu adwokatów tu pracowało, ile było sklepów, zakładów rzemieślniczych i ile z nich należało do Żydów. Ale żadne z nich nie wiedziało, jaka informacja jest najważniejsza. Na czym powinni się skupić.

– Wspomniałem, że w Jasle były wyraźne wpływy monarchii austro-węgierskiej, ale także stare żydowskie tradycje. A Żydzi są do dzisiaj w Polsce znani ze swojego humoru. Chcecie, to opowiem stary żydowski kawał z Galicji? – Z łobuzerskim uśmiechem spojrzał na Norberta.

– Jasne, dawaj – odpowiedziała za niego Hanna.

– Pewien osiemdziesięcioletni Żyd, który mówi tylko w jidysz, przychodzi do szkoły językowej. Chce uczyć się hebrajskiego. Sekretarka pyta, po co mu to i czy nie jest już trochę za późno na naukę. „Wręcz przeciwnie, droga pani! Powoli szykuję się do spotkania ze Stwórcą i chciałbym z nim rozmawiać w jego języku”. „Rozumiem”, odpowiedziała sekretarka. „A co będzie, jeśli pójdzie pan do piekła?” „Ech, tak trochę po niemiecku to każdy u nas umie mówić”.

Wszyscy równocześnie parsknęli śmiechem.

– Poczekaj, a znasz ten? – zapytał rozbawiony Norbert. – Dlaczego Niemcy z takim przejęciem przyglądają się w Polsce wypadkom samochodowym?

– Nie – powiedział Bartek.

– Bo jeden z tych samochodów może być jego! – zaniósł się śmiechem Norbert.

Hanna i Bartek mu zawtórowali. Bartek chyba znał już ten kawał, bo najszybciej zamilkł. Ale nie umiał długo milczeć:

– A znacie ten? Dwóch niemieckich szpiegów w Londynie podczas drugiej wojny? Nikt nie jest w stanie ich rozpoznać. Przy barze nie zamawiają sznapsa, tylko jak ludzie światowi martini:

– *Two Martinies, please* – mówi z nieskazitelnym akcentem jeden.

– *Martini Dry?*

– *Warum drei, zwei!*

Byli w doskonałych humorach. Hanna wiedziała, że Niemiec w roli durnia to ulubiony motyw polskich dowcipów. Polak jako złodziej to osobista obraza dla każdego.

Jazda trwała ponad dwie godziny, dojechali przed południem. W muzeum byli umówieni na dwunastą, więc zrobili sobie spacer po rynku. Niestety, nawet oni zauważyli, że rynek stracił swój charakter. To już nie był ten, który widzieli na starych zdjęciach. Bartek opowiadał, że mówiono, ale nie słyszał tego od naocznych świadków, że starosta Gentz podobno strzelał do przechodzących Żydów ze swojego biura w starostwie. Osobiście uważał to za mało prawdopodobne, jednak podobne bestialstwa się tu zdarzały.

W samo południe zaparkowali przed budynkiem muzeum na ulicy Stanisława Kadyiego. Doktor Kadyi, honorowy obywatel Jasła, ofiarował miastu ten dom, w którym znajduje się teraz muzeum. Razem ze swoimi zbiorami. Gdy stali przed budynkiem, rozglądając się, drzwi się otworzyły i stanęła w nich nieco zmieszana szczupła, niewysoka blondynka w eleganckim ciemnoszarym kostiumie.

– Witam państwa serdecznie! Nazywam się Czesława Majewska i będę dzisiaj państwa przewodniczką po muzeum. Pan dyrektor przeprasza, musiał pilnie wyjechać. – Z uśmiechem się ukloniła i zrobiła gościom przejście w drzwiach.

Jak oceniała Hanna, pani Czesława też zbliżała się już do sześćdziesiątki. Bartek podszedł do niej i serdecznie się przywitał. Weszli do przedpokoju.

– Bartka dobrze znam. Od dziecka. Przez jakiś czas uczyłam w szkole podstawowej historii i geografii. Był bardzo dobrym uczniem. – Pani Czesława zwróciła się do Hanny.

– Ja także się ucieszyłem, gdy dowiedziałem się, że panią tu spotkamy. Pani zna historię miasta jak rzadko kto, a my mamy bardzo nietypowe zagadki do rozwiązania. – Bartek zdążył już poprosić swoich gości, aby rozejrzeli się po niewielkim muzeum, a on w tym czasie obiecał wprowadzić we wszystko panią Czesławę i spróbować dowiedzieć się czegoś konkretnego. Jeszcze w samochodzie Norbert przekazał mu medalik.

Gdy Bartek z panią Czesławą usiedli przy niewielkim stoliku, wyglądali znowu jak nauczycielka z uczniem; on pełen młodszej werwy, w oberwanych dżinsach i ze spiętym z tyłu głowy kłębem niesfornych włosów, ona w eleganckim kostiumie, z rękoma złożonymi na kolanach, uważnie wysłuchująca jego wyjaśnień. Gdy Bartek zamilkł, pani Czesława przez chwilę się zastanawiała i zaczęła mówić:

– O obrazie nic nie słyszałam. To chyba niemożliwe... Rembrandt w Jaśle? Ale opowiem ci coś o medaliku ze Świętym Antonim. Bartku, sam wiesz, że u nas w mieście podobnych medalików jest obecnie bardzo dużo, ale wyglądają inaczej niż ten, który mi pokazałeś. Słyszałeś o cudownym ocaleniu figury Świętego Antoniego z kościoła? Długo stała później w odbudowanej kaplicy klasztoru Franciszkanów, no wiesz, przy ulicy Mickiewicza. Dzisiaj znajdziesz ją znowu w kościele Franciszkanów, ale przy ulicy Szopena. Do odbudowy kaplicy bardzo przyczynił się pewien mnich, Jakub Półchłopek. Chodziłam do niego na lekcje religii. Pamiętam, jak kiedyś opowiadał nam o sile wiary i mocy sprawczej Świętego Antoniego. Zapamiętałam to, bo był to niezwykły przykład. Przypominam to sobie teraz jak przez mgłę. Opowiadał też o niemieckim żołnierzu stacjonującym w Jaśle, zakochanym w polskiej dziewczynie. Gdy się rozstawali, on wyjechał na front wschodni do Rosji, ona dała mu właśnie taki srebrny medalik. Święty Antoni miał sprawić, że przeżyje tę wojnę.

– Gdzie mogę spotkać tego zakonnika? – niecierpliwie przerwał jej Bartek.

– Niestety, zmarł dawno temu. Chyba w roku osiemdziesiątym drugim. Ten żołnierz przeżył wojnę, choć dla niego skończyła się ona dopiero w czterdziestym dziewiątym roku. Przynajmniej swą ukochaną wrócić z wojny z Żelaznym Krzyżem zasługi, by mogli legalnie, zgodnie z niemieckim prawem, się pobrać. Nie pamiętam już szczegółów. Wycierpiał później biedak prawie pięć lat w rosyjskiej niewoli. To był prawdziwy cud. A wiesz, skąd ojciec Jakub to wiedział? Bo ten Niemiec wrócił do Jasła i pokazał ojcu ten właśnie medalik. Zdaje się, że było to w pięćdziesiątym czwartym roku. Patrz, od tego czasu ja, a chyba także wszyscy uczniowie, przynajmniej dziewczyny z naszej klasy, noszą na szyi Świętego Antoniego. – Uśmiechnęła się i wyjęła z dekoltu bluzki medalik.

– A co z tą dziewczyną? Jak się nazywała? Żyje jeszcze? – Młody człowiek znowu nie wytrzymał i jej przerwał.

– Niestety, z tego, co wiem, to ani ona, ani nikt z jej rodziny już nie żyje. Nawet nie pamiętam ich nazwiska. To było tak dawno. Ale zaraz, zaraz. Jeśli będziecie mieli

szczęście, może uda wam się porozmawiać z panią Katarzyną Woźniak. Z domu Walęda. Wiem, że choruje. Jeśli się nie mylę, to właśnie jej matka, pani Joanna Walęda, była dobrą przyjaciółką tej dziewczyny... już wiem! Ta dziewczyna, ta, która dała temu Niemcowi ten medalik, miała na imię Zofia.

– Czy wie pani, gdzie mieszka pani Woźniak? – zapytał Bartek, wstając już, by przekazać dobre nowiny swoim gościom.

– Przykro mi, Bartku. Zapytaj w urzędzie miasta. Na pewno będą wiedzieć, bo ona i jej matka kiedyś tam pracowały.

– Jest pani najlepszą nauczycielką historii na świecie, pani Czesławo! – Młody człowiek objął ją i ucałował w oba policzki. Była mile zaskoczona tym wybuchem entuzjazmu Bartka.

Norbert i Hanna zakończyli właśnie zwiedzanie muzeum i z nieukrywaną radością obserwowali tę scenę.

– No i co? Dowiedziałeś się czegoś nowego?

– Bardzo dużo. Szkoda teraz czasu, opowiem wam w drodze. Jedziemy – zdecydował zadowolony Bartek.

Goście podziękowali pani Czesławie za poświęcony im czas, pochwalili wystawę i pożegnali się pospiesznie. Bartek pomachał jej ręką.

Toyota ruszyła w kierunku ratusza. Bartek szybko zdał gościom relację z tego, czego się dowiedział. Gdy dojechali przed urząd miasta, wyjaśnił, że musi zapytać o adres pani Katarzyny Woźniak. Gościom zaproponował, aby pospacerowali po okolicy do czasu, aż wróci.

– Módlcie się do Świętego Antoniego, abyśmy zastali starszą panią w domu. – Puścił do nich oko i zatrzasnął drzwi samochodu.

Po kwadransie był z powrotem. Na ich pytające spojrzenia odpowiedział tylko:

– Czasem legitymacja wydziału kryminalnego ułatwia życie. Znajoma, która tam pracuje, chciała mi podać adres pani Katarzyny, ale jej szef, jakiś mądrała, przyjezdny z Krakowa, zaczął mnie pouczać, że weszło w życie unijne rozporządzenie o ochronie danych osobowych. Tłumaczyłem, że nie mam złych zamiarów, że jestem tutejszy i że tu wszyscy się znają, więc nie ma czego chronić. Nawet tłumaczenie, że rozporządzenie RODO już przyjęto, ale w życie wchodzi dopiero w maju dwa tysiące osiemnastego roku, też go nie przekonało. Ale służbowa legitymacja czyni cuda. Prawie jak medalik ze Świętym Antonim. Jedziemy.

Podjechali pod okazały blok mieszkalny. Była wczesna godzina popołudniowa. Mieszkańcy jeszcze nie wrócili z pracy, więc bez trudu znaleźli miejsce do zaparkowania.

Młody oficer wyjął telefon i jeszcze z samochodu zadzwonił pod numer, który miał zapisany obok adresu. Po trzecim dzwonku odezwał się słaby kobiecy głos:

– Halo, słucham?

– Dzień dobry, pani Katarzyno. Mówi Bartosz Jankowski. Jestem podkomisarzem z Komendy Wojewódzkiej Policji w Krakowie. Pani telefon i adres otrzymałem w urzędzie miejskim od pani Krystyny Janik, która kiedyś pracowała z panią. Serdecznie panią pozdrawia. Mówiła, że pani choruje, ale bardzo chciałbym się z panią spotkać. Muszę porozmawiać o starych czasach. Bardzo starych. Potrzebujemy pani pomocy. – Bartek wymawiał teraz wszystkie słowa wolno i spokojnie, tak jak zwykle mówi się do osób starszych, które nie najlepiej słyszą.

– O, miło mi, że Krysia mnie jeszcze pamięta. Ale co ma do tego policja? O czym to chciał pan ze mną rozmawiać, młody człowieku? O jakich starych czasach? Nie rozumiem.

– Głos w słuchawce stał się jakby cichszy, niepewny.

– Pani Katarzyno, pani, zdaje się, jest ostatnim świadkiem, który może nam powiedzieć coś o starej historii z czasów wojny. Chodzi o romans między jakąś panną Zosią, tutejszą, i Niemcem, który podobno w Jaśle stacjonował. W to wszystko wmieszana jest historia medalika ze Świętym Antonim oraz starego obrazu... – Bartek chciał mówić dalej, ale starsza pani mu przerwała:

– Widzę, że pan już dużo wie o tej historii, młody człowieku. Jednak faktycznie, ja mogę o tym opowiedzieć znacznie więcej. To jedna z moich ulubionych, najbardziej tragicznych historii miłosnych, jakie znam. Dawno jej nikomu nie opowiadałam. Proszę, niech pan wejdzie. Numer dwadzieścia osiem na drugim piętrze. Pani Jadwiga, moja ukochana pomoc domowa, jest u mnie właśnie, to panu otworzy. – Jej głos brzmiał teraz silnie, pełen energii.

– Pani Katarzyno, nie wiem, jak dziękować. Mam jeszcze pytanie, czy zgodzi się pani, że razem ze mną wejdzie jeszcze jedna... starsza para? Przyjechali tu z daleka tylko po to, aby usłyszeć tę historię – poprosił. Z dalszego przebiegu rozmowy wynikało, że pani Katarzyna nie ma absolutnie nic przeciwko temu, jeśli przybędzie słuchaczy. Wręcz przeciwnie.

Norbert z Hanną spojrzeli po sobie z uśmiechem.

– No nie przesadzaj, Bartek. Rozumiem, że musiałeś trochę dramatyzować, ale zaraz „starsza para”? Tylko nie waż się mówić do mnie babciu! – powiedziała Hanna, udając rozgniewaną, i wysiadła z wozu.

– Przepraszam, czasem muszę improwizować. Moi drodzy, mam jeszcze jedną prośbę. Na wszelki wypadek nie mówcie po niemiecku. Jeśli dobrze zrozumiałem, pani Katarzyna ma poważne problemy z sercem, zbliża się do osiemdziesiątki. W telewizji ostatnio straszą Niemcami, więc nie daj Boże, aby pomyślała, że to następny najazd. Jeszcze nam babcia zejdzie, zanim czegoś się dowiemy! – Bartek znowu się zaśmiał, ale oni tym razem nie zawtórowali. Żart był makabryczny, chodziło w końcu o naprawdę starszą panią.

– Rozumiem, ale zachowuj się, Bartek. Tym razem to nie było śmieszne – skarciła go Hanna.

– Sorry – powiedział lekko skruszony i zamknął auto.

Za chwilę stali już na korytarzu drugiego piętra i Bartek nacisnął guzik dzwonka przy drzwiach z numerem dwadzieścia osiem. Drzwi otworzyła dobrze zbudowana, opasana fartuchem dziewczyna, wzrostem niewiele ustępująca Bartkowi. Wyglądała, jakby nie miała jeszcze trzydziestu lat. Z ciekawością przyglądała się przybyszom.

– To pan? Ten policjant? Poproszę jakąś legitymację czy co wy tam nosicie ze sobą – powiedziała szorstko, mierząc go z góry na dół.

Bartek posłusznie wyjął legitymację służbową i odznakę. Pani Jadwiga dokładnie je przejrzała.

– No, niech wejdą. Bo dzisiaj to nigdy nie wiadomo. Różni ludzie się zdarzają. Widziałam w telewizji. Różne takie „tryki” mają, na wnuka albo na policjanta. Pan to by za obu mógł robić – powiedziała bez uśmiechu. Weszła pierwsza, wskazując ręką, by poszli za nią.

Norbert z Hanną nie zrozumieli, o co chodzi z tym wnukiem i policjantem, milcząc, podążali za Bartkiem. Z przedpokoju weszli do dosyć obszernego salonu z kredensem, dużym stołem z czterema krzesłami. Nieopodal stała wygodna kanapa i fotel, na którym spoczywała okryta kocem starsza pani. Obok na stoliku stała szklanka z wodą, filiżanka herbaty oraz kilka opakowań z lekarami.

– Proszę, usiądźcie państwo. Rozgośćcie się. Najlepiej tak, byśmy wszyscy się dobrze widzieli – zaprosiła pani Katarzyna.

– Pani Jadziu – zwróciła się do młodej kobiety – czy mogłaby pani także naszym gościom przygotować herbatę? I proszę podać ciasteczka, te, które wczoraj pani kupiła. Są pyszne! Aha, zaraz pani wychodzi, ale jeśli pani zechce, może pani zostać z nami. Bo proszą mnie, abym opowiedziała historię o Zosi Kaczkowskiej i o Rudim. Pamięta pani, kiedyś już pani opowiadałam, gdy się poznałyśmy. Wzruszająca, prawda? – zwróciła się do pani Jadzi, która teraz uśmiechnęła się i przytaknęła.

Gdy porcelanowy dzbanek z gorącą wodą i ciasteczka stały już na stole, a każdy z gości miał przed sobą filiżankę z woreczkiem z herbatą i łyżeczką oraz talerzyk, pani Jadwiga pożegnała się. Musiała jeszcze dzisiaj odwiedzić inną podopieczną.

– Pani Kasiu, proszę pamiętać, że gdyby co, to tutaj, gdzie zawsze, na tej karteczce, jest numer telefonu pogotowia, a zaraz pod nim mój numer. No to idę. Do widzenia, do jutra. – Kiwnęła głową pani Katarzynie, a następnie gościom i wyszła.

Starsza pani odchrząknęła i zaczęła opowiadać:

– No tak. Ja urodziłam się w czterdziestym drugim roku, więc osobiście nawet nie pamiętam pani Zofii. Wszystko, co wiem, opowiedziała mi moja mama Joanna. Jej panińskie nazwisko Wałęda. Obie były naprawdę serdecznymi przyjaciółkami. Wiedziały o sobie wszystko. To piękna historia, moja mama nieraz mi ją opowiadała. Tęskniła bardzo

za swoją przyjaciółką, której po czterdziestym pierwszym roku, kiedy wyjechała z moim ojcem do jego rodziny pod Warszawę, nigdy już nie widziała. – Zamyśliła się na chwilę, upiła łyk wody.

– Moja mama zmarła pod koniec lat dziewięćdziesiątych. Nawet gdy była już słaba, chętnie wracała do tej historii. Pewnie dlatego, że chodziło o lata jej młodości. Ja tak nie potrafię, ale mama opowiadała to bardzo barwnie. Dokładnie pamiętała nawet to, co Rudi opowiadał Zosi o sobie, a Zosia, w tajemnicy, opowiadała to później jej. Opisywała to z różnych stron. Pięknie, jakby człowiek był przy tym. Sami zobaczycie, aż płakać się chce. Zacznę od Rudolfa, skąd się wziął i jak się tu u nas, w Jaśle, w ogóle znalazł. Ciekawie popatrzeć na ten świat też z perspektywy Rudiego. Musiał być dobrym człowiekiem.

ROZDZIAŁ 12

Brandenburgia/Berlin

lato 1940 r.

Rudolf Simon, młody gimnazjalny nauczyciel historii i wychowania fizycznego, letni urlop roku czterdziestego spędził w krainie jezior w Brandenburgii. Wynajął pokój w cichym pensjonacie, pałacyku myśliwskim, nad niewielkim zagubionym w lesie jeziorem. Otaczająca go cisza, której w Berlinie, skąd pochodził, trudno było zaznać, pozwalała na spokojną lekturę książek. Miejsce było idealne dla człowieka kochającego sport.

Nie był tu jedynym gościem, więc niekiedy umilał sobie czas rozmowami z innymi urlopowiczami, chętnie też spacerami z młodą i atrakcyjną panią Miller, która odpoczywała tu z dwójką małych dzieci. Jej mąż, niezbyt ciekawy starszy pan, z wyraźną łysiną na tylnej części głowy, najwyraźniej ciężko pracował w niedalekim Berlinie, bo dojeżdżał tylko w weekendy. Młoda kobieta ceniła sobie towarzystwo wyjątkowo przystojnego wysportowanego młodego człowieka. To, że Rudi – prosił, aby tak go nazywać – był sportowcem, widać było na pierwszy rzut oka. Gdy kiedyś przyszedł na śniadanie ubrany w jasne spodnie i obcisłą pasiastą koszulkę z krótkimi rękawami, pani Miller prawie oniemiała z wrażenia. Wyglądał jak statua z propagandowych plakatów promujących ćwiczenia sportowe, tężyznę i siłę aryjskiej rasy. Prawdziwie atrakcyjny mężczyzna. Nie tylko silnie zbudowany, ale też o klasycznych rysach twarzy germańskiego herosa. Jasne gęste fale włosów, zaczesane do góry, rozdzielały się na dwie strony. Gdy słuchał z uwagą, pochylał zawsze głowę na bok, a wtedy nieposłuszne kosmyki często opadały mu na oczy. Raz nawet chciała mu je odsunąć, ale w porę opanowała ten odruch. Była doświadczoną kobietą i czuła, że mimo jej urody i wysyłanych przez nią sygnałów Rudi nie miał najwyraźniej ochoty na przelotny romans z mężatką.

Mimo atrakcyjności otaczającej go przyrody i wielu możliwości ciekawego spędzenia wakacji już na początku drugiego tygodnia odpoczynku zaczynał się nudzić. Właśnie zjadł obiad, jak zawsze smakowity, przygotowany przez gospodynię pani Marty, właścicielki posiadłości, i od paru minut leżał na trawie, patrząc bezmyślnie w niebo. Wtedy zauważył samolot. Bojowy myśliwiec. Nie chciał myśleć o wojnie, jednak dopadła go nawet tutaj. Samolot leciał wysoko, ale był dobrze widoczny. Nagle zmienił kurs i regularny dźwięk silnika też uległ zmianie. Samolot zaczął pikować w dół. Młody człowiek poderwał się na nogi i zasłonił oczy przed osłepiającym go słońcem. Przerażony czekał, aż myśliwiec

uderzy o ziemię, prawdopodobnie w oddalonym stąd o kilka kilometrów lesie. Zastanawiał się, co zrobić, jak mógłby pomóc pilotowi. Przygotowany na huk, jaki wywoła upadek, Rudi zamarł i otworzył usta ze zdziwienia. Nie wierzył własnym oczom. Samolot wyrównał lot i jakby prowadzony po zaplanowanej linii paraboli płynnie wzniósł się do góry, otarłszy się wcześniej niemal o wierzchołki drzew. Przynajmniej tak wyglądało to z daleka.

Gdy przy kolacji zapytał panią Martę, czy widziała te akrobacje, ta tylko się uśmiechnęła i machnęła ręką.

– To pewnie nasza pani kapitan, Melitta Schenk, hrabina von Stauffenberg, znowu wyrwała się z bazy na dalszą wycieczkę.

Rudolf patrzył na nią, nie rozumiejąc.

– Niedaleko stąd, na wschodnim brzegu jeziora Müritz, koło Rechlina, mamy centralną bazę wojskową. Jest tam też jakiś instytut naukowo-badawczy. To żadna tajemnica, baza istnieje tu od dawna, a od połowy lat dwudziestych testują tu głównie samoloty wojskowe.

– A co to ma wspólnego z tą hrabiną?

– To dziwna kobieta. Mój syn – zna go pan przecież – pracuje w biurze w tej bazie i różne rzeczy o niej tam opowiadają. Posiada uprawnienia dosłownie na wszystko, co lata, wszystkie klasy samolotów cywilnych i wojskowych, nawet samoloty do akrobacji. Studiowała matematykę, fizykę, mechanikę i nie wiadomo co tam jeszcze, a teraz lata na myśliwcach. Mówią, że przez ostatnie lata wykonała co najmniej tysiąc korkociągów; spada samolotem z nieba, na łeb na szyję, testuje jakieś automatyczne systemy nawigacji, naprowadzania czy jak się to nazywa.

– Ciekawe hobby jak na młodą arystokratkę – powiedziała z przekąsem pani Miller. Rudolf spojrział na nią zdziwiony, nalewając sobie drugą porcję zupy.

– Nie jest urodzoną arystokratką. Kilka lat temu wyszła za mąż za Alexandra Schenka, grafa von Stauffenberg. A taka młoda też już nie jest. Podchodzi pod czterdziestkę. A oprócz tego... – Pani Marta nagle przerwała. Mimo zainteresowania Rudolfa – co wyraźnie nie podobało się patrzącej na niego cielecymi oczami pani Miller – gospodyni nie miała ochoty dalej ciągnąć tego tematu. Nie wiedzieć czemu wyglądała, jakby nie przepadała za odważną arystokratką. Dziwne.

Wieczorem Rudolf długo przewracał się w łóżku z boku na bok. Nie mógł zasnąć.

Oni wszyscy wypełniają swój obowiązek wobec ojczyzny, nawet kobiety. Jak ta von Stauffenberg. Fascynująca kobieta, amazonka. Mężczyźni wykrwawiają się na frontach, a ja się po prostu objam – zastanawiał się.

Skończył już trzydzieści lat. Wiosną tysiąc dziewięćset trzydziestego ósmego, po odbyciu ostatnich ćwiczeń, w stopniu sierżanta został przeniesiony do rezerwy. Od tego czasu dużo się wydarzyło. Po krótkiej batalii jesienią trzydziestego dziewiątego roku Polska została zajęta. Wiosną tego roku rozpoczęła się ofensywa na zachodzie i jak

gradowa burza Wehrmacht zniszczył wolę oporu w Holandii i Belgii. Francja poddała się po sześciu tygodniach batalii.

Gdy wrócił po kilku dniach z urlopu, zgłosił się dobrowolnie do okręgowej komendy powołań. Moment głębszej refleksji pojawił się dopiero wówczas, gdy trzymał już w ręku dokument powołania do służby czynnej. Dziwne uczucie, jakiś żal za wolnością, którą stracił. Ale to była jego własna decyzja. Co popchnęło go do zrobienia tego kroku? Teraz sam już dobrze tego nie wiedział. Na pewno nie była to decyzja gruntownie przemyślana. Nie pierwszy raz w życiu.

Przed laty rzucił gimnazjum. Ot tak. Krótco przed maturą zapisał się do szkoły morskiej, aby zamustrować się na półroczny rejs żaglowcem do Ameryki Południowej. Co kierowało nim teraz? Czy chciał znowu przeżyć coś ekstremalnego? A może ważniejsze było inne uczucie? Po błyskawicznych zwycięstwach pierwszej fazy wojny w Niemczech wszechobecna była euforia i duma ze swoich żołnierzy. Może nie chciał stać z boku, w roli wiwatującego na cześć bohaterskich kolegów, obwieszonych medalami za dzielność, wracających już niedługo do domu po zwycięskiej wojnie. Trudno powiedzieć, co odegrało większą rolę: poczucie obowiązku czy próżność.

Dziewiątego sierpnia czterdziestego roku sierżant Rudolf Simon pojawił się w Czwartej Kompanii MG sześćdziesiątego ósmego regimentu piechoty w Havel. Po miesiącu otrzymali rozkaz wyjazdu do Galicji. Najpierw trzydzieści godzin bez snu w wagonie towarowym, wypełnionym po brzegi żołnierzami. Siedząc na plecaku, przez otwarte przesuwne drzwi wagonu, oglądał z zaciekawieniem kraj wroga. Niecały tydzień później, po kilku przesiadkach i przekwaterowywaniach, wylądował w Jaśle, w Ósmej Kompanii czterysta siedemdziesiątego siódmego regimentu piechoty.

Oddział kwatermistrza znajdował się w budynku szkoły, niedaleko rynku. Tam przydzielono mu kwatere w domu polskiego nauczyciela przy ulicy Piotra Skargi trzystaście.

ROZDZIAŁ 13

Jasło

ul. Piotra Skargi 13

październik–grudzień 1940 r.

Gospodarz zaprowadził Rudolfa do pokoju na poddaszu domu. Czysta, lekko skrzypiąca podłoga, niewielki skromny pokój ze starymi meblami. Prawdopodobnie kiedyś mieszkała tu pomoc domowa. Pan domu, z kamienną twarzą, wytłumaczył mu po niemiecku, w kilku krótkich zdaniach, na co ma zwracać uwagę, odwrócił się na pięcie i bez słowa pożegnania czy uśmiechu opuścił pokój. Jego postawa długo jeszcze pozostała właśnie taka; zdystansowana, pełna ledwo skrywanej nienawiści. Jego żona była skromną i miłą osobą.

Oprócz gospodarzy w tym samym domu na parterze mieszkała jeszcze rodzina jakiegoś prawnika, której losy wydały się bardzo zagmatwane. Kiedy ojciec rodziny, niejaki Adolf Kaczkowski, zmarł, wynajęły tu mieszkanie. Wcześniej podobno mieszkali w eleganckiej willowej części miasta. Matka była dostojną i kulturalną, a przy tym bardzo miłą starszą panią. Opiekowały się nią dwie córki. Obie były bardzo ładne. Jak ocenił Rudolf, starsza z sióstr była chyba w jego wieku, druga kilka lat młodsza. Ich brat padł w boju z Niemcami. Starsza, Zofia, miała jasną delikatną twarz i ciemne, zwykle upięte do góry włosy. Była nie tylko piękną kobietą, ale też jej zachowanie, sposób poruszania się wskazywały na znakomite wychowanie i pochodzenie. Jak się później dowiedział, była już mężatką, ale małżeństwo z adwokatem Stanisławem Horowiczem nie przetrwało. Rozwiedli się.

Młodsza siostra była nauczycielką sportu. Miała nienaganną figurę, chociaż wcale tego nie podkreślała. Na wojnie straciła narzeczonego. Cierpiała i nie myślała o mężczyznach. Zofia i jej matka dobrze mówiły po niemiecku. Według jego oceny rodzina Kaczkowskich wydawała się typowa dla polskiej wyższej klasy średniej, musieli należeć kiedyś do elity tego miasta. Obie córki były absolwentkami Prywatnego Gimnazjum Żeńskiego imienia Błogosławionej Jolanty. Każdego dnia swoją postawą wyrażały patriotyzm i dumę narodową. Nawet nie próbowały ukrywać nienawiści do Niemców. Gdy Rudolf spotykał swoje sąsiadki przypadkowo na ulicy, ledwie zauważalnie odpowiadały na jego ukłon. Starły się go nie zauważać.

Niemieckim żołnierzom oficjalnie zabraniano utrzymywać kontakty z polską ludnością. Żołnierze rozumieli ten zakaz obowiązujący na okupowanych terenach. Podobnie ludność

cywilna stroniła od takich kontaktów. Jako patrioci nie powinni, przynajmniej publicznie, przyjaźnie rozmawiać z wrogiem pod groźbą dyskryminowania przez sąsiadów, a często oskarżenia o kolaborację z wrogiem. Zwykle jednak, za zamkniętymi drzwiami domów, relacje bywały mniej napięte. Rudolf miał najwyraźniej wyjątkowego pecha, bo w domu, w którym mieszkał, przez wiele tygodni obie polskie dziewczyny kompletnie go ignorowały. Był dla nich niedostrzegalny jak powietrze, nie istniał. Ale ponieważ do domu wracał wieczorem, a wychodził rano, dało się to jakoś wytrzymać.

W pierwszy dzień Bożego Narodzenia razem z dwoma kolegami zorganizowali uroczystą kolację. Siedzieli we trzech przy stole nakrytym białym obrusem i delektowali się świąteczną pieczoną gęsią i czerwonym winem. Gęś była polska, a czerwone wino z Francji. Rzadko Rudolf jadł tak smacznie. Wydano im na święta przydział czerwonego francuskiego wina. Nic specjalnego, typowe stołowe wino, akurat dla wojska. Na kompanię jedna beczka, pięćdziesiąt litrów. Wielu kolegów było akurat na urlopie, a innym ten alkohol nie smakował, bo był faktycznie trochę kwaśny, więc na niego przypadło dwanaście butelek.

Niedługo po świętach, pod wieczór, zauważył Marię, młodszą siostrę, krzątającą się na podwórku za domem. Wiele się nie zastanawiając, pod wpływem impulsu, wziął butelkę wina, szedł na dół i przekazał ją jej z uśmiechem. Myślał przy tym bardziej o jej siostrze niż o niej. Maria przyjęła butelkę, skinęła głową i weszła do domu. Dziesięć minut później ktoś zapukał do drzwi pokoju Rudolfa na poddaszu. Otworzył i nie uwierzył oczom. Do pokoju weszła starsza siostra Zofia. Zanim jeszcze stanęła, zdążył ogarnąć wzrokiem całą jej postać. Wyglądała, jakby oderwała się właśnie od jakichś domowych zajęć. Ubrana była w jasną bluzkę, nieco może zbyt obcisłą jak na panującą modę, ale za to podkreślającą jej kobiece kształty. Spięta w talii szerszym pasem spódnica podkreślała wąską talię oraz linię bioder. Jej twarz wydała mu się dzisiaj wyjątkowo piękna: ciemne i jakby krócej przycięte włosy kontrastowały z mleczną delikatną cerą. Włosy zgarnęła pewnie naprędce, bo były w lekkim nieładzie, co mu się bardzo podobało.

– Herr Simon. Bardzo dziękuję za ten miły gest! Moja mama jest przetrzymywana przez SS, od kilku dni jest w areszcie. Nadal chodzi o oskarżenie, że niby pomagała w ucieczce mojemu ojcu i innym. Ale to nieprawda. Nie czuje się dobrze, choruje, więc to wino na pewno dobrze jej zrobi – mówiła miłym ciepłym głosem.

Jej duże niebieskie oczy patrzyły prosto na niego. Gdy mówiła, jego wzrok biegał między jej ślicznymi oczami a pełnymi, lekko podkreślonymi na czerwono ustami. Wyglądała precudnie. Szczególnie że stała przed nim w postawie, której nigdy dotąd u niej nie widział: skromna, niepewna siebie, z rumieńcami wskazującymi na lekkie zakłopotanie. Rozumiał ją, była sama w pokoju zupełnie obcego mężczyzny. Dla kobiety wychowanej w duchu katolickim to wielkie wyzwanie, nie mówiąc o tym, kim on był dla niej. Wyglądała uroczo.

Rudolf nie wyprowadzał jej z błędu co do swoich intencji, że wino właściwie było przeznaczone dla niej.

– Bardzo mi przykro. Cieszę się, że choć tyle mogę pomóc, ulżyć nieco w tej trudnej sytuacji – powiedział, jednocześnie gorączkowo zastanawiając się, co może jeszcze dodać, aby zaraz nie wyszła. Na szczęście ona mu w tym pomogła.

– Aha, przy okazji jeszcze coś, Herr Simon. Kiedyś, przed wojną, chętnie uczyłam się języka niemieckiego, bardzo to lubiłam. Ze zrozumiałych względów nie jest on językiem, który z przyjemnością słyszę teraz na co dzień na ulicach mojego miasta. Ale chciałabym się w nim podszkolić. Czy mógłby pan dawać mi lekcje? Oczywiście będę za nie płacić – powiedziała lekko zakłopotana.

– Ależ z wielką przyjemnością, pani Kaczkowski. O płatność proszę się nie martwić. Oprócz przyjemności przebywania z panią będę mógł podciągnąć moją znajomość polskiego słownictwa. Jeśli panią znudzi niemiecki, możemy też przejść na francuski, który pani, jak słyszałem, zna, a ja wykladam go, przepraszam, wykładałem w gimnazjum w Berlinie. Tylko bardzo proszę o wyrozumiałość. Nie możemy zacząć natychmiast, bo wybieram się na zaplanowany urlop do Berlina – odpowiedział szczęśliwy z takiego obrotu spraw.

– Oczywiście – odparła z uśmiechem, odwróciła się, zamknęła za sobą drzwi i słyszał tylko jej szybkie kroki na schodach.

Gdy wyszła, Rudolf najchętniej wskoczyłby jak nastolatek w butach na łóżko albo wydał z siebie jakiś dziki okrzyk. Nie wypadło, cały dom by to pewnie usłyszał. Wreszcie! Zacisnął z radości pięści i podrzucił je do góry, jak zawsze, gdy osiągnął nowy sportowy rekord. Po trzech miesiącach udało mu się wreszcie porozmawiać z kobietą, która mu się tak spodobała. Pierwszy raz jakby nie zauważyła, że on wciąż ma na sobie mundur wroga. Wreszcie pierwsze lody zostały przełamane. Miał rację, to były pierwsze lody.

ROZDZIAŁ 14

Jasło

ul. Piotra Skargi 13

styczeń–marzec 1941 r.

Po urlopie, pod koniec stycznia, Rudolf w zupełnie innym nastroju wracał do Galicji. Nie był to jego pierwszy powrót z urlopu. Wcześniej był pełen uprzedzeń do miejsca stacjonowania swego oddziału. Ostrzegano go, że to jeden z najmniej ciekawych i przy tym zaniedbany zakątek Polski. Teraz, sam przed sobą, zaczął bronić Jasła. Zgoda, w Niemczech były ładniejsze miejsca. Ale bywały też i brzydsze, bardziej zaniedbane. Jasło było inne niż miasta i miasteczka, które znał z Niemiec, ale miało swój urok. Tak, ludzie tutaj byli inni od Niemców, których znał. Lecz ich nastawienie było zrozumiałe i logiczne. Jego naturalna początkowa niechęć do obcego mu kraju zniknęła. Był szczęśliwy, że mógł wrócić do domu na urlop, jednak nie mniej cieszył się z powrotu do Jasła.

Mówi się, że kobiety posiadają dodatkowy zmysł, który im podpowiada, jeśli ukochany mężczyzna od nich odchodzi. Szczególnie dotyczy to matek. Jego matka czuła, że Rudi tym razem, inaczej niż wcześniej, beztrąsko i z pewnym zniecierpliwieniem, żegnał się z nią. Nie mogła tego zrozumieć. Ciągnęło go na wojnę? Do tej dalekiej Galicji? Nie, tylko do domu przy ulicy Piotra Skargi trzynaście.

Kilka dni po powrocie, gdy wychodził z wojskowej stajni, spotkał młodą panią Kaczkowską. Zofia przechodziła tam pewnie przypadkiem. Stajnie znajdowały się nie dalej jak dwieście metrów od ich domu. Zapytała go wtedy o uzgodnione lekcje. Jej twarz miała obojętny wyraz. A nawet lekceważący. Domyślił się, że jest to przedstawienie dla ewentualnych świadków ich spotkania na ulicy, ale czuł się bardzo nieswojo. Umówili się na lekcję. Jeszcze tego samego wieczoru.

Zakładając, że przyjdzie jak poprzednio do jego pokoju, czekał. Długo i na próżno. Zdecydował się więc zejść na dół, do jej pokoju, uzbrojony w notatnik i dwa słowniki. Czekala na niego, siedząc przy stole. W pokoju nie było nikogo więcej. Od tej pierwszej lekcji jego wizyty stały się regularne. Kiedyś, gdy zatrzymany przez służbowe obowiązki spóźnił się, zapytała z wyrzutem:

– Panie Simon, jak widzę, ma pan ważniejsze sprawy niż lekcje ze mną?

– Przepraszam bardzo, pani Sofia, ale ja mam tu jeszcze służbę. Czasami – chcę czy nie chcę – muszę pozostać dłużej – odparł z zakłopotaniem i uśmiechem, który ją udobruchał.

Jeszcze zimą zamontowano Rudolfowi piec gazowy, zasilany z pobliskiej gazowni. Niepotrzebne stały się drewno i węgiel, oddał więc swój przydział rodzinie Kaczkowskich. Pewnie w związku z tym, chociaż naprawdę się wzbraniał, w lutym rodzina zaprosiła go na uroczystość rodzinną: urodziny starszej pani, która zdążyła już wyjść z aresztu i czuła się znacznie lepiej. W środku wojny on, niemiecki żołnierz, siedział wśród Polaków. Wiedział, że te kobiety wciąż nienawidziły go jako przedstawiciela okupanta. Zdążył już poznać tę, wszechobecną tu, niewyobrażalną, straszliwą nienawiść do wszystkiego, co niemieckie. Wszyscy czuli się nieswojo, ale nawet całkiem zgrabnie poradzili sobie z tą krępującą sytuacją. Zauważył też pewną zmianę w ich zachowaniu. Powściągliwą sympatię.

Kilka dni później uchwycił spojrzenie Zofii. Było takie, jakim kobieta rzadko obdarza obcego mężczyznę. Innym razem przyjemnie zaskoczyła go, gdy poprawiając wymowę jakiegoś polskiego słowa, powiedziała:

– Wie pan, jak śmiesznie, ale tak słodko, wymawia pan „goronca woda”? Złapałam się kiedyś na tym, że bezmyślnie pisałam na kartce, dwadzieścia pięć razy, jedno pod drugim, „goronca woda”, „goronca woda”... – Mówiła to, patrząc mu prosto w oczy. Gdy Rudi wyciągnął rękę w kierunku jej dłoni, natychmiast zeszywniała i przybrała oficjalny ton.

Prawie codziennie dawała mu dowody zaufania i sympatii. Wybuchy niechęci czy nienawiści powoli ustępowały. Płomień wybuchał jednak zawsze, z pełną siłą na nowo, gdy rozmowa dotyczyła stosunków niemiecko-polskich lub gdy niespodziewanie rozpoznawała w nim, z jakiegoś wyrażenia czy gestu, Prusaka. Niemca. Gdy kiedyś uświadomiła sobie, że jej ręka spoczywa na rękawie jego munduru, stanęła jak porażona prądem, sztywno wyprostowana. Innym razem, gdy znowu dała upust złości na okupację niemiecką, ostrzegł ją, że jeśli Niemcy odejdą, to wejdą Rosjanie. Wszyscy wiedzieli, że Rosjanie są gorsi. Rosjanie i Niemcy są jednak w Polsce na równi znienawidzeni. Pomyślała chwilkę i zadziornie odpowiedziała:

– Mam to gdzieś, najpierw wyprowadź pan stąd swoich Niemców!

Zaobserwował, że Polacy posiadają niezwykłą, wręcz fanatyczną dumę narodową. A właściwie był to czysty szowinizm. Sofia opowiadała mu o krwawych walkach etnicznych między Polakami i Ukraińcami na terenie Lwowa. Mieszkało tam wielu Ukraińców. O jednej ze swoich koleżanek mówiła: „Tak, to moja przyjaciółka, ale niestety jest Ukrainką”.

Z dużym przejęciem, starając się perfekcyjnie dobierać słowa, tłumaczyła mu, czym różnią się pracowici, trzeźwi i zawzięci warszawiacy od sympatycznych i zawsze wesołych mieszkańców Lwowa. Przypominało mu to różnice charakteru berlińczyków i wiedeńczyków. Innym razem opowiadała mu z goryczą o scenie w pociągu, gdy kilku niemieckich żołnierzy ją zaczepiało, chcąc „poderwać” polską dziewczynę. Kiedy ich

zignorowała, żołnierze zaczęli rzucać w jej kierunku uwłaczające uwagi o Polakach. Takie sytuacje sam niestety nie raz tu już obserwował.

Spotykali się regularnie. Lekcje bardzo często przemieniały się w rozmowy wychodzące poza program jakiegokolwiek podręcznika. Czuli się ze sobą dobrze. Rozmawiali coraz bardziej otwarcie, nie unikali trudniejszych tematów. Oboje cały dzień czekali na umówione wieczorne spotkanie, które rzadko trwało tylko godzinę. Bojąc się popsuć tę sympatię jakimś nieostrożnym słowem, traktowali otaczającą ich rzeczywistość jako stan narzucony, którego nie mogą zmienić. Chcieli się tylko dobrze poznać, opowiadali sobie o swoich przeżyciach, nawet głębszych uczuciach. Rozmawiali po niemiecku, więc jeśli czasem weszła siostra, ciekawa tego, co dzieje się w ich pokoju, nie mogła ocenić, o czym mówią.

Na początku marca przeszli ze sobą na ty. Poprosił, by nazywała go Rudi. On wymawiał jej imię, słodko przeciągając końcówkę: Zofija.

– Rudi.

– Słucham.

– Nie interesują mnie szczegóły, ale powiedz, co ty tu w Jaśle właściwie robisz? Jestem po prostu ciekawa, chcę wiedzieć, czym cały dzień się zajmujesz, kiedy nie jesteś ze mną. Wiem, że bywasz w stajni. To wszystko?

– Część żołnierzy jest zawsze na urlopie, na miejscu są tylko ci potrzebni do utrzymania gotowości. Gdy oni, gdzieś na obrzeżach miasta, wykonują ćwiczenia, my, dowódcy plutonów, mamy niewiele pracy. Każdego dnia więc wysypiam się i po spokojnym śniadaniu wybieram do stajni; jestem za nią odpowiedzialny. Koni potrzebujemy do zaprzęgów artylerii. Często każę osiodłać sobie konia i wybieram się na przejażdżkę. Jadę przez wsie, pola i łąki. Doskonała okazja, aby poznać wasze piękne okolice. Paskudnie wyglądają tylko te rozrzucone po okolicy wieże wiertnicze. Psują ten przepiękny krajobraz.

– Takiej wojaczki wielu ci pewnie zazdrości. Nawet ja. Szczególnie tych przejażdżek konnych – powiedziała z namysłem, przymykając przy tym oczy, wyobrażając sobie taką przejażdżkę razem z nim. Jak bardzo chciał ją wtedy pocałować!

– Nie zawsze jest tak miło. Czasami mamy konkretne zadania do wypełnienia. Na początku zimy na przykład otrzymałem zadanie, by z kilkoma zaprzęgami objechać okoliczne wioski. Mieliśmy rekwirować siano dla naszych koni. Stoję w izbie, przede mną polski sołtys, na jego twarzy gniew miesza się z rezygnacją. Podaje mi numery zagród, gdzie jeszcze jakąś paszę mogę znaleźć. Wygląda na to, że nie przyjechaliśmy tutaj pierwsi. Siana wszystkim brakuje. Jego córka, ładna blondynka, przechodzi obok mnie i z pogardą obrzuca mnie złowrogim spojrzeniem. Na ścianie wiszą obrazy świętych

i krzyż. Boże, pomyślałem wtedy, co za szaleństwo! Też jestem katolikiem, a muszę zadawać im taki ból. Ale tego nie mogę przecież ani jemu, ani jego córce powiedzieć. Wykonuję rozkaz, jednak czuję współczucie i wstyd. W tym czasie moi ludzie ładują siano, układają je w wysokie stopy. Jedyne, co mogłem zrobić, to zrobiłem: przerwałem załadunek i dałem rozkaz do odjazdu.

Zosia przyglądała mu się w głębokim zamyśleniu.

– A gdybyś chciał im naprawdę pomóc, co mógłbyś zrobić?

– Nie wiem! Jeśli ja nie wykonałbym tego zadania, zrobiłby to ktoś inny. Dla mnie oznaczałoby to kłopoty, a nic by się nie zmieniło. Konie muszą jeść. Napoleońscy żołnierze, gdy szli przez Polskę na Moskwę, też rekwirowali siano dla koni. Jestem tylko żołnierzem.

Zofia nic nie odpowiedziała.

Rudi próbował zmienić temat, rozbawić ją, ale bez powodzenia. Poruszyli temat, który był dla niej zbyt ważny.

– Czy ty w ogóle widzisz, co tu się dzieje? Odwalasz swoją służbę, starając się na swój sposób postępować uczciwie, ale rozejrzyj się, co zrobili tu twoi rodacy! Tu codziennie ludzie umierają! Z waszej winy! – podniesionym głosem mówiła Zosia.

– Dobrze to wiem. W soboty mamy obowiązkową łaźnię. Droga do niej prowadzi obok ruin synagogi. To świadek naszej hańby i wstydu. Po co to wszystko? Kościołów, niezależnie jakiej są konfesji, przecież się nie pali! To nie tylko barbarzyństwo, ale i bezsensowna głupota. Chcę jednak powiedzieć, że zrobiliśmy też coś dobrego, bo brukowaną drogę do miasta pokryliśmy asfaltem. Inne ulice zostały wybrukowane. Rynek, który w deszczu stawał się wielką kałużą, utwardziliśmy żwirem i wyłożyliśmy płytami. Rozwalamy kościoły, za to budujemy ulice! Nie wiem, co mam powiedzieć. Na Boga, Zofija, zrozum, nie żołnierze o tym decydują! Jestem Niemcem, więc jestem teraz niemieckim żołnierzem. Gdybym urodził się w Polsce, pewnie byłbym teraz partyzantem – mówił, patrząc na nią prawie błagalnie.

– Jesteś naprawdę ślepy! Te nowe ulice zostały wybrukowane nie przez was, lecz rękami wynędzniałych, wygłodniałych więźniów! A wiesz, że między kamieniami nowego bruku można znaleźć nagrobkowe płyty cmentarne z żydowskich cmentarzy? Ja ciebie rozgrzeszyć nie mogę. Może Bóg rozumie sens tego, co tutaj się dzieje, i ukarze winnych – powiedziała cicho, unikając jego wzroku.

– Myślę, że jesteśmy zbyt zadufani w sobie, myśląc, że Bóg nie ma nic lepszego do roboty, jak tylko zajmować się nami, nagradzać i karać nas za nasze czyny. Nawet te największe świństwa, jakie człowiek popełnia, mało go obchodzą. Bo to nie grzechy, to przestępstwa, czyny karalne. Co ma Bóg z tym wspólnego? To czyny niegodne człowieka i muszą być karane przez ludzi. To nie jest obraza Boga – karanie złoczyńców nie jest jego rolą. Przestępcy muszą stanąć przed sądem. To człowiek musi się tym zająć! Gdyby tobie

coś się stało, ja na pewno nie czekałbym na karę boską, gromy z nieba! – powiedział silnym, zdecydowanym głosem.

– Ale powiedz, przecież Bóg istnieje, prawda? A jeśli tak, to skąd tyle zła w ludziach? Bo gdyby jego nie było, nie byłoby też na świecie dobra. Bo skąd by się ono wzięło?

– W Boga można tylko wierzyć! Ja wierzę, ale nie w to, że to sprawiedliwy ojciec, odpowiedzialny za wychowanie swoich dzieci, że o nas dba, nagradza za dobre zachowanie i jeśli trzeba, karci albo nawet karze. To jest zbyt ludzkie podejście. Już mądrzy starzy Grecy odrzucili ten naiwny obraz nieba, Olimpu i bogów stworzonych przez ludzi. To ludzie stworzyli Boga na swoje podobieństwo! – powiedział.

– No to kto, jeśli nie On, może nam pomóc? Widziałeś, jakie piekło na ziemi urządzono tu Żydom? – Widać było, że ona to naprawdę przeżywa.

– Oczywiście, Zofija. Nie jestem przecież ślepy. Znasz tę małą grzeczną żydowską dziewczynkę, która od pewnego czasu pomaga mi sprzątać. Kontakt z Żydami nam zabroniono, zagrożono karą. By obejść ten zakaz, zatrudniam dziecko, któremu pomagam, jak umiem. Kiedyś, zimą, podarowałem jej ojcu garnitur, który przywiozłem z urlopu, aby nie straszyć cię zawsze mundurem. Z tego lenistwa tutaj przytyłem, stał się dla mnie za mały. Wyobraź sobie, że gdy kiedyś leżałem w łóżku, przeziębiony, jej ojciec przysłał mi przez córkę dwie bułki. Myślę, że wiem, w jakiej sytuacji znajdują się Żydzi – dodał cicho.

– Czyli nie masz nic przeciwko Żydom? – zapytała. Rudi odniósł wrażenie, że z napięciem czekała na odpowiedź.

– Ja? Dlaczego miałbym mieć? Nie jestem członkiem partii i nigdy nie będę. Dla mnie ta ideologia jest chora! Wiesz, w sąsiedztwie naszego biura znajduje się kilka domów zamieszkałych przez Żydów. Tam mieszkają także rodzice mojej małej sprzątaczkki. Domy stoją blisko chodnika. Kiedyś przechodziłem obok, a w jednym z tych niskich okien siedziała dziewczyna. Przez chwilę mój wzrok padł na jej twarz, a właściwie na jej usta. Była piękna, a jej usta były po prostu cudowne; klasyczny piękny kształt. Długo nie mogłem powstrzymać się od myślenia o Matce Bożej. Teraz dopiero mogę sobie wyobrazić, jaką była pięknoscią. A była przecież Żydówką.

W marcu znowu nadeszła pora jego urlopu. Siostry go poprosiły, by przywiózł z Berlina rzeczy od dawna tu niedostępne: krem do twarzy, perfumy i termos. W przeddzień wyjazdu, po lekcji niemieckiego, w drzwiach jej pokoju pożegnał się z Zofią, krótko, nieśmiało, ale czule.

Z radością wracał; cieszył się, gdy pociąg znowu opuścił stację Charlottenburg, a później przez Wrocław, Kraków, Tarnów i Strużę dotarł znowu do Jasła.

Następnego dnia zniósł na dół rzeczy, które przywiózł dla „swoich pań”. Niestety, nie dostał perfum, o które prosiła Maria. To miały być angielskie perfumy. Nawet w Berlinie

nie wszystkie produkty były dostępne, a już na pewno nie wszystkie towary z krajów wroga. Gdy rozczarowana Maria wyszła, wręczył Zofii termos i perfumy.

– Ja też jestem trochę rozczarowana – powiedziała, wyjmując z pudełka zapieczętowany termos.

– Coś z nim nie tak? – zmartwił się.

– Widzę, że jest nieużywany, a wolałabym, żebyś już z niego pił! Żartuję, głuptasie! – Zachichotała, patrząc mu prosto w oczy.

Nagle, jakby zmieszana, że wyznała mu za dużo, spuściła oczy na prezenty i lekko się zaczerwieniła. Ale szybko powąchała perfumy i stwierdziła, że Rudi ma doskonały gust. Zbliżyła buteleczkę jeszcze raz do nosa. Była bardzo zadowolona, dopóki nie spojrzała na etykietę. Wtedy dotarło do niej, że perfumy są niemieckie. Stała przed nim, zdezorientowana, przekładając flakonik z jednej ręki do drugiej, jakby zwalczała w sobie na przemian uczucie radości i niechęci.

ROZDZIAŁ 15

Jasło

ul. Piotra Skargi 13

marzec–maj 1941 r.

Ich wieczorne spotkania – z wyjątkiem niedziel, które dla Zosi, katoliczki, były dniem świętym i rodzinnym – weszły do porządku dziennego. Nikt z domowników nie zwracał już na nich uwagi. Rudi, zawodowy nauczyciel języka, starał się trzymać skrupulatnie ułożonego programu, ale było to po prostu niemożliwe; zbyt wiele mieli sobie do powiedzenia, za bardzo byli już skupieni na sobie.

Z czasem ich uczucia stały się widoczne nie tylko dla nich. Matka niejednokrotnie zaklinała Zosię, by była ostrożna. Aby nikt spoza kręgu domowników tego nie zauważył, ostrzegała. Właściciel domu i jego żona, wieloletni przyjaciele stryja Zosi, Gustawa, nie zrobiliby Zosi żadnego świństwa. Ale w okolicy mieszkali różni ludzie. Jak mówiła mama, niektórzy utopiliby człowieka w łyżce wody. A niektórzy może i sprzedaliby, nawet nie biorąc za to srebrnika – z czystej satysfakcji zaszkodzenia innym, a szczególnie tym bogatszym. Kaczkowscy nie wyglądali na bogatych. Ale Jasło nie było wielkim miastem. Ludzie się znali i wszyscy dobrze wiedzieli, kim był Adolf Kaczkowski, wzięty adwokat. Nie zapomnieli też, że wcześniej miał na imię Aaron. Choć nigdy nikt nie widział go w synagodze, dla wszystkich było jasne, dlaczego tuż przed wojną wyjechał z Jasła do Lwowa.

Któregoś piątku, w drugiej połowie marca, Maria, z którą Zofia dzieliła pokój, powiedziała jej, że dwie noce spędzi u swojej koleżanki, która jest ciężko chora. Zosia nie była pewna, czy naprawdę chodzi o koleżankę, ale się nie dopytywała. Pewne było, że dwa dni nie będzie jej w domu.

Następnego dnia, z bijącym sercem, tak jakby chodziło o rzecz bez znaczenia, Zosia wspomniała o tym Rudolfowi podczas lekcji. Czekwała na jego reakcję. Ta przeszła jej oczekiwania.

– Kocham cię, Zofija! – tym jednym zdaniem wyraził od tygodni tłumione uczucia, miłość, namiętność i pożądanie.

Krew na krótką chwilę odpłynęła jej z twarzy, by powrócić, dużo silniejszą falą. Policzki ją paliły. Rudi zauważył, jak jej piękną buzię oblał rumieniec. Kochał ją taką. Ten ciepły, gorący pąs czynił ją jeszcze piękniejszą i bardziej ponętą.

– Dobrze wiesz, że ja od dawna cię kocham – odpowiedziała cicho, patrząc mu w oczy.

Nie zauważyła nawet, że rozmawiają po niemiecku. Wyznała miłość przedstawicielowi wojsk okupanta, posługując się językiem wroga. Od czasu, gdy zaczęła się ta przekłeta wojna, każdy Polak, także i ona, kojarzył ten język poetów i myślicieli z wrzaskami żołdaków, dodających sobie animuszu i siły krzykiem. Wrażenie to potęgowały przemówienia Hitlera, wodza narodu. Jego język był odrażający, szczególnie gdy się go nie rozumiało i słyszało tylko chrapliwy, skrzeczący wrzask, pozbawiony uczuć, z wyjątkiem nienawiści.

Nienawiść budzi nienawiść. Sprawia, że ludzie przyjmują nieugiętą postawę, zmienia się nie tylko ocena rzeczywistości, ale i cały system wartości. To samo czyni z nami miłość, tyle że jeszcze silniej! Czas spędzony z Rudolfem zmienił jej stosunek do niego. Człowiek, którego początkowo znienawidziła, stał się jej osobą najbliższą na świecie. Lekcje zmieniły też jej postrzeganie języka. Mniej skupiali się na gramatyce, którą w miarę dobrze pamiętała, bardziej zaś na prawidłowej wymowie, akcencie, brzmieniu i znaczeniu słów. Normalni Niemcy nie krzyczą, nie warczą. Kiedyś opowiedziała mu o polskim wieszczu Adamie Mickiewiczu, wspomniała, że tłumaczył także niemieckich poetów. Miała zbiór jego wierszy na półce. Na jednej z lekcji zajęli się porównaniem oryginału Goethego z jego tłumaczeniem Mickiewicza *Znasz-li ten kraj, gdzie cytryna dojrzewa*⁵. Zosia pierwszy raz przeczytała go w oryginale. Zaskoczyło ją jego piękno. Zrozumiała, dlaczego wielki polski poeta sięgnął po utwór niemieckiego mistrza. Ale nie tylko Goethego podziwiał Mickiewicz. Przetłumaczył także *Rękawiczkę*, wiersz o miłości i honorze, pióra innego niemieckiego poety, Schillera, twórcy słynnej *Ody do radości*.

Jeśli wielki patriota Mickiewicz doceniał piękno tego języka, nie mogło być grzechem wyznanie w nim miłości człowiekowi, którego naprawdę kochała!

– *Welch Glück, geliebt zu werden! Und lieben, Götter, Welch ein Glück!* – patrząc mu w oczy, powiedziała Zosia, wkładając w to tyle miłości, ile tylko mogła.

– Pięknie, najdroższa! – Rudi był przeszczęśliwy, słysząc z jej ust znany cytat Goethego, z wiersza *Powitanie i rozstanie*. Chcąc jej zrobić przyjemność, korzystając ze słownika, dosłownie przetłumaczył go na polski, choć ten przekład nie oddawał całego piękna. Do tłumaczenia geniusza potrzeba geniuszu klasy Mickiewicza.

– „Jakie to szczęście być kochanym! A kochać, bogowie, jakie to szczęście!”

Rudolf starał się dalej prowadzić lekcję, ale nie bardzo im tego dnia szło. Po słowach, którymi powiedzieli sobie właściwie wszystko, a przynajmniej to, co dla nich było najważniejsze, zamilkli. Siedzieli naprzeciwko siebie, oddzieleni stołem i leżącymi na nim papierami, patrzyli na siebie. Pierwszy raz dotykali dłużej swoich dłoni, głaskali je. Myśleli intensywnie o tym, gdzie mogą się jak najszybciej spotkać, by być wreszcie ze sobą razem. Naprawdę razem. Porozumiewali się spojrzeniami. Myśleli o tym samym, rozmawiali, nie używając słów. Zofia miała pokój tylko dla siebie, ale nie było to miejsce bezpieczne, zbyt często wchodziła tu jej matka. Matka i siostra czuły, że między tymi

dwojgiem rodzi się coś więcej niż zwykła sympatia. Nie chciały nawet o tym myśleć, tym bardziej rozmawiać. Takie uczucia były zabronione. Zakazywały ich nie tylko zarządzenia wrogiej armii, ale też niepisane prawo moralne każdego okupowanego kraju. Szczególnie w miasteczku tak małym jak Jasło.

– Bezpieczniej będzie, jeśli spotkamy się u mnie. Bez mojego pozwolenia nikt jeszcze tam nie zajrzał – powiedział Rudi.

Zosia nic nie odpowiedziała. Skinęła głową, patrząc mu w oczy.

– Gdyby ktoś cię zobaczył, zawsze możesz powiedzieć, że chcesz przynieść ziemniaki z komórki ze strychu. Tej obok mojego pokoju. Na wszelki wypadek weź ze sobą koszyk, proszę – mówił cicho, obserwując, czy naprawdę go słucha.

– Dobrze. Przyjdę, gdy wszyscy będą już w łóżkach. Około dziesiątej – szepnęła.

Krótko po dziesiątej Rudi usłyszał lekkie skrzypienie schodów, a zaraz potem ktoś nacisnął powoli klamkę. Niezaryglowane drzwi otworzyły się bez hałasu. Wiklinowy kosz odstawiała przed drzwiami, obok schowka na ziemniaki, i szybko weszła do pokoju. Na zewnątrz było zimno. Miała na sobie gruby zimowy płaszcz zapięty na wszystkie guziki pod samą szyję.

Zamknęła cicho za sobą drzwi. Rudi podszedł do niej i czule ją objął. Czuł jej drżenie. Nic nie mówił, uspokajał ją, całując powoli jej twarz, oczy, nos, usta. Kochał każdy szczegół jej twarzy. Wreszcie mógł się nimi nacieszyć. Po wielu godzinach rozmów z nią dobrze rozumiał, co teraz czuje. Nie była już naiwną panienką, ale jako przyzwoita katoliczka miała duży problem z tym, że rzuca się w ramiona obcego mężczyzny. Nie mówiąc o tym, że był to wróg narodu. W jej oczach był to grzech! Tak wielki, że nie waży się powiedzieć o nim żadnemu spowiednikowi. Czy dla tej miłości musiała naprawdę wybierać między nim a Kościołem? Już się kiedyś nad tym zastanawiała. To było dla niej ważne.

Gdy się uspokoiła i zaczęła odwzajemniać jego pocałunki, Rudi rozpiął po kolei guziki jej płaszcza. Bardzo powoli, jeden za drugim. Gdy doszedł do ostatniego, sama zrzuciła z siebie ciężki płaszcz na podłogę. Stała przed nim ubrana tylko w krótką, lekką koszulę nocną, przez którą widział jej ciało. Jedyne, co oprócz koszulki miała na sobie, to był medalik na plecionej jedwabnej nici, który, jak zauważył, zawsze nosiła na szyi. W pokoju było ciepło, ale gdy zobaczył ją stojącą przed nim, prawie nagą i bezbronną, szybko uniósł kōdrę i ułożył ją na łóżku. Sam też zdjął piżamę i położył się obok. Najpierw długo ją całował, szepcząc do ucha piękne słowa miłości. Całował ją wszędzie. Nawet tam, gdzie nigdy by nie pomyślała, że kiedykolwiek ją ktoś pocałuje. To chyba też był grzech, ale nie chciała teraz myśleć o tym, co zakazane. Ich miłość była przecież jednym wielkim grzechem. Chłonęła ją zachłannie, miłość, którą czuła w każdym jego muśnięciu,

dotknięciu, pocałunku. Kochali się długo. Mała lampka nocna, która zwykle długo w nocy się świeciła, gdy czytał, pozostała włączona i teraz. Nie przeszkadzało jej to. Przeciwnie. Zauważyła, że dawało jej to dodatkową radość, gdy widziała, jak on jej się przygląda, studiuje jej ciało, całuje każdy nowo poznany jego skrawek. Wcześniej nigdy tego nie przeżyła. Intymne chwile z byłym mężem zdarzały się zawsze w ciemności. To było nieporównywalne z tym, co czuła teraz. Rudi otworzył przed nią inny świat. Zrozumiała nie tylko to, czym jest prawdziwa miłość, ale też powiązaną z nią cielesną radość, uniesienie, pożądanie. Oraz wolność. Miłość bez tabu, bez granic.

Kochali się długo, nieprzytomnie, szaleńczo. W końcu padli oboje, wyczerpani, bezsilni. Szczęśliwi. Leżeli objęci, patrząc na siebie, czasem pochylając się do przodu, aby jeszcze raz się pocałować.

Rudi wyzwolił się delikatnie z jej objęć i sięgnął po papierosa. Ona paliła rzadko, ale teraz też tego potrzebowała. Najpierw podał jej ogień i przysunął bliżej popielniczkę. Przypomniawszy sobie, że w szafie ma przynajmniej jeszcze jedną butelkę wina ze świątecznego przydziału. Wysunął się szybko z łóżka. Wrócił, trzymając w ręku dwie szklanki oraz otwartą już butelkę wina. To żołnierskie kwaśnawe francuskie wino niezbyt jej smakowało.

– Rudi, czyżbyś nie znał powiedzenia Goethego? „Życie jest zbyt krótkie, aby pić byle jakie wino”. – Zaśmiała się. W swoim krótkim życiu miała przed wojną okazję posmakować dużo lepszych win.

– Przrzekam ci, że gdy skończy się ta okropna wojna, nigdy już nie weźmiemy do ust takiego paskudztwa – powiedział.

Zosia dzielnie piła to paskudztwo razem z nim, drobnymi łyżkami. Nie chciała robić mu przykrości.

Było im ze sobą dobrze. Znali się już prawie pół roku. Ufali sobie, kochali się. Rozmawiali o wspólnej przyszłości. Wiedzieli, że aby być razem, muszą zostać jak najszybciej małżeństwem. Brali pod uwagę najróżniejsze warianty, nawet dezercję Rudolfa. Jednak życia w ciągłym ukryciu nie wyobrażali sobie. Ale ta wojna przecież kiedyś się skończy! Rudi wróci i będą na zawsze już razem. Może pojedą do Krakowa i on będzie uczył niemieckiego? Ona, przynajmniej teraz, nie widziała siebie, nawet przy jego boku, w Niemczech. Ale to nie było najważniejsze! Byli szczęśliwi i chcieli oboje, aby tak pozostało już na zawsze.

– No, przestań, ty dzikusie. Mamy jeszcze dużo czasu. Opowiedz mi więcej o sobie! Chcę cię wreszcie poznać – powiedziała Zosia, marszcząc nos jak mała dziewczynka i tuląc się do jego ramienia.

– Wydaje mi się, że znasz mnie dużo lepiej niż ktokolwiek inny. Wystarczająco długo sprawdzałaś, czy nie jestem groźny.

– Rudi, opowiedz o sobie – poprosiła jeszcze raz, składając usta w serduszko.

– Urodziłem się pierwszego maja tysiąc dziewięćset dziesiątego roku. Mama do dzisiaj twierdzi, że było to wydarzenie nawet bardziej spektakularne niż narodziny Jezusa – powiedział, uśmiechając się.

– Hej, ty, nie bluźnij! Jesteś wspaniały, jednak są jakieś granice. – Zosia wiedziała, że to żart, ale takich dowcipów nie rozumiała, a raczej nie chciała rozumieć.

– Nie żartuję, w maju tamtego roku kometa Halleya była widoczna na niebie wiele dni, a jej warkocz rozciągał się od gwiazdozbioru Byka do Orła przez ponad połowę nieboskłonu! – powiedział, przekonując ją, że nie żartuje.

– Ty mój proroku, przez wieki oczekiwany. Przynajmniej przeze mnie! A dalej? Mów – poprosiła.

– Dalej? Jak zwykle: podstawówka, później gimnazjum Humboldta, a po ostatnich wakacjach przed maturą, na plaży na wyspie Uznam, w wieku siedemnastu lat, poczułem potrzebę zmiany. Zew morza! Możesz się śmiać, ale po powrocie z wakacji rzuciłem gimnazjum i zapisałem się do szkoły morskiej w Hamburgu!

– Ty? Byłeś marynarzem?! – Zosia aż podniosła głowę i spojrzała na niego z podziwem. Prawdziwy marynarz w Jaśle! W jej łóżku!

– Tak, i to przez ponad pół roku. W czerwcu dwudziestego siódmego wypłynęliśmy na szkolnym żaglowcu Padua do Chile. Do Hamburga wróciliśmy dopiero w styczniu. Wtedy stwierdziłem, że to wspaniała przygoda, poznałem kawał świata, ale to jednak nie jest życie dla mnie. Potrzebuję wokół siebie ludzi. Ludzi, których kocham i którzy mnie kochają. Takich jak ty. – Mówiąc to, znowu ją pocałował.

– Trochę szkoda, że nie jesteś już marynarzem, za to mam cię tutaj. – Zosia wcisnęła się głębiej w jego silne ramiona.

– No i jak niepyszny wróciłem do gimnazjum i zrobiłem maturę. Następnie, już jako zwykły szczur lądowy, podjąłem studia na Friedrich-Wilhelms-Universität w Berlinie. Skończyłem je w trzydziestym czwartym. – Rudi, opierając się na łokciu, sięgnął po butelkę, by dopełnić jej i swój kieliszek.

– To już wiem. Studiowałeś historię, wychowanie fizyczne i francuski – wymieniała, licząc poszczególne przedmioty jak mała dziewczynka, zaginając palce.

– Tak, tych przedmiotów też później uczyłem. Egzamin państwowy zdawałem też z filozofii. Z wyróżnieniem, a to nie byle co u profesora Artura Buchenaua. Wielki znawca Kanta i wydawca jego ostatniego dzieła *Opus Postumum*.

– Co za kombinacja! Marynarz i filozof. Wiesz co, ja dzisiaj wybiorę marynarza – powiedziała Zosia.

Sięgnęła ręką pod kołdrę i położyła mu ją na udzie. Patrzyła mu w oczy, podczas gdy jej ręka drobnymi kroczkami palców powędrowała ku górze. Bawili się sobą, obserwując się wzajemnie. Uważnie, badawczo, bez najmniejszego uśmiechu. Zosia pierwsza nie wytrzymała, zamknęła oczy i dała upust odczuwanej rozkoszy. Wydawała z siebie długie spokojne pomruki, posapując przy tym cicho.

– Pani kapitan, nabieramy wiatru w żagle – szepnął jej do ucha i podniósł się na kolana.

Wolną ręką zsunął z niej kołdrę. Leżała przed nim, ułożona jak bogini, wabiąc go swoimi wdziękami. Jej ciało i alabastrowa skóra przypominały mu jakąś dobrze znaną rzeźbę, którą widział w jednym z berlińskich muzeów. Nie miał głowy do zastanawiania się nad tym, kto był twórcą. Zofia była dużo bardziej powabna. Była gorąca. Jej zwykle mleczna twarz nabrała silnych rumieńców. Krew w niej buzowała. Prężyła się przed nim bez krzty zawstydzenia, dając upust błogości. Zapomniała o całym świecie, nawet o nim. Ręce miała szeroko rozrzucone. Dała ponieść się nieznanemu jej dotychczas uczuciu wolności. Niewyobrażalnej rozkoszy, którą chciała czerpać do ostatniej kropli.

Rudiemu przyszedł teraz na myśl cytat z *Fausta*, który oddawał to, co przeżywał: „Trwaj, chwilo, jakże jesteś piękna!”.

Patrząc na nią, nie mógł dłużej oprzeć się potrzebie połączenia się z nią w tym erotycznym tańcu. Za chwilę ich oddechy i coraz głośniejsze westchnienia wzajemnie się zagłuszały.

⁵ *Kennst du das Land, wo die Zitronen bluehn.*

ROZDZIAŁ 16

Jasło

ul. Piotra Skargi 13

maj 1941 r.

Kontynuowali lekcje w pokoju na parterze, ale od ich pierwszej miłosnej schadzki, gdy tylko było to możliwe, późne wieczory, a często i pół nocy spędzali u niego. Swoją tajemnicę Zosia powierzyła zszokowanej siostrze, w wyniku czego pierwsze kilka dni ze sobą w ogóle nie rozmawiały. Maria musiała oswoić się z szaleństwem starszej siostry.

Najsmutniejsze były zawsze pożegnania. Rudi marzył o tym, by obudzić się, widząc za oknem wschód słońca, a obok siebie zaróżowioną od snu, uśmiechniętą twarz ukochanej. Nigdy jeszcze nie spędzili ze sobą całej nocy. Musieli być ostrożni i pamiętać, aby nie zasnąć w swoich objęciach. Nie zamierzali obciążać pozostałych domowników taką tajemnicą.

Nie chcieli się rozstawać, potrafili rozmawiać ze sobą godzinami. Opowiadali sobie wszystko. Nie chcieli mieć przed sobą żadnych sekretów. Pewnego majowego wieczoru Zofia zdobyła się na odwagę, by zdradzić mu swój największy sekret. Rudi wcześniej już zauważył, że cały wieczór była nieswoja. Okrył ją, bo lekko drżała, mimo że w pokoju mieli włączone ogrzewanie. Wiosna roku czterdziestego pierwszego była bardzo chłodna.

– Rudi, wiesz, dlaczego uciekł stąd mój ojciec? – zaczęła.

– Nigdy mi o tym nie mówiłaś. – Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Był tu osobą ogólnie szanowaną. Ale jest Żydem.

Rudi patrzył na nią szeroko otwartymi oczyma. Nic nie powiedział. Niepewna tego, o czym on myśli, kontynuowała:

– Tak naprawdę to był konwertytą. Dawno już, jeszcze jako młody człowiek, odszedł od judaizmu. Twierdził, że historia z Bogiem, który kieruje naszym życiem i możliwością wyproszenia jego przychylności przez modlitwy, zawsze wydawała mu się bezsensowna. Śmiał się z tych niezliczonych żydowskich, często niezrozumiałych, ale ślepo akceptowanych zasad, nakazów i zakazów. Jednak wierzącym chrześcijaninem też się nie stał. Chrzest przyjął tylko po to, by poślubić moją matkę. Rudi, mówiłaś, że nie masz problemu z Żydami – dodała błagalnym głosem, widząc, że odwrócił wzrok.

– Hmm. To jest prawdziwa niespodzianka. Daj mi się z tym oswoić. Nie wiem, co mam powiedzieć. Miałem dobrych znajomych, nawet przyjaciół, którzy byli Żydami. Ale

przyznaję, że w ostatnich latach utraciłem z nimi kontakt. Sama wiesz, co się dzieje w Niemczech. No, nie tylko tam. Dwóch nauczycieli musiało opuścić naszą szkołę. Ciekawe, oni też nie byli silnie wierzący – zamilkł.

Wiedział, że głądzi byle co, aby nie koncentrować się na tym, co właśnie usłyszał.

– Jak to sobie teraz dalej wyobrażasz? Co będzie z nami? – spytała cicho.

– Nie mam pojęcia. Naprawdę! Wiem tylko, że cię kocham, Zosiu – odpowiedział głęboko zamyślony.

W głowie kłębiły mu się najróżniejsze myśli i scenariusze przyszłości. Znał możliwe konsekwencje. Nawet kontakty z Żydami są zakazane, a co dopiero związki intymne czy małżeńskie. Nie znał odpowiedzi, potrzebował czasu. Zaskoczyła go. Zdawał sobie sprawę, że z tym problemem jest zupełnie sam; nikogo nie może zapytać, poprosić o radę.

Jego milczenie stawało się coraz bardziej kłopotliwe. Dla nich obojga. Patrzył z bólem w jej coraz bardziej przerażoną twarz. Chciał ją pocieszyć, dodać odwagi, nadziei, ale nie wiedział, co ma powiedzieć.

Nie potrafił zmierzyć się z rzeczywistością. Bał się mówić, a nawet myśleć o konsekwencjach tego, co właśnie usłyszał. Czuł się, jakby jego mózg chciał wyprzeć problem, którym powinien się natychmiast zająć. Jakby wolał przekierować jego uwagę na coś zupełnie innego. I Rudolf uchwycił się wspomnianego przez Zosię, właściwie mało istotnego dla nich problemu, zagadnienia: wiara kontra racjonalne myślenie. Wrócił do wykładów z filozofii profesora Buchenaua.

– Podoba mi się twój ojciec. Rozsądny człowiek. Żyje według zasady *Sapere aude*, czyli „miej odwagę posługiwać się własnym rozsądkiem”. Immanuel Kant sprawił, że podejście to stało się dewizą oświecenia. Ludzie oświeceni, dojrzały, powinni żyć na własną odpowiedzialność, posługując się własnym rozumem. Czy to religia czy, jak teraz w Niemczech, państwowa ideologia. I tu, i tam odgórnie narzuca się ludziom bezmyślne przestrzeganie zasad, niezależnie od tego, czy je rozumieją, uważają za słuszne, czy akceptują.

– Ale co to oznacza dla nas, Rudi? – Zosię niepokoił teraz jego zupełnie spokojny, beznamiętny głos.

– Według Kanta nie powinniśmy robić niczego ze strachu, w obawie, że społeczeństwo nas odrzuci. Decyzja twojego ojca była racjonalna i słuszna. A przede wszystkim odważna. Bo jeszcze gorsza od *niedojrzałości* jest zawiniona *niedojrzałość*, kiedy już nie chodzi o brak rozumu, lecz brak decyzyjności i odwagi. Gdy ludzie wiedzą, że coś nie ma sensu lub po prostu jest złe, ale dalej trzymają się nakazów, przepisów i rozkazów. Tak żyje dzisiaj więcej niż połowa niemieckiego społeczeństwa. Według tego filozofa, jeśli nasze postępowanie ma być moralnie słuszne, powinno być niezależne od ewentualnych konsekwencji! To nasz wewnętrzny nakaz, imperatyw moralny!

– Rudi, przestań! Proszę! – Zosia czuła się nieswojo. Podniosła głos, widząc jego oczy, patrzące w przestrzeń, gdzieś daleko za nią. Mówił jakby w lekkim transie. Jak student

wypowiadający wyuczone odpowiedzi na znane mu już wcześniej pytania egzaminacyjne. – Kochanie, co ma do tego Kant? Ten facet nie wiedział, że przyjdą czasy, kiedy właśnie w Niemczech jego dewiza stanie się śmieszna, bo po prostu nieracjonalna! To wszystko teoria!

– Teoria? Nie, jedno z drugim ma bardzo dużo wspólnego! – Nieoczekiwanie spojrzął na nią zupełnie trzeźwo. Jakby się właśnie obudził. – Zofia, ja dopiero teraz to zrozumiałem! Ja przecież nigdy nie żyłem tak, jak inni ode mnie oczekiwali. Zawsze robiłem tylko to, co sam uważałem za słuszne, nie patrzyłem na możliwe negatywne konsekwencje. Robiłem, co mnie przekonywało lub to, co kocham. A ciebie kocham, Zofio! – powiedział.

– Ale co to znaczy? Jak to sobie wyobrażasz, kochanie? – Zosia była szczęśliwa, że jej Rudi wrócił, był znowu z nią. Był znowu sobą! Ale dalej nie wiedziała, co będzie.

– Nie wiem jeszcze, co zrobię, ale coś wymyślę. Tak przecież żyłem całe życie. Rzuciłem gimnazjum wbrew woli rodziców. Stwierdziłem, że chcę poznać świat. Później, też z własnej woli, wróciłem i zdałem maturę. Do wojska, na wojnę nie poszedłem, bo mnie wysłano czy zmuszono. Poszedłem, bo czułem taką potrzebę. Bez względu na konsekwencje. Zgłosiłem się dobrowolnie. Bo to też imperatyw, jeśli kocha się ojczyznę! Nikt mnie nie uczył, że muszę ojczyznę kochać, i nie pozwolę, by mnie tego uczono! Ja ją kocham, bo chcę, bo jest piękna, bo jest moja. Mam dość wmawiania mi, że mam nienawidzić tych, którzy myślą i czują inaczej. To nie jest patriotyzm. To bezmyślny fanatyzm. To samo głupie stadne myślenie doprowadziło do wypraw krzyżowych, kiedy mordowano w imię Boga. – Mówił z przekonaniem, wierzył w to, co mówi.

– Tak, taki właśnie był... przepraszam, jest mój ojciec. Wiem, że żyje, mieszka we Lwowie i wszystko z nim dobrze – wyznała Zofia. Teraz nie miała już żadnych tajemnic przed Rudolfem.

Zapadła cisza. Rudolf ochłonął. Myślał o rzeczywistości, w jakiej żyje. Musiał ocenić ją najbardziej realnie, jak tylko potrafił. Filozofia była mu pomocna, dała mu punkt wyjścia, ale teraz chodziło o jej zastosowanie w realnym, bardzo realnym, bo wrogim środowisku. Oboje byli tego świadomi. Ale lęk, to straszne uczucie bezimiennego otaczającego ich zewsząd zagrożenia, wobec którego są bezbronni, minął. Teraz, gdy Rudi nazwał zło po imieniu, wiedział, z czym się mierzy. Dopiero teraz mógł zacząć szukać rozwiązania, myśleć konstruktywnie. Musiał znaleźć rozwiązanie, aby żadna faszystowska świnka nie śmiała nazywać jego ukochanej parszywą Żydówką. Albo też, co brzmi jeszcze gorzej, mieszańcem pierwszego stopnia, *jüdischer Mischling ersten Grades*, *Halbjude* czy *Vierteljude*. To gorzej, niż nazwać człowieka półczłowiekiem lub ćwierćczłowiekiem. Kim jest cały Żyd? Jedną dziesiątą człowieka? Jedną setną?

Wiedział, że to, co planują, jest karalne. Zgodnie z funkcjonującym prawem rasowym Zofia jest mieszańcem pierwszego stopnia. Nie jest ważne, że jej matka nie jest Żydówką, bo prawo zabrania osobom mieszanej krwi, pierwszego stopnia, ożenku, a nawet

kontaktów z tak zwanym *deutschblütigen*, czyli Niemcem czystej krwi. *Rassenschande* (zhańbienie krwi) zagrożone jest karą, dla obojga.

Nagle jakby doznał olśnienia. Przytulił ją mocno i zaczął całować, śmiejąc się na głos.

– Kochanie, uśmiechnij się. Coś mi się przypomniało. Nasze plany, nasza przyszłość, wszystko jest niezwykle trudne, ale chyba znalazłem rozwiązanie. Słyszałaś może o ustawie obywateli Rzeszy, tak zwanej *Reichsbürgergesetz* z roku tysiąc dziewięćset trzydziestego piątego? Między innymi zakazuje ona małżeństw mieszanych. Jednak istnieje siódmy paragraf *der Ersten Verordnung zum Reichsbürgergesetz*. Ten paragraf, z pierwszego rozporządzenia do tej ustawy, zostawia furtkę. Istnieją bowiem wyjątki od tej ustawy i to właśnie wykorzystamy.

– I na czym to polega? – spytała. Głos jej drżał.

– Podczas ostatniego urlopu spotkałem w Berlinie Stefana, syna pani Marty, zupełnie przypadkowo. No wiesz, tej właścicielki pałacyku myśliwskiego w Brandenburgii, gdzie spędziłem mój ostatni urlop przed wstąpieniem do wojska. Znamy się od dawna. Najwyraźniej jest niegłupi, bo awansował. Pracuje w kadrach bazy lotniczej w tamtych okolicach. Gadaliśmy o wszystkim i niczym, no i w żartach zagadnąłem, czy ta pani kapitan Melitta von Stauffenberg jeszcze nie rozbiła się podczas swoich karkołomnych manewrów lotniczych. Wtedy Stefan się rozgadał i opowiedział mi plotki, które słyszał, bo sam jej nie zna osobiście. Zrozumiałem, dlaczego jego matka, zdeklarowana nacjonalistka, była tak zdystansowana w stosunku do tej kobiety. Okazało się, że dzisiejsza arystokratka urodziła się jako Melitta Schiller. Jest córką Żyda, pruskiego urzędnika. W kadrach, a niedługo później i w całej okolicy, wiedziano o tym od dawna. Ale ze względu na jej wiedzę i doświadczenie była osobą nietykalną. Była nie do zastąpienia. Nawet sam Goebbels wykorzystywał jej wizerunek jako bohaterki. To, że wyszła za mąż za arystokratę, syna Alfreda Schenka grafa von Stauffenberg, dworskiego nadmarszałka Wilhelma II w Wirtembergii, było niewątpliwie też korzystne. Nie zmieniło jednak faktu, że w sensie nazistowskiego prawodawstwa była żydowskim mieszańcem pierwszego stopnia!

Twarz Zosi zmieniła się. Wbiła w niego oczy.

– Stefan powiedział, że Melitta von Stauffenberg złożyła wniosek, powołując się na siódmy paragraf tego rozporządzenia, i zupełnie niedawno uznano ją oficjalnie za Niemkę czystej krwi!

– Ale skąd ten twój optymizm? To nie wygląda na łatwą sprawę. Jeśli ma się jej pozycję, wszystko wygląda łatwiej, zupełnie inaczej. – Jej twarz znowu sposepniała.

– Słyszałem też o innych takich historiach. I też się udało! W przypadkach bohaterstwa, poświęcenia się dla ojczyzny na froncie, za zezwoleniem tak zwanego Komitetu Rzeszy do spraw Ochrony Krwi Niemieckiej, można obejść te nieludzkie przepisy i otrzymać oficjalny dokument, który zakończy to piekło. Wiem też, że od maja trzydziestego dziewiątego roku, jeśli otrzyma się to zaświadczenie o czystości krwi dla żony „bohatera”,

prawa te przechodzą automatycznie także na ich dzieci. Ocenia się tylko cechy fizyczne, psychiczne i charakter współmałżonki.

– No nie wiem. – Zofia nie podzielała jego euforii, nie wyglądała na przekonaną.

– Nie mam najmniejszych wątpliwości, że nam się uda. Jesteś wykształcona, mądra, inteligentna, no i prześliczna. Problemem jestem tylko ja, ale też dam radę. Muszę tylko przywieźć z wojny Żelazny Krzyż. A to dla mnie pestka – powiedział, pokazując swój biceps, by ją nieco rozbawić.

– Jesteś pewny? – Zosia uśmiechnęła się, ale nadal przyglądała mu się niepewnie. Mimo wszystko jego entuzjazm dodał i jej nadziei. Oczywiście, słyszała o tym wysokim odznaczeniu. Jednak czy tak łatwo je otrzymać? Stroi sobie z niej żarty? A może ma jakieś układy?

– Kochanie. Jestem sportowcem, i to nie byle jakim. Wszystkie cele, jakie sobie kiedykolwiek postawiłem, zawsze osiągałem. Zawsze! A teraz mam motywację, jakiej nie miałem nigdy. Muszę to zrobić! Dla nas, dla ciebie i dla naszych dzieci. Wyciągnę nas z tego. Zaczniemy nowe piękne życie. Chcę chodzić z tobą po parkach i muzeach, siedzieć w kawiarni, trzymając cię za rękę. A do tego potrzebujemy tylko tej jednej jedynej głupiej kartki, na jasnoniebieskim papierze: *Deutschblütigkeitserklärung*⁶, z wielkim stemplem Kancelarii Rzeszy. Z „wroną”, jak wy to nazywacie. Zobaczysz, wszystko będzie dobrze – zakończył rozmowę, kładąc palec na jej ustach, jakby sprawa była już załatwiona.

Uśmiechnął się szeroko i znowu zaczął ją całować, wtulając się w nią. Jej twarz znowu się rozchmurzyła.

⁶ Poświadczenie niemieckiej krwi.

ROZDZIAŁ 17

Jasło

ul. Piotra Skargi 13

maj 1941 r.

Następnego wieczoru Zosia przyniosła ze sobą do jego pokoju jakiś większy pakunek. Rudi przyglądał się jej ze zdziwieniem, gdy natychmiast zabrała się do jego rozpakowywania. Odwinęła kilka warstw szarego grubego papieru i na stole pojawił się obraz. Bez ramy, niezbyt duży, jakieś czterdzieści na pięćdziesiąt centymetrów, utrzymany w ciemnych barwach. Z silnie zacienionego tła wyłaniała się mocniej oświetlona postać starszego człowieka. Rudi nie potrafił określić jego wieku. Także źródła światła, tworzącego intrygującą grę światłocieni, trudno było rozpoznać. Sztuką interesował się na poziomie amatorskim, ale obraz zachwycił go.

– Piękne dzieło. To portret kogoś z twojej rodziny? – zapytał.

– Nie, to pamiątka, a raczej dar. Od mojego ojca. Zanim wyjechał, sam wyjął go z ram, aby był łatwiejszy w transporcie i nie zajmował zbyt dużo miejsca. Jest bardzo cenny i ma niesamowicie ciekawą i długą historię. To Rembrandt – powiedziała, patrząc z uśmiechem na Rudiego.

– Rembrandt? Ten Rembrandt? Jakim cudem się tu znalazł? Myślałem, że jego obrazy można znaleźć tylko na zachodzie Europy. – Był naprawdę zaskoczony.

– Nie masz racji. Ojciec mi to wyjaśnił. Wcześniej też się tym nie interesowałam. Pewnie nie słyszałeś o Hendricku van Uylenburgh, wpływowym holenderskim marszandzie. Handlował sztuką, bardzo też dopomógł w karierze Rembrandtowi. Człowiek ten pochodził z Fryzji, a był jeszcze dzieckiem, kiedy jego rodzina wyemigrowała do Krakowa. Uczył się tu malarstwa, z czasem dokonywał też zakupów dzieł sztuki dla króla Zygmunta III Wazy. Potem przeniósł się do Gdańska. Dopiero w tysiąc sześćset dwudziestym piątym powrócił do Holandii. Osiedlił się w Amsterdamie, gdzie w swoim studiu zatrudniał malarzy. W tym właśnie celu do jego domu przeniósł się też Rembrandt. Był nie tylko jego najbardziej znaczącym malarzem. Łączyło ich też coś więcej: Rembrandt poślubił jego bliską kuzynkę, słynną, bo często portretowaną przez niego, Saskię van Uylenburgh. Jego powiązania z Polską nie wygasły, więc pewnie sprzedał tu także niejedno dzieło Rembrandta.

– Ciekawe. To twój ojciec był tak zamożny, że stać go było na Rembrandta? – dopytywał się Rudi.

– Powodziło nam się nieźle, choć bogaczem tata nie był. Należał za to do najlepszych, najbardziej znanych i uznanych adwokatów w mieście. W Jaśle, z sądem okręgowym obsługującym również Krosno, Gorlice i Sanok, miało swoją siedzibę ponad trzydzieści biur prawniczych. Aż dziewiętnaście z nich prowadzili adwokaci pochodzenia żydowskiego. Konkurencja była duża, ale nie wszystkie biura posiadały te same kompetencje. Słabsze specjalizowały się raczej w obsłudze chłopskich sporów o miedzę. Do wyróżniających się należała kancelaria mojego ojca, Adolfa Kaczkowskiego. Obsługiwał między innymi najtrudniejszy i najbardziej dochodowy sektor: przemysł naftowy. Wymagało to nie tylko doświadczenia i kontaktów z kancelariami w całej Europie, ale i znajomości prawa zagranicznego. Te kwalifikacje były też odpowiednio wynagradzane. Ojciec należał tu do elity. Zasiadał nawet w radzie miasta. Mieszkaliśmy w przepięknym domu przy ulicy Kościuszki, niedaleko sądu rejonowego. Piękna elitarna okolica, na skraju parku miejskiego. Mieszkali tam rdzenni Polacy, katolicy, jak i ludzie pochodzenia żydowskiego. Dopóki Niemcy nas stamtąd nie przegonili, aby stworzyć tam część niemiecką. *Nur für Deutsche*. – Pod wpływem wspomnień jej twarz się zachmurzyła.

– Rozumiem, bardzo mi przykro, kochanie. Ale jak wpadł mu w ręce ten właśnie obraz? Kupił go na aukcji? Takich obrazów nie otrzymuje się jako prezent na imieniny – zażartował Rudi.

– A to się zdziwisz! Tata otrzymał go właśnie jako prezent. Tyle że nie na imieniny, lecz w zamian za usługę, którą wyświadczył pewnemu bogatemu człowiekowi. Jak mówiłam, tata znał wszystkich, którzy cokolwiek znaczyli w branży naftowej. A co ważniejsze, cieszył się pełnym zaufaniem tych ludzi. Człowiek, o którym mówię, nazywał się Józef Jakowicz. Ojciec wprowadził go w zamknięte kręgi przemysłu wydobywczego i przetwórstwa ropy naftowej Galicji. W rozwoju Jasła i powiatu duże znaczenie miał kapitał polski. Jednak w przemyśle naftowym przewagę miał kapitał obcy: kanadyjski, belgijski, francuski, austriacki, węgierski i angielski. Tak się wówczas zdarzało, nie tylko w zaborze austriackim, także na innych ziemiach polskich. Ojciec udostępnił Jakowiczowi nie tylko najlepsze kontakty, wprowadził w biznes, zapewnił też doskonałą obsługę prawną jego interesów. Zadowolony Jakowicz hojnie go wynagrodził; podarował mu ten właśnie obraz – dumnie zakończyła swój wywód.

– Nie znam się specjalnie na interesach, ale to chyba raczej rzadka forma płatności? – zapytał.

– Też tak sędzę. Naprawdę nie pamiętam, dlaczego tak to się odbyło, jednak wiem, że ojciec był z tego bardzo zadowolony.

– A skąd ten człowiek miał tak wartościowy obraz? I że twój ojciec uwierzył w jego wiarygodność? – zdziwił się znowu.

– Józef był wnukiem Jana Jakowicza. Bogatego przedsiębiorcy, współwłaściciela kilku cukrowni na Ukrainie. Ale przede wszystkim był znanym mecenasem sztuki. Z tego, co słyszałam od ojca, nie był to jedyny autoportret Rembrandta w zbiorach tej rodziny. Aby zrozumieć, jak ważne to zbiory, także dla historii naszego regionu, musiałabym opowiedzieć ci przynajmniej historię powstania muzeum we Lwowie. Jednak nie chcę cię zanudzać.

– No przestań, to przecież niesamowicie ciekawe! Najpierw zaostrzasz apetyt, a teraz chcesz skończyć. Opowiadaj, koniecznie. – Przyciągnął ją do siebie i pocałował w policzek.

– No to słuchaj – powiedziała i oparła się wygodniej o ścianę. – Wyobraź sobie, że pod koniec ubiegłego wieku Lwów, miasto o pięknej architekturze i wysoko rozwiniętej kulturze, miało tylko jedno niewielkie muzeum. W roku tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym siódmym w ratuszu zapadła decyzja o utworzeniu galerii obrazów we Lwowie. Z pieniędzy darczyńców w tysiąc dziewięćset trzecim roku magistrat kupił kilka pierwszych płócien, w tym *Śluby Jana Kazimierza* pędzla Jana Matejki, obrazy Jacka Malczewskiego i Edwarda Okunia. Inny mieszczanin lwowski, Michał Toepfer, podarował miastu pięćdziesiąt dziewięć obrazów i szkiców. Brakowało pomieszczeń, najpierw dzieła te zdobiły ściany kancelarii prezydenta miasta, korytarze ratusza, salę posiedzeń Rady Miejskiej. – Zrobiła krótką przerwę, by przełknąć ślinę.

Rudi słuchał z uwagą. Fascynowała go jej wiedza. Kochał jej słuchać i przyglądać się, szczególnie w chwilach, gdy z takim zaangażowaniem jak teraz opowiadała historie. Mówiła całym ciałem, mimiką, gestami, zmianą tonacji głosu lub pauzami potęgowała efekt zaskoczenia.

– W związku z sytuacją w Imperium Rosyjskim w latach tysiąc dziewięćset pięć–tysiąc dziewięćset siedem mieszkający tam lepiej sytuowani ziemianie, wystraszeni chłopskimi powstaniem, obawiali się o swoje majątki. Często decydowali się na sprzedaż dzieł sztuki, byleby tylko nie spłonęły razem z ich domami. Dyrektorowi archiwum miejskiego we Lwowie przedstawiono w tamtym właśnie czasie katalog wybitnych dzieł sztuki, który niedawno pojawił się na rynku. Stojący za tym pośrednik, niejaki Domhelm, opowiedział, że wystawione na sprzedaż zbiory można kupić niedrogo, ale należy to zrobić bez zwłoki. Katalogi rozesłano podobno po całej Europie, a jeśli zjawią się kupcy z Niemiec i Francji, będzie za późno. – Zrobiła pauzę.

– Brzmi jak kryminał! – Rudi zatarł ręce i położył głowę na jej udach.

– Poczekaj, będzie jeszcze lepiej. Ale nie przerywaj – kontynuowała rozpromieniona Zosia. – Sprzedającym okazał się Jan Jakowicz, który mieszkał w Sitkowcach, w województwie, a właściwie obwodzie, winnickim, powiecie lipowieckim. Przez długie lata zbierał dzieła sztuki. W ratuszu odbyła się narada i wysłano do Sitkowic, po ukraińsku Sytkiwci, jednego z członków komisji. Wkrótce przyszła od niego depesza, że kolekcja jest ogromna: około czterystu obrazów, między innymi płótna Rafaela, Rembrandta, Rubensa,

van Dycka, Velázquez, Rivery, Watteau i innych mistrzów. Do tego duża kolekcja akwareli, rysunków, mebli, gobelinów, fajansów. Większa część tej kolekcji pochodziła z wcześniejszych zbiorów króla Stanisława Augusta oraz bogatych rodzin szlacheckich: Potockich w Tulczynie i Sitkowcach, Przeździeckich i Dębowskich. Uzyskano zgodę ratusza na wypłacenie uzgodnionej sumy: dwieście dwadzieścia pięć tysięcy koron. Pozostał do rozwiązania tylko jeden, ale ważny problem: dekret zabraniający wywozu dzieł sztuki za granice Imperium Rosyjskiego. Jak przewieźć taki skarb przez granicę? Musieli ryzykować! Wykorzystali mroźną zimę tysiąc dziewięćset siódmego i lenistwo rosyjskich pogranicznych żołdatów, którym nie zawsze chciało się wyjść podczas zawiei z ciepłej izby, aby sprawdzać przejeżdżające zaprzęgi sań. Tak przerzucono do Lwowa w jedną tylko noc sto sześć dużych pakietów.

– Nie do wiary! To tak u was zakłada się muzea? – Rudi nie krył rozbawienia.

– Masz rację, to była historia kryminalna. Prasa, ale i opinia publiczna grzmiąły. Głosy były podzielone: jednych cieszyła ta pełna fantazji akcja, większość, zarówno po polskiej, jak i ukraińskiej stronie, ją ganiła. Ale jak widzisz, Jakowicz nie przekazał wszystkiego albo też część swoich zbiorów wcześniej już podarował swoim dzieciom. Wiemy też, że to nie był jedyny autoportret Rembrandta w posiadaniu Jana Jakowicza, bo w zbiorach Lwowskiej Galerii Obrazów znajduje się jeden do dziś. Nic w tym dziwnego, bo ten malarz był znany z tego, że kochał siebie malować. Istnieje podobno nieomal sto jego autoportretów – dodała.

– Facet lubił najwyraźniej rysować wyraziste twarze, bo piękny to on nie był. Ale jestem pod wrażeniem. To musi być warte majątek! – Z uznaniem pokiwał głową.

– Właśnie dlatego ojciec mi go zostawił. Abyśmy w trudnej sytuacji mogły go sprzedać i sobie pomóc – powiedziała Zosia.

Nie wiedział, co powiedzieć. Nigdy nie był blisko tak wielkiego dzieła. Dosłownie oko w oko. Nigdy nie dotykał Rembrandta. Prawdziwy Rembrandt leżał na łóżku, w małym pokoiku na poddaszu, a oni patrzyli niepewnie na przemian na niego i na siebie. Oto następny problem, z którym muszą się zmierzyć.

– Ale jak udowodnić, że to prawdziwy Rembrandt? – zapytał.

– Nie wiem. Mam jedynie tu, w tej kopercie, poświadczenie młodego Jakowicza, że to płótno Rembrandta van Rijna i że od dnia szóstego listopada tysiąc dziewięćset trzydziestego czwartego jego właścicielem jest mój ojciec Adolf Kaczkowski, adwokat w Jaśle, zamieszkały, urodzony i tak dalej. Zobacz, na tylnej stronie płótna widnieją jakieś stemple. O tu, spójrz, ten na przykład poświadcza datę wernisażu w Jaśle. A to nasz stempel. Herb miasta.

– To ojciec wystawiał go na oficjalnych wystawach? – zapytał.

– Właściwie tylko raz, ale to następna długa historia. Ciekawa, bo łączy się też z moimi wspomnieniami. Piękny świat międzywojennej Polski. Jutro opowiem ci więcej – obiecała.

– Moja droga. Naprawdę nic teraz nie wymyślimy. Zrób, jak powiedział ojciec. Może nadarzy się jakaś okazja. Ale trzymaj to w tajemnicy – radził Rudi.

– Wiem. Przyznam ci się, że ojciec prosił, aby nawet mamie o tym nie mówić, że obraz jest tutaj. Ona nie potrafi kłamać. Na przesłuchaniu zaraz by się wygadała. – Zosia znowu starannie zawinęła obraz, wraz z listem Jakowicza, w gruby szary papier. Powstała paczka stała się znowu niepozornym, mało interesującym pakunkiem.

Twarz Zosi nagle wyraźnie posmutniała. Znowu wróciła do rzeczywistości, świadoma tego, że opowiada tak ważne historie niemieckiemu żołnierzowi, który w taki czy inny sposób przyczynił się do tego, że jej piękny stary świat zniknął. Wzięła zawinięty w papier obraz, pożegnała go szybkim pocałunkiem i cicho, na palcach zeszła do swojego pokoju.

Następnego wieczoru, po zakończonej lekcji, Zosia poprosiła Rudiego, aby jeszcze chwilę został u niej w pokoju, bo ma dla niego niespodziankę. Spojrzył na nią zdziwiony, ale uśmiechnęła się tylko tajemniczo i spokojnie zaczęła przygotowywać herbatę. Gdy na stole stały już filiżanki i dzbanek z herbatą, otworzyły się drzwi i z pachnącym wanilią ciastem na porcelanowym talerzu do pokoju wkroczyła pani Kaczkowska. Wkroczyła, gdyż wyglądała po prostu wytwornie w ciemnej granatowej sukni, wystarczająco obcisłej, by podkreślić zaskakująco zgrabną wciąż figurę. Jej głowę zdobił niezbyt duży elegancki kapelusz. Włosy miała misternie ułożone; pewnie zasługa Marii, która, jak słyszał od Zosi, była w tym mistrzynią. Twarz lekko przypudrowana, oczy podkreślone ciemną kredką, usta umalowane pięknym odcieniem czerwieni. Poczł dyskretny zapach dobrych perfum, które kiedyś wahał w Berlinie. Ani śladu po nieśmiałej kobiecie, którą od miesięcy, zwykle przypadkowo, spotykał na korytarzu domu. Miał przed sobą nie tylko damę, ale też prawdziwie atrakcyjną kobietę. Pełen zdziwienia zwrócił oczy w kierunku Zosi.

– Czyli niespodzianka nam się udała – odpowiedziała Zofia, stawiając na stole małą kryształową karafkę z nalewką wiśniową, śmiejąc się z jego niezbyt mądrej miny.

– Poprosiłam mamę, aby opowiedziała nam o starych dobrych czasach. O tym, czym było Jasło przed wojną. Ja też to przeżyłam, ale jako młoda osoba nie zawsze byłam dopuszczana do rozmów ze starszymi, którzy brylowali na naszych salonach. Myślę, że i ty, mamó, będziesz miała wiele frajdy, wracając we wspomnieniach do tych pięknych, beztrudnych czasów – zwróciła się do matki.

Starsza pani uśmiechnęła się i skłoniła lekko głowę w kierunku patrzącego na nią z fascynacją młodego człowieka. Bez pośpiechu, z gracją wzięła do ręki filiżankę, zgrabnie przytrzymując jej podstawkę od spodu lewą ręką. Na pierwszy rzut oka było widoczne, że nie grała: ta kobieta miała klasę, to był jej naturalny sposób zachowania, styl życia. Tak ją nauczono w domu rodzinnym.

– Słyszałam, panie Simon, że Zosia opowiadała już panu, że jej ojcem, a moim mężem, był znany tu w towarzystwie mecenas doktor Adolf Kaczkowski – płynnym niemieckim zwróciła się do gościa.

– Tak, to wiem. Jest mi bardzo przykro, że nie ma go tu z nami – powiedział Rudi, wciąż przyglądając się pani domu. Gdy ta rąbkim chusteczki obcierała sobie oko, mówiąc o rzekomo zmarłym mężu, Rudi, z ledwie widocznym uśmiechem, kątem oka spojrzął na Zosię.

– Boże, co za czasy! – dodała.

– Mamo, bardzo proszę, opowiedz nam o Jaśle, jakie znasz z tamtych czasów. Nie chciałabym, aby Rudi, to znaczy pan Simon, myślał, że to, co widać na ulicach, to prawdziwy obraz naszego miasta. – Zosia nieco się zmieszała, że pomyliła się, mówiąc o gościu na ty, ale jej mamę to wcale nie zdziwiło.

– Moi kochani, Jasło było naprawdę pięknym, atrakcyjnym i bogatym miastem, a dzięki naszym zacnym starostom, Antoniemu Zollowi i jego następcy, Juliuszowi Marossanyiemu, nawet zwykli mieszkańcy Jasła mogli spotkać na ulicach prawdziwie światowe sławy. Jak już wspomniałam, mój zacny mąż należał do elity tego miasta i niejednokrotnie mieliśmy szansę nie tylko spotkania się, ale też tańczenia i wspólnego śpiewania z ludźmi, którzy występowali na światowych scenach. Nie tylko w Wiedniu czy Berlinie, ale i za oceanem. Jakże wspaniałą kobietą jest Loda Halama (właściwie Leokadia), była primabalerina Teatru Wielkiego w Warszawie. Grała już w kilku filmach. Wie pan, że porównywano ją później do słynnej Josephine Baker? – zwróciła się do Rudiego.

– Znała ją pani osobiście? Bywała u państwa w domu? – Rudi słuchał z zachwytem.

– Ona osobiście nie, ale przez nasz dom przewinęło się wiele znakomitości, artystów sceny czy malarzy. Niedaleko nas, w tej malowniczej willi koło parku miejskiego, mieszkał na przykład Apolinary Kotowicz, znany krakowski malarz. Był nauczycielem malarstwa w naszym gimnazjum. Apolinary był uczniem Matejki, choć niezbyt przychylnie wyrażał się o swoim mistrzu, szczególnie gdy wypił ze dwa kieliszki.

– Mamo, opowiedz lepiej o Janie Kiepurze – poprosiła Zosia, chcąc pochwalić się jej koligacjami.

– O tym Kiepurze? Widziałem jego film *Die singende Stadt*. Wiem, że był nie tylko gwiazdą opery w Wiedniu. Był też gwiazdą światowego formatu – szczerze zdziwił się Rudi.

– O tak, on w starostwie bywał całkiem często. Najwspanialsze były wieczory, kiedy przyjeżdżał razem z Adamem Didurem. Światowej klasy tenor razem z „basem wszech czasów”. A do tego Antek Zoll, nasz starosta, wspaniały – choć tylko amator – baryton. Mówiono o nim – już nie pamiętam, skąd to wiem, ale utkwilo mi w pamięci – że to osoba o niezwykłym uroku osobistym, człowiek pełen humoru, raczej lekko traktujący obowiązki zawodowe, za to bardzo poważnie obowiązki towarzyskie.

Cała trójka się roześmiała.

– Tak, to były rauty! Czasem towarzyszył naszym śpiewakom Zygmunt Dygat, świetny pianista, zresztą jeden z uczniów samego Ignacego Paderewskiego. Był też profesorem fortepianu w Konserwatorium imienia Rachmaninowa w Paryżu. Oj, tu się działo. – Pani Kaczkowska była w swoim żywiole. Opowiadała uciechne anegdoty, które pewnie niewielu słyszało, bo jak mówią, to, co dzieje się na zamkniętych imprezach w dobrym towarzystwie, pozostaje też w tym towarzystwie. Młodzi mieli wiele radości, szczególnie Zofia, widząc po raz pierwszy od lat swoją mamę w tak dobrym humorze.

– Mamusiu, pamiętasz tę prywatną wystawę, którą zorganizował starosta Marossanyi, gdzie tata też wystawił swój obraz? – zapytała Zofia, by przekierować rozmowę na temat, który obecnie ją i Rudiego najbardziej interesował.

– Oczywiście. To też była cudowna impreza. Zakończyła się jak zawsze zabawą i tańcami. Od roku trzydziestego starostą był już Juliusz Marossanyi, to węgierskie nazwisko i pisze się właściwie z kropką nad „a”. Juliusz, podobnie jak mój Adolf, był prawnikiem i obaj bardzo się lubili. Prowadzili też jakieś wspólne interesy. To było chyba w trzydziestym siódmym roku, kiedy to Stanisław Ignacy Witkiewicz, lepiej znany jako Witkacy, namalował portret jego córki, Wandy. Juliusz chciał się nim pewnie pochwalić, a oprócz tego była to znowu dobra okazja do zaproszenia do Jasła towarzystwa z wielkiego świata. Był oczywiście też Antoni Zoll, który sam całkiem nieźle malował, choć tylko amatorsko. – Pani Kaczkowska zrobiła pauzę i umoczyła usta w kieliszku z wiśniówką. Później kontynuowała:

– W budynku starostwa zorganizowano wystawę, a starosta wcześniej osobiście prosił bardziej zacnych mieszkańców, aby użyczyli na te dni swoje cenne dzieła sztuki. Aby dodać wystawie powagi, autentyczność obrazów została sprawdzona przez rzeczoznawcę z Krakowa, z uniwersytetu, i opieczętowana na tylnej stronie naklejką, opatrzoną dużym stemplem miasta: „Wystawa – Jasło 1937”. Zebrała się naprawdę godna uwagi kolekcja. Było dużo dzieł wspomnianego już Apolinarego Kotowicza, ale też słynny obraz Jana Bieszczada z tysiąc osiemset dwudziestego szóstego roku *Pożar Jasła w 1826*. Lecz wszystkie dzieła, z obrazem Witkacego włącznie, przebiło niewielkie płótno wypożyczone przez mojego męża. Autorem jest... No, nie chciałabym teraz mówić, co to za obraz, ale to naprawdę mistrzowska robota. A jako że było to dzieło niezwykle cenne, poprosiliśmy organizatora, Juliusza Marossanyiego, aby podał w katalogu wystawy tylko, że chodzi o płótno „wypożyczone ze zbiorów prywatnych”. Bez podawania naszego nazwiska. Były jeszcze dwa czy trzy dzieła oznaczone w ten sposób, bo nie tylko my posiadaliśmy cenny obraz zachodni. Mój Adolf nie należał do tych dziwaków, którzy trzymają sztukę pod kluczem, nie pozwalając nikomu się nią nacieszyć. Planował, że gdy przejdzie na emeryturę, wypożyczy obraz na stałe do muzeum we Lwowie. Ale myślę, że w mieście i tak rozeszła się plotka, że to nasza własność. No cóż, obraz ten wziął mój małżonek ze sobą do... – Pani Kaczkowska ugryzła się w język i zmieniła temat.

I tak była z siebie bardzo dumna, że nie wygadała się przed obcym, że chodziło o obraz samego Rembrandta. Barwnie opowiadała jeszcze, jacy to znamienici goście zaszczylili wówczas wernisaż, oraz związane z nimi anegdoty.

To spotkanie w pokoiku Zosi było dla wszystkich tam obecnych jednym z piękniejszych wspólnych wieczorów; dzięki wspomnieniom starszej pani przenieśli się do innego, lepszego świata.

⁷ Polski tytuł: *Neapol, śpiewające miasto*.

ROZDZIAŁ 18

Jasło

maj–czerwiec 1941 r.

Dni mijały, a oni cieszyli się każdym z nich, nie wiedząc, co przyniesie jutro. Było jasne, że pułk, w którym służył Rudolf, nie będzie beczynnie stacjonować tu przez lata. Wciąż nie znali rozsądnego rozwiązania ważnego problemu: co będzie z Zosią i jej rodziną, dopóki Rudi nie wróci?

Wiedzieli, że nowy starosta, doktor Walter Gentz, który na początku lutego zastąpił na tym stanowisku Ludwiga Losackera, przewyższa poprzednika bezwzględnością i zachowuje się jak niekoronowany król tego miasta. Osoby znające się na zasadach administracji widziały, że Gentz w porównaniu z kompetencjami, jakie mieli jego odpowiednicy na zachodzie, w Reichu, znacznie rozszerzył swoją władzę. W Rzeszy obok urzędu starosty istniała też sieć innych urzędów, których funkcje często ze sobą konkurowały, a przez to organy te wzajemnie się kontrolowały. Jednym z ułatwień znoszących ograniczenia władzy starostów w Generalnej Guberni było to, że tu nie musieli się oni tłumaczyć przed partią. Tu oni sami mieli uprawnienia okręgowego przewodniczącego partii. Podlegali tylko zarządowi w Krakowie. A ten był daleko. Tu rządził starosta, który miał prawo wydawania dowolnych zarządzeń i podejmowania decyzji, które w swoim duchu – cokolwiek to oznacza – „powinny być jedynie zgodne z celami i zaleceniami generalnego gubernatora”. A Gentz szczycił się dobrymi stosunkami z gubernatorem Frankiem.

Czuł się nietykalny i każdym swoim gestem to okazywał. Od samego początku wszyscy się go bali. Do tego, że z pogardą traktował Żydów, wszyscy zdążyli się przyzwyczaić. Jakby to było normalne. Ale on również nienawidził Polaków i wszystkiego, co polskie. W odróżnieniu od swojego poprzednika, doktora Losackera, od pierwszych dni swoich rządów wprowadził w mieście pruski dryl. Z ratusza usunął płaskorzeźby króla Władysława Jagiełły i królowej Jadwigi. Zorganizował też wystawę dorobku powiatu. Dla niego rządy wiedeńskiego cesarza w Galicji były rządami niemieckimi; zgodnie ze sloganem powtarzanym na propagandowych plakatach przed przyłączeniem Austrii do Rzeszy: *ein Volk – ein Reich – ein Führer* (jeden naród – jedna Rzesza – jeden wódz). Gentz wierzył w „naturalnie wspólny naród i jego korzenie”, wspólną przyszłość, ale także wspólną historię. W fanatyczny sposób starał się udowodnić niemiecki rodowód tego

miasta. W krótkim czasie wysiedlił wielu polskich mieszkańców z centralnych ulic rynku, wprowadzili się tam Niemcy. Sam, wraz z rodziną, też tam rezydował – zajął wygodne mieszkanie w budynku starostwa.

Rudolf tylko raz, zupełnie przypadkiem, zobaczył tego człowieka na własne oczy. Było późne popołudnie. Stał z dwoma kolegami blisko rynku. Nie było ruchu, więc nie zwrócili uwagi na to, że stali na ulicy. Rozmawiali głośno, zastanawiali się, jak spędzić nadchodzący wieczór, i nie zwrócili uwagi, że ulicą zbliża się w ich kierunku grupa złożona z trzech jeźdźców. Zalegał jeszcze śnieg, nie było słychać stukotu kopyt. Rudolf stał do nich tyłem, a koledzy, widząc, że ktoś jedzie, powoli zeszli z ulicy. Wtedy usłyszał za sobą rozkazujący ton:

– Hej, żołnierzu. Śpicie? To porządne niemieckie miasto! Tu panują ład i zasady. Wynocha z ulicy!

Rudolf stał, zaskoczony, bo nie był przyzwyczajony do takiego traktowania. Koledzy cofnęli się niepewnie.

– To starosta, doktor Gentz – powiedział cicho jeden z nich.

Rudolf obrócił się. Tuż za nim stały okazały biały ogier. Aby zobaczyć, kto mówi, musiał spojrzeć do góry. Doktor Gentz miał na sobie zimowy płaszcz, na lewym ramieniu czerwoną opaskę z czarną swastyką na białym tle. Głowę w oficerskiej czapce trzymał prosto, jedynie oczy skierował w dół. Widać było w nich dumę i butę władcy, dla którego jakiś tam żołnierz stający mu na drodze niewart był uwagi.

Jeden z kolegów wziął Rudolfa za rękaw i pociągnął w kierunku chodnika.

– Idziemy. – Klaus wiedział, że Rudi bardzo nie lubi, jeśli ktoś bez uprawnień wydaje mu polecenia. Szczególnie takim tonem. Gentz nie był jego przełożonym, oficerem, tylko urzędnikiem.

Rudi uznał jednak, że nie ma sensu rozpoczynać draki, i odeszli. Zimna, władcza, pełna pogardy twarz wbiła mu się w pamięć na tyle, że raz nawet o Gentzu śnił. Obudził się oblany potem, bo Gentz chciał mu odebrać Zofię. Wziął ją za rękę i pociągnął ku sobie. Nie walczył, nie szarpał się z Rudim; uczynił to ruchem nieznoszącym sprzeciwu. Po prostu sięgnął po nią jak po swoje. To był tylko sen, ale Rudi znienawidził tego człowieka. Gdyby Gentz wtedy choćby tknął Zosię, ba, na nią spojrzął, Rudi nie wahałby się nawet przez chwilę, by użyć broni.

Wtedy jeszcze nikt nie wiedział, że drzemiący w tym człowieku sadyzm, chęć przypodobania się przełożonym, wypełnienia oczekiwań Führera, dopiero się rozwinie. Okoliczna ludność zasłużenie nadała mu później przydomek Diabła z Düsseldorfu.

Od czasu, gdy Rudi dowiedział się o żydowskim pochodzeniu Zofii, źle sypiał. Bywało, że zasypiał dopiero przed świtem, bo nocami rozmyślał, szukając rozwiązania ich problemów. Ani razu nie pomyślał, aby porzucić Zofię, odwrócić się od niej. Ale był realistą. Gdy rozmawiał z nią, nadrabiał miną, choć tak naprawdę był w kompletnej rozsypce. Z dezercją z wojska nie miałby wewnętrznych problemów, tylko co to da? Co

będzie dalej? Nie uda im się przecież wyjechać „na koniec świata”, jak często marzyli. Ani w Rzeszy, ani tutaj nie było dla nich bezpiecznego miejsca. Zresztą jako najstarsza córka Zosia czuła się zobowiązana opiekować swoją matką, więc dalej jak do Krakowa by nie pojechała.

Jedynym realnym rozwiązaniem było faktycznie zdobycie krzyża zasłużonych. Krzyż Żelazny, *Eisernes Kreuz*, tradycyjne pruskie, potem niemieckie odznaczenie wojskowe nadawane za męstwo na polu walki i wybitne sukcesy dowódcze, był więc jedynym sensownym wyjściem. Rudi nie kłamał, mówiąc o tym Zosi. Rodzina kawalera EK, żona i dzieci, miała prawo wystąpić o wyjątkowe zezwolenie na małżeństwo, zwalniające ich z ograniczeń przepisów rasowych (*Nürnberger Rassengesetze*). Po otrzymaniu specjalnej zgody Ministerstwa Spraw Wewnętrznych oraz Kancelarii Partii cała nowa rodzina zostaje uznana za obywateli bez rasowej skazy. Słyszał jednak o powiedzeniu Goeringa, że to on decyduje, kto jest Żydem, a kto nie. Nie wiadomo więc, czy sam krzyż i litera prawa pomogą, jeśli zabraknie odpowiednich znajomości. Sprawa nie była beznadziejna. Najpierw musiał zdobyć Żelazny Krzyż! Nie wiedział jeszcze, jak to zrobi, wiedział, że nie będzie łatwo, ale był pewien, że mu się to uda!

Czas uciekał bardzo szybko. Dużo za szybko. W maju pułk Rudiego otrzymał rozkaz mobilizacyjny. Rozkaz przyszedł nieoczekiwanie. Mieli przemaszerować przez Przełęcz Dukielską do Koszyc w Słowacji, zabrać ze sobą cały sprzęt. Ładowanie rozpoczęło się natychmiast.

Wieczorem, podczas ostatniej lekcji, Rudolf pożegnał się z Zosią. Szeptali sobie cicho gorące zapewnienia miłości. Zosia płakała, ale pod koniec spotkania opanowała się. Nie chciała, by ktoś obcy zauważył ślady łez. Dała mu kilka swoich zdjęć, które szybko schował. Zaraz po tym pożegnał się z rodziną Kaczkowskich. Wszyscy siedzieli razem w salonie, nikt nic nie mówił. Obie córki w milczeniu patrzyły przed siebie. Obie unikały jego wzroku.

Kiedy następnego wieczoru Rudolf schodził na dół, czuł się zawstydzony. Ciągle miał jeszcze w pamięci wczorajsze przytłaczające pożegnanie. Wy tłumaczył, że to były tylko ćwiczenia. Wszystkie panie miały jednak świetny humor i wyglądały, ku jego zdziwieniu, jakby wcale nie były zaskoczone tym, że znowu się pojawił. One już to wiedziały! Najwyraźniej służba wywiadowcza i miejska poczta pantoflowa doskonale działały, bo one dowiedziały się o tym zaraz po tym, jak oddziały zawróciły. W niektórych sprawach mieszkańcy byli równie dobrze poinformowani jak on i jego żołnierze.

Niedługo później pułk Rudiego został faktycznie przeniesiony. Okazało się, że w rejonie Jasła będzie stacjonować jeszcze kilka dywizji. To już nie były ćwiczenia. Jakiś czas

stacjonowali w Męcince i znowu ich przeniesiono. Tym razem niedaleko, tylko do sąsiedniej wsi Jedlicze, oddalonej od Męcinki o pół godziny marszu.

W tamtym okresie był jeszcze kilka razy w Jaśle. Odwiedził także Zofię. Ale jednego dnia to ona zrobiła mu niespodziankę. Odwiedziła go, przyjechała ze znajomą rowerami. Rudi skończył właśnie obiad i wyszedł przejść się po pustawej ulicy.

– Zofia! Co tu robisz? – zapytał zdziwiony. Był zaniepokojony – może coś się stało?

– Jesteśmy tu z Joasią na przejażdżce. To moja najlepsza przyjaciółka, Joasia Walęda. Ona o nas wszystko wie. Nie przejmuj się, nie mówi po niemiecku, ale nie mamy przed sobą tajemnic. Musiałam cię znowu zobaczyć.

Joasia, szczupła blondynka z włosami związanymi w długi warkocz, najpierw obserwowała go z nieskrywaną ciekawością, uśmiechając się tajemniczo, a zaraz później z równą uwagą zaczęła przyglądać się niedalekim krzakom i drzewom. Taktownie, jakby naprawdę ją zainteresowały.

– Kochana, tak się cieszę, że mnie odwiedziłaś! Ale tu nie możemy rozmawiać. Zaraz z namiotu wysypie się zgraja ciekawskich żołnierzy, głupich dowcipnisiów. Oszczędźmy sobie tego kabaretu. Spotkajmy się jutro, najlepiej o ósmej wieczorem. Spędzimy ze sobą całą noc. – Wyjął notatnik, wyrwał kartkę, szybko naszkicował na niej plan terenu i objaśnił jej, gdzie się spotkają.

Pożegnali się, podając sobie oficjalnie rękę.

Początek czerwca tego roku był wyjątkowo piękny. Krótkie noce były już ciepłe. Rudi zaplanował, że tym razem wreszcie spędzą razem całą noc jak prawdziwa para. Dwa prześcieradła i koce dzień wcześniej zawiózł i schował w zagajniku. Nocą ledwie zmrużył oko, marzył o ich pierwszej całej nocy razem. Tak bardzo chciał obudzić się obok niej. W Jaśle, na Piotra Skargi, nie mogli sobie na to pozwolić.

Teraz, gdy wiedział, że wyrusza na wojnę, myślał tylko o niej. Naprawdę zrozumiał, że musi iść walczyć! Chciał wyruszyć jak najszybciej. Dla nich. O tym, że może już nigdy się nie spotkają, nawet nie pomyślał.

Umówili się w połowie drogi między Jasłem a Męcinką. Zofia powiedziała matce, że odwiedzi krewnych. Mama się nieco zdziwiła, choć prawdopodobnie domyśliła się, co się święci. Oboje znaleźli się na miejscu przed umówionym czasem.

Usiedli, aby nikt, nawet z daleka, ich nie mógł zauważyć. Rudi już wcześniej wyszukał dla nich to gniazdko, które wcześniej wyścielił trawą, zanim rozłożył koce. Tulili się do siebie, całowali. Później kochali się. Bardzo długo. Z namaszczeniem, powoli rozkoszowali się każdym dotykiem, każdym pocałunkiem. Gdy połączyli się, uchwyciła go żelaznym uściskiem, jakby nigdy już nie chciała go puścić. Przez jakiś czas leżeli tak oboje w bezruchu. Gdy nagromadzona od tygodni napiętność zelżała, leżeli obok siebie, patrząc

sobie w oczy. Trzymali się za ręce. Wszystko, co najważniejsze, wydawało się już dawno omówione. O tym, że może to być ich ostatnie spotkanie, nawet nie wspomnieli. Pierwsza odezwała się Zosia.

– Rudi – powiedziała cicho, podnosząc do góry rękę. Pięść miała zaciśniętą.

– Słucham cię, moja droga – odpowiedział. Nie widział jej twarzy, jedynie wyprostowaną rękę.

– Chciałam ci przekazać coś, co jest dla mnie bardzo ważne. To prezent od mojej mamy. Podobnie jak Maria otrzymałam to jako malutka dziewczynka.

– A co to?

– Medalik. Przedstawia Świętego Antoniego. To specjalna jasielska edycja, limitowana, podobno poświęcona w samym Rzymie. To mamy ukochany święty. Jak twierdzi, to święty, na którego zawsze można liczyć. Nigdy jeszcze jej nie zawiódł. Dlatego chcę, abyś miał go zawsze przy sobie. Aby chronił cię na wojnie. Jest patronem zakochanych i narzeczonych. Ale też, co ważniejsze, patronem osób i rzeczy zaginionych. Nie chcę, abyś mi się zgubił. Niektórzy nazywają go patronem od spraw beznadziejnych.

– Kochanie, nie mogę go przyjąć. Twoja matka na pewno by nie chciała, aby ten święty chronił mnie, niemieckiego żołnierza. – Nie bardzo wiedział, co zrobić. Był katolikiem, ale nigdy nie interesował się świętymi, patronami. Słyszał o tym świętym, w Niemczech też był znany jako ten, który pomaga w poszukiwaniach. Niektórzy nazywają go nawet patronem bałaganiarzy, tych, którzy ciągle coś gubią. Także grzybiarze, szukający grzybów, wymieniają w lesie pozdrowienie *Antonius behüte* lub *Antonius mit euch* (Antoni niech będzie z wami) – powiedział z uśmiechem.

– Ale mama przecież wie, że cię kocham. A ważniejsze jest teraz, aby chronił ciebie. Ja sobie tu poradzę, a ty idziesz w nieznane. I tylko jeśli szczęśliwie wrócisz, z tym krzyżem zasługi, mamy szansę na szczęśliwe życie w tym piekle na ziemi. Jak widzisz, naszyjnik działa skutecznie; tylu ludzi żydowskiego pochodzenia zginęło lub mają poważne kłopoty, a nasza rodzina uchowała się bez większych problemów. A w domu mamy jeszcze dwa inne medaliki – mamy i Marii – przekonywała go.

– Rozumiem. Zróbmy to dla nas. – Podniósł się, a ona zawiesiła mu na szyi srebrny niepozorny medalik na delikatnej, ale mocnej jedwabnej plecionce.

Obejrzał go uważnie. Był wielkości dużej wiśni. Na jednej stronie widniał Święty Antoni z Padwy. Jako katolik znał tego świętego. Zosia mówiła mu, że często się do niego właśnie modliła w kościele Ojców Franciszkanów. Na rewersie medalika widniał herb. To musiał być herb Jasła.

– Czy nasz związek nie jest idealnym przypadkiem, pasującym do tego świętego? Przypadek beznadziejny – powiedziała ze smutnym uśmiechem. – Ale teraz, gdy masz ten medalik, nigdy już mi się nie zgubisz – dodała i mocno pocałowała go w usta.

Nie ubierając się, Zosia wyjęła z koszyka, który przywiozła ze sobą, świeży, dzisiaj pieczony chleb, ser, gotowane jaja i pęto kiełbasy. Rudi dumnie zaprezentował butelkę

wina, którą udało mu się załatwić w oficerskiej kantynie. Było znacznie lepsze od tego przydziałowego, które otrzymał na Boże Narodzenie. Miał ze sobą też korkociąg i dwa blaszane kubki. Przez cały dzień czekania na siebie nie myśleli o jedzeniu, teraz oboje mieli wilczy apetyt. Zosia opowiadała mu najnowsze plotki z Jasła. Znowu się śmiali.

Gdy zjedli, zrobiło się już prawie ciemno. Zosia szybko posprzątała, a Rudi w tym czasie przygotował ich łóżka. Położyli się obok siebie, patrząc sobie w oczy. Zosia gładka powoli, bez pośpiechu, jego twarz. Była tak z niego dumna. Wierzyła w każde jego słowo. Wiedziała, że jeśli jej przyrzekł, że wróci z Żelaznym Krzyżem, tak będzie. Schyliła się i pocałowała go. Gdy ich gołe ciała znowu się dotknęły, oboje poczuli potrzebę wtulenia się w siebie. Dzisiaj mieli czas, nie musieli się spieszyć. Rozkoszowali się tym dotychczas nieznanym sobie uczuciem.

Później przykryli się prześcieradłem i patrzyli w rozgwieżdżone niebo. Szukali razem znanych gwiazdozbiorów.

– Lubię patrzeć w nocne niebo. Mam wtedy wrażenie, że jestem w przyszłości. Bo gwiazdy, które widzimy teraz, wysłały przecież swoje światło już dawno, dawno temu. Wiesz, że światło Gwiazdy Polarnej, tej najjaśniejszej gwiazdy w Małej Niedźwiedzicy, potrzebowało ponad czterystu lat, aby dotrzeć teraz do nas? Więc z jej punktu widzenia jesteśmy w przyszłości – mówił Rudi jakby do siebie, w zamyśleniu.

– Wspaniale! Wyobrażam sobie, że patrzymy na dzisiejszy świat z przyszłości. Że jesteśmy dwadzieścia lat dalej. Że to, co dzieje się teraz, nas już nie dotyczy. Że jestem już znacznie dalej. Wystarczy dwadzieścia lat – powiedziała z uśmiechem, który widział, czuł nawet w ciemności.

– Tak, wojna się skończy i będziemy już na zawsze razem. Razem z naszymi dziećmi. – Odwrócił się i pocałował ją. Potem przytulił się do niej i po chwili usłyszała jego spokojny regularny oddech.

Zosia długo nie mogła zasnąć. Zastanawiała się, co wie o swojej przyszłości. Przeszłość, dzieciństwo i szkoła były piękne. Teraźniejszość, którą zna, bywa straszna, ale przynajmniej ją zna. Teraz jest dobrze, ma Rudiego, kocha go, czuje ciepło jego ciała. A przyszłość? Co ją czeka? Patrzyła na przyszłość z obawą; była dla niej obcym, chłodnym i samotnym miejscem.

Przeżycia tego dnia w końcu i ją zmoęły.

Dwudziestego drugiego czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku nad ranem Rudiego obudził nagle stłumiony huk artylerii, kilka chwil później usłyszał pierwsze niemieckie bombowce lecące w kierunku wschodnim. Rozpoczęła się wojna przeciwko sowieckiej Rosji. Pierwsze doniesienia o sukcesach niemieckich oddziałów

budziły w nim wiarę w przyszłość. Dwudziestego piątego czerwca czterdziestego pierwszego roku wyruszył w bój także jego pułk. Przez San przeprawili się koło Radymna.

Każdego wieczoru oglądał i całował naszyjnik, który tak długo nosiła na piersi Zofia. Musi pomóc mu przetrwać, aby mógł wykonać swoje zadanie! Co będzie później, zobaczy. Najpierw musi wrócić jako bohater, przywieźć Krzyż Żelazny.

ROZDZIAŁ 19

Jasło

mieszkanie pani Katarzyny

wrzesień 2016 r.

Pani Katarzyna musiała odziedziczyć dar opowiadania po mamie, bo chociaż przesiedzieli u niej ponad dwie godziny, wszyscy bez wyjątku słuchali w skupieniu historii do końca. Gdy skończyła, zapadła dłuższa cisza. Po ich twarzach widać było, że opowiadanie było nie tylko fascynujące, ale i otworzyło im oczy na przebieg wydarzeń. Bartek, który czuł się niezręcznie po swoim nieudanym żarcie, troskliwie dbał o starszą panią, regularnie dopełniał jej szklankę wodą. Przypomniawszy sobie, że dawno nic nie jadł, i jako jedyny sięgał po ciasteczka, które tak zachwalała pani Katarzyna.

Gdy skończyła opowiadać, była zmęczona, ale szczęśliwa. Znowu mogła zainteresować kogoś tą tak piękną historią miłosną.

– Pani Katarzyno, co było dalej? Wiemy już, że Rudi odwiedził Jasło po wojnie, w pięćdziesiątym czwartym roku. Rozmawiał z ojcem Półchłopkiem? – zapytała Hanna.

– Tak? Naprawdę? To wspaniale! I co, odnalazł Zofię? – Starsza pani z wrażenia aż uniosła się w fotelu.

– Niestety nie. Franciszkanin podobno coś słyszał, że była aresztowana, a potem osadzona w obozie w Szebniach. A później słuch o niej zaginął – powiedział Bartek.

– O Boże, co za tragedia. – Głowa pani Katarzyny ponownie opadła na oparcie. Zamknęła oczy. Wszyscy spojrzeli po sobie. Wiedzieli, że jest bardzo zmęczona i musi odpocząć. Najwyższy czas, aby się pożegnać.

Niespodziewanie starsza pani otworzyła oczy i popatrzyła na nich, jakby chciała zakomunikować im coś jeszcze. W jej oczach widać było tym razem jakby zażenowanie. Wstyd? Cierpliwie czekali. W końcu zdecydowała się. Z wahaniem, jakby mówiła o czymś, co powinna powiedzieć wcześniej, ale zachowała to dla siebie.

– Mówiłam już, że mama z ojcem wyjechali z Jasła pod koniec czterdziestego pierwszego roku. Gdy byłam już nieco większa, chyba w czterdziestym trzecim roku, podobno wróciliśmy tutaj kiedyś w gości do rodziny. Mama opowiadała mi, że pytała o Zofię, ale nikt o niej nic nie wiedział. Miała wrażenie, że jej rodzina coś przed nią zataja, że wiedzą więcej. Wtedy ludzie niechętnie mówili o tych, którzy zaginęli czy wyjechali. Szczególnie jeśli chodziło o mieszkańców żydowskiego pochodzenia. Nie chciała

naciskać. Pogodziła się z tym. Ktoś z jej szkolnych kolegów wspomniał jednak o aresztowaniach, które rzekomo zarządził osobiście ten Diabeł z Düsseldorfu, Gentz. – Twarz starszej pani wskazywała na silne emocje. Mówiła powoli, z widocznym trudem.

– To nazwisko zna w Jasle każdy, kto choć trochę interesuje się historią – zwrócił się do swoich gości Bartek i podał pani Katarzynie szklanke z wodą.

– O tak. Podobno znalazł coś na rodzinę Kaczkowskich. Także i Anna Jawor została wtedy aresztowana. Nie rozumiem dlaczego, bo ona nie była żydowskiego pochodzenia. Te dwie dziewczyny łączyło tylko to, że przed wojną ich ojcowie byli tu bardzo szanowanymi obywatelami. Obaj należeli do elity tego miasta, byli też majątni. Wcześniej być może nawet się nie znały, podobno raz czy dwa spotkały się przed wojną na jakimś bankiecie zorganizowanym przez starostę. Były tam z rodzicami. Podobno ta Anna, moja mama jej nie znała, przeżyła wojnę. Po zburzeniu Jasła już tu nie wróciła. Wyjechała do Krakowa.

Pani Katarzyna znowu zamknęła oczy, ale teraz jej twarz wyglądała zupełnie inaczej. Była spokojna, odprężona, zrelaksowana. Wydawało się, że nawet się uśmiecha. Na jej decyzję, by przyznać, że wie coś o losach Anny Jawor, wpłynęła pewnie wiadomość, że Rudi przeżył wojnę. Nie znała go, ale darzyła sympatią. Fakt ten zmienił jej spojrzenie na tę romantyczną historię. Wcześniej traktowała ją jako historyczny przekaz, jakby legendę z dawnych lat. Teraz znowu była to żywa historia realnych, cierpiących ludzi. O tym nie wiedziały ani ona, ani jej matka. Nie przyczyni się do tego, że para kochanków, których miłość była zakazana prawem, kiedyś się odnajdzie, ale przynajmniej ktoś znajdzie jej prawdziwe zakończenie. Teraz dopiero zdała sobie sprawę z tego, dlaczego jej matka tak często wracała do tej historii. Może nie była to tylko tęsknota za minioną młodością i młodzieńczą przyjaźnią? Może próba uciszenia wyrzutów sumienia, że nie zainteresowała się losem swojej jedynej serdecznej przyjaciółki? Przez całą wojnę jej nie zdradziła, nie powiedziała nikomu o ich romansie! Nikomu! Nawet swojej matce. Ale i tak źle się z tym czuła. Nawet z nią, jej córką, nigdy tematu nie zgłębiała. Dzisiaj pierwszy raz ta miłosna historia wyszła poza rok czterdziesty pierwszy, poza chwilę, kiedy Zofia i Rudi się pożegnali. On wrócił, ale gdyby się spotkali, jej matka nie mogłaby mu nic powiedzieć, co z nią się stało. Wtedy po prostu się bała. Wołała nic nie wiedzieć.

Pani Katarzyna odczuła ulgę. Zrzuciła z siebie, może też i ze swej matki, ciężar, który nosiły długie lata. Jej oddech stawał się coraz bardziej równomierny. Chwilę później starsza pani spokojnie zasnęła. Goście to zauważyli i spadł im ciężar z serca. Szczególnie Bartkowi, który przekazał jej wieści o tym, że pani Zofia zaginęła. Obawiał się, że ta informacja mogłaby ją niepotrzebnie zdenerwować.

Hanna szybko pozbierała filiżanki i inne rozstawione na stole części serwisu i zaniósła je do kuchni. Bartek okrył panią Katarzynę pledem, bo rozgrzana opowiadaniem i gestykulacją zdjęła go z siebie i położyła obok. Wyszli gęsiego na palcach i zamknęli za sobą drzwi. Kluczem, który tkwił w drzwiach od wewnątrz, zamknęli drzwi i położyli go

u góry, na framudze drzwi. Następnie Bartek zadzwonił do pani Jadwigi, by powiedzieć, że zostawili starszą panią śpiącą i że tego snu teraz bardzo potrzebuje.

Szara terenówka ruszyła z impetem w stronę Krakowa. Przez pierwszych prawie pięćdziesiąt kilometrów milczeli. Układali sobie w głowach zasłyszane informacje. Dopasowywali nowe kawałki obrazu do tego, co znali już wcześniej.

– Mówcie, co chcecie, ale jestem głodny jak wilk. Zanim dojedziemy do Krakowa, będzie po dziewiątej. Zatrzymamy się w najbliższym zajeździe? – odezwał się wreszcie siedzący za kierownicą Bartek. Był pewny, że jego burczenie w brzuchu wszyscy słyszą.

– Jestem za tym – przytaknął Norbert, patrząc na Hannę, która także skinęła głową.

Zatrzymali się przy z daleka widocznej restauracji z dużym napisem „Karczma”. Jej wystrój był zupełnie inny niż restauracje, w których byli w Krakowie. Wszędzie ciemne drewno, ciężkie stropy z belek, dużo dekoracji przypominających przedwojenną wieś; nie tylko stare żelazka i rozstawione lampy naftowe, ale też części uprząży, a nawet pojedynczy pług, stojący w sieni. Jadłospis odpowiadał dekoracji, wiele tajemniczo, ale też smakowicie brzmiących nazw. Tym razem nawet Hanna musiała prosić Bartka o pomoc w zrozumieniu tego, co skrywa się za niektórymi z nich. „Przaśny żurek naszej Jagny”? Okazało się, że on też nie do końca rozumiał, co autor nazw tych potraw miał na myśli. Teraz salomonową decyzję podjął Norbert.

– U nas mówią: *Probieren geht über Studieren*, w dowolnym przekładzie: zamówmy i spróbujmy, szkoda czasu na mędrkowanie.

Aby Norbert poznał bliżej kuchnię ludową, zamówili kilka dań: żurek, flaczki, barszcz ukraiński, placek po zbójnicku, no i schabowy dla Bartka. Bartek ostrzegł, że nie wszystkie są typowo polskimi daniami, jak na przykład placek, który Norbert wybrał bardziej ze względu na nazwę.

Gdy przyniesiono lemoniadę, wodę i piwo dla Norberta, wrócili do głównego tematu.

– Wiemy już – rozpoczął Norbert – że przez całą wojnę medalik miał Rudolf. Franciszkanin powiedział, że widział go u niego jeszcze w pięćdziesiątym czwartym roku. To oznaczałoby, że Rudolf był w garażu Gurlitta. Ale wiemy też, że groził mu ktoś zupełnie inny, przedsiębiorca z Hanoweru. – Spojrzał pytająco na Hannę, a później na Bartka.

– Rudolf chyba nie mógł znać Gurlitta, nie mógł też wiedzieć, że Gurlitt był w kontakcie z Gentzem. Jak mogły się skrzyżować drogi byłego żołnierza, gimnazjalnego nauczyciela, z wybitnym historykiem sztuki? I dlaczego chciałby go zabić? – zastanawiała się Hanna.

– Właśnie, a jeśli nawet Rudolf odwiedziłyby w poszukiwaniu tego obrazu wszystkich marszandów w Niemczech, do Gurlitta by przecież nie poszedł, bo ten był ekspertem od modernizmu, a nie sztuki niderlandzkiej. Szybciej znalazłby Gentza, bo ten się nie ukrywał. Gentz żył nienękany przez nikogo aż do sześćdziesiątego siódmego roku. Zresztą, skąd Rudolf mógł mieć pewność, że obraz był w rękach Gentza? – Norbert próbował łączyć fakty, ale dalej nic z nich nie wynikało.

– Znając reputację tych bandytów i ich „zamiłowanie do sztuki”, to prześcigali się, kto nakradnie więcej. Pewnie Gentz w jakiś sposób wymusił od Zofii ten obraz – zasugerował Bartek. – Przecież jego kumpel, Hans Frank, gubernator generalny, wywiózł z Krakowa połowę skarbów z Wawelu. No i obaj podzielili ten sam los: Franka powieszono w Norymberdze, a Gentz nie chciał być gorszy, więc sam się powiesił w Düsseldorfie.

Kelnerka akurat przyniosła zupę i Bartek zajął się jedzeniem. Hanna poprosiła o dodatkowe dwa talerze, aby jej mąż, który wybrał barszcz ukraiński, mógł spróbować także innych dań. Smakowały mu, choć próbował je bardzo ostrożnie, ledwie zanurzając łyżkę.

– To co nam pozostało? – zapytał pokrzepiony flaczkami Bartek. – Ja zajmę się poszukiwaniem tej Anny Jawor, która w pewnym sensie dzieliła los z Zofią Kaczkowską. Jeśli mieszkała od wojny w Krakowie, to wykopię ją, choćby spod zie... – Zatrzymał się w połowie słowa, świadom, że niepotrzebnie daje się ponieść emocjom.

– Dobrze, Bartku. Wtedy dowiemy się, co się działo w Jaśle po wyjeździe Rudolfa. No i czy Gentz faktycznie odebrał Zofii obraz i jak. Spróbuję dowiedzieć się czegoś więcej o Rudolfie; przede wszystkim czy miał kontakt z Gurlittem i Gentzem – potwierdził Norbert.

– Czas leczy rany, ale też otwiera niektóre z nich. Nawet takie, które wydają się już dobrze zabliźnione. Pani Katarzyna opowiedziała nam o tajemnicy jej mamy. W powojennych Niemczech ludzie równie niechętnie mówili o swoich tajemnicach i sekretach ludzi im bliskich. Miejmy nadzieję, że teraz są już bardziej rozmowni. Może niektórzy nawet będą wdzięczni, że pytamy, że ktoś jeszcze się tymi sprawami interesuje – na głos rozmyślała Hanna.

– Najtrudniej będzie poznać dzieje Rudolfa, bo nie mogę sobie wyobrazić, żeby opowiedział komuś o takim przestępstwie. To musiałyby być osoba bardzo zaufana, na przykład Zofia. A ona, jak wiemy, nie żyje, i to od dawna. Natomiast nie powinno być trudno odnaleźć człowieka, którego rok urodzenia, nazwisko i imię znamy i wiemy, że wrócił z niewoli w czterdziestym dziewiątym roku – stwierdził Norbert.

Drugie danie zjedli z równym apetytem. Zapłacili i ruszyli w dalszą drogę. Najedzeni odczuwali już tylko błogie zmęczenie. Starali się podtrzymać rozmowę, aby Bartek, który prowadził, nie zasnął. Ale ten był nie do pokonania. Następnego dnia mieli dzień wolny, a on już planował, kiedy się spotkają, by się pożegnać przed ich wyjazdem.

– Na wszelki wypadek jutro zapytam o stan zdrowia pani Katarzyny. Czy jej przypadkiem nie zamęczyliśmy na... – Spojrzał na Hannę i puścił do niej oko.

– Bartek, jesteś niepoprawny. – Zaśmiała się, a że siedziała obok niego, dała mu w bok kuksańca.

Norbert niezupełnie zrozumiał, o co w ich krótkiej wymianie zdań chodziło, ale się tylko uśmiechnął i znowu zamknął oczy. To był bardzo owocny dzień.

ROZDZIAŁ 20

Düsseldorf

Landeskriminalamt

Völklinger Straße 49

październik 2016 r.

Norbert Matula siedział za biurkiem w swoim przestronnym gabinecie przy Völklinger Straße. Pracował pod tym adresem od samego początku swojej kariery, ale ten nowoczesny gmach, mieszczący wreszcie wszystkich pracowników, otwarty został dopiero w dwa tysiące dziesiątym roku. Wszyscy w Niemczech chyba wiedzą, że w Düsseldorfie mają „najdłuższy bufet na świecie”, ulicę pełną knajpek i restauracji, choć tylko niewielu wie, że budynek Urzędu Kryminalnego posiada najdłuższy obraz: dzieło światowej sławy wiedeńczyka Petera Koglera – jego projekcja multimedialna ma długość około dwustu metrów i znajduje się na parterze budynku.

Nie był dzisiaj zbytnio zajęty, więc wrócił do sprawy, której nadali z Hanną kryptonim „Jasło”. Poszukiwania stanęły znowu w martwym punkcie. Kto był sprawcą morderstwa Hildebrandta Gurlitta? Jeśli to było morderstwo, bo na razie poruszali się w sferze poszlak. Znaleziony w garażu medalik bezsprzecznie należał wcześniej do Rudiego. Ale jak się tam znalazł? Teoretycznie możliwe było nawet, że Rudi zgubił go na ulicy. Ktoś go potrącił i jakoś zerwał mu go z szyi, a Gurlitt podniósł i wziął ze sobą. A później medalik wypadł mu z kieszeni w garażu, gdy wysiadał z samochodu. Naciągana teoria, jednak w zasadzie prawdopodobna i taką zaproponowałby każdy obrońca. Przecież nie może być żadnych powiązań między Rudolfem Simonem a Hildebrandem Gurlittem. Absolutnie żadnych.

Tylko co dalej? Ojciec zawsze mu mówił: jeśli się pogubiłeś, znalazłeś się w ślepej uliczce i nie wiesz, co robić, najlepiej zacznij jeszcze raz od samego początku. Zanim sprawę zamknęto, jego ojciec działał zgodnie z wymogami. Czy o czymś mógł zapomnieć, coś przeoczyć? Oględziny miejsca zbrodni, rozmowa z żoną, która widziała go ostatnia. To właściwie wszystko... Zamyślił się. Należałoby też rozmawiać z ludźmi w jego miejscu pracy. Kto widział go ostatni? Jego notatnik! Kiedyś ojciec pokazywał mu go razem z medalikiem.

Zadzwoił telefon i Norbert Matula zajął się sprawami służbowymi.

Gdy wrócił do domu, przysiadł za wiekowym biurkiem, które wcześniej stało w mieszkaniu jego rodziców. Przejrzał szuflady. Niewiele pamiątek po ojcu zachował, ale

niewielki szary notatnik dalej leżał tam, gdzie medalik. Powoli kartkował notatki, aż doszedł do jedenastego listopada tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Wtedy ojciec rozmawiał z panią Gurlitt. Jego uwagi zajmowały niecałe trzy strony. Ostatni zapis brzmiał: „porozmawiać osobiście z sekretarką. Panna Helene Mertens. Rezolutna”. Gruba podwójna kreska oznaczała zamknięcie sprawy. Pewnie po rozmowie z szefem, dyrektorem LKA, Friedrichem D’heilem.

Przypomniał sobie, co mu ojciec o tej rozmowie powiedział. Dyrektor osobiście nakazał mu: „Zapomnijcie o niej, Matula, gada bzdury. Według mnie to zwykły wypadek samochodowy”.

To znaczy, że ojciec nie rozmawiał z panną Mertens. A więc zacznijmy od początku, czyli tam, gdzie ojciec skończył, sześćdziesiąt lat temu – pomyślał.

– Cholera, nie daj Boże, by była to stara panna, bo miałyby dzisiaj nie mniej niż sto lat. A jeśli była młoda i wyszła za mąż, to pewnie zmieniła nazwisko. – Norbert mówił do siebie, półgłosem, bo tak łatwiej mu było skoncentrować się na faktach.

Następnego dnia, zaraz po pierwszej kawie, wybrał numer telefonu Kunstverein w Düsseldorfie, przedstawił się i poprosił o połączenie z sekretariatem dyrektora.

– Kunstverein, sekretariat. Sonja Hübner przy telefonie – odpowiedział miły, nieco spięty żeński głos. Pewnie jej przekazano, że dzwoni dyrektor LKA.

– Dzień dobry, pani Hübner. Tu nadinspektor Norbert Matula, LKA z Düsseldorfu. Mam nietypowe pytanie. Wiem, że kobiet nie pyta się o wiek, ale bardzo mi zależy, by porozmawiać z kimś, kto ma możliwie długi staż pracy w sekretariacie. Mam bowiem pytanie dotyczące czasów dyrektora Gurlitta. A po pani głosie wnioskuję, że jest pani młodą kobietą – powiedział Norbert. Usłyszał, że jego rozmówczyni cicho parsknęła śmiechem.

– Szanowny panie nadinspektorze, nie wiedziałam, że nasza policja potrafi żartować. Doktor Gurlitt opuścił nas sześćdziesiąt lat temu! Tak długo nikt tu nie pracuje, nawet sekretarki. Dziękuję za mimowolny komplement, pana ocenę mojego wieku. Właśnie podchodzę pod sześćdziesiątkę. Mówię o moim wieku, nie o stażu pracy – odpowiedziała wciąż rozbawiona pani Hübner.

– Bardzo panią przepraszam, niezręcznie się wyraziłem. Ale ma pani taki młodzieńczy i miły głos – wytłumaczył się i tymi słowami udobruchał miłą sekretarkę.

– No to proszę pytać, może będę mogła pomóc – powiedziała.

– Muszę wrócić do dawnych czasów i najbardziej pomocna byłaby mi tu sekretarka doktora Gurlitta, panna Helene Mertens. Czy słyszała pani o niej? – zapytał z nadzieją, że szczęśliwe przypadki się zdarzają.

– Oczywiście. Tyle tylko, że pańska panna Mertens zrobiła w międzyczasie doktorat, wyszła za mąż, jest już od dawna na emeryturze i obecnie nazywa się doktor Helene Frommholz. Dobrze ją znałam, pracowałam z nią kilka lat. Ostatnio była tu wicedyrektorem, a później kilka lat pracowała jako dyrektorka jednego z muzeów

w Berlinie. Czy jeszcze coś chce pan wiedzieć? – zapytała, jakby chciała się z nim podroczyć.

– Jest pani skarbem! Takiej sekretarki mi potrzeba, jutro wyślę pani kwiaty. A może jeszcze mi pani powie, gdzie ona dzisiaj mieszka? – odpowiedział uradowany Norbert.

– Niestety, za rok idę na emeryturę, więc możemy zapomnieć o tym, że przejdę do LKA. Szkoda, pewnie i z kwiatów nici, bo po pierwsze, nie mamy tu jej adresu, a po drugie, przez telefon i bez odpowiedniego zezwolenia i tak bym go panu nie mogła przekazać. Ale dla pana nie powinno być trudne odnalezienie jej w urzędzie meldunkowym. Z tego, co wiem, dalej mieszka w Düsseldorfie. Życzę powodzenia! – powiedziała pani Hübner i odłożyła słuchawkę.

Znalezienie adresu pani doktor Helene Frommholz faktycznie nie było problemem. Nieco dłużej potrwało wyszukanie jej aktualnego numeru telefonu. Gdy tylko go otrzymał, wybrał jej numer. Po drugim dzwonku usłyszał kobiecy głos.

– Doktor Frommholz, słucham.

– Dzień dobry, pani doktor. Moje nazwisko Matula, Norbert Matula. Jestem zastępcą dyrektora LKA w Düsseldorfie – przedstawił się.

– Tak, słucham pana. – Na pani Frommholz jego tytuł najwyraźniej nie zrobił specjalnego wrażenia.

– Pani doktor, chodzi o dawną, bardzo dawną sprawę. Dotyczy ona okoliczności śmierci doktora Gurlitta, z którym pani kiedyś współpracowała – powiedział.

– Wiedziałam, że nasza policja nie jest najszybsza, ale teraz to pobił pan rekord! Zaraz, niech policzę. Tak, dokładnie sześćdziesiąt lat temu zadzwoniłam do dyrektora LKA i ten zbył mnie po dwóch zdaniach, mówiąc, że sprawa jest już zamknięta. A teraz zgłasza się pan. To jakiś żart? – zapytała. Jej głos nie brzmiał, jakby była rozbawiona.

– Bardzo panią przepraszam. To faktycznie wygląda na nieudany żart. Proszę pozwolić mi wytłumaczyć, dlaczego niepokoję panią. Przed sześćdziesięciu laty sprawę wypadku doktora Gurlitta powierzono mojemu ojcu, Janowi Matuli. Zajął się tym bardzo solidnie, znalazł w garażu dyrektora Gurlitta poszlaki mogące świadczyć o tym, że to nie był wypadek. W jego notesie, czytałem go powtórnie wczoraj, znalazłem następujący wpis: „porozmawiać z sekretarką, panną Helene Mertens”. Nie zrobił tego, bo już następnego dnia jego szef, dyrektor LKA, Friedrich D’heil, z którym pani rozmawiała, kazał mu zamknąć tę sprawę – wytłumaczył Norbert.

– A dlaczego pan ją teraz wznawia? – zapytała.

– Przyznam się szczerze, że to śledztwo prowadzę nieoficjalnie, prywatnie. Robię to dla mojego ojca. Daną mu przed jego śmiercią i zapomnianą przeze mnie obietnicę przypominała mi afera Corneliusa Gurlitta. Niestety, ale często tak już jest, że dla tych,

którzy powinni być dla nas najważniejsi, całe życie brakuje nam czasu. Chcę doprowadzić tę sprawę do końca. Dla jego pamięci, zranionej godności i honoru policjanta. Także dla ofiar i tych, którzy na tym ucierpieli. I pewnie też dla siebie. Chcę odkryć okoliczności tej popełnionej wówczas zbrodni, choć winnego już nie ukarzymy – powiedział lekko zamyślony.

– No i robi to pan także dla mnie. Nie ma pan pojęcia, jak się czułam. Wiedziałam, mogłabym przysiąc, że to nie był wypadek. Ale policja nawet nie chciała ze mną rozmawiać, wysłuchać mnie. Zapraszam pana do mnie, to porozmawiamy. Mój adres pan zna? – zapytała krótko i rzeczowo.

Norbert ucieszył się, gdy słyszał, że była w bojowym nastroju.

– Tak, oczywiście. Czy mogę przyjechać dzisiaj, zaraz? Tak, będę za jakieś pół godziny.

Zaparkował przed domem. To osiedle wybudowane zostało pewnie niedługo po wojnie, bo zasadzone w regularnych rzędach drzewa były już ogromne, dawały dużo cienia. Działka i dom nie były nazbyt duże, ale ogród imponował doborem bujnie kwitnących roślin. Trawniki także były bardzo zadbane.

Gdy wysiadł z auta, drzwi domu się otworzyły i na próg wyszła starsza, ale sprawnie poruszająca się kobieta. Miała na sobie obcisłe dżinsy i kolorową flanelową koszulę. Wyglądała, jakby właśnie skończyła pracę w ogrodzie. Była szczupłą, jej siwe włosy były ostrzyżone krótko.

– Dzień dobry panu. Jak się mam właściwie do pana zwracać? Rozumiem, że jest pan tu częściowo prywatnie – przywitała go.

– Proszę mi mówić po imieniu. Jestem Norbert. – Wyciągnął rękę na powitanie.

– Helene. Proszę, niech pan wejdzie, młody człowieku. Porozmawiamy o starych czasach – odparła z uśmiechem.

Przez długi przedpokój przeszli do salonu.

– Proszę się rozgościć. Kawa, woda, herbata? – zapytała.

Norbert poprosił o niegazowaną wodę i zajął miejsce w jednym z wygodnych foteli. Za chwilę Helene wróciła z dwoma szklankami i butelką wody. Norbert odkręcił zakrętkę, nalał wody do szklanek. – Ładnie ma tu pani, Helene. Szczególnie podoba mi się państwa ogród – szczerze pochwalił.

– Niestety, już nie nasz. Mąż zmarł prawie dwadzieścia lat temu. Podobało mi się, gdy pan powiedział, że dla tych, którzy powinni być dla nas najważniejsi, całe życie brakuje nam czasu. Podobnie było z moim mężem Helmutem. Dopiero gdy odszedł, zobaczyłam, jak bardzo był dla mnie ważny. Wcześniej moim życiem była sztuka, praca, muzeum. Długi czas mieszkałam w Berlinie, spotykaliśmy się tylko w weekendy. No cóż, człowiek wydaje się sobie taki mądry i racjonalny, a podstawowe najważniejsze mądrości odkrywa

dopiero na stare lata. Ale zacznijmy. Co chce pan wiedzieć? – zapytała, odstawiając szklanę.

– Wszystko to, co pani wydaje się ważne i co pomoże nam złożyć z tych kawałków puzzli jakiś czytelny obraz. Mówiła pani, że miała policji wiele do opowiedzenia, a ówczesny dyrektor LKA, Friedrich D’heil, to zignorował. Na szczęście te czasy, kiedy ludzie jego pokroju zajmowali najwyższe pozycje w urzędach i w polityce, dawno minęły. – Norbert wyjął notatnik i długopis i położył je na stoliku przed sobą.

– Nie jestem przygotowana, postaram się opowiedzieć wszystko, co wiem o Genty oraz o tym przedsiębiorcy z Hanoweru. Będę pewnie przeskakiwać z tematu na temat, ale jeśli coś wyda się panu niejasne, proszę pytać.

Najpierw przypomniała sobie, jak kiedyś dyrektor Gurlitt się rozgadał i opowiedział jej, jak spotkał Genty pierwszy raz, zaraz po wojnie, przy przystani. Później poznała Genty osobiście, zrobił na niej wrażenie człowieka bardzo pewnego siebie, a właściwie aroganckiego. Nie miała z nim osobiście żadnego spięcia, ale wystarczyło to, co opowiedział jej dyrektor. Bez owijania w bawełnę po prostu Genty zagroził mu, że go zniszczy, jeśli nie pomoże mu znaleźć kupca na obraz, który przyniósł. Gurlitt ponad miesiąc żył w panicznym lęku przed jego następną wizytą. Dopóki nie znalazł kupca na ten obraz. Jakiegoś Szwajcara.

Opowiedziała też o niespodziewanej wizycie innego gościa, przemysłowca z Hanoweru. Jak twierdziła, z daleka czuć było od niego duże pieniądze. Przeszedł tylko obok niej w sekretariacie i skinął jej głową. Zapamiętała, że był bardzo przystojny, elegancko ubrany i ładnie pachniał.

– W piątek przed tragedią, po telefonie od tego właśnie przystojniaka szef prawie narobił w spodnie ze strachu. Czasem Gurlitt zachowywał się dziwnie. Genialny znawca sztuki, twardy biznesmen, a tak naprawdę zakompleksiony i zastraszony człowiek. Trudno się dziwić, ludzie żydowskiego pochodzenia przeszli piekło w czasie wojny – dodała ze zrozumieniem.

– No i na początku następnego tygodnia dyrektor Gurlitt miał wypadek. Był naprawdę dobrym kierowcą. W interesach robił rocznie wiele tysięcy kilometrów. Wypadki się zdarzają, ale według mnie było tu za dużo zbiegów okoliczności naraz. – Tą konstatacją Helene zakończyła swoją relację.

Jej opowieść okazała się bardzo szczegółowa i przekonująca. Dyrektor musiał mieć do niej duże zaufanie, że zwierzał jej się ze swoich nawet bardzo osobistych przemyśleń i problemów. Szukał u niej rady w sprawach, które zwykle omawia się w domu z małżonką.

ROZDZIAŁ 21

Yachtclub Düsseldorf
promenada nad Renem
lipiec 1948 r.

Klub jachtowy w Düsseldorfie przylegał do północnego krańca nadreńskiego parku Kaiser-Wilhelm-Park. Hektary zielonej przestrzeni zapraszały do organizowania pikników i zabaw. Był piękny lipcowy wieczór, ale w smutnej powojennej rzeczywistości niewielu miało ochotę na zabawę i rozrywkę na świeżym powietrzu. Hildebrand Gurlitt zdecydował się wyjść na spacer, by przewietrzyć głowę. Z jego nowego domu na Rotterdamer StraÙe trzydzieści pięć wystarczyło przejść kilka kroków, minąć niewielki park, by znaleźć się nad brzegiem Renu, naprzeciw jachtklubu.

Objął już nowe stanowisko dyrektora Kunstverein für Westfalen und Niederrhein, jedynej wówczas instytucji w mieście, która organizowała wystawy znaczących twórców. Także i teraz pomógł mu jego najlepszy przyjaciel Kurt Kirchbach, który także osiedlił się właśnie w Düsseldorfie. To on, bogaty przemysłowiec, należał do pierwszych klientów Hildebranda, gdy ten stawiał pierwsze kroki w niełatwym biznesie sztuki. Kirchbach, któremu Gurlitt doradzał w zakupach obrazów do jego kolekcji, zrobił fortunę na okładzinach hamulcowych; praktycznie wszystkie pojazdy w Niemczech miały jego hamulce. Z całym sprzętem wojennym włącznie! Tak więc pod koniec wojny Kirchbach stał się niezwykle bogaty. Posiadał też niewiarygodnie szerokie kontakty, a Hildebranda traktował jak przybranego syna.

Jeszcze kilka dni temu Hildebrand Gurlitt czuł się szczęśliwym i znowu w pełni wolnym człowiekiem. Podpisał kolejne oświadczenie pod przysięgą o braku związków z funkcjonariuszami NSDAP, przeszedł wieloletnie postępowanie denazyfikacyjne i wreszcie otrzymał od amerykańskiej administracji oficjalną zgodę na przeniesienie się do sektora brytyjskiego, do Düsseldorfu. A teraz przyszło pismo z policji.

Ingeborg Hartmann oskarżyła go o zbrodnie wojenne: „Gurlitt miał związki z partią NSDAP, a w okresie Trzeciej Rzeszy czerpał ogromne korzyści z handlu żydowską własnością. Polował na Żydów i prowadził interesy z ludźmi należącymi do Ministerstwa Wywiadu Abwehry. Zasługuje na dalsze uwięzienie”. Gdyby te oskarżenia usłyszał przesłuchujący go przed laty prokurator US Army McKay, bardzo możliwe, że oznaczałoby to, że Gurlitt nawet trafiłby pod sąd w Norymberdze.

Jak sięgnąć okiem w okolicy nie było nikogo. Przysiadł ciężko na ławce, skąd miał otwarty widok na rzekę i klub żeglarski. Ale nie to go interesowało. Wściekły na cały świat mamrotał półgłosem:

– A ja zaufałem tej kobiecie, wyciągnąłem jej nędzną galerię z biedy, pomogłem zarobić duże pieniądze, a ona tak mi się za to dziś odpłaca. Nikt nie traktował jej poważnie; na spotkaniach uważano ją za moją sekretarkę, choć to jej nazwisko figurowało w nazwie i dokumentach firmy. Nie znała się ani na sztuce, ani na prowadzeniu interesów, więc zgodziła się firmować moją działalność. Bo liczyła, że zarobię dla niej pieniądze. Tylko o to jej chodziło! Teraz twierdzi, że to ja byłem bezwzględny, pazerny: „wielokrotnie protestowałam przeciwko bezdusznemu i pozbawionemu skrupułów postępowaniu pana Gurlitta”. Toż to właśnie jej zależało tylko na pieniądzach. A dziś zeznaje, że wykorzystywałem dramatyczną sytuację ludzi, by nabywać od nich dzieła za bezcen! To ona podpowiadała mi, kto chce lub musi się wyprzedzić. Marszandka! Nieudacznica życiowa. Leniwa, za to pazerna jak rzadko. Inaczej nie zrezygnowałbym z niej już w czterdziestym drugim roku.

Oskarżenie takiej jednej zawistnej osoby mogłoby zmienić całą prawdę o nim, jaką przedstawili inni świadkowie, kilkanaście osób, pod przysięgą! Na szczęście dla Gurlitta te najnowsze rewelacje wyszły na jaw zbyt późno, bo złożone były w sektorze amerykańskim, w którym jako pierwszym zaniechano już prowadzenia dalszych śledztw w sprawie o zbrodnię przeciwko ludzkości.

Od południowej strony, Cecilienallee, zbliżał się bez pośpiechu przechodzień. Szczupły, lekko posiwiasty blondyn z laską. Wyglądał na jakieś pięćdziesiąt lat. Szedł wolno, patrząc na klub jachtowy. Utykał na lewą nogę. Mimo pełni lata jego karnacja wydawała się wyjątkowo jasna. Był blady, jakby chory, a może rzadko przebywał na świeżym powietrzu? Ubranie i buty wskazywały, że pochodzą z dobrych sklepów, chociaż nie prezentowały ostatniej mody.

Kiedy doszedł do ławki, stojącej naprzeciw domku klubowego, zatrzymał się i rozejrzał wokół. A ponieważ w okolicy nie było innej ławki, uśmiechnął się i zapytał Gurlitta, czy może się przysiąść. Ten skinął głową. Spoczywający obok siebie mężczyźni w milczeniu patrzyli na rzekę. Sytuacja stawała się niezręczna, gdyż oprócz nich nie było nikogo w zasięgu wzroku. Gurlitt chciał już wstać, gdy sąsiad go zagadnął:

– Pan tutejszy?

– Nie, pochodzę z Drezna. Długo też mieszkałem i pracowałem w Hamburgu – odpowiedział Gurlitt.

– Ja tu się urodziłem i wychowałem. Przychodzę tu chętnie, bo kiedyś tu żeglowałem – powiedział i wskazał na przystań. – Ale to stare czasy. Pozwoli pan, że się przedstawię: doktor Walter Gentz.

– Och, jest pan lekarzem? – domyślił się Gurlitt i zamiast podać nazwisko, przekazał przybyszowi swoją kartę wizytową.

Doktor Gentz przyjrzał się z uwagą wizytówce i uśmiechnął się.

– Pan również posiada tytuł doktora, a nie jest pan lekarzem. Jestem prawnikiem. Sztuka! Piękny ma pan zawód. Na pewno ciekawszy niż mój – powiedział z lekkim westchnieniem.

– Zwykle to tylko ciężka praca. Ostatnio, niestety, miałem do czynienia z wieloma prawnikami i wydawało mi się, że praca ich bardzo fascynowała – stwierdził z lekkim przekąsem Gurlitt.

– Tak, zawód ten może być fascynujący. Jeśli robi się coś, w czym widzi się cel, sens. Jeśli pracuje się nad czymś ważnym, co może zmienić świat na lepszy. Teraz obcy zmieniają za nas nasz świat. Przepraszam za mój wisielczy humor. Za miesiąc rozpoczynam nową pracę. Pierwszą po wojnie. Niestety, nie jest to moje wymarzone stanowisko, nie odpowiada też moim kwalifikacjom. Będę pomagać w biurze adwokackim. Takie czasy, trzeba brać, co jest – mówił rozgoryczony przybysz, pogrążony we wspomnieniach o lepszych czasach.

– Tak, to prawda, czasy mamy doprawdy paskudne. Wybacz pan, że się pożegnam – powiedział Gurlitt i wstał.

Gentz także się poderwał.

– *Herr Doktor* Gurlitt, jeśli pan pozwoli, wykorzystam okazję, że pana poznałem, i zgłoszę się kiedyś po konsultację. Mam w posiadaniu niezwykle cenny obraz, który chciałbym wycenić i sprzedać – mówił, kłaniając się.

– Bardzo proszę, mój numer telefonu już pan zna. – Gurlitt uśmiechnął się zdawkowo. Ten człowiek nie przypadł mu do gustu.

ROZDZIAŁ 22

Kunstverein Düsseldorf
biuro dyrektora Gurlitta
wrzesień–listopad 1956 r.

Minęła siedemnasta. Większość pracowników rozeszła się już do domów, w biurze pozostał tylko dyrektor Gurlitt i jego sekretarka Helene Mertens. Pod kierownictwem Gurlitta Kunstverein nie tylko wznowiła działalność, ale i przyciągała uwagę koneserów sztuki w całej republice. Nowy dyrektor wykazał się nie tylko ogromnym zaangażowaniem, ale wykorzystując swoje znajomości nie tylko w Niemczech, zrealizował również wyjątkowo ambitny i nowoczesny program wystawienniczy. Jego Stowarzyszenie Sztuki przyciągało uwagę i było doceniane w Niemczech; zbierał też zasłużone międzynarodowe uznanie. Nie wszyscy koledzy, którzy znali go z dawnych lat, lubili go, natomiast wszyscy szanowali jako fachowca. Organizował wystawy klasyków, ale szczególną uwagę poświęcał, jak zawsze, twórczości prześladowanych, zakazanych lub odrzucanych przez narodowy socjalizm artystów. To te wystawy zauważone zostały poza granicami Niemiec: Marc Chagall czy Pablo Picasso, jak też malarze niemieccy: Max Beckmann, Emil Nolde, Max Ernst, Max Liebermann i Ernst Kirchner.

Zarówno sprawy zawodowe, jak i prywatne układały się teraz dobrze. Część swojej kolekcji, osiemdziesiąt jeden obrazów, już odzyskał, bo poszukiwania prowadzone przez Amerykanów, a później także niemieckie urzędy nie wniosły ani nowych oskarżeń, ani też obciążających go dowodów. Do dalszego śledztwa zatrzymano tylko obrazy Chagalla i Picassa. Pomógł mu dobry przyjaciel Karl Ballmer, szwajcarski artysta i pisarz, który pisemnie potwierdził, że oba te płótna osobiście podarował Gurlittowi. Na szczęście nikt nie porównał tego oświadczenia z wcześniejszymi zeznaniami Gurlitta, w których podał, że Chagall podarował swój obraz jego siostrze, a sam Picasso osobiście sprezentował mu płótno *Kobieta o dwóch nosach*.

Przed godziną zakończył konferencję z pracownikami odpowiedzialnymi za organizację ostatniej wystawy grafiki. Podsumowali rezultaty „wydarzenia roku”, które niedawno zakończyli. Doskonale mu się z nimi pracowało. Byli młodzi, odważni, otwarci. Ta czwórka potrafiła podołać każdemu wyzwaniu. No i oczywiście jego niezastąpiona Helene Mertens, która zarządzała całym biurem. Pracował z nią już od trzech lat, zaczęła zaraz po studiach. Była urodzoną menedżerką. Pierwszym projektem, w którym wykazała się

zmysłem organizacyjnym, była wystawa w Szwajcarii, w Lucernie. Tam współorganizowali wystawę „Sztuka Niemiecka – Dzieła Mistrzów XX wieku”. Wystawiono też wtedy dwadzieścia cztery obrazy z jego prywatnych zbiorów, między innymi *Poskramiacz lwów*. Wystawa była wielkim sukcesem. Jej sukcesem, bo on nie miał czasu się tym zająć. Zaprosił ją na kolację, aby jej podziękować, i wtedy odkrył, jak niezwykle dojrzałą i mądrą kobietą jest ta młoda dziewczyna. Straciła oboje rodziców, studiowała i jednocześnie zajmowała się dwójką rodzeństwa. To była jej szkoła zarządzania.

Rok później, z okazji jubileuszu muzeum Gurlitt ściągnął z Museu de Arte w Brazylii do Düsseldorfu „Dzieła mistrzów z Sao Paulo”, od Goi po van Gogha. Wystawę zaszczylił nie tylko pierwszy prezydent RFN Theodor Heuss, ale także Thomas Mann, znany krytyk faszystowskich rządów, jeden z najwybitniejszych pisarzy w dziejach literatury niemieckojęzycznej. Odtąd fotografia z tymi dwoma osobistościami, oczyszczająca go jakoby z grzechów lat minionych, wisiała na widocznym miejscu w jego gabinecie. Ten sukces zawdzięczał również Helene. Była mu oddana, szanowała go jako szefa, ale jednocześnie, w dojrzały sposób, bez raniącej krytyki, wskazywała mu jego błędy. Lubił rozmowy z nią. Nie była dla niego żadną konkurencją, uczyła się od niego, a on zawsze chętnie słuchał jej pomysłów. Z czasem nawet prosił o zdanie, szczególnie w sprawach wymagających wycucia, gdzie jego wiedza i zawodowe doświadczenie były mało pomocne. Nie chciał tym obarczać żony. Wystarczająco dużo przez niego wycierpiała.

Był zmęczony, ale w dobrym nastroju, bo odebrał dzisiaj znowu dwa telefony z gratulacjami z Ministerstwa Kultury. Niespodziewany dzwonek z sekretariatu zaskoczył go. Helene Mertens. Znowu zapomina dla muzeum o życiu prywatnym – pomyślał i podniósł słuchawkę. Sekretarka miłym i jak zawsze spokojnym głosem zaanonsowała niejakiego doktora Gentza, starszego radcę z finansowej dyrekcji urzędu miasta. Prosi o spotkanie.

Gurlitt zdziwił się. Czego ci mogą chcieć? Zapytał Helene o wolny termin w następnym tygodniu, by przyjąć radcę.

– Ale doktor Gentz już czeka w poczekalni, panie dyrektorze.

– No cóż, proszę więc go zaprosić.

Drzwi się otworzyły i Helene wprowadziła gościa. Wszedł uśmiechnięty i pewny siebie mężczyzna, wyglądający, jakby był niewiele po czterdziestce. Może trochę więcej? Blondyn w modnie skrojonym garniturze. Utykał na lewą nogę. Pod lewym ramieniem trzymał pakunek wyglądający na obraz. Gurlitt miał wrażenie, że zna tego człowieka, ale nie pamiętał skąd.

– Witam serdecznie, panie doktorze Gurlitt. Widzę, że pan mnie nie poznaje – powiedział z uśmiechem gość.

– Proszę wybaczyć, doktorze Gentz. Pańska twarz jest mi znajoma, ale nie pamiętam, gdzie się spotkaliśmy. Na którejś z ostatnich wystaw?

Gość zaśmiał się głośno.

– Ależ nie, drogi panie doktorze. To było ponad pięć lat temu nad Renem, przy klubie jachtowym, na ławeczce. Pamięta pan?

– Ach... faktycznie, teraz przypominam sobie – z lekkim dystansem odpowiedział Gurlitt.

– Od tego czasu wiele się zmieniło. Obserwuję z radością i podziwem pańskie sukcesy zawodowe. Oczywiście widziałem kilka pańskich wystaw. Myślę, że wystawa mojego teścia, profesora Hansa Kohlsteiena, w Kunsthalle to też pańska zasługa. Gratuluję, gratuluję, panie doktorze. Ale i u mnie wszystko idzie ku lepszemu. W przyszłym roku przejmę ważną dyрекcję w Ministerstwie Finansów naszego landu Nordrhein-Westfalen. – Z czarującym uśmiechem gość podał Gurlittowi swoją kartę wizytową z rzucającym się w oczy godłem landu.

– Gratuluję, *Herr Oberdirektionsrat*. Czemu zawdzięczam pańską wizytę? Proszę usiąść, czego pan się napije? – Obracając w rękę podaną mu wizytówkę, Gurlitt wskazał fotel w kąciку kawowym.

– Nie będę zajmować panu wiele czasu. Chodzi mi tylko o krótką konsultację. Może jakąś wskazówkę, jak znaleźć kupca. Wiem, że lepszego od pana specjalisty nie znajdę w całym kraju, ba, w Europie. Czy mogę panu coś pokazać? – zapytał gość.

Nie czekając na odpowiedź, pewnym siebie ruchem położył paczkę na stole konferencyjnym, przestawiając najpierw leżącą tam ciężką kryształową popielnicę. Bez pośpiechu, prawie z namaszczeniem, zaczął rozwijać pakunek. Hildebrand Gurlitt cierpliwie czekał, nieco zmęczony po całym dniu pracy. W końcu na stole pojawił się obraz o rozmiarach czterdzieści na pięćdziesiąt centymetrów. Gość ustąpił miejsca, by ekspert mógł się mu dobrze z bliska przyjrzeć. Gurlitt podszedł i pochylił się nad stołem. Następnie nic nie mówiąc, wyprostował się, podszedł do swojego biurka i wziął stamtąd duże szkło powiększające. Znowu się pochylił i dokładnie studiował obraz. Później stał w bezruchu około pół minuty. Obrócił się w kierunku Gentza i zapytał, już bez grzecznościowego uśmiechu:

– Czy pan wie, co to jest?

– Oczywiście, dlatego właśnie tu jestem. Chciałem zapytać, czy to oryginał i ile jest wart – odparł Gentz.

– Mogę zapytać, skąd pan go ma? – zapytał Gurlitt.

– Proszę sobie wyobrazić, że otrzymałem go w prezencie – odpowiedział Gentz, wciąż uśmiechając się, lekko ironicznie.

– Rozumiem. Ale jeśli pan nie poda mi, i to we wszystkich szczegółach, z pełną dokumentacją, jego proveniencji, nie mogę dla pana nic więcej zrobić. Przykro mi! – sztywno odparł dyrektor Gurlitt.

– Rozumiem pana, ale sytuacja jest niestety nieco bardziej skomplikowana... – nie ustępował gość.

Hildebrand Gurlitt przerwał mu już zupełnie bezpardonowo, w połowie zdania.

– Ja również rozumiem. Szanowny panie, bardzo proszę zapakować obraz, a ja zapomnę, że go kiedykolwiek widziałem – szorstko odpowiedział i ruszył w kierunku swojego biurka.

Teraz uśmiech zniknął także z twarzy Waltera Gentza.

– Dobrze, porozmawiajmy więc inaczej, *Herr Doktor*. Zanim tu przyszedłem, zapoznałem się z pańską karierą w czasach, kiedy jeszcze panował w tym kraju ład i porządek. Nie sądzę, by znał pan moją historię, ale podczas wojny pełniłem bardzo ważne funkcje na wschodzie, w Generalnej Guberni. Oddałem serce i zdrowie dla naszej ojczyzny, podczas gdy inni, jak pan, zajmowali się pomnażaniem własnego majątku. Ale tych wielkich, dla których pan pracował i którzy pana popierali, nie ma już między nami – powiedział Gentz.

Hildebrand Gurlitt zatrzymał się w połowie kroku i odwrócił. Takiej reakcji się nie spodziewał.

– Ale z tamtych czasów pozostało jeszcze wielu, którzy wierzą w wielkość i ponadprzeciętność niemieckiego narodu! Pomagamy sobie, gdzie możemy. Kilku z nas pracuje w Ministerstwie Sprawiedliwości, także w organach ścigania. Mamy też swoich kamratów w ministerstwach federalnych. – Głos Gentza stał się bardziej dobitny.

– Proszę opuścić mój gabinet – niezbyt pewnym siebie głosem odpowiedział Gurlitt.

– Czy nie uważa pan, że warto by wznowić śledztwo dotyczące pańskich interesów z tamtych czasów? O to naprawdę nietrudno. Poza tym jeśli prowadzi się tak znaczące projekty, organizuje wystawy jak pańskie stowarzyszenie, zawsze możliwe, że znajdą się nieścistości w rozliczeniu kosztów. A to nie jest pański prywatny biznes, więc Ministerstwo Finansów jest zainteresowane tym, aby nie dochodziło do malwersacji. A pańska reputacja... no, sam pan wie. – Gentz patrzył ironicznie na zdenerwowanego dyrektora Gurlitta.

– Czego pan chce? – W podniesionym głosie Hildebranda Gurlitta słychać było nie tylko zdenerwowanie i gniew. Gentz miał długoletnie doświadczenie w dręczeniu ludzi. Umiał dostrzec, kiedy człowiek ze strachu o życie własne lub bliskich jest gotów pójść na prawie każdą ugodę.

– Mówiłem, proszę tylko o to, aby pomógł mi pan wycenić ten obraz i wsparł mnie w znalezieniu kupca. – Teraz przybrał znowu pozę miłego klienta.

– No dobrze, proszę słuchać! Leży przed nami obraz Rembrandta. Prawdopodobnie jeden z wielu jego autoportretów. Na podstawie pierwszych oględzin twierdzą, na poziomie graniczącym z pewnością, że obraz jest autentyczny. Dla uzyskania absolutnej pewności radziłbym spotkać się ze specjalistą, którego mogę panu zarekomendować. Już kilka obrazów Rembrandta okazało się dziełami z jego warsztatu, spod pędzla któregoś z jego uczniów. Co do ceny naprawdę nie mogę się wypowiedzieć, gdyż cenę ustala rynek, nie rzeczoznawcy. W przypadku największego nawet dzieła, jeśli jego pochodzenie nie jest

udokumentowane, rynek staje się bardzo wąski. Rynek tworzy popyt. Należy zainteresować wielu, którzy zechcą ze sobą konkurować. Ale rozumiem, że panu nie zależy na rozgłosie, a szczególnie na żądaniach udokumentowania pochodzenia. – Gurlitt zamilkł zmęczony swoim wywodem.

– Faktycznie. Znam pochodzenie obrazu, lecz dzisiaj tak wielu „sprawiedliwych” szuka wszędzie przestępców – dziury w całym szukają – że lepiej nie otwierać tej puszkii Pandory. A może pan, doktorze, zechce urozmaicić swoje zbiory o coś naprawdę cennego? Proszę wybaczyć, mimo najlepszych chęci nie widzę w tych modernistycznych bohomazach sztuki, nawet w pracach mojego teścia. – Uśmiechnął się nieszczercze.

– Szanowny panie, jestem innego zdania, ale zgódźmy się na znaną prawdę, że sztuka rodzi się w oku patrzącego. Jeśli chodzi o mnie, to po pierwsze, nigdy nie fascynowała mnie sztuka starych mistrzów, a po drugie, zawsze kupowałem tylko takie obrazy, które miały udokumentowane pochodzenie. Dlatego też, z podziękowaniem za propozycję, niestety, muszę odmówić – odpowiedział Gurlitt.

– Panie Gurlitt, widzę, że jest pan człowiekiem, z którym nie ma większego sensu rozmawiać miło i grzecznie. Powtarzam więc jeszcze raz, jasno i wyraźnie: daję panu czas do końca tego roku, aby znalazł mi na ten obraz klientów. Rozumiemy się? Inaczej urządzę panu tutaj piekło na ziemi!

Gurlitt wyraźnie oniemiał ze strachu.

– Ci durni Amerykanie nie mają pojęcia, jak udowodnić człowiekowi winę. Nie potrafią sprawić, że podpisze wszystko, co się tylko zechce. A może jest pan niewinny? Ha, ha! Wielu takim jak pan, nazwijmy to „ze skazą na pochodzeniu”, potrafiłem zniszczyć marzenia o spokojnym i szczęśliwym życiu. Uważam, że niektóre rasy na to po prostu nie zasłużyły! – Gentz się zaśmiał. Ten śmiech był złośliwy, zastraszający.

Teraz Gurlitt patrzył na stojącego przed nim człowieka z niekłamaną trwogą, jakby zobaczył przed sobą, w biały dzień, w centrum Düsseldorfu, prawdziwego diabła.

– Proszę odebrać obraz jutro, po południu. Zrobię zdjęcia, dobrej jakości, abym mógł je pokazać ewentualnym zainteresowanym – powiedział, nie patrząc szantażyście w oczy i zawijając obraz w papier, aby nikt go u niego nie widział.

– No, proszę, a jednak można. – Wyprostowany jak struna Gentz opuścił gabinet dyrektora Hildebranda Gurlitta.

Brakowało tylko, by strzelił obcasami i podniósł rękę w geście, którego na pewno jeszcze nie zapomniał – pomyślał Gurlitt i siadł ciężko na krześle, patrząc z nieukrywaną odrazą na leżące na stole arcydzieło. Siedział tak przez dłuższą chwilę, opanowując drżenie. Potrzebował czegoś mocniejszego. Podszedł do szafy za fotelem, gdzie za jednym z drzwiczek trzymał butelkę koniaku, którego markę polubił we Francji. Wyjął kieliszek i napełnił prawie do połowy. Gdy zamykał szafkę, coś mu się przypomniało. Odłożył kieliszek i zadzwonił do sekretarki.

– Helene? Dobrze usłyszeć pani głos. Już pani wychodzi? Nie, nic ważnego, chciałem tylko zapytać, czy znajdzie pani dla mnie chwilę. Tak, nic służbowego, chciałem porozmawiać. Poradzić się kogoś mądrego.

Za chwilę drzwi się otworzyły i bez pukania weszła jego ulubiona pracownica. Ładnie wyglądała. Ubrana była, chyba jak zawsze, w białą bluzkę i ciemną spódnicę. Zauważył tylko, że usta miała świeżo pociągnięte szminką. Pewnie szykowała się już do wyjścia. Gurlitt mógłby opowiadać o najdrobniejszych szczegółach obrazu, który ostatni raz oglądał przed rokiem, ale tego, jak ubrana była wczoraj jego żona, a tym bardziej pracownica, nigdy nie potrafił zapamiętać.

– Dobry wieczór, szefie. – Uśmiechnięta młoda kobieta weszła energicznym krokiem i bez pytania zajęła miejsce przy stoliku kawowym. Była szczupłą, atrakcyjną blondynką, choć nie była pięknocią. Tak przynajmniej oceniał ją jej szef. Wiedziała, że jeśli dyrektor zwraca się do niej po imieniu, oznacza to, że zanoszą się na szczerą rozmowę.

– Dziękuję, że znalazła pani dla mnie czas, Helene. Ma pani ochotę na kieliszek koniaku? – Gdy przytaknęła, wyjął drugi kieliszek i też go napełnił.

Usiedli, wzniesli kieliszki, patrząc sobie w oczy, i podnieśli je do ust. Gurlitt wziął spory łyk i zanim odstawił kieliszek z powrotem na stół, uniósł go jeszcze raz, jakby jej w podziękowanie.

– Helene – zaczął – nie bardzo wiem, jak to wyjaśnić, ale... pierwszy raz, od dawna, czuję się, jak by to powiedzieć... zagrożony. Pani wie, że przeszedłem przez procedurę tak zwaną denazyfikacji. Nie czułem żadnego strachu podczas przesłuchań; ani przez Amerykanów, ani niemieckie urzędy. Reguły były jasne. Wiedziałem, że jeśli nic nie znajdą, dadzą mi spokój. Teraz to coś innego. Widziała pani tego eleganckiego człowieka, który jako ostatni mnie dzisiaj odwiedził? To zupełnie inna kategoria. Znam takich ludzi z czasów, kiedy mieliśmy tylko jednego wodza. Hitlera. To ludzie bez skrupułów. Nieraz niewiele brakowało, bym dostał kulę w łeb. Dosłownie. Albo grasz według ich zasad, albo znajdą na ciebie coś, że wylądujesz bez szans obrony w więzieniu. – Jednym haustem opróżnił kieliszek.

Opowiedział jej, jak tego człowieka spotkał pierwszy raz przed laty w Düsseldorfie. Po wojnie przeżył on kilka trudnych lat, zanim odnowił swoje kontakty i zaczął awansować.

Helene słuchała uważnie.

– Proszę sobie wyobrazić, że ten facet położył na stole obraz starego wielkiego mistrza, co do którego proveniencji nie posiada żadnych dokumentów. Ale żąda, bym znalazł mu kupca. To wybitne i bardzo cenne dzieło pochodzi pewnie ze zrabowanych zbiorów jakiegoś polskiego magnata. Mówił coś o służbie na wschodzie, w Generalnej Guberni. Gdy odmówiłem współpracy, zagroził mi kontrolami i dodał, że w rządzie ma wielu podobnych do siebie przyjaciół. Wiem, że tacy nie odpuszczają! – Strach dyrektora był wyraźnie widoczny.

– A gdyby skierować go do jakiejś dobrej prywatnej galerii, która takimi dziełami na co dzień handluje. Zna pan je wszystkie i niejeden właściciel jest winien panu przysługę – myślała na głos Helene.

– Tego obrazu nie można sprzedać, aby nie wywołało to rozgłosu. W rezultacie zostanie w to wmieszany. Nie chcę już nigdy w życiu mieć cokolwiek wspólnego ze sztuką, która może nie mieć jasnego pochodzenia, pochodzić z kradzieży czy grabieży. Wojna była stanem wyjątkowym. Funkcjonowanie prawa było zawieszona, rządziły normy prawne silniejszego, partii, Führera i jego świty. Teraz prawo jest jasne i nie chcę nigdy już go naginać. – Podeszedł do szafki i napełnił swój kieliszek ponownie. Kieliszek Helene był prawie nietknięty.

– A co by było, gdyby skontaktował go pan z inną, podobną mu faszystowską świnią, która zainteresowana jest takim rodzajem sztuki i nie ma takich skrupułów jak pan? Nikomu chyba nie będą się chwalić takim handlem? – zapytała.

Gurlitt zatrzymał się w pół ruchu i postawił kieliszek na stoliku. Odwrócił się w kierunku Helene i jego twarz powoli się rozpuściła.

– Bóg mi panią zesłał, Helene! Słusznie! Znam kilku takich. Od lat nie kontaktowałem się z nimi, ale to nie problem. Jeśli nie wezmę żadnej prowizji, nie będę też miał z tym nic wspólnego. Szczerze powiedziawszy, najchętniej sam bym mu zapłacił, aby tylko zostawił mnie w spokoju. Jest pani mądrą kobietą. Zrobi pani wielką karierę. Moje krzesło tutaj, gdy będę miał go już dość, jest dla pani. Czy mogę odwiedzić panią do domu? – zaproponował.

– Wybacz pan, dyrektorze, ale pan pił. Nie radziłabym też i panu dzisiaj siadać za kierownicą. Życzę miłego wieczoru i trzymam kciuki, żebyśmy jak najszybciej pozbyli się tego Gentza. Też mi się nie spodobał, gdy go zobaczyłam. – Pożegnała się i szybko opuściła pokój.

Dyrektor zreflektował się i odstawił nietknięty jeszcze drugi kieliszek. Stwierdził, że jeden mu nie zaszkodzi, że może jeszcze bezpiecznie prowadzić.

Od wizyty Gentza minęły jakieś dwa miesiące. W ten piątek Helene Mertens przygotowała szefowi dokumenty, których potrzebował do swojej poniedziałkowej podróży do Berlina. Krótco przed trzecią, gdy ruch w biurze już ustał i szef chyba też zakończył wszystkie swoje rozmowy, zadzwoniła do jego gabinetu.

– Panie dyrektorze, czy mogę przekazać panu dokumenty potrzebne na spotkania w Berlinie? – zapytała jak zawsze miłym, ale rzeczowym głosem.

– Tak, proszę wejść, Helene. – Znała swojego szefa, po jego głosie poznała, że coś jest nie tak. Cholera, stary pewnie znowu zechce się wygadać, a na czwartą jestem umówiona – pomyślała.

Zapukała, szybkim krokiem weszła do gabinetu dyrektora i położyła na jego biurku przygotowaną teczkę.

– Czy to wszystko, panie dyrektorze? – zapytała.

– Tak, bardzo pani dziękuję – powiedział, nie podnosząc głowy.

– W takim razie życzę przyjemnego weekendu, no i udanej podróży. Do widzenia, panie dyrektorze. – Odwróciła się i skierowała do drzwi.

– Helene – usłyszała za plecami głos szefa.

– Tak, szefie? – Starając się nie okazywać rozczarowania, odwróciła się w jego kierunku.

– Proszę, niech pani na chwilę usiądzie. Muszę z kimś pogadać, a żona dostałaby hysterii, gdybym jej o tym powiedział.

W takim nastroju widziała go ostatnio, gdy odwiedził go Gentz. Ale z czasem jego humor wyraźnie się poprawił, prawdopodobnie sprawa została załatwiona, bo nie wracali już do tamtego tematu. Usiadła, patrząc na niego wyczekująco.

– Pamięta pani wizytę tego nazisty Gentza? Taki byłem szczęśliwy, gdy udało mi się znaleźć dla niego kupca. Pewien Szwajcar zainteresował się jego obrazem. Podałem jego namiary Gentzowi i sprawa została zamknięta w zeszłym tygodniu. Wiem, bo ten Szwajcar podziękował mi i powiedział, że ma już ten obraz. Nie interesowałem się szczegółami transakcji. Najważniejsze, że Gentz przestał mnie nachodzić. Tymczasem wydarzyło się coś jeszcze. – Dyrektor opisał Helene w szczegółach dzień, gdy w jego gabinecie pojawił się pewien przemysłowiec z Hanoweru.

To było ponad miesiąc temu. Helene pamiętała ten dzień, ale gość z nią wtedy nie rozmawiał. Pamiętała jednak, że był przystojny, elegancki i dobrze pachniał. Dyrektor nie pamiętał już jego nazwiska, ale opisał jej z detalami wrażenie, jakie na nim zrobił, oraz jak bardzo zainteresował go obraz, który zaoferował Gentz. Podał mu nawet swój adres w Hanowerze z prośbą o natychmiastowy kontakt ze sprzedawcą, ale Gurlitt już miesiąc temu go wyrzucił, bo ten się nie odzywał.

– Do dziś! Zadzwoił. Proszę sobie wyobrazić, że gdy dowiedział się, że obraz został sprzedany, wpadł we wściekłość i groził mi. Także Gentzowi. Tak! Znał nazwisko sprzedawcy, chociaż ja mu tego nie powiedziałem, a listu od Gentza nie widział. Daję słowo! Powiedział, abym podał mu nazwisko kupca, bo inaczej wydusi to z Gentza. Ostrzegłem go, że Gentz jest groźnym człowiekiem. A on na to, że on jest jeszcze bardziej niebezpieczny niż Gentz, że pożałuję i takie tam. – Dyrektor ciężko oddychał. – Jak pani myśli? Iść z tym na policję? – zapytał bezradnie.

– Co pan im powie? Przecież nic się nie stało. Oni nie są w stanie złapać złodziei, których roi się tu po wojnie, a będą szukali jakiegoś bogatego wariata? Z jakiego powodu? Bo się wkurzył, że mu ktoś zgarnął okazję sprzed nosa? To pewnie nic nieznaczące pogrożki, a pan straci parę godzin, zanim spiszą protokół, który i tak powędruje do kosza. Chyba nie oczekuje pan ochrony osobistej? Dla Gentza i dla siebie? – Zaśmiała się.

Gurlitt westchnął głęboko.

– Pewnie ma pani rację. W grudniu otrzyma pani specjalną gwiazdkową premię, a od nowego roku podwyżkę. Przyda się pani, ceny wciąż rosną. Proszę mi to przypomnieć, gdybym zapomniał. Dobrego wypoczynku, Helene! – Podał jej z uśmiechem rękę.

Helene odpowiedziała serdecznym uśmiechem i życząc mu jeszcze raz szerokiej drogi, szybko wyszła z gabinetu. Nigdy więcej nie zobaczyła już swojego szefa.

ROZDZIAŁ 23

Prezydium Policji w Düsseldorfie
Völklinger Straße 49
Landeskriminalamt
październik 2016 r.

Norbert wiedział oczywiście, że Walter Gentz popełnił samobójstwo. Jego ojciec, będąc już na emeryturze, wspomniał kiedyś, że następny nazista wystraszył się sądu i wybrał śmierć. To wszystko. Jak wielu innych, Gentza oskarżono o zbrodnie wojenne na wschodzie, więc mało kogo to interesowało. Teraz Norbert wiedział, co Gentz miał na sumieniu. Teraz była to już „jego sprawa”.

Zgodnie z tym, co powiedziała Helene Frommholz, przedsiębiorca z Hanoweru zainteresowany był jedynie nazwiskiem i miejscem zamieszkania kupca obrazu, a nie Gurlittem czy Gentzem. Po śmierci Gurlitta adres kupca (bankiera z Zurychu) znał tylko Gentz, a jego adres musiał być znany elegantowi z Hanoweru, bo Gentz podał swoje namiary w liście do niego. Szantażem mógłby więc te dane od Gentza uzyskać. Ale jeśli nikt nie odwiedził Szwajcara, teścia Petera Bäuerlego, musiało to oznaczać, że przemysłowiec z Hanoweru zrezygnował z poszukiwań. Niejasne było też, dlaczego w ogóle miałby zabić Gurlitta, a później czekać dziesięć lat, by rozprawić się z Gentzem. To wszystko było bez sensu.

W sprawie śmierci Gurlitta jedynym podejrzanym, z powodu znalezionej w garażu denata medalika, pozostawał więc Rudolf Simon. Tyle że wciąż brakowało motywu. Nigdy się z nim nie kontaktował. Natomiast jeśli chodzi o Gentza, motyw istniał, ale brakowało dowodów na dokonanie mordu. Brakowało jakiegokolwiek śladu łączącego śmierć Gentza z Rudolfem. I dlaczego dopiero po tylu latach miałby wymierzyć Diabłu z Düsseldorfu należną mu karę? Gdyby to zaplanował, znalazłby go wcześniej.

Dalsze poszukiwania Norbert zaczął najpierw od tego, że zajrzał do Wikipedii. Niemiecka wersja opowiadała o zbrodniach Gentza w Jaśle, ale na temat okoliczności jego śmierci nie znalazł tam ani słowa. W polskiej wersji Wiki wyczytał, że Walter Gentz został aresztowany, a podczas procesu popełnił samobójstwo w więzieniu, w roku tysięcznym dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Jeśli tak było, to Rudolf Siemon nie mógł mieć z tym nic wspólnego! Norbert znał życiorys Rudolfa, on nigdy nie był aresztowany, nie miał więc dojścia do aresztowanego.

Informacja umieszczona w Wikipedii odwoływała się do książki niemieckiego naukowca, doktora Markusa Rotha: *Herrenmenschen: Die deutschen Kreishauptleute im besetzten Polen*⁸. To wartościowa pozycja, bo oparta na wieloletnich badaniach. W szczególności opisywała bestialskie praktyki *nadludzi*. Tam była również mowa o śmierci Gentza, ale Roth wcale nie przedstawił jej okoliczności. Można było jedynie przeczytać: „gdy kilka miesięcy później prokuratura rozpoczęła wstępne śledztwo, z którego mogło wyniknąć oskarżenie, wymknął się z rąk organów sprawiedliwości, popełniając samobójstwo”.

Żadnych konkretów: „wstępne śledztwo” niekoniecznie oznaczało, że był aresztowany, zamknięty w celi. Zwłaszcza że Norbert znalazł też informację, że mimo wielu sprzecznych danych i zeznań Gentz dalej pracował bez żadnych ograniczeń, planował nawet jakąś podróż za granicę. Z tego wynikałoby, że do końca zeznawał z wolnej stopy.

Dość więc amatorskiego dochodzenia z domowej kanapy i laptopa! Matula poprosił zaufanego współpracownika, aby dostarczył mu z archiwum akta tej dawno zapomnianej sprawy z sześćdziesiątego siódmego roku. Teraz interesowała go tylko kwestia samobójstwa. Skoroszyt okazał się wyjątkowo cienki. Jak przy każdym ewidentnie stwierdzonym samobójstwie. Gentz zmarł we własnym mieszkaniu w czwartek dwudziestego szóstego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku. Powiesił się. Na środku pokoju, jadalni, tam, gdzie zwykle stał stół. Stół był przesunięty w kierunku okna. Krzesło, na którym prawdopodobnie stanął, leżało przewrócone pod nim. Buty denata były równo ustawione pod stołem. Ciało znalazła już następnego dnia jego żona, gdy wróciła z trzytygodniowej kuracji fizjoterapeutycznej w jednym z pobliskich sanatoriów nad Renem.

Śledczy nie znaleźli żadnych śladów działania osób trzecich, obcych odcisków palców, śladów walki czy też manipulowania przy zamku w drzwiach. Dziwne było tylko, że drzwi mieszkania nie były zamknięte na klucz, ale Gentz pewnie o tym po prostu nie myślał. Na blacie odsuniętego stołu stał wazon ze sztucznymi kwiatami, a przed nim leżał mały obrazek z jakimś świętym katolickim. Z załączonej do akt fotografii Norbert natychmiast rozpoznał, że chodziło o obrazek Świętego Antoniego. Żona Gentza zeznała, że nic nie wie, aby jej mąż posiadał taki obrazek. Był ewangelikiem, raczej nie był wierzący. Zeznała jednak, że wszystko jest możliwe, bo przestała się już czemukolwiek dziwić. Jej mąż miał wiele tajemnic. Śledczy zapisał więc w protokole, że zmarły prawdopodobnie modlił się przed śmiercią.

Z zeznań żony wynikało też, że Walter Gentz bardzo przeżywał proces i obawiał się surowego wyroku. Motyw samobójstwa był więc oczywisty. W rezultacie śledztwo zostało szybko zamknięte. Pasowało to do atmosfery tamtych dni; unikano niepotrzebnego rozgłosu.

Teraz Norbert był już pewien, że Gentz nie był sam, kiedy umierał. Rudolf Simon musiał być przy tym obecny. Wydawało się, że tym razem z rozmysłem zostawił tam swoją

„wizytówkę”, obrazek świętego. Udowodnić tego się nie uda, ale dla Norberta było to tak, jakby Rudolf Simon w akcie desperacji osobiście podpisał się pod zeznaniem. Ślad ten musiał zostawić świadomie.

Na wszelki wypadek Norbert poprosił o personalne akta Waltera Gentza z archiwum federalnego⁹. Nigdy nie wiadomo, co ciekawego na temat tego człowieka uda się tam jeszcze znaleźć.

⁸ Rasa Panów: niemieccy starostowie w okupowanej Polsce.

⁹ Bundesarchiv.

ROZDZIAŁ 24

Düsseldorf

październik 2016 r.

Poprzedniego dnia doszło między Norbertem a Hanną do sprzeczki. To zdarzało się naprawdę rzadko i zwykle on ustępował. Nie dlatego, że był uległy. Przeciwnie, odziedziczył charakter i upór po ojcu, co jego pracownicy i szefostwo nieraz odczuli. Spory z Hanną były zawsze rzeczowe i bardzo spokojne. Miała ugodową naturę, a jeśli się na coś uparła, to zwykle miała na tyle przekonujące argumenty, że szybko zauważał, że to ona ma rację.

Tym razem było inaczej. Od inicjującego ich „śledztwo” wyjazdu do Londynu minął już ponad rok. Wielkimi krokami zbliżał się termin jego pożegnania ze służbą i najwyższy czas na podjęcie decyzji co do urlopu, podróży dookoła świata, o której marzyli od dawna. Ponad dwa miesiące temu przesłała na jego adres mailowy cztery warianty marszruty. Dwie zorganizowane, luksusowym statkiem pasażerskim, i dwie samolotem, w wariacie indywidualnym. Te ostatnie wymagały niemałego dodatkowego nakładu pracy, planowania, bukowania lotów, hoteli i wycieczek. Norbert przejrzał jej propozycje, ale do dziś nic konkretnego nie powiedział.

– Norbert, to kupa roboty! Kiedy chcesz się do tego zabrać? – Hanna nie próbowała ukrywać zniecierpliwienia.

Był wieczór, siedzieli przy lampce wina w salonie. On jak ostatnio szukał czegoś w internecie. Nie przeszkadzał mu przy tym głośno nastawiony telewizor, bo Hanna od pół godziny starała się skoncentrować na jakiejś zażartej dyskusji.

– O czym mówisz, kochanie? – odpowiedział, nie podnosząc głowy.

Nie wytrzymała.

– Słuchaj, od roku nie mówimy o niczym innym, jak tylko o twoim śledztwie. Wyjaśniłeś już właściwie wszystko, wiesz, czego chciałeś się dowiedzieć. Poznałeś mordercę, wiesz nawet, że to ten sam, który zabił Gentza. Tylko na tym zależało twojemu ojcu. Obudź się! Zachowujesz się, jakbyś żył w tamtych czasach. Nasze życie biegnie teraz. Musimy zorganizować przyjęcia: dla kolegów z pracy, a później dla przyjaciół i znajomych! A nasza podróż? Bez ciebie nie dam rady tego zrobić! – Była zdenerwowana, mówiła więc dobrze mu znanym zdecydowanym głosem, który oznaczał, że tym razem mu nie odpuści.

– Dlaczego? Daję ci wolną rękę. Decyduj. Pojedziemy, dokąd zechcesz. Posunąłem się już tak daleko. Muszę tylko wyjaśnić, co się działo w domu Gentza, kiedy ten popełniał samobójstwo. Czy była to jego własna decyzja, czy egzekucja? No i najważniejsze – jeśli egzekucja, to czy katem był Rudolf Simon?

Prosił o wyrozumiałość i naprawdę nie mógł pojąć, dlaczego ona nie może tego zrozumieć.

– Przecież teraz to już się nie zmieni. Po ponad pół wieku nikt nie może niczego ukryć, zmanipulować. Gdy wrócimy, będziesz miał na to czas. Ile tylko zechcesz. Proszę – zmieniła ton.

– Kochanie, wiesz, że chodzi tylko o ten szczegół. Mówiłem ci już, że odnalazłem Rudolfa, wiem, gdzie mieszkał i gdzie pracował. Ale w tej szkole nikt o nim już nic nie wie. Nie ma też nikogo, kto go znał. Przeszukałem nawet wpisy w Urzędzie Stanu Cywilnego. Żył samotnie. Nigdy się nie ożenił. Muszę do tego dojść! Jeśli tego nie załatwię, zepsuję sobie i tobie cały urlop. Mam propozycję: daj mi jeszcze dwa tygodnie. W tym czasie niczym innym nie będę się zajmował, tylko Rudolfem. W pracy i tak już traktują mnie jako *lame duck*, wiedzą, że ważne decyzje podejmuje już Sven Meier, który obejmie moje stanowisko.

– A co, jeśli w dwa tygodnie ci się nie uda? – zapytała z ostrożnym niedowierzaniem.

– To odkładam tę sprawę na zawsze *ad acta*. Pozwolę Rudolfowi zabrać swoje tajemnice do grobu. – Podniósł rękę jak do przysięgi.

Hanna pochyliła się i pocałowała go w policzek, pieczętując zawartą umowę.

Następnego dnia doszło do przełomu. Norbert już dawno temu zarejestrował się na Facebooku absolwentek gimnazjum żeńskiego imienia Annette-von-Droste-Hülshoff w Münsterze. Może nie było to zupełnie legalne, ale chyba też i nie wielkie przestępstwo. Nie było też nazbyt trudne. Przynajmniej dla jego współpracownika Marco z wydziału IT. Zarejestrował go pod nazwiskiem byłej, nieaktywnej dotychczas, uczennicy gimnazjum Marii Walter. Nic ciekawego tam nie znalazł; absolwentki roczników z lat pięćdziesiątych dochodziły dzisiaj do osiemdziesiątki i niewiele z nich było aktywnych. Znalazł kilka wpisów i to wszystko. Ale ponieważ nie miał pomysłu, gdzie mogłby szukać dalej, więc znowu się tam zalogował. Wpisał lata „1955–1967” i przeglądał, czy coś się zmieniło. Znalazł nowy wpis. Dziewczyna, pewnie dzisiaj już poważna kobieta, podała, że pisze w imieniu zmarłej niedawno matki, chcąc uczcić jej pamięć i przypomnieć ją jej dawnym koleżankom. Jej mama miała wiele zdjęć z tamtych czasów i skrupulatnie je opisała. Córka zadała sobie trud i nie tylko wrzuciła do internetu ponad dwadzieścia fotek, ale też wszystkie je skomentowała, opisując osoby na nich przedstawione. Fotografie dziewcząt oczywiście nic Norbertowi nie mówiły. Przeglądał jedną po drugiej, aż rozpoznał na jednej z nich Rudolfa. Jego twarz znał już z wcześniejszych poszukiwań w aktach urzędowych. Opis zdjęcia potwierdził to – Rudolf Simon, nauczyciel historii i wychowania fizycznego. Rzuciło mu się jednak w oczy coś interesującego: na kilku zdjęciach, były to fotografie

obejmujące większe grupy, Rudolf zawsze stał blisko tylko jednej z uczennic. Tak, Norbert nie miał wątpliwości. To była zawsze ta sama, bardzo ładna i zawsze uśmiechnięta dziewczyna. Na jednym ujęciu jakby ją chciał objąć. Może tylko wyciągnął rękę? W każdym razie oboje byli w bardzo pogodnych nastrojach, a ich spojrzenia zdradzały uchwytną obustronną sympatię. Dziwne. Takie poufałości nie mogły być przecież tolerowane w żeńskim gimnazjum.

Wszystko się wyjaśniło, gdy przeczytał opis pod zdjęciami. Anne Schmidt nie była uczennicą! Była nauczycielką malarstwa i historii sztuki. Zdjęcia były z wiosny i lata tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku. Jeśli założyć, że miała wówczas około dwudziestu pięciu lat, to dzisiaj powinna mieć około osiemdziesięciu pięciu–osiemdziesięciu siedmiu, ale być może jeszcze żyła! Tego samego dnia zadzwonił do gimnazjum i umówił się z dyrekcją na następny dzień. Poprosił o przygotowanie danych personalnych pani Anne Schmidt, pracującej tam jako nauczycielka historii sztuki, przynajmniej w roku pięćdziesiątym szóstym. Wolał pojechać osobiście, może usłyszy na miejscu coś ciekawego. Telefon z dyrekcji urzędu kryminalnego z Düsseldorfu działał cuda, także i w Münsterze.

Gdy Norbert pojawił się w sekretariacie, poproszono go do gabinetu dyrektora, gdzie czekały już na niego fotokopie akt pani Schmidt. Jak się okazało, pracowała w tej szkole od roku pięćdziesiątego piątego aż do osiemdziesiątego dziewiątego. Od czasu, gdy wyszła za mąż, nosiła nazwisko Seifert. Otrzymał także jej ostatni adres, a nawet numer telefonu. Norbert serdecznie podziękował za pomoc i pożegnał się, by jak najszybciej usiąść za biurkiem i uzyskać z urzędu miasta aktualne dane meldunkowe. Okazało się, że państwo Seifert nie zmienili adresu. Zamiast szukać aktualnego numeru komórki, zaryzykował i zadzwonił na stacjonarny, przydzielony rodzinie Seifert co najmniej trzydzieści, jeśli nie pięćdziesiąt lat temu.

W słuchawce słychać było znany stary dźwięk oczekiwania na abonenta.

– Anne Seifert, słucham.

No proszę – pomyślał – działa do dziś, a kiedyś wszyscy narzekali na starą dobrą federalną pocztę, którą ponad dwadzieścia lat temu przemianowano na Deutsche Telekom.

– Witam panią bardzo serdecznie, pani Seifert. Mówi Norbert Matula, zastępca dyrektor LKA z Düsseldorfu. Dzwonię... właściwie prywatnie – przedstawił się.

– Czemu spotyka mnie taki zaszczyt, panie Matula? – zapytała. Głos był pogodny, słychać było, że jest w dobrym nastroju.

– Zajmuję się pewną historią, która wydarzyła się dawno temu. Bardzo dawno, bo ponad pięćdziesiąt lat. Utknąłem i wydaje się, że pani może być moją ostatnią nadzieją. Czy znała pani Rudolfa Simona? – zapytał.

W telefonie zapadła cisza. Przerwane połączenie? Po krótkiej chwili Norbert zapytał:

– Pani Seifert, jest pani na linii?

– Tak – odpowiedziała, jednak jej głos lekko się zmienił. Brzmiał mniej pewnie. – Ale nie wiem, dlaczego myśli pan, że właśnie ja mogłabym panu pomóc?

– Natknąłem się na stare zdjęcia i mam wrażenie, że dobrze się państwo znali, że byliście zaprzyjaźnieni – odpowiedział, nie rozumiejąc jej nagłej zmiany nastroju.

– No tak, ale to było tak dawno... nie wiem, czy dużo jeszcze pamiętam – zawahała się pani Seifert. – Jak mam rozumieć, że dyrektor Urzędu Kryminalnego dzwoni prywatnie? – zapytała.

– Chodzi o to, że sprawa, którą się zajmuję, została oficjalnie dawno już zamknięta. Swego czasu sprawę tę prowadził w Düsseldorfie mój ojciec. Niestety nie pozwolono mu doprowadzić jej do końca z powodów politycznych, więc robię to teraz. Dla niego. Rudolf Simon, który po dokonanych ostatnio przeze mnie odkryciach, także i na terenie Polski, stał mi się osobiście, jeśli można tak powiedzieć, bardzo bliski, wydaje się mieć na sumieniu poważne przestępstwo. Bardzo poważne. Przez niego zginął człowiek. Zaplanował i doprowadził do śmiertelnego wypadku niejakiego doktora Hildebranda Gurlitta...

– Chwileczkę. Jeśli jest to pana prywatne śledztwo, to znaczy, że nie mam obowiązku z panem rozmawiać i udzielać panu pomocy. Czy muszę odpowiadać? Zeznawać? – przerwała mu pani Seifert.

– Szanowna pani, oczywiście, że nie! Śmierć podejrzanego lub oskarżonego oznacza konieczność umorzenia postępowania, jeżeli takowe byłoby wszczęte. Nie można też postępowania wszcząć, jeżeli wiemy, że sprawca nie żyje. Jest to tak zwana bezwzględna przyczyna odwoławcza. Tak stanowi paragraf dwieście sześć a punkt pierwszy porządku postępowania karnego – poinformował ją zgodnie z prawdą.

– Pomału, czy ja to wszystko dobrze zrozumiałam: pan chce bronić honoru swojego zmarłego ojca, któremu nie pozwolono wyjaśnić tego przypadku, a ja mam sięgnąć ewentualnie hańbę na mojego zmarłego przyjaciela? Uważa pan, że to jest w porządku? – zapytała. Pytanie było sformułowane logicznie i rzeczowo.

– Droga pani Seifert, wybaczy pani, że się tak do pani zwracam, ale bardzo mi zależy, byśmy o tym porozmawiali bez emocji. Uważam Rudolfa Simona za porządnego człowieka, nawet za bohatera! Takie zdanie o nim ma również moja żona, która pomagała mi w rozplątaniu tej zagadki. Znaleźliśmy też aktualnego posiadacza obrazu Rembrandta, którego szukał pan Simon. Nie chodzi mi o zniesławienie pamięci pani przyjaciela, jedynie o zrozumienie tego, co się stało. – Jego głos stał się cichy, proszący.

– Macie tego skurwysyna? To dobrze! No popatrzcie, to była jednak prawda z tym obrazem Rembrandta! A ja cały czas myślałam, że Rudi mi bajki opowiadał. To wygląda interesująco. No dobrze, niech będzie. Możemy porozmawiać. Ale to nie będzie przesłuchanie? I nie będzie pan nic nagrywał! Niczego też nie podpiszę!

Starsza pani wydawała się bardzo sprawna i wojowniczo nastawiona. Podała mu swój adres i zaprosiła na następny dzień na drugą po południu. Jak powiedziała, jej mąż odbywa

o tej porze popołudniową drzemkę, więc nie będzie im przeszkadzać.

Dokładnie o czternastej Norbert stał przed reprezentacyjnym domem na przedmieściach Münsteru. Na zaśnieżonej miedzianej tabliczce widniał napis wygrawerowany pewnie przed wieloma laty: „Prof. Dr Seifert”. Usłyszał brzęczenie zamka furtki i wszedł do ogrodu. W drzwiach domu czekała już na niego pani Seifert. Musiała być blisko czterdziestki, podpierała się laską, ale ogólnie robiła wrażenie, że świetnie się trzyma. Widać było, że była kiedyś atrakcyjną kobietą. Nie była szczupłą i może dlatego potrzebowała laski do pomocy. Weszli do domu, pani Seifert poprowadziła gościa z przedpokoju przez obszerny i dobrze oświetlony salon do oranżerii. *Wintergarten* państwa Seifert tonął w zieleni; zarówno wewnątrz, jak i na zewnątrz, w ogrodzie. Gospodyni poprosiła Norberta, by nalał sobie kawy, a jej wody mineralnej. Nie pijała już kawy, bo mąż już dawno jej zabronił. Niestety, serce już nie to.

Spojrzał na nią, nie rozumiejąc, dlaczego mąż miałby zabraniać jej pić kawę.

– O, przepraszam, nie powiedziałam, że mąż jest lekarzem. Teraz już na emeryturze, ale mną dalej się opiekuje – wyjaśniła.

Norbert się uśmiechnął, zrozumiał, skąd na tabliczce znalazł się ten wysoki tytuł akademicki. Następnie, w skrócie, jak tylko było to możliwe, dla zrozumienia całości wprowadził panią Seifert we wszystko, co już sam wiedział. Rozpoczął od historii swojego ojca i znalezienia medalika ze Świętym Antonim w garażu Gurlitta. Potem wspomniał o odkryciu skarbu Corneliusa Gurlitta, co obudziło w nim chęć rozwiązania sprawy rozpoczętej przez ojca. Następnie omówił podróż do Londynu, Sotheby's, rozmowę ze szwajcarskim bankierem Peterem Bäuerlem i odkrycie herbu Jasła na obrazie Rembrandta. Tego samego herbu, który był na medaliku. No i później opisał rewelacje z Polski, okrucieństwa Niemców w Jaśle, szaleństwo Gentza, opowieść franciszkanina o powrocie Rudolfa do Jasła. Następnie przedstawił rozmowę z panią Helene, sekretarką Gurlitta. Dotąd wszystko było jasne.

– Ale co było później? Jak zginął Gurlitt i Gentz? Dlaczego tu i tam przy zwłokach znaleziono obrazek Świętego Antoniego? Czy w obu przypadkach mógł maczać palce Rudolf Simon? Gdyby szukał zemsty, dawno by dopadł Gentza, jeśli znalazł już Gurlitta. I właściwie dlaczego zabił Gurlitta? Co ten mu zawinił? – Norbert miał jeszcze więcej pytań, ale na razie na tych się zatrzymał.

Pani Seifert słuchała go bardzo uważnie, nie przerywając ani razu. Później przez dłuższą chwilę milczała. Najwyraźniej musiała sobie te fakty poukładać w głowie.

– Dobrze, że pan przyszedł, panie Matula. Dobrze. Wszystko dopiero teraz łączy się w logiczną całość. Wcześniej wiele z tego, co pan powiedział, musiałam sobie sama dopowiedzieć, domyślić się. Myślę też, że i to, co ja panu powiem, pana zaskoczy.

Zacznijmy od tego, że gdy poznaliśmy się z Rudim, nazywałam się Schmidt, Anne Schmidt. Nie wszystko, o czym panu powiem, to moje własne doświadczenia, w dużej części dowiedziałam się tego od Rudiego, głównie podczas jego „spowiedzi”, krótko przed jego śmiercią. Dobrą wiadomością jest to, że on Gentza nie zabił. Ale powiem od razu, że był przy jego śmierci obecny! Zacznijmy jednak od początku, wszystko po kolei – powiedziała pani Seifert i zaczęła opowiadać o tym, jak Rudi wrócił do Münsteru, jak się poznali...

ROZDZIAŁ 25

Münster

centrum Starego Miasta

wrzesień 1956 r.

Był piątek, a w piątki po południu Rudolf Simon nie miał już zajęć. Wtedy zwykle zaglądał do kościoła Świętego Antoniego, który znajdował się w odległości niecałych dziesięciu minut spacerem od szkoły, gdzie uczył. Zaglądał, bo od dawna już nie chodził do żadnego kościoła na mszę. Lubił być w kościele sam. Tylko wtedy mógł skupić się na rozmowie ze świętym, który go uratował, a w rezultacie zostawił na tym świecie zupełnie samego. Tam zastanawiał się też nad tym, jaką treść nadać życiu, które dla niego straciło już właściwie sens. Bez pośpiechu układał plan, który powinien to zmienić.

Wychodząc z kościoła, zbyt gwałtownie pociągnął za wielką żeliwną klamkę, bo ciężkie drzwi zamknęły się za nim z nieoczekiwanym hukiem. Odwrócił się lekko speszony i zatrzymał w pół obrotu. Poniżej, u podnóża schodów stała dziewczyna. Opierała się o rower, ubrana w białą lekką sukienkę w duże czerwone grochy. Na stopach miała lekkie białe sandałki. Uśmiechała się do niego. Dopiero opuścił ciemny kościół, więc słońce go lekko oślepiało. Widział tylko, że wyglądała uroczo. Miała regularne rysy twarzy i jasne faliste włosy opadające na ramiona. Słodki dziewczęcy uśmiech nadawał jej twarzy prawie dziecięcy wyraz. Wydało mu się, że tę twarz skądś zna.

– Dzień dobry, panie Simon, dobrze, że pana widzę – powiedziała z wdzięcznym uśmiechem. Nie dając mu czasu na odpowiedź, zarzuciła go pytaniami: – Co to za kościół? Nieco dziwna architektura, prawda? Często pan tu bywa? Tak w środku dnia?

Teraz ją rozpoznał. To Anne Schmidt, koleżanka z gimnazjum, w którym oboje uczyli. Nie nawiązał z nią dotychczas żadnego kontaktu. Czekał wciąż na spotkanie ze swoją Zofią, od lat już nie zwracał uwagi na kobiety. A teraz, od powrotu z Jasła, gdy dowiedział się, że musi o niej zapomnieć, tym bardziej zamknął się w swoim świecie.

O panie Schmidt wiedział tylko, że jest tu nowa, świeżo po studiach i będzie, zdaje się, uczyć malarstwa i historii sztuki. Pewnie ma jakieś dwadzieścia pięć–dwadzieścia sześć lat. Nigdy nie umiał określić wieku kobiet, a ta dziewczyna, stojąca przed nim, wyglądała na osiemnaście. Po jej wymowie wiedział też, że pochodzi z okolic Berlina. Typowo berlińskie *jut* zamiast *gut* czy też *icke* [*ike*] w miejsce *ich*.

– Dzień dobry, Fräulein Schmidt. – Niepewnie uśmiechnął się i odpowiedział pytaniem:
– A co pani tu robi?

– Zwiedzam Münster. To piękne niegdyś miasto nie wygląda dzisiaj nazbyt ciekawie. Wiem, jak wygląda po wojnie Berlin, ale to nic w porównaniu z Münsterem. Tu zniszczono ponad dziewięćdziesiąt procent starego miasta. Wie pan, że Münster został założony w ósmym wieku przez Karola Wielkiego? – mówiła jak nakręcona.

– Przyznaję, że nie. Ale, jak widzę, otrzymam za darmo lekcję historii.

Uśmiechał się i przyglądał jej z coraz większą przyjemnością. Była tak radosna, że jej nastrój i jemu się udzielił.

– Chętnie. Karol Wielki założył tu klasztor, *monasterium*, z osadą przyklasztorną. Stąd nazwa miasta. A że kościoły nadawały pejzazowi miasta charakterystyczny wygląd, nazywano je: „nordyckim Rzymem”. Fabio Chigi – późniejszy papież Aleksander VII – gdy odwiedził Münster, powiedział: „Spiczaste wieże wznoszą się w obłoki, z których każdy może usłyszeć melodyjny dźwięk dzwonów”. Pięknie, prawda?

Widać było, że dużo wiedziała, że ją to naprawdę interesowało.

– Pięknie, ale to bardzo dawna historia... – Rozejrzał się po okolicy, która wciąż sprawiała ponure wrażenie. Kościół, z którego właśnie wyszedł, pod wezwaniem Świętego Antoniego, też stracił dwie strzeliste wieże. Odbudowano go przed trzema laty, ale z rekonstrukcji wież i kopuł zrezygnowano, stąd pewnie zdziwienie Anne z powodu jego architektury.

– Widzę, że nie jest pan w humorze. Wie pan, jakie powiedzonko mają mieszkańcy Münsteru? Trochę jak ten papież z siedemnastego wieku: „Albo pada tu deszcz, albo dzwonią dzwony – a kiedy oba zjawiska się pokrywają, znaczy, że jest niedziela”. Dobrze, prawda? A dzisiaj ani dzwonów, ani deszczu. Przejdziemy się? – zapytała tak naturalnie, jakby znali się od lat.

Dziewczyna tryskała energią i chęcią działania. Chciał się jakoś wymówić, ale stwierdził, że i tak nie ma nic w planach.

– Właściwie dlaczego nie? Zna pani już Aasee? – Uśmiechnął się i zaproponował kierunek, wskazując drogę.

– Słyszałam. Skąd ta dziwna nazwa? Rzeka i jezioro Aa? – zapytała.

Znowu się zaśmiała. Jej śmiech określił jako *serdeczny*. Tak tylko ona się śmiała; niezbyt głośno, ale szczerze, od serca, z głębi duszy.

– Aasee jest właściwie zalewem rzeki Aa. A w Westfalii słowo Aa jest powszechnym określeniem rzek i strumieni. Pochodzi ze staroniemieckiego „aha”. Z czasem skrócono wymowę, ot i cała tajemnica – wyjaśnił.

Anna kiwnęła głową z uznaniem. Gdy szli obok siebie, przyglądała mu się kątem oka. Całkiem fajny facet. Trochę stary, pewnie już po czterdziestce, ale potrafi być miły. I jaki przystojny, i wysportowany. Wiedziała, że uczy historii i wychowania fizycznego, ale nie wiedziała, że jest taki religijny.

– Widzę, że jest pan bardzo religijny – palnęła.

– Nie jestem tego aż tak pewny, po prostu czasem lubię przebywać w kościele. Obecnie mam na pieńku z jednym ze świętych i muszę z nim się rozmówić. Jestem katolikiem, ale rzadko bywam w kościele, by się modlić. Podczas wojny najpierw nie miałem okazji regularnie chodzić do kościoła, a później przestałem wierzyć. Ale ten święty najwyraźniej nie zauważył mojej zmiany, bo nieprzerwanie trwał przy mnie, dbał o mnie przez cały ten czas. – Na potwierdzenie tych słów wyjął spod koszuli medalik, który nosił na szyi, i pokazał jej wizerunek Świętego Antoniego.

Anne przyjrzała mu się.

– Jestem ewangeliczką i niezbyt dobrze znam się na świętych, ale tego chyba już widziałam – powiedziała niepewnie.

– To Święty Antoni. Jest patronem tego kościoła, który czasem odwiedzam. Katolicy często modlą się do świętych zamiast do Boga. Szczególnie w sprawach, w których ci święci się wyspecjalizowali. A Święty Antoni jest patronem rzeczy zagubionych i beznadziejnych. Dokładnie mój przypadek. Ale to długa historia. Porozmawiamy o tym innym razem. Szkoda tak ładnej pogody. – Uśmiechnął się, by otrząsnąć się z nastroju, w którym był już pogrążony od długich miesięcy.

– Zgubił pan coś? – spytała zatroskana.

– Tak, zgubiłem. Ale nie coś, tylko kogoś. To przypadek na tyle beznadziejny, że i Antoni z tym sobie nie radzi. Teraz muszę odnaleźć kogoś, kto jest za to odpowiedzialny. I tu liczę na jego pomoc.

Anne zauważyła znowu ten sam smutny uśmiech, co poprzednio, ale też chłód i desperację, które pojawiły się na jego twarzy.

– No to lepiej rozejrzyjmy się tutaj – zmieniła temat, by odwrócić jego uwagę. Dochodzili właśnie do Aasee, które było rzeczywiście wspaniałym zielonym miejscem, idealnym do wypoczynku. Piękne sztucznie powstałe jezioro o powierzchni pewnie ze dwudziestu hektarów. Spacerowali wzdłuż brzegu, ciesząc się wspaniałą wrześnieową pogodą. Chodzili boso po trawie. Wziął od niej rower, który stał się teraz niepotrzebnym obciążeniem. Ona mówiła i mówiła. Z rzadką przyjemnością słuchał jej młodzieńczego świergotu, który budził w nim nowe siły.

– Jak to się stało, że dziewczyna z Berlina znalazła się tutaj, w Münsterze? Gdzie pani studiowała?

Chciał dowiedzieć się czegoś więcej o tej dziewczynie, która sprawiła, że pierwszy raz czuł się dobrze. Zauważał znowu przyjemne ciepło słońca na skórze i lekki chłód wilgotnej ziemi, po której stąpali. Czuł, że znowu żyje.

– Jak wielu innych wyjechałam z Berlina. Wszyscy, którzy byli dla mnie ważni, już nie żyją. A tu mieszka od lat moja ciotka, która wydała się kiedyś za bogatego kupca z Münsterze. Ale teraz nie ma już ani męża, ani jego firmy. Na szczęście zachował się chociaż dom, który nadaje się częściowo do zamieszkania. A studiowałam w Berlinie,

Hochschule der Künste¹⁰. Wie pan, że jej początki sięgają siedemnastego wieku? – zapytała.

Rudolf słuchał, nie przerywał. Nawet nie musiał na nią patrzeć, by odczuwać radość z obcowania z nią. Znowu zmieniła temat.

– Najbardziej szanowałam, a właściwie uwielbiałam mojego profesora, Maxa Pechsteina. Wspaniały człowiek, niestety, zmarł w tym roku. Pechstein był współzałożycielem słynnej drezdeńskiej grupy Die Brücke¹¹: wspaniali ludzie, ekspresjoniści, otworzyli drogę do klasycznego modernizmu.

Była wyraźnie dumna ze swojego nauczyciela.

– A wie pan, skąd wzięła się ich nazwa? – ciągnęła dalej. – Manifest Mostu opiera się na teorii Nietzschego: człowiek jest mostem wiodącym do wyższego stanu społeczeństwa. Sztuka, jak i człowiek, musi żyć, rozwijać się, udoskonalać. Celem pracy ma być Sztuka Doskonała albo Nadczłowiek.

„Stworzymy fizyczną i duchową wolność w opozycji do wartości dostatniego sytego starszego pokolenia. Każdy, kto szczerze i bezpośrednio uruchamia drzemiącą w nim kreatywną siłę, jest jednym z nas”.

Rudolf przytaknął, słuchał jej wywodu z zaciekawieniem. Nie spodziewał się po niej tak głębokich refleksji.

– Proszę powiedzieć, co Nietzsche miał wspólnego z faszyzmem? – zapytała. – Te faszystowskie sukinsyny wykorzystali go, wzięli z niego to, co im pasowało! Ale tego, co mówił o radości życia, radości prawdziwego tworzenia, tego nie zauważali. Bo nie chcieli słyszeć, że on wyśmiewał właśnie ich, tę miernotę wierzącą w bożków takich jak Hitler i ideologię, która promuje ludzi miernych, biernych, ale wiernych! – Anne wyraźnie poniosło, zaczęła nerwowo gestykulować.

– Niestety, nietrudno znaleźć w jego genialnych dziełach, często celowo przejaskrawionych i prowokujących, miejsca, które każdy może po swojemu interpretować. Najlepiej ujął to przecież Kurt Tucholsky: „powiedz, czego potrzebujesz, a znajdę ci pasujący do tego cytat Nietzschego” – zauważył Rudolf.

Czytał Nietzschego i dobrze wiedział, że trudno zrozumieć prawdziwe, często ubrane w poetyckie sformułowania myśli przy powierzchownym czytaniu.

– Cieszę się, że pan też to tak widzi. Kocham tego szaleńca choćby dlatego, że był sobą. Nierzadko nawet sam sobie zaprzeczał. To jest życie, to jest sztuka, tak wygląda proces tworzenia. Tego nie da się wyliczyć, pomierzyć i zatwierdzić raz na zawsze jako standard! Jeśli wiesz, że jesteś na dobrej drodze, nie zbaczaj, nawet jeśli dotychczas nikt tego tak nie robił lub nie podoba się to większości. – Jej słowa brzmiały autentycznie i szczerze. W tym momencie była personifikacją młodości: piękna, zbuntowana i nieco zwariowana.

– Niestety, nie jestem z tym na bieżąco – stwierdził. Jedyne, co wiązało go teraz z zewnętrznym światem, wyciągało na kilka godzin dziennie z jego mrocznego życia

wewnętrznego, to kontakt z dziećmi i szkołą, wynikający z konieczności pracy. Z czegoś musiał żyć.

– Świat sztuki znów odzyskuje znaczenie. Muzea i galerie wystawiają znowu sztukę nowoczesną. Mówi panu coś nazwisko Gurlitt? Nie? On i jemu podobni byli ważnymi ludźmi dla rozwoju ekspresjonizmu w naszym kraju. Pechsteina inspirował Gauguin. Proszę sobie wyobrazić, że to Wolfgang Gurlitt sfinansował jego wyprawę na wyspy Palau, za wzorem jego idola! Dopiero pierwsza wojna światowa zmusiła go do powrotu. A później jego promotorem był inny Gurlitt, kuzyn Wolfganga – doktor Hildebrand Gurlitt. Był historykiem sztuki i kierował muzeum w rodzinnym mieście Pechsteina, Zwickau. Tam nie tylko wystawiał jego obrazy, ale i wiele z nich zakupił do muzeum. A w latach trzydziestych pomógł mu znowu, kiedy stracił już stanowisko dyrektora w muzeum i zajął się handlem sztuką. Po wojnie, w czterdziestym piątym roku, Pechstein zatrudnił się jako profesor w Berlinie, bo zyskał przynajmniej pewny miesięczny dochód.

– Nie wiedziałem, że i artyści przechodzili takie piekło – przyznał Rudolf.

– A wie pan, niedawno się dowiedziałam, że Hildebrand Gurlitt organizuje znowu wystawy? W Düsseldorfie. Zorganizował wystawę Marca Chagalla, był już Max Beckmann, Pablo Picasso i Emil Nolde. Ciekawa jestem, kogo wystawa jest w tym roku – zastanowiła się, kładąc palec na brodzie. – Nieważne, już wiem! Jedźmy do Düsseldorfu i sami się przekonamy. To chyba niedaleko. Interesuje się pan sztuką?

– Sam nie wiem. Chyba tak, ale ostatnio interesuję się tylko sztuką klasyczną. A dokładnie Rembrandtem. – Rudolf mówił znowu cicho, po trosze do siebie.

Zawiesił głos, bo zaczął się zastanawiać i łączyć ze sobą fakty. Gentz pochodził przecież z Düsseldorfu – Diabeł z Düsseldorfu. Więc jeśli Gentz zechciałby sprzedać ten obraz, to taki znawca jak Hildebrand Gurlitt mógł coś o tym słyszeć...

– Dlaczego właśnie Rembrandt? – Anna patrzyła na niego wyraźnie zaskoczona.

– Panno Schmidt, to naprawdę długa historia...

– Widzę, panie Simon, że ma pan wiele ciekawych, ale długich historii do opowiedzenia. Chciałabym je wszystkie usłyszeć. Mam dużo za dużo czasu, bo chłopaka tu jeszcze nie mam. Nawet żadnej przyjaciółki. Chce pan zostać moim przyjacielem? – Obdarzyła go znowu słodkim uśmiechem, za który chciałaby ją objąć i ucałować. Tak jak starsi bracia całują słodkie sześćioletnie siostrzyczki.

– Chętnie. – Uśmiechnął się, jak umiał najcieplej.

– No, to musimy przejść na ty. Ja jestem Anne, a ty Rudolf. Nie, Rudi bardziej do ciebie pasuje. Zgoda?

– Zgoda... – odpowiedział zaskoczony.

Anne wspięła się na palce i zanim się zorientował, ucałowała go w oba policzki.

– Rudi, w takim razie rozejrzę się i uzgodnimy, kiedy pojedziemy do Düsseldorfu. A ty, proszę, sprawdź, jak najłatwiej tam dojechać.

Nie czekając na odpowiedź, pomachała mu ręką i odjechała w kierunku centrum. Rudolf długo patrzył za jej znikającą powoli sylwetką, aż czerwone plamy na jej białej sukience zupełnie rozmyły się w oddali. Został nad jeziorem jeszcze około godziny. Pierwszy raz od lat czuł się w tym momencie beztroski, szczęśliwy. Miał przyjaciółkę, z którą może rozmawiać. Dopiero wieczór przypomniał mu o jego mrocznych planach.

¹⁰ Wyższa szkoła sztuk pięknych.

¹¹ Po polsku: Most.

ROZDZIAŁ 26

Düsseldorf

Kunstverein

koniec września 1956 r.

Był wczesny ranek, ale na dworcu głównym w Münsterze panował już duży ruch. Zobaczył ją z daleka. Anne wyglądała przeuroczo. Pełna wdzięku i radości. Szła, uśmiechając się do mijanych ludzi. Niektórzy odpowiadali uśmiechem, ale większość, zajęta swoimi sprawami, była obojętna. A raczej zdziwiona. Mało komu w tamtych dniach było do śmiechu. Rudi nie znał się na modzie. Nie miał więc pojęcia, czy żółta sukienka, którą Anne włożyła dzisiaj, jest ostatnim krzykiem mody, czy może tylko starym ciuchem z lat czterdziestych. Wyglądała w niej prześlicznie. Dzień zapowiadał się pogodny, ale Rudolf ucieszył się, że wzięła ze sobą grubszy niebieski sweterek. Nigdy nie wiadomo. Szła w jego kierunku, więc nie wołał do niej, czekał spokojnie. Był ciekaw, jak zareaguje. Przeszła obok niego na wyciągnięcie ręki, jakby go nie widząc, więc powiedział:

– Dzień dobry, panienko!

Odwróciła się z lekkim zdziwieniem i uśmiechniętą buzią i... oniemiała. Teraz go poznała. Gdzie się podział ten sportowy, ale cokolwiek zaniedbany typ? Dzisiaj Rudi wyglądał więcej niż elegancko. Bez przesady, wyglądał wręcz dostojnie, dystyngowanie. Jak z żurnala. Miał na sobie doskonale dopasowany garnitur, widać, że od dobrego krawca. Lśniący biały koszula kontrastowała z ciemnym, wysokiej jakości materiałem ubrania. Gdy podniósł rękę do powitania, spod rękawa wysunął się mankiet koszuli spięty grubą złotą spinką. Wypastowane na glanc ciemnobrązowe buty, klasyczne budapester, szeroki barwny krawat i biała poszetka. Zdaje się, że był nawet u fryzjera. Na pewno był wyperfumowany. Pięknie pachniał!

– O Boże, Rudi! Aleś się odstrzelił! Wyglądasz, jakbyśmy szli do ślubu! Ja do ciebie nie pasuję. Słuchaj, a może ty pierwszy raz w życiu idziesz do galerii? Nigdy nie byłeś na wystawie malarstwa? – Anne była szczerze zaskoczona.

– Droga Anne, ja czasem po prostu lubię dobrze wyglądać, szczególnie w towarzystwie pięknych kobiet. A jako że piękniejszych od ciebie nie widzę w całym Münsterze, musiałem też na nasze spotkanie znaleźć coś szczególnie eleganckiego – odpowiedział z uśmiechem.

Garnitur, koszule i buty przywiózł do Münsteru z Hanoweru. Tam od dawna mieszkała rodzina kuzyna jego mamy, przemysłowca. Finansowo zawsze powodziło im się doskonale. Niestety nie mieli dzieci i od lat już martwili się, co się stanie z fabryką po ich śmierci. Zajmowali się obróbką metalu, fabryka była od trzech pokoleń w rękach ich rodziny. Ale los sam rozstrzygnął. Po alianckich bombardowaniach fabryka spłonęła, a co najgorsze, wuj Wolfgang zginął w płomieniach. Desperacko próbował gasić pożar.

Gdy Rudolf jechał do Münsteru, zatrzymał się w Hanowerze. Spędził z ciotką dwa wieczory, próbując ją pocieszać. Opowiedział jej też o swojej wielkiej miłości. O tym, że Zofii już nigdy nie zobaczy. Gdy się rozstawali, ciocia dała mu wielką walizkę z ubraniami wuja Wolfganga. Pomyślała o tym, gdy dała mu przymierzyć wieczorem jego marynarkę, bo zrobiło się chłodno. Okazało się, że jego garnitury, szyte na miarę, z najlepszych tkanin, leżały na Rudolfie jak ulał. Do tego dodała dwa złote szwajcarskie zegarki i drogą męską wodę kolońską. Nikomu więcej nie były już potrzebne, więc wziął. Dzisiaj wpadł na pomysł, że pozowanie na przemysłowca może się przydać. Tylko krawat dokupił przed kilkoma dniami, bo jednak moda się zmieniała, a chciał, aby wszystko stanowiło zgrabną całość. Zdziwił się; nie spodziewał się, że dobry jedwabny krawat może być aż tak drogi.

– Anne, żarty żartami, ale proszę cię, jeśli nadarzy się taka okazja, byś dała mi nieco czasu na rozmowę z doktorem Gurlittem. To fachowiec wielkiej klasy, może mógłby pomóc mi w rozwiązaniu zagadki, związanej z pewnym obrazem. Mówiłem ci, że chciałbym zamknąć smutny okres mojego życia. Proszę. – Zrobił swoją najśłodsza minę. Wiedział już, że to Anne rozbraja.

– No dobrze, dobrze. Powiedziałaś w końcu, o co chodzi. – Te „stare czasy”, o których tajemniczo wspominał, pociągały ją od dawna.

Z powodu remontów i ciągłej przebudowy linii kolejowych, mimo że roboty były już w dużym stopniu zakończone, podróż do Düsseldorfu zajęła im ponad sześć godzin. Gdy Anne przyzwyczaiła się już do niezwykłego widoku wyjątkowo eleganckiego dzisiaj współtowarzysza podróży, znowu się rozgadała i nawet nie zauważyli, jak szybko minął im czas. Spotykali się prawie codziennie w szkole i często spędzali razem popołudnia, ale zawsze mieli o czym rozmawiać. Chociaż zwykle mówiła ona, a on jej słuchał. Wiedział o niej już chyba wszystko.

Jedynym tematem, którego wciąż unikali, był okres wojny, a właściwie wspomnień Rudiego z tego okresu. Obiecał jej, że gdy tylko to „przetrawi”, podejmie ważne decyzje i zamknie ten rozdział, opowie jej wszystko o sobie. A wtedy ona będzie musiała zdecydować, czy dalej zechce być jego przyjaciółką. Słowa te brzmiały tajemniczo i niepokojąco, ale nie wierzyła, by taki człowiek jak on mógł mieć na sumieniu coś, czego musiałby się naprawdę wstydzić. Nie chciał nic więcej o tym powiedzieć, ale wierzyła, że przyjdzie dzień, kiedy Rudi się otworzy.

Od wielu kobiet słyszała, że mężczyźni wracający z wojny tak reagują. Wojna zawsze zostawia traumę. Jedni przerabiają krzywdy, które sami wycierpieli, inni nie mogą pozbyć

się straszliwych obrazów, które prześladowają ich każdej nocy. Jeszcze inni chcą zapomnieć własne grzechy, których się dopuścili, a wiedzą, że nie znajdą spowiednika, który im je odpuści. Ci rzadko szukają księdza, bo Boga dawno już odrzucili! W przeciwnym razie nie dopuściliby się czynów niegodnych chrześcijanina. Niegodnych człowieka. Nie oczekują też zrozumienia od nikogo ze swoich bliskich, więc pozostają ze swoimi problemami zupełnie sami. Wielu poddaje się w walce z depresją, wybierając dobrowolną śmierć.

Anne nie wierzyła, że Rudi może mieć coś straszego na sumieniu. Ciągłe aluzje na temat „zamknięcia rozdziału”, choćby nawet dzisiejsze zachowanie, dawały jej raczej do myślenia na temat jego planów na przyszłość niż jego przeszłości.

Gdy dojechali do dworca głównego, w Düsseldorfie minęło już południe, a miasto przywitało ich piękną jesienną pogodą. Jak Rudi wcześniej sprawdził na mapie, do Kunstverein było niecałe dwa kilometry. Żadne z nich nigdy tu nie było, więc zdecydowali się na spacer, zamiast wsiadać do tramwaju. Potrzebowali jakieś pół godziny, aby dojść do Grabbeplatz, w centrum starego miasta. Leżący nieopodal Hofgarten¹², jak i jakieś trzysta metrów dalej na zachód ciągnąca się promenada nad Renem kusiły spacerem. Ale nie po to tu przyszedli, zwłaszcza że pociąg powrotny odjeżdżał już o siedemnastej dziesiątej. Weszli do wnętrza. Okazało się, że galeria była dzisiaj i w następne dwa dni zamknięta, trwały bowiem przygotowania do następnej wystawy impresjonistów.

Byli rozczarowani, szczególnie Anne. Tak bardzo chciała podzielić się z Rudolfem swoją wiedzą i miłością do sztuki, która jemu też chyba była bliska. Mówił jej o swoim zainteresowaniu sztuką starych mistrzów, ale nigdy nie wchodził w szczegóły. Ach, ten Rudi ze swoimi zagadkami.

Szybko nawiązała kontakt z pracującymi tam młodymi ludźmi. Zapisała terminy i tematy planowanych w najbliższych miesiącach wystaw.

– O, przepraszam cię na chwilę, stary nadchodzi – przeprosił ją Peter, pracownik galerii, z którym właśnie rozmawiała. Chłopak nie wykazywał zakłopotania tym, że jego pryncypał szedł prosto w ich kierunku. Wydawało się, że mieli całkiem porządnego szefa. Anne rzuciła wzrokiem w jego stronę i natychmiast rozpoznała Hildebranda Gurlitta. Widziała go na kilku starszych i nowych zdjęciach. Około sześćdziesiątki, średniego wzrostu, raczej szczupły, z przodu zaawansowana łysina. Wyglądał jak naukowiec albo państwowy urzędnik skarbowy. Odeszła na chwilę od grupy młodych ludzi, z którymi rozmawiała, i podeszła do czytającego prospekt ubiegłej wystawy Rudolfa.

– Bardzo proszę, oto i sam dyrektor Gurlitt – oznajmiła i wskazała na niego głową.

– Świetnie. Anne, nie obrazisz się, jeśli przedstawię cię jako swoją córkę? – zapytał zupełnie poważnie.

– Słuchaj, Rudi, ty chyba naprawdę zwariowałeś. – Anne nie kryła irytacji. – Co to ma być za teatrzyk?

– No już dobrze, przepraszam, ale proszę, nie wspominaj przynajmniej o tym, że jestem twoim kolegą, nauczycielem. Proszę! On musi myśleć, że mam w piwnicy worki

ze złotem, w przeciwnym razie nic mi nie powie. – Rudolf pocałował Anne w policzek i zostawił ją niemal skamieniałą ze zdziwienia przy ławce.

Pewnym krokiem skierował się do rozmawiającego ze swoimi pracownikami dyrektora. Anne musiała przyznać, obserwując go teraz z oddali, że robił wrażenie. Wyglądał fenomenalnie. Garnitur wołał z daleka, że pochodzi z pierwszorzędnego zakładu krawieckiego. Wysportowana sylwetka emanowała nieznaną jej dotychczas energią i pewnością siebie. Czuć było od niego moc, jaką daje wysokie urodzenie albo wielka władza, albo pieniądze. Naprawdę duże pieniądze.

Młodzi ludzie, szczególnie dziewczyny, pierwsze zwróciły na niego uwagę i spoglądały zaciekawione w jego kierunku. Spostrzegł to i dyrektor, więc również odwrócił wzrok. Gdy zauważył eleganckiego gościa, który z lekko uniesioną głową, pewnym krokiem, szedł w jego stronę, przeprosił pracowników. Hildebrand Gurlitt miał długie doświadczenie w pracy z klientami. Często na pierwszy rzut oka potrafił ocenić, z kim ma do czynienia. Ten człowiek nie miał jeszcze pięćdziesiątki, ale najwyraźniej osiągnął dużo. Przynajmniej finansowo. Kiedyś, przed wojną, silna, wyprostowana sylwetka świadczyła o dobrym pochodzeniu. Ale podczas wojny wielu oficerów, niekoniecznie błękitnej krwi, prezentowało podobny styl. Ten człowiek jednak musiał od dziecka mieć do czynienia ze sportem, szermierką albo czymś podobnym. Nieważne. Ale czego on mógł chcieć?

– Witam serdecznie, *Herr Doktor* Gurlitt – przywitał się nowo przybyły, lekko pochylając głowę. – Nazywam się Rudolf Simon. Bardzo przepraszam, że nie umówiłem się wcześniej telefonicznie, ale jestem w Düsseldorfie przejazdem. Pochodzę z Hanoweru. Moja siostrzenica przyciągnęła mnie tu prawie siłą. Kocha sztukę modernistyczną. Ja niekoniecznie, ale jeśli tu już jestem, chciałbym wykorzystać okazję, jeśli pan pozwoli, na rozmowę z tak wielkim znawcą rynku sztuki i historykiem sztuki, jakim pan jest. Czy znalazłby pan dla mnie dziesięć minut? – mówił grzecznie, ale głosem przywykłym do tego, by inni słuchali go z uwagą.

Mimo tego nie najkrótszego wstępu Gurlitt nie miał wciąż pojęcia, czego ten człowiek może od niego chcieć.

– Proszę za mną, do mojego gabinetu – powiedział i ruszył w kierunku sekretariatu. Tam przepuścił gościa przodem, robiąc do siedzącej młodej kobiety minę, że nie wie, kim jego gość jest i o co mu chodzi. Gdy znaleźli się w zaciszu gabinetu i usiedli za stołem, Gurlitt zaproponował gościowi coś do picia. Rudolf odstłonił lewy nadgarstek i spojrzał na zegarek.

– Dziękuję, przykro mi, zaraz musimy jechać dalej. Kierowca już czeka – stwierdził krótko.

Gurlitt też rzucił okiem: Breitling, szwajcarska marka, Chronomat, złoto próby siedemset pięćdziesiąt. Oprócz pieniędzy gość miał też styl, sportową fantazję i niekoniecznie kochał tylko to, co niemieckie. Gurlitt często bywał w Szwajcarii i wiedział, że Breitling od dawna już współpracował z Royal Air Force, a później także z US Air Force.

– A więc do rzeczy. Doktorze Gurlitt, przyznaję od razu, że nie jestem znawcą sztuki. Posiadam kilka obrazów, które traktuję raczej jako... inwestycję. O każdej dobrej inwestycji decyduje *timing*, dobrze wybrany czas, a przez to i cena. Carl Mayer von Rothschild twierdził: kupuj, gdy grzmiały armaty, sprzedawaj, gdy grają skrzypce. To się chyba nie zmieniło. Myślę, że to ostatnia szansa, bo dopiero niedawno umilkły armaty i ludzie nie mają głowy do kupowania sztuki. Co pan o tym sądzi? – Z zaciekawieniem spojrzął Gurlittowi prosto w oczy.

– Słuszna dewiza. Na rynku sztuki antycykliczność to znana reguła, nie jest już tajną wiedzą, tylko dla wtajemniczonych. Jedynie nowobogaccy kupują dzieła wtedy, gdy dojdą do pieniędzy. Ludzie posiadający pieniądze w trudnych czasach lokują je w sztuce lub złocie. A jako że jeszcze daleko do czasów, kiedy zagrają nam skrzypce, trudno dzisiaj na rynku cokolwiek znaleźć. Ludzie wolą przytrzymać swoje zbiory. – Gurlitt z rosnącym zainteresowaniem obserwował gościa.

– No proszę, miałem nosa, dobrze zrobiłem, zwracając się do pana. Zna się pan na sztuce, ale i zna pan rynek. Nie mam zbyt wiele czasu, więc powiem wprost: szukam starych holenderskich mistrzów. Możliwie tanio. Rozumie pan? Może pan mi w tym pomóc? Obiecuję hojną prowizję. Nawet tylko za wskazówkę, gdzie mogę coś ciekawego znaleźć.

Mówiąc to, Rudolf nie domyślał się nawet, jaką burzę rozpętał w głowie dyrektora Gurlitta. Sześćdziesięciolatka zalała dosłownie fala gorąca. Takie rzeczy zdarzają się tylko w książkach. Gentz nakazał mu, pod groźbą zniszczenia go, znaleźć natychmiast kupca na Rembrandta, a po kilku dniach poprosił go o pomoc człowieka, który szukał starych holenderskich mistrzów! Czy to mogła być pułapka zastawiona przez policję? Amerykanie orzekli przecież, że jest niewinny, a poza tym on widział, jak ubierają się ich urzędnicy. To zupełnie inny standard. Poza tym to na sto procent Niemiec. Policjant czy jakaś podstawiona osoba? Ale to, co ten człowiek miał na sobie, kosztowało więcej niż roczna pensja niemieckiego komisarza policji. Sam zegarek to drugie tyle. To musiał być zbieg okoliczności.

– Widzi pan. Jesteśmy stowarzyszeniem artystów tego kraju. Nie kantorem sztuki. Powiem jednak, że choć nie interesuje mnie prowizja, nie wykluczam, że mogę, przez przypadek, panu pomóc. Ktoś poprosił mnie zupełnie niedawno o pomoc w sprzedaży Rembrandta. Autoportret. Niestety nie jest mi znana proveniencja dzieła, więc obraz mnie nie zainteresował. Jesteśmy solidną instytucją, nie możemy ryzykować skandalu – powiedział, udając obojętność, dyrektor Gurlitt.

Teraz podobna burza przeszła przez głowę Rudolfa. Czyżby miał aż takie szczęście? Pierwsze pytanie i trafienie? Cholera, następny cud Świętego Antoniego. Aż się w duchu uśmiechnął.

– I co, odprawił pan człowieka z kwitkiem? Szkoda!

– Tak, ale kontakt gdzieś zachowałem. Nawet mam gdzieś zdjęcie obrazu. Jednak powtarzam: nie chcę mieć z tą transakcją nic wspólnego. Nie jestem też zainteresowany wynagrodzeniem. Człowiek bardzo prosił, szczerze powiedziawszy, naprzykrza się, więc chcę się go pozbyć. – Uśmiechnął się nieco wymuszenie, grzebiąc w szufladzie biurka. – O proszę. – Położył na biurku kolorową fotografię.

Rudolf podniósł się powoli i bez pośpiechu zbliżył do biurka. Obawiał się rozczarowania. Tymczasem jedno spojrzenie na zdjęcie wywołało ulgę. Natychmiast wróciło wspomnienie wieczoru z Zofią, gdy oboje z zakłopotaniem oglądali ten obraz na poddaszu w domu przy ulicy Piotra Skargi trzynaście w Jaśle.

– Widzę, że się panu podoba – powiedział Gurlitt, zauważając lekki uśmiech na twarzy klienta.

– Jeśli jeszcze cena jest do przyjęcia? – odpowiedział Rudolf.

– To już nie mój problem. Proponuję: proszę zapisać mi swój adres, o tutaj – podał gościowi kartkę papieru i starannie zatemperowany ołówek – a ja przekażę te dane sprzedającemu. Wszystkie pozostałe sprawy załatwicie już panowie między sobą. Mnie nie jest pan nic dłużny – powiedział z ogromnym uczuciem ulgi.

– Doskonale, panie doktorze. Jestem panu naprawdę bardzo wdzięczny. A może pan mi powiedzieć coś o sprzedającym? Co to za człowiek? Od rzeźmieszka czy bandyty nie kupię – zażartował Rudolf, pisząc jednocześnie na podanej mu kartce swoje imię i nazwisko oraz adres ciotki w Hanowerze. Uważał, że w ten sposób zachowuje wystarczającą anonimowość. Ciotka nie znała jego adresu, więc gdyby sprzedający nawet ją odwiedził, niewiele by zyskał. Dom ciotki potwierdziłby jego mit bogacza, a ciocia powiedziałaaby szczerze, że nie wie, gdzie i jak go znaleźć. A on zawsze mógł zadzwonić do cioci i poprosić, by przeczytała mu list, który nadejdzie.

– Ależ skąd, to szanowana osoba, z dobrego domu, doktor prawa. Pracuje na wysokim stanowisku w Ministerstwie Finansów naszego landu. – Mówiąc to, Gurlitt w duchu przeklinał Gentza, bo takiego bandyty i rzeźmieszka jak on dawno nie spotkał.

Teraz Rudi był pewny, że znalazł osobę, której szukał. Podziękował Gurlittowi za jego cenny czas, pożegnał się, spojrzął jeszcze raz na zegarek i stwierdził, że mają z siostrzenicą jeszcze dość czasu na spacer, bo kierowca pewnie jeszcze czeka na parkingu. Gdy wyszedł, wziął zdezorientowaną Anne pod rękę i szybko opuścili budynek.

– Powiedz mi natychmiast, co tu się dzieje! Robisz ze mnie idiotkę! Zostawiasz mnie tu samą, a ty, kompletny laik, gawędzisz sobie z największym chyba w całych Niemczech historykiem sztuki ponad pół godziny o sztuce? Jemu też opowiedziałeś tę bajkę, że szukasz Rembrandta? – Anne nie ukrywała złości.

– Jesteś moim aniołem stróżem! Dzięki tobie chyba uda mi się rozwiązać ten cholerny problem. Mogę cię ucałować? – Rudi objął ją, przytulił i bardzo czule ucałował w policzki. Później wziął ją za rękę i tak doszli aż do dworca.

W tak dobrym humorze Anne go jeszcze nie widziała. Rudolf podobał jej się od dawna. Ale dzisiejsza wycieczka, jego prezencja, styl poruszania się, tajemniczość i w końcu nieznaną jej dotąd energią i radością sprawiły, że stał się jeszcze bardziej atrakcyjny. Pierwszy raz szedł z nią, trzymając ją za rękę. Opowiadał o wspólnych planach na następny tydzień. Zwykle mało mówił, słuchał, rzadko się śmiał. Zbyt często wpadał w zamyślenie. Takiego Rudiego jak dzisiaj mogłaby wyobrazić sobie jako swojego chłopaka. Nawet z jego dziwactwami i tajemnicami.

Gdy w końcu wsiedli do pociągu, zmęczona dniem pełnym niespodzianek, oparła głowę o jego ramię. Było jej teraz tak dobrze. Gdy zamknęła oczy, czuła wyraźnie jego wodę kolońską. Siedzieli tak prawie całą podróż, ciesząc się swoją bliskością. Niewiele mówili. Oboje byli zamyśleni. Ona zastanawiała się nad tym, dlaczego zawsze całuje ją jak małą dziewczynkę i czy to kiedyś się zmieni. On zaś myślał o tym, jak zareaguje, kiedy wreszcie spotka Gentza. Oko w oko.

¹² Park Dworski.

ROZDZIAŁ 27

Münster/Düsseldorf

październik–listopad 1956 r.

Życie w Münsterze biegło swoim rytmem. Wakacje dawno się skończyły, a tradycyjne gimnazjum żeńskie imienia Annette-von-Droste-Hülshoff pękało w szwach. Liczba uczennic wciąż rosła, więc w końcu zdecydowano się na wybudowanie nowego, nowoczesnego budynku szkolnego przy Brucknerstraße. Otwarcie zaplanowane było dopiero za dwa lata, więc lekcje odbywały się dalej jeszcze na dwie zmiany, rano i po południu. Dla nauczycieli oznaczało to ciągle nadgodziny.

Szkoła miała doskonałe położenie, w samym centrum miasta, Grüne Gasse trzydzieści osiem. Dla Rudiego było to idealne miejsce, bo znalazł sobie niedaleko stąd niedrogie mieszkanie, a do tego od szkoły do St. Antonius Kirche miał spacerem niecałe dziesięć minut. Los rzucił go tutaj, ale szkołę wybrał sam. Szukał czegoś, co dawałoby mu poczucie sensu, jakąś więź z jego wcześniejszym życiem. Z Zofią. Gdy przypominał sobie, że ona ukończyła w Jaśle prywatne Gimnazjum Żeńskie imienia Błogosławionej Jolanty, tylko gimnazjum żeńskie wchodziło w rachubę.

Podczas lekcji często łapał się na tym, że szukał w ławkach, pośród siedzących przed nim dziewcząt, Zofii, to znaczy dziewczyny, która by ją mu przypominała. Wieczorami często starał sobie wyobrazić, jak mogłaby wyglądać Zofia jako Zosia: beztraska nastolatka z żeńskiego gimnazjum.

Aż do dnia, kiedy wychodząc z kościoła, zobaczył Anne Schmidt.

Był nią zauroczony. Anne była blondynką, ale on i tak widział w niej pogodną, wesołą i niefrasobliwą Zofię. Później często o tym myślał i stwierdził, że była to dużo bardziej złożona projekcja, która zaskoczyła nawet jego samego. Najwyraźniej mózg, raczej podświadomość, szukał możliwości wypełnienia luki, która powstała po zniknięciu z jego wyobraźni Zofii. Od ponad dekady istniała już tylko w jego świadomości. Aby nie oszaleć ze smutku, musiał jakoś tę stratę zrekompensować, wypełnić powstałą pustkę. Anne Schmidt stała się dla niego jakby obrazem wyimaginowanej córki, którą chcieli kiedyś mieć. Zofii przecież już nie było, musiał się z nią pożegnać. A Anne łączyła w sobie cechy inteligentnej i rozsądnej Zofii z czarem jego małej siostrzyczki Leny. Helene, zwana przez wszystkich w domu Leną, zmarła przedwcześnie na skutek powikłań po zapaleniu płuc. Ze złotymi lokami i rozbrajającym uśmiechem wyglądała jak aniołek. Wszyscy ją kochali.

Jej spojrzenie, uśmiech i dźwięczny zaraźliwy śmiech odganiały zawsze nawet najbardziej pochmurne myśli. To samo odczuwał teraz, patrząc na Anne. Rozmawiając z nią, słuchając jej przemyśleń, słyszał i widział Zofię.

Anne okazała się darem niebios. Skutecznie wyrwała go z letargu, w jaki popadł po ostatnim pobycie w Jaśle, kiedy zrozumiał, że jego ukochana nie żyje. Nawet chęć zemsty na winnym jej śmierci Walterze Gentzu nie była wystarczająco silna, by pokonać obezwładniającą go depresję. Choroba ta odebrała mu nie tylko radość i siły, ale także sens życia. Odżył dopiero teraz, po dwóch latach. Wreszcie wszystko szło ku lepszemu. Zaczął budzić się do życia, zaczął je planować.

Poprosił szkolną sekretarkę, srogą pannę Lennart, by pozwoliła mu zadzwonić do cioci w Hanowerze. Jak każdemu odpowiedziała, że telefon ten nie służy do załatwiania spraw prywatnych, że każdy ma do dyspozycji urząd pocztowy, który nie znajduje się daleko. Rudolf wykorzystał cały swój czar i umiejętności aktorskie. Panna Lennart, osoba w jego wieku, musiała zmięknąć, gdy dowiedziała się, jak ciężko chora jest jego biedna ciocia.

– Dzień dobry, droga ciociu! Jak się czujesz? – pełen troski zapytał Rudi, uśmiechając się do panny Lennart, która nie zamierzała dyskretnie opuścić swojego miejsca pracy. – O, jak się cieszę! Proszę, dbaj o siebie. Gdyby się pogorszyło, dzwoń, proszę, do szkoły. Nie wyobrażasz sobie nawet, jak miłą i wspaniałomyślną osobą jest nasza szkolna sekretarka, panna Lennart. Tak, ciociu. No wiesz co! Nie wypada mi przecież mówić, że jest też atrakcyjną kobietą. Ona na pewno natychmiast przekaże mi wiadomość od ciebie. – Znowu obdarzył uśmiechem zdziwioną sekretarkę.

Panna Lennart patrzyła na niego sponad grubej książki, do której wprowadzała jakieś liczby. Uśmiechnęła się i dotknęła ręką włosów, jakby chciała poprawić misternie ułożoną, bardzo skomplikowaną fryzurę.

– Cieszę się, ciociu. A tak przy okazji możliwe, że przyjdzie na twój adres jakiś list adresowany do mnie. Bądź tak dobra i daj mi znać. Nie, nic ważnego. Zawodowe sprawy. Najlepszego i dbaj o siebie, ciociu! Ach, zapomniałbym. To ubranie, które mi dałaś, bardzo mi się przydało, jeszcze raz ci dziękuję. – Pożegnał się z ciocią i podał jej numer telefonu do szkoły.

– Panie Simon, telefon sekretariatu nie jest do spraw prywatnych, ale ze względu na stan pańskiej biednej ciotki zrobię dla pana wyjątek. Widzę bowiem, że jest pan dobrym człowiekiem i troszczy się o nią. – Spojrzała na niego dziwnym wzrokiem. Gdyby chodziło o inną kobietę, pomyślałby, że zauważył w nim pewną kokieterię. Ale przecież nie u panny Lennart!

Teraz nie pozostało mu nic innego, jak czekać, aż zarzucona przez niego w Düsseldorfie przynęta zwabi ofiarę. Całe dni spędzał w szkole. Kontakt z młodymi, pełnymi radości życia dziewczynami wpływał na niego stymulująco. Znowu rozumiał ich żarty, reagował naturalnie; odpowiadał uśmiechem, żartował.

Wieczory spędzał zwykle na planowaniu spotkania z Gentzem, bo wciąż nie wiedział, jak powinno ono przebiec. Jasne, że musiał być uzbrojony, ale to nie stwarzało trudności. Czarny rynek wciąż istniał. Ale zastanawiał się, czy ma wejść do jego pokoju i nic nie mówiąc, strzelić mu prosto między oczy. Wiedział, że jest to najpewniejsze rozwiązanie. Każda dłuższa rozmowa mogła wprowadzić niepotrzebne ryzyko; do pokoju mógł wejść ktoś z rodziny, zasłonić Gentza lub dać mu szansę sięgnięcia po własną broń. Prawdopodobnie był też uzbrojony – ten człowiek żył od lat w ciągłym strachu o swoje życie, o to, że zostanie rozpoznany.

Ale czy to będzie zemsta, jeśli ten bandyta zginie od nieoczekiwanej kuli? Nie, powinien dowiedzieć się, dlaczego zasługuje na śmierć. Takie spotkanie wymagało czasu! Musiał mu wszystko wyjaśnić, ten człowiek musiał wiedzieć, jaką zbrodnię i na kim popełnił. Gentz musiał mieć też prawo obrony, wyjaśnienia, jak i dlaczego do tego doszło. Tak, to było ważne. Od niego chciał usłyszeć, co zrobił Zofii. Tylko wówczas kara będzie sprawiedliwa i będzie miała sens. Nie wierzył, by ten złoczyńca zrozumiał swoją winę, ale zanim umrze, musi przynajmniej żałować swojego czynu. Przecież karą nie jest śmierć, która zakończy jego życie. To moment tak krótki, że nie zarejestruje go nawet jego świadomość, która natychmiast zgaśnie. Karą będzie to, co zadzieje się w jego głowie od momentu, kiedy zrozumie, że wyrok został wydany, do chwili egzekucji. Jak Rudolf mógł sprawić, by ten czas, świadomość nieodwołalności egzekucji, wydłużyć możliwie maksymalnie? Nie potrafiłby torturować człowieka, nie sądził też, że to konieczne. Uważał, że nie ma większego cierpienia jak zrozumienie przez oprawcę bólu swojej ofiary. A zrozumie to, jeśli sam znajdzie się w roli ofiary – całkowicie bezbronny, oddany w ręce sędziego i kata w jednej osobie, który obserwuje jego cierpienie, napawa się nim i zwleka z egzekucją.

Uświadomił sobie, że cieszy go, wręcz fascynuje wyobrażenie klęczącego przed nim na kolanach, błagającego o egzekucję, uwolnienie z tego bólu Gentza. Ale tak naprawdę cieszyło go coś zupełnie innego: wreszcie był znowu zdolny przeżywać jakiegokolwiek uczucia. Fascynacja, niezależnie, czego dotyczy, jest afektem bardzo silnym, a to oznaczało, że wy dostał się faktycznie z tego ciemnego lochu, jakim jest depresja. Nie był u lekarza, bo jak każdy chory pozbawiony wsparcia bliskich i ich perswazji nie szukał pomocy psychiatry. Nawet gdyby chciał, trudno byłoby uzyskać konsultację. Szpitale psychiatryczne były pełne byłych żołnierzy, ludzi naprawdę chorych, a on nadal jakoś jeszcze funkcjonował.

Spotkania z Anne cieszyły go zawsze. Każdego dnia widział ją, przynajmniej z daleka, kilka razy. Czasem udawało im się zamienić kilka słów, pozartować. Od wspólnej podróży pociągiem zastanawiał się, jak dalej mają przebiegać ich relacje. Z radością przyjął propozycję przyjaźni. Tak też dotychczas rozumiał ich niezobowiązujące do niczego spotkania i rozmowy. Nigdy nie prowokował jej do żadnego dalszego kroku. Ale ta niedawna podróż zmusiła go do zastanowienia się, dokąd ta znajomość prowadzi. W jego

wyobraźni Anne była dotychczas dzieckiem, które dawało mu wiele radości, zastępowała wciąż potrzebną mu więź z Zofią. Czy tego oczekiwała od niego i ona? Czy miał prawo dalej ją w ten sposób wykorzystywać?

Gdy wracali z Düsseldorfu, siedzieli bardzo blisko siebie na drewnianej ławce wagonu drugiej klasy. Oparła się o niego. Aby było wygodniej, oparła później głowę w zagłębieniu jego ramienia. Widział, że jej się to podobało. Obserwował jej rozchylone usta i rozszerzone nozdrza, gdy powoli i uważnie wdychała powietrze; czuła prawdopodobnie zapach jego wody kolońskiej. Patrząc na nią z góry, widział w wycięciu dekoltu więcej niż tylko zarysy jej jędrnych i pełnych piersi. Podnosiły się i opadały w szybszym niż zwykle tempie. To nie był widok słodkiej dziewczynki, jego siostrzyczki Leny. Przez zwiewną sukienkę widział piersi i uda ekscytującej, ale też ewidentnie podnieconej kobiety. Miał nadzieję, że nie poczuła, że i jego ciało bezwolnie zareagowało na ten widok.

To nie było w porządku. Dlatego właśnie od kilku dni unikał jej lub nie podejmował tematu następnego spotkania. Szukał rozwiązania, które samo się nie narzucało. Wiedział, że coś do niej czuje, ale nie chciał nazywać tego inaczej jak dotychczas, czyli rodzicielską troską i radością ze wspólnie spędzanego czasu. Nie był gotów na romans, a tym bardziej na poważny związek. Musiałby jej to powiedzieć, a to mogło ją zranić, bo Anne mogłaby to zrozumieć jako odrzucenie, niedocenienie jej wdzięków czy przyznanie się do impotencji. Po tej straszliwej wojnie był to problem bardziej powszechny, niż mogłoby się wydawać. Innego wyjścia na razie nie widział. Musiał dbać o to, by unikać spotkań sam na sam. Na razie odkładał tę decyzję, zwlekał.

Gdy w połowie października wciąż nie miał informacji od cioci, zajrzał do sekretariatu.

– Dzień dobry, panno Lennart.

– Dzień dobry, panie Simon. Pańska szanowna ciotka cieszy się najwidoczniej najlepszym zdrowiem, jeśli to pana sprowadza. Nie było telefonu z Hanoweru – odpowiedziała sztywna jak zawsze.

– Bardzo się cieszę. Równie cieszę się, widząc pannę Lennart w dobrym zdrowiu i kwitnącą – zauważył z uśmiechem. Dopiero odwracając się ku wyjściu, zauważył, że przy stole, naprzeciw sekretarki, siedział dyrektor Lauffs, na którego twarzy również pojawił się uśmiech.

Minęły następne dwa tygodnie, telefonu nie było, czyli żaden list nie przyszedł. Postanowił więc porozmawiać z dyrektorem Gurlittem i po południu w piątek zamiast do kościoła poszedł na pocztę główną. Ostatnio częściej zaniedbywał spotkania ze Świętym Antonim. Bardzo mu pomógł, zrobił kawał dobrej roboty, ale teraz nie miał z nim do omówienia żadnych konkretnych tematów. Bez problemu znalazł numer telefonu Kunstverein w Düsseldorfie. Zauważył, że w książce telefonicznej podany był także prywatny numer Hildebranda Gurlitta i jego adres przy Rotterdamer StraÙe trzydzieści pięć. Zanotował oba.

Jeśli to takie łatwe, to może znajdę od razu i Gentza – pomyślał. Faktycznie, tyle tylko, że były trzy takie wpisy. Zapisał wszystkie trzy, a następnie wybrał numer telefonu Stowarzyszenia Sztuki w Düsseldorfie.

– Kunstverein Düsseldorf, sekretariat doktora Gurlitta – powiedział miły kobiecy głos.

– Dzień dobry, tu Rudolf Simon z Hanoweru. Pan dyrektor Gurlitt mnie zna, czy może mnie pani z nim połączyć? – powiedział pewnym siebie głosem.

Minęło kilka chwil i odezwał się Gurlitt osobiście.

– Witam szanownego pana. Najwyraźniej rzadko bywa pan w domu, bo nie odpowiada pan na listy. Sprzedawca obrazu pisał do pana, ja także, ale jako że nie raczył pan odpowiedzieć, uznaliśmy, że zakup pana już nie interesuje. – Zaśmiał się grzecznościowo.

– No cóż, dlatego sprzedaż od wczoraj jest już nieaktualna.

– Co to znaczy nieaktualna!? Ja jestem wciąż zainteresowany tym obrazem. Ale faktycznie, przepraszam, od kilku tygodni nie ma mnie w domu, a służbie nie pozwalam otwierać prywatnej korespondencji. Dopiero w przyszłym tygodniu będę w domu – wyjaśnił Rudolf.

– Przykro mi bardzo, panie Simon. Więcej naprawdę pomóc nie mogę. Obraz został już sprzedany. Do widzenia panu!

– Zaraz, zaraz, panie Gurlitt. W takim razie proszę mi podać adres kupca tego obrazu. Ja go muszę mieć! – Rudolf nie potrafił ukryć zdenerwowania.

– Przykro mi, to osoba prywatna i choćby mnie pan posiekał na kawałki, nie zdradzę nawet nazwiska klienta. To tajemnica zawodowa. Zaufanie jest moim najcenniejszym kapitałem, to spoiwo, które na lata tworzy więź, spaja marszanda z kolekcjonerami. Moi klienci darzą mnie zaufaniem od ponad trzydziestu lat. Nawet podczas przesłuchiwań przez Amerykanów nie podałem nazwisk klientów – odpowiedział z dumą Gurlitt.

– Czy możemy się spotkać? Mogę być u pana w przyszłym tygodniu – teraz Rudolf już prosił.

– Przykro mi. W poniedziałek wybieram się w długą podróż służbową. Jadę do Berlina. Muszę się przygotować, także mój samochód. Wyjeżdżam z samego rana. Przykro mi – odrzekł sztywno dyrektor Gurlitt.

– Ostrzegam, że jeśli nie poda mi pan nazwiska i adresu kupca, będzie pan tego gorzko żałować. Chodzi o *Raubkunst*, ten obraz został zrabowany w Jaśle pod Krakowem podczas wojny. Ale Gentz też zna kupca, więc on mi to powie. Chociaż miałbym to z niego kijem wydusić! – krzyczał do telefonu.

– Co pan mówi? Skąd pan wie, że doktor Gentz ma z tym coś wspólnego? Ja panu przecież nic nie powiedziałem, a jego listu pan też nie czytał. Pan jest szaleńcem! A z Gentzem nie radziłbym zaczynać, to bardzo niebezpieczny człowiek. Muszę ostrzec doktora Gentza. Zrobię to, gdy tylko wrócę! – Zdenerwowany Gurlitt odkładał słuchawkę na widełki telefonu, ale wciąż słyszał jeszcze podniesiony głos Simona.

– Jestem dużo bardziej niebezpieczny niż on! – wykrzyknął Rudolf i rzucił słuchawką. Kilka osób, czekających na swoją kolejkę do oszklonej kabiny telefonicznej, pokręciło głowami z dezaprobatą.

Gdy Rudolf wracał do domu, zatoczył duży krąg, przeszedł przez park, aby dać sobie czas na ostudzenie buzujących w nim emocji. To była zupełnie nowa sytuacja. Wiedział, że prędzej czy później zabije Gentza. Teraz musiał zaplanować jeszcze jedno morderstwo. Z premedytacją, z zimną krwią, zabić właściwie niewinnego człowieka! Walczył na wojnie, nie raz zastrzelił żołnierza. Ale to coś zupełnie innego niż strzelanie do wroga na wojnie.

– Muszę pomścić Zofię. Tylko tak będę mógł żyć spokojnie. A teraz, przez głupotę, w nerwach wygadałem Gurlittowi, że znam Gentza i że go odwiedzę. Gentz piastuje w ministerstwie ważne stanowisko, więc jeśli umrze tragicznie, zrobi się szum, będzie o tym mowa w radiu i w prasie. Zostanie wszczęte śledztwo, a Gurlitt na pewno się wygada. Pamięta przecież, jak się nazywam. Może ostrzec też nowego właściciela obrazu, że go szukam. Muszę usunąć wszystkie tropy wskazujące na mnie – mrucał pod nosem.

Jedyne, co dawało pewność, że Gurlitt nic nikomu nie powie, była jego śmierć. Przypomniał sobie, że przed budynkiem Stowarzyszenia Sztuki stało kilka samochodów. Na miejscu oznaczonym tabliczką *Direktor* zobaczył najnowszy model DKW F93, wyposażony w nowy silny motor. Trzydzieści osiem koni mechanicznych. Samochody te od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego pierwszego roku produkowano właśnie w Düsseldorfie. Ta wersja była też wygodniejsza od poprzedniej, bo dziesięć centymetrów szersza. Interesował się samochodami, a DKW znał szczególnie dobrze. Pan Meier, do którego należała kamienica, gdzie mieszkał, jeździł od kilku już lat modelem F 91. Nowy model niewiele różnił się od starszego, tyle że miał mocniejszy o cztery konie mechaniczne silnik. Rudolf pomagał grubasowi Meierowi w serwisowaniu auta, za co ten odliczał mu zawsze coś z czynszu. Wiedział, co musi zrobić, aby tak „przygotować” samochód, żeby wypadku nie dało się uniknąć, ale nie nastąpi to natychmiast, więc nie powinien wzbudzić żadnych podejrzeń.

W niedzielę Rudolf, zaopatrzony w dwa klucze pasujące do systemu hydrauliki samochodowej oraz latarkę, wybrał się popołudniowym pociągiem do Düsseldorfu. Wcześniej już zorientował się, gdzie leży dom Gurlittów. Cicha spokojna okolica, blisko Renu. Było już ciemno, sprawdził teren. Nie spodziewał się kłopotów. Tylne okno w garażu, niewidoczne od strony domu, było uchylone. Aby nie ryzykować, poczekał, aż

w domu zgasną światła. Okazało się, że nawet nie musiał wkładać się przez okno, bo gospodarz zostawił boczne drzwi do garażu otwarte. Nie zapalając światła, wspomagając się latarką, przystąpił do pracy. Wszystko trwało nie dłużej jak dziesięć minut. Gdy już prawie skończył, usłyszał kroki w ogrodzie. W pośpiechu wyczołgał się spod samochodu, zaczepiając koszulę o jakiś występ blachy. Poczuł, że lekko rozerwał koszulę na piersi, ale nie zranił się. Okazało się, że się przesłyszał. Nerwy.

Wczołgał się jeszcze raz i sprawdził, czy połączenia przewodów są poluzowane tak, że samochód będzie mógł pokonać bez problemu sto, jeśli na autostradzie bez hamowania, albo nawet więcej kilometrów. Później hamulce odmówią posłuszeństwa! A przy jeździe autostradą, przy dużej prędkości, skutek będzie pewny.

Na dworcu w Münsterze znalazł się dopiero przed południem, więc w poniedziałek nie poszedł do szkoły. Następnego dnia wytłumaczył się telefonicznie, że źle się czuje, zatrucie pokarmowe. Źle czuł się faktycznie cały tydzień i do szkoły wrócił dopiero w następny poniedziałek. Przyczyną nie było jednak zatrucie. Już w poniedziałek, pod prysznicem, zauważył, że nie ma medalika, który dostał od Zofii. Tego ze Świętym Antonim. Nosił go na piersi piętnaście lat, zaliczył z nim wojnę, niewolę... Przypomniał sobie, że zaczepił o coś, leżąc pod samochodem. To musiało być wtedy. Jakiś wystający ostry element samochodu przeciął jedwabną plecioną nić. Była bardzo silna, dwa razy zdarzyło się, że jakiś Rosjanin chciał zerwać mu medalik, ale nić nie puściła, więc zrezygnował. Kilka razy też plecionka całkiem głęboko przecięła mu skórę na karku. Rudi mówił: *eto ne srebro – eto deszewo*¹³, i wszyscy wierzyli, że to zwykłe aluminium, i dawali mu spokój. No bo kto nosiłby srebrny medalik bez łańcuszka, na sznurku?

Nie miał wyjścia, musiał wrócić do Düsseldorfu. W poniedziałek wieczorem w domu Gurlittów światła zgasły znacznie później. Wtedy przeszedł znaną mu już drogą do garażu. Ale zarówno tylne okno, jak i wszystkie drzwi do garażu były dzisiaj zamknięte. Wybić okno czy próbować wyważyć drzwi? Nie był na to przygotowany, nie miał ze sobą żadnego narzędzia, którego mógłby użyć jako wytrycha do otworzenia drzwi. Obawiał się, że hałas obudzi kogoś z domowników. Z ciężkim sercem zrezygnował. Stwierdził, że będzie lepiej, jeśli wróci tu innym razem.

We wtorek zaniepokoił go brak wiadomości o wypadku. W odległym od szkoły kiosku codziennie kupował „Neue Rhein Zeitung” i sprawdzał wiadomości. Czyżby faktycznie nic się nie stało? To niemożliwe. Ale w prasie i radiu też panowała kompletna cisza. Absolutnie nic. Nie wytrzymał i zadzwonił do Kunstverein.

Aby nie poznano jego głosu, zmienił intonację i użył berlińskiego dialektu, który znał z dzieciństwa. Gurlitt miał też w Berlinie wielu klientów, a nikt nie powinien skojarzyć go

teraz z Hanowerem. Język, jakiego tam używają, to klasyczny Hochdeutsch, czyli standardowy, literacki język niemiecki.

Sympatyczna sekretarka, z którą rozmawiał przed tygodniem, powiedziała, że dyrektor Gurlitt miał ciężki wypadek. Na autostradzie dosłownie wbił się z całym impetem w hamującą przed nim ciężarówkę, a obecnie leży w śpiączce w szpitalu. Tydzień później dowiedział się, też od niej, że Gurlitt zmarł dziewiątego listopada. Wtedy zdecydował się pojechać po medalik jeszcze raz. Stracił na to znowu pół dnia, musiał nocować na dworcu i znów na próżno. Boczne drzwi i brama garażu były zamknięte, ale tym razem mógł wejść oknem. Nie znalazł tam jednak ani medalika, ani też przeciętej jedwabnej nici.

¹³ To nie srebro – to jest tanie.

ROZDZIAŁ 28

Münster

październik 2016 r.

Norbert chłonał każde słowo Anne Schmidt, obecnie Anne Seifert. Cieszył się, że prawidłowo odczytał zdjęcia z tamtych lat. Ją i Rudolfa łączyło coś więcej niż koleżeńska przyjaźń. Jego ojciec też miał rację, że medalik był kluczem do rozwiązania całej zagadki. Ale bez pomocy Anne nigdy nie zdołałby połączyć sympatycznego Rudolfa z nadętym biznesmenem z Hanoweru, którego poznała sekretarka Gurlitta. Był ciekaw, co rozwinie się między Anne a Rudim. Zapowiadał się romans, ale jak widać, nie zostali parą...

Nieoczekiwanie, bez pukania, otworzyły się drzwi od pokoju i stanął w nich starszy szczupły, siwy pan, ubrany w brązową pikowaną bonzurkę. Włosy miał lekko zwichrzone. Profesor Seifert zakończył popołudniową drzemkę – skojarzył Norbert. Profesor musiał być po dziewięćdziesiątce. Poruszał się powoli, ale w miarę pewnie.

– O, Stefan – powiedziała pani Seifert na widok męża – pozwól, że przedstawię ci naszego niespodziewanego gościa: nadinspektor Matula, dyrektor krajowego urzędu kryminalnego z Düsseldorfu.

– Wicedyrektor, nie dyrektor, ale reszta się zgadza. – Norbert uśmiechnął się, wstał i wyciągnął rękę na powitanie.

– Miło mi bardzo, Stefan Seifert, i jak pan pewnie się domyśla, jestem mężem tej pani – odrzekł pan domu. – Co znowu narozrabiałaś, kochanie, że zainteresowało to nawet dyrekcję urzędu kryminalnego? – zażartował.

– Krzywo podciąłam róże, głuptasie. Rozmawiamy o starych czasach. Lata pięćdziesiąte, gdy się poznaliśmy. Pamiętasz Rudiego Simona i jego żonę Zofię? Dawno do tego nie wracałam myślami. Aż mi się w głowie kręci, takie to fascynujące – powiedziała pani Seifert i zrobiła minę, jakby faktycznie zakręciło się jej w głowie.

– W głowie ci się kręci? Nie wstawaj, proszę! O, tu jest aparat do mierzenia ciśnienia. – Doktor Seifert usiadł przy żonie i założył jej rękaw aparatu na ramię.

Norbert wciąż siedział bez ruchu na swoim miejscu. Gdy usłyszał z ust pani Seifert, że Zofia była żoną Rudiego, o której tyle słyszał w Jaśle, chciał poprosić doktora, aby i jemu zbadał ciśnienie. Był pewny, że jego wynik mógłby konkurować z odczytem pani Seifert. Tylko Hanna, jego żona, wiedziała, że był hipochondrykiem.

– Pani znała Zofię? Tę z Polski? Ona była jego żoną? Ale on przecież nie był nigdy żonaty! Wiem to, sprawdzałem... – jąkał się, patrzył na Anne Seifert, która przytaknęła przy pierwszych trzech jego pytaniach. Miała zamknięte oczy, najwyraźniej chciała odpocząć.

Gdy aparat do mierzenia ciśnienia przestał pikać, profesor spojrział na wyświetlacz i odwrócił się do gościa.

– Szanowny panie – powiedział spokojnym, ale nietolerującym sprzeciwu głosem. – Przykro mi bardzo, stan zdrowia mojej żony nie pozwala na dalszą rozmowę. Jest chora, a temat ten najwyraźniej wciąż jeszcze bardzo ją ekscytuje. Jej ciśnienie niebezpiecznie się podniosło. Kochanie, połóż się, proszę. – Anne Seifert posłusznie, bez słowa, podniosła stopy i położyła się na kanapie.

Następnie doktor zwrócił się do Norberta:

– Proszę zostawić mi numer telefonu, ja sam zadzwonię do pana, kiedy stwierdzę, że jej stan zdrowia wytrzyma bez szkody następną wycieczkę w przeszłość. Jednak proszę nas nie niepokoić telefonami. Nie wiem, czy pan zauważył, ale moja żona nie ma już dwudziestu lat. Przykro mi, że muszę pożegnać szanownego pana. – Profesor wziął gościa pod rękę i delikatnie, ale stanowczo skierował do wyjścia.

Gdy weszli do salonu, profesor zamknął za sobą cicho szklane drzwi do ich zimowego ogrodu i zwrócił się do Norberta.

– Bez obaw, zadzwonimy. To fascynująca historia. Zofia i Rudi byli naszymi dobrymi przyjaciółmi – powiedział uspokajająco.

Norbert chciał właśnie przekazać profesorowi swoją wizytówkę, kiedy zadzwonił jego telefon. Spojrział na ekran: *Bartek Jankowski, Kraków*.

– Wydaje się, że to ważne. On nie dzwoni bez powodu – powiedział Norbert tonem wyjaśnienia. – Przepraszam, czy mogę odebrać? – Gospodarz skinął głową.

– Bartek, co u ciebie nowego? – powiedział do słuchawki i odszedł kilka kroków od szklanych drzwi, gdzie odpoczywała pani Seifert. Mówili po niemiecku, więc profesor rozumiał, o czym mówili.

– Hej, Norbert. Mam coś nowego. Odnalazłem ślad Anny Jawor, tej kobiety, która dzieliła los z Zofią Kaczkowską. Znalazłem jej córkę, a ona zna koleje życia obu pań z tamtych czasów. Dużo mi już opowiedziała, wymęczyłem ją, ale teraz wiem, jak Gentz wyciągnął od Zofii obraz i że obie trafiły do obozu. Mówię wymęczyłem, bo było jej trudno wracać do tych okropnych wspomnień. Wiesz, że Zofia Kaczkowska być może przeżyła wojnę? – pełen dumy dodał Bartek.

– Wiem, wyszła za mąż za Rudolfa Simona i mieszkali razem w Münsterze – odpowiedział Norbert i uśmiechnął się znacząco do profesora.

– Jak to? Przecież mówiłeś, że Rudolf nie był żonaty. Mówiłeś, że sam to sprawdzałeś. – Teraz Bartek nic nie rozumiał.

– Niebawem dowiemy się szczegółów. Pani Anne Seifert, była przyjaciółka Rudolfa, nie czuje się dzisiaj najlepiej, ale mam nadzieję, że za kilka dni dowiem się więcej...

– Jego przyjaciółka? Ona musi mieć dzisiaj ze sto dwadzieścia lat – przerwał mu Bartek.

– Wszystko ci opowiem. Przylecimy do Krakowa. Cieszę się, że dowiem się wreszcie, jakim człowiekiem był ten Walter Gentz. Jeszcze nie słyszałem tego od nikogo, kto znał go osobiście. Zadzwoń do ciebie dzisiaj lub jutro, by ustalić terminy. Cześć – powiedział Norbert i wyłączył telefon, by nie nadwerężyć gościnności gospodarza.

Ku jego zdziwieniu profesor nagle zmienił srogi wyraz twarzy. Patrzył teraz z tajemniczym uśmiechem, sadowiąc się powoli na stojącym nieopodal fotelu.

– Przepraszam, nie dało się nie słyszeć pańskiej rozmowy. To mnie zaciekało. Wiem coś o Walterze Gentzu. Chciałby pan wiedzieć, jakim był człowiekiem? Jakim był starostą, w Polsce, tego nie wiem. Ale mogę panu opowiedzieć o tym, jakim był człowiekiem, gdy był młody. Na studiach i krótko po nich. Zainteresowany? Ja mam czas. Drzemkę mam już za sobą, a Anne potrzebuje teraz spokoju. – Zapraszającym gestem wskazał głęboki, wygodny fotel naprzeciwko siebie.

Norbert nie wierzył własnym uszom. Kolejna niespodzianka. I tym razem z zupełnie nieoczekiwanej strony. Skinął tylko głową i bez słowa siadł w fotelu naprzeciw profesora Seiferta.

– Opowiem panu historię, którą znam od mojego brata, Roberta. Ja studiowałem medycynę, a on wybrał prawo i potem wylądował w prokuraturze w Düsseldorfie. Widywaliśmy się wówczas, jak zresztą i teraz, regularnie, choć niezbyt często. Znałem historię Zofii i Rudiego, więc śledziłem także informacje w prasie na temat samobójstwa Gentza. Kiedyś odwiedził nas Robert i rozmowa zeszła na ten właśnie temat. Jest moim młodszym bratem, a wtedy, gdy zajmował się sprawą Gentza, był początkującym prokuratorem. Nie prowadził śledztwa, czasem tylko w nim pomagał. Prokuratura zbierała przeciwko Gentzowi dowody, ale bez świadków oskarżenia z Polski i dowodów stamtąd nie było to łatwe. W tamtych latach polskie władze niechętnie dzieliły się z niemiecką prokuraturą dokumentami na temat przestępstw dokonanych tam podczas wojny przez obywateli niemieckich. Polacy chcieli sami prowadzić śledztwo. Współpraca między urzędami obu państw była ograniczona. Ze zrozumiałych względów. Brakowało zaufania. Mało się ze sobą rozmawiało, wymieniano jedynie suche noty i listy z żądaniami, których żadna ze stron nie traktowała priorytetowo.

Prokuratura w Düsseldorfie zainteresowała się Gentzem dopiero na początku lat sześćdziesiątych. Podczas jednego z przesłuchań został poproszony o podanie świadków, ludzi znających go z czasów przedwojennych. Jego lista była krótka. Podał tam, między innymi, niejakiego Horsta Kleina, którego znał z gimnazjum, a następnie studiów. Studiowali w Bonn prawo. Później Gentz to sobie chyba przemyślał, chciał Kleina wykreślić, ale nazwisko pozostało na liście.

Zadaniem mojego brata było odnalezienie i przesłuchanie tego Kleina w charakterze świadka. To okazało się nietrudnym zadaniem, bo był to znamienity prawnik, pracujący przez całą wojnę w Düsseldorfie. Opowiem panu, co Robert od niego usłyszał. Szkoda, że nie wszystko już pamiętam, bo Klein naprawdę dobrze opisał nie tylko fakty, ale też charakter Gentza. Od dziecka się przyjaźnili. Mądry człowiek ten Klein, miał szerokie zainteresowania – dodał profesor Seifert i rozpoczął swoje opowiadanie.

ROZDZIAŁ 29

Bonn

Uniwersytet Reński

listopad 1934 r.

Walter Gentz byłby naprawdę przystojnym ciemnym blondynem, nieco więcej niż średniego wzrostu, szczupłej, ale silnej budowy ciała, gdyby nie problemy ze stopami. Przeszedł chorobę Heinego-Medina, przez co obie stopy uległy zniekształceniu. Lewa bardziej widocznie była skrzywiona i przez to niewtajemniczonym wydawało się, że kulał tylko na tę nogę.

Nie wyglądał na swoje dwadzieścia siedem lat. Od najmłodszych lat uprawiał sporty, w których ułomność nie była przeszkodą, ale najbardziej kochał sporty wodne. Dzięki finansowej pozycji ojca, przemysłowca, rodzina od lat utrzymywała własną łódź w elitarnym klubie jachtowym w Düsseldorfie, przy Kaiser-Wilhelm-Park. W klubowym stroju, ciemnoniebieskiej marynarce i nienagannie białych spodniach Walter wyglądał jak gwiazdor filmowy. Takie wrażenie robił nie tylko na kochającej matce, ale też na dziewczynach przechadzających się w rozchichotanych grupkach po parku. Niektóre zapuszczały się na spacery nieco dalej, aż do przystani i domku klubowego, gdzie mogły podziwiać przystojnych, często roznegliżowanych do pasa wodniaków.

Cieszyło go, gdy był zauważany. Od dziecka starał się być w centrum uwagi. Zawsze chciał przewodzić albo przynajmniej stać z przodu, przed innymi. Problemem było tylko to, że nie posiadał talentów towarzyskich. W gimnazjum musiał poświęcić dużo czasu, by przekonać do siebie koleżanki i kolegów, aby wybrano go na rzecznika klasy. Dziewczyny go nie interesowały, jeśli już, to raczej by imponować kolegom. Szkoda mu było czasu na rozmowy o kwiatkach, jak to nazywał. Rzadko zdarzało się, by z tą samą dziewczyną spotkał się więcej niż dwa, trzy razy albo był więcej niż raz w łóżku. Nierzadko kończyło się to scenami na spotkaniach towarzyskich, ale nie widział w tym problemu. Przeciwnie, jego wizerunek zdobywcy, zwycięzcy się umacniał, a na tym zależało mu najbardziej.

Uważał, że bez podziwiającego go tłumu nie osiągnie swoich celów, które zaczęły krystalizować się, już gdy był nastolatkiem. Rosnące w kraju niezadowolenie, próby znalezienia winnego za przegraną wojnę i kryzys ekonomiczny rozbudziły od dawna widoczną niechęć do Żydów. Walter nie znał w bliższym otoczeniu nikogo, kogo mógłby zaliczyć do kategorii złych i godnych nienawiści Żydów, ale wszechobecna fascynująca go

literatura „patriotyczna” dostarczała na to wystarczająco dużo przykładów i dowodów. Jego życiowym wyzwaniem było oczyścić ojczyznę z tych pasożytów żywiących się niemiecką krwią i owocami ich ciężkiej uczciwej pracy.

Ustatkował się dopiero, gdy poznał Wendulę Kohlschein. Pochodziła ze znanej artystycznej rodziny, jej ojciec był profesorem w Akademii Sztuk Pięknych w Düsseldorfie, ale zaimponowała mu umysłem ścisłym i tytułem magistra ekonomii. Na styczeń zaplanowali ślub.

Z przyszłym teściem trudno było mu się porozumieć. Podziwiał go, ale jego sztuka nie przekonywała go. Część jego obrazów uważał za zbyt nowoczesne, nie były wystarczająco „niemieckie”, nie pasowały do nowego świata. Na przykład ostatnio zakupiony przez miejskie muzeum obraz *Przed miastem*, z którego teść był tak dumny! Walter nie zdziwił się, gdy podczas akcji zatytułowanej „sztuka zdegenerowana”, w tysiąc dziewięćset trzydziestym siódmym roku, został zdjęty i po prostu zniszczony! I ta niepojęta fascynacja Polską! W tysiąc dziewięćset piętnastym roku, podczas pierwszej wojny, teść pojechał tam, by malować. Stworzył około trzystu dynamicznych obrazów pokazujących życie w Polsce: różne sfery społeczne, mieszczanie, chłopcy na rynkach, Żydzi, żołnierze. Wiele z tych obrazów kupiły potem muzea, nie tylko niemieckie, nawet galeria narodowa w Tokio.

Ojciec nie traktował syna zbyt poważnie, kiedy przy rodzinnym stole próbował dzielić się swoimi przemyśleniami jako członek partii, cieszący się uznaniem młodzieży akademickiej. To się nie zmieniło, nawet kiedy w lutym tego roku zdał główny państwowy egzamin prawniczy i przygotowywał się do doktoratu.

– Ci ludzie nie mają pojęcia, czym są wyższe cele! Nasz nowy rząd nazywają zgrają awanturników i darmozjadów. Nie mają szacunku nawet dla Führera. Oby ci starzy głupcy nie doigrali się przez swoje bezczelne głupie gadanie! Troską ojca jest tylko jego fabryka, koszty, pieniądze i bredzenie o niepewnej przyszłości. Umie jedynie ciężko pracować i zarabiać pieniądze. Takich ludzi ojczyzna też potrzebuje, ale nie na tym polega rola człowieka naprawdę wielkiego, który chce współtworzyć nowy, lepszy świat. Lepsze, wielkie Niemcy – teraz mówił już do siebie. Był coraz bardziej wściekły.

– Czy możemy na chwilę przeszkodzić, Herr Gentz?

Obrócił głowę. I natychmiast się uśmiechnął. Spokojnie, dobrodusznie. Zatopiony w myślach nie zauważył, że zbliżyła się do niego grupka studentów. Jak widać po szarfach bractwa Frankonii, byli to chłopcy jednego z młodych roczników. On jako absolwent uczelni należał już do tak zwanych Alte Herren¹⁴, czyli absolwentów uczelni, którzy po studiach aktywnie uczestniczyli w pracy stowarzyszenia i je wspierali. Młodzi zajmowali się codziennymi sprawami bractwa i organizowali zebrania, a absolwenci, zwłaszcza ci o stałych dochodach, zapewniali im dotacje finansowe. Starsi Panowie mieli też prawo do włączania się w działalność stowarzyszenia, zazwyczaj dla utrzymania zasad i ducha bractwa. Taką rolę wybrał dla siebie Walter. Jako starszy o kilka lat od większości zebranych tam studentów wykorzystywał naturalny autorytet do prowadzenia agitacji

politycznej. Potrafił mówić, chętnie go słuchano. Był z siebie zadowolony, bo podczas dzisiejszego wystąpienia udało mu się wtrącić dodatkowe, emocjonalnie ważne dla słuchaczy, bo osobiste, argumenty. Dosłownie kilka dni temu dowiedział się, że Hitler już po raz kolejny odwiedził archiwum Nietzschego i sfotografował się obok popiersia filozofa.

– Słucham was, panowie – powiedział.

– Często pana tu widzimy i podziwiamy... – rozpoczął rozemocjonowany młody człowiek. Mówił, lekko się jękając, prawie krzyżąc, częściowo by przekrzyżać szum na dużej sali, po części pewnie z podekscytowania. Z nieskrywanym podziwem patrzył Walterowi prosto w oczy. Walter ze spokojnym uśmiechem również patrzył mu prosto w twarz. Student był piegowaty, miał rude, przepocone włosy i lekką nadwagę. Walter nie na to patrzył. Interesował się nim jak naukowiec obserwujący mysz laboratoryjną, której wstrzyknął właśnie niewielką dawkę nowego środka odurzającego. Czy już działa? Jak długo utrzyma się ta reakcja? Oceniał jego stan fascynacji i oddania się *sprawie*. Ten młodzian reagował wyjątkowo pozytywnie.

– Pańska dzisiejsza mowa była wyjątkowa, wspinała, panie Gentz. Dziękujemy, że jest pan z nami! Nie chcemy przeszkadzać. Dziękujemy! Heil Hitler!

On też był z siebie zadowolony. Hasła z wygłoszonego przed chwilą przemówienia znał na pamięć. Jeśli słowa wystąpienia miały działać, nie wolno było opierać się na dyletanckiej improwizacji.

– *Friedrich Nietzsche był jednym z nas! Tak jak każdy z tu obecnych on też był członkiem Frankonii! Nie tylko my, także Adolf Hitler jest dumny z niego! Hitler jest dumny z nas! W tym roku też kopia dzieła Nietzschego „Tako rzecze Zaratustra” została złożona w krypcie Mauzoleum Hindenburga¹⁵, obok wielkiego dzieła Hitlera „Mein Kampf” oraz epokowej pracy Alfreda Rosenberga „Mit dwudziestego wieku”. Myśli wielkiego niemieckiego filozofa to naukowe dowody na to, że nadczłowiek i jego osiągnięcia mogą powstać wyłącznie na zdrowym aryjskim gruncie. Sieg Heil!*

Własne słowa, ale i towarzyszące im entuzjastyczne okrzyki słuchaczy nadal brzmiały mu w uszach. Już w trakcie przemawiania widział, że solidnie opracowana i dwukrotnie przećwiczona przed lustrem spontaniczna mowa wywołała zamierzony efekt. Większość miał po swojej stronie.

Teraz siedział z tyłu sali, bez zainteresowania słuchając następnego wystąpienia, w którym żądano ostatecznego wykluczenia wszystkich nieczystych rasowo ze stowarzyszenia. Jego pociągła twarz była zupełnie spokojna, robiła wręcz wrażenie obojętnej, co ostro kontrastowało z grzmiącymi z głośników słowami pełnymi oburzenia, gniewu i nienawiści.

– Gratuluję wystąpienia, Walter! Zawsze byłeś w tym dobry. Retorycznie genialna robota! Szkoda tylko, że argumentacja oparta na wątpliwych faktach, niekoniecznie na tym, co Arystoteles nazwałby sylogistyką, czyli tradycyjną logiką – usłyszał za plecami

znajomy głos. Odwrócił się z szerokim uśmiechem, wyrażającym nie tyle sympatię do kolegi, ile samozadowolenie.

– Co, znowu czepiasz się drobiazgów? Horst, patrz na wielki sens całości! To, o co naprawdę nam chodzi! Żydzi przeszkadzają nam w budowie wielkiej tysiącletniej Rzeszy. To fakty, czego dowodzi też logika – odparł, nawiązując do wygłoszonej mowy.

– Drogi Walterze, rozumowania, które posiadają jedynie pozór poprawności i dowodzą zdań jawnie fałszywych – bo wysnutych na podstawie nieprawdziwych przesłanek – nie są logiką. To sofizmaty, paralogizmy. Doskonale opanowałeś sztukę argumentacji, ale przynajmniej przede mną nie udawaj, że coś udowodniłeś – powiedział to z przyjacielskim uśmiechem na twarzy.

To był Horst Klein, jego najbliższy, a właściwie chyba też jedyny przyjaciel. Znali się od wielu lat, razem chodzili do gimnazjum. Od początku przypadli sobie do gustu, choć byli zupełnie różni. Nawet zewnątrz, bo Horst był ciemnowłosy, lekko otyły i niezbyt zainteresowany jakimkolwiek sportem. Pochodził ze znacznie uboższej rodziny, jego ojciec był kolejarzem. Gdyby nie jego wiedza i inteligencja, można by uznać, że był po prostu przeciętny. Średniego wzrostu i postury, krótko ostrzyżony, ubrany porządnie, ale bez szyku. Typ urzędnika lub naukowca: prawdziwie oschły prawnik zafascynowany tematem ubezpieczeń socjalnych, ale z drugiej strony niezwykle czarujący i błyskotliwy młody człowiek, imponujący wszystkim znajomością filozofii.

Ostatnio rozmawiali tylko o filozofii, bo Horst nie interesował się w ogóle polityką, a o przystąpieniu do partii nawet nie chciał słyszeć. Walter cenił ich rozmowy, bo mógł się z nich wiele nauczyć. Nigdy nie szukał w nich prawdy czy mądrości, co jest właściwym celem uprawiania filozofii; traktował każdy nowo poznany punkt widzenia, nową tezę, wyłącznie przedmiotowo – czy i jak można je wykorzystać w wystąpieniach publicznych. Nie lubił niespodzianek, chciał być przygotowany na każdą sytuację. Horst zaś mimo swojej wiedzy nigdy nie był arogancki ani niecierpliwy. Nie pouczał Waltera nawet co do jego partyjnego zaangażowania, którego nigdy nie rozumiał. Interesowały go wyłącznie filozoficzne aspekty dyskusji.

– Walter, czy zapomniałeś, dlaczego stałeś się członkiem Frankonii? Ślubowaliśmy się wzajem szanować, pomagać i być dla siebie prawdziwymi przyjaciółmi! Na zawsze! Na dobre i na złe! Nie chodzi tylko o prawo do noszenia naszych studenckich białych dekli¹⁶ czy biało-czerwono-złotej bandy¹⁷. Nasz związek to wartości, honor, nasze ideały! Bez nich możemy o wszystkim zapomnieć. – Czuło się, że to, co mówił, było dla niego naprawdę ważne.

Horst nie bywał na spotkaniach Frankonii często, zjawił się dzisiaj, bo to zebranie było jednym z ważniejszych. Jak się później okazało, też i jednym z ostatnich, bo już niedługo, za rok, jedynym honorowym rozwiązaniem, by nie zaakceptować polecenia Führera o wykluczeniu kolegów „nieczystych rasowo”, okaże się jego samorozwiązanie. Tak też się stało!

– Nie o to chodzi, człowieku! Myśl o ojczyźnie. Tylko ona może być najwyższym ideałem i obowiązkiem. Jej musimy bronić i czystości aryjskiej rasy. Zdegenerowana, słaba i cherlawa żydowska rasa podstępem niszczy nas od lat. Jak pasożyt żywi się naszą krwią i w końcu doprowadzi nas wszystkich do upadku. My, Aryjczycy, musimy walczyć o odzyskanie należnego nam miejsca nadludzi, rasy władców! – Walter znowu podniósł głos.

– Jeśli rasa ta jest tak słaba, jak twierdzisz, to czego mamy się obawiać? My, tak potężna i silna rasa aryjska? A może nie jest wcale tak słaba, jak mówisz? W odróżnieniu od innych narodów, znanych z Biblii, tylko Żydzi przeżyli tysiąclecia. Czy nie oznaczałoby to, że to oni są jednak rasą wyjątkowo silną? – argumentował spokojnie Horst.

Walter zamilkł. Jego chłodne szaroniebieskie oczy obserwowały twarz Horsta. Nie miał silnego argumentu, który pozwoliłby mu znowu odzyskać panowanie nad sytuacją. Słuchał więc dalej.

– Wszystko, co mówisz, przepelnia pasja, Walterze. Tak możesz porwać za sobą ludzi, ale tylko na krótko. A tak na marginesie dam ci radę. W rozmowie na temat antysemityzmu i wyższości aryjskiej rasy i Niemiec nad innymi narodami pamiętaj, że przywoływanie nazwiska Nietzschego może ci zaszkodzić. To tak, jakbyś chciał poprosić go o podanie piłki, gdy chcesz strzelić sobie samobójczego gola – dodał Horst Klein.

Horst miał nie tylko własne zdanie, ale też mocne argumenty. Walter był zbyt inteligentny, by wdać się z nim w spór na polu, gdzie musi polec. Szanował Horsta, bo zachowywał się w stosunku do niego w porządku. Inni koledzy ze studiów uważali Waltera za inteligentnego, ale opętanego ideałami partii oszołoma albo partyjnego karierowicza. Horst był jego przyjacielem, ale ostatnio Walter widział w nim bardziej partnera sparringowego do udoskonalania swoich oratorskich wystąpień niż przyjaciela.

W gimnazjum było inaczej, bo wtedy Horst nieraz wyciągał go z tarapatów po jego antyżydowskich wypowiedziach, a nawet wywoływanych przez niego bijatykach. Nie raz poręczył za niego u dyrektora, który nie tolerował takiego zachowania.

Podobnie jak wtedy, gdy w klubie jachtowym powiedział, że gdy wychodzili z Walterem z saloniku z nagrodami, puchar wciąż stał na swoim miejscu. To nie była prawda. Walter liczył na zwycięstwo, które o włos przeszło mu koło nosa. Przed dekoracją zwycięzców Walter razem z Horstem weszli do salonu klubu, gdzie na stole stały nagrody. Między nimi wielki, misterny szklany puchar z wkomponowanym w niego wizerunkiem żagla. To była nagroda, o którą Walter walczył. Wtedy powiedział do Horsta: „Jeśli ja go nie dostanę, to nikt go nie będzie miał”. Przechodząc obok, zaczepił o niego rękawem. Puchar spadł i się rozbił.

Ktoś to musiał zobaczyć, bo Walterowi zarzucono niehonorowe, umyślne zniszczenie trofeum. Groziło mu wydalenie z klubu, a bez oświadczenia Horsta możliwe, że zostałby relegowany ze szkoły. Był mu za to bardzo wdzięczny. Horst nigdy mu tego nie wypomniał, ale Walter wiedział, jak ten uczciwy i prawy kolega przeżył to

krzywoprzysięstwo. Jeśli zastanowić się głębiej, to ta nieco osobliwa przyjaźń przetrwała tylko dlatego, że Horst potrafił ustępować. Nie zgadzali się, ale rzadko się kłócili. Jeśli Horst dawał mu silną kontrę, to zawsze ją logicznie uzasadniał. I nigdy – a to było dla Waltera bardzo ważne, już od dzieciństwa – nie wyśmiał go, nie okazał lekceważenia.

Ale aluzji do Nietzschego Walter nie rozumiał. Interesował się literaturą, ale filozofia była dla niego czysto sofistycznym narzędziem oratorskim, przydatnym do robienia dobrego wrażenia na słuchaczach. A Horst potrafił wysnuć z niej proste, logiczne, często bardzo zaskakujące wnioski. Siedzieli na uboczu, nikt nie interesował się ich rozmową, więc Walter, choć widocznie już podrażniony, powiedział:

– Słuchaj, akurat co do Nietzschego to jestem pewien, że jest po naszej stronie. Adolf Hitler, Alfred Rosenberg, a nawet szef katedry filozofii i politycznej pedagogiki Uniwersytetu w Berlinie Alfred Bäumler powołują się dostatecznie często na niego.

– Sam kiedyś zacytowałeś Nietzschego, że „fakty nie istnieją”. Pamiętaj, że każda próba przedstawienia jego poglądów jest prawie zawsze interpretacją. Ale nie oznacza to, że prawda nie istnieje, że Nietzsche daje każdemu licencję na jej formowanie, przekręcanie jego przekazu. Prawda zmienia się wraz ze zmieniającym się światem. Dlatego tak często sięga on do opisów i aforyzmów, które dają czytelnikom możliwość własnej interpretacji. Na przykład *Tako rzecze Zaratustra* potraktował bardziej jak dzieło sztuki niż koncept filozoficzny; niczego w nim nie dowodzi i nie argumentuje. Przekazuje tylko myśli: w postaci symboli, obrazów i metafor. Stymulują one tylko emocje i uczucia! Przez to tak łatwo wysnuć z nich dowolną interpretację. On sam przecież o tym pisze, że przewiduje błędne interpretacje swoich słów. A to idealna sytuacja, jeśli ktoś chce wykorzystać jego treści do manipulacji tłumami. Tłum nie myśli, a tym bardziej nigdy nie zada sobie trudu przeczytania oryginału tekstu filozoficznego!

Zszokowany Walter spojrzał na przyjaciela z niedowierzaniem.

– A kto dał ci prawo sądzić, że właśnie ty, a nie inni zrozumieli jego teksty? – warknął rozniewany.

– Bo ja go czytałem! A z treści *Mein Kampf* wynika, że Hitler z całą pewnością go nie czytał! On jedynie twierdzi, że jego przekonania są zgodne z myślami Nietzschego. Każdy ma prawo go czytać, nawet go cytować, ale nieliczni są zdolni go zrozumieć. To też wykorzystali Bäumler i Rosenberg, próbując uczynić z niego duchowego przewodnika narodu. W jego pracach znajdziesz wiele pojęć, które słyszy się obecnie, na przykład: nadczłowiek, rasa panów czy rasa niewolników. To samo z wolą mocy, rozumianą jako afirmacja siły i pogarda dla słabości. Jeśli usuniemy z kontekstu myśli filozofa poszczególne zwroty, brzmi to brutalnie. A on chciał obudzić ludzi, wstrząsnąć czytelnikiem. Nigdy nie nawoływał do gwałtu i przemocy, nietolerancji rasowej czy też kultu siły – argumentował dalej Horst. Był w swoim żywiole, mówił dobitnie.

– Bzdury, nie widzę w słowach Nietzschego żadnej poezji, jak insynuujesz. To są jasne słowa: „poza dobrem i złem”, oznaczają prawo wyższej rasy do odejścia od tego, co

nazywamy „moralnością”, a tak naprawdę jest tylko słabością ludzką. W imię celów wyższych, jak właśnie ochrona czystości naszej rasy, mamy nie tylko prawo, ale nawet powinność dysponowania losem ras słabszych, tych mniej udanych. Wiadomo, że chodzi o Żydów i Słowian, którzy też są rasą słabszą, choć znacznie gorzej zorganizowaną niż Żydzi – prawie wykrzyczał Gentz.

Siedzący bliżej studenci zaczęli przysłuchiwać się z uwagą ich dyskusji.

– Walter, proszę, dajmy sobie z tym na dzisiaj spokój. Robimy niepotrzebne zamieszanie. Powiedz, czy ty w ogóle zaglądałeś kiedykolwiek do Nietzschego? – Horst ze smutnym zdziwieniem spojrzał na przyjaciela.

Walter odburknął:

– Czytam to, co ważne. Czytałem od deski do deski, *Mit dwudziestego wieku* Alfreda Rosenberga, jak i *Nietzsche, filozof i polityk* Alfreda Bäumlera.

– Teraz rozumiem. Wiesz co, zapraszam cię jutro na piwo, Bolkerstraße, u nas, w Düsseldorfie, wiesz, tam, gdzie zawsze. Ósma wieczorem. Jutro powinno być tam w miarę spokojnie. Chciałbym pogadać z tobą o wielkich Niemcach, o Gothem, o Nietzschem. Jestem przekonany, że to cię zaciekawia.

– Myślę, że wystarczająco dużo o nich wiem, ale dziękuję za zaproszenie. Pamiętaj, że ty płacisz. A jak będziesz tak mącił, to będę musiał dużo wypić, aby zachować spokój! – Klepnął Horsta po plecach, by rozładować napięcie.

– Chciałbym pogadać o ich podejściu do świata, narodowości, do ludzi. Wiesz, że obaj nasi mistrzowie byli pod wrażeniem filozofii Barucha (Benedykta) Spinozy? Obaj uważali go za geniusza. I nie przeszkadzało im wcale, że był Żydem! Aha, i jeszcze jedno. Wiesz, że Nietzsche był Słowianinem? A dokładniej Polakiem? Myślałeś kiedyś o tym, że także tak zwane zdegenerowane rasy mogą wydać na świat geniuszy?! – Mówił o tym, jakby opowiadał ciekawostki, które kolegę powinny zainteresować.

Walter dosłownie zamarł w bezruchu. Jego twarz zbladła. Zbyt dobrze znał Kleina, by wiedzieć, że nie żartuje. Co to ma znaczyć, do jasnej cholery? Nic nie odpowiedział. Odwrócił się na pięcie i wyszedł, nie zwracając najmniejszej uwagi na młodszych kolegów, studentów, którzy obserwowali go już od kilku chwil. Walter Gentz był tu kimś.

¹⁴ Starszych Panów.

¹⁵ Tannenberg-Denkmal.

¹⁶ Czapek.

¹⁷ Szarfy.

ROZDZIAŁ 30

Düsseldorf, Bolkerstraße 41

Stare Miasto

listopad 1934 r.

Bolkerstraße na Starym Mieście w Düsseldorfie należy do najstarszych ulic miasta. Łatwo ją znaleźć, ale równie łatwo się tam zgubić. Na powierzchni niecałego pół kilometra kwadratowego znajduje się tam około trzystu restauracji i barów, jedno przy drugim. Walter mieszkał przy Kapellstraße, niecałe dwadzieścia minut pieszo, i zwykle spotykał się z kolegami w knajpie z własnym browarem, o nazwie Zum Schlüssel¹⁸. Jak słyszał od ojca, nazwa pochodzi od starego zwyczaju, że strażnicy w trzynastym wieku trzymali w tym pobliskim wyszynku klucz od bram miasta.

Gdy Gentz przekroczył drzwi lokalu, wybiła właśnie ósma, a Horst Klein już na niego czekał. W rogu niepełnej dzisiaj sali znalazł wygodne i jak na piwiarnię w miarę zaciszne miejsce. Przed nim stały już dwie typowe w Düsseldorfie szklanki dobrze schłodzonego original schlüssel. Jasne, pełne, z silną nutą chmielu. Horst poderwał się od stolika i pomachał ręką przyjacielowi. Walter energicznym krokiem podszedł i podał mu dłoń.

– No, jaki dzisiaj nastrój? Wczoraj już myślałem, że jeśli nie zatkam ci gęby pięścią, nie przestaniesz. Horst, wiesz, że cię lubię, ale czasem przesadzasz – zaczął Gentz.

– Dlaczego tak mówisz? Rozmawialiśmy o filozofii, a to otwarty teren. Nie ma zabronionych tematów i myśli ani też problemów ostatecznie rozwiązanych. Chcesz, bym zrezygnował z własnych poglądów i tylko ci przytakiwał? Takich masz przecież wystarczająco wielu! Ale przepraszam, jeśli cię uraziłem. – Uśmiechnął się, ale nie był już tak radosny jak przed chwilą, gdy zobaczył nadchodzącego przyjaciela.

Zależało mu na nim. Nie miał wielu przyjaciół, a za damskim towarzystwem nie przepadał. Imponowało mu, że ten pewny siebie i ogólnie szanowany chłopak zaproponował mu przyjaźń. Tak przynajmniej on rozumiał to, co ich łączyło od lat. Wcześniej często bywał u niego w domu, polubił też z wzajemnością jego rodziców. Dzięki temu nie czuł się tu już tak samotnie, prawie tysiąc kilometrów od rodzinnego domu.

Tym bardziej cenił też członkostwo w bractwie, które dawało mu podobnie duże wsparcie. Był zdeklarowanym samotnikiem, a jednak potrzebował przynależności do grupy. Każde stowarzyszenie ma zwykle jakąś orientację polityczną, ale jego to nie

interesowało, bardziej cenił szlachetne ideały, braterstwo i solidarność. Nie bez znaczenia było też przekonanie, że silne więzi z absolwentami (Alte Herren) mogą być kiedyś użyteczne i ułatwić optymalny start i karierę zawodową. To, że byli to sami mężczyźni, wcale mu nie przeszkadzało. Chętnie spędzał czas w męskim towarzystwie, a słyszał, że będąc członkiem bractwa, można przeżyć nierzadko ciekawe erotyczne przygody. Nie czuł przed tym lęku. Raczej ciekawość. Walter pociągał go, ale nigdy by nie zaryzykował próby zbliżenia z własnej inicjatywy. On był taki silny. I porywczy.

– No, już dobrze. Nic się nie stało, ale porządnie mi namieszałeś w głowie. I proszę cię, nigdy, ale to nigdy nie wygłaszaj takich popaprzanych tez, kiedy nie jesteśmy sami – powiedział Walter, zadowolony, że wygarnął koledze, co myśli.

– Wypijmy więc za naszą przyjaźń! – zaproponował udobruchany Horst i uniósł kufel.

Stuknęli się i popijali w milczeniu. Żaden nie chciał poruszać drażliwych kwestii. Po jakiejś minucie Walter się odezwał:

– Lubię rozmowy z tobą, ale obawiam się, że ostatnio źle na mnie wpływają. Rozumiesz, jako Niemca, dobrego obywatela. Budzisz we mnie wątpliwości. Wczoraj wieczorem próbowałem pisać konspekt mojego następnego wystąpienia i już po kilku liniijkach pogubiłem się. Przy prostych sformułowaniach, zdaniach, które wcześniej same przychodziły na język, poczułem niepewność w formułowaniu myśli, czy są one słuszne, czy fakty są bezsporne. Nie czuję się z tym dobrze. Szczególnie jako członek partii. Gdyby ktokolwiek dowiedział się, o czym my właściwie rozmawiamy, źle by się to skończyło. Dla nas obu!

– Dlaczego nie możemy traktować tego jak dotychczas? Jako dyskusję, formę intelektualnej zabawy, ćwiczenia umysłu? Wiesz, że nie interesuje mnie polityka i nie chcę wpłynąć na twoje przekonania. No, ale dobrze, zostawmy to. – Horst sposepniał.

– Jesteśmy ludźmi inteligentnymi i wiemy, że to niebezpieczna zabawa. Nasz kraj się zmienia i moim zdaniem w dobrym kierunku. Wiesz, co się działo w maju zeszłego roku: studenci spalili zakazaną literaturę, prace zdrajców, atakujących i oczerniających „Nowe Niemcy”, oczerniające historię i kulturę narodu niemieckiego. Czy rozmowa, którą prowadziliśmy wczoraj, nie była rozmową zdrajców? – zapytał zupełnie poważnie Walter.

– Walter, my mówiliśmy o Nietzschem! – zachnął się Horst.

– Jaki ty jesteś naiwny! Dobrze, pogadajmy dzisiaj jeszcze raz o tym, co wczoraj rozpoczęłeś. Zbyt mi zaintrygowaneś, aby to tak pozostawić. Ale to będzie naprawdę ostatni raz! Później pogadamy o dziewczynach i o czym tam chcesz, byle nie o polityce i filozofii – stwierdził zdecydowanie Walter.

Horst westchnął.

– No dobrze, o czym więc chcesz mówić?

– Zaczniemy od literatury pięknej. Chciałeś powiedzieć mi coś nowego o Goethem, którego uwielbiam. Jak chyba każdy na tej planecie. Geniusz i jakże wszechstronny. Także filozof. O co ci chodziło w związku z nim i tym Żydem Spinozą? – zapytał.

– To, że kochasz Goethego, łączy cię z Nietzschem. To on powiedział, że Goethe jest ostatnim z Niemców, do którego żywi ogromny szacunek – rozpoczął.

– To mnie cieszy! Ale nie rozumiem, dlaczego miałyby on być „ostatnim z Niemców” – zdziwił się Walter.

– Jeśli wystarczy nam czasu, to do tego też dojdziemy. Wróćmy jednak do Goethego: w swoich autobiograficznych wspomnieniach podkreślił, że filozofem, który wywarł decydujący wpływ na niego i jego sposób myślenia, był Benedykt Spinoza, po hebrajsku Baruch Spinoza, siedemnastowieczny żydowski filozof. Ale nie tylko Goethe, także inni wielcy Niemcy, Lessing czy Heine, byli jego wielbicielami. No i oczywiście Nietzsche. Sprawdziłem to jeszcze wczoraj, specjalnie dla ciebie. W liście do Franza Overbecka z tysiąc osiemset osiemdziesiątego pierwszego roku Nietzsche nazywa Spinozę swoim wielkim poprzednikiem, nieznanym mu wcześniej prekursorem. Podkreśla, że Spinoza, Żyd, już dwieście lat wcześniej miał podobny pogląd na kwestie, które on porusza dzisiaj! Nietzsche wcale nie czuje się tym urażony! Prawda, że fascynujące? – Horst był szczerze zachwycony.

Walter przyglądał mu się w głębokim zamyśleniu. Pociągnął ze dwa duże hausty piwa, podparł głowę na lewym przedramieniu i powiedział:

– Faktycznie fascynujące. To teraz powiedz mi, dlaczego cytowanie Nietzschego nie jest najlepszym pomysłem, jeśli chcę udowodnić wyższość rasy aryjskiej nad Żydami czy Słowianami.

Horst był w swoim żywiole. Miał słuchacza, którego temat ten faktycznie zainteresował.

– Z filozofii Nietzschego najbardziej chyba znane jest pojęcie „nadcześniaka”. Naziści chętnie odwołują się do niego, bo rozpoznają w nim znaną im hierarchię. Wódz, Führer, reprezentuje sobą najwyższe według nich cechy rasy panów. On, nadcześniak, stoi ponad wszystkim, on decyduje. Pod nim mamy jeden zwarty i czysty rasowo naród. Jedna partia. Aby dać się prowadzić, tenże naród musi poznać zagrożenie, niebezpieczeństwo, czyli potrzebny jest wróg. Tego już mamy, to Żyd. Cały ten naród godny unicestwienia. Jak myślisz, czy tak widział to Nietzsche? – zapytał, zachęcając przyjaciela do dyskusji.

– Oczywiście, że nadcześniak to przedstawiciel rasy panów. Nikt inny nie może nim przecież być! – stwierdził Walter.

– Nietzsche faktycznie dzieli społeczeństwo na dwie grupy; kastę panów i niewolników. O tym, do której kasty należysz, nie decyduje przynależność narodowa, rasowa czy pozycja społeczna lub finansowa. To zależy wyłącznie od woli mocy, którą dysponujesz! Woli mocy do przewycięzania samego siebie: nadcześniak to istota, która przewycięzyła swe pospolite człowieczeństwo. Nadcześniactwo nie jest więc stanem nadanym przez pochodzenie, lecz celem, wyzwaniem, które musi podjąć sama jednostka – mówił, akcentując każde słowo.

– Więc nie uważasz, że nasz Führer jest postacią wystarczająco nieprzeciętną i niepospolitą, by nazwać go człowiekiem wielkim? Nadcześniakiem? – W głosie Waltera

wyczuwalny był chłód.

Horst zmarszczył nos i odparł, dobierając ostrożnie słowa:

– Zgoda, na pewno jest on, na swój sposób, nieprzeciętny. Ale weźmy lepiej jako przykład ciebie! Ty możesz być nadczłowiekiem! Jeśli tylko zechcesz, jeśli zechcesz nad sobą pracować! To wymaga siły i odwagi, na co stać naprawdę niewielu. A ty jesteś silny i odważny. Ale nadczłowiek jest w pełni wolny. On nie tylko nie potrzebuje, on też nie znosi nad sobą wodza. Jednoczy się wyłącznie z ludźmi swojego pokroju, z równymi sobie. Oni go inspirują, motywują do dalszej pracy nad sobą. W koncepcji Nietzschego nie ma miejsca na jedyne go wodza, któremu nie ma równych – dodał, patrząc niepewnie na przyjaciela.

Horst ciągnął dalej:

– Zauważ, że to wyraźnie potwierdza tezę, że niemożliwe jest zbudowanie społeczeństwa złożonego z samych nadludzi. Chodzi o wizję człowieka twórczego, wolnego i odpowiedzialnego za siebie. To nadczłowiek kosmopolita, którego nie da się zamknąć w ramy narodowości. W *Poza dobrem i złem* Nietzsche przedstawia swój postulat – stworzenie nowej rasy europejskiej, która będzie kiedyś rządzić Europą. Powstanie ona poprzez krzyżowanie się ras i przenikanie kultur narodowych.

Walter podniósł rękę. Jak w szkole, gdy chce się zadać pytanie.

– I ty jesteś pewny, że o tym właśnie pisze Nietzsche? – zapytał.

– Przecież to nie są zakazane księgi. Przeczytaj je sam – odparł spokojnie Horst.

– Pomyślę, ale wydaje mi się, że powinny być zakazane. Nie o tym piszą Bäumler i Rosenberg, powołując się na niego – mruknął jakby do siebie.

– No tak, Nietzsche dawno to już przewidział. Nie chciał, aby antysemita posługiwali się jego słowami, ideałami. W liście do swojej siostry napisał: „Diese verfluchten Antisemiten-Fratzen sollen nicht an mein Ideal greifen”¹⁹.

– Wiesz co, robi się naprawdę coraz ciekawiej. Ale najpierw pójdę się odlać. A ty zamów następne piwo. Tego nie można słuchać na trzeźwo – mruknął Walter i poszedł do toalety.

– Co cię nie zabije, uczyni cię silniejszym, Walter! To też jego słowa! – zawołał za nim ze śmiechem Horst i aby zbyt długo nie czekać na zamówienie, sam poszedł do stojącego nieopodal kelnera.

Po kilkunastu minutach Walter wrócił. Szedł wolno, wyraźniej niż zwykle kulejąc, jakby lekko się zataczając. Horst przyglądał mu się zdziwiony. Po jednym piwie? Zaniepokoił się, bo przyjaciel wyglądał dziwnie, był zmieniony. Włosy miał zupełnie mokre, a twarz wyraźnie bladą.

– Wszystko w porządku? – zapytał z troską w głosie.

– Nic, nic, tylko głowa mnie rozboleła. Wziąłem prysznic. W umywalce. Ale to nic. A teraz ta najdziwniejsza z twoich tez, przyjacielu. Twierdzisz, że wielki niemiecki filozof Nietzsche był Polakiem? – Walter starał się odzyskać panowanie nad sobą.

– No cóż, nie ja to wymyśliłem. To Nietzsche w swoich książkach podkreśla często swoje polskie pochodzenie. I to wielokrotnie. Przeczytam ci kilka cytatów, które sobie wynotowałem:

„Moi przodkowie pochodzą z polskiej szlachty. Nazywali się Nietzky lub Niëtzky. Opuścili Polskę przed około stu laty, gdzie byli prześladowani ze względu na swoją religię protestancką. Zrezygnowali z tytułów szlacheckich. Jeszcze matka mojego dziadka była Polką. A jeśli pomyślę o tym, jak często mnie ludzie biorą za Polaka, sami Polacy też, a jak rzadko ktoś typuje, że jestem Niemcem, wydaje się, że mam tylko cętki z Niemca na sobie”.

Podkrążone szare oczy oszołomionego Waltera otwierały się coraz szerzej.

– A tu uważaj, bardzo dosadne stwierdzenie, choć jak zwykle u niego mocno przesadzone, bo czystym Polakiem przecież nie był:

„Dotykam tutaj problemu rasy. Jestem polskim szlachcicem *pur sang*, bez jakiegokolwiek domieszki lichej krwi, zwłaszcza niemieckiej” – dorzucił Horst.

Tu Walter nie mógł się powstrzymać.

– Daj spokój, przecież wszyscy wiedzą, że pod koniec swojego życia facet był niepoczytalny. Brednie! Coś mu się pomieszało w głowie – powiedział to głośno.

– Ale wiesz też, że jego siostra Elisabeth Förster-Nietzsche jest zdrowa i nawet utrzymuje bliskie kontakty z Hitlerem. Może ona będzie dla ciebie autorytetem. W wydanej przez nią biografii brata opowiada nieco dłuższą wersję historii, podając jako źródło swoje ciotki. Wspomina, że nie ich pradziadek, ale prapradziadek przyjechał z Polski do Saksonii.

– Ech, jakieś stare rodzinne baśnie, legendy – warknął Walter.

– W tysiąc dziewięćset piątym roku polski dziennikarz i pisarz Bernard Scharlitt zainteresował się historią rodziny Nietzschego i napisał list do Elisabeth Förster-Nietzsche. W *Herbarzu polskim* odnalazł bowiem małą notatkę o rodzinie Nickich herbu Radwan i że niejaki Gotard Nicki wyemigrował z Polski do Prus około roku tysiąc sześćset trzydziestego drugiego oraz że jego potomek Christoph Nietzsche w tysiąc siedemset szóstym roku przyjechał z Prus do Saksonii. Nazwisko Gotarda Nickiego, Nicki, w ciągu następných lat mogło przybrać formę Nietzsche – wyjaśniał cierpliwie młody filozof.

Walter, teraz wyraźnie już wściekły, wykrzyknął:

– Gówno prawda! Nie wierzę!

Ale Horst był już w swoim żywiole. Mówił coraz szybciej, jakby chciał jak najprędzej dojść do ostatecznego stwierdzenia, czym jego teza zostanie udowodniona.

– Dziennikarz ten miał okazję spotkać się z Elisabeth Förster-Nietzsche w Weimarze. Scharlitt przywiózł ze sobą rysunek herbu Radwan. Pani Förster oświadczyła, że herb ten jest jej znany, a potem przypomniała sobie, że ma po ojcu sygnet, „pamiątkę rodzinną”. Po odszukaniu sygnetu okazało się, że jest na nim wryty herb Radwan.

Podeksycytowany Horst pogrzebał w swojej torbie i położył na stół rysunek przedstawiający najwyraźniej jakiś herb rodowy.

– Patrz, co znalazłem. To właśnie herb Radwan! Odrysowałem go dokładnie, pokolorowałem też tak, jak widziałem w *Herbarzu ziem polskich*, który na szczęście znalazłem w bibliotece uniwersyteckiej. Pewnie ze względu na zainteresowanie Nietzschem zamówili go przed laty. No i co powiesz? – dumnie, czekając na słowa uznania, dokończył już na wdechu Horst.

Na czerwonym polu tarczy widniała złota chorągiew kościelna, składająca się jakby z trzech części. Jakby trzy słupy zwisające w dół z solidnej podstawy. Na tej podstawie spoczywał krzyż kawalerski.

Wydawało się, że Walter stracił zainteresowanie. Popijał małymi łyżkami piwo z kufła, siedząc podparty na łokciu. Jakby nieobecny, znudzony przyglądał się koledze. Zadowolony z siebie Horst schował notatki do kieszeni i zachłannie podniósł do ust szklanę z piwem. Musiał być bardzo spragniony. Walter także chwycił za swój kufel, do połowy pełny. Uniósł go wysoko. Podniósł go jeszcze wyżej, jakby chciał wiwatować z powodu tego, co usłyszał. Zdziwiony Horst, z niepewnym uśmiechem, obserwował przyjaciela, nie umiejąc rozszyfrować jego intencji.

Wyprostowane maksymalnie ramię Waltera nagle gwałtownie opadło. Kufel uderzył z impetem w głowę Horsta. Trafiony w czoło młody człowiek nie wydobył z siebie nawet słowa, spadając z krzesła; siła uderzenia wyrzuciła go zza stolika. Leżał nieruchomo na podłodze, z twarzą uniesioną do góry, z oczami jakby wciąż skierowanymi na przyjaciela, tarasując przejście. Walter powoli wstał, wylał na leżącego resztkę piwa i spokojnie odstawił kufel na stół. Rozejrzał się, chciał stamtąd jak najszybciej wyjść. Spojrzał na leżące w przejściu ciało kolegi. Zawsze zauważał ludzi tylko wtedy, gdy ich potrzebował albo gdy stali na jego drodze do celu. Wiedział, że Horsta nigdy już nie będzie potrzebował. Kopnął rękę leżącego, która przeszkadzała mu w swobodnym przejściu. Przesunęła się bezwładnie.

– Milcz, przeklęty Żydzie! – wrzasnął, patrząc w twarz przyjaciela, leżącego przed nim z rozrzuconymi ramionami.

Oczy Waltera Gentza wydawały się odzyskiwać swój normalny wyraz. Gwałtowny wybuch, uderzenie rozładowały zebrany w nim gniew. Ten grzmot wyładował i osłabił burzę, która rozpełtała się w jego głowie. Nawet ból głowy ustąpił. Gentz odzyskiwał opanowanie. Wiedział, że nigdy już nie może dopuścić do tego, by ktokolwiek próbował mieszać mu w głowie. Przynurzył to sobie, prowadząc cichy, ledwie słyszalny monolog:

– Tylko Żyd może użyć takich argumentów. Że tego wcześniej nie zrozumiałem? Ale czy on jest Żydem? Muszę to sprawdzić. Im prędzej zrobimy z nimi porządek, tym szybciej zamilkną na zawsze. Nie ma faktów, są tylko interpretacje?!

Siedzący przy innych stolikach goście zauważyli, co się stało. Wszyscy słyszeli okrzyk Waltera: „Milcz, przeklęty Żydzie!”. Może dlatego nikt nie spieszył z pomocą.

– To przekręcanie znaczenia słów, typowe dla tej parszywej zdegenerowanej rasy. Dlaczego ludzie nie potrafią z honorem trzymać się tego, co mówią. Nietzsche! To do ciebie! Też się zamknij! Autor musi milczeć, kiedy zaczyna mówić jego dzieło. Sam to powiedziałeś! Czytać przecież potrafię! Cholerni pazerni Polacy! Chcą zagarnąć to, co dla mnie najświętsze. Nie dopuszczę, aby odebrali nam kiedykolwiek to, co było niemieckie od zawsze – dalej mamrotał i pewnym krokiem, prosto przed siebie, skierował się do drzwi wyjściowych.

W lokalu nikt nie zareagował, nikt nie próbował go zatrzymać, o cokolwiek zapytać. Kilka osób zdecydowało się opuścić lokal, a przeciskając się obok leżącego wciąż w bezruchu młodego człowieka, obchodzili go z odrazą. Ktoś powtórzył słowa Waltera:

– *Verdammtter Jude!*²⁰

¹⁸ Pod Kluczem.

¹⁹ Niech te przekłete antyżydowskie mordy nie sięgają po moje ideały.

²⁰ Przekłety Żyd.

ROZDZIAŁ 31

Münster

październik 2017 r.

Gdy Norbert opuścił dom państwa Seifertów, wszedł do samochodu i przez dłuższą chwilę siedział w zupełnym bezruchu. Próbował poukładać sobie w głowie to, co usłyszał, zanim zrelacjonuje wszystko żonie. Chciał poczekać z tymi rewelacjami, aż wróci, ale nie wytrzymał i już w drodze do Düsseldorfu zadzwonił do Hanny.

– Nie wyobrażasz sobie nawet, co odkryłem. Mam zeznanie świadka, który ze stuprocentową pewnością potwierdził, według spowiedzi Rudolfa, że to Simon doprowadził do śmierci Hildebranda Gurlitta. Wiem wszystko: gdzie, dlaczego, kiedy i jak – mówił szybko, naładowany emocjami po odbytej rozmowie.

– Norbert, mów, proszę, powoli. Gubię się. Jak to? Ksiądz ci to opowiedział? Nie mają oni, jak adwokaci, obowiązku milczenia? Tajemnicy spowiedzi? – zapytała.

– Ach nie, tak to tylko nazwałem. Wyobraź sobie, że w szkole, w której pracował, Rudolf Simon miał bliską przyjaciółkę. Z tego, co się dowiedziałem, o mało nie doszło między nimi do romansu. A teraz najlepsze! Ta jego przyjaciółka dobrze знаła Zofię. Tak, tę Zofię z Jasła! Zofia była jego żoną! – Także jemu nie mieściło się w głowie, jak bardzo zmieniła się nagle perspektywa dotychczasowego śledztwa.

– Hej, zatrzymaj samochód i opowiedz mi to w szczegółach albo poczekam, aż wrócisz. Jak to? Kochanka Rudiego była razem z Zofią? Ale czyją żoną była Zofia? Przecież Rudi nie był nigdy żonaty. – Hanna faktycznie nic nie zrozumiała.

– Nie! Anne nie była jego kochanką, ale na to się chyba zanosilo! Nie opowiedziała mi jeszcze, co było dalej, bo profesor Seifert, jej mąż, nam przerwał. A później opowiedział mi o latach młodości Gentza. O tym, jakim był on człowiekiem za młodu, przed wojną...

Teraz Norbert zrozumiał, że jego opowiadanie staje się faktycznie coraz bardziej zagmatwane i mało czytelne.

– Kochanie, masz rację, najlepiej będzie, jak opowiem ci wszystko spokojnie, gdy wrócę do domu. Pa, do zobaczenia!

W domu Norbert zrelacjonował Hannie swoją wizytę w domu państwa Seifertów, począwszy od tego, jak odnalazł na archiwalnych zdjęciach Anne Schmidt. Wszystko już bez pierwotnych emocji, więc Hanna dysponowała teraz taką samą wiedzą jak on.

W sumie jednak wiedzieli niewiele więcej ponad to, jak i dlaczego zginął Gurlitt. Co działo się z Zofią i Rudim, pozostawało wciąż tajemnicą, którą mogła odsłonić tylko pani Seifert. Hanna zażartowała nawet, że nie zaszkodziłoby, gdyby Norbert pomodlił się do Świętego Antoniego o jej zdrowie.

Później Norbert przypomniał sobie o telefonie od Bartka z Krakowa.

– Słuchaj, kochanie, dzwonił też Bartek i opowiadał, że odnalazł córkę pani Anny Jawor, tej kobiety, która razem z Zofią Kaczkowską przeżyła obóz pracy przymusowej, ten pod Jasłem. Podobno wymęczył ją, nawet za długo z nią siedział, ale ma pełną informację o tym, dlaczego Gentz je tam wysłał. Może powinniśmy tam pojechać? – zapytał.

– Sama nie wiem. – Hanna zastanawiała się, czy mogą prosić tę pewnie już nie najmłodszą kobietę, by jeszcze raz wróciła do tych strasznych wspomnień. Nawet jeśli nie dotyczyło to jej osobiście. Do wspomnień o mękach swojej matki też pewnie wraca się niechętnie.

– Chyba cię rozumiem – zgodził się Norbert. – Jeśli Bartek to wszystko usłyszał, wystarczy przecież, że nam to zrelacjonuje. Zadzwońmy do niego, zrobmy wideokonferencję, to wszystko nam opowie nie gorzej niż ta pani. – Zaśmiał się, wybierając na telefonie numer Bartka.

– Zgoda, macie rację – przyznał Bartek. – Dzisiaj około szóstej wieczorem, wcześniej nie mogę, połączę się z wami. Ostrzegam, to nie będzie bajka na dobranoc.

Punkt osiemnasta usłyszeli z laptopa znajomy sygnał połączenia i zaraz zobaczyli uśmiechniętą twarz Bartka. Jego fryzura wypełniła prawie cały ekran.

Bartkowi udało się odnaleźć córkę Anny Jawor, panią Jadwigę Sabor, i spotkać z nią dosłownie w przeddzień jej wyjazdu do sanatorium. Jej opowiadanie było tak długie, że siedzieli w kawiarni aż do późnego wieczora. Mimo to nie dotarli do końca historii, bo pani Jadwiga musiała jeszcze tego wieczora spakować się przed wyjazdem. Umówili się więc, że ostatnią, tę najciekawszą część odłożą do planowanego przyjazdu Hanny i Norberta do Krakowa.

Młody oficer policji dał się im już poznać jako człowiek rzetelny, ale teraz stwierdzili, że jest dużo bardziej zorganizowany i skrupulatny, niż przypuszczali; zrobił bardzo drobiazgowo notatki, zapisał wszystkie daty, nazwiska i fakty. Zaskoczyło ich również, jak głęboko sięga pamięć pani Jadwigi, która w opowiadaniu zawarła wspomnienia nie tylko swej matki, ale także to, co przed siedemdziesięciu laty opowiadała jej matce w zaufaniu jej najlepsza przyjaciółka Zofia Kaczkowska.

Wyjątkowo ciekawe były również zwierzenia pewnego urzędnika ze starostwa w Jasle, niejakiego Antoniego Klugego, którego, jak się później okaże, pani Jawor znała sprzed

wojny i który przekazał jej naprawdę ważne, nikomu dotychczas nieznanne fakty dotyczące starosty Gentza.

Bartek zaczął od zwierzeń Antoniego Klugego o tym, jak Gentz wrócił do biura z egzekucji w Żmigrodzie, podczas której bestialsko zastrzelono i zakopano w masowym grobie ponad tysiąc ludzi. Segregacji wybrańców na śmierć dokonywał osobiście starosta Gentz.

Skończył na tym, jak dwie przyjaciółki spotkały się ponownie w obozie pracy przymusowej w Szebniach.

ROZDZIAŁ 32

Jasło

budynek starostwa

7 lipca 1942 r.

Antoni Kluge, kierownik administracji starostwa, był jeszcze w biurze, kiedy pod budynek starostwa, przy rynku, podjechał samochód starosty doktora Waltera Gentza. Dawno już minęła osiemnasta. Starosta wrócił z wyjazdu w rejonie. Był wyjątkowo zapracowany, bardzo poważnie traktował swoje obowiązki. Już od lutego zeszłego roku był tu szefem inspekcji finansowej, pełnił także, wciąż jeszcze komisarycznie, funkcję starosty powiatu. Większość pracowników urzędu nie wiedziała, że wciąż nie został przez Kraków oficjalnie mianowany starostą, ale nawet jako pełniący obowiązki był bardzo oddany sprawom Jasła. Dużo bardziej niż jego poprzednik, doktor Losacker, który traktował to stanowisko jako trampolinę do wybicia się wyżej. No i po styczniowej aferze Lascha, gubernatora dystryktu Galicji, gubernator Frank mianował Losackera wicegubernatorem dystryktu.

Kluge był doświadczonym urzędnikiem, potrafił ocenić swoich szefów. Na temat Gentza miał swoje zdanie, wcale nie najlepsze, ale sam był tu tylko kierownikiem administracji, swoje zadania wykonywał sumiennie i chciał mieć jedynie święty spokój. Nie inaczej traktował też poprzednich starostów. Kluge nie pochodził z Jasła, przyjechał tu w tysiąc dziewięćset dwudziestym czwartym roku z Krakowa. Zaprosił go Antoni Zoll, z którym poznali się w Wiedniu, kiedy Zoll obejmował tam ważne stanowisko w cesarsko-królewskiej komisji narodowej, w ministerstwie. Starosta Zoll, który piastował to stanowisko do tysiąc dziewięćset trzydziestego roku, niekoniecznie znany był tu jako najbardziej pracowity ze starostów. Ale Kluge szanował go jako człowieka, więc razem całkiem nieźle radzili sobie z administracją powiatu. Zoll był legendą tego miasta, kochał życie. Barwnie wspominał go Kornel Makuszyński²¹, a Adam Wroński, kompozytor, zadedykował Zollowi utwór, którego tytuł pasował do charakteru i stylu życia tamtego starosty: *Pif! Paf! Galop!*

Kluge przekroczył już sześćdziesiątkę. Jego gęste i bujne swojego czasu włosy dobrze już posiwiały, tak że wyglądał na swój wiek. Był szczupły i niezbyt wysoki, ale trzymał się wciąż prosto, jak na godnego zaufania urzędnika przystało. Mniej więcej dwa miesiące temu poprosił doktora Gentza o skierowanie go na emeryturę, ale ten to absolutnie wykluczył. A temu staroście nie sposób było odmówić. Nie żeby Gentz specjalnie lubił

Klugego, po prostu go potrzebował. No i chyba naprawdę go szanował. Anton, tak wszyscy szefowie nazywali Antoniego Klugego, był dla nowego starosty bezcenną pomocą i źródłem informacji. Wiedział wszystko o wszystkim i wszystkich; był tu za Antoniego Zolla, Juliusza Marossanyiego, ale też niemieckich starostów: doktora Ludwiga Losackera i Ottona Bauera. Ten ostatni pracował około miesiąca, w zastępstwie.

Antoni wywodził się z krakowskiej inteligenckiej rodziny, był człowiekiem solidnie wykształconym, prawnikiem. Ze względu na pracę ojca od dzieciństwa mieszkał, a później też jakiś czas pracował w Wiedniu. Stąd perfekcyjnie znał niemiecki, z klasycznym wiedeńskim akcentem. Starosta Gentz często zapominał się i traktował go jak wiedeńczyka, Austriaka. Kluge był też niebywale odczytany w literaturze niemieckiej, no a poza tym, jako wdowiec, miał dużo czasu. To wykorzystywał Gentz, gdy nachodziła go chęć na rozmowy.

Gentz zajmował z rodziną obszerny i pięknie umeblowany apartament w gmachu starostwa, przy rynku, a mimo to zwykle do późnego wieczora przesiadywał w biurze. Żona, mimo że osoba wykształcona, nie była najwyraźniej jego ulubionym partnerem do rozmów. Wydawało się, że czuła wstręt do polityki, więc oddała się wychowaniu dzieci. Kluge nie pamiętał, by ją kiedykolwiek widział w biurze starosty. Tutaj na prowincji Gentz nie miał szans na znalezienie partnera do intelektualnej rozmowy. Jego kumple od pijatyk nie interesowali się niczym oprócz piwa, sznapsa i kobiet, a na rozmowy z tutejszą inteligencją nie miał najmniejszej ochoty. Oni zresztą też.

Także Antoni nie wysłuchiwał mądrości szefa ze zbytnim zainteresowaniem, ale nie wypadało odmówić. Co miał zrobić? Taką miał pracę. Szczególnie że te niby-filozoficzne rozważania zwykle były kontynuacją jakiejś służbowej rozmowy.

Nieoczekiwany głośny dźwięk telefonu przerwał jego rozmyślenia.

– Anton? Dobrze, że pan jeszcze jest. Potrzebuję z kimś pogadać! – Język starosty lekko się plątał. Pewnie obowiązki wymagały zakrapianych spotkań.

Dzisiaj starosta nie szukał nawet pretekstu, aby sobie ulżyć, zauważył Antoni. Wyszedł na korytarz, urzędowali na tym samym piętrze; starosta często potrzebował jego pomocy. Zapukał i wszedł.

– Dobry wieczór, *Herr Doktor* – przywitał się i zamknął za sobą drzwi.

Starosta Gentz był człowiekiem stosunkowo młodym. Antoni wiedział, że pod koniec września szef skończy trzydzieści pięć lat. Był ciemnym blondynem, o typowym nordyckim typie urody, pociągłej twarzy. Można by go nawet nazwać przystojnym mężczyzną, bo swój mankament – utykał na lewą nogę – tuszował tym, że zwykle opierał się na zdobionej lasce, która dodawała młodemu jeszcze urzędnikowi niezbędnej dla tego urzędu powagi.

Teraz wyglądał mało nobliwie, szczególnie na tle elegancko wyposażonego i z gustem udekorowanego gabinetu. Jakby przed chwilą rzucił się na wielki skórzany fotel. Czapka leżała ciśnięta na stole, górne guziki munduru zostały niedbale odpięte, a spocone jasne

włosy wciąż były posklejane w kosmyki na czole. Był wyraźnie pod wpływem alkoholu i wyglądał na bardzo zmęczonego.

– Proszę, niech pan spocznie, Anton. – Zawodowo, ale i prywatnie Gentz niechętnie przechodził na ty. Utrzymywał dystans.

Zapanowała cisza. Ten dzień obfitował w tyle wrażeń, że Gentz musiał z kimś porozmawiać. Wygadać się.

– Wróciłem ze Żmigrodu. Mieliśmy tam kupę roboty. Musieliśmy zrobić porządek z Żydami. Było bardzo gorąco i chyba wypilem za dużo – powiedział Gentz, by jakoś rozpocząć rozmowę.

– A tak, przypominam sobie, wysyłaliśmy tam do Judenratu²² już tydzień temu informację o zebraniu – odparł Kluge. Nie wiedział dokładnie, o co chodziło, ale mógł się domyślić, bo miesiąc temu nastąpiła podobna akcja.

– No właśnie. I sprawa załatwiona! – Gentz się zaśmiał. Głośno, nieprzyjemnie. Lekko histerycznie.

– Czy to podobna akcja jak we Frysztaku, *Herr Doktor*? Jeżeli tak, to jeśli mogę...

– Nie możesz! – Teraz starosta podniósł na niego głos, zupełnie niespodziewanie. – Pamiętajcie, Anton! Chętnie z wami rozmawiam, ale jeśli będę potrzebował waszej rady, to sam o nią poproszę. Powiem wam coś, tak między nami. Ostatni raz, gdy pewna szanowana przeze mnie osoba chciała zmienić moje zdanie na temat kwestii żydowskiej, nieomal ją zabiłem. Przysięgam, że nie chciałem. Po wpływem młodzieńczego gniewu uderzyłem go kuflem od piwa w głowę. To był mój najlepszy przyjaciel. To było dawno, jeszcze w Düsseldorfie. Przed wojną. Żałowałem, ale sam się o to prosił. Do diabła z jego filozoficznymi tezami. Na szczęście chłopak się z tego wykaraskał. Mój ojciec załagodziłby sprawę w policji, ale Horst nie złożył nawet doniesienia w komisariacie. Może zrozumiał, że zasłużył. – Gentz zamilkł, zmęczony wybuchem.

Antoni nie odważył się cokolwiek powiedzieć. Ciszę przerwał starosta.

– Aha, możecie mi pogratulować, Anton! Zostałem ojcem. Moja żona urodziła mi dzisiaj syna. Nawet nie miałem czasu jej pogratulować. Zresztą jestem pijany. Nie chcę, by mnie takim widziała – powiedział.

– Gratuluję, panie starosto! – Antoni poderwał się na nogi.

– Dobrze już, siadajcie, siadajcie – przerwał mu Gentz. – Każda okazja jest dobra, aby wypić kieliszek dobrego koniaku.

Gentz wstał i ruszył w kierunku wysokiej rzeźbionej gabloty, obok półek z książkami, gdzie, jak Antoni dobrze wiedział, starosta miał barek. Niepewny krok potwierdzał, że alkohol solidnie uderzył szefowi do głowy. Idąc, zachwiał się lekko i zaczepił barkiem o wiszący na ścianie, oprawiony w złote ramki, herb miasta Jasła. Wisiał z boku, poniżej portretu Hitlera.

Obraz zakołysał się i spadł. Szkło się rozbiło.

– Cholera! – zaklął Gentz, słysząc brzęk szkła za sobą. Spojrzał, zamyślił się i... wybuchnął śmiechem.

– To nie problem, jutro każę oprawić – powiedział niepewnie Antoni Kluge, nie rozumiejąc, co tak rozbawiło starostę, który teraz już spokojnie, bez pośpiechu napełniał dwa kieliszki koniakiem.

– Napijmy się, Kluge. Za mojego syna! A przy okazji zdradzę wam pewną tajemnicę. Ale to ma pozostać między nami! Wiecie, że ten cholerny herb obudził we mnie wspomnienia mojej rozmowy z Horstem w Düsseldorfie? No tym, którego potraktowałem kuflem od piwa. Tajemnica! To rozkaz. Zrozumiano? – powiedział podniesionym głosem.

– Oczywiście – odpowiedział Kluge, niezbyt zainteresowany tajemnicami, za które można zarobić kuflem w głowę.

– Pamiętam, jak pierwszy raz zobaczyłem ten herb na ścianie tego pokoju, pod koniec roku trzydziestego dziewiątego. Wtedy urzędował tu jeszcze doktor Losacker. Ja byłem tu wtedy inspektorem finansowym. Podniosłem wzrok i zdębiałem! Dosłownie. Zobaczyłem przed sobą herb, który w trzydziestym czwartym roku, w knajpie w Düsseldorfie, rozłożył przede mną wtedy Horst Klein. To było dawno, ale zapamiętałem: na czerwonym tle, gotyckiej tarczy, jakby trzy złote słupy. Herb rodowy Radwan. Mówi to wam coś, Anton?

– Szczerze powiedziawszy, nie bardzo – przyznał się Kluge, niepewnie podnosząc ramiona na znak niezrozumienia.

– To dłuższa historia. Wielu by jej nie zrozumiało, ale wy jesteście człowiekiem wykształconym. Na pewno wiecie, kim był Nietzsche. A wiecie, jakiej był narodowości? – zapytał Gentz i czekał. Jego twarz zmieniła się. Czekał w skupieniu.

– Niemcem! – odpowiedział zdziwiony Kluge. – Skąd to pytanie, jeśli mogę spytać?

– Oczywiście, że Niemcem. Ale wracając do herbu, to było dawno temu i tamtego dnia, gdy Horst pokazał mi herb Radwan, tak wyprowadził mnie z równowagi, że zapamiętałem tylko kolory i kontury, te same, co w herbie Jasła – wyjaśniał starosta. Widział jednak, że jego rozmówca wciąż nie rozumie ani słowa.

– No tak, to może być trochę skomplikowane. Stara historia, nie chcę o tym mówić. Ale poczekajcie, gdzieś to mam. – Gentza wyraźnie wzięło dzisiaj na zwierzenia.

Z dolnej bocznej szuflady biurka wyciągnął grubą, starą książkę i położył ją z hukiem na swoim biurku.

– *Herbarz szlachty polskiej*. Kupiłem to w Krakowie. Musiałem to sprawdzić, taki byłem wściekły. Myślałem, że to jakieś żart losu. – Zaczął kartkować książkę, szukając właściwej strony.

Opowiedział Antonowi, jak Klein rozłożył przed nim na stole kolorowy wizerunek herbu Radwan, rzekomy herb rodowy Fryderyka Nietzschego. Teraz Kluge przypomniał sobie, że czytał autobiograficzne dzieło Nietzschego *Ecce Homo*. Oczywiście, że zwrócił uwagę na jego wypowiedzi na temat swojej polskości, ale szczerze powiedziawszy, nie nadawał temu

większego znaczenia. Ten filozof często formułował swoje myśli jako metafory i symbole. Prawo do twórczej wolności: *licentia poetica*.

– Anton! Dlatego się roześmiałem, gdy stłukł się herb miasta Jasła, bo spełnia się to, co sobie ślubowałem, gdy pierwszy raz ujrzałem ten cholerny herb! Widząc go, pomyślałem, że Polacy śmieją mi się prosto w nos, wytykając polskość moich niemieckich świętości. Ponieważ Polacy chcieli mi odebrać mojego wielkiego filozofa, to ja ślubowałem sobie, że odbiorę Polakom to miasto. Na szczęście pomyliłem się, nie chodziło o ten herb. Ale nieważne. Jasło jest teraz niemieckie i tak pozostanie! – Zaśmiał się, unosząc kieliszek w kierunku portretu Hitlera, jakby do niego pił. Był już dobrze wstawiony.

Antoni przyglądał się herbowi Radwan, porównując go z herbem Jasła. Faktycznie, na pierwszy rzut oka, szczególnie jeśli nie widziało się go prawie dziesięć lat, można by się pomylić. Oba herby miały czerwone tło i centralny symbol w postaci trzech złotych znaków. Jeśli porównać je bezpośrednio, pomyłka była wykluczona: Radwan miał na czerwonym tle symbol złotej chorągwi: z solidnej podstawy zwisały w dół trzy pasy. W herbie Jasła, na takiejże czerwonej tarczy, zamiast tej podstawy widniała złota korona, a pod nią trzy złote gotyckie litery JAR. Anton wiedział, że herb ten pochodzi z czasów dynastii Jagiellonów i łączy się z osobą króla Jana I Olbrachta: JAR (Joannes Albertus Rex).

– Jak obiecałem, wymażę z tego miasta wszystko, co polskie! Będzie to niemieckie miasto albo zburzę je doszczętnie. Jessel to niemieckie miasto. Już król Kazimierz Wielki nadał mu w czternastym wieku prawa miasta niemieckiego – bełkotał Gentz, złowrogo i histerycznie.

Jako wieloletni urzędnik Kluge wiedział, o czym mówi Gentz. Wiedział też, że celowo przekręca fakty. Przyjęte w Polsce pojęcie „prawa niemieckiego” dotyczyło prawa magdeburgskiego. Magdeburg bowiem uzyskał już w tysiąc trzydziestym piątym roku prawo do nadawania miastom prawa do handlu i zjazdów. To stało się wzorcem w wielu miastach środkowoeuropejskich przy organizacji samorządów miejskich i było po prostu synonimem „prawa miejskiego”.

Każdy tu widział, że Gentz w maniacki wręcz sposób dążył do zrobienia z Jasła wzorcowego niemieckiego miasta. Zmodyfikował na niemiecki wzór architekturę: ratusza, rynku i fasady otaczających go budynków. Modernizacji poddał także nawierzchnię rynku, którą wyłożono płytami chodnikowymi. Wyburzył niektóre stare drewniane domy i założył tam trawniki. W budynku rady powiatowej zorganizował muzeum, wystawę dorobku powiatu pod panowaniem niemieckim, zdominowane niemieckim gotykiem. Szesnaście sal wystawowych! W tym celu ściągnął specjalistów z Berlina i powstała nowoczesna, stworzona z rozmachem ekspozycja. W wielkiej klatce schodowej budynku rady, największego gmachu w mieście, stanął duży trójnóg symbolizujący przemysł naftowy.

– Austria i Wiedeń wróciły do niemieckiej Rzeszy, prawda, Anton? Więc także te ziemie mają austriackie, to znaczy niemieckie korzenie. Kultura, przemysł, wszystko opiera się na

twórczej myśli niemieckiej. Nasze zdrowie! – Podniósł w górę kieliszek.

– No tak, w osiemnastym wieku weszli tu Austriacy... – zaczął ostrożnie Antoni. Ale Gentz go już nie słuchał, pijany, patrzył zamyślony w sufit.

²¹ W *Kartkach z kalendarza* (1939).

²² Rady Żydowskiej.

ROZDZIAŁ 33

Jasło

budynek starostwa

lipiec–listopad 1942 r.

Następnego dnia Antoni Kluge dowiedział się od jednego z policjantów, którego znał od lat, o tym, co się stało w Żmigrodzie siódmego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. W tym niewielkim miasteczku, oddalonym około piętnastu kilometrów od Jasła, mieszkało jakieś dziesięć tysięcy ludzi. Z tego dwa tysiące Żydów. Zgodnie z wcześniejszym zarządzeniem, znanym Antoniemu, tego dnia wszyscy Żydzi mieli się stawić na rynku.

Oddziały policji, Sipo²³, żandarmerii oraz polskiej i ukraińskiej policji otoczyły rynek. Niemcom wystawiono beczki z piwem jako poczęstunek. Gentz przyjechał przed południem. Rozkazał Żydom oddać pieniądze i kosztowności. Z zebranej grupy wysegregowano kilkaset osób zdolnych do pracy. Pozostałych mężczyzn, kobiety i dzieci zapędzono do podstawionych ciężarówek. Walter Gentz wystąpił w roli – w której czuł się naprawdę dobrze – pana życia i śmierci. Przechadzał się wzdłuż szeregów i od czasu do czasu wyciągał rękojeścią laski pojedyncze osoby z tłumu. Laską tą pobił też tego dnia do krwi przewodniczącego tamtejszego Judenratu.

Ciężarówki podwoziły ofiary do dołów wykopanych wcześniej przez polskie oddziały budowlane. Tam musieli się rozebrać i zostali rozstrzelani na brzegu zbiorowych mogił. W ciągu kilku godzin zamordowano tysiąc dwieście pięćdziesiąt siedem osób. Sama akcja segregacji skazańców na rynku była dla Gentza najwyraźniej niewystarczająco ciekawa, gdyż pojechał na miejsce mordy. Zarówno on, jak i wszyscy kaci z Gestapo dodawali sobie animuszu, pijąc alkohol. Nie oszczędzali się, niedługo wszyscy byli pijani, ale strzelali dalej.

We wspomnianej już wcześniej podobnej akcji w czerwcu we Frysztaku zginęło nie mniej niż tysiąc Żydów. Niektórzy twierdzą, że było nawet dwa tysiące ofiar. Brakuje pewnych danych. Starosta Gentz osobiście zabił przynajmniej kilka osób.

Antoni Kluge siedział za swoim biurkiem i pozwolił sobie na przerwę w pracy. Praca z Gentzem go dobijała. Ale co mógł zrobić? Był zaledwie trybikiem. Tak, zamykał oczy, bo chciał przeżyć. Wstyd mu było za siebie, ale czy tacy ludzie jak on mogli coś zmienić? Przecież nie on był zbrodniarzem. Tam, gdzie mógł i nie było to zbyt niebezpieczne,

zawsze starał się ludziom pomagać. Rzadko zgłaszali się do niego. Większość uważała go za prawą rękę Gentza.

Kluge zawsze sumiennie pełnił swoją służbę, niezależnie od zmieniających się szefów. Jeśli nie lubił swoich przełożonych, to nie dawał tego po sobie poznać. Losackera lubił, a sympatia była obustronna. Tamten był „normalny”, uprawiał rozmaite sporty, grał w tenisa, jeździł konno. W tenisa grywał także z Polakami. W biurze, ale i poza biurem zachowywał się przyzwoicie, był przystępny. Wysłuchiwał donosów, ale też i próśb. Gdy się rozstawali, Losacker przekazał mu w podziękowaniu butelkę dobrego francuskiego koniaku i powiedział:

– Dziękuję, panie Kluge, współpraca z panem to była prawdziwa przyjemność. Proszę pilnować urzędu, wykonaliśmy tu razem kawał dobrej roboty. Pozostajemy w kontakcie. Dla pana jestem zawsze do dyspozycji. – Uśmiechnął się tak, jakby chciał mu powiedzieć, że to, co tu się dzieje, wciąż go interesuje.

Kluge nigdy nie twierdził, że Losacker był przyjacielem Polaków czy Żydów. Starał się być przykładnym urzędnikiem; szanował dekrety, ale nie był fanatykiem.

W czerwcu tysiąc dziewięćset czterdziestego roku Losacker poinformował rządzących w Krakowie, że: „od 25-go maja 1940, żaden Żyd, Żydówka czy żydowskie dziecko nie ma prawa wyjść na ulicę miasta. Także wyglądanie przez okno jest zakazane”. A w sierpniu czterdziestego roku oznajmiał o zamknięciu trzystu sklepów i żydowskich zakładów, i tak centralny plac miasta został oczyszczony z Żydów, był *judenfrei*. Ale co naprawdę znaczyło oczyścić miasto z Żydów, uczynić je *judenfrei*, pokazał dopiero Gentz.

Losacker był urzędnikiem, nie katem. Nie brudził sobie rąk brutalnymi czynami. A to, co robił teraz Gentz, wyglądało bardziej na sadyzm niż wypełnienie obowiązków służbowych. Gentz był też niedostępny dla mieszkańców, zarówno dla donosów, jak i próśb. Chociaż jedno takie odstępstwo od reguły Antoni Kluge dobrze zapamiętał.

Jolanta Kurska od dziecka mieszkała na ulicy Piotra Skargi. Była dobrą dziewczyną, ale w życiu jej się nie układało. Mąż Stanisław zginął przed wojną w wypadku, w rafinerii. Nie było jej łatwo, ale znalazła pracę jako listonoszka na poczcie. Gdy z pojawieniem się Niemców powstała Niemiecka Poczta Urzędowa Wschód²⁴, obsługująca urzędy i Niemców, znalazła tam pracę, a później pracowała już dla DPO, Niemieckiej Poczty Wschód, która obsługiwała wszystkich.

Pracowała ciężko, była sama z córką i mieszkała kątem u rodziców. Zofię Kaczkowską znała tylko z widzenia, czasem spotykała ją w kościele, jasielskiej farze na początku ich ulicy. Koleżanki kiedyś wspomniały, że ta ładna, zawsze dobrze ubrana dziewczyna jest córką znanego adwokata Adolfa Kaczkowskiego. Żyda ponoć, który kiedyś nazywał się Aaron. Ojciec wyjechał, a kobiety mieszkały teraz tu, na ich ulicy. W rodzinie Kurskiej

nikt nie lubił Żydów. Nawet takich przefarbowanych, przechrzczonych. Bo Żyd to zawsze Żyd, jak mawiał już jej dziadek.

Mieszkali w sąsiednich domach, ale ona nie Żydów tam podglądała, tylko widziała, że pod trzynastką zamieszkał przystojny żołnierz. A ona, podobnie jak ten żołnierz, też mieszkała w pokoju na samej górze. Czasem widywała go, kiedy rano gimnastykował się przy otwartym oknie. Piękny chłop. Do tej Zofii właściwie nic nie miała, dopóki kiedyś w nocy, to musiało być jakoś w kwietniu, przy zapalanej lampie przez zasłonkę mignęła jej sylwetka nagiej kobiety. W pokoju tego Niemca! Nie była pewna, myślała, że to przywidzenie, więc zaczęła uważniej go obserwować. W nocy w oknie więcej nic nie widziała, choć światło się u niego dziwnie długo ostatnio paliło. Ale raz zobaczyła, jak wchodził do domu i mijali się z tą Zofią. Ona tak na niego spojrzała i pogłaskała go po rękawie, że i ślepy by zobaczył. Żydowska zdzira. Tego jej nie popuści!

Kurska nie bardzo wiedziała, komu i gdzie to zameldować. Było jasne, że jeśliby się to wydało, również ten żołnierz miałby kłopoty. A tego nie chciała. Nie żeby jej na nim zależało, ale miał kolegów i szybko by się dowiedzieli, kto doniósł. A żołnierze potrafią narobić problemów, szczególnie jeśli mają powód osobisty.

W czerwcu żołnierz zniknął, rozpoczęły się przygotowania do wojny z Sowietami. A gdy inwazja ruszyła, w Jaśle pojawiły się pierwsze listy z niemieckiej poczty polowej. Od żołnierzy z frontu. Już jesienią na adres Zofii Kaczkowskiej przyszedł pierwszy list od Rudolfa Simona. Kurska wiedziała, że tak się nazywa, bo wcześniej dostarczała mu listy z Rzeszy. Pewnie od matki. Listy z frontu przychodziły regularnie, zwykle co dwa-trzy dni. Jolanta nie znała niemieckiego, ale gdy je otwierała, od razu widziała, że to listy miłosne. Kaligrafowane, z serduszkami. Piękne. Ona takich nigdy nie dostawała. Jej Stach nigdy nie był romantyczny. Ta zdzira też tych listów nie zobaczy – powiedziała sobie.

Znajomego w starostwie zapytała, komu może powiedzieć o tej żydowskiej dziwce i jej romansie. On tylko dziwnie się zaśmiał i odparł, że najlepiej samemu staroście Gentzowi, bo on jest cięty na Żydówki. Nie bardzo zrozumiała, co to znaczy, ale nie miała odwagi spotkać się ze starostą. Wszyscy wiedzieli, że ten człowiek bywa nieobliczalny. Stwierdziła więc, że najlepszym rozwiązaniem będzie wysłanie donosu, anonimowego, na adres samego starosty. Znajomy w starostwie przetłumaczył jej tekst na niemiecki i przepisał na maszynie, aby nikt nie rozpoznał pisma. O listach Simona nie pisała, by się nie domyślili, że to ona. Do sekretariatu starosty list dostarczyła Jolanta osobiście, jakoś późną jesienią czterdziestego pierwszego roku.

Następnego dnia list trafił na biurko Klugego. Antoni przeczytał go z uwagą, a następnie przedziurkował i z fizyczną nieomal odrazą włożył do skoroszytu z napisem „Anonimy”. Nie znosił donosów. Ludzie na całym świecie byli tacy sami. Znał to i z Wiednia,

i z Krakowa. Tu też często przychodziły takie listy, z Jasła, a nawet małych wiosek. A jeśli chodziło o donosy na Żydów, to zwykle mniej chodziło o niechęć do ich religii czy obrządków, a bardziej o to, że dobrzy obywatele, chrześcijanie, mieli w tym całkiem przyziemny interes. Nie rozumiał, o co chodziło w przypadku Zofii Kaczkowskiej, bo własnego domu chyba nie miała, aby go jej odebrać. Pewnie jakiś osobisty zatarg czy zazdrość sąsiedzka. Ale list był listem. To korespondencja służbowa i wyrzucić go nie mógł. Zwłaszcza że był adresowany do samego starosty. Ale on pewnie miał ważniejsze sprawy na głowie, niech więc list leży i nabiera urzędowej mocy, jak mówią. Kluge uśmiechnął się z własnego dowcipu.

Jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku Gentz uporał się z „żydowskim problemem”. Deportacje ze swojego powiatu zakończył we wrześniu. Oznajmił to dumnie na partyjnym zebraniu NSDAP, którego przewodniczącym w powiecie był on sam właśnie. Konkretnie oznaczało to, że dzięki jego osobistemu zaangażowaniu i wspomagającego go aparatu około szesnastu tysięcy osób zostało przetransportowanych do obozu w Bełżcu, gdzie zostali zamordowani.

Musiło być już dobrze po szóstej, bo w biurze Klugego od dawna paliło się światło – w końcu był listopad – kiedy ktoś zapukał i drzwi do pokoju otworzyły się. Wszedł Walter Gentz. To zdarzało się czasem, zwykle w ciągu dnia, gdy starosta potrzebował szybkiej rady. Ale o tej porze? Kluge natychmiast się podniósł, jednak gdy zobaczył w ręku szefa duży kieliszek z koniakiem, wypełniony więcej niż do połowy, uspokoił się. Starosta miał znowu chandrę. Chciał pogadać.

– Widzicie, Anton, stęskniłem się za wami. Można? – Zaśmiał się i nie czekając na odpowiedź, zatrasnął drzwi.

– Proszę, proszę, *Herr Doktor* Gentz – odpowiedział Kluge. Wiedział, że będzie musiał tu siedzieć z nim przynajmniej godzinę, ale co zrobić. W domu i tak nikt na niego nie czekał.

Gość gwałtownym ruchem odstawił kieliszek na biurko. Kluge znał już Gentza ponad dwa lata, więc po gestykulacji i uśmiechu potrafił stwierdzić, że nie jest to jego pierwszy tego wieczora kieliszek. Także i nie drugi.

– Wasze zdrowie, Anton! Jesteście porządnym człowiekiem. A tak naprawdę to chyba też jedyną osobą, z którą mogę mówić szczerze. Z żoną... no tak. Ale nie o sprawach naprawdę ważnych, wielkich, doniosłych. Nie, ona tego nie zrozumie. Filozofia to nie temat dla kobiet, nawet wykształconych. Prawda, Anton? – zapytał, jakby naprawdę oczekiwał odpowiedzi.

– Raczej tak, faktycznie nie mieliśmy dotychczas kobiety wybitnej jako filozofa – stwierdził niepewnie, nie rozumiejąc, w jakim kierunku zmierza szef.

– Właśnie mówię. A mam do przemyślenia problem natury filozoficznej. Właśnie tak sobie siedziałem, Anton, i myślałem. Wiecie, że czasem wydaje mi się, że jestem bliski bogom. – Po tej konstatacji starosta wypił solidny łyk, nie przestając obserwować Antoniego.

Przyglądając się jego twarzy, urzędnik nie umiał tym razem stwierdzić, czy chodzi o żart, czy też poważne spostrzeżenie.

– Na czym opiera pan te obserwacje, *Herr Doktor*? – zapytał. Pytanie go zaskoczyło. Ale nawet jeśli ten człowiek powie, że uważa się za Napoleona, to jedynym bezpiecznym zachowaniem jest przytaknięcie.

– Widzi pan, Anton, za to właśnie pana szanuję. Pan to rozumie. A żona zmierzyłaby mi pewnie gorączkę. A ja chcę tylko porozmawiać! Nie, nie zwariowałem – powiedział z lekkim uśmiechem, ale poważnie.

Antoni skinął głową niczym spowiednik w oczekiwaniu dalszego ciągu wyznań grzesznika.

– Przypomniałem sobie coś, co czytałem kiedyś, gdy miałem czas na takie rzeczy, że im mniej mamy życzeń, tym bardziej podobni jesteśmy do bogów. Stwierdził to Sokrates. Anton, a ja naprawdę nie mam życzeń, których nie potrafiłbym sam sobie spełnić. Mam wszystko, czego potrzebuję. Co tam życzenia! Jestem w stanie zmienić otaczający mnie świat. Jak myślicie, Anton, czy to szaleństwo, aby tak o tym myśleć? – zapytał w zamyśleniu Gentz.

Teraz Antoni potrzebował czasu na sformułowanie odpowiedzi. Mimo dobrego humoru szefa wolał być jak zawsze ostrożny.

– Wielu filozofów tak to widziało; naprawdę szczęśliwy i wielki jest ten, kto zadowala się drobiazgami. Nie chodzi o to, co się posiada, lecz o spełnienie się. Człowiek zadowolony z siebie to człowiek bogaty, można pewnie też powiedzieć „wielki”. Nadczłowiek? Tak więc rozumując, zbliżamy się niejako do poziomu bogów. Czuje się pan zadowolony? Spełniony? – zapytał Kluge. Też miał ochotę wypić coś mocniejszego, ale nie wypadało mu zdradzać przed szefem swojego schowka.

– Właśnie, właśnie *Übermensch*. Ten fenomen prześladowuje mnie od lat. Czy to znak, że jestem na dobrej drodze? – Patrzył na Antoniego, nie widząc go, zatopiony we własnych myślach. – Przecieram szlak naszym ludziom, usuwając im z drogi „podludzi”. Tworzę nową czystą rasę. Tak jak widział to Nietzsche. – Wypił do końca i odstawił kieliszek. Zawahał się i kontynuował:

– A wiecie, co mnie najbardziej przeraża? Przestałem bać się Boga! Wiem, ile popełniłem grzechów. I nic. Nic się nie dzieje! Nikt nie reaguje! Boga nie ma! Czy można stworzyć nowy lepszy dla ludzi świat bez udziału Boga? – Jego źrenice rozszerzyły się. Oczekiwał potwierdzającej odpowiedzi?

Antoniego cieszyły takie rozmowy, kiedy mógł wyrażać swoje głębsze przemyślenia. Mówił wolno, zastanawiając się.

– Ja uważam tak jak Nietzsche, że każdy człowiek może własną wolą, własną pracą osiągnąć wyższy etap rozwoju. Jednostką wybitną stajemy się poprzez swoje postępowanie i dokonania. Pan mówi o torowaniu drogi innym. Czy można stworzyć lepszy świat, usuwając jedynie „podludzi”? *Untermenschen*²⁵ to nowe ciekawe pojęcie. Nie pamiętam, by Nietzsche go używał... – powiedział Kluge, ale już mówiąc to, zauważył grymas na twarzy Gentza.

– Oj, Anton. Zawsze zapominam, że nie jesteście prawdziwym wiedeńczykiem. Tak, Polakowi ciężko to zrozumieć. Uważam was za rozsądnego człowieka, ale nie mogę wymagać zbyt wiele. – Gentz jakby nagle wytrzeźwiał. Zmienił temat: – A co u was nowego? Macie coś dla mnie?

Starosta rozejrzał się wokół, zamykając tym rozmowę. Niepotrzebnie zaczynał ją w ogóle z Polakiem. Ale z kim innym może rozmawiać tu na te tematy? Wszyscy jego koledzy, wyżsi urzędnicy z Krakowa, mimo że czują się „nadludźmi”, nie rozumieją filozoficznych podstaw tego pojęcia. A z tym Polakiem, chociaż jest całkiem inteligentny i wykształcony, ta rozmowa także nie ma sensu. Jeszcze tego brakowało, żeby on go pouczał. Nie istnieje faktycznie kategoria „podczłowieka”? – zastanawiał się.

– O, Kluge, a co to jest? Skoroszyt „anonimy”? Czy po polsku znaczy to samo, co po niemiecku? Anonimowe listy, donosy? Proszę mi to pokazać. – Gentz zauważył na szerokiej półce, za plecami Antona Klugego, segregator.

– Tak jest, *Herr Doktor* Gentz – odpowiedział posłusznie Kluge, sięgając za siebie po segregator.

Zebrało się tam już sporo anonimów. Gentz zaczął niedbale kartkować przedziurkowane i starannie ułożone kartki. Były różnych rozmiarów i kolorów. Jedne nabazgrane ołówkiem, inne napisane kaligraficznie lub drukowanymi literami. Rzadko na maszynie. Znacząca większość była napisana po polsku, więc Gentz je tylko przerzucał. Nieco głębiej znalazł list napisany na maszynie, na białym papierze, takim, jaki starosta znał ze swojego biura. List przyciągnął jego uwagę, bo był po niemiecku.

Szanowny Panie Starosto,

spieszę poinformować, że Zofia Kaczowska, zamieszkała przy ulicy Piotra Skargi 13 w Jasle, od dłuższego już czasu utrzymuje kontakty intymne (spała z nim w jego łóżku) z żołnierzem Wehrmachtu Rudolfem Simonem, który mieszkał u nich jeszcze w roku 1941 na kwaterze. Żołnierz wyjechał na front wschodni. Dla Pana Starosty ważne jest pewnie i to, że ona jest mieszańcem żydowskim. Jej ojciec był Żydem, przed wojną znanym i bardzo bogatym adwokatem. Uważam, że należy tę żydowską dziwkę, która uważa się za coś lepszego, należyście ukarać.

Przyzwoita chrześcijanka, obywatelka miasta Jasło

– Anton! A co to znaczy? Chowacie przede mną korespondencję adresowaną do mnie? – zapytał wyraźnie udawanym srogim głosem.

Wiedział, że duża część anonimowych donosów to zwykle porachunki międzysąsiedzkie i szkoda na nie czasu. Chociaż zawsze znajdował wśród nich ciekawe informacje.

– *Nein, Herr Doktor.* Ale większość tego to bzdury, a pan był ostatnio bardzo zajęty. Ten list przyszedł niedawno i chciałem go panu jutro przekazać. – Kluge zauważył, że na donosie, który przeczytał Gentz, nie było daty. Miał szczęście, bo wiedział, że list ten leżał tu już prawie rok.

Gentz spojrzał na Antona i uśmiechnął się, bo przejrzał jego taktykę. List leżał zbyt głęboko w segregatorze, aby był nowy. Ale widać było, że napisała go złośliwa znajoma czy koleżanka. Mimo to zaciekawiała go informacja. Dziewczyna musiała być atrakcyjna, skoro „uważała się za coś lepszego”. Gentz gustował w brunetkach. Do tego jakiś bogaty Żyd, adwokat? Dobrze, że Anton był przykładnym urzędnikiem i nie pozbył się tego listu.

– Wiecie coś o tej rodzinie, Anton? – zapytał.

– Tak, Adolf Kaczkowski był faktycznie znanym i szanowanym adwokatem. Bywał tu nieraz, na bankietach u wcześniejszych starostów – odpowiedział Kluge zgodnie z prawdą.

– W takim razie zaproście ją tu do mnie. Najlepiej na jutro, aby nie zapomnieć. Niech przyjdzie o czwartej, kiedy w biurze będzie już spokojniej.

²³ Sicherheitspolizei.

²⁴ Deutsche Dienstpost Osten.

²⁵ Podludzie.

ROZDZIAŁ 34

Jasło

listopad 1942 – luty 1943 r.

Starosta Gentz także i dzisiaj miał napięty program dnia. Kilka ważnych rozmów z Krakowem, później nieprzyjemne rozmowy z podlegającą mu inspekcją finansową oraz bieżące rozliczenie robót budowlanych. Ale wszystkie najważniejsze sprawy załatwił już do obiadu. Teraz, o drugiej po południu, oddał się zajęciu, które zawsze go uspokajało: czyszczeniu swoich ulubionych fajek.

Na ciężkim dębowym biurku stały dwie podstawki z marmuru, misterna robota, na których mieściło się dwanaście fajek. Tylko wyroby z wysokiej klasy wrzośca lub pianki morskiej. Nie tolerował popularnego tutaj w Galicji drewna gruszy czy dębu. Fajek nie traktował jako eksponaty; palił je regularnie, ale jeśli fajka miała zachować klasę, a palenie być źródłem rozkoszy, nie powinno się palić tej samej fajki częściej niż raz w tygodniu. Fajka musiała oddychać, mieć czas na wyschnięcie, wyparowanie wilgoci, ale też usunięcie smoły zawartej w palonym tytoniu. On palił tylko w gabinecie i tylko wtedy, gdy miał na to naprawdę czas. Nie znosił palić w pośpiechu, a już nigdy na otwartym powietrzu; wiatr mógłby podwyższyć temperaturę żaru, a wtedy przepaliłby najtwardsze nawet drewno.

Wystukał o korek, zamontowany pośrodku porcelanowej popielnicy, główkę swojej ulubionej fajki, churchwarden. To, co ją już na pierwszy rzut oka wyróżniało, to jej niezwykle długi, sięgający nawet trzydziestu centymetrów, lekko zagięty ustnik. Długość ustnika decydowała o przeznaczeniu fajki. Najtrafniej oddawała to jej niemiecka nazwa: *Lesepfeife*, czyli fajka do czytania. Przez jej zagiętą formę komin fajki nie zasłaniał widoku na książkę. Gentz celebrował te wieczory z fajką, książką i kieliszkiem koniaku.

Wziął do ręki swój niezastąpiony przybornik do czyszczenia legendarnej hamburskiej marki Sillem's, symbol najwyższego luksusu. Ten cenny instrument Sillem's Pfeifenbesteck 925er Sterling Silber otrzymał na ostatnie urodziny w prezencie od swojego przyjaciela Schernera. Może i nie był przyjacielem, ale był mu bardzo przydatny. Z wzajemnością. Facet miał klasę. No, chyba że się znowu upije...

Ktoś ostrożnie zapukał do drzwi. Na jego głośne *herein*²⁶ drzwi się otworzyły i stanęła w nich młoda kobieta. Ubrana była skromnie, niewyzywająco. Ciemny kostium, buty na niewysokich obcasach. Nawet trudno powiedzieć, że specjalnie elegancko, jednak robiła

wrażenie. Była bardzo atrakcyjna, z klasą. Głowę miała dumnie uniesioną, ale nie arogancko. Zgrabna i dumnie prezentowana sylwetka dodawała jej tej szczególnej aury. Zrobiła na nim wrażenie.

– Nazywam się Zofia Kaczkowska. Pan chciał mnie widzieć, panie starosto – powiedziała spokojnym, pewnym siebie głosem. Znał ten ton jeszcze z czasów, gdy mieszkał w Düsseldorfie i spotykał się, dzięki koneksjom ojca, z dziewczynami z tak zwanego towarzystwa. Tyle że Zofia Kaczkowska była osobą dojrzałą i nie chciała nikomu imponować. Ona była sobą. Jej niemiecki był bardzo dobry, z ledwo słyszalnym polskim akcentem.

Zaimponowała mu. I szczerze powiedziawszy, lekko wybiła z wrodzonej mu pewności siebie. Musiał na nowo zastanowić się, jak poprowadzić rozmowę. Nie napadnie na nią od razu, przedstawiając zarzuty, jak zamierzał. Posiadał wszystkie informacje, bez trudu dowiedział się nazwiska i rangi podoficera, który kwaterował na Piotra Skargi trzynaście.

– Proszę zająć miejsce. – Wstał i wskazał jej krzesło stojące naprzeciw jego biurka.

Znowu usiadł i przyglądał jej się uważnie. Regularne rysy, ładna zadbana twarz, lekko podkreślone szminką usta, krótkie, ale starannie ułożone włosy. Piękna kobieta.

– Proszę opowiedzieć, w skrócie, o sobie i pani rodzinie – powiedział i zabrał się znowu do czyszczenia fajek.

Zdemontował ebonitowy ustnik i długim wyciorem przeczyścił przewód prowadzący dym z komina fajki do ustnika. Po tym odłożył długą churchwarden i wziął do ręki, czystą już, mniejszą, krótką i zgrabną fajkę, której najczęściej używał. Miała piękny, bardzo wyraźny rysunek słoju drewna. Słuchał jej opowiadania, powoli nabijając fajkę tytoniem. Najpierw około jednej trzeciej wysokości komina luźno, aby nie zatkać przewodu odpowiedzialnego za przepływ powietrza. Następną porcję tytoniu wcisnął kciukiem. Ostatnią warstwę, od samej góry, wcisnął silniej, użył ubijaka.

Gdy zbliżył do ujścia komina fajki płomień zapalniczki, po gabinecie wraz z dymem kombinacji szlachetnych tytoniów Virginia i Burley rozszedł się łagodny przyjemny zapach. Czuć było mieszankę karmelu, czekolady, wanilii i wiśni. Gentz obserwował swojego gościa. Jej nozdrza lekko się rozszerzyły, intensywniej wciągnęła powietrze. Nie zmarszczyła się, więc zapach jej się spodobał. Mówiła powoli, płynnie przedstawiając swój niezbyt długi życiorys.

– Rozumiem. A teraz proszę opowiedzieć mi o pani romansie z Rudolfem Simonem – powiedział, nie zmieniając tonu.

Jej delikatna mlecznobiała twarz stała się biała jak kreda. Tego się nie spodziewała. Nie rozumiała, dlaczego ją wezwano. Oczekiwała ewentualnie pytań dotyczących jej ojca, chociaż to nie wchodziło w zakres kompetencji starosty.

– Nie rozumiem... – Jej pewność siebie zniknęła. – Owszem, Herr Simon mieszkał w tym samym domu...

– Proszę skończyć z tym teatrem. Rudolf Simon jest obecnie na froncie wschodnim. W ten sposób uniknie pewnie kary za *Rassenschande*, znieważenie ustawy o czystości rasy aryjskiej. Ale co mam zrobić z panią? Pani uwiodła Niemca, niemieckiego żołnierza, któremu kontakt z ludnością miejscową jest surowo zabroniony – dalej mówił spokojnie. Zadał pytanie, jakby oczekiwał jej pomocy.

Zofia patrzyła na Gentza bez słowa. Mogła próbować bronić się rzeczowymi argumentami, ale wiedziała, że nic to jej nie da. Czekwała na rozwój wydarzeń.

– Oboje wiemy, że pani ojciec był Żydem. Jest pani więc żydówką półkrwi, *Mischling* pierwszego stopnia. Od roku już w Rzeszy coraz więcej ludzi opowiada się za tym, aby zrównać wasz status z Żydami pełnej krwi. To nie jest dla pani korzystne. Wie pani, co stało się z tutejszymi Żydami, prawda? Innym, nieco bardziej łagodnym rozwiązaniem jest propozycja kierowania *Mischlingów* do batalionów pracy przymusowej. – Przyglądał się jej przyjaźnie, z zainteresowaniem szukał reakcji na jej twarzy. Jego komentarz pozbawiony był wszelkiej emocji.

Wiedział, co robi. Informował ją o tym, co się stanie, jeśli on, od którego wszystko tu zależy, nie zmieni przewidzianego prawem przebiegu zdarzeń. Miał doświadczenie w urabianiu ludzi. Ta młoda, piękna i dumna kobieta spodobała mu się, więc nie chciał jej zastraszyć. Wolał zdobyć jej zaufanie poprzez gesty, które powinna odebrać jako empatyczne i przyjazne. Ale najpierw musiał przycisnąć silnej. Już się zorientowała, że on wie o niej wszystko. Teraz musiał jej pokazać, że o tym, jak dalej przebiegnie jej życie i życie jej najbliższych, decyduje tylko on. Musi zrozumieć, że została sama i tylko on może jej pomóc.

– Czy Rudolf Simon utrzymuje z panią kontakt? – zapytał.

– Nie – odpowiedziała szybko, aby nie wciągać w tę grę Rudolfa.

Faktycznie nie otrzymała od niego żadnego listu. Nie rozumiała tego. Przecież nie mógł jej zapomnieć.

– To normalne. Żaden żołnierz tego nie robi, zmieniając kwaterę. Pewnie ma już kolejną dziewczynę. A Ukrainki są pięknymi kobietami – stwierdził, robiąc przy tym zatroskaną minę. – No dobrze, w takim razie przesłuchamy w tej sprawie najpierw pani matkę, a później siostrę. Ja na to nie mam czasu, przekażę sprawę do Gestapo.

– Błagam, tylko nie to. Mama jest bardzo chora. Proszę tego nie robić. Ona tego nie przeżyje. – Złożyła ręce jak do modlitwy, patrząc mu błagalnie w oczy.

Na początku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego roku jej matkę już przesłuchiowano. To było straszne.

– Zobaczą, co da się zrobić. Żegnaj panią. – Kiwnął głową na pożegnanie i zajął się znowu fajką, która zdążyła już przygasnąć.

Gdy młoda kobieta wyszła, powoli wstał i wyjął z szafki butelkę koniaku i kieliszek. Siadł w fotelu, lekko ubił nadpalony tytoń i znowu zapalił fajkę. Nalał sobie kieliszek koniaku. A po chwili następny.

Wrócił w myślach do niedawnej rozmowy z Klugem. Czy był zadowolony z siebie? Osiągnął naprawdę niemało. Nie tylko żył jak król, ale miał tu też podobne uprawnienia. Mógł zrujnować życie prawie każdemu z otaczających go ludzi. Czuł swoją moc, uwielbiał to uczucie, gdy widział, czuł, że ludzie się go boją. Czy to jednak robiło z niego szczęśliwego człowieka?

Chciałby być kochany. Podziwiany. Ale inaczej niż w urzędzie, tak naprawdę, szczerze. Tak jak kochała go jego babcia Flora. Po prostu za to, że był. Za jego uśmiech, za każdy gest. Żona Wendula pewnie go już nie kochała. Czasem miał wrażenie, że ona nim nawet gardzi. Ale co go to obchodziło? Dlatego tak chętnie wybierał libacje z kolegami. W tym szczelnie zamkniętym gronie zawsze było wesoło. Szczególnie jeśli pojawiał się Scherner, wtedy musiał organizować młode dziewczyny. Nie wszystkie przychodziły z własnej woli: te najmłodsze, szczególnie Żydówki, następnego dnia i tak znikwały: były deportowane albo po prostu naprawdę znikwały. Gestapo miało na to swoje metody.

Oficjalnie jako starostę obowiązywały go pewne ograniczenia. Teoretycznie nie mógł decydować na swoim terenie o działaniach Policji Bezpieczeństwa (Sipo), w skład której wchodziła tajna policja państwowa (Gestapo) i policja kryminalna (Kripo). Ale to dla niego nie problem, bo był blisko zaprzyjaźniony z SSPF Julianem Schernerem z Krakowa. SSPF = SS + Polizeiführer; to stanowisko w SS łączyło w unii personalnej także dowodzenie policją. Scherner często odwiedzał go w Jaśle. Słyszał już, że mówi się o nim, staroście, że jest przedłużonym ramieniem SSPF w Jaśle.

Teraz wiedział, czego mu brakuje: kobiety, z którą mógłby rozmawiać. Kobiety z klasą, która dobrze wygląda, potrafi się ubrać, ciekawie opowiadać. Jak ta dzisiaj. Miał dość tanich dziwek. Ze swoją żoną sypiał coraz rzadziej. Zrobiła się z niej nieciekawa, nudna kura domowa! Od ślubu minęło osiem lat, a tylko on się rozwinął, stał się kimś. Czy naprawdę nie wszystkie życzenia dało się spełnić? A może jednak?

Nalał sobie ostatni kieliszek, wypił, wystukał fajkę z resztek tytoniu i popiołu i przeszedł do prywatnego mieszkania.

Zofia wróciła do domu, nie mówiąc nikomu o tym, że została wezwana do starosty. Pamiętała przecież, jak matka jej ciągle powtarzała, aby uważali. Uważali! Nie rozumiała, jak to się stało. Ale najpierw chciała zrozumieć, co się właściwie wydarzyło u starosty. Cała ta rozmowa była dziwna. Niezależnie od tego, skąd starosta mógł wiedzieć o jej związku z Rudim, jeśli już to się wydało, to dlaczego zajął się jej sprawą osobiście? Traktował ją jak damę. Był wyjątkowo miły jak na to, co o nim słyszała. Wszyscy mówili, że to sadysta, straszna szuja. A jednak robił wrażenie, że chce jej pomóc. Powiedział, że spróbuje oszczędzić przykrości jej mamie. Może nie był wcale taki zły? A w ogóle to całkiem przystojny, zadbany mężczyzna.

Długo nic się nie działo. Zofia miała już nadzieję, że Gentz o niej zapomniał, ale w połowie stycznia czterdziestego trzeciego zabrano na przesłuchania do gestapo jej siostrę Marię. Pytano głównie o ojca, padły też pytania o Rudiego, ale raczej ogólne. Przesłuchania nie trwały długo i nie były brutalne. Najgorsze były noce, które spędziła na pryczy w areszcie śledczym Gestapo. Siedziały później w domu wszystkie trzy, przytulone do siebie, i Maria opowiadała im o tym. Mówiła, że nigdy nie zapomni przepełnionych cel, pełnych ludzi jęczących z bólu. Słyszała, że wielu aresztowanych przewożono do baraków w Szebniach, zamkniętego zeszłej wiosny obozu dla Sowietów, Frontstalagu²⁷. Przywozili ich stamtąd tylko na przesłuchania.

Mama była wystraszona. Pamiętała swój pobyt w gestapo, ale z tego, co mówiła Maria, warunki pogorszyły się, areszt był przepełniony. W następnych dniach nic się nie działo, ale Zofia miała już swoją teorię. Przesłuchania Marii też nie miały żadnego sensu. Z zadawanych jej pytań wynikało, że chciano ją tylko postraszyć, a nie czegoś się od niej dowiedzieć. To musiał być ciąg dalszy planu Gentza, który teraz wydał się Zofii przejrzysty. Nie chodziło o żadne informacje: on chciał dostać ją, Zofię.

Czuła wyrzuty sumienia, że natychmiast nie zareagowała na wyraźne ostrzeżenie, jakim było przesłuchanie Marii. Postanowiła, że zrobi to na pewno, jeśli wezwą jej matkę. Zofia odczekała jeszcze jakiś czas, jednak w połowie lutego czterdziestego trzeciego roku zdecydowała się poprosić o wizytę u starosty. Dla dodania sobie animuszu i pewności w rozmowie z urzędnikami pożyczyła z szafy mamy piękną garsonkę, lekko wydekoltowaną bluzkę i najlepsze futro. Było delikatne, lekkie, prawie zwiewne. Przyszła tylko po to, by poprosić o termin wizyty, więc nawet nie zdjęła wierzchniego okrycia, czekając w sekretariacie. Nie wiedziała o tym, że Gentz jest w urzędzie. Sekretarz, zamiast podać jej termin, zadzwonił i zapytał szefa, czy zna i kiedy może przyjąć niejaką Zofię Kaczkowską. Ku zaskoczeniu sekretarza starosta poprosił, aby weszła. Teraz. Młody człowiek wstał i otworzył drzwi, ustępując jej miejsca.

Gentz podniósł wzrok sponad dokumentów, które właśnie czytał. Przyglądał się jej bez słowa, długo. Wyglądała zjawiskowo. Czarne, szerokie i długie futro okrywało jej sylwetkę, ale było wyjątkowo lekkie, lejące się i podkreślało dyskretnie linię jej bioder. Na głowie miała futrzaną pasującą do futra czapkę. Gdyby minął ją na ulicy, spieszącą dokądś, może nie zwróciłaby jego uwagi. Ale teraz szła prosto na niego, naturalnie lekko kołysząc biodrami. Życzył sobie, aby ta droga od drzwi do jego biurka była dłuższa, by miał czas napatrzeć się na nią. Tak wygląda prawdziwa, godna pożądaną dama.

– *Guten Tag, Herr Doktor Gentz.* – Stała znowu przed nim, ale tym razem bardziej pewna siebie niż ostatnim razem.

Jak każda atrakcyjna kobieta potrafiła ocenić wrażenie, jakie wywarła na mężczyźnie. Była pewna, że teraz jej się to udało.

– Proszę, niech pani spocznie. Czym mogę służyć? – Wyszedł zza biurka, lekko odsuwając dla niej krzesło. Powiedział to z wyjątkowym jak na niego uśmiechem.

Nogi jej drżały, więc podziękowała i szybko usiadła. Nie spodziewała się rozmowy z Gentzem. Nagle zrobiło jej się gorąco. Lekko rozchyliła kołnierz futra, co nie uszło uwadze starosty. Krzesło przeznaczone dla petentów było celowo niższe od poziomu fotela starosty, tak że on zawsze patrzył z góry na swoich interesantów. Teraz stojąc, miał otwarty widok na jej dekolt.

Zofia nie zauważyła, że futro zsunęło się jej z kolan, pokazując zgrabne nogi. On natychmiast uchwycił to wzrokiem. Przez dłuższą chwilę milczeli oboje. On ją obserwował, a ona szukała słów, chociaż już wczoraj przetrenowała je w domu.

– *Herr Doktor* Gentz, z tego, co mogłam zaobserwować, to przesłuchania mojej siostry przez Gestapo, prawdopodobnie na pańskie polecenie, nie są brutalne. Chciałam panu za to podziękować. Doceniam, że nie chce pan ujawniać mojej tajemnicy. Zrozumiałam też, jaką posiada pan władzę, że to pan decyduje tu o wszystkim. Nawet o życiu i śmierci. Ale wiem i doceniam, że jest pan człowiekiem honoru, dżentelmenem. Dziękuję jeszcze raz. Bardzo zależy mi na tym, aby moja rodzina nie dowiedziała się o tym, że pana o to proszę. Zwłaszcza moja matka. Nie chcę, aby cierpiała. – Mówiła spokojnym, opanowanym głosem, chociaż jej serce biło tak silnie, że obawiała się, że on też je słyszy.

Słuchał, prezentując jej dobroduszną wersję siebie. Jego taktyka zadziałała. Zofia zmiękła. Nie komentował, był ciekaw, co i jak mu teraz zaproponuje.

– *Herr Doktor*, przejdę do rzeczy. Wiem, że jest pan człowiekiem światłym, zna się pan na pięknie, architekturze. Uświetnił pan nasze miasto. Jest pan też koneserem sztuki. Mam dla pana propozycję. – Zrobiła krótką pauzę, by sprawdzić jego reakcję.

– Tak, słucham. – Teraz uśmiechał się do niej porozumiewawczo, pożądliwie. Po tym ciekawym wstępie nie domyślał się jeszcze, jak ona przejdzie teraz do sedna sprawy.

– Jestem w posiadaniu pewnego obrazu. Niezwykle cennego obrazu. Chciałabym podarować go panu na znak mojej wdzięczności za zostawienie w spokoju mnie i mojej rodziny – wykrztusiła.

Nigdy wcześniej nie dawała nikomu łapówek, nie wiedziała, jak ubrać to w słowa. Tego człowieka o sławie szatana nie chciała urazić.

Gentz zrobił niewyraźną minę, jakby oczekiwał czegoś zupełnie innego. Za chwilę opanował się i zapytał sucho:

– I co to za cenny obraz?

Zofia nie miała doświadczenia w takich rozmowach, ale była świadoma, że to nie są pertraktacje, w których obie strony mają równe szanse. Czowała, że jeśli zacznie robić uniki, kręcić czy też postawi jakiegokolwiek warunki, wszystko może skończyć się bardzo szybko. A później, podczas przesłuchania przez Gestapo, i tak mu wszystko powie. Dotychczas rozegrała swoją kartę najlepiej, jak mogła, ale przyszedł czas odkryć wszystkie pozostałe.

– Ojciec zostawił mi autentyczny autoportret Rembrandta.

Zapadła cisza. Starosta patrzył na nią z miną pokerzysty.

– Jest pani pewna? Co do autora obrazu? – zapytał.

– Bez wątpienia, był sprawdzany przez specjalistów z Krakowa. Był wystawiany oficjalnie, tutaj w starostwie. Proszę sprawdzić. Bez trudu znajdą się tu, w archiwum, jakieś dokumenty czy nawet zdjęcia – powiedziała Zofia.

Znowu zapadła krępująca cisza, aż po krótkim namyśle Gentz odezwał się z szerokim uśmiechem:

– Proszę przynieść go jutro. Tutaj, bezpośrednio do mnie. Jutro, o siódmej wieczorem. Nikt nie musi pani widzieć.

²⁶ Wejść!

²⁷ Obóz dla więźniów wojennych.

ROZDZIAŁ 35

Jasło

gabinet starosty

luty 1943 r.

Następnego dnia, zaraz po załatwieniu najbardziej pilnych spraw, starosta wezwał do siebie Klugego. Antoni zauważył, że szef jest w dobrym nastroju.

– Słuchajcie, Kluge, nie pamiętam już, skąd to mam, ale słyszałem, że moi polscy poprzednicy urządzali tu w mieście spotkania kulturalne, nawet wystawy obrazów – powiedział jakby mimochodem. – Pozostały po tym jakieś świadectwa? Fotografie, raporty?

– Tak jest, panie starosto. Ostatnia, jaką pamiętam, była w roku trzydziestym siódmym. Zorganizował ją, przy mojej skromnej pomocy, Juliusz Marossanyi. To było niedługo po tym, jak Stanisław Witkiewicz, Witkacy, namalował portret jego córki. Starosta osobiście poprosił wtedy co zaciejszych mieszkańców miasta, aby użyczyli na tę wystawę swoje dzieła sztuki. Chciał uczynić z tego prawdziwe wydarzenie. Zaprosił na nie też gości z Krakowa. Zaraz przyniosę tę teczkę, gdzieś ją niedawno widziałem – dodał i wyszedł.

Wrócił za niecałe pięć minut, otworzył teczkę i rozłożył zdjęcia na stole konferencyjnym. Oprócz wielu fotografii gości były też zdjęcia wszystkich prawie pięćdziesięciu eksponatów. Opisane i udokumentowane, razem z naklejką i numerem obrazu. Gentz po kolei dokładnie obejrzał zdjęcia. Jego uwagę zwróciło tylko kilka pozycji: numery jedenaście, siedemnaście, dwadzieścia dwa i czterdzieści dwa. Poprosił Antona o listę eksponatów, na której wymienieni byli także właściciele obrazów. Okazało się, że właściciel obrazu o numerze siedemnastym był anonimowy; eksponat był opatrzony notatką, że pracę „wypożyczono ze zbiorów prywatnych”. Właścicielem pozostałych trzech obrazów, które zainteresowały Gentza, okazał się niejaki doktor Stanisław Jawor.

– Ciekawe obrazy. Znacie tego Jawora? – zapytał Gentz.

Kluge był zdziwiony, że szef nie pyta o właściciela eksponatu numer siedemnaście, autoportretu Rembrandta, który był najcenniejszą pozycją tej wystawy. Nie tylko on, także kilku innych pracowników starostwa było zaangażowanych w organizację wystawy, i niektórzy pewnie wiedzieli, że właścicielem Rembrandta był Adolf Kaczkowski. Ale gdy przypomniał sobie o młodej Kaczkowskiej, którą wezwano do starostwa, wszystko stało

się jasne. Szef musiał się dowiedzieć wcześniej, nie musiał więc pytać o eksponat numer siedemnaście.

– Tak, doktor Jawor to miejscowy lekarz. Już nie praktykuje, jeśli dobrze pamiętam, wyjechał z Jasła, gdzieś pod Warszawę. Ale jego córka, Anna Jawor, wciąż chyba tu mieszka – dodał.

– No to zaproście ją do mnie do starostwa – rzucił Gentz. Zachował zdjęcia obrazów, które go zainteresowały, a resztę kazał Antonowi zabrać.

Dzień minął staroście szybko. Lubił swoją pracę, podejmowanie szybkich decyzji, które musiały być przez jego współpracowników równie szybko i precyzyjnie wykonywane. Kochał to poczucie władzy i sprawczości. Był z siebie zadowolony; pomału, ale sukcesywnie zmieniał tę prowincję w dobrze funkcjonujące niemieckie miasto.

Zofia poprzedniego dnia wieczora wyniosła pakunek z obrazem Rembrandta do szopy, aby po zmroku móc go wynieść, nie rzucając się w oczy domownikom. Nie mogła prosić nikogo o pomoc, musiała nieść przez miasto ten obraz sama. Na szczęście nie było daleko, jakieś czterysta metrów. Bała się tego spotkania. Nie mogła liczyć na żadne gwarancje, ona mu po prostu podaruje ten obraz, licząc na jego dobrą wolę. Nawet nie na jego słowo, bo on jej go nie dał. Czy uda jej się go przekonać do tego dzisiaj? Stwierdziła, że zrobiła błąd, prowokując go swoim wyglądem, ale przecież nie spodziewała się go spotkać. Tym razem ubrała się bardzo skromnie. Zamiast futra włożyła płaszcz.

Kiedy punktualnie o siódmej wieczorem zjawiła się w starostwie, strażnik na dole zapytał nieufnie, kim jest i co ma w pakunku. Gdy powiedziała swoje nazwisko, kiwnął tylko głową na znak, że jest oczekiwana. Weszła na górę i zapukała do drzwi.

– Wejść – usłyszała głos starosty dobiegający zza ciężkich drzwi.

On już na nią czekał, wyszedł zza biurka. Światło było przytłumione. Jedynie nad biurkiem paliła się silna lampa. Wielki stół konferencyjny był nakryty jak do kolacji. Na białym obrusie, obok wypełnionych zimnymi przekąskami półmisek i dwóch butelek wina, ustawione były talerze, kieliszki i sztucce. Dla dwojga.

– Dobry wieczór, panie starosto! Zgodnie z umową przyniosłam obraz – powiedziała onieśmielona, rozglądając się i widząc, na co się zanosí. Przekazała mu pakunek, który Gentz niespiesznie położył na biurku.

– Pozwoli pani, że pomogę – powiedział Gentz, sięgając po jej płaszcz, na co niechętnie, z wahaniem, ale się zgodziła.

Nie chciała go drażnić. Mieli dobić targu, a jeśli go zdenerwuje, wszystko mogło skończyć się gorzej. Przecież tutaj w biurze nic jej nie robi. Nawet jeśli usiądzie i coś z nim zje. W końcu musieli to omówić. On miał jej obiecać, że zostawi ją i jej rodzinę w spokoju. To szalenie, ale jednak cywilizowany człowiek, z dobrymi manierami.

– Nie jestem odpowiednio ubrana na taką okazję. Nie oczekiwałam... – zaczęła się tłumaczyć, nie wiedząc, jak się wyplątać z niezręcznej sytuacji.

– Tak piękna kobieta jak pani jest zawsze dobrze ubrana. A im skromniej, znaczy im mniej ma na sobie, tym lepiej. – Zaśmiał się, oglądając ją z góry na dół. Patrzył teraz inaczej niż przy poprzednich spotkaniach. Pożądliwie, lubieżnie. Zauważyła, że był już po wpływem alkoholu.

Rzucił niedbale jej płaszcz na stojącą obok kanapę, a ona przysiadła na krześle przy biurku, na którym leżał teraz obraz.

– Ach tak, obraz. Zobaczmy to arcydzieło – powiedział to tak, jakby dopiero sobie o nim przypomniał.

Rozciął sznurek i rozerwał opakowanie z szarego papieru. Gdy wyłonił się obraz, przyjrzał mu się chwilę. Nie zrobił na nim większego wrażenia. Dopiero gdy podszedł z nim pod silne światło lampy, obraz ożył, ukazując grę kolorów, światła i cieni. Niedościęgnięte mistrzostwo autora tego dzieła. Gentz obrócił płótno i gdy rozpoznał na rewersie znany mu ze zdjęcia inwentarzowy numer eksponatu z wystawy, zadowolony odłożył obraz ostrożnie na biurko.

– No to załatwione. Siadajmy. Zapraszam – powiedział, wskazując na zastawiony stół.

– Przepraszam, panie doktorze, czy pan może mi przyrzec, że dopełni zawartej między nami umowy? – zapytała niepewnie, nie ruszając się z miejsca.

– Droga pani, jest pani mądrą i inteligentną kobietą, jednak widać, że rzadko robi pani interesy. Oczywiście, że przyrzekam, ale czy pani nie wie, że interes nieoblany nie jest zawarty? On po prostu nie nabiera mocy, nie ma skutków prawnych. A może mi pani wierzyć, że na tym się znam: jestem doktorem nauk prawnych. – Zaśmiał się głośno i pociągnął ją za rękę.

Może niezbyt mocno, ale nie było to przyjemne. Ostrożnie, lecz zdecydowanie uwolniła rękę i niechętnie poszła za nim. Odsunął jej krzesło, na którym miała spocząć, i nie czekając, aż zajmie miejsce, przeszedł na drugą stronę stołu. Zapytał, na jakie wino ma ochotę, a gdy niezdecydowanie wzruszyła ramionami, wybrał jakąś francuską markę, o której słyszała, ale teraz nie przywiązywała do tego najmniejszej wagi. Gentz napełnił kieliszki i wzniosł swój, patrząc jej w oczy.

– Droga pani, Sofia. Mogę się tak do pani zwracać, prawda? Piękne imię. Czy wie pani, że słowo filozofia pochodzi od *sophia*? *Phileo* i *sophia*. Umiłowanie mądrości. A pani jest nie tylko mądrą, ale i piękną kobietą. Zakochałem się w pani, gdy ujrzałem panią tu pierwszy raz. A pani? Jest pani rozwódką, a ten łajdak Rudolf, jak mu tam, dawno już o pani zapomniał. Na pewno niełatwo pani teraz, samej...

– Panie doktorze, dziękuję za komplementy, ale jeśli tylko pan dotrzyma danego mi słowa, słowa człowieka honoru, jakoś sobie poradzę – przerwała mu.

To mu się wcale nie spodobało.

– Każda, szczególnie tak piękna kobieta jak pani potrzebuje pomocy, silnej męskiej ręki. Proszę mi wierzyć, że jestem silny. Jaką wspaniałą parą bylibyśmy we dwoje. – Wydawało się, że wierzy w to, co mówi. Jego zamglone oczy patrzyły na nią jakby z tęsknotą. Opróżnił swój kieliszek z winem. Gdy jednak zauważył, że ona ledwie zanurzyła usta, wrócił do realiów.

– Pani Sofia, proszę, umowa wchodzi w życie, gdy jest obficie zakropiona. Proszę wypić. Do dna – nie odpuszczaj.

Zdesperowana Zofia pomyślała, że od jednego kieliszka świat się nie zawali, i z trudem wypija go do dna. Twarz Gentza rozpromieniła się. Napełnił powtórnie jej i swój kieliszek.

– Za nasze zdrowie i naszą wspólną przyszłość. *Eins ist keins*, zna pani to powiedzenie? Następnego, do dna – zachęcał, przechodząc na jej stronę stołu.

Znała to powiedzenie, które znaczy tyle, co „jeden się nie liczy”, ale już czuła, co przyjdzie potem. Pewnie coś w stylu „do trzech razy sztuka”. Jasne, że chciał ją upić. Gwałtownie wstała, by odejść od stołu. Ale on stał za nią i nie pozwolił jej przejść obok siebie. Objął ją i zaczął całować. Był od niej wyższy i znacznie silniejszy.

Zaczęli się szamotać i w rezultacie wylądowali w drugim końcu pokoju, przy kanapie z fotelami.

– Po co się bronisz? Przecież chcesz tego tak bardzo jak ja! Jesteśmy dla siebie stworzeni. Zapewnię ci życie, o jakim nigdy nie marzyłaś. U mojego boku będziesz królową – sapał, rozrywając jej bluzkę.

Gdy próbowała krzyknąć i siłą go od siebie odepchnąć, uderzył ją w twarz. Zaciśniętą pięścią. Trafił gdzieś w okolice oka. Strasznie zabolowało, świat zawirował i bezwładnie padła na stojącą obok sofę. Gentz stał oniemiały, jakby zaskoczony tym, co się stało. W końcu machnął ręką, rozpiął jej spódnicę i ściągnął ją gwałtownym ruchem. Później niecierpliwie rozerwał halkę i majtki. W końcu trzasnęły spinki od biustonosza. Oszołomiona nie wiedziała, co się stało, dostrzegała go jak przez mgłę. Stał nad nią i zdejmował spodnie.

– Rozpalasz mnie, pokazujesz dekolt, nogi, a teraz cnoty bronisz? Nie mów, że nie chcesz! Rozkładaj nogi. Pokażę ci, jak odzwyczaić uliczną sukę w rui od ogłupiania rasowych chartów. Dogodzę ci tak, że odechce ci się kokietować, ogłupiać szanowanych obywateli. Będziesz błagała, abym skończył... – Gwałtownym ruchem obu rąk rozłożył szeroko jej nogi i rzucił się na nią.

Oprzytomniała, gdy poczuła przejmujący ból. Zebrała siły, aby podnieść głowę. Wtedy uderzył ją jeszcze raz. Tym razem silniej i trafił w nos. Pewnie go złamał, bo mimo przejmującego bólu poczuła lepką ciepłą krew ciekącą po twarzy i szyi. Straciła przytomność. Doszła do siebie, gdy Gentz skończył i powoli zwałóknął się z niej. Stał nad nią i przez jakiś czas obserwował, czy oddycha. Potem zaczął się ubierać, wciąż na nią patrząc.

– Głupia kurwa! Widzisz, co z tego masz? Jak ty wyglądasz? Zwykła dziwka. A brałem cię za damę! Mogłaś mieć ze mną raj na ziemi – mamrotał pijany.

Gdy zobaczył, że próbuje otworzyć oczy, schylił się.

– Wynocha. Audiencja skończona! I żebym cię już tu nigdy więcej nie widział! – wrzasnął jej w twarz.

Kiedy się ubrał, schował obraz Rembrandta do szafy i zamknął go na klucz. Wtedy przypomniał sobie, że jeszcze nic nie jadł. Usiadł za stołem, nalał sobie czerwonego wina i zaczął jeść. Od czasu do czasu rzucał na nią okiem. Zofia leżała wciąż na sofie i płakała. Czekał, aby ta dziwka wyniosła się z jego gabinetu i nie psuła mu nastroju. Wreszcie nie wytrzymał i pomógł jej w tym.

Antoni Kluge miał wyjątkowo długi dzień. Był już spóźniony z napisaniem raportu z inwentaryzacji i rozliczeń za rok tysiąc dziewięćset czterdziesty drugi, które przed dwoma tygodniami już powinien wysłać do Krakowa. Niestety szef nie przekazał mu jeszcze faktur za libacje, które on musiał zgłaszać jako ważne konferencje i seminaria.

Było już dobrze po ósmej, gdy zamknął gabinet i ruszył ku schodom. Na korytarzu panował mrok. Paliła się tylko słaba żarówka przy schodach. Niespodziewanie drzwi gabinetu starosty otworzyły się na oścież, z hukiem. Pomieszczenie było dobrze oświetlone, więc widział wszystko jak na dłoni, samemu stojąc niewidoczny w mroku. Najpierw zobaczył Gentza, który prowadził, a właściwie ciągnął kogoś pochylonego, za kołnierz, w kierunku wyjścia. To była kobieta. W strzępach bielizny. Gdy wyszedł za próg, popchnął ją tak, że ledwie zachowała równowagę. Następnie rzucił za nią, na podłogę, jakieś rzeczy, chyba spódnicę i płaszcz. Później, bez słowa, zatrzasnął drzwi.

Na korytarzu zapanowała cisza. Ani Kluge, ani nieznana mu kobieta nie poruszyli się. Po chwili spoza grubych drzwi gabinetu szefa zabrzmiały pierwsze tony *Tristana i Izoldy*, dramatu muzycznego Wagnera. Gentz, podobnie jak Hitler, był miłośnikiem Wagnera.

Teraz Kluge usłyszał cichy jęk kobiety. Jego oczy były już przyzwyczajone do mroku. Ostrożnie podszedł do drzwi i rozpoznał Zofię Kaczkowską. Najpierw po futrzanej czapce, w której niedawno ją widział. Twarz miała zalaną krwią, prawe oko było silnie opuchnięte.

– Boże, co się pani stało? – zapytał, ale patrząc na nią, mógł domyślić się, co się wydarzyło. Słyszał o ekscesach szefa, ale nigdy nie widział żadnej z jego ofiar z bliska.

Jej twarz i piersi były we krwi, bielizna w strzępach. Pomógł jej włożyć spódnicę i płaszcz, a następnie powoli, bardzo powoli, zeszli na parter i wyszli na ulicę. Wiedział, że mieszkała niedaleko, niedawno przecież sam wyszukał jej adres. Otulona płaszczem nie robiła już na przechodniach tak mocnego wrażenia jak na nim przed chwilą.

Kluge trzymał ją mocno pod rękę. Gdy wyszli z budynku, skręcili na lewo i ostrożnie szli po zasypanym śniegiem rynku. Myślał o tym, jak bardzo nienawidzi swojego szefa,

i o dobrych dawnych, przedwojennych czasach. Nie przyjaźnił się z mecenasem Kaczkowskim, ale znali się. Pamiętał, że na początku jego służby w Jaśle starosta Zoll wydał bankiet, na który przybył także Kaczkowski z rodziną. Towarzyszyły mu dwie córki, rozbawione nastolatki, szczęśliwe. Pamiętał je i później, gdy już był dorosły. Jedną z nich była Zofia. Boże, co stało się z tamtym światem, kiedy ludzie potrafili żyć obok siebie w zgodzie i pokoju?

Szli bardzo wolno. Na ulicach było już pusto, więc nikt nie zauważył, że spod długiego płaszcza na zaśnieżony chodnik spadały nieduże krople krwi. Tylko Zofia wiedziała, jak mocno Gentz ją zranił. Do jutra śnieg zatrze wszystkie ślady. Ale czy starosta dotrzyma umowy?

ROZDZIAŁ 36

Jasło–Szebnie

marzec–czerwiec 1943 r.

Przez następne trzy tygodnie Zofia nie opuszczała swojego pokoju. Matce i siostrze powiedziała jedynie, że została napadnięta i nie chce o tym rozmawiać. Takie napady zdarzały się w mieście, obie kobiety rozumiały, jak wielka to dla niej trauma, i nie chciały pytaniami zadawać jej jeszcze więcej bólu. Tylko czas mógł pomóc. Dbały więc tylko o nią, jak potrafiły. Mijały dni i ślady na twarzy powoli zaczęły zanikać. Z wyjątkiem ledwie zauważalnego garbu na grzbiecie nosa. Maria, młodsza siostra, próbowała ją pocieszyć, że taki nos nadaje jej bardziej inteligentny wygląd, ale nikomu nie było do śmiechu.

Gentz próbował poradzić sobie z rozczarowaniem na swój sposób. Nie umiał, a pewnie też i nie chciał przyznać, że był to zawód miłosny. Leczył więc zranioną dumę tak, jak wydawało mu się najbardziej skutecznie: spędzał ciągnące się zimowe wieczory samotnie, w towarzystwie muzyki Wagnera i butelki koniaku. Był realistą, nie liczył na wzajemność uczuć. Nie traktował więc odmowy jak kosza, odrzucenia jako mężczyzna, raczej jako niesubordynację, sprzeciwienie się jego woli.

Wiedział też, że po tym, co jej zrobił, nie potrafi już tego zmienić. Musiał się pogodzić z tym, że piękna Zofia Kaczkowska nie będzie towarzyszyć mu w wyjazdach do Krakowa i nie spędzą wspólnych romantycznych wieczorów w kawiarenkach przy Adolf-Hitler-Platz²⁸. Nie pójdą do kinoteatru Scala²⁹ dostępnego *nur für Deutsche*, tak jak i do kawiarni, na przykład Feniks albo Literatisches Kaffehaus. To go bolało. Odczuwał to podobnie jak w latach gimnazjalnych w klubie jachtowym, jako utraconą nagrodę, puchar, o którym marzył: jeśli on go nie wygrał, wolał go zniszczyć, by nikt inny też nie mógł się nim cieszyć.

Popełnionym gwałtem nie zajmował sobie głowy, bo nic się przecież nie stało; wyszła z jego gabinetu o własnych siłach. No prawie. Bardziej zmartwiły go plamy krwi, jakie ta kobieta zostawiła na jego sofie, na której przyjmował zacnych gości. Ale okazało się, że zeszły, prawie bez śladu. W każdym razie nie rzucały się w oczy na wzorzystym aksamitnym materiale. Ważniejszym, bo nierozwiązanym problemem związanym z tym incydentem – tak teraz myślał o spotkaniach z Zofią – było zachowanie w tajemnicy prezentu, który mu przekazała. Byłby nawet skłonny dotrzymać warunków umowy, ale

jednak zawsze lepiej jest zatrzeć po sobie wszystkie ślady. Bo może kiedyś, nawet dużo później, ona się rozgada, i po co mu problemy? Oprócz niej nie miał żadnych świadków, czyli należało dyskretnie się jej pozbyć.

Ten rok niezbyt dobrze się zaczął. Walter Gentz wciąż pełnił funkcję starosty tylko komisarycznie. Nie miał nominacji, która powinna była już dawno przyjść z Berlina, a z nią wiązało się też wyższe uposażenie. Na początku stycznia jego poprzednik na stanowisku starosty w Jaśle, doktor Ludwig Losacker, został mianowany prezydentem urzędu administracji Generalnej Guberni i zaczął wprowadzać swoje porządki. Niby byli ze sobą w dobrych stosunkach, a jednak Gentz miał wrażenie, że Losacker zbyt wiele o nim wie, jakby miał wtyczkę w jego urzędzie. I właśnie od czasu, gdy Losacker znalazł się w Krakowie, zaczęły się problemy z oficjalną nominacją Gentza na funkcję starosty. Jak się dowiedział, to doktor Bühler, sekretarz stanu, znowu odłożył nominację *ad acta*. W Krakowie dowiedziano się bowiem, że w tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku Gentz brał osobiście i aktywnie udział w egzekucjach Żydów. A to nie było ani zadaniem, ani obowiązkiem starosty, lecz policji. To mogło kosztować go nawet utratę stanowiska.

Dotychczas nikogo to nie obchodziło, jednak teraz Losacker podobno podał tę informację do wydziału personalnego. Ktoś musiał donieść Losackerowi, a ten szukał na niego haka. Kto mógł być kretem? Gestapo?

Jakiś miesiąc po ostatniej wizycie Zofii w jego gabinecie Gentz postanowił zakończyć sprawę Kaczkowskiej ostatecznie i profesjonalnie. Zdecydował się zadzwonić do bursy. Jasielska bursa, budynek internatu Miejskiego Gimnazjum Męskiego, w maju czterdziestego roku zmieniła swoje dotychczasowe przeznaczenie. Szkoły zostały zamknięte przez Niemców, a w bursie miało obecnie swoją siedzibę tutejsze Gestapo. Niebawem dla ludzi z Jasła i regionu nazwa „bursa” znaczyła dokładnie tyle, co dla mieszkańców Warszawy „Szucha”. Wszystkich aresztowanych, także wszystkich przebywających w jasielskim więzieniu, dowożono właśnie tam na przesłuchania. Służyły do tego cztery niewielkie cele piwniczne. Gentz poprosił sekretariat o połączenie go z komisarzem kryminalnym SS-Hauptsturmführerem Wilhelmem Raschwitzem, szefem tutejszej placówki Gestapo.

Po krótkiej grzecznościowej rozmowie – Gestapo nie podlegało starostwu – Gentz zaprosił Raschwitza do siebie na prywatną rozmowę.

Po południu sekretarz zaanonsował staroście, że SS-Hauptsturmführer czeka. Gentz przyjął go, wychodząc naprzeciw, do samych drzwi, witając go jak wyjątkowego gościa. Raschwitz czuł się zaszczycony, bo znali się dotąd z widzenia, a w starostwie wcześniej był służbowo raz czy dwa, nigdy nie był tu osobiście przyjmowany. Raschwitz dobrze wiedział, że starosta utrzymuje bardzo bliskie stosunki z jego szefem z Krakowa, Julusem Schernerem, dowódcą SS i policji w dystrykcie krakowskim.

Starosta poprowadził gościa w kierunku kąciaka wypoczynkowego i zaproponował miejsce na sofie.

– Miło pana widzieć. Proszę się rozgościć. Może kieliszek koniaku? Właściwie mamy już prawie koniec pracy. – Gentz zaśmiał się i sięgnął za siebie, po przygotowaną butelkę i kieliszki.

Nieco sztywny gość uśmiechnął się i skinął głową.

– Wasze zdrowie, *Herr Hauptsturmführer*. Mój dobry przyjaciel, a pański szef, Julian Scherner, będzie teraz u nas w Jaśle regularnym gościem, to i my się częściej będziemy widywać. Jak pan wie, przejmie on ten stary Frontstalag, ale już do nowych celów i pod nową dumną nazwą: Der SS und Polizeiführer in Distrikt Krakau, Zwangsarbeitslager Szebnie³⁰ – powiedział z patosem Gentz, podkreślając przyjacielskie stosunki z Schernerem.

– Tak jest, panie starosto. Najwyższy czas. Nasze więzienie, nie mówiąc już o niewielkim areszcie w bursie, pęka w szwach. Korzystamy już z tego obozu, ale dobrze, że teraz zostanie wreszcie poprowadzony przez naszych specjalistów – dodał i wychylił kieliszek do dna.

Gentz zastanawiał się, jak przedstawić swój problem, aby został należycie rozwiązany, a jednocześnie nie postawić siebie w złym świetle i przez to stać się w jakimś stopniu zależnym od Raschwitza.

– Chciałem się pana poradzić w pewnej sprawie. Czy znany jest panu niejaki Adolf lub Aaron Kaczkowski? – zadał pytanie, aby zbadać najpierw teren.

– Tak, to poszukiwany przez nas Żyd, prawdopodobnie uciekł do Lwowa. Przesłuchiwalismy już jego żonę, ale niczego konkretnego się nie dowiedzieliśmy – odpowiedział szef Gestapo.

– Właśnie. Mam taką męską sprawę... miałem coś z jego córką, Zofią. Rozumie pan. Nie chciałbym, aby to się rozeszło. Wie pan, jakie są żony... – Zawiesił głos, czekając na reakcję gościa.

– Ach, tym proszę sobie nie zawracać głowy, załatwimy to szybko – przerwał mu Raschwitz, rad, że w tak prosty sposób może być pomocny staroście. – Taki romansik każdemu się może przydarzyć, a nie daj Boże, by kobieta się o tym dowiedziała. Mam takiego, który załatwi to natychmiast. Były podoficer Wojska Polskiego, który przeszedł na naszą stronę. Polacy boją się go bardziej niż diabła. Podczas przesłuchań wychodzi z niego bestia. Szczerze mówiąc, ordynarny drab, i do tego głupi. Ale skuteczny. – Zaśmiał się.

Gentz się skrzywił. Nie dlatego, że zrobiło mu się żal Zofii. Był człowiekiem przewidującym. Nie chciał, by połączono śmierć tej kobiety z nim. Ona teraz powinna zniknąć z miasta, zamilknąć. Ale jeszcze nie na zawsze. A nuż ktoś coś widział albo ona coś wypaplała?

– Powinna, no wiecie... zniknąć. Dyskretnie! Bez stosowania drastycznych metod. To kobieta z dobrego domu, uparta, ale to nie jest zła ani niebezpieczna osoba. Najlepiej, by zniknęła na zawsze dopiero za jakiś czas. Rozumie pan, w naturalny sposób. Ha, ha. – Zaśmiał się.

– Rozumiem, jasna sprawa. Potrzymano ją jakiś czas u nas, a potem wysłano do obozu. Wygód tam nie ma, więc długo nie wytrzyma, szczególnie jeśli jest z dobrego domu. Zakwalifikuje się ją jako członka rodziny zbiega, poszukiwanego przez policję. Chociaż przepisy mówią, że i sam starosta może orzec wysłanie do obozu. Podobnie jak policja, urząd pracy czy sąd. Nie ma sprawy. Poradzimy sobie.

– Pańskie zdrowie! Nawet pan nie wie, jak mi pomógł. Nie ma nic ponad spokój w rodzinie. – Gentz nalał następną kolejkę. Hauptsturmführer Raschwitz wstał, nie chcąc nadużywać gościnności starosty. Ucieszył się, że mógł służyć pomocą najważniejszej osobie w powiecie. Kiedyś pewnie nadarzy się okazja, że ten też mu się odwdzięczy.

Już następnego dnia, rankiem, około godziny ósmej pod dom na Piotra Skargi trzynaście podjechały dwa czarne auta. Z pierwszego z nich wysiadło dwóch funkcjonariuszy SD (Sicherheitsdienst). Mundury policyjne z szarej gabardyny, w kolorze feldgrau. Sąsiedzi spoglądający zza firanek nie mogli na pierwszy rzut oka stwierdzić, czy to policja, czy Gestapo. Czarnych mundurów Gestapo używało zwykle tylko podczas oficjalnych uroczystości.

Z drugiego auta wysiadł wysoki, atletycznie zbudowany mężczyzna w cywilu. Już nie było wątpliwości, że chodzi o Gestapo. Każdy, przynajmniej ze słyszenia, znał ich tłumacza Teodora Drzyzgę, któremu jak zawsze towarzyszył agresywnie wytresowany wilczur.

Na głośne walenie do drzwi otworzyła Maria. Trzy osoby, razem z psem, bez pardonowo wtargnęły do przedpokoju. Przestraszona Maria wycofała się. Wywołano Zofię, kiedy ona zaskoczona otwierała akurat drzwi od swojego pokoju. Przeprowadzono pobieżną rewizję w jej rzeczach i kazano jej natychmiast się ubrać i pojechać z nimi. Zdezorientowana matka, podtrzymywana przez córkę Marię, stała w otwartych drzwiach, zanosząc się od płaczu. Samochody zniknęły za zakrętem.

Najpierw Zofia trafiła do siedziby Gestapo. Najbardziej obawiała się Drzyzgi, bo słyszała o jego okrucieństwie: płacz czy błaganie o litość nie robiły na nim żadnego wrażenia. Swoim bestialstwem ten Polak przebijał Niemców. Ale jako że dobrze znała niemiecki, usługi Drzyzgi okazały się zbędne. Przesłuchanie prowadził młody funkcjonariusz i na szczęście obyło się bez bicia. Stamtąd przewieziono ją do jasielskiego więzienia, ogromnego gmazyska połączonego z sądem. Spędziła tam prawie dwa miesiące, nie rozumiejąc zupełnie celu zatrzymania, bo na przesłuchania brano ją nie częściej niż raz na tydzień. Oprócz krzyków i przekleństw nie użyto wobec niej siły ani tortur.

W niewielkiej celi, do której ją przydzielono, było z nią razem osiem kobiet. Niektóre nosiły widoczne i świeże znaki tortur; od skóry popękanej od bicia rzemiennymi pejciami

po przypieczone ogniem ciało czy ślady psich zębów. Skatowane, wymarznęte więźniarki przymierały głodem; na śniadanie wszyscy otrzymywali kromkę chleba i kubek niesłodzonej czarnej kawy. Na obiad – talerz zupy z brukwi lub buraków. Na kolację była jedynie kawa. Bez chleba. Brakowało świeżego powietrza, a okien nie pozwalano uchylać. Więźniarki cierpiały na różne choroby, a najczęściej na gruźlicę płuc.

Tam właśnie Zofia poznała Anię Jawor. Pewnego wieczoru wrzucono ją po prostu do ich celi. Leżała u progu, bez ruchu, na zimnej podłodze. Zofia pomogła jej położyć się na zwolnionym akurat miejscu na dolnej pryczy. Jej twarz trudno było rozpoznać. Jak później opowiedziała, po brutalnym pobiciu postawiono ją pod prysznic, gdzie polewano ją na przemian lodowatą i parzącą wodą. Skóra schodziła jej w kilku miejscach. Dziewczyna całą noc drżała, trzęsła się od gorączki i nie wiadomo, czyby przeżyła, gdyby Zofia nie okładała jej mokrym prześcieradłem. Niewiele rozmawiały. W celi mało kto miał ochotę na rozmowy. Zmaltretowane więźniarki starały się dobrze spożytkować nocne chwile spokoju. Ale im było ciszej na zewnątrz, tym większy gwar i wrzask wzmagały się w głowach. W ciągu dnia nie wolno było się kłaść i rozmawiać w grupkach. Strażnicy co rusz zaglądali przez judasz. Większość kobiet modliła się, czego nie zabraniano, jeśli robiły to cicho.

Dni mijały. Po obudzeniu się każdy dzień wydawał się Zofii koszmarem kontynuacją nocnych mar. Wsłuchiwała się w otaczające ją ze wszystkich stron jęki, by każdego dnia od nowa pojąć, że to rzeczywistość. Nie rozumiała, dlaczego się tu znalazła. Po zwolnieniu mamy było jasne, że one nic nie wiedzą o ojcu. Także przesłuchania wydawały się jakąś parodią śledztwa. Pytający krzyczał, straszył, ale robił wrażenie, że nie czeka na odpowiedź. Na szczęście nikt jej nie bił. Gdy powtórzyło się to po raz trzeci, zrozumiała, że to farsa, a jedyną osobą, która byłaby w stanie i miałaby powód, by to zorganizować, był starosta Gentz. Tylko dlaczego ją oszczędzał? Oczekiwał, że zmięknie, podda mu się?

Niedoczekanie twoje! – szczerze, z całego serca nienawidziła tego człowieka! Przymierzała sobie, że szybciej umrze, niż mu się odda.

Pewnego poranka po blisko dwóch miesiącach gehenny więźniarki zbudzono i zakomunikowano im, że część z nich zostanie przeniesiona. Wyczytano kilka nazwisk, wśród nich nazwisko Zofii. Nikt nie wiedział, dlaczego i dokąd jada. Wszyscy stali w oczekiwaniu, ale dopiero za jakąś godzinę skute w pary kajdankami wybrane kobiety wyprowadzono na dziedziniec. Na stojące tam trzy samochody ciężarowe ładowano już kobiety i mężczyzn z innych cel. Wkrótce ciężarówki ruszyły i słychać było tylko płacz i metaliczne pbrzękiwania łańcuchów. Ludzie się dopytywali: dokąd nas wiozą? Czy na egzekucję? Nikt nie potrafił na to odpowiedzieć.

Nie umieli określić, jak długo jechali. Samochody zatrzymały się, podniesiono plandekę. Przy akompaniamencie krzyku esesmanów kazano im szybko wysiadać z samochodów.

– Biegiem, biegiem! Tu nauczycie się, co znaczy praca! – wrzasnął Zofii ktoś prosto do ucha.

Byli na odludziu. Wzdłuż drogi stały rzędem baraki. Cały obóz ogrodzony był wysokim płotem z drutem kolczastym pod napięciem elektrycznym. Na sześciu wieżach siedzieli strażnicy z karabinami maszynowymi. Teren oświetlały reflektory.

Przy wejściu Zofia zauważyła na ogrodzeniu tablicę, na której przeczytała: „Der SS und Polizeiführer im Distrikt Krakau, Zwangsarbeitslager Szebnie”.

Obóz wyglądał, jakby został niedawno otwarty, bo nie wszystkie baraki były jeszcze zapełnione. Ale funkcjonował już całkiem sprawnie. Po tym, jak wszyscy zostali zarejestrowani, przeszli łaźnię, tak zwaną *Entlausung*, czyli dezynfekcję przeciw wszom, otrzymali obozowe łachy. Polacy mieli na plecach dużą czerwoną literę „P”, a na rękawie, na białym płótnie, numer. Wysłano ich do baraku, gdzie blokową była Franciszka Bojda, zakonnica, siostra Honorata. Niezwykle ludzka, ale przede wszystkim odważna kobieta.

Baraki zbudowane były tak, jakby projektowano je jako stajnie dla koni. Okna były niewielkie i wysoko umieszczone, przez co wewnątrz panował półmrok. Każdy blok ogrodzony był płotem z siatki i drutu kolczastego. Bramki w płocie zamykane były na noc na kłódkę. Latryny były oddalone około stu metrów od bloków, więc na noc dla załatwiania potrzeb fizjologicznych przy drzwiach, wewnątrz baraku, stało wiadro. Za łóżka służyły trzypiętrowe prycze. Zofia musiała przyzwyczać się do nowej tragicznej rzeczywistości. Tu była już traktowana bez taryfy ulgowej, na równi z innymi.

Administracja obozu, warsztaty, magazyny, ze stuosobową grupą wewnętrznej policji włącznie, OD-manów (*Ordnungsdienst*³¹) były w rękach Żydów. Kontrolowali ich esesmani i Ukraińcy. Także nadzór nad blokowymi sprawował *Lagerälteste*³², Żyd. OD-mani byli znienawidzeni przez więźniów na równi ze strażnikami ukraińskimi i Niemcami. Wyposażeni w pałki, dla przypodobania się zwierzchnikom, nad wyraz chętnie robili z nich użytek, szczególnie wobec Polaków. Widać, że nie można nadzorować piekła, nie stając się samemu diabłem.

Obozowy rygor obowiązywał wszystkich. Bez względu na płeć, wiek, a nawet stan zdrowia. Pobudka o czwartej trzydzieści; czas na to, by wstać, ubrać się, zaścielić łóżko zgodnie z regulaminem w kant i ustawić się w kolejce po kubek czarnej kawy. O piątej zaczynał się apel, na którym należało stać wyprężonym, choć mógł potrwąć i kilka godzin. Po śniadaniu (około stu gramów chleba i pół litra czarnej kawy) szli do pracy, która trwała do godziny jedenastej czterdzieści pięć. Po obiedzie (około litra zupy; buraki, brukiew, ziemniaki), od trzynastej do dwudziestej znowu praca. Podczas pracy zabronione były nie tylko rozmowy, ale też rozglądanie się, a nawet wyprostowanie.

Nadzorczy cały dzień skrupulatnie notowali przewinienia, a kary wymierzano przy wieczornym apelu. Było to bicie pejcjami lub bezsensowne przenoszenie grubych belek

z miejsca na miejsce. Albo też kara bunkra, gdzie zamykano ludzi na kilka dni w wąskim niskim pomieszczeniu. Bez jedzenia i picia. Około godziny dwudziestej drugiej kończył się dzień pracy.

Najgorsze były „nadzwyczajne apele”, zwoływane nawet z powodu błahego wydarzenia albo nudy strażników. Nocą trzeba było stać na placu apelowym, często w deszczu i zimnie, podczas gdy pijani esesmani bili ich bykowcami i szczuli psami. Kobięcą godność najskuteczniej łamały marsze nago wokół placu apelowego. Czasami, dla urozmaicenia i uciechy strażników, defiladowały przed nimi na czworakach, zupełnie nago.

Po jednym z takich apeli, gdy kobiety już się ubrały, jedna z nich wpadła w histerię, szlochała i głośno krzyczała. Aby uchronić ją przed publiczną karą chłosty „na koźle”, Zofia objęła ją i mocno przytuliła jej twarz do swojego ramienia. Tak udało jej się wytłumić jej krzyki i odprowadzić do baraku. Okazało się, że była to nowa, którą właśnie tego dnia przywieźli z więzienia w Jaśle.

²⁸ Wcześniej i obecnie Rynek Główny.

²⁹ Dzisiejszy Teatr Bagatela.

³⁰ Obóz pracy przymusowej w Szebniach, podlegający dowódcy SS i policji w dystrykcie krakowskim.

³¹ Służba Porządkowa.

³² Starszy obozowy.

ROZDZIAŁ 37

Münster

listopad 2016 r.

Relacja Bartka ze wspomnień córki pani Anny Jawor diametralnie zmieniała spojrzenie Norberta na okres okupacji w Polsce. Nie chodziło o fakty, bo te nie były przecież nowe; w niemieckich szkołach dużo mówiono o tym i do dzisiaj w telewizji regularnie pokazuje się drastyczne filmy z tego okresu. Jednak pierwszy raz nie była to anonimowa relacja: nie tylko losy Zofii, ale też jej plany, marzenia, nawet jej charakter znał na tyle dobrze, że stała się ona mu bardzo bliska. To nie byli bohaterowie filmu, ofiary dramatu znikające z pamięci razem z ostatnimi kadrami.

Po wylogowaniu się z rozmowy z Bartkiem oboje milczeli. Brakowało im po prostu słów, aby do tego, co usłyszeli, jakkolwiek się ustosunkować. Wydawało się to niemożliwe, nierealne. Byli przygnębieni. Bartek ostrzegał, że to nie bajka na dobranoc, i faktycznie długo nie mogli tej nocy zasnąć. Chcieli o tym rozmawiać, ale oboje czuli, że potrzebują więcej czasu, aby nabrać dystansu. Temat był zbyt trudny, by wrócić do niego ot tak, przy okazji.

Minął tydzień, a Norbert wciąż nie miał żadnych wieści od profesora Seiferta. Zaczął się już obawiać o stan zdrowia pani Anne, gdy wreszcie profesor zadzwonił. Zastał go w biurze, w piątek, około dziesiątej rano.

– Dzień dobry, panie dyrektorze. Wydaje mi się, że zdrowie mojej żony się poprawiło. Jeśli ma pan czas, zapraszam do nas dzisiaj lub jutro, na przykład na siedemnastą. Na kolację proszę nie liczyć, bo żony nie mogę tym obciążać, a sam nie potrafię nawet poruszać się po kuchni. Mogę zrobić kawę lub herbatę, bo to już opanowałem. Ostrzegam też, że będę przy waszej rozmowie. Na wszelki wypadek. A zresztą to były naprawdę ciekawe czasy, lata naszej młodości – dodał.

– Bardzo dziękuję, panie profesorze. Chętnie, będę o siedemnastej. Jesteśmy jeszcze pod wrażeniem historii, o której opowiedziała nam pewna osoba z Jasła. Tam właśnie Walter Gentz, o którego czasach młodości mi pan opowiadał, pełnił funkcję starosty. Z tego młodego butnego, nieudolnie filozofującego karierowicza wyrósł potwór. Opowiemy przy okazji. Ależ tak, herbata nam w zupełności wystarczy, a ja przyniosę ciasto lub tort – dodał.

– Doskonale, zatem jesteśmy umówieni, dzisiaj o piątej – potwierdził starszy pan.

– Mam tylko jedną prośbę: czy moja żona, Hanna, może przyjść ze mną? Nie chodzi o parytet sił, tylko że ona razem ze mną pracuje nad rozsypłaniem tej zagadki. Bardzo chciałbym, aby zakończenie, to, co najważniejsze, usłyszała bezpośrednio od pańskiej małżonki. Z pierwszych ust, że tak powiem – poprosił Norbert.

Gdy profesor Seifert wyraził zgodę i odłożył słuchawkę, Norbert wybrał numer żony, poinformował o rozmowie i poprosił, aby zajęła się ciastem.

– Okej, będę w domu około trzeciej, przywiozę też kwiaty – dodał i zakończył rozmowę.

Podróż do Münsteru zajęła im ponad półtorej godziny, ale zdążyli na czas. Państwo Seifertowie już czekali, a na stole rozstawione były filiżanki. Starsza pani zajęła wygodne miejsce na kanapie. Mąż usiadł niedaleko niej. Fotele pozostawili dla gości.

– Najlepiej będzie chyba, jeśli zacznę od samego początku, to znaczy od tego, jak Rudolf po powrocie z wojny, z niewoli, szukał Zofii w Jaśle. To tam dowiedział się, że zaginęła. Był pewny, że nie żyje. A później wrócimy znowu do Münsteru, do czasu, gdy się odnalazła. Dzięki niej, oczywiście pośrednio, ja poznałam mojego Stefana – rozpoczęła pani Seifert, spoglądając na męża. – Wszystko to, co wiem o życiu Rudiego i Zofii z czasów, gdy ich nie znałam, to zlepek informacji, które usłyszałam od niej i od niego.

ROZDZIAŁ 38

Jasło

kaplica klasztoru Franciszkanów

przy ulicy Mickiewicza 4

październik 1954 r.

Dopiero po południu słońce wpada tu przez dwa niewielkie okna. Wtedy wewnątrz kaplicy jest najlepiej oświetlone, także figura świętego. Niedawno odbudowana kaplica klasztoru Franciszkanów była teraz, późnym popołudniem, prawie pusta. Rudi siedział tam już ponad godzinę. Wciąż nie rozumiał, co się stało.

Ledwie rozpoznawał miasto, które właściwie całkiem dobrze znał. Mieszkał tu przecież prawie rok. Ale to nie było to miasto, które znał z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego pierwszego. To w ogóle nie przypominało żadnego miasta. Niektóre domy były już prowizorycznie odremontowane. Na tyle, że nadawały się do zamieszkania. Domu, którego on szukał, w ogóle nie było. Mimo wysiłków mieszkańców i lat odbudowy wszechobecne były tu wciąż ruiny i zgliszcza. Nie rozumiał, co się stało. Był żołnierzem, więc wiedział, że tak nie wygląda małe miasto po przejściu frontu. Budynki były wypalone, ale nie jak po wybuchu pocisku czy bomby. Domy wyglądały, jakby były wysadzone w powietrze! Jakby siła uderzenia szła od wewnątrz! W oczy rzucały się sterczące samotne kominy. Ściany leżały u ich stóp jako kupka gruzów. Nic nie rozumiał, a gdy pytał o coś, po niemiecku, ludzie się odwracali. Niektórzy, zwykle ci starsi, byli przestraszeni. Inni patrzyli na niego z odrazą. Dwa razy ktoś splunął mu pod nogi. Dosłownie na buty. Nikt, absolutnie nikt nie chciał z nim rozmawiać.

Długo walczył o to, żeby móc tu przyjechać; najpierw zwrócił się do Niemieckiego Czerwonego Krzyża. Później do polskiego, w Warszawie. Wysyłał pisma urzędowe, starał się o specjalne zezwolenia. Teraz szedł ulicami Jasła, a gdy pytał o coś, ludzie nie zauważali go lub nie chcieli z nim rozmawiać. Nie widział już sensu dalej szukać, ale z dziewczyną z Polskiego Czerwonego Krzyża, z którą przyjechał tu z Krakowa, umówił się dopiero za dwie godziny.

Wtedy przyszła mu na myśl postać, którą ludzie powinni znać. Także jemu kojarzyła się ona nie tylko z jego ukochaną, ale i z tym miastem. Gdy zapytał, jak mógł najwyraźniej, „Święty Antoni?”, zatrzymał się przed nim pochylony starszy pan, spojrzał mu z żalem w oczy i bez słowa, łaską, wskazał na tę właśnie niewielką budowlę. Rudolf rozejrzał się

jeszcze raz po okolicy, by rozpoznać, gdzie się znajduje. Tylko ta część pozostała z kościoła Franciszkanów, który wyglądał, jakby został wysadzony w powietrze. Zauważył jakieś drzwi. Wszedł i okazało się, że jest w kaplicy. Zauważył też figurę Świętego Antoniego.

Przynajmniej na niego zawsze mógł liczyć. Po tym, co widział na wojnie i w rosyjskiej niewoli, dawno już przestał wierzyć, że Bóg istnieje. A jeśli nawet, to był pewnie przepracowany, zdezorientowany, komu ma pomóc w pierwszej kolejności. Miliony próśb o pomoc piętrzyły się. A na zrozumienie tego, co się stało, i karanie winnych na pewno nie miał już czasu.

Rudolf, jeśli w ogóle się jeszcze modlił, to nie do Boga, lecz do Świętego Antoniego. Bo to jego zasługa, że wrócił z wojny żywy. Modlił się, jak umiał, to znaczy siedział na ławce i z nim rozmawiał. Mówił szeptem, ale niektóre słowa, w uniesieniu, wypowiadał głośniej. Miał wiele pytań, najważniejsze było to, gdzie może znaleźć Zofię Kaczkowską. Patron spraw beznadziejnych i rzeczy zagubionych milczał.

Czas mijał i gdy Rudolf podniósł głowę, zauważył, że dwa rzędy przed nim ktoś klęczy. Gdy pochyłona osoba poruszyła się, Rudi zwrócił uwagę na łysinę na czubku jej głowy. Miała dziwnie regularny kształt. Gdy modlący wstał i odwrócił się w jego stronę, Rudi zamarł! Patrzył na niego szeroko otwartymi oczami. W kaplicy było mrocznie, ale rozpoznał go: przed nim stał Święty Antoni. W całej okazałości; czarny habit przepasany białym sznurem z trzema węzłami symbolizującymi trzy śluby zakonne. Choć brakowało mu lilii i dzieciątka...

– *Mein Gott! Swienty Antoni!* – powiedział Rudolf i bezwiednie osunął się na kolana. Tak więc wygląda objawienie! – przeszło mu przez głowę.

– Synu, to ja, ojciec Jakub. Nazywam się Jakub Półchłopek – po niemiecku odpowiedział zakonnik. Skinieniem głowy zapytał o przyzwolenie i przysiadł się na ławce, zajmując wolne miejsce obok Rudolfa.

Ten wciąż patrzył na niego oniemiały. Powoli zbierał myśli. Kaplica klasztorna... czyli to mógł być faktycznie zakonnik, franciszkanin. Głośno odetchnął i znowu zaczął regularnie oddychać.

– Ojczy, co tu się stało? Gdzie kościół? Gdzie jesteśmy? – cicho spytał.

– Widok leżącego w gruzach kościoła budzi we wszystkich grozę. Ludzie klękają do dzisiaj na tych gruzach. W nich odnaleziono prawie nieuszkodzoną rzeźbę Świętego Antoniego. Ściany części mieszkalnej, klasztornej, pozostały na szczęście w dobrym stanie. Tu, w części południowej, urządziliśmy kaplicę i pomieszczenia dla zakonników. Kaplica jest uboga, ale za to prawie zaraz mogliśmy odprawiać tu nabożeństwa – odpowiedział ojciec Jakub.

– A miasto? – zapytał Rudolf.

– Byłem jednym z ostatnich, gdy miasto i tamten piękny neogotycki kościół pod wezwaniem Świętego Antoniego z Padwy jeszcze istniały. Byłem też z pierwszymi, którzy

tu wrócili, gdy front przeszedł. Nie było właściwie do czego. Najpierw, na rozkaz starosty Waltera Gentza, zwanego tutaj Diabłem z Düsseldorfu, wszystkich wysiedlono. W przeciągu trzech dni mieszkańcy mieli opuścić Jasło: od trzynastego do piętnastego września czterdziestego czwartego roku. Każdy wziął tobolek i poszedł. Bez celu. W nieznaną. Tylko toból lub walizkę. Resztę zostawili, bo aby utrudnić zabranie ze sobą większej ilości sprzętu czy majątku, Niemcy urządzali, bezsensowne już w tym czasie, łapanki. A później zniszczono miasto.

Najpierw je ograbiono, następnie kompanie podpalaczy spaliły budynki. Systematycznie, profesjonalnie. A dużą ich część wysadzono. Miny podłożono pod gmachy starostwa, magistratu, Rady Powiatowej, sądu, więzienia, szpitala powszechnego, banku i gimnazjum. Wyszadzono nie tylko nasz kościół, ale też i klasztor Sióstr Wizytek. Trzeba to było widzieć w roku czterdziestym czwartym. Profesjonalna robota. Miasto niszczone praktycznie przez cztery miesiące, precyzyjnie, z dużym nakładem środków wybuchowych. Zniszczono dziewięćdziesiąt siedem procent budynków! Tylko na przedmieściach pozostało kilka nienaruszonych domów. W centrum ocalał jeden budynek. Ten, gdzie kwaterowało Gestapo! Czyżby pracowano tam do samego końca? – zastanawiał się mnich.

– Ale jaki sens miało niszczenie miasta? To nie była akcja militarna, miasto nie stanowiło ani zagrożenia, ani przeszkody. – Rudi przyglądał się mnichowi pełen niedowierzania. Nieufności?

– Proszę mi wybaczyć, ja nie znam na to odpowiedzi. Może pan to wie? To byli przecież pańscy koledzy, żołnierze Wehrmachtu. Wie pan, że wywieziono stąd ponad tysiąc wagonów z dobrami z tej okolicy? Wyposażenie zakładów pracy, materiały, ale też majątek prywatny z domów, których mieszkańców wcześniej stąd wygnano. Były to specjalne oddziały Wehrmachtu, Bergungstrupps. Brzmi szczególnie cynicznie, jeśli przetłumaczyć ich nazwę na polski: „oddziały ratownicze”. Wiem, chodziło o zabezpieczenie resztek „waszych” dóbr przed wrogiem – odpowiedział mnich.

Rudolf milczał. Był na wojnie, wiele widział, ale to, co tu zobaczył, było niepojęte. Chodziło o czystą radość z niszczenia? Zrozumiałby, gdyby zniszczono budynki starostwa, sądu, więzienia; tam były dokumenty obciążające okupanta. Te zawsze niszczyło się zgodnie z rzymską zasadą: *scelere velandum est scelus*³³. Ale komu przeszkadzały szpital, gimnazjum czy prywatne domy?

– Dlaczego? – Rudolf wciąż nie chciał uwierzyć w to, co słyszał, ale widział też na własne oczy.

– Myślę, że tego nikt nie wie. Oprócz Gentza. Odgrażał się, że Polacy nigdy nie wrócą do Jasła. Wrócili, i to już po kilku miesiącach. Ale dlaczego? Niemcy to kulturalny naród, prawda? – zapytał mnich.

– Też tak myślałem – odparł Rudi. – Wojna przemienia ludzi w bestie. Choć nazywano nas narodem poetów i myślicieli, wcześniej już wiedziałem, że nie każdy Niemiec to Schopenhauer czy Goethe. Ale ci ludzie? Czy w ogóle potrafili myśleć samodzielnie?

Światu potrzeba takich ludzi jak ojciec. Ale większość woli jednak tylko niszczyć – odpowiedział Rudolf.

– Synu, wybac, nie mogłem nie słyszeć twojej rozmowy ze Świętym Antonim. Wspominałeś wielokroć Zofię Kaczkowską. Czy jesteś może tym Rudolfem, który mieszkał w jej domu? Na kwaterze?

– Jak to...? Tak, to ja – wyjąkał zdziwiony.

– Znałem ją. Dobrze. Byłem jej spowiednikiem. Rozmawialiśmy, także o tobie. Myślę, że teraz, po tylu latach, mam prawo powiedzieć ci coś o niej. Nie będzie to złamanie tajemnicy spowiedzi, bo jej grzechy, jeśli to były grzechy, znasz lepiej niż ja. Nieraz rozmawialiśmy, czy to grzech kochać żołnierza wrogiej armii. Myślę, że większym grzechem byłoby, jeślibym nie powiedział ci, co się wydarzyło tu po twoim wyjeździe. To dobra dziewczyna i wierząca katoliczka. Biedna, wiele w życiu przeszła... – westchnął ojciec Jakub i zamilkł. Jakby zastanawiał się, czy i jak mówić dalej.

– Ojczy, proszę. – Rudolf patrzył na niego błagalnie.

– No tak. Miasto nie było duże, wszyscy się znali. Także i wśród naszych zdarzały się prawdziwie źli ludzie. Niektórzy wykorzystywali ten trudny czas, wojnę, by wzbogacić się na krzywdzie innych. Na Żydach czy sąsiadach. Inni odczuwali nawet radość z tego, że mogli komuś zaszkodzić. Ot tak, choćby bez sensu i pożytku. Nie wiem, którzy z nich są gorsi. Zosia mi mówiła, że matka ostrzegała, byście byli ostrożni. A jednak ktoś o was wiedział.

– Tak, i co stało się z Zosią? – niecierpliwie zapytał Rudolf.

– Nie wiem dokładnie jak, ale Gentz dowiedział się o waszym romansie, jak też o wystawie malarstwa, tej przedwojennej. Znalazł zdjęcia, które leżały wciąż w archiwum miasta. Oczywiście wiedział, że najcenniejszy obraz, autoportret Rembrandta, należał do Adolfa Kaczkowskiego. I podobno Zosia musiała oddać mu ten obraz, aby ratować matkę i siostrę. – Ojciec Jakub patrzył smutno na Rudolfa.

– Ojciec zostawił go po to, aby mogły się wykupić – powiedział cicho Rudolf i zwiesił głowę.

– Wiem, że Zosia była wzywana do Gentza. Sama mi o tym opowiadała podczas spowiedzi. Nie mogę i nie chcę o tym mówić. A później siedziała w więzieniu. Była przesłuchiwana przez Gestapo. A potem, to było jakoś wczesnym latem czterdziestego trzeciego, Zosia zniknęła. Ktoś mi mówił, że widzieli ją w obozie pracy w Szebniach. To było osławione miejsce. Tam segregowali więźniów, wielu wysłano do Oświęcimia, a stamtąd się nie wracało. Ale ja naprawdę nie wiem, co z nią się stało. Może jej się udało przeżyć. Modlę się, aby się odnalazła...

Rudolf już go nie słuchał. Drżał na całym ciele, oczekując końca opowiadania. Pod koniec wybuchnął płaczem.

– To moja wina. To ja ją zabiłem. Medalik miał chronić ją, nie mnie! – wykrzyknął, szlochając. Rozpiął koszulę i pokazał mnichowi mały srebrny medalik wiszący na jego

szy.

– Tak mi przykro, synu. – Ojciec Jakub objął Rudolfa. Siedzieli tak przez dłuższą chwilę, aż ten się uspokoił. Gdy doszedł do siebie, spojrzął z lekkim zmieszaniem na mnicha, wyprostował się i wytarł resztki łez z twarzy. Nie był to już jednak ten sam zagubiony, zrezygnowany i niepewny siebie człowiek, który przed ponad godziną wszedł do kaplicy. Spojrzął znowu w kierunku figury Świętego Antoniego, ale ojciec Jakub widział, że Rudolf nie zwraca się do świętego z żadną prośbą. Wyglądało raczej na to, że składa mu jakąś przysięgę.

– Rudolfie, a co pan robił przez ten czas? Długo pana tu nie było – zapytał mnich, by odwrócić jego uwagę od bolesnego tematu.

– Wojowałem – odparł, a po namyśle dodał: – Dla nas.

– Dla was? – zapytał zdziwiony mnich.

– Dla Zofii i naszej przyszłej rodziny – powiedział spokojny już Rudolf. Wyjął z kieszeni marynarki pudełko i położył je na pulpicie kłęcznika, na który ludzie zwykle kładą modlitewnik czy śpiewnik. Otworzył je i położył obok siebie dwa krzyże. Mnich nigdy nie widział ich z bliska. Żelazny Krzyż, *Eisernes Kreuz* – pierwszej i drugiej klasy. Ten drugi był z czarno-biało-czerwoną wstążką. Dziwnie wyglądały te niemieckie krzyże, przyznawane za wyjątkowe akty odwagi niemieckim żołnierzom, w polskiej kaplicy klasztornej. Ojca Jakuba nie szokowały, bo wiedział o nich od Zosi i zrozumiał, dlaczego Rudolf mu je pokazał. Rudolf wypełnił swoją obietnicę z nawiązką; przyrzekł przywieźć z wojny Żelazny Krzyż, aby Zofia mogła stać się jego legalną żoną. Aby urzędnicy nie mieli wątpliwości co do jego zasług, przywiózł od razu dwa krzyże.

– Rozumiem. A gdzie pan wojował? – zapytał zakonnik.

– Połtawa, Krematorsk, Słowiańsk. Tam otrzymałem pierwszy Żelazny Krzyż. Drugiej klasy. Najdalej na wschodzie doszedłem do Dimitriewki. Stamtąd przerzucono nas do Bretagne, we Francji. Później znowu Ukraina: Izjum, Nikopol, Kriwyj Rog. Byłem ranny, przewieziono mnie do Niemiec, do szpitala. Później Litwa, na północ od Kłajpedy. Dalej już Łotwa, Windawa. Stamtąd ten Żelazny Krzyż pierwszej klasy. A od kwietnia czterdziestego piątego to już obozy jenieckie: najpierw Ryga, tysiąc dziewięćset czterdzieści sześć Smoleńsk, od czterdziestego ósmego Borisow. Trzynastego października czterdziestego dziewiątego roku zwolniono mnie z sowieckiej niewoli. Od listopada posiadam świadectwo, że nie jestem nazistą, i mogę swobodnie poruszać się po Niemczech. Od razu chciałem tu przyjechać, ale to naprawdę nie taka łatwa sprawa.

– Tak, wcześniej nie mogłeś – przytaknął mnich.

Przez chwilę siedzieli obok siebie, milcząc. Ojciec Jakub wstał, z kieszeni habitu wyjął mały obrazek Świętego Antoniego i podał go Rudolfowi.

– Nie trać nadziei. Jeśli ją naprawdę kochasz i ona żyje, on pomoże ci ją znaleźć – powiedział i go pobłogosławił.

Rudolf podziękował, schował bezwiednie obrazek, zarzucił plecak i pożegnał mnicha ukłonem.

Wyszedł z mrocznej kaplicy na oświetloną słońcem ulicę. Przyglądał się otaczającym go gruzom. Zauważył, że w wielu miejscach na dobre już zadomowiły się trawy i krzewy. Wyrosły nawet całkiem wysokie już drzewka. W odległości około dziesięciu metrów od niego, pod kilkuletnią brzozą, stał i patrzył na niego duży, ale chyba jeszcze młody pies. Machał ogonem. Rudolf uśmiechnął się do niego, jakby zobaczył dobrego znajomego. Zatrzymał się, złożył ręce jak do pacierza i z szacunkiem, nisko ukłonił się zwierzęciu.

Teraz poczuł się znacznie lepiej. Odzyskał siły, jakby teraz właśnie uwierzył, że naprawdę odnajdzie Zofię.

³³ Łac.: jedną zbrodnię przykryj drugą.

ROZDZIAŁ 39

Münster

sekretariat, Gimnazjum Żeńskie

im. Annette-von-Droste-Hülshoff

12 listopada 1956 r.

W ten poniedziałek Rudolf przyszedł do szkoły wcześniej. Martwił się tym, co się dzieje u ciotki w Hanowerze. Miał nadzieję, że się wreszcie odezwała, a jeśli nie, to musi spróbować do niej zadzwonić. Albo będzie musiał tam pojechać; nie daj Boże coś się stało.

– Witam z rana, droga panno Lennart! Pięknie pani dzisiaj wygląda. Jakież wiadomości od mojej cioci? – Dyrektora jeszcze nie było, panna Lennart nastawiła dla niego właśnie wodę na herbatę.

– O, pan Simon. Jak zwykle szarmancki! Dawno pana nie widziałam. Prawie że się stęskniłam. Ale proszę nie wyciągać z tego żadnych wniosków. Niestety, nie mam żadnej wiadomości od pańskiej cioci. – Ich stosunki stały się naprawdę przyjazne. Sztywna stara panna polubiła miłego i atrakcyjnego nauczyciela historii. Jednak nic więcej.

– O, czy pozwoliłaby pani mi do niej zadzwonić? – zapytał.

– Wie pan, że... No, w drodze wyjątku. – Starą się utrzymać służbowy ton, ale ten przystojniak po prostu ją rozbijał.

– Pani jest taka wyrozumiała – powiedział z czarującym uśmiechem i już szukał w notatniku numeru ciotki.

Wybrał numer i po trzecim dzwonku usłyszał znajomy głos cioci.

– Co za szczęście. Ciociu, co się stało? Dlaczego nie odbierałaś? Nie odzywałaś się też tak długo? – zapytał jednym tchem.

– Mój drogi Rudi. Wyobraź sobie, że już dobrze ponad miesiąc temu potknęłam się i spadłam ze schodów. Co za tragedia. Złamałam nogę. Najpierw trzymali mnie w szpitalu, na obserwacji, no wiesz, czy nic poważniejszego się nie stało. A później moja siostra – gdy dowiedziała się o moim nieszczęściu – zaprosiła mnie do siebie na wieś...

Ciocia opowiadała i opowiadała. Dla Rudiego najważniejsze było to, że na ten czas dała też wolne służącej, więc nikogo nie było w domu.

– Ach, wczoraj przejrzałam pocztę i znalazłam dwa listy do ciebie. Poczekaj, tu je mam. Jeden z Kunstverein w Düsseldorfie, a drugi... od jakiegoś doktora Gentza. Też z Düsseldorfu – przeczytała.

– Ciociu, odbiorę je przy okazji, gdy cię odwiedzę. Czy byłabyś tak dobra i podała mi adres nadawcy tego drugiego listu? – Nie chciał w obecności sekretarki wymieniać nazwisk.

Ciotka podyktowała mu adres, który Rudi zapisał w notatniku, po czym wykręcił się od dalszej rozmowy, mówiąc, że nie chce nadużywać cierpliwości i tak już wyrozumiałej panny Lennart. Gdy otworzyły się drzwi i wszedł dyrektor, Rudolf już się z nią pożegnał, więc tylko uklonił się szefowi i szybko opuścił sekretariat.

Dwie godziny później panna Lennart odebrała kolejny tego dnia telefon. Zdziwiła się, gdy cichy kobiecy głos zapytał, czy w tej szkole uczy Rudolf Simon.

– Oczywiście, że tu uczy. Czy mówię z ciocią pana Simona? Czy mam mu coś przekazać? – zapytała z niezwykłą dla niej uprzejmością.

– Nie, nie, dziękuję. Chciałabym tylko wiedzieć, czy jest dzisiaj w szkole. Przyjechałam właśnie, jestem na dworcu. Czy daleko stąd do szkoły? – odpowiedziała kobieta po drugiej stronie słuchawki. Jej głos brzmiał nieśmiało. Panna Lennart wyczuła w nim też obcy akcent. Na dworcu? To nie mogła być ciotka pana Simona. On do niej rano dzwonił do Hanoweru. Głos sekretarki zmienił się natychmiast na jej codzienny, służbowy i oschły.

– Tak, pan Simon jest w szkole, a odległość od dworca to około dwudziestu minut spacerem. Do usłyszenia. – Odłożyła słuchawkę i zaczęła się zastanawiać, kto to może być.

Prawie godzinę później ktoś cicho zapukał do drzwi sekretariatu. Po niezbyt zachęcająco brzmiącym *herein* panny Lennart w drzwiach stanęła kobieta. Wyglądała na ponad pięćdziesiąt lat, ale pewnie jej wyjątkowo blada, zmęczona twarz ją postarzała. Ubrana była skromnie, ale schludnie.

– Dzień dobry, nazywam się Zofia Kaczkowska. Dzwoniłam. Gdzie mogę spotkać pana Rudolfa Simona? – przedstawiła się i zaraz dodała: – Czy mogę spocząć? Czuję się bardzo zmęczona.

Sekretarka spojrzała na nią z wyraźną niechęcią. Jakaś Polka? Co ona może mieć wspólnego z panem Simonem?

– Proszę, tu są krzesła. O, dzwonek, przerwa. Sprawdzę, gdzie ma zajęcia – burknęła, wciąż przyglądając się jej uważnie. Wtedy zauważyła, że kobieta jest rzeczywiście bardzo słaba, bo zamiast usiąść, niemal bezwładnie osunęła się na krzesło. Zaczęła też silnie kaszleć. Jeszcze tego brakowało, aby tu, w jej sekretariacie, zemdląła jakaś tam... obca. Bez słowa naląła do szklanki wody z karafki i jej podała.

Wyjrzała za okno i spostrzegła Rudolfa wracającego z boiska, otoczonego grupą uczennic. Naprzeciw szła Anne Schmidt i machała do niego. Okno było zamknięte, na dworze było już chłodno. Odstawiła na bok doniczkę i otworzyła okno na oścież.

– Panie Simon. Ktoś do pana przyszedł. Czeka u mnie, w sekretariacie. Mówi, że nazywa się Sofia – wołała głośno, aby ją usłyszał. Jak najszybciej chciała rozwiązać tę zagadkę. Reakcja pana Simona była zaskakująca.

Stanął i przez dłuższą chwilę stał tam, w bezruchu, dosłownie jak wmurowany, a później ruszył biegiem w kierunku budynku. Przebiegł obok Anne, jakby jej nie zauważył, nie reagując ani na jej zdziwioną minę, ani głośne pytanie. W kilku susach pokonał schody, korytarz i za chwilę już wbiegł do sekretariatu, rozglądając się niespokojnie.

Gdy zauważył Zofię, wydał z siebie głośny krzyk. Panna Lennart zapomniała natychmiast o swoim oburzeniu. Zalękniona usiadła i wcisnęła głowę w ramiona. Teraz już nie rozumiała nic. Jego krzyk, w którym brzmiało zaskoczenie, niedowierzanie, radość i ból kilkunastu minionych lat, rozumiała tylko Zofia. Chciała wstać, ale nie miała sił. Cicho powiedziała tylko:

– Mój ukochany!

– Najdroższa! Zofia! – powiedział, klękając i całując jej bezwładnie spoczywające na kolanach dłonie. Objął od dołu ramionami jej nogi, kładąc głowę na jej kolanach. Okna i drzwi były zamknięte, w pokoju panowała cisza. Nikt nic nie mówił. Panna Lennart słyszała tylko płacz tych dwojga, przeplatany wybuchami radości i dławionego płaczem śmiechu.

Tak zobaczyła ich też Anne Schmidt, która nie rozumiejąc zachowania Rudiego, pobiegła za nim. Ale jedynie panna Lennart zauważyła, że ktoś nowy pojawił się w pokoju. Obie kobiety patrzyły na siebie, bezradnie wzruszając ramionami, nie wiedząc, co powiedzieć. Po minucie czy dwóch sekretarka cichym niepewnym głosem zaproponowała:

– Panie Simon. Pana... gość... wydaje się bardzo osłabiona. Dyrektor wyszedł. Dzisiaj już nie wróci. Może przeniesie pan ją do jego gabinetu i położy na kanapie. A później... nie wiem, sam pan zobaczy. No... bo to w końcu jest sekretariat. Tu się pracuje – szepnęła. Zrozumiała, że na jej oczach dzieje się coś niezwykle ważnego.

Rudolf wstał, nie odrywając wzroku od Zofii, wziął ją na ręce, podniósł i skierował się do drzwi gabinetu dyrektora. Anne otworzyła je na oścież. Rudi natychmiast poczuł, że Zofia była znacznie lżejsza niż w Jaśle. Pomału, ostrożnie opuścił ją na skórzaną kanapę stojącą w rogu gabinetu. Położył rękę na jej czole i od razu wyczuł, że ma silnie podwyższoną temperaturę. Skinął w podziękowaniu głową w kierunku Anne i nie tłumacząc jej niczego, usiadł na stojącym naprzeciw kanapy fotelu.

Anne cicho zamknęła drzwi od pokoju dyrektora; zamyślona, nie żegnając się nawet z panną Lennart, opuściła sekretariat.

Podłożył jej poduszkę pod głowę. Zofia leżała z zamkniętymi oczami. Jej twarz była bardzo blada, oddychała szybko. Rudolf zapytał:

– Powiedz, jak się czujesz, najdroższa. Czy coś cię boli? Jak mogę ci pomóc? – Wypowiedział to z ogromną troską.

– Boli mnie... klatka piersiowa, mam dreszcze... – mówiła wolno, ale i tak przerwały jej ataki kaszlu. Wyciągnął z kieszeni chusteczkę i otarł jej usta. Na białej chusteczce, choć nie była pierwszej świeżości, pozostały drobne, wyraźne ślady krwi.

Nie miał pojęcia o medycynie, ale przeżył kilka lat w obozie dla jeńców w Związku Radzieckim. Widział to nie raz. To wyglądało mu na gruźlicę, w drugim, zaawansowanym stadium. Bez lekarza na pewno nie można będzie się obejść.

Wyszedł z gabinetu do sekretariatu. Panna Lennart wciąż wydawała się lekko oszołomiona. Widząc go, wstała.

– Muszę zadzwonić do szpitala. – Nie zdziwiła się, że nie spytał jej, jak przywykła, o pozwolenie.

Szpital potwierdził, że wyślą na wskazany przez niego adres pierwszą wolną karetkę. Gdy tylko wróci. Usiadł na chwilę. Na tym samym krześle, gdzie przed chwilą zastał Zofię. Musiał trzeźwo zastanowić się, co dalej. Wiedział, że czekają go teraz niemałe koszty: szpital, lekarstwa, pewnie też sanatorium. Ze swojej skromnej nauczycielskiej pensji tego nie pokryje. A oprócz tego, przynajmniej przez pewien czas, będzie musiał zwolnić się z pracy. Zofia była ważniejsza.

– Jeszcze jeden telefon. – Uśmiechnął się smutno do sekretarki, a ta skinęła głową.

– Ciocia? Tu znowu ja, Rudi. Ciociu, nie mam innego wyjścia. Muszę znowu prosić cię o pomoc. Tym razem finansową. To długa historia. Zofia się odnalazła! Moja przyszła żona jest bardzo chora. Muszę ją ratować! Możesz mi pomóc? – W jego głosie ciotka słyszała i radość, i rozpacz. Pamiętała dobrze wieczór, kiedy opowiadał jej o swojej wielkiej miłości.

– Oczywiście, kochanie. Tak się cieszę. A komu ja, stara kobieta, jeszcze mogę pomóc jak nie tobie? Podaj adres urzędu pocztowego, na który mam wysłać pieniądze. – Słysząc było, że kochała tego chłopca.

Rudolf przeliterował do słuchawki numer urzędu i jego adres, podziękował i odłożył słuchawkę. Przeszedł na drugą stronę barierki, gdzie stała sekretarka. Podszedł do niej i pocałował ją w oba policzki.

– Jest pani aniołem, panno Lennart! Święty Antoni nie dał rady znaleźć Zofii przez piętnaście lat. A teraz, gdy go zgubiłem, pani poradziła sobie z tym w kilka tygodni. Dziękuję! – podziękował jej, patrząc na nią z powagą. Odwrócił się i wyszedł.

Gdy panna Lennart pozostała sama, stała jeszcze dobrą chwilę w bezruchu.

– Ja? Aniołem? Bo ja wiem? Ale co do tego ma Święty Antoni? I dlaczego on go zgubił? Oj, ta Polka narobiła tu niezłego zamieszania. A może pan Simon postradał zmysły? – mówiła na głos. Była sama, bo Rudolf zamknął już za sobą drzwi do gabinetu dyrektora.

Przenikliwy sygnał karetki słysząc było i przez zamknięte okna. Gdy ją zobaczyła, otworzyła szeroko okno i pomachała, aby sanitariusze wiedzieli, dokąd iść.

ROZDZIAŁ 40

Góry Harz
sanatorium Königsberg
maj 1958 r.

Zofia nie spała już od dwóch godzin. Zjadła lekkie śniadanie i siedząc na łóżku, patrzyła w dal. Wychodząc, pielęgniarka otworzyła szeroko drzwi na balkon. W tym roku wiosna była wyjątkowo słoneczna, a za oknem budził się nowy piękny dzień. To nie pierwsze jej przebudzenie w tym pokoju, ale widok, który miała przed sobą, wciąż jeszcze ją fascynował. Często przesiadywała na balkonie i podziwiała panoramę okolic oddalonych nawet o trzydzieści kilometrów. Od ponad tygodnia znowu czuła się lepiej. Słońce zawsze dodawało jej energii, ale to miłość od lat trzymała ją przy życiu. Miłość, jaką otaczał ją Rudi. Od pierwszego dnia ich ponownego spotkania prawie od niej nie odstępował. Jemu zawdzięczała cały ten luksus, który ją otaczał. Dzisiaj też go zobaczy.

Po kilku dniach spędzonych przez Zofię w okręgowym szpitalu Rudi znalazł sposób, by trafiła pod opiekę najlepszych profesorów w klinice Uniwersytetu w Münsterze. Byli najlepsi w całym Niemczech, to oni w tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym roku zorganizowali tu pierwszy w kraju kongres na temat gruźlicy. Zaszczyciły go międzynarodowe sławy, co bezpośrednio po wojnie nie było częste. Nawet w świecie medycyny Niemcy traktowani byli z dystansem. Od lat dwudziestych wykładał tu profesor Domagk, któremu w roku trzydziestym dziewiątym za odkrycia na polu walki z gruźlicą przyznano Nagrodę Nobla. Odebrał ją dopiero po wojnie, bo wcześniej Hitler zabraniał tego niemieckim naukowcom.

Münster, jak wiele miast w tym regionie, długo po wojnie porównywano do ruin Pompei. Osłabieni, wygłodniali ludzie, żyjący w miastach pozbawionych kanalizacji, podatni byli na choroby zakaźne, w tym na gruźlicę. Ale w latach pięćdziesiątych Zofia mogła już mówić o szczęściu, bo dostępna była zarówno streptomycyna, jak i kwas p-aminosalicylowy i izoniazyd. Ta kombinacja dawała najlepsze wyniki. Kuracja trwała do dwóch lat, miała też efekty uboczne, ale była skuteczna. Przynajmniej u większości pacjentów. Zofia już dłuższy czas mieszkała z Rudim, ale niestety znowu doszło do nawrotu choroby i musiała wrócić do kliniki.

Tutaj, w sanatorium Königsberg³⁴, na wysokości prawie pięciuset metrów nad poziomem morza, była już od dwóch miesięcy. Otoczona najlepszą fachową opieką, jaką tylko można

sobie wyobrazić. Bo gdy ciotka Rudolfa się dowiedziała, że najgorsza faza choroby jest już za nią, postarała się, by Rudi ją tutaj przywiózł. W Dolnej Saksonii, szczególnie w jej stolicy, Hanowerze, ciotka знаła wszystkich, którzy w tym kraju mieli cokolwiek do powiedzenia. Oczywiście i w medycynie. Nie tylko wiedziała, które szpitale i sanatoria są najlepsze, ale też, co ważniejsze, było ją na nie stać. Do takich należało sanatorium Königsberg. Pod koniec lat pięćdziesiątych, gdy zelżała główna fala zachorowań, ten powstały na początku wieku wyspecjalizowany w leczeniu gruźlicy ośrodek przypominał raczej luksusowy hotel uzdrowski niż lecznicę.

Zofia czuła się bezpieczną, ale teraz to ona zaczęła martwić się o Rudolfa. Anne, jego koleżanka ze szkoły, z którą się zaprzyjaźniła, pierwsza zwróciła uwagę na to, że Rudolf wyraźnie zmizerniał. Stracił na wadze, posmutniał. Gdy Zosia była w pobliżu, ożywał się, ale obie wiedziały, że się o nią zamartwiał. Zofia zauważyła, że czasem zamykał się w sobie, stawał się nieobecny, był myślami gdzieś bardzo daleko. Podczas jednej z licznych rozmów z Zosią Anne wspomniała o jego dziwnym, bardzo tajemniczym zachowaniu w Düsseldorfie, spotkaniu z Hildebrandem Gurlitem. Spodziewała się, że może Zofia wie, o co chodzi – rzekomo jakaś stara historia. Zofii to nazwisko zupełnie nic nie mówiło. A jednak na pewno z Rudim działo się coś niedobrego. Nie robił wrażenia człowieka szczęśliwego, nawet teraz, kiedy jej stan zdrowia się poprawiał. Jakby miał ważniejsze sprawy na głowie niż to, że Zofia jest znowu z nim.

Kiedyś, gdy siedzieli przytuleni do siebie, kilka miesięcy po jej powrocie, zapytała go o to wprost:

– Rudi, powiedz, co cię gryzie? Jak mogę ci pomóc?

– Jeśli chcesz mi pomóc, opowiedz, proszę, co działo się w Jaśle, gdy wyjechałem. Co zrobił ci Gentz? Muszę o tym usłyszeć od ciebie, choć myślę, że wiem o wszystkim, byłem przecież w Jaśle – odpowiedział prawie bez zastanowienia, jakby dawno już czekał na to jej pytanie.

– Rudi, uwierz mi, proszę, że nie mogę jeszcze o tym mówić. Kiedyś to pewnie przetrawię i opowiem ci wszystko. Ale jeszcze nie teraz. Najpierw muszę wyzdrowieć, nabrać sił – powiedziała, głaszcząc jego silną, zaciśniętą teraz dłoń.

– Zosiu, nie spocznię, dopóki cię nie pomszczę. Ten człowiek żyje. Jeśli władze, policję, prokuraturę to nie obchodzi, to ja sam wymierzę mu sprawiedliwość. Wszystko zaplanowałem. Wiesz, że mam jego prywatny adres? Wiem, gdzie go znaleźć, i wiem też, co z nim zrobię! Ale najpierw chcę dokładnie wiedzieć, co on zrobił tobie – mówił ożywiony, jakby w transie.

– Czy ty wiesz, co mówisz? Chcesz zostać mordercą? Takim samym jak on? Zabijając z miłości, chcesz udowodnić, że mnie kochasz? Przyznaj szczerze. Robisz to dla siebie!

Oko za oko! Tak pokazujesz swoją mądrość? Tak rozumiesz sprawiedliwość? On także twierdził, że kocha! To chora miłość uczyniła z niego bestię! Chcesz być jak on?

– Nie rozumiem. Jak możesz tak mówić... on, kochał? Kogo? Ciebie?! – wykrzyknął.

– Nie, nie mnie – zachnęła się, nieco zmieszana. – Ale on wierzył, że kochał. Twierdził, że kocha... swoją ojczyznę, swój *Vaterland*. U źródła wszystkich jego haniebnych czynów leżała pewnie też miłość. Z czasem chyba oszalał, uwierzył, że w Jaśle i okolicy jest królem. Że wszystko może. Zawsze twierdził, że nie zawaha się umrzeć dla ojczyzny. Myślę jednak, że nie wiedział, co kochał! Bo nie kochał przecież ani tego pięknego kraju, ani ludzi, którzy w nim mieszkali. Kochał ideę ojczyzny, którą nosił w swojej głowie. Którą wmówili mu na ich obłąkańczych spotkaniach i wiecach. Flagę? Swastykę? Bo na pewno nie interesowało go dobro ludzi. Wszystko było dla *Vaterlandu*. Wyimaginowanego absolutu, którego pewnie nie potrafiłby opisać. – W jej słowach był gniew, ale nie nienawiść. Bardziej żal, swoista forma współczucia dla ludzi niezdolnych kochać naprawdę.

– Czy to błąd kochać ojczyznę? Ja też dobrowolnie poszedłem na front. Ale nie poszedłem tam, bo lubię zabijać albo spać w mokrym ubraniu, pod mokrym kocem, na gołej ziemi. Uważałem, że ojczyzna mnie potrzebowała. Teraz wiem, że to był błąd, że mnie oszukano. Z nim było inaczej. To chory sadysta, który działał z własnej woli! – Zabolalo go, że porównała go z tamtym człowiekiem.

– Tę idealną ojczyznę ludzie kochają zwykle za to, że tam się urodzili. Zwykły przypadek! Wygodny dla polityków, bo oni potrzebują bezmyślnych idiotów idących na front w ich interesie. Ojczyzna cię wezwała? Hitler i jemu podobni ci to wmówili. Dla nich *miłość* ogranicza się do udowadniania, że ich ojczyzna jest lepsza od każdej innej. Że dla niej masz prawo zabijać! Ojczyzna wzywa tylko wtedy, gdy jest w potrzebie, w niebezpieczeństwie. Wtedy możesz okazać jej miłość. Bo jeśli kogoś czy coś naprawdę kochasz, to się o niego troszczysz, dbasz, szanujesz. Co da mi zemsta? Ja potrzebuję ciebie u mojego boku.

Rudi słuchał zaskoczony.

– Kogo właściwie kochasz, Rudi? Mnie, chorą kobietę siedzącą teraz obok ciebie, czy ideał, który stworzyłeś sobie w głowie przed laty, gdy zniknęłam z twojego życia? Kogo pragniesz zadowolić, odbierając życie Gentsowi? Chcesz być odważnym rycerzem, który mści honor swojej ukochanej! A pytałeś mnie o to? Czy ja tego bym chciała? Tego chcesz ty! Aby złożyć ofiarę przed ołtarzem tej innej Zofii, którą sobie wyśniłeś. Pokaż mi, że mnie kochasz! Dbaj o mnie i bądź ze mną. Nie zadawaj mi jeszcze więcej bólu. Nie chcę, abyś był mordercą! – Mówiła wolniej, była już zmęczona.

– Mam mu to wszystko wybaczyć? Wszystkie przestępstwa? Ból zadany tobie i mnie? – Nie mógł się z tym pogodzić, choć to, co mówiła, docierało do niego.

Najbardziej bolało chyba, że trafiła w sedno. Odkryła i nazwała po imieniu to, do czego nie chciał się nawet przed sobą przyznać. Myśląc o niej latami, właściwie każdej nocy,

miał przed sobą jej piękną młodą twarz, pełną energii i uczuć. Pamiętał ją rozkochaną, pamiętał gniewną, pełną rozkoszy, widział ją rozpaloną żarem, gdy się kochali, ale i pełną odrazy i niechęci, gdy dotykała jego munduru.

Tamta młoda dziewczyna reagowała na wszystko naturalnie, żywiołowo, stosownie do sytuacji. Kochała lub nienawidziła: natychmiast, szczerze, bez rozpamiętywania za i przeciw. Kochał jej impulsywność. Wtedy nie miałyby obiekcji co do kary, na jaką zasłużył Gentz.

Teraz mówiła do niego mądra, dojrzała kobieta. Zofia była już inną osobą. Jej twarz, równie przez niego kochana jak wcześniej, była też inna. Nie była już mleczna. Była blada, wychudzona chorobą, zmęczona. Gdy ją obserwował, widział osobę zrównoważoną, spokojną i mądrą. Przypisywał to chorobie, posiwiałym włosom i wcale nie pierwszym już zmarszczkom. Wciąż wierzył, że to ta sama Zofia, że potrzebuje jedynie czasu na wypoczynek.

Byli w podobnym wieku, oboje blisko pięćdziesiątki, oboje doświadczyli bólu. Mieli też dużo czasu na przemyślenia. On też się zmienił, ale tak naprawdę to tylko ona wydorosłała. On stał się chyba tylko kilkanaście lat starszy. Wciąż przeżywał to, co minęło, na nowo rozkoszował się momentami radości i uniesień, z gniewem wracał do doznanych zniewag i upokorzeń. Ona potrafiła patrzeć na to, co kiedyś przeżyła, z pozycji człowieka dojrzałego.

Żył dzisiaj, nie zmieni przeszłości i jeśli chciał żyć szczęśliwie, bez wyrzutów sumienia, musiał sądzić sprawiedliwie. Sprawiedliwie znaczy bez wyroków opartych na uczuciach i emocjach. Rozsądnie, ze świadomym dystansem do osobistych przeżyć. Zemsta nijak miała się do mądrości i sprawiedliwości.

– Rudi, od wymierzania sprawiedliwości są sądy, a nie ci, którzy byli ofiarami. Nie ma bardziej stronnicych ludzi niż ci, którzy kochają. Nie trzeba powoływać się na romantyków. Nauka udowadnia, że miłość jest poważnym psychicznym zaburzeniem i może doprowadzić do obsesji – powiedziała cicho, głaszcząc go, widząc, że jest zatopiony we własnych myślach.

– Sądy nic mu nie zrobią. Proces w Norymberdze zakończony, Amerykanie odeszli, a tutaj nikogo więcej nie interesuje to, co działo się na wojnie. Nikt nie marzy o nowej wojnie, ludzie chcą zapomnieć, odbudować kraj i żyć w spokoju. Wszystkie ministerstwa i urzędy potrzebowały ludzi ze zmysłem organizacyjnym i doświadczeniem. Skąd miały ich wziąć? Kraj przesiąkł nacjonalizmem i nazistami; ludzie, którzy byli w stanie przejąć naprawdę odpowiedzialne stanowiska, mają niezbyt jasną przeszłość. A często to zdeklarowani naziści, więc bronią swoich. – Teraz jego twarz wyrażała już tylko smutek.

– Czy możemy to zmienić? Czy zemsta uczyni nas, ciebie i mnie, szczęśliwymi ludźmi? Wyobraź sobie, że ławy sędziowskie zajęłyby dzisiaj ofiary wojny. Wierysz, że ich wyroki byłyby sprawiedliwe? Nie wiem, co się dzieje teraz w Polsce, ale nie wierzę, że tam wszystkie sądy sądzą sprawiedliwie. W miejsce faszystów mają komunistów. Albo

takich, którzy się nimi nagle stali, bo to okazja, aby się tam urządzić. Oni podobnie bronią swoich i prześladują „drugą stronę”, wiernych przedwojennym porządkom. Jak w latach trzydziestych w Niemczech. Nie wierzę, że ktoś rodzi się nazistą czy komunistą. Nie wierzę też w niespodziane zmiany światopoglądu u ludzi dorosłych. Kształtować można dzieci i młodzież. Takie zmiany u osób dorosłych to wybór, przemyślany i zwykle bardzo racjonalny.

– Czy świat nigdy już nie będzie sprawiedliwy? – zapytał Rudi.

– Wierzę tylko w wolność myślenia. Prawdziwą, niesterowaną odgórnie demokrację. Inaczej sądy nigdy nie staną się bezstronne. Wierzę, że tak będzie i tutaj, nawet jeśli trzeba czekać jeszcze jakiś czas – powiedziała z przekonaniem i pocałowała go.

– Obyś miała rację. – Rudolf wciąż nie otrząsnął się z przygnębienia.

Co więc zrobić z Gentzem? Donieść na niego do prokuratury? Jeszcze to przemyśli. Nie chciał dzisiaj bardziej denerwować Zofii.

– Skąd ta nienawiść? Niemcy katowali Żydów i Polaków. Ale gdy Żydom dali do ręki pałki i władzę, nie byli lepsi od Niemców, szczególnie dla Polaków. Przeżyłam to w Szebniach, widziałam, jak zachowywali się żydowscy nadzorcy! Zaklinam, na naszą miłość, nie brudź sobie rąk krwią tego człowieka. Zbierzemy kiedyś świadków, to nie będzie trudne. Ludzie widzieli, jak własnoręcznie zabijał niewinnych! A ty pozostań tym, kim jesteś: dobrym i porządnym człowiekiem. – Mówiąc to, pomału się uspokajała.

Zaczęło do niego docierać, że ma rację. Ona potrzebowała jego i nigdy przecież nie prosiła o głowę Gentza.

– Dobrze, kochanie, przyrzekam ci. Będę tylko dla ciebie. Zapominamy o Gentzu. – Uniósł lekko jej rękę i pocałował ją.

– Jesteś najlepszy, najukochańszy, najśłodczy – powiedziała.

Siedzieli odprężeni, szczęśliwi, trzymając się po prostu za ręce. Po kilku minutach Zofia znowu poczuła w sobie siłę; Rudi się otworzył, udało jej się odwieść go od zemsty. Znowu zaczęli się rozumieć. Sama nie wiedziała dlaczego, ale właśnie teraz miała ochotę opowiedzieć mu część przeżyć, z którymi się już pogodziła. Wcześniej Rudi starał się omijać także i ten temat. Nie wiedział, czy już sobie z tym poradzi.

– Wiesz co, opowiem ci krótko moją historię. Przepraszam, ale zacznę od tego, co działo się, gdy przyjechałam do Niemiec, na roboty.

Prawie trzy lat mieszkałam i pracowałam w Düren. Wiesz, gdzie to? Między Aachen a Kolonią. Podobno Juliusz Cezar też tam był, tyle że jakieś dwa tysiące lat przede mną. Jesienią czterdziestego trzeciego roku przydzielono mnie właśnie tam, do pracy w fabryce dywanów. Piękne, ekskluzywne wyroby, wysyłano je do najlepszych hoteli, teatrów i domów mody w Berlinie, Hamburgu, całych Niemczech. Łącznie było nas, przymusowych robotnic, ponad osiemdziesiąt: Ukrainki, Francuzki, jedna Holenderka i ja, Polka. Pracowałam przy tkaniu i wykańczaniu. Warunki jak na pracę przymusową były znośne. Całkiem dobrze sobie radziłam, bo jako jedna z niewielu mówiłam po niemiecku.

Wcale nie praca była najstraszniejsza, lecz ciągle upokorzenie. Z czasem człowiek sam wierzył, że jest kimś gorszym. Jako Polka musiałam nosić na prawej kieszeni, na piersi każdego ubrania, widoczną czworokątną naszywkę. W pracy i w czasie wolnym. I te dziwaczne kolory. Jedynym ich sensem było chyba wymazanie z naszej pamięci polskich narodowych barw. Fioletowe „P” na żółtym tle. Tę cholerną „petkę”, jak ją nazywaliśmy, starałam się przynajmniej po pracy zdjąć, by czuć się choć wtedy normalnym człowiekiem. Raz mnie na tym złapano. Kosztowało to dziesięć marek, ale słyszałam, że kogoś złapali kilkakrotnie i wyładował w obozie karnym.

Rudolf słuchał w skupieniu. Nic nie mówił. Minęło już tyle czasu, a dopiero teraz zdobyła się na to, aby mówić o tym, co przeżyła. Była wciąż słaba, ale psychicznie czuła się już wystarczająco bezpiecznie, by wrócić myślami do tych przeżyć.

– Wyobraź sobie, że przed wojną mieszkało w Düren kilkadziesiąt tysięcy ludzi. Gdy rozpoczęły się naloty dywanowe, ludzie zaczęli masowo opuszczać miasto. Ale w piwnicach chroniło się jeszcze wiele osób. Także my. Szesnastego listopada czterdziestego czwartego roku nadleciały znowu bombowce RAF-u. Mówili, że było ich pięćset. Czy słyszałeś kiedyś huk bombowca wzmocniony pięćset razy? Nie wiem, jak będzie wyglądać koniec świata, ale nie może być straszniejszy niż to, co tam się działo, gdy spadały bomby. Kilka dni nic nie słyszałam. Ten atak trwał może dwadzieścia minut, a zginęło ponad trzy tysiące cywilów. Tam nie było już żołnierzy, tylko cywile.

– Teraz pamiętam – powiedział Rudi. – Düren należało do miast najbardziej zniszczonych podczas wojny, w całej Europie. Nie Drezno czy Berlin, właśnie Düren zniszczono w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach. Część przemysłowa ucierpiała mniej. O dziwo?

Głównodowodzącemu dywizjonów bombowych RAF-u Arthurowi Harrisowi powiedziano, że może użyć swoich sił bez żadnych ograniczeń. Operacje powinny koncentrować się na złamaniu morale wrogiej ludności cywilnej, destabilizacji wroga. Szef sztabu RAF-u, marszałek Charles Portal, stawiał sprawę otwarcie, bo napisał: „Przypuszczam, że jasne jest, że punktami bombardowań mają być tereny zabudowane, a nie stocznie czy zakłady lotnicze”. O tym Rudi czytał całkiem niedawno w prasie.

– To byli przywódcy, stratedzy? Widzisz? Tak właśnie wojsko wymierza sprawiedliwość! To nie jest rola dla polityków ani żołnierzy. Ostatni durnie! Nie! Bandyci, a właściwie zbrodniarze. Tak też postępowali Niemcy w Polsce, terroryzując Bogu ducha winną ludność cywilną, która chciała tylko przeżyć. Co osiągnęli? Solidarność całego narodu. – Zofia znowu podniosła głos.

Rudi z troską się jej przyglądał, ale wyglądała nawet bardziej zdrowo i ładnie, bo na jej twarzy pojawiły się rumieńce.

– Tak, to był rozkaz do dokonania zbrodni wojennej. Nikt nie respektuje międzynarodowych konwencji, nie oszczędza oznakowanych dóbr kultury, zabytków, kościołów i szpitali – zgodził się cicho Rudolf.

– Prawo silniejszego, po obu stronach! Wytrzebić wroga do trzeciego pokolenia? Kobiety i dzieci? Czym różnili się ci Brytyjczycy od niemieckich żołnierzy, którzy zrównali z ziemią Jasło? W obu przypadkach było to ślepe wykonywanie chorych rozkazów, zemsta pozbawiona militarnego uzasadnienia. Ucierpieli niewinni ludzie!

Na chwilę zamilkła. Wypiła łyk wody ze stojącej na stoliku szklanki.

– Czy Brytyjczyków rozgrzesza to, że stracili niewinnych bliskich? Mają prawo do samosądu? A teraz Niemcy stracili bliskich! Także niewinne kobiety i dzieci. Niemieckie kobiety mówiły mi kiedyś, że ich mężowie poszli na tę wojnę przez urażoną dumę, dla odwetu. Czuli się zdradzeni i poniżeni po kapitulacji pod koniec pierwszej wojny światowej. Musieli kapitulować, choć byli daleko na terytorium wroga, a żadne niemieckie miasto nie zostało zajęte przez przeciwnika. Te uczucia wykorzystał Hitler!

Ktoś zapukał do drzwi i przerwał jej wspomnienia. Drzwi pokoju otworzyły się bardzo powoli i pojawiła się w nich uśmiechnięta twarz Rudiego. Pewnie wyjechał z Münsteru w środku nocy, jeśli zjawił się tu już przed południem. Zawsze przyjeżdżał w piątki i wracał ostatnim pociągami w niedzielę.

– Jak się czujesz, moja kochana? – Był szczęśliwy, widząc na jej twarzy lekki rumieniec.

– Niespodzianka! Patrz, kto przyjechał ze mną. Anne koniecznie chciała znów cię odwiedzić!

Zza ramienia Rudolfa wychyliła się, uczesana dzisiaj w koński ogon, jak zawsze uśmiechnięta i radosna Anne Schmidt.

– Nawet nie wiecie, jak bardzo się ciszę, że widzę was oboje! – zawołała Zosia silniejszym dzisiaj głosem. Jej też bardzo przypadła do serca ta rozbijająca bez troska, pełna życia dziewczyna.

Początkowo obawiała się, że Anne, młoda, atrakcyjna kobieta, może być jej rywalką. Nieprzypadkowo pojawiła się obok Rudiego w sekretariacie, przy ich pierwszym po latach spotkaniu. Po kilku tygodniach Zofia już wiedziała, że nic ich nie łączyło, a Rudi kocha i widzi tylko ją. Szczególnie gdy zaraz później, w szpitalu, podczas odwiedzin, Anne poznała Stefana Seiferta, dyżurnego lekarza. Przystojnego, młodego i bardzo nią zainteresowanego. Od razu między nimi zaiskrzyło i od tego czasu Anne stała się jej najlepszą przyjaciółką. Kiedy Zofia leżała w szpitalu uniwersyteckim w Münsterze, Anne odwiedzała ją nawet kilka razy w tygodniu, co było dobrym pretekstem, aby zobaczyć Stefana. Teraz dzielił je obie szmat drogi, więc widywały się dużo rzadziej.

– Siadajcie, kochani. – Zofia wskazała na stojący w rogu pokoju stolik kawowy. – Zaraz do was dołączę.

Zarzuciła na siebie podomkę leżącą na łóżku, włożyła kapcie i usiadła obok. Choć nie było to łatwe, Zofia pedantycznie pilnowała środków ostrożności. Starła się nie przytulać

i nie obejmować gości. Powiedziano jej wprawdzie, że ryzyko zarażenia prątkami Kocha, w porównaniu z innymi chorobami zakaźnymi, jest stosunkowo niskie, ale po co ryzykować.

– No? I co nowego w świecie? Opowiadajcie – zawołała z uśmiechem.

³⁴ Królewska Góra, w górach Harz.

ROZDZIAŁ 41

Münster

lata 1959–1966

Pobyty w Königsbergu bardzo Zofii pomógł, do Münsteru wróciła jak odnowiona. Od miesięcy znowu mieszkali razem w niewielkim, ale przytulnym mieszkaniu na parterze, niedaleko parku. Nowa codzienność Zofii sprowadzała się głównie do tego, że po wspólnym śniadaniu odprowadzała Rudolfa do pracy, a później spacerowała w pobliskim parku. Nie zawsze wytrzymywała długo. Często musiała zbierać siły, przysiadając na ławce, aby wrócić bez zadyszki do domu. Nie chcąc niepokoić Rudiego, nie wspominała o tym, tyle że z czasem rzadziej wychodziła z domu. Miała dużo czasu, więc sporo czytała. Dostęp do polskich książek był ograniczony, dlatego czytała głównie po niemiecku. Nie sprawiało jej to żadnego trudu, chętnie szlifowała język, którym posługiwała się już od lat. Dzięki miłości do Rudolfa naprawdę go polubiła, była w stanie czytać nawet wielkich poetów i w pełni docenić głębię ich wyrazu. Pamiętała, jak bardzo pomogła jej znajomość języka w chwilach naprawdę trudnych; w więzieniu w Jaśle, Szubniach, na robotach w Düren, a także w obozie dipisów.

Po wojnie w zachodnich strefach okupacyjnych zorganizowano prawie czterysta takich obozów, które były schronieniem dla ponad siedmiu milionów ludzi. Dipisi, osoby przemieszczone, tak alianci nazywali tych, którzy w wyniku wojny znaleźli się poza swoim krajem i potrzebowali pomocy do asymilacji w nowych warunkach czy też organizacji powrotu do ojczyzny. Głównie były to osoby wywiezione na przymusowe roboty, jeńcy wojenni lub więźniowie obozów koncentracyjnych.

Zofię los rzucił do Brauweiler. Na terenie opactwa Benedyktynów powstał jeden z największych takich obozów. Gdy zgromadzeni tam Włosi, Francuzi i Belgowie wrócili do swoich krajów, pozostali głównie Polacy. Wielu wciąż nie wiedziało, co robić ze sobą, czy wracać do kraju okupowanego teraz przez Sowieci. Gdy obóz zamykano, jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku, mieszkało tam wciąż jeszcze ponad dwa tysiące Polaków.

Samo miasteczko, a może większa wioska, Brauweiler, było pięknym miejscem, kilka kilometrów od majestatycznego Renu. Ale to nie był obóz. Można było go porównać do więzienia w antycznych murach klasztoru. Administracja była w rękach oficerów armii brytyjskiej. Nie byli surowi, okrutni ani złośliwi. Byli gorsi, bo nieefektywni i obojętni.

Dostawy zimowe, na przykład koce czy węgiel, docierały w maju, a przepisy dotyczące zimnych letnich pryszniców pojawiły się w listopadzie. Przepisy, porządek praktycznie nie istniały. Ludzie żyli z dnia na dzień.

Na zewnątrz klasztoru w budynkach administracyjnych, obok biur Brytyjczyków, były pomieszczenia Czerwonego Krzyża, obsługiwane przez Niemców. Zofia szybko nawiązała z nimi kontakt i to pomogło jej zdobyć wszystko, czego potrzebowała do życia. Pomogli jej też znaleźć mieszkanie w Kolonii, a to granoczyło prawie z cudem. Miasta były bowiem tak zburzone, że ze względu na koszty wielu ekspertów proponowało budowę nowych miast. Nieopodal tych zburzonych przez działania wojenne.

Co najważniejsze, DRK (Niemiecki Czerwony Krzyż) pomógł jej odszukać Rudiego. Pierwszy znak, że żyje, otrzymała latem czterdziestego dziewiątego roku; żył, znajdował się w sowieckim obozie jenieckim w Borysowie, przeniesiony ze Smoleńska. Panienci z Czerwonego Krzyża polubiły ją i pocieszały, że jeśli przeżył tak długo, to na pewno wróci. W Kolonii znalazła pracę w szpitalu. Pracowała dniami i nocami, czekając na Rudiego. Jeśli nie wcześniej w Szebniach, to prawdopodobnie tam zetknęła się z gruźlicą. Jak później się dowiedziała, pierwsze silne objawy mogły pojawić się po latach. U niej zdiagnozowano je w połowie lat pięćdziesiątych. Rozpoczęła leczenie, ale długo w łóżku nie wytrzymała.

Jesienią tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego szóstego roku uaktualniono dane i dowiedziała się, że Rudolf od kilku lat jest już w Niemczech. Teraz godzinami siedziała w urzędzie Czerwonego Krzyża, czekając na rozmowę z urzędnikiem. W listopadzie dowiedziała się, gdzie pracuje: w żeńskim gimnazjum w Münsterze.

Razem z Rudim mieli za sobą niezliczone rozmowy z lekarzami. Tę najważniejszą, choć mało radosną, odbyli z profesorem Huberem przy wypisie po ostatnim pobycie w sanatorium. Rudolf nie chciał jej niepokoić, więc udał się do gabinetu profesora sam.

– Szanowny panie, doskonale rozumiem pańską troskę, ale jestem zdania, że nie powinniśmy mówić o zdrowiu pańskiej żony bez niej. Ten problem dotyczy jej zdrowia i życia, więc dlaczego nie miałyby prawa poznać prawdy? – grzecznie, ale stanowczo stwierdził profesor.

Rudolf skinął głową. Słusznie, gdyby dotyczyło to jego, na pewno też wolałby usłyszeć nawet gorzką prawdę i rzeczowe prognozy niż tylko pocieszenia bliskich.

Gdy usiedli oboje przed biurkiem profesora, ten zdjął okulary i powoli zaczął przecierać je białą bawełnianą chusteczką.

– Szanowna pani – zwrócił się do Zofii – jest pani u nas zawsze mile widzianym gościem, ale czas wracać do domu. – Uśmiechnął się. – Wyjaśniałem już, że prątki gruźlicy rozwijają się i rozmnażają znacznie wolniej, pięćdziesiąt razy wolniej niż inne

znane nam bakterie. Zwykle, w szybko odkrytych i nieskomplikowanych przypadkach, przy odpowiednio długiej terapii leczenie jest skuteczne i nie dochodzi do nawrotów choroby. – Lekarz mówił wolno, patrząc na przemian na nich oboje wpatrzonych w niego.

– Z tego, że trwa to już prawie trzy lata, rozumiem, panie profesorze, że mój przypadek nie został ani szybko odkryty, ani też nie należy do nieskomplikowanych – wtrąciła się Zofia, patrząc ze słabym uśmiechem na profesora. Chciała wiedzieć, kiedy wyzdrowieje.

– Słusznie. Wiem od pani, że na początku lat pięćdziesiątych leczyła się już pani krótko na gruźlicę. Kluczowe jest słowo „krótko”. To tyle, co „trochę”. To bywa bardziej niebezpieczne, aniżeli nie leczyć się w ogóle. Jeśli pacjent jest leczony niewłaściwie lub za krótko, patogeny stają się odporne na leki. A pacjentów z patogenami, które wykazują skomplikowane wzorce, dużo trudniej się leczy.

– Jakie mam szanse, panie profesorze? – powiedziała, uprzedzając Rudolfa, który zamierzał coś powiedzieć. O swoim życiu i zdrowiu chciała decydować sama.

– Czasem patogeny, które znajdują się długo w organizmie, bez objawów, mogą wybuchnąć nawet po latach. Ale medycyna nie stoi w miejscu. Proszę mi wierzyć, to nie musi się stać. Jednak należy być tego świadomym, że to może zaistnieć. Musi się pani oszczędzać i przy najmniejszych objawach nawrotu zgłosić do kliniki.

– Na co musimy uważać, aby zminimalizować ryzyko? – zapytał Rudolf.

– Wiemy, że gruźlicę wywołuje prątek Kocha, ale w rzeczywistości to choroba ludzi ubogich. Bakcyl ma bowiem najbardziej sprzyjające warunki w małych, gęsto zaludnionych mieszkaniach, do których nie wpada nawet promyk słońca. Proszę pamiętać o świeżym powietrzu, świetle i higienie. No i głowa do góry, jest pani silną kobietą! – Profesor serdecznie uśmiechnął się do Zofii, wstał, obszedł biurko i podał obojgu rękę na pożegnanie.

Po tej rozmowie żadne z nich długo nie powiedziało nawet słowa. Rudi tylko raz po raz ją obejmował i całował. Była już spakowana, więc szybko opuścili sanatorium. Pięknie tam, ale nie chciałyby już nigdy musieć tu wrócić. Do pobliskiego dworca w Goslar dojechali konnym zaprzęgiem. Uśmiechali się do siebie, gładząc się czule po dłoniach. W przedziale pociągu też byli sami. Rudolf usiadł na przeciwległej ławce, wziął jej rękę w swoje i jakby miał coś ważnego do obwieszczenia, oznajmił:

– Moja droga, mamy kilka ważnych spraw do załatwienia. Po pierwsze, musimy poszukać mieszkania na parterze, aby nie męczyć cię chodzeniem po schodach i mieć bezpośrednie wyjście do ogródka. Duże okna muszą być skierowane na południe, bo potrzebujemy dużo światła. Dom musi stać niedaleko parku. No i możliwie niedaleko mojej szkoły. Co o tym sądzisz? – Uśmiechnął się szeroko.

– Wspaniały pomysł! Ale czy damy radę? Ja pewnie jeszcze jakiś czas nie będę pracować – zapytała, poważnie zatroskana.

– To już moja sprawa. O to się nie martw. Masz teraz ważniejsze rzeczy na głowie. Na przykład jak ty się ubierzesz?

– Nie rozumiem... – przerwała, gdy zobaczyła, że Rudi wyjął z wewnętrznej kieszeni marynarki małe pudełeczko i osunął się na kolana.

– Zofio, czy zechcesz zostać moją żoną? – mówił, patrząc jej w oczy.

Za chwilę płakali oboje, nie mogąc wymówić ani słowa. Na tę chwilę czekali prawie dwadzieścia lat. Wreszcie mogli być parą, mogli wziąć ślub, nie oglądając się na to, co powiedzą inni, a przede wszystkim na tak dobrze im znany paragraf siódmy EVzRBG. Rudolf przywiózł z wojny dwa Krzyże Żelazne, a te partyjne bydlaki i tak zmieniły przepisy. Już po tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim roku nie odgrywało to żadnej roli, bo po prostu nie przyjmowano już wniosków o „zwolnienie z przepisów zgodnie z paragrafem siódmym”. Szanse na uzyskanie tego typu zwolnienia mieli jedynie ci, którzy posiadali znajomości wśród najbliższych współpracowników Führera lub znali ludzi, którzy mieli takie dojścia. Rudolf Simon był zwykłym przyzwoitym obywatelem.

To była niespodzianka! Ale naprawdę wielkie oczy Zosia zrobiła dopiero wtedy, gdy zobaczyła pierścionek, który wsunął jej na palec: złoty w misternej koronce i z olbrzymim brylantem!

– Nie martw się, nie obrabowałem banku. Wtajemniczyłem ciocię w moje plany, no i ona znowu przejęła inicjatywę. To jeden z pierścionków, który otrzymała od wujka. Twierdzi, że ma ich zbyt wiele. – Zaśmiał się. Oboje byli szczęśliwi.

Pierwsze dwa miesiące po wyjściu z kliniki udowodniały, że terapia pomogła. Zofia z miesiąca na miesiąc czuła się lepiej. Kilka razy nawet sama wyszła na spacer. Po niecałym pół roku pojawiły się jednak niepokojące objawy, choć mało charakterystyczne. Zofia skarżyła się teraz na silne bóle kręgosłupa, szczególnie dolnych kręgów piersiowych. Wystąpiła gorączka, przykurcze i utrata wagi. Po kilku miesiącach otrzymała rozpoznanie: gruźlica kręgosłupa. Choroba ta zazwyczaj atakuje płuca, ale może też, za pośrednictwem układu krwionośnego, przejść na inne narządy wewnętrzne, wywołać również zmiany kostno-stawowe. Z czasem Zofia przestała wstawać z łóżka, bo ostrzegano ją przed możliwym złamaniem kości i następstwami wynikającymi z uszkodzenia rdzenia kręgowego.

Pobrali się we wrześniu tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Ze względu na to, że Zofia praktycznie nie wstawała już z łóżka, ich ślub nie odbył się, jak marzyli, w kościele Świętego Antoniego. Udzielał im go ksiądz z tego właśnie kościoła. W ich mieszkaniu. Ksiądz poinformował ich jednak wcześniej, że staną się pełnoprawnym małżeństwem

dopiero po zawarciu ślubu w urzędzie stanu cywilnego. Tłumaczył też, że niesie to konsekwencje finansowe, ulgi podatkowe, świadczenia alimentacyjne i tak dalej. Zofia skinęła głową, że rozumie.

– Chcę Rudolfowi ślubować miłość przed Bogiem, nie przed urzędnikiem. Czy Bóg będzie miał coś przeciwko temu? Bo to, co myślą ludzie, dawno już mnie nie interesuje – powiedziała Zosia, a Rudi jej przytaknął. Ksiądz złożył dłonie, uśmiechnął się i schylił głowę, jakby poświadczając jej słowa, a następnie podniósł wzrok ku niebu.

Świadkami byli Anne Schmidt i jej Stefan, którzy też byli już po słowie. Na ślubie i późniejszym weselu, które odbyło się także w mieszkaniu, jedynym dodatkowym gościem, oprócz księdza, była ciocia z Hanoweru. Rudi nie zaprosił nikogo więcej, nie chciał obciążać Zosi nadmiarem wrażeń.

Sama ciotka narobiła już wystarczająco dużego zamieszania. Biorąc pod uwagę, że ich mieszkanie nie było wielkie, a niewykluczone, że bardziej dla własnego komfortu, do którego była przez lata przyzwyczajona, zamieszkała w ledwie co odbudowanym hotelu Kaiserhof. Ten dziewiętnastowieczny hotel w centrum miasta, który знаła jeszcze sprzed wojny, został doszczętnie zniszczony podczas bombardowań we wrześniu czterdziestego czwartego roku. Przyjechała tu pociągiem i oprócz trzech waliz przywiozła dodatkowo jeszcze wielki, okuty opaskami z brązu, zapinany na piękne klamry, ciężki kufer, który kazała wyładować u Rudiego. W ten sposób stali się posiadaczem nowego mebla. Wyglądał imponująco, tyle że zabrał ostatnią wolną przestrzeń, jaką mieli w salonie, bezpośrednio pod oknem. Skrzynia pełna była odzieży i obuwia po wuju. Kilka garniturów, smoking, koszule i inne części garderoby jej zmarłego małżonka, które, jak już wiedziała, pasowały na Rudiego.

Zofia w prezencie ślubnym otrzymała od niej tylko jedno niewielkie, ale ciężkie pudełeczko. Zawierało prześliczną złotą kolia, ozdobioną wielkim brylantem otoczonym obłokiem z krwistoczerwonych rubinów. Zosia dosłownie oniemiała z radości, kiedy Rudi zawiesił ją jej na szyi i podał lusterko. W białej sukience, z czerwoną szminką na ustach i tą kolia wyglądała przepięknie. Łzy popłynęły jej z oczu. Była szczęśliwa. Wróciły wspomnienia z Polski.

Zabawa trwało prawie do północy. Ciotka pomyślała o wszystkim i przywiozła trzy butelki prawdziwego francuskiego szampana. Nawet Zofia dała się skusić na jeden łyk. Anne ze Stefanem tańczyli. Zofia próbowała wstać, ale była zbyt słaba, by odważyć się na taniec, choć bardzo tego chciała. Rudi pomógł jej znowu wygodnie się położyć, a ciocia szybko poprawiła chwilowy spadek nastroju, opowiadając anegdoty ze swojego barwnego życia. Wesele było bardzo udane.

W większości przypadków także leczenie gruźlicy kości kończy się wyleczeniem, niestety, Zofia nigdy już nie doszła do stanu zdrowia, jaki miała przed wybuchem choroby. Dni dzielili teraz już nie na słoneczne i pochmurne, ale na lepsze i gorsze, zależnie od jej stanu zdrowia. Gdy tylko mogli, nawet niezależnie od pory roku, wyjeżdżali nad Morze Północne. Mieszkali zwykle na wyspie Norderney. Oboje kochali długie spacery po Wattenmeer, akwen pomiędzy lądem stałym a łańcuchem Wysp Fryzyjskich. Podczas odpływu morza watty, czyli osuchy, tworzyły tam regularnie, dwa razy na dobę, przeolbrzymie równiny, całkowicie odsłonięte dno morza. Niestety, ze względu na jej chorobę każdego roku musieli te wyjazdy coraz bardziej ograniczać.

W domu pędzili monotonne życie. Rudolf starał się przychodzić możliwie wcześniej z pracy, robił późny obiad, później przygotowywał się do następnego dnia, sprawdzał prace uczniów, a wieczory spędzali razem. Rozmawiali, często Rudolf coś jej czytał.

Któregoś wieczora Zofia poprosiła go, aby otworzył kufer, który przywiozła ciotka. Spojrzał na nią zdziwiony.

– Tak bardzo chciałabym zobaczyć cię w smokingu – poprosiła słabym głosem.

– Dlaczego? – Nie rozumiał jej życzenia.

– Pamiętasz dzień, kiedy na początku czterdziestego pierwszego roku wróciłeś z urlopu w Berlinie? Nie mogłam się doczekać, kiedy cię zobaczę, i niby przypadkiem zjawiłam się przy stajni, gdzie pracowałeś. Szybko wybiegłeś, miałeś potargane włosy, byłeś bez płaszcza, choć było zimno. To wtedy się w tobie nieodwołalnie zakochałam – powiedziała, patrząc na niego czule.

– Dobrze to ukrywałaś, bo byłaś raczej opryskliwa. – Zaśmiał się, patrząc jej w oczy.

– Boże, jak pięknie, tak męsko wtedy wyglądałeś. Ale wówczas chyba pierwszy raz w życiu tak wyraźnie czułam w sobie walczące ze sobą dwa silne uczucia: miłość do ciebie i nienawiść do munduru, który miałeś na sobie. Wtedy zrodziła się we mnie ta myśl: zerwać go z ciebie i ubrać cię w smoking. Tak wyglądali panowie na przyjęciach, na które zabierał nas ojciec. Byłbyś najprzystojniejszym mężczyzną na sali. – Zamknęła oczy, wyobrażając to sobie.

– Oj, ty głuptasku. – Schylił się i ją pocałował.

– Proszę! Proszę! – poprosiła go znowu.

Mieli wspaniałą zabawę, która trwała do końca wieczoru. Zaczęli od smokingu. Ze wszelkimi detalami: dobrana koszula, lakierki, mucha i jedwabny pas smokingowy. Dobra ciocia, a raczej jej służba, nie zapomniała o niczym, kompletując kufer. W specjalnie do tego przeznaczonym pudełku Rudi znalazł czarne sznurowane lakierki, białą poszetkę do kieszeni na piersi marynarki. Oczywiście i czarne, gładkie, jedwabne skarpetki. Skarpetek w prążki dżentlemen do smokingu nie włoży. Rudi przyglądał nawet włosy brylantyną. Później kręcił się przed Zofią na pięcie, tak jak wyobrażał sobie modeli na wybiegu. Nie bardzo mu to wychodziło, ale Zofia i tak biła mu brawa.

Następnie przysłała kolej na dwa inne garnitury. Razem dobierali koszule i krawaty, spierając się przy tym, które bardziej pasują. To był wspaniały wieczór dla nich dwojga. Wtedy ostatni raz Rudi widział Zofię beztroską i szczęśliwą, jak w Jaśle. Aby nie widziała łez, które zakreśliły mu się w oku, wyszedł na chwilę do łazienki.

Choroba nie ustępowała. Pobyty w szpitalu stawały się częstsze i dłuższe. Po każdym powrocie, mimo zaleczenia ostrych objawów, Zofia była coraz słabsza. Nigdy więcej nie wrócili do tematu Gentza i Jasła, które skradły Rudiemu niejedną noc. Do końca nigdy nie usłyszał bezpośrednio z jej ust, co się stało po jego wyjeździe.

Zmarła piątego grudnia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego piątego roku. Ślubu cywilnego nigdy nie zawarli. Ostatnie słowa, które słyszała, brzmiały: „Kocham cię, moja najdroższa żono”. Gdy wydała ostatnie tchnienie, Rudi długo trzymał ją w ramionach. Później płakał, bardzo długo.

ROZDZIAŁ 42

Münster/Düsseldorf

grudzień 1966 – styczeń 1967 r.

W ostatnim etapie choroby Zofii przyjmowali niewielu gości. Regularnie odwiedzali ich jedynie Anne i Stefan, choć zdarzało się, że nawet gdy oni przychodzili, Zofia wolała być sama i zostawała w sypialni. Zwykle rozmawiali więc już tylko z Rudim. Młodzi przyjaciele byli ciekawi ich niezwyklej historii, a Zofia nigdy nie chciała rozmawiać o tym, co stało się po wyjeździe Rudiego z Jasła. Wcześniej także Rudi zbywał ciekawskie pytania standardowym „to długa i stara historia”. Ale teraz, po jej śmierci i po ponad dwudziestu latach, nabrał do tamtych czasów wystarczającego dystansu i kiedyś opowiedział im całą historię, w tym także to, czego dowiedział się od franciszkanina, ojca Jakuba. Mówił otwarcie o tym, co Gentz zrobił Zofii, jak traktował Żydów, również o jego osobistym udziale w egzekucjach i o tym, jak na koniec zniszczył doszczętnie miasto.

– Czekał, czy to nie ten doktor Gentz z Ministerstwa Finansów w Düsseldorfie? – zapytał Stefan, który od dobrej chwili wyglądał, jakby usilnie starał się sobie coś przypomnieć.

– Z tego, co słyszałem, to faktycznie tam pracował. Ale skąd ty to wiesz? – zdziwił się Rudi.

– Już się domyślam, ty mój Sherlocku. – Anne się zaśmiała. – Na pewno od Roberta.

– Tak, Robert, mój młodszy brat, jest prawnikiem i pracuje w prokuraturze w Düsseldorfie. Niedawno opowiadał mi, że od jakiegoś czasu pracuje w zespole zajmującym się między innymi sprawą niejakiego Waltera Gentza – wyjaśnił Rudiemu.

– No i co? Mówił coś ciekawego? – dopytywała się Anne, której najwyraźniej przy tej rozmowie nie było.

– Poczekaj, to dłuższa i bardzo ciekawa historia. Ale muszę zacząć od początku. – Stefan dolał sobie do szklanki piwa i rozpoczął: – Ciekawe jest już to, jak tacy ludzie budowali sobie powojenną egzystencję. Wydawałoby się, że niełatwo jest ukryć czyny, o których wiedziały setki, jeśli nie tysiące ludzi. Ale Gentz potrafił stworzyć legendę wystarczająco zgrabną, by uznano go za człowieka walczącego ze swoimi berlińskimi rozkazodawcami. W marcu czterdziestego dziewiątego roku amerykańska komisja denazyfikacyjna zaakceptowała jego wyjaśnienia, zeznania złożone pod przysięgą. Jeśli nie było konkretnych zarzutów, wystarczyło wypełnić kwestionariusz, na koniec wytrzymać twarde

spojrzenia członków komisji i odpowiedzieć na kilka niezbyt trudnych pytań. Także i Gentz musiał poddać się temu interview:

„Jeśli byłeś przeciwnikiem systemu, dlaczego trwałeś na tym stanowisku do końca?“, zapytano. Jego odpowiedź brzmiała mniej więcej tak: „Zastanawiałem się nad tym, ale po rozmowach z zaufanymi przyjaciółmi, także z polskich kręgów, stwierdziłem, że jeśli odejdę, to na moje miejsce przyjdzie jakiś dużo ostrzejszy wróg Polaków i polskości”. Taka wypowiedź, złożona pod przysięgą, była wystarczającym argumentem do uznania go za wolnego od podejrzeń. W tamtym czasie takie wypowiedzi nie były łatwe do weryfikacji, świadków zbrodni i obciążających dowodów nie było. Polskie władze niechętnie udzielały informacji – żądali jedynie wydania zbrodniarzy.

– Tak łatwo się wywinął? – zdziwiła się Anne.

– Na początku lat pięćdziesiątych dostał pracę w Ministerstwie Finansów, a już w następnym roku awansował na radcę. Lata pięćdziesiąte przeżył w miarę spokojnie, jednak później znaleźli się świadkowie potwierdzający nie tylko jego udział w deportacji Żydów, ale też jego osobisty udział w egzekucjach.

– Tak, nie tylko z tego był znany. Podobno dla zabawy strzelał do ludzi ze swojego balkonu – wtrącił się Rudi. – A jak go tu znaleźiono?

– Miał słaby punkt. Wielu oskarżonych używało wymówek, że po latach ich z kimś pomyłono. Tu nie było wątpliwości, bo w dzieciństwie przeszedł chorobę Heinego-Medina, paraliż dziecięcy. Odtąd kulał.

– Dobrze, nie udało się mu wyłgać! Skurwysyn! – Anne nie kryła emocji.

– Gentz był już starszym radcą ministerialnym, ale zarzuty były na tyle silne, że we wrześniu sześćdziesiątego piątego roku szef Roberta, po naradzie z prokuratorem generalnym, zdecydował, że czas działać. Doprowadzono do aresztowania, ale Gentz uzyskał warunkowe zwolnienie. Kilka miesięcy później przedstawił lekarskie zaświadczenie potwierdzające niezdolność do przesłuchań oraz udziału w rozprawie. Lekarz zabronił mu wszelkich podróży. Prokurator był bezsilny – kontynuował Stefan.

– To pewnie robota jego koleśków, przyjaciół z ministerstwa. – Anne znowu się nie powstrzymała, że złości sięgając po kawałek ciasta, choć przed chwilą stwierdziła, że znowu przytyła.

– Tu akurat nie masz racji. Gentz złożył bowiem podanie o wcześniejsze przejście na emeryturę. Ministerstwo przyjęło prośbę i pożegnało się z nim bardzo oschle. Sam poprosił o zwolnienie, a decyzja gabinetu brzmiała mimo to jak dymisja. Ciekawe, bo choć jest osobą prywatną, bez ministerialnych tytułów, cały czas pozostaje na wolności – dodał Stefan.

– Miejmy nadzieję, że sprawiedliwość go kiedyś dopadnie. Zofia była tego zawsze pewna – stwierdził bez emocji Rudolf. Ta ostatnia wiadomość nie uszła jednak jego uwadze.

Gdy Zofia żyła, czuł się nie tylko potrzebny, ale też naprawdę spełniony. Osiągnął swoje życiowe cele, choć trzeba przyznać, że lista nie była zbyt długa. Podczas wojny często ją modyfikował. Szukał czegoś, co miałoby dla niego sens, realne znaczenie, a tego uczucia od dawna już nie czerpał z udziału w wojnie. Nie tak ją sobie wyobrażał, gdy zaciągał się do wojska. Jeśli w ogóle miał na jej temat jakiegokolwiek wyobrażenia. Jej sens znalazł dopiero, gdy zdecydował się przywieźć do domu Żelazny Krzyż.

W długie, chłodne zimowe noce w rosyjskiej niewoli było to jedyne zajęcie, dla którego opłacało się dalej żyć. Wtedy dokonał najwięcej cięć na liście, ale na jej szczycie zawsze stała pozycja „odnaleźć i poślubić Zofię”. Nie była to ani modlitwa, ani lista prośb kierowanych do Boga, bo na taką listę mógłby wpisać wszystko; Bóg, jeśli tylko zechce, może wszystko.

Lista Rudolfa była listą celów. Miały być realne, co najmniej zgodne z prawami prawdopodobieństwa. Stąd korekty i modyfikacje. Wcześniej marzył o rodzinie, dzieciach. Ale kiedy lata po zakończeniu wojny wciąż tkwił w łagrze w Borisowie, gdzieś między Mińskiem a Moskwą, stwierdził, że to nie jest już tak ważne; oboje zbliżali się do czterdziestki i oceniał, że to może im się nie udać. Między realnymi celami a prośbami i marzeniami pozostawała szara strefa. W tej strefie cienia leżało zawsze błaganie o zdrowie dla Zofii.

Mijały dni i miesiące, wciąż wypełniał go smutek, jednak znowu zaczynał zastanawiać się nad tym, co dalej. Czy na tym miał poprzestać? Prawie namacalnie czuł, jak rodzi się w nim konkretna idea, która nie tylko była osiągalna, ale widział też w niej głęboki sens. Myśl tę konsekwentnie odganiał. Obiecał przecież Zofii, że nie będzie szukać zemsty, przyrzekł też sobie, że danego słowa dotrzyma. Sytuacja się jednak zmieniła, jej już nie było, a on miał dużo czasu na rozmyślanie.

Nie czuł w sobie potrzeby zemsty, tylko chciał zrozumieć, co tam w Jaśle wtedy się wydarzyło, i to osądzić. Tak jak życzyła sobie Zofia, nie dążył teraz do zemsty, egzekucji, lecz zrozumienia, osądu. Jego celem nie było zabicie tego człowieka, lecz wymierzenie mu zasłużonej kary. Przeprowadzi prawdziwy proces. Aby nazwać to procesem, nie wystarczy, że on przyjmie rolę oskarżyciela i sędziego. Oskarżony dostanie szansę na to, by się wypowiedzieć. Gentz wystąpi więc także w dwóch rolach: oskarżonego i obrońcy. A pod koniec sąd wyda wyrok!

Ale najpierw Rudolf musiał znaleźć podejrzanego i doprowadzić go przed sąd. Chciał z nim rozmawiać, więc musieli mieć możliwość spędzenia ze sobą wystarczająco dużo czasu, w odosobnionym miejscu, w którym nikt im nie przeszkodzi. Wiedział, że nie przekona Gentza do takiego spotkania niczym innym jak skierowaną w niego lufą pistoletu. Zdobycie broni nie było problemem, pomyślał o tym już dawno temu, gdy wracał z Jasła, po rozmowie z ojcem Jakubem. Jechał przez Berlin, a Potsdamer Platz stał

się po wojnie wielkim bazarem. Znajdował się w trójkącie trzech sektorów okupacyjnych i opustoszał dopiero w czterdziestym ósmym roku, kiedy ich granice wytyczono liniami na asfalcie. Ale w jego okolicach znalazł i tak to, czego szukał: pistolet Walther P 38, dziewięć milimetrów, wersja specjalna z tłumikiem. Pieczołowicie zakonserwowany, zarośnięty teraz pewnie wysoką trawą, czekał zakopany gdzieś w zagajniku.

Informacja od Stefana, że Gentz przebywa wciąż na wolności, była bardzo cenna. W więzieniu czy w areszcie, Rudolf nie miałby szans do niego się dostać. Adres Gentza, który podała mu kiedyś ciotka, gdzieś się zapodział. Zaczął więc od wertowania książki telefonicznej. Nie było to trudne zadanie: Gentz albo o tym nie pomyślał, albo jego pozycja w rządzie nie była na tyle eksponowana, by mógł skorzystać z prawa zastrzeżenia numeru. Nie on jedyny w Düsseldorfie nazywał się Walter Gentz, ale tylko przed jego nazwiskiem widniały dwie literki „dr”.

Mieszkał w kilkupiętrowej eleganckiej kamienicy, gruntownie odbudowanej i odrestaurowanej po wojnie. Po prawie dwóch tygodniach popołudniowych obserwacji, z położonej po drugiej stronie ulicy małej knajpki, zauważył, że Gentz wychodzi z domu raz dziennie regularnie na dłuższy spacer. Jednego wieczoru, krótko przed siedemnastą, gdy Gentz już wyszedł, zadzwonił do mieszkania dozorki. Otworzyła kobieta około sześćdziesiątki, chyba słabo słyszała, bo mówiła bardzo głośno. Podał się za gońca z ministerstwa, który ma dla Gentza list.

Nie pytał o to, ale dowiedział się, że doktor nie chodzi teraz do pracy, chyba ma wolne, a wieczorami, zwykle tak jak teraz, po czwartej, kiedy wychodzi jego gosposia, wybiera się na godzinny spacer. Opowiedziała mu też, że mieszka tylko z żoną; jej teraz nie ma, bo wyjechała, niedługo po świętach Bożego Narodzenia. Wróci pod koniec miesiąca; jest na kuracji w sanatorium. Nie, nie może zostawić nic na czwartym piętrze, gdzie mieszka doktor Gentz, bo tam mieszka tylko pani Conrad, ale jest chora, sama więc nie otwiera nikomu drzwi, a jej służącej też już nie ma. Jeśli ma list, to może wrzucić go do skrzynki numer osiem, tak jak numer mieszkania. Tu, zaraz obok windy.

Rudolf podziękował i powiedział, że wróci jutro. Był styczeń, zimno, więc dozorczynię nie mogło zdziwić, że ledwie widziała jego twarz, skrytą pod czapką i grubym szalikiem. On za to zauważył, że wejściowe drzwi do domu mają prosty zamek, łatwy do otwarcia wytrychem. Jeśli żona Gentza miała wrócić pod koniec miesiąca, oznaczało to, że akcję musi przeprowadzić już niedługo. Zdecydował się na czwartek dwudziestego siódmego stycznia tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego siódmego roku.

Rudolf był świadom, że stan psychiczny, w jakim się znajdował, był co najmniej osobliwy. Zdecydował się na spotkanie ze śmiertelnym wrogiem, a nie czuł do niego nienawiści, nie myślał też o zemście. Zbyt długo żył ze świadomością, że zemsta jest złym rozwiązaniem, i pogodził się z tym? A może żal i żaloba nie zostawiają miejsca dla innych, równie silnych uczuć? To chyba dobrze, bo nie chciał popełnić błędów, które ludzie robią zwykle w afekcie, kierowani uczuciami, a nie zdrowym rozsądkiem.

Dosłownie cieszył się na tę rozmowę, był naprawdę ciekaw tego człowieka. Może dlatego, że był on jedyną osobą, która łączyła go z tamtym, nieistniejącym dzisiaj, światem starego Jasła. Tam nauczył się kochać, tam też pierwszy raz naprawdę znienawidził. Gdy opowiadał swoją historię Anne i Stefanowi, była ona dla nich ciekawą i fascynującą opowieścią, ale mało realną. Oni nie potrafili przecież sobie takiego świata wyobrazić. Dzisiaj nikt normalny nie mógł sobie wyobrazić, do czego zdolni są zwykli ludzie w ekstremalnych warunkach: kiedy mają nieograniczoną władzę lub walczą o życie. A Walter Gentz go rozumie.

ROZDZIAŁ 43

Düsseldorf

mieszkanie Waltera Gentza

27 stycznia 1967 r.

Potrafił zreperować silnik nowoczesnego samochodu, więc prosty zamek od drzwi wejściowych do domu nie stanowił dla niego żadnego problemu. W korytarzu, ale też na wszystkich piętrach, było cicho i ciemno, jedynie przez górną, zdobioną część drzwi wpadało nieco światła z zewnątrz. Widział drzwi do windy, ale nie chciał budzić ciekawości dozorczyń, więc poszedł po schodach. Na każdym piętrze były tylko dwa mieszkania. Ósemka, na czwartym piętrze, leżała na prawo od wyjścia z windy. Rudolf stanął z lewej, na schodach, w cieniu za windą.

Po około piętnastu minutach, które wykorzystał do aktualizacji swojego planu, usłyszał, że drzwi wejściowe na dole się otworzyły. Niedługo później poznał głośny i skrzekliwy głos dozorczyń: „Dobrego wieczoru, panie doktorze”, i otwierające się drzwi windy. Po krótkiej chwili winda ruszyła w górę, by z impetem zatrzymać się na czwartym piętrze.

Wychodząc z jasno oświetlonej kabiny w mroczny korytarz, Walter Gentz nie mógł widzieć wyraźnie. Trzymał w dłoni przygotowany już pewnie w windzie klucz i nie rozglądając się, szedł prosto w kierunku swoich drzwi. Dywan, który pokrywał podłogi pięter, tłumiał kroki, więc nie mógł słyszeć idącego za nim Rudolfa. Przekręcił klucz w zamku, nacisnął klamkę i stanął w bezruchu... poczuł na ustach rękę w skórzanej rękawiczce oraz twardy ucisk lufy pistoletu na plecach. Jego wysunięta do przodu ręka zamarła. Rudi mówił cichym, ale spokojnym, rzeczowym głosem:

– Żadnych krzyków ani gwałtownych ruchów, bo natychmiast strzelam. Pistolet ma tłumik, więc nikt nie usłyszy. A teraz otwórz drzwi. Chcę tylko porozmawiać. – Gentz ocenił, że głos intruza był bardzo opanowany.

Stał dalej z ręką na klamce, którą już nacisnął. Rudolf popchnął go lekko i gdy byli wewnątrz, kazał mu wysunąć ręce do tyłu, za plecy. Związał mu je szerokim jedwabnym krawatem, który wyciągnął z kieszeni kurtki. Wybrał krawat, bo w odróżnieniu od kajdanek czy sznura, jeśli tylko nie będzie zbyt silnie zaciągnięty, nie powinien zostawić widocznych śladów na przegubach. Związał go wystarczająco mocno, aby tamten nie mógł się łatwo oswobodzić. Gentz nawet tego nie próbował. Stał w milczeniu

i w bezruchu. Rudolf zapalił w przedpokoju światło, przełożył klucz do wewnątrz i zamknął drzwi, obracając klucz dwa razy.

– Teraz cię obszukam, czy nie masz broni. A później pójdziemy do salonu. Albo do jadalni. Tam, gdzie stoi jakiś większy stół – wydał następne polecenie.

Gentz stał wciąż posłusznie, nie próbując oglądać się za siebie. Rudolf jedną ręką trzymał gotowy do strzału pistolet, a drugą dokładnie obszukał gospodarza mieszkania. Później znowu lekko go popchnął. Minęli przestronny salon i weszli do połączonej z nim jadalni. Oddzielona była od salonu przesuwanymi drzwiami. Rudolf kazał mu się zatrzymać i zająć miejsce przy końcu stołu, na krzesło, które wskazał. Tym, które znajdowało się dalej od okna. Nie chciał, aby Gentz wpadł na pomysł wyskoczenia przez okno. To było mało prawdopodobne, zważywszy na grube podwójne zimowe ramy i to, że mieszkanie położone było na czwartym piętrze. Ale przezorność nie zaszkodzi! Rudolf przeszedł na przeciwległą stronę stołu. Pierwszy raz spojrzeli sobie w oczy. Rudolf nie widział w oczach Gentza strachu, jedynie autentyczne zaciekawienie.

Jak na wtargnięcie, włamanie z bronią w rękę była to dziwna scena. Obaj mężczyźni nie wykazywali najmniejszej agresji, emocji czy nerwowości. Obaj jedynie obserwowali się uważnie, byli ciekawi przeciwnika. Jak doświadczeni pokerzyści zajmujący miejsce przy stole. Wiedzieli, że gra będzie toczyć się o wysoką stawkę, a pierwszy raz widzieli przeciwnika. Obaj wierzyli w swoje siły, więc dlaczego mieliby się bać.

Teraz Rudolf zdjął z ramion plecak i postawił go obok swojego krzesła. Płaszcz, czapkę oraz szalik rzucił na sąsiednie krzesło. Stojący na środku stołu wazon z kwiatami przestawił na blat kredensu i usiadł wygodnie na krzesło. Nie zdjął czarnych skórzanych rękawiczek.

Gentz siedział, przyglądając się nieproszonemu gościowi. Starał się przypomnieć sobie, skąd go zna, ale najwyraźniej bez rezultatu. Rudolf położył odbezpieczony pistolet po swojej prawej stronie, na blacie stołu.

– A teraz rozwiąż sobie ręce i oddaj mi krawat. Nie powinno być trudno. Zdejmij też płaszcz, kapelusz i rękawiczki. Usiądź wygodnie, dłonie trzymaj na stole, tak bym mógł je widzieć – polecił spokojnie.

Gentz faktycznie bez trudu poluzował, a następnie rozwiązał krawat. Popatrzył na naszywkę wskazującą na znanego francuskiego producenta, kiwnął z uznaniem głową i przerzucił krawat niskim łukiem na drugą stronę stołu. Zdjął wierzchnią odzież i położył ją, starannie układając, na oparciu sąsiedniego krzesła. Następnie usiadł, obserwując wciąż Rudolfa.

– Przysuń krzesło bliżej. Jeszcze bliżej. Tak, wystarczy – powiedział Rudolf.

Siedzieli naprzeciw siebie, oddaleni o długość stołu. Jakieś trzy metry. Nawet gdyby Rudi się na chwilę odwrócił, Gentz nie miał szans się do niego zbliżyć, nie robiąc przy tym hałasu gwałtownym odsunięciem krzesła.

Teraz Rudolf przyjrzał się „oskarżonemu”, jak od czasu podjęcia swojego planu w myślach nazywał Gentza. Że się zmienił i postarzał przez ćwierć wieku, od czasu, gdy kiedyś widział go w Jaśle, to oczywiste. Ale nie wyglądał na starszego radcę ministerialnego. Widać, że przynajmniej od trzech dni się nie golił.

– Pokaż mi, gdzie masz gramofon. Ale nie wstawaj. Nie ruszaj się, w żadnym wypadku – polecił.

Gentz wskazał głową na sąsiedni pokój. Rudolf rzucił okiem. Obok zielonej sofy stał odbiornik radiowy Philips, Jupiter Phono-Super 465 z gramofonem. Wyjął z plecaka karton, z którego wyciągnął dobrze zabezpieczoną płytę winylową.

– Bywają ludzie, którzy nie mają w domu płyt Wagnera. Ciebie o to nie podejrzewałem. – Jednym okiem obserwując Gentza, podszedł do radia, włączył gramofon i po chwili w mieszkaniu rozbrzmiały silne dźwięki muzyki, które nie powinny jednak zaniepokoić sąsiadów. Następnie wrócił i zasunął za sobą przesuwane drzwi. Gentz zrozumiał, że na klatce schodowej nikt już na pewno nie usłyszy, jeśli pistolet z tłumikiem wypali.

– No to teraz nikomu już nie będziemy przeszkadzali, nawet jeśli musielibyśmy być nieco bardziej głośni. Witam jeszcze raz. Dawno się nie widzieliśmy. Minęło już dwadzieścia pięć lat! Nie pamiętasz mnie, prawda? – spokojnym głosem zwrócił się do siedzącego sztywno po drugiej stronie stołu Gentza.

Tamten wciąż milczał i przyglądał mu się badawczo. Oceniał intruza na ponad pięćdziesiąt lat. Ale ostatnia wskazówka oznaczała, że mówił o początku lat czterdziestych. Czyli Jasło. Źle ocenił go na początku. To nie rabuś o wyjątkowo dobrych manierach! Kim więc był? Na Żyda nie wyglądał, mówił po niemiecku bez akcentu, nie mógł być też Polakiem z Jasła.

– Wiem, nie możesz mnie znać. Stałem na placu przy ratuszu, kiedy dumnie przejeżdżałeś obok mnie na koniu. Stare czasy. – Rudolfa ta zabawa zaczęła bawić, dorzucił jeszcze jedną wskazówkę.

– Dobrze, słucham pana, proszę powiedzieć, o co chodzi. – Gentz powiedział to pewnym siebie, zniecierpliwionym głosem.

– Nie chcę być niegrzeczny, więc proponuję, byśmy obaj używali tej samej formy, na ty. Bo nie zamierzam zwracać się do ciebie inaczej jak per ty. Nazywam się Rudolf Simon – dodał.

– Więc, panie Simon? – powtórzył Gentz.

– Wiesz, kiedyś czytałem, że życie jest jak rzeka. Bo płynie zawsze w jedną stronę, zawsze do ujścia. I tam się kończy. Nie, nie znika, ale przestaje być rzeką, odrębnym niezależnym nurtem. Rozpływa się. Wiesz, dlaczego przyszło mi to do głowy? Bo moja żona tam niedawno dotarła. I rozplynęła się. Nie wiem, gdzie jest. Nie wykluczam, że gdzieś jest, ale nie wierzę w życie pozagrobowe. Może dlatego moje życie straciło zupełnie sens. Zostały mi tylko wspomnienia. A w tych wspomnieniach występujesz i ty. Dlatego

chciałbym porozmawiać o tobie, twojej roli w naszym życiu i o tym, jaki sens ma twoje życie. – Rudolf mówił spokojnie, ważąc każde słowo.

Gentz był świadom, że ten człowiek, kimkolwiek był, nie wpadł tu na pogawędkę i że ta spokojna rozmowa w każdej chwili może przyjąć zupełnie inny obrót. Nie przypominał sobie, aby kiedykolwiek, w Jaśle czy gdziekolwiek, zrobił krzywdę jakiejś kobiecie, jakiejś Niemce. Na żydowskiego agenta z Mosadu nie wyglądał. Miał klasyczną aryjską twarz. Ta kobieta zmarła niedawno? Tym bardziej. Więc to pewnie pomyłka i wszystko zaraz się wyjaśni. Intruz nie był agresywny, lekko rozdrażniony, lecz panował nad sobą. Ostrzeżenie o użyciu broni Gentz wziął poważnie, ale nie odczuwał strachu. Był ciekaw, dokąd ta rozmowa prowadzi. Zachowywał więc poważną minę, próbując wczuć się w tę osobliwą sytuację. W milczeniu skinął głową.

Obcy człowiek chciał rozmawiać z nim o jego życiu? Dobrze. Od czasu, gdy praktycznie zmuszono go do przejścia na przedwczesną emeryturę, temat ten stał się dla niego ważny. Już wiedział, że nie uniknie procesu, a w sądzie pewnie zmuszą go do takiej rozmowy. Przygotowywał się do niej. Szukał wskazówek w książkach, które pobudzały go do takiej refleksji. Próbował też krytycznie spojrzeć na swoją przeszłość. Dotychczas uważał, że może być z siebie dumny. Owszem, miał też swoje wątpliwości, ale nie miał nigdy możliwości z kimś o tym rozmawiać. Z żoną nawet nie próbował. W ogóle od lat już mało ze sobą rozmawiali. A teraz ten osobliwy człowiek, z bronią w ręku, zadawał mu takie pytania. Interesujące!

– Zaczyna pan bardzo zagadkowo. Nie rozumiem, co mogę mieć wspólnego z pańską małżonką, ale proszę przyjąć moje wyrazy współczucia. Przykro mi bardzo i rozumiem, że takie przeżycia nastroją człowieka filozoficznie. Od lat młodości kocham filozofię – odpowiedział Gentz.

– Filozofię? Co mógł czytać młody nazista? Tanią propagandę – powiedział Rudolf, świadomie go prowokując.

– Zawsze fascynował mnie Nietzsche. Skończyłem właśnie, po raz wtóry, *Der Wille zur Macht*³⁵ – odrzekł Gentz, zresztą zgodnie z prawdą.

– Niesamowite! Faszysta, który rozumie Nietzschego! – Rudolf zaśmiał się.

– Zdziwiał mnie pan. Jego filozofia pokrywa się z ideą wielkiego niemieckiego narodu. On do dziś nie przestaje motywować, daje mi energię, porywa! – Gentz wypowiedział to prawie teatralnym tonem.

– Nietzsche wiedział, że wy, faszyści, zachowujecie się jak plądrujący żołdaci: narzekają, ale grabią to, co im się przyda, a resztę niszczą, poniewierają – z niesmakiem odpowiedział Rudolf.

– Bez urazy, cytuje go pan, ale nie zrozumiał. Marzył o nowych Niemczech, silnych i wielkich. Oczywiście jest też, że był antysemitą! – dodał Gentz, jakby było to ważne.

– Człowieku! Nietzsche był w równym stopniu antysemitą, co antychrześcijaninem, antymuzułmaninem i antybuddystą. Gdyby żył za Hitlera, wsadzilibyście go bez namysłu

do obozu koncentracyjnego, jak każdego innego wolnego, niezależnego człowieka! – Rudolf podniósł głos.

Ich wymiana zdań przypominała pierwszą fazę starcia szermierzy. Lekkie uderzenia badające refleks i umiejętności przeciwnika. Gentz jakby zapomniał, że po drugiej stronie stołu leży odbezpieczony pistolet, a Rudolf, że chodzi o największego osobistego wroga. Gentz mógł pierwszy raz od dawna znowu rozmawiać z kimś na temat, który nurtował go od lat, a Rudolfa ucieszyło, że tamten podjął wyzwanie. Bo tylko przy jego aktywnej współpracy, uczestnictwie w rozmowie zdoła przeprowadzić zaplanowany proces: ocenić motywy oskarżonego, dokonać refleksji nad tym, co się stało, dać mu szansę na okazanie ewentualnej skruchy, a w końcu też i przyznania się do winy.

– Widzę, że różnimy się w tej kwestii, i to bardzo wyraźnie. Ale chyba nie po to wdarł się pan do mojego domu. – Gentz wiedział, że nie byłoby dla niego korzystne, gdyby którakolwiek ze stron straciła nerwy.

Rudolf też miał dość tej wymiany zdań. „Oskarżony” jasno określił swoje przekonania. Minęło ponad dwadzieścia lat, a on w najmniejszym nawet stopniu nic nie zrozumiał, nie zmienił się. Nie mogło być mowy o skruszce. Teraz musiał jeszcze tylko usłyszeć z jego ust potwierdzenie, że podczas wojny nie tylko wypełniał rozkazy, ale też że działał rozmyślnie, z własnej inicjatywy.

– Zgoda, przejdźmy więc to rzeczy.

– Jestem tu prywatnie. Wiesz, że wcale nie tak dawno jeszcze chciałem cię udusić? Gołymi rękami. A teraz chcę ci pomóc. Wiem, że czeka cię proces. Liczysz pewnie, że jak większość podobnych tobie uda ci się wyjść z tego bez większego szwanku. Chcę zaproponować ci interes – powiedział to z uśmiechem, którego Gentz nie potrafił zrozumieć i nazwać.

Odetchnął. A jednak tylko przestępca, zależało mu na pieniądzach. Nie był agresywny, można z nim rozmawiać, więc poradzi sobie. Jako pracownik Ministerstwa Finansów miał często do czynienia z ludźmi robiącymi przekręty finansowe. Interesy? Umiał pertraktować. Kiwnął głową, pokazując, że jest gotów do negocjacji.

– Jeśli staniesz przed polskim sądem, nie wezmą pod uwagę tego, że byłeś nikim, małym zerem w tym całym systemie. Wykonywałeś polecenia. A i tak skazą cię na karę śmierci! Dlaczego? Bo ty sam chciałeś być kimś. W Jaśle byłeś widoczny. Twoją gębę pamiętają tam do dzisiaj. Byłem tam po wojnie, rozmawiałem z ludźmi. Chętnie cię znowu zobaczą! – Mówiąc to, patrzył mu teraz prosto w oczy.

Gentz nic nie powiedział, ale jego szeroko otwarte oczy mówiły za siebie.

– Widzę, że opcja procesu przed polskim sądem mniej ci się podoba. Rozumiem. Tam, w odróżnieniu od zachodnich Niemiec, nie zniesiono kary śmierci. Ale nie wyrok i egzekucja są najgorsze. Najstraszniejsze są dni, miesiące i lata, które tam spędzisz, czekając na to, co nieuchronne. Najgorsze są noce. Będiesz tam zupełnie sam, wśród

ludzi, którzy cię szczerze nienawidzą. – Rudolf opowiadał to, jakby znał taką atmosferę. Był w sowieckiej niewoli.

Gentz robił się niespokojny. Jego oczy pierwszy raz zaczęły wędrować po pokoju, w którym siedzieli. Szukał wyjścia z sytuacji, która już przestała mu się podobać.

– Nie rób sobie najmniejszej nadziei. Nikt nic nie usłyszy, nawet jeśli wpakuję ci w łeb pełny magazynek. Jedno jest pewne: pod niemiecki sąd cię nie oddam. Mam za to dla ciebie dwie inne opcje, do twojego wyboru: sąd w Polsce albo tutaj. Dzisiaj, teraz!

Siedzący po drugiej stronie stołu Gentz, wciąż z dłońmi równo ułożonymi na blacie stołu, wzdrygnął się. Lekko odrzucił głowę do tyłu, jakby obudził się ze zubożenia. Ostatnie tygodnie, gdy był tu sam, bez żony, popadł w silny stan odrętwienia, zwątpienia w sens dalszego życia, depresji. Wiedział, że w Jaśle i okolicy ma wielu wrogów. Liczył się nawet z gośćmi z tamtych stron i gdy Rudolf wspomniał pierwszy raz o Jaśle, gdyby przyjrzał mu się dokładniej, zauważyłby w oczach Gentza obok zdziwienia też ulgę. Ucieszył się, że jego katem będzie wykształcony elokwentny Niemiec, który przed wykonaniem wyroku chce z nim rozmawiać. To lepsze niż jedynie błysk w lufie pistoletu. Ale o jakim sądzie on mówił?

– Kim jesteś?! – krzyknął w kierunku Rudolfa, który natychmiast położył dłoń na leżącym obok waltherze P38.

– Prosiłem! Żadnych gwałtownych ruchów! Jeśli strzelę, nie zabiję cię, mam wprawę. Opatrzę cię i obiecuję, że będziesz w stanie wytrzymać kilkudniowy rejs z Hamburga do Gdyni. Polski frachtowiec jest tam właśnie rozładowywany, wypływa pojutrze.

³⁵ Wola Mocy.

ROZDZIAŁ 44

Düsseldorf

mieszkanie Waltera Gentza

27 stycznia 1967 r.

Gentz przymrużył oczy i patrzył na niego bez słowa.

– Wydaje mi się, że gdybyś dorastał i żył w normalnym świecie, mógłbyś stać się całkiem przyzwoitym, godnym zaufania człowiekiem. Miałeś pecha, jesteś produktem dobrze zorganizowanego, przemyślanego prania mózgów. Nauczyci cię chorego patriotyzmu: że twoja ojczyzna jest lepsza od innych. W zupełności ci to wystarczało, by gardzić wszystkimi innymi. Nie dojrzewałeś, lecz cię tresowano. Za młodu dobrowolnie dałeś zamknąć się w mentalnej klatce. Nigdy nie chodziło im o miłość do własnego kraju, lecz jedynie o pogardę dla wszystkich innych, nawet we własnym kraju, jeśli tylko myśleli inaczej. Prawda?

Nie oczekując odpowiedzi, kontynuował. Podsuwał mu łatwe rozwiązanie, ale liczył na to, że niezwykle silna duma nie pozwoli Gentzowi zredukować siebie tylko do roli pomocnika, wykonawcy rozkazów.

– Dałeś się nabrać pseudofilozofii celującej w odczłowieczaniu innych. Z przekonaniem i entuzjazmem, w dobrej wierze, wykonywałeś wszystkie barbarzyńskie rozkazy; eliminowałeś prymitywne, niegodne życia istoty. Kazano ci udowodnić sobie i im, żeś *Übermensch*, że posiadasz *wolę mocy*. To pojęcie, którego nie rozumiesz do dzisiaj. Tylko ludzie wielcy potrafią być naprawdę wolni, nie tracić kontroli nad własnym życiem.

Gentz wciąż milczał. Mrużył oczy, udając, że chce dokładnie zrozumieć każde słowo, choć od pierwszych słów Rudolfa Simona uważał jego interpretację za intelektualne brednie.

– Spaliłeś Jasło, bo nie potrafiłeś wyjść poza siebie, tak jak uczynił to komendant Paryża, generał Dietrich von Choltitz, który odmówił wykonania tak podłego rozkazu! Dokładnie takiego, jaki i ty otrzymałeś! Zniszczyłeś Jasło nie dlatego, że tego chciałeś! Bałeś się kary za niewykonanie rozkazu. Nietzsche powiedziałyby więc, że masz mentalność niewolnika!
– Rudolf zamilkł na chwilę.

„Oskarżony” słuchał, nie koncentrując się na treści, bo odrzucił ją jako prowokację. Gorączkowo myślał, jak ma zareagować. A jeśli to już ten sąd, o którym była mowa? Sprzeciw go przecież pogrąży! Zaczął chwytac pojedyncze myśli i zauważył, że są dla

niego korzystne. Nie wolno mu więc rozgniewać „oskarżyciela”, który nie wie, czemu przejmuje teraz rolę jego obrońcy.

– Myślałeś, że planowałeś i zarządzałeś mordami? Byłeś tylko wykonawcą planu, który powstał dużo wyżej! Takich jak ty, równie bezmyślnych, bo wyszkolonych i fanatycznie oddanych sprawie, były tysiące, setki tysięcy. Jak was sądzić? Jeśliby chcieć was wszystkich naraz powiesić, zabrakłoby drewna na szubienice. A zmienić was też się nie da: sam Adenauer powiedział, że całego narodu nie można położyć na kozetce psychoanalityka – bo przecież nie ma tak wielkich kozetek.

Na chwilę zatrzymał się, jakby szukał słów.

– Dlatego uważam – aha, mówiłem ci już, że nie jestem prawnikiem? – że twoja wina, uwzględniając panujące wówczas prawo, nie jest dla mnie jednoznaczna. Ale jeśli się nie dogadamy, zawsze możemy oddać to pod osąd specjalistów. W Krakowie czy Warszawie. Niech oni zdecydują. Profesjonalnie i zgodnie z prawem – dodał, jakby się zastanawiając, czy nie popełnia błędu. Czekał na reakcję Gentza.

Ten patrzył na swojego coraz bardziej nieobliczalnego gościa z całkowicie niepewną już miną. Jako prawnik rozumiał, że Rudolf improwizuje, że jego próba „uzasadnienia wyroku” jest laicka. Cały ten stos rzekomych oskarżeń zupełnie nieoczekiwanie prowadził w kierunku jego rozgrzeszenia. Nie wiedział, jak to rozumieć, ale na pewno nie chciał ciągnąć wątku polskiego sądu. Odpowiedział krótko:

– Zgadzam się. Byłem urzędnikiem, wykonywałem tylko swoje obowiązki. Robiłem to, co mogłem, by walczyć z wrogami ojczyzny. Wykonywałem rozkazy. – Głos miał spokojny, choć wewnętrznie dygotał. Chciał mieć tę farsę jak najszybciej za sobą.

Simon był nieco rozczarowany. Miał nadzieję, że duma nie pozwoli Gentzowi na tak proste rozwiązanie, niegodne bohatera, za jakiego się zawsze miał. Trudno, to jeszcze nie koniec rozprawy.

– Jak mówiłem, nie posiadam wystarczających kompetencji. Ale mam jeszcze jedną, zupełnie konkretną i bardzo osobistą sprawę. Nie będę wchodził w szczegóły, bo ty znasz je lepiej niż ja. Poza tym są dla mnie wciąż zbyt bolesne. Mógłbym stracić panowanie nad sobą. Wierz mi, Gentz, że tego nie chcesz. – Rudolf nie chciał mówić o szczegółach tego, co wydarzyło się po jego wyjeździe z Jasła, bo były mu wciąż nieznane.

Gentz przełknął i te obelgi. Tylko tak miał szansę ująć z życiem z tego spotkania. Całą swoją postawą dał Rudolfowi do zrozumienia, że zamienia się w słuch.

– Wychowano cię w bezwzględnym posłuszeństwie, a z natury jesteś raczej uczciwy. Ale... jesteś tylko człowiekiem, istotą słabą. Wiedziałeś, jak wielu twoich kumpli nazistów zarobiło na wojnie. Wiesz chyba, że nawet w kręgach zbliżonych do Hitlera znane było powiedzonko: *Im Westen liegt Frankreich, im Osten wird Frank reich*³⁶. Twój dobry znajomy umeblował swój prywatny zamek skarbami z Wawelu. A ty? Nędzna chudzino? Co miałeś z tej służby dla ojczyzny, oprócz frajdy, że masz za darmo dziwki, poznęcasz się

nad ludźmi czy zastrzelisz dla zabawy kilku Żydów? I wtedy dowiedziałeś się o Rembrandcie! – Rudolf powoli, dawkując napięcie, doszedł do puenty i trafił w sedno.

Gentza jakby poraził piorun. Nikt o tym nie wiedział! Nawet żona i dzieci. Jedynie Gurlitt, a ten od lat już nie żył! Nieważne, sprawa była przynajmniej jasna – facet chciał pieniędzy. Tylko co miała z tym wspólnego jego żona? Pewnie chorowała, brakowało im środków na leczenie.

– Nie wiem, skąd pan to wie, ale faktycznie, przywiozłem ze sobą z Polski kilka wartościowych obrazów. Otrzymałem je w prezencie. Nie kłamię. Tego Rembrandta także nie odebrałem siłą. Przysięgam! Niestety sprzedałem go, dawno temu. Pieniądze łatwo się rozchodzą. Wykształcenie dzieci, urlopy. Niewiele z tego zostało, ale mogę pana wspomóc – powiedział.

– Nie, nie chodzi o pieniądze. Rozmawiamy o wartościach, sensie życia, moralności. Stoisz przed sądem. Dlaczego więc kłamiesz? Nie otrzymałeś obrazu w prezencie. Ostrzegalem, nie jestem prawnikiem, jestem oskarżycielem, jednak osobą prywatną i dla mnie osobiście to była twoja największa zbrodnia. Bo wtedy nie wykonywałeś rozkazów, w tym przypadku byłeś mózgiem całej operacji i sam ją wykonałeś. Działałeś z najniższych ludzkich pobudek.

Gentz oniemiał, jedyne, co przyszło mu na myśl, to zaprzeczenie.

– To nieprawda...

– Nie kłam! Jesteś w sądzie. Przez to cholerne malowidło zniszczyłeś kilka ludzkich żywotów. W tym i moje. Nie potrafię już kochać, a nawet nienawidzić. Chciałem z tobą rozmawiać, a jeśli możliwe, nawet cię zrozumieć. Nie szukam zemsty, lecz sprawiedliwości... Ale nie kłam! Powiedziałem to już ostatni raz! – Rudolf był na granicy wytrzymałości, walczył o panowanie nad sobą.

– Kim jesteś? – zapytał Gentz. Jego głos stał się spokojny, Gentz stracił nie tylko pewność siebie, ale też całą energię. Był kompletnie dezorientowany. Każda z jego hipotez dotyczących motywów Rudolfa Simona odpadła, jedna po drugiej. Poddał się.

– Jestem mężem Zofii Kaczkowskiej z Jasła. – Rudi powiedział to cicho, bez emocji. – Po wojnie odnaleźliśmy się i pobraliśmy. Tu, w Niemczech. Zmarła niedawno, na suchoty, których nabawiła się pewnie już w Szebniach. A może później? Na robotach, tutaj w Niemczech? Nie wiem...

Zapadła cisza. Gentz układał sobie w głowie wszystko to, co teraz dopiero rozumiał.

– Czyli ty jesteś tym żołnierzem, który...

– Tak – krótko odpowiedział Rudi. Czuł się zupełnie wyzuty nie tylko z wszelkich uczuć, ale i energii. Żaden z nich nie chciał już o nic pytać ani wyjaśniać. Dla obu sprawa była właściwie jasna.

W głowie Gentza wciąż brzmiało jednak to jedno pytanie: jak to możliwe, że Zofia przeżyła Szebnie? Ktoś musiał jej w tym pomóc, zwolnić ją. Szef Gestapo osobiście potwierdził mu przecież, że spełni jego życzenie, wyrok, który mu przekazał. A on brzmiał

„do końca wojny”! Samodzielnie stamtąd by nie uciekła. Ktoś ją wypuścił, zmienił wyrok. To musiała być ta sama wpływowa, ale niewidoczna osoba, która doniosła szefostwu w rządzie Generalnej Guberni w Krakowie o jego udziale w egzekucjach. Kto to mógł być?

Gentz zrozumiał, że siedzi nie tylko naprzeciw swojego sędziego. Ten człowiek będzie także jego katem. Bez pośpiechu rozważał, czy dalsza rozmowa, a właściwie spowiedź, bo nie miał siły na kłamstwa, ma jakikolwiek sens. Wyrok był przesądzony. Przyznałby, zupełnie szczerze, że chyba ją nawet pokochał i że naprawdę żałuje tego, co jej zrobił. A obraz i uzyskane z jego sprzedaży pieniądze chętnie by zwrócił, gdyby tylko mógł. Nie przyniósł mu szczęścia. Dzieci zerwały z nim kontakt, żona z nim nie rozmawiała. A ten obraz miał zapewnić im szczęście i dobrobyt.

Jakie było inne wyjście? Stanąć przed polskim sądem? Jego rodzina nigdy tam nie pojedzie, nawet nie będzie miał grobu. Prochy takich jak on rozsiewało się po łąkach i lasach. Sprowokować intruza, by go zastrzelił? Szukał łatwego rozwiązania. Ale to były żołnierz, potrafił obchodzić się z bronią. Sam mu odradzał. Odsunął więc powoli krzesło, aby nie sprowokować Rudolfa, i stanął wyprostowany.

– Jestem winny. Rezygnuję z obrony. Strzelaj – powiedział mocnym głosem, jakby zebrał wszystkie siły do wygłoszenia tego ostatniego zdania.

Rudolf spojrział na niego, nie podnosząc głowy.

– Strzela się tylko do prawnie skazanych żołnierzy. Nigdy nie byłeś żołnierzem, ty tchórze. A strzelać jak do psa, w potylicę, jak ty to robiłeś, nie będę – odpowiedział.

– Chętnie się powieszę, ale jak, na krawacie? Odraczamy wykonanie wyroku do jutra, kiedy otworzą sklepy? – odwarknął Gentz.

– Mówiłem, że jestem przygotowany. – Rudolf podniósł z podłogi plecak, położył go na stole, odpiął klamrę paska, a następnie wyłożył na stół starannie splecioną pętlę na długim sznurze. I znowu zamknął plecak. Bez pośpiechu.

Przez chwilę obaj siedzieli w milczeniu, aż Gentz wydusił z siebie:

– Jestem gotów, zaczynaj.

– To twoja decyzja i twoja sprawa. Ja chciałem tylko doprowadzić cię pod sąd. Obiecałem żonie, że cię nie zabiję – odpowiedział i silnym ruchem popchnął sznur na drugą stronę stołu.

Po niedługiej chwili Gentz wstał. Zdjął marynarkę i powiesił ją na oparciu krzesła. Następnie buty. Ustawił je obok siebie, w równej linii pod krzesłem. Spojrział na sufit. Na grubym haku zwisał ciężki kryształowy żyrandol, który oświetlał stół, gdzie siedzieli. Powoli, z rozmysłem, odstawił dwa pierwsze krzesła stojące wzdłuż stołu. Skinięciem głowy i wzrokiem wskazał Rudolfowi trzecie krzesło. Ten wziął ze stołu pistolet, wstał i odstawił krzesło. Wspólnie przesunęli na bok długi ciężki stół. Pod żyrandolem zrobiło się wolne miejsce. Gentz postawił tam jedno z wolnych krzesel. Wziął linę z pętlą i z pewnym trudem, lub ociąganiem, wdrapał się na nie. Akurat sięgał do haka. Wymierzył

długość i na końcu liny zawiązał węzeł. Żadna trudność, był kiedyś żeglarzem. Widział też niejedną egzekucję.

Po kilku minutach w pokoju zapanowała śmiertelna cisza.

Rudolf liczył na taką decyzję Gentza. W Hamburgu nie czekał na nich żaden statek.

Z bocznej kieszonki plecaka wyjął niewielki kolorowy obrazek. Starannie ułożył go na stole, zgodnie z kierunkiem, w jakim ustawione były buty, stojące pod stołem. W rękawiczkach nie było to łatwe. Smutno uśmiechnął się do podobizny Świętego Antoniego spoglądającego na niego z obrazka. Wazon z kwiatami przestawił znowu na stół. Nie zapomniał o swojej płycie gramofonowej. Rozejrzał się jeszcze raz, czy niczego nie zapomniał, ubrał się, zgasił światło i opuścił mieszkanie. Klucz zostawił w środku, w niezamkniętych drzwiach.

³⁶ Gra słów: Na zachodzie leży Francja (*Frankreich*), na wschodzie bogaci się Frank (...*wird Frank reich*).

ROZDZIAŁ 45

Münster

listopad 2016 r.

Kiedy Anne Seifert zakończyła opowieść, w pokoju zapadła cisza. Niby fakty były już wcześniej znane lub możliwe do przewidzenia, a jednak jej opowiadanie zmieniło perspektywę, a na usta cisnęły się nowe pytania. Było już późno, nie chcieli przeciągać wizyty, ale Hanna chciała, musiała zadać to jedno pytanie.

– Jak pani sądzi, dlaczego Rudolf zechciał się przed panią aż tak dalece otworzyć?

– Po odejściu na emeryturę regularnie widywaliśmy się tylko dwa razy w roku: na moje urodziny w grudniu i jego urodziny, zawsze pierwszego maja – zaczęła Anne. – Pamiętam, musiało to być w marcu osiemdziesiątego szóstego, bo właśnie ustąpiły mrozy, kiedy Rudolf zadzwonił niespodziewanie i zaprosił mnie do siebie. Zdziwiłam się, że tylko mnie, ale Stefan miał akurat dyżur, więc nie było problemu. Od razu zauważyłam, że był poważnie chory. Powiedział, że już w styczniu zaczął się źle czuć, a teraz zdiagnozowano silne zwiężenia dróg żółciowych oraz zapalenie trzustki. Stwierdził, że słabym uśmiechem, że wszystkie znaki na niebie i ziemi wskazują na to, że koniec jest bliski.

Stefan przytaknął. Kontynuowała:

– Nic na to nie odpowiedziałam, ale zrozumiałam, co miał na myśli. O komecie Halleya pewnie słyszeliście. Choć nie wiecie pewnie, że w dwudziestym wieku pierwszy raz rozświecała niemal dosłownie całe niebo właśnie wtedy, gdy urodził się Rudi. Następne peryhelium komety nastąpiło natomiast właśnie w tym czasie, gdy dowiedział się o swojej chorobie, bo dziewiątego lutego osiemdziesiątego szóstego! Wnioski, jakie wyciągnął z tego, były jasne. Nie był zabobonny, ale taki zbieg okoliczności zmusiłby każdego do zastanowienia. Szczególnie że ponownie tę komętę zobaczymy dopiero w dwa tysiące sześćdziesiątym pierwszym roku! Rudolf zmarł niecały miesiąc po naszym spotkaniu.

Wszyscy słuchali w skupieniu. Hanna i Norbert spojrzeli na siebie jakby ze zrozumieniem.

– Chciał mnie widzieć, bo był pewien, że niedługo umrze. Nie wydaje mi się, by bał się śmierci. – Przez chwilę się zastanawiała. – Chciał się na nią przygotować? Odejść z czystym sumieniem, bez tajemnic? Musiał komuś powiedzieć pełną prawdę, a okazało się, że po śmierci Zofii to ja byłam najbliższą mu osobą. Ten człowiek przeżył w rosyjskim łagrze piekło na ziemi. Mówił mi, że wtedy często myślał o Bogu, choć wówczas był już

ateistą. Naszej rozmowy nie traktował jako formy spowiedzi, bo wówczas oczekiwaby zrozumienia lub rozgrzeszenia. A to mu nie było potrzebne.

Znowu zamilkła i sięgnęła po szklanę z wodą. Profesor przez cały czas ją obserwował; nie ingerował, był najwyraźniej zadowolony ze swojej dzielnej pacjentki.

– Wtedy dowiedziałam się, że od śmierci Zofii dużo czytał, głównie książki filozoficzne. Przed wojną interesował się filozofią, lecz głębiej zajął się nią dopiero wtedy. Niektórzy wracają w takich momentach do Biblii. On też szukał swojej drogi duchowości, ale bez Boga. Święty Antoni wykonał swoją robotę dobrze – zaśmiała się – choć Rudi chyba nie traktował ani jego roli, ani zasług zbyt poważnie. Chętnie z nim rozmawiał, lecz nie jak z osobą świętą, tylko z zaufanym znajomym o dużym życiowym doświadczeniu. Teraz szukał dla siebie religii. Tego wieczora dużo mi o tym opowiadał. Bóg osobowy, istniejący ponad światem i poza naturą, nie jest wcale potrzebny, by wejść w świat duchowości. Budda, Laozi czy Konfucjusz nie byli bogami, tylko myślicielami, mądrymi i wolnymi w swoich poglądach ludźmi. Tak stali się dla milionów duchowymi nauczycielami. Czytając Nietzschego, którego w tamtych czasach trudno było pominąć, natknął się na pisma Barucha Spinozy. Ten żydowski filozof także nie wierzył w Boga, osobowego, zewnętrznego wobec natury i wyższego od niej. „Nie zaprzeczam, że Bóg istnieje, bo tego nie wiem, bo skąd? – powiedział mi wtedy – ale jestem przekonany, wierzę, że Boga nie ma”.

Hanna spojrzała na męża, jakby niepewna, czy powinna ciągnąć tę dyskusję, którą teraz jakby na nowo zapoczątkowała. Nie po to przecież tutaj przyszli, ale temat ten ją także ciekawił.

– Spinoza inspirował nie tylko filozofów. Albert Einstein też uważał, że jeśli Bóg istnieje, to tylko w takiej postaci, jak widział go Spinoza – wtrąciła.

– A ja wierzę w Boga – stwierdził profesor Stefan Seifert z pełnym spokojem. – Zgoda, w pewnym sensie zgadzam się z Einsteinem, że jako ludzie jesteśmy słabi i dlatego jest nam potrzebny. Nie dlatego wierzę, że posiadam lepsze dowody niż on, ale myślę, że inaczej pogubiłbym się w tym zwariowanym świecie. Ja faktycznie Go potrzebuję. Zgoda, nie są to najsilniejsze argumenty na istnienie Boga, ale lepszych nie mam, a te są dla mnie wystarczające. Mam przynajmniej wsparcie, a ateści pozostają w trudnych momentach zupełnie sami – stwierdził. Nie chciał nikogo przekonywać.

– Rozumiem cię, kochanie. Pozwól, że wrócę do rozmowy z Rudolfem Simonem, bo jego argumenty wydały mi się bardzo ciekawe – wtrąciła się znowu Anne.

– Wszystko funkcjonuje zgodnie z prawami natury. Także i my, ludzie. Naturą nie była dla niego otaczająca nas przyroda, lecz wszystko, co istnieje. I wszystko to było dla niego boskie! – powiedziała i sięgnęła po szklanę. Wzięła łyk wody i ciągnęła: – Mówił też o miłości do swojego Boga. Dla niego polegała ona na rozumieniu i szanowaniu praw przyrody. Spinoza nazwał to „miłością intelektualną”, w której nie możemy liczyć na wzajemność, łaskę, cud czy zrozumienie naszych problemów i trosk – dodała.

– Tak – włączyła się Hanna. – Nigdy nie wiedziałam, jak kochać Boga, który nas stworzył i decyduje o naszych losach. Dla mnie było to zawsze połączenie szacunku z respektem, a właściwie chyba ze strachem. Trudno sobie wyobrazić, że Bóg słyszy wszystkie nasze modlitwy, współczuje nam i dlatego je spełnia. Mieliśmy zbyt wiele przykładów na to, że to nie działa. A stwierdzenie, że „Bóg tak chciał”, brzmi nie tylko cynicznie, ale wręcz jak oskarżenie, biorąc pod uwagę miliony niewinnych ofiar. – Zacisnęła usta.

– Człowiek stworzył sobie Boga na swoje podobieństwo. Spinoza fajnie to ujął: gdyby trójkąty umiały myśleć, stworzyłyby trójkątnego Boga – skonstatowała Anne.

– Wow, Anne. Zaskakujesz mnie. – Profesor spojrział na nią z podziwem, a jednocześnie widocznym zdziwieniem.

– Wszystko to było dla mnie zupełnie nowe, ale chciałam zrozumieć, o czym mówił, więc trochę o tym czytałam – powiedziała lekko speszona. – Poczekajcie, bo teraz będzie coś, czym Rudi mnie naprawdę poruszył. Jakoś tak wyszło, że zrozumiałam z jego słów, że odkrył Boga, że widział go, spotkał na swojej drodze w momencie, gdy naprawdę go potrzebował.

– A więc jednak Bóg istnieje. W trudnych chwilach odnajdują go wszyscy, nawet ateści – mruknął Stefan z samozadowoleniem.

– Opowiem wam to tak, jak słyszałam od niego. Na mnie zrobiło to wrażenie – powiedziała i dalszy ciąg opowieści przedstawiła w pierwszej osobie, jakby była Rudolfem. Okazało się, że ma też talent aktorski.

Na początku kwietnia czterdziestego ósmego, razem z Klausem Schirmerem, kolegą, z którym od początku dzieliłem barak, zdecydowaliśmy się na ucieczkę. Nie mieliśmy nic do stracenia. Jeśli trzy lata po wojnie wciąż jesteśmy tutaj, oznacza to, że, jak i inni nasi koledzy niedługo i tak tu umrzemy. Świat o nas zapomniał. Zima tego roku, jak i dwie poprzednie, dała nam się porządnie we znaki. Ale na początku kwietnia przyszło wyraźne ocieplenie. Postawiliśmy wszystko na jedną kartę w nadziei, że topniejący śnieg pomoże się nam skryć przed psami, a zbliżająca się wiosna pozwoli dojść możliwie daleko na zachód. Czy był to dostatecznie dobrze przemyślany plan? Wątpię, ale dawał choćby minimalną szansę na wolność. Obóz nie był specjalnie silnie strzeżony, bo niewielu zbiegom udało się kiedykolwiek uciec. Zwykle wpadali w ręce okolicznych wieśniaków. Zdecydowaliśmy się więc omijać wioski i wolno stojące zagrody. Oprócz dwóch noży, prymitywnego krzesiwa do rozpalania ognia i tygodniami gromadzonych zapasów chleba mieliśmy jeszcze koce, grube waciaki, czapki i filcowe walonki. Buty te doskonale chronią przed zimnem, niestety filc przepuszcza wodę. Tylko spód był powlekany gumą. Na początku wszystko szło dobrze. Nie zauważyliśmy, żeby nas poszukiwano. Po około dwóch tygodniach zaczęliśmy odczuwać coraz silniejszy głód. Drobną zwierzynę owszem, widzieliśmy, lecz jako myśliwi okazaliśmy się mierni. Opadaliśmy coraz bardziej z sił. Pogoda się zmieniła, temperatura opadła. Staraliśmy się iść na zachód, kierując się słońcem i omijając z daleka osiedla

ludzkie. Pewnego ranka obudziliśmy się kompletnie wycieńczeni. Wtedy on się pojawił. Patrzyłem na niego jak na przepiękne, niewiarygodne wprost zjawisko.

W odległości może dwóch metrów przed nami siedział duży pies i przyglądał się nam. Musiał to być jeszcze szczeniak, choć już dobrze wyrosnięty. Miał grube silne łapy i wyglądał, jakby był spasiony. Pewnie z powodu zimowego puszystego futra. Wachłował powoli ogonem. Cieszył się, że nas odkrył. Nie bał się ludzi. Zagubił się? Szturchnąłem Klause. Otworzył oczy, spojrzął i powiedział tylko: „O Boże”, a następnie powoli sięgnął po nóż. Pies podszedł bliżej do mojej wyciągniętej w jego stronę ręki. Gdy schwyciłem go za sierść, rzuciliśmy się na niego obaj. Z nożami.

To była największa uczta, jaką pamiętam od chwili, gdy trafiłem do niewoli. Byliśmy syci, zanim rozpaliliśmy ogień, na którym upiekliśmy resztę mięsa. Wyglądaliśmy obaj jak drapieżcy, zwierzęta, które nasyciły swój głód. Nasze twarze, ręce i ubranie były wysmarowane krwią. Jakies dziesięć dni później schwytano nas. Okoliczni chłopci najpierw zbili nas do nieprzytomności kijami, a następnie odstawili saniami na milicję. Okazało się, że kręciliśmy się w kółko i nie odeszliśmy daleko od obozu. Niedługo później przeniesiono nas do obozu w Borysowie na Białorusi.

Anne skończyła i z zadowoleniem stwierdziła, że jej opowiadanie zrobiło wrażenie na słuchaczach. Kontynuowała więc:

– To spotkanie właśnie Rudi nazywał spotkaniem z Bogiem, a później modlił się, rozmyślając o cudzie natury. Nietzsche mówił, że w naturze nic nie dzieje się bez przyczyny i nie istnieje w niej też pojęcie dobra i zła. Ona decyduje o sobie, a my jesteśmy tylko jej częścią. Ona pozwala nam przeżyć lub nie. Jak mi powiedział, Bóg to nie siwy starzec, który rządzi całym światem. To mała pszczoła decyduje, ile owoców wyda drzewo, a zabłąkany pies ocali czasem życie ludziom. Ale nie dzieje się to z litości czy z czyjejś łaski. To spotkanie było dla niego prawdziwym sakramentem, komunią. – Głos Anne był teraz pełen napięcia.

– Prawdziwy sakrament komunii? Kpisz z rytuałów kościelnych? – zapytał jej mąż, wyraźnie w nastroju do obrony swoich przekonań.

– Nie kpię, tylko niektórych nie rozumiem, a opowieść Rudiego akurat do mnie trafiła – odpowiedziała.

Przez dłuższą chwilę wszyscy milczeli.

– Moi drodzy, przepraszam, chyba zbyt głęboko weszłam w ten temat, ale zależało mi na tym, byście się dowiedzieli, jaki był i jak myślał Rudolf. Aby osądzać człowieka, nie wystarczy chyba sama znajomość prawa – warto też znać sądzoną osobę. Pytała pani, dlaczego tak się otworzył? Bo twierdził, że jeśli spowiedź ma przynieść ulgę, musi być nie tylko szczera, ale i kompletna. Teraz już wiecie, dlaczego w ruinach Jasła złożył pokłon błakającemu się tam psu. Ach, zresztą dopiero wtedy opowiedział mi o swoich uczuciach do mnie, zanim jeszcze w jego życiu pojawiła się znowu Zofia. Ale o tym mówiłam już wcześniej.

– O, nie wyganiem państwa, ale zrobiło się naprawdę późno – powiedział profesor Seifert, spoglądając z przerażeniem na zegarek.

ROZDZIAŁ 46

Kraków

grudzień 2016 r.

Poprzedniego dnia zakwaterowali się późno i po lekkiej kolacji zaraz poszli spać. Już kilka dni wcześniej Norbert omówił z Bartkiem ich przyjazd. Głównym powodem podróży do Polski było umówione spotkanie z córką Anny Jawor, Jadwigą Sabor, która miała im opowiedzieć, jak Zofia z Anną wydostały się z obozu w Szebniach. Chcieli też osobiście podziękować Bartkowi za pomoc w rozwiązaniu całej zagadki i pożegnać się przed ich wyjazdem na długi urlop. Norbert skończy w sylwestra sześćdziesiąt pięć lat, a zaplanowany przez nich rejs statkiem z Hamburga rozpocząć się miał dwa tygodnie później.

Popołudnie zostawili sobie na rozmowę z panią Jadwigą, bo Bartek zaproponował, aby rano spotkali się z ekspertem od sztuki holenderskiej. Wszyscy byli zainteresowani tą rozmową, bo Bartek nie krył, że jak najszybciej chce podjąć starania, aby odzyskać obraz Rembrandta dla Jasła. Wychodził z założenia, że byłoby to możliwe ze względu na brak spadkobierców Zofii, a jako że ślub z Rudim nie miał mocy prawnej, jego rodzina nie mogła być brana pod uwagę. Zdążył się już jednak dowiedzieć, że to wcale nie będzie łatwe. W takich sytuacjach spadek przypadał spadkobiercy ustawowemu, którym jest gmina ostatniego miejsca zamieszkania spadkodawcy. Niestety w przypadku Zofii to nie było Jasło! Jeśli ostatnie miejsce zamieszkania spadkodawcy znajdowało się za granicą, spadek przypadał polskiemu Skarbowi Państwa. Sprawę komplikował dodatkowo fakt, że Zofia miała także niemieckie obywatelstwo. Ale tymi problemami niech zajmą się prawnicy.

Następnego ranka ich niezawodny przewodnik i pomocnik zjawił się jak zawsze punktualnie. Kiedy po śniadaniu przeszli do baru hotelowego, Bartek już ich oczekiwał. Był w towarzystwie kogoś niewiele od niego starszego.

– Dzień dobry, kochani – przywitał ich dźwięcznym głosem, z szerokim jak zawsze uśmiechem – miło was znowu widzieć!

Gdy Hanna i Norbert serdecznie go uściskali, Bartek zwrócił się w stronę swojego gościa.

– Pozwólcie, że przedstawię: doktor Jan Owskiński z Instytutu Historii Sztuki Uniwersytetu Jagiellońskiego. Doktor Owskiński specjalizuje się w malarstwie artystów

holenderskich tworzących w siedemnastym wieku, w złotym wieku ich malarstwa.

Młody naukowiec skinął głową i uściśnął rękę Hanny, a później Norberta. Wyglądał tak, jak laik wyobraża sobie raczej studenta sztuki niż naukowca: młodzieńcza twarz, szczupły, lekko przygarbiony, ubrany w dżinsowe spodnie i długi zielony sweter. Na pierwszy rzut oka sweter był przynajmniej o jeden rozmiar za duży. Przez ramię miał przełożony szeroki rzemień wielkiej, jasnobrązowej skórzanej torby, zapiętej na dwie duże klamry. Jego drobnej twarzy, z głęboko osadzonymi, ciemnymi, inteligentnymi oczami, charakteru dodawał wyrazisty nos. Gdy na niego spojrzała, Hannie przyszedł na myśl mistrz Matejko. Pewnie dlatego, że przed przyjazdem do Krakowa przeglądała albumy z jego sztuką. Brakowało tylko charakterystycznej długiej siwej brody. Zawsze lubiła porównywać ludzi do innych znanych jej postaci. Przez to łatwiej zapamiętywała twarze.

– Proszę, usiądźmy – zaproponował Norbert, wskazując na wygodne fotele, i skinął na kelnera.

Usiedli wokół niskiego stolika i gdy wszyscy zamówili już coś do picia, Hanna zwróciła się do młodego naukowca:

– Panie doktorze, serdecznie dziękuję, że poświęci nam pan swój cenny czas.

– Ach, żaden problem, instytut znajduje się dosłownie nieopodal, pięć minut drogi stąd, na Grodzkiej. Pan komisarz wprowadził mnie już w temat. Historia autoportretu Rembrandta, do której państwo się dokopali, jest dla mnie nadzwyczaj interesująca. Widziałem, mam nawet przy sobie wasze fotografie obrazu.

– I co pan o tym sądzi? – Bartek niecierpliwie patrzył na młodego naukowca.

Ten, bez pośpiechu, wyjął z przepastnej torby twardy skoroszyt, z którego wydobył i położył na stolik kolorowe, nieskazitelnie gładkie wydruki obrazu.

– Jeśli to faktycznie obraz samego Rembrandta van Rijna, to pochodzi on z tak zwanego okresu amsterdamskiego, czyli powstał po roku tysiąc sześćset trzydziestym pierwszym. To łatwo poznać po sygnaturze. Na początku swojej twórczości, w okresie lejdejskim, Rembrandt sygnował swoje obrazy skrótem RHL, *Rembrandt Harmenszoon van Leiden*, znaczy: Rembrandt, syn Harmensa z Leiden. Później podpisywał się, tak jak tu właśnie widzimy – jedynie imieniem. Na wzór wcześniejszych wielkich artystów renesansu, tak jak Michał Anioł, Rafael czy Tycjan.

– Przepraszam, ale dlaczego podkreślił pan – „jeśli jest to obraz Rembrandta”? Przecież Hildebrandt Gurlitt był tego pewien. Tylko dlatego ten Szwajcar, Bäuerle, który święcie wierzył w jego kwalifikacje, zdecydował się kupić ten obraz – wtrąciła się zdziwiona Hanna.

– Tak, tak, do tego właśnie chciałem przejść. Z tego, co zrozumiałem, to Hildebrandt Gurlitt oceniał ten obraz w latach pięćdziesiątych. Oprócz tego specjalizował się głównie w sztuce współczesnej. Proszę sobie wyobrazić, że jeszcze na początku wieku przypisywano Rembrandtowi dziewięćset osiemdziesiąt osiem obrazów. Ale już w tysiąc dziewięćset trzydziestym piątym roku Abraham Bredius, naprawdę wielki znawca

Rembrandta, podawał liczbę sześćset trzydzieści. To jemu zawdzięczamy odkrycie, podczas pobytu w USA, jednego z dwóch tylko portretów konnych Rembrandta: *The Polish Rider*, słynny *Jeździec polski*.

– No tak, ale Gurlitt też konsultował się ze specjalistami – wtrącił ostrożnie zbity z tropu Norbert.

– W rozwoju badań prowadzonych przez historyków sztuki, szczególnie obrazów Rembrandta, ostatnie pół wieku to jak w historii połowa wieczności. – Pierwszy raz doktor Owsiański uśmiechnął się. – Badania te ruszyły bowiem tak naprawdę dopiero po tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym roku, gdy powstała Komisja do Badań Twórczości Rembrandta z siedzibą w Amsterdamie. Owocem ich prac są kolejne tomy *A Corpus of Rembrandt Paintings*. Po dokonanych weryfikacjach uznano dzisiaj jedynie około trzystu obrazów olejnych za dzieła mistrza.

– A jak wygląda to w Polsce? – zaciekała się Hanna.

– W czasach Stanisława Augusta Poniatowskiego w Polsce było dwadzieścia obrazów uznawanych za dzieła Rembrandta. Dziś to tylko trzy.

– A autoportrety? Czy ktoś inny chciałby malować autoportret Rembrandta? No tak, chyba że celowo sporządzone później falsyfikaty – wtrącił się Bartek.

– Rembrandt przez całe życie z wielkim zamiłowaniem malował autoportrety. Powstało ich około stu, niezwykle cykl, studium zmian. Jednym z jego naprawdę ostatnich dzieł jest również jego własny wizerunek. Stary, zmęczony życiem człowiek, odchodzący w ciemność. Ale znany jego konkurent, Jan Lievens, z którym kiedyś dzielił pracownię, też malował Rembrandta. I odwrotnie.

– Czyli w grę wchodzi Lievens? – zapytał Norbert.

– Ach nie – zaprzeczył Owsiański. – Podobnie jak w pracowniach innych wielkich malarzy, także uczniowie Rembrandta sporządzali kopie dzieł mistrza. To nie byli zwykli uczniowie, ale wykształceni malarze, którzy chcieli nauczyć się jego zupełnie nowego, nieznanego wówczas stylu. Nawet dzisiaj ekspertom trudno odróżnić oryginał od kopii. Szczególnie że na niektórych płótnach można znaleźć ślady pędzla zarówno mistrza, jak i ucznia. – Doktor Owsiański sięgnął po filiżankę z kawą.

– Ale skąd sygnatura mistrza na tych obrazach? – spytała Hanna.

Znowu odstawił filiżankę na stół.

– Pracownia była też zakładem produkcyjnym, a jej głównym celem było zarabianie pieniędzy. Obrazy uczniów i czeladników należały do mistrza, a ten, dla osiągnięcia lepszej ceny, często podpisywał je własnoręcznie.

– Hmm, czy to nie oszustwo, przestępstwo? – mruknął pod nosem Norbert.

– Może według dzisiejszych zasad, ale według reguł i porządku wieku siedemnastego wszystko, co powstaje w moim warsztacie, należy do mnie. Ocenę etyczną tego procederu zostawiamy innym. – Doktor Owsiański zrobił krótką pauzę, by napić się kawy, która pewnie i tak już ostygła.

– A ja wciąż nie rozumiem, dlaczego tak często przypisywano te rembrandtopodobne dzieła zawsze tylko Rembrandtowi – zapytała Hanna.

– No cóż, pośród historyków sztuki utarło się nawet powiedzenie, że istnieją na rynku obrazy, które bardziej przypominają rękę Rembrandta niż jego własne. Przyczyna jest prosta. On był geniuszem tamtych czasów. Zerwał radykalnie ze starym podejściem do malarstwa. Jak nikt inny. Dlatego jeszcze w dziewiętnastym wieku niewyobrażalne było, aby obraz tak bardzo podobny do jego płócien mógł wyjść spod pędzla innego malarza. Ale młodzi utalentowani malarze chcieli się właśnie tego od niego nauczyć i robili to doskonale. Nie chodziło jedynie o grę cieni, światła i półmroku. Rembrandt zawsze opowiadał historie, odrzucił idealizację, przekazywał emocje, angażował widza. Niektórzy uczniowie malowali w ten sposób nawet ponad pół wieku po śmierci mistrza. Jednak dla odbiorców sztuki pozostał tylko on, jedyny, który potrafił tak malować.

– Ciekawe. Rozumiem, że tak można oszukać laików, nie ekspertów – mruknął znowu Norbert.

– Wcale to nie takie rzadkie. Wspomnę anegdotę dotyczącą znanego płótna *Krajobraz z miłosiernym Samarytaninem* ze zbiorów księżnej Izabeli Czartoryskiej. Autentyczności tego dzieła nikt nigdy nie kwestionował. W tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku, zagrabione przez Niemców, wróciło po wojnie do Krakowa i jest własnością Fundacji Książąt Czartoryskich. Kiedy holenderscy eksperci ujrzeli obraz w pełnym świetle, na podwórzu Muzeum Czartoryskich, bez wahania i badań orzekli, że dzieło to mogło wyjść jedynie spod pędzla Rembrandta. A było to w latach sześćdziesiątych, kiedy właściwie już korzystano ze skomplikowanych badań i nowoczesnej techniki. Urzekło ich nie tylko mistrzowskie wykonanie obrazu, podkreślali też kompozycję i treściowe przesłanie. – Ekspert uśmiechnął się ponownie.

– Co więc wiemy? Czy jest możliwe, że Jakowicz, a także jego wnuk, byli w posiadaniu oryginalnych obrazów Rembrandta? – próbował podsumować rozmowę Bartek.

– Czy to możliwe? Jak najbardziej! Wiemy, że miał bliskie powiązania z rynkiem polskim. Myślę więc, że obraz ten prawie na pewno pochodzi z warsztatu Rembrandta. Ale to jeszcze nie odpowiedź na pytanie, czy wyszedł spod jego pędzla – odpowiedział młody naukowiec.

– Rozumiem. Czyli bez zbadania obrazu przez uznanych fachowców pozostaniemy w sferze przypuszczeń. – Norbert kiwnął głową.

Rozmawiali jeszcze parę minut, podziękowali i rozstali się z doktorem Owsieńskim. Dopiero gdy zostali sami, Norbert podzielił się ostatnimi wiadomościami z Zurychu z Bartkiem. Najnowszymi, bo dowiedział się o tym poprzedniego dnia.

– Bartek, niestety, mam złe wieści – zaczął. – Nasz znajomy Szwajcar nie żyje. Atak serca – dodał ze smutną miną. Wydał usta, jakby przekazując tym, że trudno mu na ten temat coś dodać.

– Cholera! – wyrwało się Bartkowi.

Wszyscy troje myśleli o tym samym, bo było jasne, jak bardzo sprawa się teraz skomplikowała.

– Jak już ci mówiłem, pierwszy raz rozmawiałem na ten temat z kolegą w Zurychu około dwóch tygodni temu. Uzgodniliśmy, że najlepszym rozwiązaniem będzie, jeśli zgłosimy się do Petera Bäuerlego i bez wywierania na niego nacisku, tylko przy pomocy prawników, dogadamy się z nim. W rezultacie zdobędziemy potwierdzenie, że on ma ten obraz i jest świadom, że chodzi o dzieło zrabowane polskiej obywatelce, w okupowanej Polsce, podczas wojny. W pisemnej formie, czego już ani on, ani jego spadkobiercy nie będą mogli odwołać. Planowaliśmy, że w uzgodnionym czasie on z własnej inicjatywy i z własnej woli zwróci to dzieło przedstawicielom polskiego Ministerstwa Kultury.

Bartek milczał. Wiedział, że teraz sytuacja wygląda zupełnie inaczej. Nie mieli przecież żadnego dowodu na to, co Bäuerle opowiedział Norbertowi. Jego rodzina o tym obrazie nawet nie wiedziała, a zdjęcie obrazu na komórce Norberta, nawet jeśli zostało przesłane z aparatu Bäuerlego, to za mało, aby zażądać nakazu rewizji w renomowanym szwajcarskim banku. Na świecie nie było już ani jednej osoby, która kiedykolwiek widziała ten obraz na oczy i mogła poświadczyć, że należał on do rodziny Kaczkowskich. Anne Seifert i była sekretarka Gurlitta, Helene, tylko o nim słyszały, ale samego obrazu nigdy nie widziały. Przedwojenne zdjęcia z archiwum starostwa także już nie istniały. Sprawa rzeczywiście bardzo się skomplikowała.

– Musimy to przemyśleć. Porozmawiamy, kiedy wrócimy z podróży. – Norbert poklepał po plecach wyraźnie zawiedzionego Bartka. Teraz faktycznie jeden miesiąc wcześniej czy później nie odgrywał naprawdę żadnej roli.

Z panią Jadwigą Sabor umówili się o szesnastej w kawiarni ich hotelu. Bartek odebrał ją spod domu i obiecał ją też odwiedzić. Pani Jadwiga urodziła się w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym, czyli skończyła w tym roku siedemdziesiąt lat. Była zadbaną starszą panią, tak że z wyglądu można by śmiało ująć jej kilka lat. Była szczupłą, średniego wzrostu i miała ciemne włosy spięte z tyłu kłamrą. Ubrana była w ciemnoczerwoną garsonkę, która doskonale pasowała do koloru jej kredki do ust. Bartek przedstawił pani Jadwidze gości z Niemiec, przedstawił też ją i wszyscy zajęli miejsca przy zarezerwowanym dla nich stoliku kawowym w rogu sali.

Na wstępie Bartek streścił to, co opowiedział już swoim gościom, i przypomniał, że pani Jadwiga skończyła opowieść na tym, jak jej mama Anna Jawor została przewieziona z więzienia w Jaśle do obozu w Szebniach i dostała ataku hysterii podczas pierwszego apelu obozowego.

Pani Jadwiga wypiła łyżeczek herbaty i zaczęła opowiadać, co działo się dalej.

ROZDZIAŁ 47

Szebnie–Jasło

czerwiec 1943 – marzec 1944

Nowo przybyła więźniarka okazała się starą znajomą Zofii – Anną Jawor z więzienia w Jasle. To dzięki trosce Zofii uniknęła tam jeśli nie śmierci, to na pewno poważnej choroby. Od tego czasu stały się najbliższymi przyjaciółkami i jeśli nie musiały, nie opuszczały się nawet na krok. Siostra Honorata postarała się, aby otrzymały prycze obok siebie. Udało się nawet załatwić dla Anny pracę obok stanowiska Zofii.

W obozie były warsztaty: krawiecki, szewski, kowalski i stolarski. Kobiety zatrudniono przy wyplataniu warkoczy ze słomy, z których wykonywano kalosze. Żołnierze Wehrmachtu walczący na Wschodzie nakładali je na buty; miały chronić stopy przed odmrożeniem. Przy tej pracy Zofia nie mogła nie myśleć o swoim Rudim. Wciąż nie wiedziała, jak ma rozumieć, że nie napisał do niej ani jednego listu. Wierzyła, że jest jej wierny, a nie chciała do siebie dopuścić myśli, że nie żyje.

Stanowisko Anny było zaraz przy ścianie, a Zofii obok. Nauczyły się pracować i rozmawiać, nie podnosząc głowy, nie podpadały więc kapo ani strażnikom. Potrafiły przegadać ze sobą całe dni. Po jakimś czasie Zofia wyznała swoją tajemnicę Annie. Anna była mocno zszokowana, ale rozumiała, że miłość kieruje się innymi prawami niż zdrowy rozsądek. Dużo rozmawiały o życiu przed wojną, o czasach, kiedy życie było piękne.

– Wiesz, Zosiu, zawsze cię podziwiałam. Pamiętam na przyjęciu u starosty, no wiesz, kiedy występował tam Kiepura, miałaś taką piękną ciemnozieloną sukienkę. Ja byłam małą rudą dziewczynką z warkoczem – powiedziała Anna, uśmiechając się do swoich wspomnień. Choć wychudzona i w łachmanach, była piękną kobietą.

– Twój tata był lekarzem, prawda? To o nim rodzice mówili, że wystawił wtedy, na wystawie w starostwie, w trzydziestym siódmym, kilka pięknych obrazów. – Zofia uśmiechnęła się smutno.

– Nawet ich nie wspominaj! Nienawidzę tych obrazów! Zagięły, ale wróciły do mnie w tym roku jako nocne mary! Prześladują mnie do dzisiaj. Wyobraź sobie, że Gentz dowiedział się o tej wystawie i zażądał, abym mu je oddała. Tymczasem rok po wystawie ktoś włamał się do naszego domu i obrazy zniknęły. Nie kłamie, nie były nawet ubezpieczone. Nie uwierzył mi, wysłał mnie do więzienia, a w bursie napuścił na mnie tego zbira Drzyzgę. Gdy nawet jego wyrefinowane tortury nic nie dały, wylądowałam tutaj.

Najgorsze, że nie wiem nawet, z jakim wyrokiem, kiedy wyjdę. – Anna zaczęła znowu płakać. Zofia uspokajała ją, aby strażnicy nie zauważyli.

– Jaki wyrok? O czym ty mówisz? – spytała później Zofia. Nie słyszała, aby ktoś wspominał coś o wyrokach. Zresztą wcześniej, zanim zjawiała się Ania, mało z kim tu rozmawiała.

– Tak usłyszałam od siostry Honoraty, gdy nas tu przyjmowano. Każdy ma zasądzony jakiś wyrok. Większość podobno „do końca wojny”, są też niższe, nawet tylko osiem tygodni. Ale najgorsze, że wyroki są utajnione. A powiedz, prawda to, że twój tata miał także jakiś niezwykle cenny obraz? – zapytała Anna.

Zofia opowiedziała jej historię obrazu, również o tym, że pokazała go Rudolfowi i jak przez Gentza trafiła najpierw do bursy, a potem tutaj. Teraz wiedziały, że łączy je nie tylko los więźniarek, ale że mają też wspólnego potężnego wroga, który jest absolutnie bezkarny.

Nie wierzyły w lepszą przyszłość. Bały się jej, żyły wspomnieniami. Lato nie przyniosło więźniom w obozie żadnej radości czy jakiegokolwiek ulgi, oprócz tego, że nie marzli nocą. Ci, którzy pracowali na słońcu, nabawiali się za to udaru słonecznego lub padali z wycieńczenia. Nie zawsze mieli wodę do picia. Nocą fetor z wiadra na fekalia robił się nie do zniesienia, a do tego dochodziły pijackie porykiwania strażników, którzy nocne libacje przenieśli teraz na zewnątrz.

W znajdującym się nieopodal pałacu Gorayskich bawiła się regularnie tak zwana elita. Często słychać było obozową żydowską kapelę. Anton Scheidt, który pełnił tu do połowy czerwca tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku obowiązki komendanta obozu, upamiętnił się przez organizowanie nocnych uczt i orgii. Mieszkał w pałacu, z żoną i dzieckiem, ale nieraz przychodził pijany z gośćmi w nocy do baraków kobiecych i urządzał pokazowe apele. Wszystkie młode kobiety drżały ze strachu. Zofię i Anię ratowało to, że jako trzydziestolatki były już dla nich za stare, bo ci bandyci wybierali do swoich zabaw dziewczyny młodsze. Najchętniej nastolatki.

A gdy zajeżdżał tu z Krakowa sam SSPF Scherner, Scheidt stawał na głowie, by urozmaicić gościom wieczory; kucharze i cukiernicy musieli przejść samych siebie. Mówiono, że wtedy zjawiał się też zawsze starosta Gentz, który był z Schernerem w wyjątkowo dobrych relacjach. Przyjeżdżali także szef Gestapo Raschwitz oraz komendant obozu w Płaszowie Amon Göth. Ten ostatni słynął z tego, że prawie codziennie, czasem jeszcze przed śniadaniem, urządzał polowania na więźniów. A strzelał podobno bardzo celnie. To relacjonowała im siostra Honorata, która była tego naocznym świadkiem.

Zofii nie dawała spokoju sprawa „wyroków”. Dotychczas myślała, jak większość zamkniętych tu ludzi, że jeśli nie wydarzy się cud, nigdy już stąd nie wyjdą. Ta nowa informacja i niepewność stały się dla niej dodatkową torturą, bo nie pozwalały nocą zmrużyć oczu. Nie interesowała jej treść wyroku, bo wiedziała, dlaczego tu siedzi, ale okres, na jaki została skazana. Okazało się, że tylko jedna osoba może coś o tym wiedzieć:

Regina Weiss, sądecka Żydówka, nazywana surowo szefową, choć była, jeśli tylko mogła, osobą serdeczną i pomocną. Jej praca polegała na przyjmowaniu transportów Polaków, rejestrowaniu i prowadzeniu kartoteki. Prowadziła też ewidencję wyroków i była odpowiedzialna za przestrzeganie dat zwolnień i wypisywanie kart zwolnienia, na mocy których zwolnieni z obozu wysyłani byli do Arbeitsamtu³⁷ do Jasła.

Po wielu podchodach nadarzyła się okazja podejścia do „szefowej”, kiedy była sama. Na placu apelowym akurat działo się coś „zabawnego” i uwaga wszystkich, głównie strażników, była tam właśnie zwrócona. Zofia wyjaśniła „szefowej”, jak mogła najkrócej, dlaczego się tutaj znalazła, i błagalnym głosem zapytała, czy może powiedzieć jej, jaki wyrok otrzymała od Gestapo. Pani Weiss obiecała, że przejrzy jej kartotekę.

Gdy się spotkały, szefowa wyglądała na szczerze zdziwioną.

– Mówiłaś, że posadziło cię Gestapo? Nic nie rozumiem! Skazana zostałam tylko na osiem tygodni. A ten wyrok, wyjątkowo krótki, podpisał sam doktor Walter Gentz!

Zofia zaniemówiła. Nic nie powiedziała. Wycofując się tyłem, kłaniała się tylko. Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Nic nie rozumiała. Więc Gentz tak chciał się jej przypodobać? Pokazał jej swoją nieograniczoną władzę i teraz będzie już musiała jeść mu z ręki? Zamiast się cieszyć, wybuchnęła płaczem! Nie chciała już nigdy wrócić do więzienia, bursy, a tym bardziej tego obozu. Ale nie mogła się sprzedać tej bestii pracującej w białych rękawiczkach.

Rozmawiały o tym później z Anną i nie znalazły innego wytłumaczenia decyzji Gentza, jak tylko chęć podporządkowania sobie Zofii. Anna wciąż nie знаła swojego wyroku. Bała się usłyszeć tę najgorszą prawdę, że nigdy już stąd nie wyjdzie.

– Zosiu! Nikt nie ma prawa cię potępić, jeśli zdecydujesz się z nim związać. Ja pewnie zrobiłabym wszystko, żeby móc wydostać się z tego piekła. Za nic nie chcę jeszcze raz trafić w łapy tego bydlaka Drzyzgi. – Objęła przyjaciółkę i szlochając, długo nie chciała jej puścić.

W następnym tygodniu, zaraz po apelu, kazano Zofii zgłosić się do administracji. „Szefowa” wydała jej kartę zwolnienia i dokumenty do Arbeitsamtu. Uścisnęła jej bez słowa rękę, a Zofia jeszcze raz jej podziękowała. Zdążyła jeszcze pożegnać się z Anną i trzema innymi dziewczynami, które tu polubiła, i szybkim krokiem przeszła przez bramę obozu. Mimo że myślała o tym dniami i nocami, wciąż nie wiedziała, co ma zrobić ze swoim dalszym życiem. Poddać się? Czy walczyć i polec? Innego wyjścia nie widziała.

Miała szczęście, bo z obozu wyjeżdżał akurat jeden z dostawców żywności i zgodził się podwieźć ją w kierunku Jasła. Była wolna. Mogła zacząć planować, bo wcześniej były to mrzonki, które mogło zakończyć nawet jedno silniejsze uderzenie strażnika.

Od matki i siostry nie oczekiwała teraz ani rady, ani pomocy. Dla nich to, co się stało, było karą za jej romans z Rudim. Uważały, że ona sama jest temu winna. Była rozczarowana, nie powiedziała im nawet, że aby je ratować, oddała Gentzowi obraz ojca.

A co by powiedziały, gdyby się dowiedziały, że była kochanką starosty? To małe miasto, taka sensacja długo by się tu nie ukryła. Czy zrozumiałyby, że poświęciła się dla nich?

Siedziała na wozie, rozglądając się po okolicy. Zanim dojechała do miasta, podjęła decyzję. „Jeśli chcesz, by cię szanowano, musisz mieć szacunek do samego siebie” – przypomniały jej się ich nocne długie rozmowy z Rudolfem. To były jego słowa.

W urzędzie pracy miała obowiązek zgłosić się już jutro, by otrzymać skierowanie do pracy. Dopiero minęło południe, więc udała się tam zaraz. Miała szczęście, kolejka była niewielka. Położyła na stół wszystkie otrzymane dokumenty.

– Mamy wolne miejsca w rafinerii – powiedziała osoba po drugiej stronie okienka.

– Nie, dziękuję. Szukam czegoś daleko. Najlepiej bardzo daleko stąd. Proszę do Rzeszy, im prędzej, tym lepiej. – Szukała miejsca, gdzie Gentz jej nie znajdzie albo nie zechce jej szukać.

Niecały tydzień później pożegnała się z mamą i Marią, mówiąc im, że chce odszukać Rudolfa. Uważały pewnie, że pobyt w więzieniu i obozie pomieszał jej w głowie, ale jej nie zatrzymywały. Może czuły się bez niej bardziej bezpieczne? Na późniejsze listy z Rzeszy nie otrzymała ani jednej odpowiedzi. Myślała, że nie chcą mieć z nią kontaktu i celowo nie odpowiadają. Tymczasem one do nich nigdy nie dotarły, a Zofia nie miała pojęcia, że zatrzymywała je listonoszka, jej sąsiadka Jolanta Kurska. Nigdy więcej nie zobaczyła już Jasła.

Po zwolnieniu Zofii osamotniona Anna popadła w depresję. Nie chciała z nikim rozmawiać, ale na szczęście nie utraciła uczucia głodu i pragnienia. Dla wycieńczonej osoby głodówka w obozie oznaczałaby pewną śmierć.

Tak minęło kilka tygodni. Pewnego dnia wezwano ją do administracji. Szła niepewnie, nie oczekując po wezwaniu niczego dobrego. Gdy powiedziano jej, że wyrok dobiegł końca, dziewczyna zemdląła z wrażenia. Ocucono ją i gdy się ocknęła, wręczono jej komplet dokumentów. Jeszcze tylko uścisk dłoni szefowej i także ona stała się wolnym człowiekiem.

Jej nazwisko, ze względu na ojca lekarza, było w mieście dobrze znane. Rozpoznała je urzędniczka w Arbeitsamcie i zaproponowała Annie pracę w administracji szpitala, w rejestracji pacjentów. Tam też dowiedziała się, że Zofia wyjechała dobrowolnie na roboty do Niemiec. Rozumiała jej decyzję. Sama przyjęła propozycję pracy w szpitalu z wdzięcznością. Zajęcie to pomogło jej uwolnić się od traumy. Widząc ludzi dużo bardziej cierpiących, nie koncentrowała się tak bardzo na sobie i po kilku miesiącach odzyskała radość życia. W procesie rehabilitacji nie bez znaczenia było zapewne i to, że w szpitalu poznała pewnego przystojnego lekarza. Po ewakuacji miasta oboje wyjechali do Krakowa.

Któregoś dnia, pod koniec marca tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku, przysłała jak zwykle rano do pracy i przy porannej kawie, przejmując zmianę, przeglądała listę nowych pacjentów. Zauważyła znane nazwisko: Antoni Kluge. Ciekawe, ten miły starszy pan musiał mieć już dobrze po sześćdziesiątce. Jej zawsze wydawał się stary i smutny. Pamiętała go jako pacjenta ojca. Była dzieckiem, kiedy go poznała. Pamiętała nawet, że czekał kiedyś na ojca, który nie wrócił jeszcze ze szpitala. Siedział na zewnątrz, w ogrodzie. Wtedy przyniosła mu jabłko, a on jej podziękował i schował do teczki, mówiąc, że zje je wieczorem, myśląc o niej. Później widywała go czasem w ogrodzie starostwa, bo podobno to on organizował te wspaniałe przyjęcia. Miły pan. Pomyślała, że wypadałoby go odwiedzić.

Już nazajutrz wykorzystała przerwę obiadową, by zajrzeć na oddział, gdzie leżał pan Kluge. Był po zawale, który pozostawił po sobie wyraźne ślady. Wyglądał źle, widać było, że jest bardzo słaby. Gdy ją zobaczył, uśmiechnął się tak, jakby czekał na jej wizytę. Anna podeszła do niego i pomogła mu podnieść zagłówek i poduszkę, gdy ją o to poprosił. Przyniosła szklanek wody, postawiła na stoliku obok i przysunęła sobie krzesło.

– Nawet pani nie wie, jak bardzo mnie cieszy, że widzę panią całą i zdrową, pani Anno – powiedział słabym głosem.

– Pamięta pan jeszcze moje imię? Tak dawno się nie widzieliśmy, panie Antoni. A pan ma tyle obowiązków – szczerze zdziwiła się Anna.

– Ach, obowiązki. Nienawidzę ich, jak i tej całej mojej pracy. Ale tak mnie wychowano – służyć urzędowi, któremu ślubowałam. Najpierw Najjaśniejszemu Panu, cesarzowi. To był zaszczyt. Wszystko zmieniło się, gdy przyszli ci bandyci. Teraz już nie mam powodów do dumy. Dopiero ze względu na panią Zofię Kaczkowską pierwszy raz naprawdę cieszyłem się, że pracuję blisko tej bestii, prawdziwego diabła w ludzkiej skórze... – Starszy pan aż zasapał z gniewu.

– Ach tak, przecież to pan pomógł wtedy wrócić Zofii do domu. – Anna przypomniała sobie opowieść Zosi.

– Mówiła pani? Tak, ale też ja pomogłem temu bandycie znaleźć pani nazwisko i ujawniłem, że te obrazy z wystawy należały do pani ojca. – Łzy napłynęły mu do oczu.

Anna milczała. Nie wiedziała, co powiedzieć. Nie rozumiała, dlaczego Kluge mógł na nią donieść.

– Pani Kaczkowska pewnie sama powiedziała Gentzowi o swoim obrazie i o tej wystawie, bo kiedy obejrzał archiwalne zdjęcia i zobaczył obraz Rembrandta, wcale się nim nie zainteresował. Dlaczego? Bo o nim już wiedział! Zaciekały go obrazy pani ojca. Najpierw nie skojarzyłem, o co mu chodzi. Wszystko stało się jasne, gdy dowiedziałem się, że aresztowano panią Zofię, a później panią. Wtedy zacząłem podsłuchiwać rozmowy Gentza i przeglądać jego korespondencję. W rezultacie udało mi się wyciągnąć z teczki jego listy do Gestapo. Domagał się wyroków za przestępstwa dla pani i Zofii: „do końca wojny”. Zamieniłem je na wyroki ze starostwa, za przewinienia – po osiem tygodni.

Podpis Gentza oglądałem codziennie, bez trudu go sfalszowałem. No i udało się. – Westchnął głęboko, wciąż patrząc na nią z niepewną miną. Nie wiedział, jak młoda kobieta zareaguje na to szczere wyznanie.

Anna przez chwilę przyglądała mu się pełna mieszanych uczuć, a w końcu wzięła jego słabą dłoń w swoje ręce i powiedziała:

– Dziękuję panu. Jest pan dobrym człowiekiem.

Wtedy z jego oczu popłynęły łzy. Ciurkiem. Zbyt długo sądził, że dobry urzędnik nie ma prawa do uczuć. Zbyt długo je hamował. Rozszlochał się na dobre.

Anna wciąż gładziła jego dłoń.

– Jak to możliwe, że był pan w stanie tak długo pracować z takim... człowiekiem? – zapytała.

– Dla mnie był on tylko szefem, dla którego pracowałem. Nie pierwszym, ale pewnie już ostatnim. Wcześniejsi też nie byli ani idealnymi ludźmi, ani idealnymi szefami. Jeśli to panią interesuje, opowiem pani, jaką Gentz był bestią. – Stary samotny człowiek jakby odżył, chciał wreszcie opowiadać o tym, co czuł. Pragnął być wysłuchany.

Opowiedział jej, jak Gentz wracał z egzekucji we Frysztaku i w Żmigrodzie, kiedy własnoręcznie zastrzelił kilka osób z poległych tam tysięcy. Opowiedział też o jego nienawiści do Polaków i tego miasta. Nie był pewny, czy to jego natura, czy faktycznie winny był herb miasta i jego podobieństwo do rzekomo rodowego herbu Nietzschego.

– Wtedy pierwszy raz dopuściłem się haniebnego czynu. Bo nie moim zadaniem było oceniać przełożonych. Byłem od tego, aby urząd prawidłowo funkcjonował. Ale to Gentz zmusił mnie do tego, żeby naruszył kodeks urzędnika państwowego. Bo jego czyny wykraczały poza ramy człowieczeństwa! To obudziło we mnie, w urzędniku, człowieka. Pierwszy raz w życiu doniosłem na kogoś, i w dodatku na przełożonego. I jestem z siebie dumny – powiedział.

Opowiedział jej, że to on poinformował Losackera o osobistym udziale Gentza w egzekucjach, o jego sadystycznym zachowaniu i strzelaniu do skazańców. Losacker był pod tym względem człowiekiem honoru i do końca nie zdradził nikomu, skąd otrzymał te informacje.

– Gdyby nie poręczenie jego kolesia Schernera, Gentz zostałby odwołany z Jasła, a na pewno nigdy nie byłby oficjalnie mianowany na stanowisko starosty, na czym tak mu zależało – powiedział jakby ostatnim tchem.

Mówił już, jakby się spieszył. W końcu jego głowa opadła ciężko na poduszkę. Musiał być bardzo zmęczony. Patrzył prosto przed siebie i nie zareagował nawet, kiedy Anna podała mu szklankę z wodą. Wstała i spojrzała na niego. Antoni Kluge nie żył. Jego serce nie wytrzymało. Zbyt długo wmawiał sobie, że to, co się dzieje wokół niego, osobiście go nie dotyczy, że to tylko praca. Ale i najsumienniejsi urzędnicy państwowi mają serce.

³⁷ Urząd pracy.

ROZDZIAŁ 48

Kraków

grudzień 2016 r.

Norbert siedział tu już od prawie godziny i czekał na Hannę i Bartka. Miał przed sobą do połowy jeszcze pełną szklankę piwa i otwarty ciekawy artykuł w laptopie, więc nie patrzył na zegarek. Umówili się w tej samej restauracji, do której pierwszy raz zaprosił ich Bartek. „Przy rynku, około czwartej”. Najwyraźniej oni oboje skoncentrowali się na „około”, bo dochodziło już wpół do piątej, a ich wciąż nie było. Wiedział, że Hanna chciała jeszcze zajrzeć do galerii sztuki, w której coś jej się spodobało, a to znaczyło, że to mogło jeszcze potrwać. O popołudniowe spotkanie poprosił Bartek, bo zależało mu, by zająć się własnym projektem badawczym dotyczącym zbrodni popełnionych w Jaśle.

Norbert wrócił do swoich myśli. Dużo wspólnie osiągnęli, rozwiązali niełatwy problem, który przekazał mu ojciec. A jednak nie czuł pełnego zadowolenia.

Samobójstwo Waltera Gentza zakończyło sprawę. Ale tylko dla Rudolfa. Winny został ukarany. Rudolf dotrzymał słowa, nie zabił go, a osiągnął to, czego chciał. Sam przyznał, że nie czuł się na siłach osądzać go za grzechy przeciwko ludzkości, a ówczesnemu sądownictwu w Niemczech nie dowierzał. Jego logika wydawała się na pierwszy ogład zrozumiała. Oskarżony przyznał się do winy, wymierzył sam sobie najwyższą możliwą karę.

Ale co myśleli i jak czuli się, wiedząc o takim rozwiązaniu, wszyscy ci, którzy podobnie jak Rudolf stracili przez Gentza albo nawet z jego ręki swoich najbliższych? Pozostawali w przeświadczeniu, że Gentz wybrał łatwiejszą drogę, bo wymigał się od odpowiedzialności przed sądem. Oczekiwali procesu, w którym mogliby wystąpić i przed światem głośno nazwać jego zbrodnie, wykrzyczeć je. Podobnie jak było w Izraelu, kiedy sądzono Eichmanna. A na koniec to sąd wydał wyrok.

Czy Rudolf był świadom tego, że wybierając taki rodzaj rozwiązania, oszczędził Gentzowi zasłużonej kary, jaką byłaby bezpośrednia konfrontacja z pokrzywdzonymi i oficjalne uznanie go za winnego? W imieniu narodu! Pewnie tak, ale zrobił to, mając świadomość, że nie udałooby mu się dostarczyć Gentza do Polski, bo wiadomość o statku, jakoby czekającym pod parą w Hamburgu, była blefem. Lepsze to niż jeszcze większa niesprawiedliwość, policzek w twarz, jakim byłby zbyt łagodny wyrok niemieckiego sądu.

W rezultacie Gentz po prostu odszedł. W ciszy i zapomnieniu. Spoczywa teraz w niczym niewyróżniającym się grobie na cmentarzu Nordfriedhof w Düsseldorfie. Po napisach na jego nagrobku nie widać, że leży tam osoba będąca sprawcą cierpień i śmierci wielu ludzi.

Norbert wrócił myślami do publikacji, którą właśnie powtórnie czytał. *Pośmiertna kara: co można zrobić w sprawie przestępstw kryminalnych po śmierci sprawcy?* Artykuł ten, z maja dwa tysiące piętnastego roku, znalazł w ReasearchGate.net, a jego autora, profesora filozofii i teorii prawa karnego Emmanuela Melissarisa z London School of Economics, poznał wcześniej osobiście na seminarium, na które zaprosił go Wydział Prawa Uniwersytetu Goethego we Frankfurcie.

– No, stęskniłeś się za mną? – usłyszał za sobą znajomy głos Hanny i poczuł jej dłoń głaszczącą go po ramieniu. Musnął ustami jej rękę.

– A za mną też tęskniłeś? – Tym razem głos był bardzo niski, ale też dobrze znajomy.

Norbert wstał, odwrócił się, by ucałować Hannę, a następnie podał rękę i poklepał po ramieniu Bartka.

– Co pijecie? – zapytał i przekazał ich zamówienie przechodzącej obok kelnerce. Zamknął laptopa i uśmiechnął się do przybyłych. – No to teraz opowiedz, co u ciebie – zwrócił się do Bartka.

– Jak zawsze, nieprzerwane pasmo sukcesów! – Młody człowiek się zaśmiał. – Szkoda, że nasz projekt dobiegł końca. Fajnie się z wami pracowało. Z ostatniej telekonferencji wiem już chyba wszystko. Spodobała mi się wasza nowa znajoma, Anne Seifert. Musiała być kiedyś naprawdę fajną laską! – Puścił oko.

– Tak, umarli się rozgadali, przyznali do wszystkiego, a o zmarłych nie powinno się mówić źle. Czyli dla nas sprawa jest faktycznie już zamknięta – dodała Hanna.

– Ta nie dotyczy chyba wszystkich, bo o Gentzu pewnie jeszcze często będziesz mówił i pisał. Niekoniecznie dobrze. Jak posuwają się twoje badania? – zapytał Norbert, zwracając się do Bartka.

– Mam już dużo zebranego materiału, ale coraz trudniej znaleźć coś naprawdę odkrywczego. Naoczni świadkowie tamtych czasów już odeszli. Pozostaje rycie w książkach i archiwach. Dokumenty naczelnego dowództwa Wehrmachtu i dowództwa wojsk lądowych Amerykanie skonfiskowali i przewieźli do Fortu Alexandria w stanie Wirginia, a opracowane mikrofilmy przeszły do zbiorów National Archives USA w Waszyngtonie. Z czasem zwrócili je Niemcom i dzisiaj to część zbiorów Bundesarchiv w Koblencji.

– Zainteresowałem się już tym, ale tych akt nie znajdziesz w Bundesarchiv Koblenz. Akta Bundeswehry zostały przeniesione do oddziału we Freiburgu. A akta personalne urzędników cywilnych, jak Gentz, przechowuje berliński oddział. Na temat Gentza znalazłem już tam dość dużo materiałów. Okazuje się, że gdy o jego wyczynach we Frysztaku i Żmigrodzie dowiedziano się w Krakowie, chciano się go pozbyć. Nawet dla hitlerowskich urzędników okazał się nadaktywny; urzędnicy administracyjni nie powinni

brać udziału w egzekucjach. A zwłaszcza strzelać! O to właśnie chodzi w korespondencji prowadzonej pomiędzy doktorem Losackerem, wicegubernatorem doktorem Eisenlohem i szefem urzędu personalnego, hrabią von Medem. Wymiana listów opatrzonych nagłówkami „ściśle tajne” była bardzo ożywiona i trwała praktycznie cały rok tysiąc dziewięćset czterdziesty trzeci. Na podstawie podobnych, wcześniej już dochodzących go pogłosek sekretarz stanu doktor Bühler od dawna był przeciwny zatwierdzeniu Waltera Gentza oficjalnie na stanowisko starosty.

– I jak to się skończyło? – zapytała Hanna.

– Oświadczeniem podpisanym przez szefa SS und Polizeiführera dystryktu Krakau, Juliana Schernera, który oświadczył swoim autorytetem, że wszelkie zarzuty są bezpodstawne. Wicegubernator zaakceptował opinię Schernera, a dwudziestego ósmego września czterdziestego czwartego roku przyszło z Berlina latami oczekiwane oficjalne powołanie na stanowisko starosty Jasła. A odnośnie do całej tej afery wysnuto jedynie wniosek, że takie pomówienia powinny być karane, i zażądano znalezienia osoby, która była źródłem tych oszczerstw. Na szczęście dla Antoniego Klugego winnego nie znaleziono. Bartek, jeśli będziesz potrzebować jakiegokolwiek pomocy, daj znać.

– Dzięki, Norbert. Jesteś równym gościem. – Norbert uściskał wyciągniętą do niego dłoń Bartka.

– Pamiętam, że chciałeś też znaleźć odbiorców tego, co zrabowano z Jasła pod koniec wojny. Te tysiąc dwa wagony wywiezionych dóbr! Jest tu pewien problem, który odkryłem już przy pobieżnym przeglądzie docelowych miejsc wysyłki: nie wszystko wylądowało w Niemczech – dodał Norbert.

– Jak to? Profesor Wieliczko opisał to, na podstawie oryginalnego niemieckiego raportu, „Lagebericht” numer dwadzieścia z siódmego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego czwartego roku: „pociąg złożony z tysiąca wagonów, przetoczonych do Rzeszy, miałby długość ponad dziesięciu kilometrów!” – zdziwił się Bartek.

– Uwzględnij teraz przesunięcia granic, które zaszły po wojnie! Przykładowo: dwieście pięć wagonów poszło do Obersberg O/S, do zakładów Fanto. Ale firma Fanto Benzin AG to austriacka firma przemysłu naftowego. Swego czasu należała do Rzeszy, ale po wojnie to już Austria. Zakłady Kolk-Werke in Mirotein, które otrzymały pięćdziesiąt wagonów mienia z Jasła, leżą w Czechach. Tak samo jak zakłady Wito-Mährisch w Schönberg (Kraj Sudecki, na pograniczu czesko-niemieckim), które przyjęły sześćdziesiąt pięć wagonów z maszynami, urządzeniami, surowcami. Firma Sagar & Wacner we Wrocławiu przyjęła sześć wagonów. Firma Brunn Maria w Erzersdorf to znowu Austria. – Norbert zrobił przerwę.

– Cholera! – zaklął Bartek.

– Tak że wszystko to, co wylądowało w Berlinie i Niemczech Wschodnich, przepadło jak kamień w wodę. Oczywiście, znaczna część tych dóbr wylądowała w Niemczech Zachodnich, została nawet częściowo odnaleziona i zidentyfikowana. Ale, jak pisze

profesor Wieliczko, problemem nie do rozwiązania był wtedy przewóz przez okupowane przez Sowieców ziemie byłej Rzeszy – dodał Norbert.

– To znacznie komplikuje sytuację! – Bartek się zamyślił. – Ale przecież skorzystały na tym głównie niemieckie firmy na Zachodzie. Przynajmniej te duże powinny czuć się za to odpowiedzialne.

– Słusznie, ale to też okazuje się nie mniej skomplikowane. – Norbert relacjonował dalej, czego zdążył się już dowiedzieć. – Z jasielskiego Karpathen Öl AG wywieziono do Preussische Bergwerks- und Hütten AG w Hanowerze aż trzydzieści trzy wagony. Trzonem działalności tej firmy był wtedy przemysł górniczy i hutniczy. W roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym przeszła kompletną restrukturyzację i przemianowano ją na Preussag AG. Z czasem weszła do europejskiej czołówki jako koncern mieszany; stocznie, logistyka, wielki armator Hapag-Lloyd, a także turystyka.

– Preussag, czy oni nie zmienili nazwy na TUI? – włączyła się Hanna.

– Właśnie, od roku dwa tysiące drugiego Preussag AG stał się największym graczem na światowym rynku turystyki i nazywa się dzisiaj TUI. Trudno jednak twierdzić, że TUI zawdzięcza swoją pozycję mieniu zrabowanemu w Jaśle! Pamiętaj, że ta firma po wojnie straciła siedemdziesiąt procent swojego majątku, bo ich zakłady na ziemiach wschodnich przeszły w ręce Sowieców; maszyny zostały zdemontowane i wywiezione. A to, co pozostało (Brandenburgia, Królewiec oraz Dolny Śląsk), stało się majątkiem publicznym. Częściowo też polskim. Niełatwo będzie to teraz rozliczyć! – powiedział Norbert, nadymając usta, zastanawiając się nad rozwiązaniem.

– No i co? Mamy więc wszystko to zapomnieć? Może nawet im współczuć? – zapytał Bartek.

– Skąd! Jestem przekonany, że praca naukowa na ten temat ma wielki sens. Te rzeczy powinny zostać wreszcie uporządkowane. Ale naprawdę nie wiem, jak to rozwiązać bez rozsądnej i obustronnie otwartej dyskusji! Byłoby dziwne i nieszczerze, gdyby dzisiejsi młodzi ludzie w Niemczech mieli wciąż wyrzuty sumienia za grzechy swoich dziadów. Tak, wstydzą się za nich, ale nie czują się już osobiście odpowiedzialni! Sądziś, że ich dzieci i wnukowie też powinni przyjść na świat z tym niezmywalnym grzechem?

Bartek najwyraźniej nie chciał pogłębiać tej dyskusji.

– Tak, ludzie odchodzą i na tym kończy się ich odpowiedzialność za to, co po sobie zostawili. – Patrzył przez okno, gdzie brzegiem szerokiego chodnika szedł starszy pochylony mężczyzna. Szedł wolno, o lasce. Nie zwracał uwagi na mijające go tłumy młodych ludzi. Oni też go nie zauważali.

Wszyscy na chwilę zamilkli, przyglądając się tej scenie.

– Wiesz, Bartek, zanim przysłiszcie, przeglądałem akurat ciekawy artykuł. Dotyka właśnie naszego problemu. Sądzę, że może być interesujący i dla ciebie, twojej pracy. Autor jest profesorem prawa, także filozofem, a artykuł jest właśnie natury filozoficznej: czy prawo karne powinno działać po śmierci sprawcy? Wiemy, że dzisiaj śmierć sprawcy

zamyka postępowanie. Ale wyrządzone przez sprawcę szkody, zgotowane przez niego zło, nie nikną z jego śmiercią. A skoro skutki przestępstwa nie zniknęły po śmierci sprawcy, to może i prawo karne nie powinno trzymać się faktu, że ich sprawca zmarł? Profesor Melissaris zastanawia się, czy nie powinniśmy wprowadzić karalności po śmierci. – Norbert spojrział pytająco na Bartka.

– Brzmi absurdalnie, ale wiem, że filozofia prawa chętnie rozpatruje takie właśnie przypadki – zauważył Bartek.

– Kara nie jest wyłącznie reakcją na popełniony w przeszłości czyn. Ma działać także odstraszająco, prewencyjnie, czyli ma znaczenie dla przyszłości. Nie tylko karać samego sprawcę, ale wpłynąć też na zachowanie innych! – Norbert popatrzył teraz na nich oboje.

– Już Schopenhauer wiedział, że dokładnie to czyni różnicę między karą a zemstą. Zemsta jest motywowana wyłącznie przeszłością – powiedziała Hanna.

– Załóżmy więc, że zmieniono kodeks karny i wprowadzono możliwość sądenia i karania sprawcy po śmierci. Co to da, jakie byłyby tego skutki? – zapytał Norbert.

– Gentz wybrał śmierć, ale jeśli się zastanowić, to właściwie wybrał dla siebie mniejsze zło; odebrał sobie życie, by oszczędzić upokorzenia sobie, wstydu swojej rodzinie, może i braku wdowiej emerytury dla żony. Sprawa została zamknięta. Może faktycznie zachowałby się inaczej, gdyby wiedział, że samobójstwo nie uwolni go od oficjalnego wyroku? – powiedział z namysłem Bartek.

– Tak! Ludziom bardzo zależy na reputacji. Już za życia wybierają sobie reprezentacyjne miejsca na cmentarzach. Na swoich nagrobkach oczekują pięknych słów uznania, niezależnie od życiowej prawdy. Bez wyroku sądu prawda pozostaje nieznaną! – dodał Norbert.

– Ciekawy problem, nigdy o tym tak nie myślałam – wtrąciła Hanna. – Nazwiskiem Hildebranda Gurlitta w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym piątym roku nazwano jedną z ulic w Düsseldorfie. Co by się stało, gdyby stanął przed sądem? Był niesławnym marszandem nazistów, postacią co najmniej niejednoznaczną. A czy pośmiertnie można sprawiedliwie człowieka ocenić? – zapytała.

– Trudne pytanie. W wielu przypadkach na pewno tak. Jeśli chodzi o Gurlitta, myślę, że większość społeczeństwa ukarałaby go już za fakt, że dorobił się majątku podczas wojny, podczas gdy inni stracili zwykle całe mienie, często też życie. Rzadko kto uwzględni, że wszedł w ten biznes z konieczności, a jako że był dobry, osiągnął sukces. Brak dowodów na to, że wymuszał ceny; on kupował na rynku, który się kompletnie załamał. Dzisiaj coś kosztuje miliony, ale wtedy tego nikt nie chciał kupić, nawet za grosze. Warto byłoby zapytać oceniających go ludzi, jak zachowaliby się, gdyby znaleźli się w jego butach. Jeśli mieliby jego wiedzę na temat sztuki, czy nie zrobiliby tego samego? – odpowiedział Bartek.

– Wejdę w rolę *advocatus diaboli*: co by było, gdyby wówczas wszyscy zachowali się „przyzwoicie” i nikt nie kupowałby tych obrazów? Malarze i właściciele obrazów nic by

nie otrzymali! Niewykluczone, że wówczas płótno *Dwaj jeźdźcy na plaży* trafiłoby do pieca jako opał – powiedziała Hanna.

– Gdyby Gurlitt wiedział, że kiedyś będzie oceniany, nawet po śmierci, zachowałby się inaczej? Nie sądzę. Był oportunistą, ale nie czuł się chyba przestępcą. To szczególny i trudny przypadek. Sądzę, że świadomość, że będziemy nawet po śmierci sądzeni, mogłaby zmienić zachowanie ludzi za życia. Choćby wobec rodziny. Tylko za życia mamy szansę zadbać o to, aby plama, jaką nosimy na swoim honorze, nie została odkryta – stwierdził Norbert.

– Ale to musi być naprawdę niezależny i rzeczywiście sprawnie funkcjonujący system prawny. Ludzie muszą uwierzyć, że kara ich nie ominie. Bo wydaje się, że większość wierzących, także kapłani i biskupi, nie przejmują się wcale tym, że kiedyś staną przed sądem Bożym. Najwyraźniej nie wierzą w to wystarczająco mocno. Chciałbym, aby udało się taki godny zaufania system stworzyć, bo to ma sens – powiedział Bartek. Widać, że temat go zaciekał.

– Czekaj, podam ci przykład z bardzo odległych czasów. Der Sachsenspiegel, uważany za najstarszy średniowieczny niemiecki kodeks prawny, stanowił: „W przypadku zgwałcenia kobiety karze ścięcia głowy podlegają wszyscy znajdujący się w domu, jak i poza domem, gdzie gwałt miał miejsce, którzy, słysząc krzyk gwałconej, nie pospieszyli jej z pomocą”. Co o tym sądzisz? – zapytał Norbert.

– Ostre! Taki zapis na pewno wpłynąłby na zachowanie ludzi. Szkoda, że go zniesiono, a szczególnie że nie był aktualny w okresie drugiej wojny światowej – dodał Bartek.

– To, co mówiłem wcześniej, dotyczyło tylko wpływu na sprawcę przestępstwa. A jak taka zmiana kodeksu pomogłaby ofiarom? Mogliby łatwiej pogodzić się z faktem przestępstwa, ostatecznie zamknąć sprawę. Doszliby do głosu, poczuliby satysfakcję, że sprawca został ukarany. Nawet jeśli byłby to akt symboliczny. Przecież to dokładnie to samo, co pośmiertne odznaczenie bohaterów najwyższymi orderami! Symbol. Takim samym gestem powinno być postawienie sprawców pośmiertnie pod sąd. Niech mają też prawo do najlepszych nawet adwokatów – powiedział Norbert.

– Szkoda, że to mało realne. Wymagałoby rewolucji w przepisach, nie mówiąc o kosztach, które w dużej części musiałyby pokryć państwo – zauważył Bartek.

– Masz rację, nie zawsze ofiara zbrodni chciałaby do tego wracać. Ale może ma to sens, kiedy chodzi o interes publiczny? W sprawach, w których taki wyrok pośmiertny byłby formą zadośćuczynienia dla żywych za doczesną bezkarność zmarłych? Trudne pytanie, ale warte zastanowienia! – Norbert znów spojrział na Bartka.

– Sądy pękają w szwach. Nawet jeśli jest to tego warte, ludzie zwykle żyją tylko dniem dzisiejszym, mają wystarczająco dużo aktualnych problemów i spraw. Także w sądach – odpowiedział Bartek.

– Tak było zawsze. – Głos Norberta zabrzmiał, jakby on sam przez chwilę był gdzie indziej. Myślał o swoim ojcu? – Także i w Niemczech po wojnie. Zbrodnie popełnione

przez Niemców w Polsce były też karane, ale należało je udowodnić. Podczas gdy sądy zapchane były setkami tysięcy bieżących rozpraw: spraw o dziedziczenie, odzyskanie straconych dóbr i majątków. Wtedy też było to dla ludzi dużo ważniejsze niż szukanie winnych tego, co było, co minęło! – dodał Norbert.

Do dyskusji znowu włączyła się Hanna.

– To, co ja zrozumiałam z naszej wycieczki w przeszłość, to to, że za wszystkimi wielkimi masowymi zbrodniami stoją zawsze konkretni ludzie. Zbyt chętnie zrzuca się odpowiedzialność na okoliczności, państwo, panujące prawo. Najchętniej mówi się o winie partii, faszystów, nacjonalistów czy komunistów. Wszyscy inni byli ofiarami? Wbrew swojej woli omotani ideologią? Każdy ma prawo wyboru! Zawsze się je ma! – Przerwała, bo sama zauważyła, że mówi zbyt głośno i jej głos lekko drży.

– Tak wielu stało się diabłami! Wszędzie znajdziemy ludzi takich jak Gentz i mój sąsiad, pan Stanisław, przez którego wyjechałam z Polski. Do wyjazdu z Polski nie zmusił mnie przecież Gomułka! To byli zwykli ludzie, jak mój miły sąsiad. – Teraz mówiła powoli, tłumiąc wzruszenie.

– Dla mnie najgorsze jest to, że trudno z tym walczyć, bo u podstaw takiej postawy leży zwykle źle rozumiany patriotyzm. A na patriotyzm, jak i religię, trudno znaleźć argumenty. To przekonania, uczucia, wiara. Dlaczego zapominamy, że patriotyzmu, jak i religii, nie mamy we krwi! Matki nie trzeba uczyć miłości do dziecka, ale miłości do ojczyzny czy Boga ktoś musi nas nauczyć. Matki kochają swoje dzieci, ale nie nienawidzą obcych. Takie uczucie występuje tylko wtedy, kiedy miłości do ojczyzny czy religii uczą nas ludzie, którzy chcą nami manipulować. Wykorzystać do swoich celów – powiedział Norbert. Hanna to już od niego słyszała, nie raz rozmawiali na ten temat.

Zapadła dłuższa chwila ciszy. Hanna zdecydowała się zmienić temat.

– A co sądzicie o Rudolffie? Jak oceniacie jego zbrodnię? Była próbą wymierzenia sprawiedliwości czy tylko zwykłą zemstą? Czy on nie zasługuje na karę? – Z ostatnimi pytaniami zwróciła się do Bartka.

– Właśnie zrozumiałem, że Nietzsche dał nam gotową odpowiedź także i na to pytanie: „Wszystko, co robimy z miłości, odbywa się poza dobrem i złem” – odpowiedział cytatem.

OD AUTORA

Między prawdą a fikcją

Kiedy słyszymy historię zniszczenia Jasła, nie sposób nie zapytać: Dlaczego? O nic więcej nie ma sensu pytać, skoro po czterech miesiącach precyzyjnej i systematycznej pracy kompanii saperów i użyciu paru dziesiątków ton dynamitu nic tam już nie pozostało. Po zniszczeniu budynków użyteczności publicznej zaczęto niszczyć kościoły, klasztory i prywatne domy. Zniszczono 97 procent zabudowań. Dlaczego?!

Szukałem odpowiedzi w historycznych opracowaniach, archiwach, pytałem ekspertów, ale nikt nie potrafił podać logicznej przyczyny tragedii tego właśnie miasta; bezsensownych zniszczeń, bo bez uzasadnienia militarnego. Dokonanych właściwie z inicjatywy jednego tylko człowieka, Waltera Gentza.

Równie nie do pojęcia było to, że jego zbrodnie uszły mu płazem. On sam zdecydował o tym, że odszedł z tego świata; bez sądu, bez kary.

Książka ta jest próbą zrozumienia przyczyn skrajnego fanatyzmu tego człowieka i jego odrazy do wszystkiego, co polskie. Pokazuje też, do czego prowadzi nauka miłości do ojczyzny przez partię lub ludzi, którzy chcą stworzyć, wychowywać podległy sobie naród i wykorzystywać go do własnych celów.

Przedstawiając moją wersję przebiegu zdarzeń, włączyłem też ważne lata przedwojenne, kiedy dopiero kształtował się światopogląd Waltera Gentza i jemu podobnych. Lata powojenne pokazują z kolei, że niekoniecznie udało mu się uniknąć sądu. W ten sposób przynajmniej próbuję odpowiedzieć na pytania „dlaczego?”.

Mimo wprowadzonych wątków fabularnych starałem się pozostać możliwie najbliżej prawdziwych historii: zarówno dwojga głównych bohaterów Zofii Kaczkowskiej i Rudolfa Simona, jak i ich antagonisty Waltera Gentza.

Niestety wszystkie znane związane z nimi fakty kończą się w czerwcu 1941 roku, po wyjeździe Rudolfa z Jasła na front wschodni. Dalsza część opowieści mówi o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby zakulisowe zdarzenia, nieopisane w pamiętnikach czy jakichkolwiek wspomnieniach, przebiegły tak, jak je tu przedstawiłem.

Rodzinę Kaczkowskich i ich losy opisałem zgodnie z dostępnymi na ich temat materiałami, dlatego zachowałem też ich prawdziwe nazwiska i imiona. Postać Rudolfa, któremu nadałem fikcyjne imię i nazwisko, trzyma się faktów swojego pierwowzoru: Herberta Schrödtera. Poszukując dokumentów o Jasle podczas wojny, rozmawiałem

z ludźmi, którzy interesują się tym tematem, i tak natknąłem się w internecie, na Facebooku, na stronę publiczną, grupę StareJaslo, a tam wpis i wspomnienia Winfrieda Schrödtera. Zamieścił on *Fragmenty pamiętnika z drugiej wojny światowej (Tagebuchfragmente aus dem zweiten Weltkrieg)*. To pamiętnik jego ojca Herberta Schrödtera. Cała historia pobytu Rudolfa Simona w Jaśle opiera się na faktach z tego właśnie pamiętnika. Także opis wojennej marszruty Rudolfa, daty i czasy niewoli są prawdziwe. Jest też faktem historycznym, że zdobył na froncie dwa Krzyże Żelazne.

Herbert Schrödter opisał bardzo szczegółowo swój pobyt w Jaśle. Zawiera drobiazgowo wspomnienia z codziennego życia na kwaterze pod adresem Piotra Skargi 13, gdzie w tym czasie mieszkała również rodzina Kaczkowskich. Jedynie scen, które działy się za zamkniętymi drzwiami w tym domu, nie znajdują Państwo w tym pamiętniku. Herbert Schrödter nie wspomina słowem o romansie, pisze jedynie, że Zofia bardzo mu się podobała i że za każdym razem coraz chętniej wracał z urlopów do Jasła. Regularnie udzielał jej lekcji niemieckiego.

Treść pamiętnika, na przykład to, że Polka podczas okupacji jedzie na rowerze kilkanaście kilometrów do odległej wsi, by pożegnać się z żołnierzem Wehrmachtu odchodzącym na front, ma prawo pobudzić fantazję autora. To musiała być więcej niż przelotna znajomość! Podobnie widziała to pewnie i prawdziwa żona Herberta Schrödtera, bo jak podaje syn, to ona kazała mężowi zniszczyć wszystkie fotografie Zofii, które przez długi czas przechowywał. Powojenne losy Rudiego to już fantazja, bo w rzeczywistości Schrödter osiedlił się w Münsterze, gdzie pracował i mieszkał ze swoją prawdziwą rodziną. Dla uszanowania prywatności tej rodziny zmieniłem ich nazwisko. Mam nadzieję, że literacka wersja losów Rudiego nie urazi dzieci czy wnuków, że potraktują ją jako dowód uznania i szacunku dla Herberta Schrödtera, co było moim szczerym zamiarem.

O tym, co stało się z Zofią Kaczkowską, jak też jej matką i siostrą po roku 1941, nic pewnego nie jest wiadome. Różne źródła podają różne wersje.

Opisane w książce zdarzenia związane z innymi występującymi tu postaciami, z różnych epok, są również prawdziwe. Na przykład postacie i losy Hildebranda i Corneliusa Gurlittów. Kilkundniowy wywiad przeprowadzony przez dziennikarkę magazynu „Der Spiegel”, Özlem Gezer, to fakt, jednak treść rozmowy opisana w książce różni się od tego, co opublikował „Der Spiegel”. Może była to akurat ta część, której Gurlitt nie autoryzował? Dla mnie ważne było, by pokazać świat oczyma Corneliusa Gurlitta, a jednocześnie znaleźć kładkę łączącą losy Gurlitta z wydarzeniami, które mogły mieć miejsce w Jaśle.

Hildebrand Gurlitt i Walter Gentz mogli spotkać się w Düsseldorfie, gdyż po wojnie obaj tam mieszkali. Czy się naprawdę zetknęli, nie wiem, ale możliwe, bo w roku 1952 odbyła się w Düsseldorfie wystawa dzieł teścia Waltera Gentza, znanego profesora malarstwa. Także Münster leży stosunkowo niedaleko, więc absolutnie możliwe byłyby spotkania Gurlitta z Rudolfem.

Odnosnie do Waltera Gentza istnieje wystarczająco dużo udokumentowanych historycznie materiałów, by przedstawić go jako dojrzałą osobę, jego charakter, stosunek do świata. Jego zbrodnie, jak i ekscesy z kompanami nie są fantazją autora. Naukowe opracowania, również niemieckie, podają, że Gentz miał polską kochankę, ale że także z kolegami dopuszczał się gwałtów, a zgwałcone dziewczyny przepadały często bez wieści. Przy opisywaniu egzekucji we Frysztaku i Żmigrodzie korzystałem z materiałów historycznych lub relacji świadków. To, że styl życia i zarządzania Waltera Gentza przeszkadzał nawet rządzącym w Krakowie, to fakty, które opieram na dokumentacji otrzymanej bezpośrednio z niemieckiego Bundesarchiv (archiwum federalnego). Informacje wyszły od Losackera, ale nie wyjaśniono, skąd pochodziły. Musiał to być ktoś z bliskiego otoczenia starosty. Urzędnika starostwa Klugego ja powołałem do życia, ale faktem jest, że karierę Gentza uratował oficer SS PF Scherner.

Najbardziej zależało mi jednak na tym, by choć spróbować zrozumieć, jak kształtowały się (kształtowano) charaktery młodych ludzi z pokolenia Gentza, co skłoniło ich do wstąpienia do NSDAP i późniejszej czynnej, często, jak w jego przypadku, fanatycznej służby. Fakty z jego młodości nie są niestety dostępne, jedynie to, gdzie studiował, i jego przynależność do studenckiego stowarzyszenia Frankonia przy Uniwersytecie w Bonn, którego losy i cytowane wartości są oparte na źródłach. Jego członkami byli zarówno Walter Gentz, jak i Fryderyk Nietzsche. Postać Horsta Kleina, kolegi Waltera Gentza z czasów gimnazjalnych i studenckich, jak i ich rozmowy są wymysłem autora. Ale tak właśnie mogły one przebiegać. Starałem się doszukać przyczyn, dla których Gentz, wywodzący się z kulturowo i socjalnie dobrze usytuowanego środowiska, miałby znienawidzić Polaków, a później z takim zaangażowaniem tępić wszystko, co polskie czy żydowskie.

Nietzsche, jeden z najbardziej rozpoznawalnych i najmniej rozumianych filozofów tego świata, przydałby się w galerii wielkich Polaków. Ale czy Nietzsche był Polakiem? Ze wszystkich poważnych badań wynika, że raczej nie, choć jego jakże przychylnie Polakom słowa grzeją nasze serca. Wszystkie cytowane tu jego wypowiedzi są prawdziwe, ale z krytycznych opracowań wynika, że dużą rolę w jego odwołaniach do polskości mogła odegrać fantazja, potrzebna do nadania własnej postaci siły wyrazu. Fascynowały go polskie obyczaje, liberum veto, poczucie wolności, kolorowe ubiory. Wszystko to podobało mu się, bo kontrastowało z krytykowaną przezeń ówczesną niemiecką przeciętnością i przyziemnością.

Dla uzupełnienia obrazu jeszcze kilka dodatkowych wyjaśnień:

– Na pytanie, czy rodzina Kaczkowskich była faktycznie w posiadaniu wyjątkowo cennego obrazu Rembrandta, nie znam odpowiedzi. Nikt nie może dzisiaj jednoznacznie cokolwiek na ten temat powiedzieć. Podobnie jest z medalikiem ze Świętym Antonim. To było możliwe, niewykluczone, a jeśli tak, to ta historia mogła się faktycznie wydarzyć.

– Opisane tu spotkania i rauty z udziałem Kiepury i innych światowych sław faktycznie się wydarzyły. Starostwo urządzało wówczas takie przyjęcia, na które niewątpliwie zapraszany był i Adolf Kaczkowski z rodziną. Obraz córki starosty Marossanyiego namalowany przez Witkacego istnieje rzeczywiście, niestety wystawa z Rembrandtem nie została nigdzie odnotowana.

– W fabryce dywanów w Düren, która zatrudniała podczas wojny 85 przymusowych robotnic, pracowała faktycznie tylko jedna Polka. Czy to była właśnie Zofia? Nie wiemy, ale byłoby to możliwe. A miasto Düren wybrałem też po to, by pokazać okrucieństwo i bezsens wojny. Cywilnym mieszkańcom nie dano tam nawet czasu na ewakuację. Zgodnie z prawdą przekazałem, jak wyglądało bombardowanie miasta, które wcale się nie broniło.

– Hildebrand Gurlitt zmarł rzeczywiście w wyniku awarii hamulców swojego samochodu DKW na autostradzie. Więcej faktów na ten temat policja nie opublikowała.

– Opisana tu historia zburzenia kościoła Franciszkanów i niezwykle losy figury Świętego Antoniego, jak też postać ojca Jakuba Półchłopka odpowiadają faktom historycznym.

– Krótko po tym, kiedy obraz *Dwaj jeźdźcy na plaży* zwrócony został rodzinie Davida Torena, został on faktycznie podanego dnia sprzedany na aukcji w Sotheby's w Londynie. Opisana historia, daty i fakty związane z tym obrazem opierają się na ogólnie dostępnych informacjach.

– Postacie Hanny, Norberta, Bartka, Anne Schmidt, Stefana Seiferta, Antoniego Klugego, Anny Jawor i jej córki oraz innych osób nieoznaczonych jasno jako postacie historyczne są fikcją literacką, pomostem niezbędnym, by połączyć tak wiele osób i okresów historycznych. Odpowiednio też wszystkie sceny z ich udziałem są fikcyjne.

– Z pierwowzorami Hanny Sowińskiej, jak i Norberta Matuli, ale też i bankiera Petera Bäuerlego autor zetknął się w trakcie zgłębiania tła, atmosfery okresu, w którym rozgrywa się ta historia. Natrafiłem na takie osoby, ale oczywiście nie konkretnie te, które tu opisałem. Także cała rodzina Norberta Matuli jest tworem fantazji autora, ale rodzin o podobnej historii można znaleźć w Zagłębiu Ruhry naprawdę wiele.

– Opisy okrucieństw w jasielskiej bursie czy obozie pracy przymusowej w Szebniach opierają się na relacjach świadków. Zgodnie z prawdą historyczną pokazałem też warunki życia w obozie oraz obowiązujący tam system kar i sposób ich egzekwowania. Pracownica rejestracji w obozie w Szebniach Regina Weiss, zakonnica Franciszka Bojda – siostra Honorata, kat z jasielskiego Gestapo – Teodor Drzyzga, jak i konkretnie nazwani z funkcji i nazwiska niemieccy oficerowie i urzędnicy są postaciami historycznymi.

– Również opisy warunków w obozach DP, prowadzonych przez Anglików w Niemczech, bazują na relacjach ludzi, nie tylko Polaków, którzy byli tam zakwaterowani.

– Jan Jakowicz był postacią historyczną, faktycznie posiadał opisaną tu wielką kolekcję obrazów, którą sprzedał do Lwowa. W katalogach muzeum, od daty przekazania zbiorów

do muzeum w roku 1907 przez Jana Jakowicza, znajdziemy nazwiska Rafaela, Rembrandta, Rubensa, Velázquez, Watteau. I nawet jeśli z czasem stwierdzono, że nie wszystkie obrazy Rembrandta wyszły spod jego pędzla, lecz artystów „z kręgu” bądź „warsztatu Rembrandta”, nadal mówimy o reprezentatywnej próbkę uznanego malarstwa zachodnioeuropejskiego.

– Józef Jakowicz, wnuk Jana, jest tworem mojej fantazji. Młody Jakowicz mógł chcieć się wkupić w któryś z przemysłowych zakładów w okolicach Jasła, które znajdowały się wówczas głównie w zagranicznych rękach, ale historycznie udokumentowanej wzmianki na ten temat nigdzie nie znalazłem. Faktem jest, że Adolf Kaczkowski, jeden z najlepszych adwokatów tamtego czasu, reprezentował interesy przedsiębiorców z branży naftowej.

Fikcja może stać się szczególną prawdą, pomóc nam zrozumieć świat, dostrzec sens w pogmatwanych ludzkich losach, znaleźć związki i przyczyny w na pozór przypadkowych i nielogicznych ciągach zdarzeń.

Andrzej Jeznach

PODZIĘKOWANIA

Pragnę wyrazić wdzięczność osobom, które z życzliwością odpowiedzieli na moje prośby o konsultacje. Na pierwszym miejscu Adamowi Miszczakowi, twórcy cyklu filmów *Historyczny Pejzaż Podkarpacia*, który był nie tylko moim przewodnikiem i skarbnicą wiedzy o Jaśle, ale także pomógł mi w organizowaniu spotkań z innymi niezwykle ważnymi dla tej książki jaślanami: panią Zofią Macek, autorką wielu książek na temat Szebni, i panem Mariuszem Świątkiem, dyrektorem Muzeum Regionalnego w Jaśle.

Jestem ogromnie wdzięczny Winfriedowi Schrödterowi, który zamieścił w internecie zredagowane i skomentowane przez niego *Fragmenty pamiętnika z drugiej wojny światowej* napisane przez jego ojca Herberta. Wielką pomocą był dla mnie dr Markus Roth, pracownik naukowy Instytutu Fritza Bauera przy Uniwersytecie Goethego we Frankfurcie nad Menem, który udzielił mi informacji wykraczających poza jego książkę *Rasa Panów. Niemieccy starości w okupowanej Polsce – ich kariery, praktyki i ciąg dalszy ich historii*. Dziękuję także pani Susan Ronald, autorce książki *Marszand Hitlera*, z której zaczerpnąłem wiele ważnych tu informacji. Bardzo dziękuję też pani dr Sabine Dumschat z Bundesarchiv w Berlinie, która pomogła mi dotrzeć do nieznanych dotychczas faktów na temat osoby, jak i przebiegu kariery Waltera Gentza.

Januszowi Leonowi Wiśniewskiemu, znanemu autorowi powieści i mojemu przyjacielowi od lat młodszych, jestem wdzięczny za merytoryczne wskazówki dotyczące warsztatu pisarskiego. Serdecznie dziękuję Edwardowi Miszczakowi, bo bez niego książka ta by nie powstała; to on zainteresował mnie niezwykle historią swojego rodzinnego miasta. I na koniec najserdeczniejsze podziękowania dla Ewy, mojej żony, że miała do mnie cierpliwość przez ten ostatni rok.

Spis treści

ROZDZIAŁ 1
ROZDZIAŁ 2
ROZDZIAŁ 3
ROZDZIAŁ 4
ROZDZIAŁ 5
ROZDZIAŁ 6
ROZDZIAŁ 7
ROZDZIAŁ 8
ROZDZIAŁ 9
ROZDZIAŁ 10
ROZDZIAŁ 11
ROZDZIAŁ 12
ROZDZIAŁ 13
ROZDZIAŁ 14
ROZDZIAŁ 15
ROZDZIAŁ 16
ROZDZIAŁ 17
ROZDZIAŁ 18
ROZDZIAŁ 19
ROZDZIAŁ 20
ROZDZIAŁ 21
ROZDZIAŁ 22
ROZDZIAŁ 23
ROZDZIAŁ 24
ROZDZIAŁ 25
ROZDZIAŁ 26
ROZDZIAŁ 27
ROZDZIAŁ 28
ROZDZIAŁ 29
ROZDZIAŁ 30
ROZDZIAŁ 31
ROZDZIAŁ 32
ROZDZIAŁ 33
ROZDZIAŁ 34
ROZDZIAŁ 35
ROZDZIAŁ 36

ROZDZIAŁ 37
ROZDZIAŁ 38
ROZDZIAŁ 39
ROZDZIAŁ 40
ROZDZIAŁ 41
ROZDZIAŁ 42
ROZDZIAŁ 43
ROZDZIAŁ 44
ROZDZIAŁ 45
ROZDZIAŁ 46
ROZDZIAŁ 47
ROZDZIAŁ 48
OD AUTORA
PODZIĘKOWANIA